

**CLIVE CUSSLER**

# **SKARB**

Treasure

Przełożył: Waław Niepokólczycki



Biblioteka Aleksandryjska istniała naprawdę i gdyby pozostała nie tknięta przez wojny i religijnych zelotów, dałaby nam możliwość poznania nie tylko imperiów egipskiego, greckiego i rzymskiego, ale i tych mało obecnie znanych cywilizacji, które powstały i upadły daleko poza basenem Morza Śródziemnego.

W roku 391 chrześcijański cesarz Teodozjusz kazał zniszczyć i spalić wszystkie księgi i obrazy, w których dopatrzono się jakiegokolwiek, choćby najodleglejszego związku z pogaństwem.

Istnieje przypuszczenie, iż część zbiorów potajemnie ocalono i wywieziono. Co się z nimi stało, gdzie je ukryto, pozostaje nadal tajemnicą.

## PREKURSORY

15 lipca A.D. 391

Terra incognita

W czerni wykutego w skale korytarza przesuwiał się wolno pełzający płomyk. Człowiek ubrany w wełnianą tunikę sięgającą za kolana przystanął i uniósł lampkę oliwną nad głowę. Mgliste światło wydobyło z mumifikowane ciało leżące w trumnie ze złota i kryształu i rzuciło zniekształcony, drżący cień na wygładzoną ścianę. Przez kilka chwil człowiek w tunice spoglądał w niewidzące oczy, po czym opuścił lampkę i odwrócił się.

Spojrzał na długi rząd nieruchomych kształtów stojących w grobowej ciszy, kształtów tak licznych, że zdawały się powtarzać w nieskończoność, niknąc w ciemnościach długiej jaskini.

Juniusz Venator ruszył dalej szurając lekko sandałami po nierównym podłożu. Stopniowo tunel rozszerzał się w ogromną galerię. Jej blisko dziesięciometrowe sklepienie dla wzmocnienia uformowane było w szereg łuków. W wapiennych ścianach wykuto spiralne kanaliki odprowadzające wodę do umieszczonych głęboko w dole basenów. Były tam także liczne wnęki wypełnione tysiącami osobliwie wyglądających okrągłych pojemników wykonanych z brązu. Gdyby nie wielkie drewniane skrzynie ułożone równo jedna na drugiej pośrodku jaskini, to niegościnne miejsce mogłoby przypominać rzymskie katakumby.

Venator patrzył na umocowane do skrzyń miedziane tabliczki i sprawdzał ich numery z numerami zapisanymi w zwoju rozłożonym na małym składanym stoliku. Powietrze było duszne i suche, toteż wkrótce pot zaczął żłobić rowki w pyłe pokrywającym jego skórę. W dwie godziny później, stwierdziwszy, że wszystko zostało skatalogowane jak należy, Venator zwinął swoje papirusy i wsunął je za szarfę, którą był przepasany.

Rzucił ostatnie uważne spojrzenie na przedmioty złożone w jaskini i westchnął z żalem. Wiedział, że nigdy już ich nie zobaczy ani nie dotknie. Odwrócił się i dzierżąc przed sobą lampkę zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł.

Nie był już młody - miał prawie pięćdziesiąt siedem lat. Szara, pomarszczona twarz, zapadnięte policzki oraz lekkie powłóczenie nogami świadczyły o zmęczeniu życiem. Mimo to w głębi ducha odczuwał ogromną satysfakcję. Powierzone mu wielkie zadanie zakończyło się sukcesem. Z serca spadł mu przytłaczający ciężar. Teraz pozostawało już tylko przetrwać długą drogę powrotną do Rzymu.

Minął cztery inne tunele wiodące w głąb góry. Jeden z nich był zablokowany stosem odłamów skalnych. Gdy strop się zawalił, zginęło w nim dwunastu niewolników. Pozostali

tam, zmiażdżeni i pochowani w miejscu, w którym znaleźli śmierć. Venator nie czuł żalu. Lepiej, że umarli tutaj szybko, niżby mieli cierpieć przez lata w kopalniach cesarstwa, niedożywieni i mrący z chorób.

Skręcił w lewy korytarz i szedł ku blademu światłu dnia. Szyb wejściowy, ręcznie wykuty wewnątrz niewielkiej groty, mierzył dwa i pół metra średnicy - tyle, by można było przesunąć największe ze skrzyń.

Nagle od szybu dotarł odległy krzyk. Na czole Venatora pojawiła się zmarszczka zatroskania. Przyspieszył kroku. Zmrużył oczy przed blaskiem słońca wychodząc w światło dnia, zawahał się i spojrzał ku pobliskiemu obozowi leżącemu na lekko pochyłym terenie. Grupa legionistów rzymskich stała wokół kilku barbarzyńskich kobiet. Młoda dziewczyna usiłowała z krzykiem uciec. Prawie udało jej się przedrzeć przez kordon żołnierzy, lecz jeden z nich schwycił ją za długie czarne włosy. Szarpnął i padła na kolana.

Latiniusz Macer, Gal, był głównym nadzorcą niewolników. Powitał Venatora skinieniem i rzekł zadziwiająco wysokim głosem:

- Czy wszystko gotowe?

Venator skinął głową.

- Spis został ukończony. Zapieczętuj wejście.

- Uważaj swoje polecenie za wykonane.

- Co to za zamieszanie w obozie?

Macer spojrzał czarnymi oczyma na żołnierzy i splunął.

- Głupi legioniści podniecili się i najechali jakąś wioskę pięć mil na północ stąd. Urządzili tam masakrę. Zabili co najmniej czterdzieścioro barbarzyńców. Tylko kilku z nich było mężczyznami, reszta to kobiety i dzieci. I po co? Nie zdobyli złota ani żadnych łupów godnych zachodu. Powrócili z kilkoma szpetnymi kobietami i teraz rzucają o nie kości.

Twarz Venatora stężała.

- Czy oprócz tych kobiet ktoś z wioski zachował się przy życiu?

- Podobno dwaj mężczyźni uciekli w zarośla.

- Podniosą alarm w innych wsiach. Obawiam się, że Severus wsadził kij w gniazdo szerszeni.

- Severus! - Macer wypluł to imię razem ze śliną. - Ten przeklęty centurion i jego zgraja nic nie robią, tylko śpią i wypijają nasze zapasy wina. Nieszczęście z tą bandą leniów.

- Zostali wynajęci dla naszej obrony - przypomniał mu Venator.

- Przed kim? - spytał Macer. - Przed prymitywnymi ludźmi, którzy jedzą owady i gady?

- Zbierz niewolników i szybko zawalcie tunel. Musicie to zrobić bardzo dokładnie. Barbarzyńcy w żaden sposób nie mogą się tam przedostać po naszym odjeździe.

- Nie ma obawy. Z tego co wiem, nikt w tym przeklętym kraju nie opanował jeszcze sztuki kowalstwa. - Macer umilkł i wskazał masywny stos skalnych odłamów wydobytych z wnętrza góry i umieszczonych nad wejściem do szybu na pomoście z pali. - Kiedy to spadnie, będziesz mógł przestać się bać o swoje cenne starożytności. Żaden barbarzyńca się do nich nie dostanie, choćby nie wiadomo jak długo drapał gołymi pazurami.

Uspokojony Venator odprawił nadzorcę i ruszył ku namiotowi Domicjusza Severusa. Minął znak oddziału legionistów, srebrnego byka na ostrzu włóczni. Odepchnął wartownika, który usiłował zagrozić mu drogę.

Zastał centuriona na składanym krześle, wpatzonego w obnażoną brudną dziewczynę, zaledwie czternastoletnią, która siedziała w kucki i zawodziła. Severus miał na sobie krótką czerwoną tunikę, spiętą na lewym barku. Nagie ramiona zdobiły mu na bicepsach dwie opaski z brązu. Były to muskularne ramiona żołnierza zaprawionego do miecza i tarczy. Severus nawet nie spojrział na niespodziewanego przybysza.

- A więc to tak spędzasz czas, Domicjuszu? - warknął Venator z sarkazmem. - Przeciwstawiasz się woli bożej gwałcąc pogańskie dziecko?

Severus wolno podniósł zimne szare oczy na Venatora.

- Dzień jest zbyt piękny, by słuchać twojej chrześcijańskiej gadaniny. Mój bóg jest bardziej tolerancyjny od twojego.

- Tak, ty jesteś poganinem.

- To zależy. Żaden z nas nie spotkał się ze swoim bogiem twarzą w twarz. Kto wie, który z nas ma rację.

- Chrystus jest synem prawdziwego Boga.

Severus spojrział na Venatora z rozdrażnieniem.

- Naruszasz mój spokój. Powiedz, jaką masz sprawę, i wyjdź.

- Abyś mógł się dalej znęcać nad tym nieszczęsnym dzieckiem?

Severus nie odpowiedział. Wstał, chwycił dziewczynkę za ramię i cisnął na łóżko polowe.

- Chcesz się przyłączyć, Juniuszu? Może zaczniesz pierwszy?

Venator patrzył na centuriona. Przeszedł po nim zimny dreszcz. Rzymski centurion dowodzący oddziałem piechoty musi być twardy. Ten człowiek był jednak także okrutny i dziki.

- Nasza misja jest skończona - rzekł Venator. - Macer i jego niewolnicy zaraz zawałą

wejście do pieczary. Możemy zwijać obóz i wracać na statki.

- Jutro minie jedenasty miesiąc, odkąd wypłynęliśmy z Egiptu. Jeden dzień więcej na skorzystanie z tutejszych uciech nie sprawi nikomu różnicy.

- Naszym zadaniem nie była grabież. Barbarzyńcy będą chcieli pomsty. Jest nas niewiele, ich zaś mnóstwo.

- Ja i moi legionieści potrafimy stawić czoło każdej hordzie barbarzyńców.

- Twoi ludzie zniewieścili.

- Ale nie zapomnieli, jak się walczy - rzekł Severus z zarożumiałym uśmiechem.

- I zechcą oddać życie w obronie honoru Rzymu?

- Czemu mieliby oddawać życie? Czemu ktokolwiek z nas miałby ginąć? Lata chwały Imperium minęły. Nasze niegdyś świetne miasto nad Tybrem przemieniło się w skupisko ruder. W naszych żyłach płynie bardzo mało rzymskiej krwi. Większość moich ludzi pochodzi z prowincji. Ja sam jestem Hiszpanem, ty zaś Grekiem, Juniuszu. Czy ktoś w tych dniach chaosu odczuwa choćby odrobinę lojalności dla cesarza, który rządzi z miasta daleko na wschodzie, gdzie żaden z nas nigdy nie był? Nie, Juniuszu, ale mimo to moi żołnierze będą walczyli, bo taki jest ich zawód i za to im płacą.

- Może barbarzyńcy nie dadzą im innego wyboru.

- Kiedy przyjdzie na to czas, poradzimy sobie z tą hołotą.

- Lepiej uniknąć konfliktu. Odpływamy przed zmrokiem...

Słowa Venatora przerwał głośny łoskot, który wstrząsnął ziemią. Wybiegł z namiotu i spojrzał na ścianę urwiska. Niewolnicy wybili podpory spod stosu nagromadzonych skał i grmiąca lawina kamieni spłynęła na wejście do jaskini, grzebiąc je pod tonami wielkich odłamów skalnych. Ogromna chmura pyłu okryła gruzowisko. Kiedy łoskot ucichł, z ust niewolników i legionistów wyrwał się krzyk radości.

- Skończone - powiedział Venator z zadowoleniem. Twarz miał znużoną. - Mądrości wieków są bezpieczne.

Severus podszedł i stanął obok niego.

- Szkoda, że nie możemy powiedzieć tego samego o sobie.

Venator odwrócił się.

- Jeśli Bóg da nam spokojną podróż, czegóż mielibyśmy się obawiać?

- Tortur i egzekucji - odparł Severus. - Przeciwstawiliśmy się woli cesarza. Teodozjusz nie wybacza łatwo. Nie ma takiego miejsca w Imperium, gdzie moglibyśmy się schronić. Poszukajmy lepiej azylu w jakimś obcym państwie.

- A moja żona i córka...? Mieliśmy się spotkać w naszej willi w Antiochii.

- Cesarscy zapewne już je schwytali. Nie żyją lub są niewolnicami.

Venator pokręcił głową niedowierzająco.

- Mam potężnych przyjaciół, którzy ochronią je do mego powrotu.

- Przyjaciół można zastraszyć lub kupić.

Oczy Venatora rozszerzyły się w nagłym przypływie buntu.

- Dokonałiśmy wielkiej rzeczy. Żadna ofiara za to nie jest zbyt duża. Ale wszystko pójdzie na marne, jeśli nie wrócimy z naszym katalogiem i trasą podróży.

Severus już miał odpowiedzieć, gdy nagle zobaczył swego zastępcę, Artoriusza Noricusa, wbiegającego na niewielkie wzgórze, gdzie stał namiot. Ciemna twarz młodego legionisty lśniła od potu w południowym skwarze. Biegając wskazywał rząd niewielkich skałek.

Venator osłonił dłonią oczy przed blaskiem słonecznym i spojrzał ku górze. Zaciśnął usta.

- To barbarzyńcy, Severusie. Przyszli się zemścić za napad i porwanie kobiet.

Wzgórza nagle jakby pociemniały. Ponad tysiąc mężczyzn i kobiet patrzyło na napastników, którzy wtargnęli na ich ziemię. Barbarzyńcy byli uzbrojeni w haki, tarcze ze skóry i włócznie z obsydianowymi ostrzami. Niektórzy dzierżyli prymitywne maczugi - pałki z przymocowanymi do nich kamieniami. Prócz opasek wokół bioder nie mieli na sobie nic.

Stali w kamiennej ciszy, dzicy, o nieprzeniknionych twarzach.

- Druga grupa barbarzyńców odcięła nas od statków! - krzyknął Noricus.

Venator odwrócił się ze spopielałą twarzą.

- Oto rezultat twojej głupoty, Severusie. - Głos miał zduszony z gniewu. - Zabiłeś nas wszystkich. - Padł na kolana i zaczął się modlić.

- Twoje bóstwo nie zmieni barbarzyńców w owieczki, starcze - powiedział Severus z sarkazmem. - Jedynie miecz może nas wyzwolić. - Odwrócił się, chwycił Noricusa za ramię i zaczął wydawać rozkazy: - Każ, aby zatrąbiono do boju. Niech Latiniusz Macer uzbroi niewolników. Sformuj ludzi w zwarty kwadrat. Ruszemy w tym szyku ku rzece.

Noricus zasalutował i pobiegł do obozu.

Sześćdziesięciu legionistów szybko uformowało kwadrat. Syryjscy łucznicy zajęli miejsca po bokach, między uzbrojonymi niewolnikami, Rzymianie zaś stanęli z przodu i z tyłu. W środku kwadratu znalazł się Venator z grupką swych greckich i egipskich pomocników oraz trójką medyków.

Żołnierze, zbrojni w ostre obusieczne miecze oraz dwumetrowe włócznie, mieli na

głowach żelazne hełmy z osłonami na policzki, które związywali pod brodą rzemykami, pancerze wykonane z zachodzących na siebie metalowych łusek okrywających tors i ramiona, a także nagolenniki. Dla osłony używali owalnych tarcz wykonanych z obitego blachą drewna.

Barbarzyńcy nie atakowali, ale powoli ich otaczali. Początkowo próbowali wywabić żołnierzy ze zwartego szyku, podchodzili do nich grupkami, wykrzykiwali coś w swoim języku i robili groźne gesty. Lecz ich wrogowie nie wpadli w panikę i nie rzucili się do ucieczki.

Centurion Severus był zbyt zaprawiony w bojach, aby odczuwać lęk. Szedł na czele swych żołnierzy patrząc wyzywająco na tłum barbarzyńców.

Nie pierwszy to raz stawał przeciw przeważającym siłom. Zgłosił się do legionu, gdy miał szesnaście lat. Awansował z prostego żołnierza, wyróżniając się męstwem w bitwach przeciwko Gotom nad Dunajem i Frankom nad Renem. Później został żołnierzem zaciężnym, sprzedając swe usługi temu, kto więcej zapłacił. Teraz służył Juniuszowi Venatorowi.

Severus pokładał niezachwiane zaufanie w swoich legionistach. Słońce złociło ich hełmy i dobyte z pochew miecze. Byli to zahartowani w bojach, silni i odważni wojownicy, którzy znali jedynie zwycięstwa.

Większość żywego inwentarza, włącznie z jego koniem, zmarniała podczas uciążliwej podróży morskiej z Egiptu, toteż Severus szedł piechotą na czele swych żołnierzy coraz się odwracając, aby zorientować się w poczynaniach wroga.

Z wrzawą, która unosila się i opadała jak ryk fal przyboju, barbarzyńcy ruszyli w dół po spieczonej słońcem pochyłości i spadli na Rzymian. Pierwsza ich fala została zdziętkowana, przesyta długimi włóczniami żołnierzy i strzałami syryjskich łuczników. Druga uderzyła w niewielki zastęp legionistów i padła jak zboże pod sierpem. Lśniące miecze zmatowiały i spłynęły krwią barbarzyńców. Popędzani stekiem przekleństw i ulegając groźbie bata Latiniusza Macera, niewolnicy dzielnie stawili czoło napastnikom.

Rzymska formacja pełza wolno ku rzece, a barbarzyńcy napierali na nią ze wszystkich stron. Ale wyćwiczeni legioniści z łatwością odpierali ich ataki. Coraz więcej napastników padało bez życia. Ci, którzy szli za nimi, walczyli na trupach swoich towarzyszy, kaleczyli nogi o porzuconą broń, wystawiali nagie torsy na żelazne ostrza, które wbijały się w ich piersi i brzuchy, a potem padali, powiększając stopy trupów. Nie potrafili walczyć z Rzymianami w zwarciu.

Kiedy barbarzyńcy wreszcie pojęli, że nic nie wskórają przeciwko włóczniom i



mieczom obcych przybyszy, cofnęli się i przegrupowali. Zaczęli wypuszczać na wroga chmary strzał i prymitywnych dzid.

Rzymianie okryli się tarczami jak żółwie skorupami i nadal pełzli ku rzece i oczekującym na niej statkom. Teraz jedynie Syryjczycy mogli zadawać straty barbarzyńcom. Za mało było tarcz, by osłaniać nimi niewolników, toteż padali pod gradem pocisków, zwłaszcza że byli osłabieni po długiej, męczącej podróży i wyczerpującej pracy przy wykuwaniu jaskini. Gdy któryś padł, zostawiano go samemu sobie, a barbarzyńcy natychmiast dobijali go i obdzierali do naga.

Severus był zaprawiony w takim sposobie walki. Zapoznał się z nim w Brytanii. Widząc, że wróg jest lekkomyślny i nie wyszkolony, kazał żołnierzom zatrzymać się i rzucić broń na ziemię. Barbarzyńcy wzięli to za gest kapitulacji i przypuścili szturm. Wówczas Rzymianie chwycili miecze i ruszyli do kontrataku.

Stojąc pomiędzy dwiema skałami, centurion siekł mieczem na boki odmierzonymi ruchami, jak metronom. U jego stóp legło czterech barbarzyńców. Piątego rozłożył uderzając płazem miecza i podciął gardło następnemu, który zaatakował go z boku. Potem fala barbarzyńców cofnęła się.

Severus skorzystał z tej chwili wytchnienia, by ocenić straty. Z sześćdziesięciu legionistów dwunastu poległo. Czternastu odniosło rozmaite rany. Najbardziej ucierpieli niewolnicy. Ponad połowa ich zginęła.

Severus podszedł do Venatora, który przewiązywał sobie ranę na ramieniu kawałkiem oderwanej tuniki. Grecki mędrzec wciąż miał przy sobie swój cenny zwój ze spisem ksiąg.

- Żyjesz jeszcze, starcze?

Venator podniósł wzrok, w którym był lęk pomieszany z determinacją.

- Ty umrzesz przede mną, Severusie.

- To groźba czy proroctwo?

- Czy to ważne? Nikt z nas już nie ujrzy Imperium.

Severus nic nie odpowiedział. Walka nagle rozpoczęła się na nowo, barbarzyńcy znowu wypuścili chmarę dzid i kamieni, które zaciemniły niebo i zagrzechotały o tarcze. Wrócił szybko na swoje miejsce przed przeredzonym kwadratem.

Rzymianie walczyli zaciekle, lecz ich szeregi wciąż się zmniejszały. Zginęli prawie wszyscy syryjscy żołnierze. W miarę trwania ataku kwadrat się zacieśniał. Ci, którzy ocaleli, wśród nich wielu rannych, byli wyczerpani i cierpieli z upału i pragnienia. Przekładali miecze z jednej zmęczonej ręki do drugiej.

Barbarzyńcy też byli wyczerpani i ponosili ogromne straty, ale mimo to z uporem walczyli o każdą piędź opadającego ku rzece stoku. Wokół każdego martwego legionisty leżało po kilka ich trupów. Ciała legionistów były najeżone dziesiątkami strzał.

Ogromny nadzorca niewolników, Macer, dostał dzidą w kolano i udo. Nie zważyło go to z nóg, lecz nie mógł nadążyć za posuwającą się formacją. Został z tyłu i zaraz rzuciło się ku niemu ze dwudziestu barbarzyńców, otaczając go. Odwrócił się, zrobił mieczem młynka i przeciął na pół trzech, a wtedy reszta cofnęła się, pełna szacunku dla tak wielkiej siły. Krzyknął do nich i zachęcił gestem, aby się zbliżyli i podjęli walkę.

Barbarzyńcy jednak nie chcieli już walki wręcz. Stojąc z daleka, zaczęli rzucać w niego włóczniami. Z ran w ciele Macera trysnęła krew. Jeden z barbarzyńców podbiegł bliżej i wbił mu dzidę w krtań. Nadzorca osunął się powoli na ziemię. Wtedy, niby zgraja wściekłych wilczyc, rzuciły się na niego kobiety, obrzucając jego ciało kamieniami.

Już tylko wysokie urwisko z piaskowca dzieliło Rzymian od rzeki. Niebo nad nią zmieniło nagle barwę z błękitnej na pomarańczową. Buchnął w górę słup dymu, gęstego i czarnego, a wiatr przyniósł zapach płonącego drewna.

Venatora ogarnęło przerażenie, które szybko przeszło w rozpacz.

- Statki! - wykrzyknął. - Barbarzyńcy zaatakowali statki!

Niewolnicy wpadli w panikę i rzucili się ku rzece. Barbarzyńcy natarli na nich wściekle. Kilku niewolników rzuciło broń chcąc się poddać, ale zaraz zostali pozabijani. Reszta usiłowała stawić opór przy niewielkiej kępie drzew, lecz wycięto ich w pień.

Severus wraz z ocalałymi legionistami dotarł na skraj urwiska. Nagle stanęli jak wryci, niepomni na rozszalałą wokół rzeź. Patrzyli w osłupieniu na straszliwy pogrom w dole.

Słupy ognia buchały ze statków i wtapiały się w spiralę dymu, który wił się w górę wężowymi skrętami. Flota, ich jedyna nadzieja ucieczki, stała w płomieniach. Na ogromnych statkach do przewozu zboża, które zarekwirowali w Egipcie, szalał ogień.

Venator przepchał się do przodu i stanął obok Severusa. Centurion milczał. Na jego tunice i zbroi widniały plamy potu i krwi. Patrzył bezradnie na morze płomieni i dymu, na żagle rozpadające się w wirze iskier.

Zakotwiczone przy brzegu statki stały się bezbronnym łupem. Barbarzyńcy otoczyli niewielką grupę żeglarzy i podpalali wszystko, co się dało. Tylko jeden mały statek uniknął spalenia. Widocznie załozde udało się jakoś odpędzić napastników. Czterech ludzi z załogi usiłowało podnieść żagle, a ich towarzysze wiosłowali co sił, aby wydostać się na głębię.

Venator czuł w ustach smak sadzy i gorycz klęski. Stał czując bezradną wściekłość.

Utracił wiarę w celowość swojej misji - realizacji planu zabezpieczenia bezcennych zabytków dawnej wiedzy.

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń i odwróciwszy się ujrzał wyraz chłodnego rozbawienia na twarzy Severusa.

- Zawsze chciałem umrzeć spity dobrym winem, leżąc na dobrej babie - rzekł centurion.

- Jedynie Bóg może wybrać człowiekowi śmierć - odparł Venator.

- Sądzę, że jest to raczej sprawa szczęścia.

- Co za klęska, straszliwa klęska.

- Przynajmniej twój skarb został bezpiecznie ukryty - rzekł Severus. - A ci umykający żeglarze doniosą uczonym w Imperium, czego dokonaliśmy.

- Nie - powiedział Venator kręcąc głową. - Nikt nie da wiary opowieściom prostych żeglarzy. - Odwrócił się i spojrzał ku niewysokim wzgórzom w dole. - Dzieła te zostaną utracone po wsze czasy.

- Umiesz pływać? - spytał nagle centurion.

Venator spojrzał na Severusa.

- Pływać...?

- Dam ci pięciu moich najlepszych ludzi, aby utorowali ci drogę do rzeki, jeżeli sądzisz, że zdołasz dotrzeć do tamtego ocalałego statku.

- Nie... nie jestem pewien. - Venator spojrzał na rzekę i powiększającą się przestrzeń między statkiem a brzegiem.

- Użyj jakiejś deski jako tratwy - rzekł Severus. - Ale się śpiesz. Za kilka minut wszyscy spotkamy się ze swoimi bogami.

- A ty?

- To wzgórze jest równie dobre jak każde inne miejsce, by rozstać się z życiem.

Venator objął centuriona.

- Niech Bóg będzie z tobą.

- Lepiej, by towarzyszył tobie.

Severus szybko wybrał pięciu żołnierzy, którzy nie byli ranni, i kazał im osłaniać Venatora podczas biegu do rzeki. Potem zajął się przegrupowywaniem swego zdziętkowanego oddziału, przygotowując go do ostatecznej obrony.

Garstka legionistów otoczyła Venatora. Krzycząc i wyrabując sobie drogę poprzez luźne szyki zaskoczonych barbarzyńców, ruszyli biegiem ku rzece. Kłuli i rąbali mieczami jak szaleni.

Venator był już u kresu sił, lecz jego ręka trzymająca miecz nie zadrżała ani razu, krok ani razu się nie zachwiał. Uczony przemienił się w wojownika, człowieka niosącego śmierć. Dawno już przekroczył punkt, kiedy jeszcze mógłby się cofnąć. Pozostał w nim jedynie zacięty upór, lęk przed śmiercią znikł.

Walczyli w ognistym upale. Venator czuł woń palących się ciał. Przedzierając się przez dym, oderwał kawałek tuniki i przykrył nim nos i usta.

Legioniści padali, chroniąc Venatora do ostatniego tchu. Nagle uczony poczuł pod stopami wodę i skoczył do przodu. Gdy tylko woda sięgnęła mu wyżej kolan, dał w nią nurka. Dostrzegł belkę spadającą z płonącego statku i popłynął ku niej, nie oglądając się za siebie.

Żołnierze nad urwiskiem wciąż odrzucali wszystko, czym barbarzyńcy w nich miotali. Ci z kolei uchylali się i wykrzykiwali szyderstwa, szukając cały czas słabych miejsc rzymskiej obrony. Cztery razy formowali się w duże grupy i atakowali, i choć zostawiali odparci, za każdym razem udawało im się zabić kilku bardziej wyczerpanych legionistów. Kwadrat żołnierzy rzymskich przemienił się w niewielką gromadkę. Stosy trupów leżały nad urwiskiem, ale Rzymianie wciąż się bronili.

Bitwa trwała już niemal dwie godziny, lecz barbarzyńcy atakowali z tą samą zaciekłością co na początku. Czuli zwycięstwo i zgrupowali się do ostatniego ataku.

Severus odłamywał strzały, które utkwily w jego ciele, i walczył dalej. Wokół niego usłały ziemię trupy barbarzyńców. Pozostała przy nim tylko garstka legionistów. Jeden po drugim ginęli z mieczem w ręku, zasypywani gradem kamieni, strzał i oszczepów.

Severus padł ostatni. Nogi ugięły się pod nim i ręka już nie mogła unieść miecza. Zachwiał się, padł na kolana, próbował się podnieść, a potem spojrzał w niebo i wymamrotał cicho:

- Matko, Ojcze, weźcie mnie w swoje ramiona.

Jakby w odpowiedzi na to błaganie barbarzyńcy ruszyli naprzód i jęli go tłuc maczugami - aż śmierć przerwała jego mękę.

Zanurzony w wodzie Venator ścisnął kurczowo belkę i kopał nogami, starając się rozpaczliwie dopłynąć do statku. Był to daremny trud. Prąd rzeki i podmuch wiatru odepchnęły kupiecki statek jeszcze dalej.

Krzyknął do załogi i zaczął machać jak szalony wolną ręką. Na rufie stała grupka żeglarzy i dziewczynka z psem. Patrzyli na niego bez współczucia, nie robiąc nic, aby zawrócić statek. Wciąż płynęli w dół rzeki, jakby Venator nie istniał.

Zdał sobie sprawę, że go nie uratują. Uderzył pięścią w belkę i zaczął łkać

niepohamowanie, przekonany, że Bóg o nim zapomniał. W końcu skierował wzrok ku brzegowi. Patrzył na rzeź i spustoszenie.

Jego ekspedycja przestała istnieć, rozplynęła się w koszmarze.

## **CZEŚĆ I**

# **NEBULA LOT NR 106**

12 października 1995

Lotnisko Heathrow, Londyn

Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na pilota, który prześliznął się za plecami tłumu reporterów wypełniających wnętrze reprezentacyjnej poczekalni. Również żaden z pasażerów oczekujących przy wyjściu nr 14 nie zauważył, że pilot zamiast neseseru niósł dużą torbę podróżną. Szedł z opuszczoną głową, wpatrzony przed siebie, skrzętnie unikając kamer telewizyjnych wymierzonych w wysoką przystojną kobietę o gładkiej smagłej twarzy i ciemnych oczach.

Przeszedł szybko przez krytą rampę i zatrzymał się przed dwoma agentami służby ochrony lotniska w mundurach. W drzwiach samolotu stali agenci ubrani po cywilnemu. Machnął im niedbale dłonią i usiłował przecisnąć się między nimi, lecz został zatrzymany mocnym chwytem za ramię.

- Chwileczkę, kapitanie.

Pilot stanął z pytającym, ale przyjaznym wyrazem smagłej twarzy. Wydawał się lekko rozbawiony tym drobnym incydentem.

Jego oliwkowobrazowe oczy miały w sobie coś z cygańskiej nostalgiczności. Na nosie były ślady złamań, a z lewej strony, tuż pod szczęką, biegła długa blizna. Krótko ostrzyżone siwe włosy pod czapką z daszkiem i porysowana zmarszczkami twarz wskazywały, że zbliżał się do sześćdziesiątki. Miał około 180 cm wzrostu, lekko zaokrąglony brzuch, i był mocno zbudowany. Pewny siebie, prosty jak trzcina, w szytym na miarę mundurze, wyglądał jak tysiące innych pilotów kierujących odrzutowcami międzynarodowych linii lotniczych.

Wyjął z kieszeni na piersi legitymację i podał ją agentowi.

- Czyżbyśmy mieli na pokładzie jakąś ważną osobistość?

Grzeczny, elegancko ubrany agent brytyjski skinął głową.

- Grupę ludzi z ONZ powracających do Nowego Jorku... razem z nowym sekretarzem generalnym.

- Panią Halą Kamil?

- Tak.

- Nie wiem, czy to odpowiednie stanowisko dla kobiety.

- Pani premier Thatcher płęć nie przeszkodziła w karierze politycznej.

- Bo nie zetknęła się jeszcze z prawdziwymi trudnościami.

- Pani Kamil jest wspaniałą kobietą. Da sobie radę.

- Pod warunkiem, że egipscy fanatycy muzułmańscy nie spróbują jej zgładzić -

odparł pilot z wyraźnie amerykańskim akcentem.

Brytyjczyk spojrział na niego jakoś dziwnie, ale nie rzekł nic, porównując twarz pilota ze zdjęciem w legitymacji. Przeczytał głośno nazwisko:

- Kapitan Dale Lemke, tak?

- Jakież problemy? - zapytał pilot.

- Właśnie staramy się im zapobiec - odparł agent.

Lemke uniósł ramiona.

- Chcecie mnie przeszukać?

- Nie ma potrzeby. Piloci nie porywają własnych samolotów. Musimy jednak sprawdzić pana tożsamość, aby się upewnić, że jest pan prawdziwym członkiem załogi.

- Nie ubrałem się w ten mundur na bal przebierańców.

- Możemy zajrzeć do pańskiej torby podróźnej?

- Proszę bardzo. - Lemke postawił swoją granatową plastikową torbę na podłodze i otworzył zamek. Drugi z agentów wyjął i przekartkował należące do standardowego wyposażenia pilota podręczniki, potem wyciągnął jakiś przyrząd mechaniczny z hydraulicznym cylindrem.

- Co to jest? - zapytał.

- Dźwignia zaworu chłodzenia oleju. Nawaliła, więc nasi ludzie z Lotniska Kennedy'ego kazali mi ją przywieźć do zbadania.

Agent namacał duży, ciasno zwinięty tobolek na dnie torby.

- A to co takiego? - Spojrział zdziwiony na Lemkego. - Odkąd to piloci linii pasażerskich latają ze spadochronami?

Lemke zaśmiał się.

- Skoki ze spadochronem to moje hobby. Ilekroć mój pobyt tutaj się przedłuży, skaczę z przyjaciółmi w Croydon.

- Nie zamierza pan chyba skakać z pasażerskiego odrzutowca?

- W dodatku lecącego z prędkością pięciuset węzłów na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp nad Oceanem Atlantyckim? Chyba żartujecie, panowie.

Agenci wymienili uspokajające spojrzenia. Torba podróźna została zamknięta, legitymacja zwrócona.

- Przepraszamy za ten kłopot, kapitanie Lemke.

- Miło było porozmawiać.

- Szczęśliwej podróży do Nowego Jorku.

- Dziękuję.

Lemke wszedł do samolotu i skierował się do kabiny pilotów. Zamknął za sobą drzwi na klucz i zgasił światło, żeby jakiś przypadkowy widz nie zobaczył jego poczynąń. Zgodnie z wcześniej opracowanym planem ukląkł za fotelami pilotów, wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i podniósł klapę drzwiczek prowadzących do znajdującej się pod kokpitem komory elektronicznej, nazwanej przez jakiegoś dawno zapomnianego żartownisia „piekiełkiem”. Spuścił drabinkę w czerń panującej w komorze ciemności.

Ściągnął za sobą torbę podróżną i zapalił latarkę ołówkową. Rzut oka na tarczę zegarka powiedział mu, że ma pięć minut do czasu przybycia załogi. Wyćwiczonym kilkadziesiąt razy ruchem wyjął z torby dźwignię hydrauliczną i podłączył do niej miniaturowe urządzenie zegarowe, które miał ukryte w czapce. Następnie umocował dźwignię do zawiasów drzwiczek prowadzących na zewnątrz. Były to drzwiczki dla mechaników z obsługi naziemnej, zajmujących się konserwacją urządzeń. Potem wyjął spadochron.

Kiedy do kokpitu wszedł pierwszy i drugi oficer, Lemke siedział w fotelu pilota ze wzrokiem utkwionym w papierach. Wymienili zdawkowe słowa powitania i zajęli się rutynowymi przygotowaniem do startu. Ani drugi pilot, ani główny mechanik nie zwrócili uwagi, że Lemke był tego dnia jakiś niezwykle milczący i zamknięty.

Być może spostrzegliby to, gdyby wiedzieli, że czeka ich właśnie ostatnia noc na tej ziemi.

W zatłoczonej poczekalni Hala Kamil stała przed mnóstwem mikrofonów i rażących lamp kamer telewizyjnych i cierpliwie odpierała zmasowany ogień pytań miotanych przez tłum wścibskich reporterów.

Tylko nieliczni pytali o jej podróż po Europie i spotkania z głowami państw. Większość starała się dowiedzieć czegoś o groźbie obalenia egipskiego rządu przez muzułmańskich fundamentalistów.

Nie znała rozmiarów zamieszek w swoim kraju, wiedziała tylko, że fanatyczni mułlowie pod wodzą Achmada Yazida, znawcy prawa islamskiego, rozniecili religijny pożar, który objął miliony ubogich wieśniaków nad Nilem oraz nędzarzy ze slumsów Kairu. Wyżsi oficerowie wojsk lądowych i sił powietrznych konspirowali otwarcie z radykałami islamskimi w celu obalenia nowo powołanego prezydenta, Nadava Hasana. Sytuacja była bardzo niestabilna, lecz Hala nie otrzymała od rządu egipskiego najnowszych wiadomości, toteż jej odpowiedzi musiały brzmieć dwuznacznie i wymijająco.

Wydawała się bardzo zrównoważona, odpowiadała beznamiętnie i spokojnie. Jednakże w jej duszy panował zamęt.



Wyglądała jak żywy model popiersia królowej Nefretete z berlińskiego muzeum. Tak jak i ona długoszyja, o delikatnych rysach i wyrazie nawiedzenia w spojrzeniu, miała czterdzieści dwa lata, była szczupła, ciemnooka, o smagłej nieskazitelnej cerze i długich, czarnych jak smoła jedwabistych włosach opadających na ramiona.

Miała wielu wielbicieli, ale nie wyszła za mąż. Nie tęskniła do małżeństwa i dzieci. Nie chciała tracić czasu na długotrwałe związki, zaś akty miłosne zawierały w jej odczuciu niewiele więcej ekstazy niż oglądanie baletu.

W czasie dzieciństwa przebytego w Kairze, gdzie jej matka była nauczycielką, a ojciec filmowcem, spędzała każdą chwilę szkicując i kopiując w starożytnych ruinach oddalonych parę kilometrów od domu. Była doskonałą kucharką i uzdolnioną malarką, a jako doktor archeologii Egiptu zdobyła jedno z najwyższych stanowisk dostępnych dla kobiet muzułmańskich - pracownika naukowego Ministerstwa Kultury.

Z niesamowitą energią zaczęła wówczas walczyć z dyskryminacją kobiet w swoim kraju i zdobyła stanowisko dyrektora Departamentu Starożytności, a następnie dyrektora Departamentu Informacji. Zwróciła na siebie uwagę prezydenta Mubaraka, który poprosił ją o objęcie przewodnictwa egipskiej delegacji przy Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. W pięć lat później, gdy Javier Perez de Cuellar w samym środku swojej drugiej kadencji ustąpił ze stanowiska na skutek politycznych perturbacji będących wynikiem wystąpienia z ONZ pięciu krajów muzułmańskich, Hala Kamil została wiceprzewodniczącą. Ponieważ zaś żaden z mężczyzn stojących wyżej od niej w hierarchii organizacji nie chciał objąć tego urzędu, mianowano ją sekretarzem generalnym w nadziei, że być może zdoła scementować coraz bardziej pękające fundamenty ONZ.

Obecnie, gdy jej własny rząd stał przed groźbą dezintegracji, zanosilo się na to, że będzie pierwszym sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych bez własnej ojczyzny.

Ktoś z otoczenia Hali szepnął jej coś do ucha. Kiwnęła głową i podniosła rękę.

- Poinformowano mnie, że mój samolot jest już gotów do startu - powiedziała. - Odpowiem jeszcze tylko na jedno pytanie.

Wyrósł las uniesionych rąk i padło kilkanaście pytań jednocześnie. Hala wskazała mężczyznę z magnetofonem stojącego przy drzwiach.

- Jestem Leigh Hunt z BBC. Czy jeśli Achmad Yazid obali rząd prezydenta Hasana i utworzy republikę islamską, powróci pani do Egiptu?

- Jestem muzułmanką i Egipcjanką. Jeśli przywódcy mego kraju, niezależnie od tego, kto będzie u steru, zapragną, abym wróciła, wrócę.

- Mimo że Achmad Yazid nazwał panią heretyczką i zdrajczynią?

- Tak - odparła spokojnie Hala Kamil.

- Ale jeśli on jest choć w połowie takim fanatykiem jak ajatollah Chomeini, byłoby to jak pójście na egzekucję. Może pani to skomentować?

Kamil pokręciła przecząco głową, uśmiechnęła się z wdziękiem i powiedziała:

- Muszę już iść. Dziękuję bardzo.

Grupa pracowników ochrony przeprowadziła ją przez tłum ku wejściu do samolotu. Towarzyszące jej osoby oraz duża delegacja UNESCO już zajęli swoje miejsca. Czterech członków Banku Światowego piło szampana i rozprawiało cicho przy bufecie. Główna kabina załatywała paliwem lotniczym i wołowiną a la Wellington.

Hala Kamil zapięła pas i rzuciła okiem za okno. Na zewnątrz była lekka mgła i błękitne lampy na pasach startowych rzucały rozmazany, ginący w dali blask. Zdjęła pantofle, zamknęła oczy i postanowiła zdrzemnąć się do czasu, aż stewardesa przyniesie koktajle.

Odczekawszy na swoją kolej, samolot czarterowy 106 Organizacji Narodów Zjednoczonych wjechał wreszcie na pas startowy. Gdy z wieży kontrolnej nadeszło zezwolenie na start, Lemke pchnął dźwignie ciągu i boeing 720-B potoczył się po mokrym betonie, a potem wzniósł w powietrze.

Kiedy samolot osiągnął wysokość podrózną 10 500 metrów, Lemke włączył automatycznego pilota, rozpiął pasy i wstał z fotela.

- Natura upomina się o swoje prawa - rzekł kierując się ku drzwiom kabiny. Drugi oficer i zarazem mechanik, piegowaty mężczyzna o płowych włosach, uśmiechnął się nie odrywając wzroku od tablicy z przyrządami.

Lemke wszedł do kabiny pasażerskiej. Personel obsługi przygotowywał posiłek. Zapach pieczeni wołowej był teraz jeszcze bardziej intensywny. Lemke skinął na stewarda.

- Podać panu coś, kapitanie?

- Tylko filiżankę kawy - odparł Lemke. - Niech pan się nie kłopotuje, sam sobie poradzę.

- Co to za kłopot. - Steward wszedł do kuchni i napełnił filiżankę.

- Jest jeszcze coś...

- Słucham?

- Spółka prosiła nas, abyśmy wzięli udział w sponsorowanych przez rząd badaniach meteorologicznych. Kiedy znajdziemy się w odległości dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów od Londynu, zejdę na jakieś dziesięć minut na wysokość tysiąca pięciuset metrów, żeby

dokonać pomiarów prędkości wiatru i temperatury. Potem wrócimy na normalny pułap.

- Aż trudno uwierzyć, że spółka się na to zgodziła. Chciałbym mieć tyle na swoim koncie w banku, ile to będzie kosztowało w zużyciu paliwa.

- Szefowie nie omieszkają przesłać rachunku do Waszyngtonu.

- Poinformuję pasażerów o tym manewrze, żeby się nie niepokoiili.

- Niech im pan też powie, że jeśli zobaczą przez okna jakieś światła, będą to pewnie światła floty rybackiej.

- Zrobię to.

Lemke omiół wzrokiem główną kabinę, zatrzymując przez chwilę spojrzenie na śpiącej Hali Kamil.

- Nie uderzyła pana niezwykła czujność ludzi z bezpieczeństwa lotniska? - zapytał od niechcienia.

- Jeden z reporterów powiedział mi, że Scotland Yard zwietrzył jakiś spisek na życie pani sekretarz.

- Zachowują się, jakby za każdym krzakiem widzieli terrorystę. Musiałem im pokazać legitymację i przeszukali mi torbę.

Steward wzruszył ramionami.

- Cóż, to dla naszego własnego bezpieczeństwa... i bezpieczeństwa naszych pasażerów.

- Przynajmniej żaden z nich - Lemke wskazał ręką kabinę - nie wygląda na porywacza.

- Chyba że ubrał się w garnitur z kamizelką.

- Na wszelki wypadek zarygluję drzwi do kokpitu. Gdyby zaszło coś naprawdę ważnego, proszę porozumieć się ze mną przez interkom.

- Dobrze.

Lemke wypił kawę, odstawił filiżankę i wrócił do kokpitu. Pierwszy oficer, i zarazem drugi pilot, patrzył na światła Walii. Drugi oficer, mechanik, siedział za nim zajęty obliczaniem zużycia paliwa.

Lemke odwrócił się do nich plecami i wyjął z kieszeni na piersi płaskie pudełeczko. Otworzył je i przygotował strzykawkę zawierającą sarin, środek trujący o natychmiastowym działaniu. Odwrócił się, udał, że stracił równowagę, i chwycił za ramię drugiego oficera.

- Przepraszam, Frank, potknąłem się na dywanie.

Frank Hartley miał krzaczaste wąsy, rzadkie siwe włosy i przystojną pociągłą twarz. Nawet nie poczuł, jak igła wbija się w jego ramię. Podniósł wzrok znad zegarów i lampek

kontrolnych i roześmiał się.

- Chyba będziesz musiał odstawić alkohol, Dale.

- Na razie latam prosto - odparł Lemke. - Tylko chodzenie sprawia mi kłopot.

Hartley otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle jego twarz straciła wyraz. Potrząsnął głową, przewrócił oczami i zwisał bezwładnie.

Podparłszy go biodrem, aby nie zwałił się na bok, Lemke wyciągnął igłę i wyjął z pudełka drugą strzykawkę.

- Frankowi coś się stało.

Jerry Oswald obrócił się w swoim fotelu drugiego pilota. Był to ogromny mężczyzna o suchej, ściągniętej twarzy poszukiwacza nafty na pustyni. Spojrzał pytająco na kolegę.

- Co mu jest?

- Lepiej chodź i sam zobacz.

Oswald precyzyjnie się koło fotela i schylił nad Hartleyem. Lemke wbił igłę w jego tors i opróżnił strzykawkę, lecz Oswald poczuł ukłucie.

- Co do diabła? - zaklął okręcając się i patrząc w zdumieniu na strzykawkę w ręku Lemkego. Był dużo masywniejszy od Hartleya, toteż trucizna nie od razu podziałała. Oczy mu się rozszerzyły w nagłym zrozumieniu i skoczył chwytając Lemkego za gardło.

- Ty nie jesteś Dale Lemke - warknął. - Czemu przebrałeś się za niego?

Mężczyzna udający Lemkego nie mógłby mu odpowiedzieć, choćby nawet chciał. Potężne dłonie ścisnęły mu krtań. Przyciśnięty wielkim cielskiem Oswalda do ścianki, próbował coś skłamać, lecz nie mógł wydusić ani słowa. Wbił kolano między nogi tamtego. Jediną reakcją było stęknienie. Lemkemu zaczynało już się robić ciemno przed oczyma.

Potem uścisk powoli osłabł i Oswald okręcił się w tył. Zdawał sobie sprawę, że umiera, w jego oczach było przerażenie. Spojrzał na Lemkego z nienawiścią. Konając zamachnął się jeszcze i wyrzwał swego zabójcę pięścią w brzuch.

Lemke upadł na kolana. W głowie mu wirowało, nie mógł złapać tchu. Widział jak przez mgłę, że Oswald pada na fotel i osuwa się na podłogę. Usiadł, by chwilę odpocząć, i łapiąc spazmatycznie powietrze rozmasowywał żołądek.

Potem wstał ociężale i zaczął nasłuchiwać głosów zza drzwi. W głównej kabinie było spokojnie. Najwidoczniej nikt z pasażerów ani załogi nie usłyszał żadnych niezwykłych odgłosów.

Zanim udało mu się wwindować Oswalda na fotel drugiego pilota i zapiąć jego pasy, cały oblał się potem. Hartley był zapięty, więc go nie ruszał. Usiadł na swoim fotelu pilota i zaczął obliczać położenie samolotu.

Czterdzieści pięć minut później skręcił z planowanego kursu do Nowego Jorku ku zamrożonemu Morzu Arktycznemu.

Było to jedno z najbardziej jałowych miejsc na ziemi, nigdy nie odwiedzane przez turystów. W ostatnim stuleciu zaledwie garstka badaczy i uczonych ośmieliła się postawić na nim nogę. Przy skalistych brzegach morze rozmarzało tylko na kilka tygodni w roku, a już wczesną jesienią temperatura sięgała minus 58°C. Nawet latem gwałtowne burze śnieżne potrafiły wyprzeć oślepiający blask słoneczny w niespełną godzinę.

Mimo to zacienione skutymi lodową powłoką górami i omiatane nieustannymi wiatrami pustkowie w głębi fiordu Ardencaple na północno-wschodnim wybrzeżu Grenlandii było przed kilkunastoma wiekami zamieszkane przez grupę myśliwych. Zbadanie znalezionych szczątków metodą C14 wykazało, że teren był zamieszkały od A.D. 200 do A.D. 400, co jest stosunkowo krótkim okresem według archeologicznego zegara. Mieszkańcy tego terenu pozostawili po sobie dwadzieścia domostw, świetnie zachowanych w tym zimnym klimacie.

Uczni z Uniwersytetu Kolorado przewieźli helikopterami i ustawili nad starożytną osadą aluminiową konstrukcję z elementów prefabrykowanych. Potężne urządzenie nagrzewcze oraz warstwa izolacyjna z włókna szklanego wiodły nieskuteczny bój z chłodem, ale przynajmniej chroniły od nieustającego wiatru, który wył na zewnątrz. Konstrukcja ta umożliwiała archeologom pracę aż do początku zimy.

Lily Sharp, pracownik naukowy Wydziału Antropologii Uniwersytetu Kolorado, nie czuła chłodu, który wdzierał się wszelkimi szparami do osłoniętej osady. Klęcząc na podłodze jednorodzinnego domostwa, ostrożnie zdejmowała łopatką warstewkę zamrożonej ziemi. Była sama - i głęboko zatopiona w myślach nad jakże odległą przeszłością należącą do prehistorycznych ludzi.

Byli oni łowcami ssaków morskich i spędzali ostre arktyczne zimy w domostwach częściowo wykopanych w ziemi, o niskich ściankach z kamienia i dachach z darni, często wspartych na wielorybich kościach. Grzali się przy lampkach tranowych, a w czasie długich miesięcy arktycznej zimy zajmowali się rzeźbieniem w drewnie wyłowionym z morza, w kłach morsów i rogu.

Osiedli w tej części Grenlandii w pierwszym lub drugim wieku po Chrystusie. Potem z nie wyjaśnionych przyczyn, u szczytu rozwoju swej kultury, nagle zniknęli pozostawiając wiele artefaktów.

Wytrwałość opłacała się Lily. Kiedy jej trzej koledzy odpoczywali po obiedzie na kwaterze, wróciła do starożytnej osady i kopała dalej. Praca ta przyniosła owoce w postaci kawałka rogu karibu z płaskorzeźbą przedstawiającą dwadzieścia niedźwiedziopodobnych

zwierząt, kunsztownie wyrzeźbionego grzebienia damskiego i kamiennego garnka.

Nagle łopatką zgrzytnęła o coś. Lily znów wbiła ją w ziemię, pilnie nasłuchując. Nie był to znajomy dźwięk uderzenia o kamień. Odgłos, chociaż głuchy, miał zdecydowanie metaliczny podźwięk.

Wyprostowała się. Spod ciepłej wełnianej czapki wymknęły się długie, grube pasma ciemnorudych włosów, lśniąc w blasku colemanowskiej lampy. W zielononiebieskich oczach odmalowało się zaciekawienie, gdy w czarnej jak węgiel ziemi ujrzała małą plamkę. To był bez wątpienia jakiś metal.

Mieszkańcy osady byli ludźmi prehistorycznymi, myślała. Nie znali żelaza ani brązu.

Próbowała zachować spokój, ale z wolna opanowało ją podniecenie. Zaniechała ostrożności, która powinna być najważniejszą cechą archeologa. Zaczęła gorączkowo skrobać łopatką zamazniętą ziemię. Co kilka chwil odmiatała pędzlem zeszkrobany piach.

Wreszcie artefakt został całkowicie odsłonięty. Schyliła się, aby mu się bliżej przyjrzeć. Patrzyła z nabożną czcią, jak połyskuje żółto w jasnym blasku lampy.

Znalazła złotą monetę.

Bardzo starą, sądząc po wytartych brzegach. Na brzeżku monety była dziurka z przewleczonym przez nią kawałkiem zbutwiałego rzemyka. Sugerowało to, że kiedyś noszono tę monetę jako ozdobę lub amulet.

Lily usiadła i zaczerpnęła głęboko powietrza w płuca, niemal bojąc się dotknąć znaleziska.

W pięć minut później nadal klęczała pochylona, próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie zagadki, gdy nagle drzwi się otworzyły i z panującego na zewnątrz chłodu wszedł w chmurze śniegu tęgi mężczyzna z czarną brodą. Z jego ust wydostawały się obłoczki pary. W brwiach i brodzie miał kryształki lodu, co nadawało mu wygląd jakiegoś groteskowego potwora z filmu science fiction. Wrażenie to jednak ustąpiło, kiedy na jego twarzy ukazał się szeroki uśmiech.

Był to doktor Hiram Gronquist, szef czteroosobowej ekipy archeologów.

- Przepraszam cię, Lily - rzekł miękkiem głębokim głosem - ale za bardzo się przepracowujesz. Odpocznij. Chodź się ogrzać i daj się poczęstować porządnym kieliszkiem koniaku.

- Hiram - powiedziała Lily, starając się ze wszystkich sił ukryć podniecenie - chcę ci coś pokazać.

Gronquist podszedł i ukląkł obok niej.

- Co znalazłaś?

- Sam zobacz.

Poszukał w wewnętrznej kieszeni kurtki okularów do czytania i osadził je na swym czerwonym nosie. Przysunął twarz do monety i zaczął ją oglądać ze wszystkich stron. Po kilku chwilach spojrzał na Lily z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Chcesz mnie zrobić w konia, moja damo?

Lily spojrzała na niego gniewnie, ale po chwili rozluźniła się i zaśmiała.

- Dobry Boże, myślisz, że ją podrzuciłam?

- Sama przyznaj, że to jak znalezienie dziewicy w burdelu.

- Urocze.

Klepnął ją przyjaźnie po kolanie.

- Gratuluję, to rzadkie odkrycie.

- Skąd ona się tu wzięła?

- Na tysiąc mil wokół nie ma tu złóż złota i z całą pewnością nie wybili tej monety tutejsi mieszkańcy. Ich poziom rozwoju sięga niewiele ponad epokę kamienną. Moneta na pewno pochodzi z innego źródła i z późniejszych czasów.

- Jak więc wytłumaczyć fakt, że znalazła się wśród artefaktów z drugiego czy trzeciego wieku naszej ery?

Gronquist wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- A jak sądzisz?

- Może jakiś wiking wymienił ją na coś lub zgubił.

- Nie mamy żadnych zapisów świadczących o tym, że wikingowie dotarli aż tak daleko na północ wschodniego wybrzeża - powiedziała Lily.

- Okay, może więc w bliższych nam czasach zatrzymywali się tutaj podczas swych wypraw łowieckich Eskimosi, którzy handlowali z osiedlami normańskimi na południu.

- Zastanów się, Hiram. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, że osada była zamieszkała po czterechsetnym roku.

Gronquist spojrzał na Lily karcąco.

- Ty się nigdy nie poddajesz. Nie wiemy nawet, z jakich czasów pochodzi ta moneta.

- Mike Graham jest ekspertem od starych monet. A jedną z jego specjalności jest datowanie stanowisk archeologicznych wokół Morza Śródziemnego.

- Wobec tego niech nam zrobi ekspertyzę - przystał Gronquist. - Chodź. Mike zbada monetę, a my napijemy się koniaku.

Lily włożyła grube futrzane rękawice, naciągnęła kaptur kurtki na głowę i zgasła



lampę. Gronquist zapalił latarkę i otworzył drzwi, puszczając Lily przodem. Wyszła w paralizujący ziąb i wiatr, który był potępieńczo. Mroźne powietrze zaatakowało jej odsłonięte policzki i przejęło dreszczem.

Chwyciła linę prowadzącą do pomieszczeń mieszkalnych i pobrnęła w śniegu, osłaniana potężnym ciałem Gronquista. Rzuciła okiem w górę. Niebo było bezchmurne, a gwiazdy tworzyły wraz z nim ogromny diamentowy kobierzec oświetlający nagie góry na zachodzie i tafłę lodu rozpostartą wzdłuż fiordu aż do morza na wschodzie. Piękno Arktyki wręcz zniewala, myślała Lily. Rozumiała, czemu ludzie tak bez reszty poddają się jej urokowi.

Przeszedłszy poprzez mrok około trzydziestu metrów, weszli do trzymetrowego korytarza burzowego. U jego końca otworzyli drzwi do wnętrza chaty. Lily, po straszliwym zimnie panującym na zewnątrz, przypominało ono wnętrze pieca. Zapach kawy polechtał jej nozdrza jak najpiękniejsze wonności, toteż natychmiast zrzuciła wierzchnie okrycie i naląła sobie kubek.

Sam Hoskins, z sięgającymi ramion blond włosami i sumiastymi wąsiskami, siedział schylony nad rysownicą. Był nowojorskim architektem rozmiłowanym w archeologii. Poświęcał dwa miesiące w roku na pracę przy wykopaliskach na całej kuli ziemskiej. Służył archeologom bezcenną pomocą, wykonując dla nich szczegółowe rysunki osad sprzed kilkunastu wieków.

Czwarty członek ekipy, mężczyzna o jasnej cerze i rzadkich jasnych włosach, leżał na koi czytając jakąś powieść. Lily nie pamiętała Mike'a Grahama bez powieści przygodowej w ręku lub w kieszeni marynarki.

- Hej, Mike - zagrzmiął Gronquist. - Zobacz, co Lily wykopała.

Cisnął mu monetę przez pokój. Lily aż wstrzymała oddech, lecz Graham zręcznie schwycił pieniążek w powietrzu i zaczął mu się przyglądać.

Po chwili podniósł wzrok. Miał zmrużone powątpiewająco oczy.

- Robicie mnie w konia.

Gronquist zaśmiał się.

- Powiedziałem dokładnie to samo, kiedy ją zobaczyłem. Lily wykopała tę monetę na ósmym stanowisku.

Graham wyciągnął walizeczkę spod łóżka i wyjął z niej szkła powiększające. Obejrzał monetę ze wszystkich stron.

- No i co, jaki werdykt? - spytała zniecierpliwiona Lily.

- Niewiarygodne - mruknął urzeczony Graham. - Złota Miliarensja. Około trzynastu i

pół grama. Nigdy dotąd takiej nie widziałem. Są bardzo rzadkie. Kolekcjoner pewnie dałby za nią od sześciu do ośmiu tysięcy.

- Kto jest na niej przedstawiony?

- Teodozjusz Wielki, cesarz imperium rzymskiego i bizantyjskiego. To pospolity motyw na awersach monet z tego okresu. Jeśli przyjrzyście się bliżej, zobaczycie jeńców u jego stóp, a w dłoniach kulę i labarum.

- Labarum?

- Tak, to sztandar z greckimi literami XP, rodzaj monogramu oznaczającego „W imię Chrystusa”. Po nawróceniu na chrystianizm cesarz Konstantyn przyjął go za swoje godło, przekazywane odtąd następcom.

- Potrafisz odczytać napis na rewersie? - spytał Gronquist.

Za szkłem ukazało się monstrualnie powiększone oko Grahama badającego monetę.

- Są trzy słowa. Pierwsze to chyba TRIUMPHATOR. Nie mogę odczytać pozostałych. Prawie zupełnie zatarte. Katalog numizmatyczny powinien zawierać dokładny opis tej monety. Musimy wrócić do cywilizacji, aby to sprawdzić.

- Możesz określić datę jej wybicia?

Graham patrzył w sufit w zamyśleniu.

- Musiała być wybita za panowania Teodozjusza, które przypada, o ile pamiętam, na lata trzysta siedemdziesiąt dziewięć - trzysta dziewięćdziesiąt pięć.

Lily spojrzała na Gronquista.

- Pasuje jak ulał.

Gronquist pokręcił głową.

- To absurd. Żadne przekazy nie sugerują, że Eskimosi mieli w czwartym wieku kontakty z imperium rzymskim.

- Ale nie można też wykluczyć przypadku - upierała, się przy swoim Lily.

- Jeśli to się rozejdzie, zrobi się wokół tego okropny hałas - rzekł Hoskins oglądając monetę.

Gronquist przełknął trochę koniaku.

- Zdarzało się już, że starożytne monety pojawiały się w różnych dziwnych miejscach. Jednakże data i źródło ich pochodzenia zawsze były bardzo trudne do udowodnienia...

- Być może - rzekł Graham. - Ale oddałbym swego sportowego mercedesa, by się dowiedzieć, skąd ta się tutaj wzięła.

Wszyscy patrzyli w milczeniu na znalezisko Lily, pochłonięci własnymi

przypuszczeniami na ten temat.

Tuż przed północą mężczyzna podający się za Lemkego rozpoczął przygotowania do opuszczenia samolotu. Powietrze było przejrzyste i nad poziomą czarną linią morza na horyzoncie zjawiała się mglista smużka - Islandia.

Mężczyzna nie zważał na leżące obok trupy. Śmierć była nierozzerwalnie związana z jego zawodem. Obojętnie patrzył na martwe ciała, tak jak spogląda na nie patolog lub rzeźnik. Liczba zabitych była dla niego jedynie wynikiem matematycznych podsumowań. Zarabiał bardzo dobrze. Był najemnikiem i zarazem fanatykiem religijnym, który zabija dla sprawy. Nie lubił jednak, gdy nazywano go zabójcą lub terrorystą. Nie cierpiał tych określeń. Miały posmak polityczny, on zaś żywił ogromną niechęć do polityków.

Był człowiekiem o tysiącu twarzy, perfekcjonistą, który nie zniża się do przypadkowej strzelaniny w tłumie albo podkładania bomb w samochodach - uważał podobne metody za godne młodocianych półgłówków. Jego własne były dużo subtelniejsze. Nie pozostawiał niczego przypadkowi. Międzynarodowe służby śledcze z trudem odróżniały wiele jego akcji od zwykłych nieszczęśliwych wypadków.

Pozbawienie życia Hali Kamil było czymś więcej niż wyznaczonym zadaniem. Uważał je za swój obowiązek. Udoskonalał swój plan przez pięć miesięcy, a potem czekał cierpliwie na dogodny moment.

Szkoda tylko, myślał, że Hala Kamil to taka piękna kobieta. Ale stanowiła groźbę, którą należało usunąć.

Przymknął lekko przepustnicę i pchnął wolant w przód, aby samolot zaczął łagodnie opadać. Tylko inny pilot mógłby zauważyć to zmniejszenie szybkości i obniżenie lotu.

Załoga w głównej kabinie nie niepokoila go. Pasażerowie zapewne już drzemali.

Po raz dwudziesty sprawdził kurs i przebiegł wzrokiem liczby na pokładowym komputerze, który przeprogramował, aby wskazywał czas i odległość od miejsca planowanego skoku ze spadochronem.

W piętnaście minut później odrzutowiec minął nie zamieszkały południowy brzeg Islandii i leciał dalej w głąb lądu. Krajobraz w dole przedstawiał mozaikę szarych skał i białego śniegu.

Człowiek prowadzący samolot zwolnił klapy i zredukował prędkość boeinga do 320 kilometrów na godzinę. Włączył autopilota na nową częstotliwość fal radiowych, wysyłanych z radiolatarni umieszczonej na Hofsjokull, lodowcu wznoszącym się na wysokość 1737 metrów na środku wyspy. Potem ustawił wysokość lotu tak, aby odrzutowiec uderzył w lodowiec 150 metrów poniżej wierzchołka. Następnie metodycznie

porozbijał wskaźniki komunikacyjne i kierunkowe. Zaczął też spuszczać paliwo - na wypadek, gdyby ewentualna pomyłka w obliczeniach zniweczyła jego starannie obmyślany plan.

Zostało mu osiem minut.

Otworzył klapę w podłodze i wszedł do piekielka. Na nogach miał parę francuskich butów spadochroniarskich z grubymi elastycznymi podeszwami. Wyjął z torby podróźnej kombinezon i szybko go nałożył. W torbie nie było miejsca na kask - miał więc w niej tylko kominiarkę i trykotową czapkę. Wciągnął je na głowę. Miał jeszcze parę rękawic, gogle i wysokościomierz, który przypiął sobie do ręki.

Zapiął pasy spadochronu i sprawdził, czy dobrze przylegają. Był to spadochron plecakowy, z zapasową czaszą nad barkami i główną poniżej, między pasem a łopatkami. Wybrał czaszę prostokątną, na jakiej się raczej szybuje, niż skacze.

Spojrzał na tarczę zegara. Minuta i dwadzieścia sekund. Otworzył drzwiczki. Patrzył, jak wskazówka sekundnika obiega tarczę zegarka, i rozpoczął odliczanie.

Kiedy doszedł do zera, wyskoczył nogami w przód przez wąskie drzwiczki, twarzą do kierunku lotu. Prąd powietrza uderzył go z lodowatą siłą śnieżnej lawiny, dławiąc oddech w piersi. Odrzutowiec przemknął obok z ogłuszającym rykiem. Na krótką chwilę owiało go ciepło spalin. Zaczął się oddalać opadając.

Leciał twarzą w dół z rozpostartymi ramionami, wygięty w łuk, i widział pod sobą jedynie czerń. Na ziemi nie widać było żadnego światła.

Był przygotowany na najgorsze. Bez oświetlonego celu nie mógł ocenić ani kierunku, ani siły znoszenia wiatru. Groziło mu, że wyląduje o całe kilometry dalej lub, co gorsza, upadnie na ostre bryły lodu.

W ciągu dziesięciu sekund opadł o prawie 360 metrów. Wskazówka podświetlonej tarczy wysokościomierza zbliżyła się do czerwonego pola. Nie mógł dłużej czekać. Wyszarpnął pilotowy spadochronik i cisnął go na wiatr. Spadochronik zakotwiczył się w powietrzu i wydobył główną czaszę.

Usłyszał z zadowoleniem grzmot otwierającego się spadochronu. Mocnym szarpnięciem został ustawiony w pozycji pionowej. Wyjął latarkę i skierował jej blask ponad głowę. Czasza nad nim rozświetliła się.

Nagle o jakąś milę w prawo od niego rozbłysnął niewielki krąg światła. Jednocześnie w niebo poszybowała rakietą i zawisała na kilka chwil, umożliwiając skoczкови ocenę szybkości i kierunku wiatru. Szarpnął linkę sterowniczą i zaczął szybować ku światłom.

Wystrzelono następną raketę. Gdy zbliżał się do ziemi, wiatr wiał ze stałą

prędkością, bez gwałtownych podmuchów. Widział teraz wyraźnie swoją ekipę. Rozłożyła nową linię światła, prowadzącą ku uprzednio oświetlonemu kręgowi. Skoczek manewrował linkami, dokonując zwrotu o 180° pod wiatr.

Przygotował się do lądowania. Jego stopy zetknęły się z miękką tundrową glebą, w samym środku oświetlonego kręgu.

Rozpiął pasy i wyszedł poza blask światła. Spojrzał w niebo.

Odrzutowiec z nie podejrzewającą niczego załogą i pasażerami leciał prosto na lodowiec, który rósł przed nim, coraz większy.

Stał i patrzył, póki słaby odgłos silników odrzutowca nie zamarł, a światła nawigacyjne nie roztopiły się w czerni nocy.

W kuchence jedna ze stewardes przechyliła głowę, nasłuchując.

- Co to za dziwny hałas w kokpicie? - zapytała.

Gary Rubin, główny steward, wyszedł na korytarz i stanął z twarzą zwróconą w stronę dziobu samolotu. Słyszał coś, co brzmiało jak nieustający stłumiony szum.

W dziesięć minut po wyskoczeniu człowieka podającego się za Lemkego mechanizm zegarowy spowodował włączenie dźwigni zamykającej drzwi w piekielku i dziwny hałas ustał.

- Nie słyszę go już - powiedział Rubin.

- Co to mogło być?

- Nie wiem. Nigdy nie słyszałem niczego podobnego. Przez chwilę myślałem, że nastąpiła dekompresja.

Zabłysło światelko wzywające stewardesę do któregoś z pasażerów. Wstała, przyglądała swoje blond włosy i weszła do głównej kabiny.

- Chyba powinieneś porozumieć się z kapitanem - rzuciła przez ramię.

Pomny na polecenie Lemkego, by nie zawracał pilotom głowy błahymi sprawami, Rubin się wahał. W końcu jednak doszedł do wniosku, że trzeba wyjaśnić tę sprawę. Bezpieczeństwo pasażerów jest sprawą nadrzędną. Podniósł słuchawkę interkomu i połączył się z kabiną pilotów.

- Kapitanie, mówi główny steward. Przed chwilą słyszeliśmy jakiś dziwny odgłos dobiegający od strony dziobu. Jest jakiś problem?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz i jeszcze, ale w słuchawce było głucho. Stał nie wiedząc, co robić. W ciągu dwunastu lat latania nigdy jeszcze nic takiego mu się nie zdarzyło.

Nagle do kabiny wbiegła stewardesa i coś powiedziała. Początkowo zignorował to, ale uderzył go niepokój w jej głosie.

- Co? Co mówiłaś?

- Jesteśmy nad lądem!

- Nad lądem?

- Właśnie - powiedziała z popłochem w oczach. - Pokazał mi go pasażer.

Rubin pokręcił głową niedowierzająco.

- To niemożliwe. Powinniśmy już być dość daleko od brzegu. Pewnie zobaczył światła jakiejś flotylli rybackiej. Kapitan mi mówił, że możemy je napotkać, kiedy zjedziemy w dół dla poczynienia obserwacji meteorologicznych.

- Więc sam zobacz! - zawołała z błaganiem w głosie. - Zniżamy się. Chyba będziemy lądować.

Podszedł do kuchennego okienka i spojrzał w dół. Zamiast ciemnych wód Atlantyku zobaczył błysk bieli. Pod samolotem, jakieś dwieście kilkadziesiąt metrów niżej, przesuwała się ogromna połać lodu. Była dość blisko, by móc zobaczyć odbicie błysków lamp nawigacyjnych w kryształkach lodu.

Jeśli to przymusowe lądowanie, czemu kapitan nie powiadomił o tym załogi głównej kabiny? Sygnał „Zapiąć pasy” i „Nie palić” wcale nie pojawił się na tablicy.

Prawie nikt z członków delegacji ONZ nie spał. Jedni czytali, inni rozmawiali. Tylko Hala Kamil była pogrążona we śnie. Kilku reprezentantów Meksyku, powracających z misji gospodarczej do siedziby Banku Światowego, siedziało wokół stolika w części ogonowej samolotu. Dyrektor Departamentu Finansowania Zagranicznego, Miguel Salazar, powiedział coś półgłosem. Atmosfera przy stoliku miała posmak klęski. Meksyk przeżywał właśnie katastrofalne załamanie gospodarki i techniczne bankructwo bez nadziei na jakąkolwiek pomoc finansową z zewnątrz. Rubina ogarnęło przerażenie.

- Co się do cholery stało? - zapytał.

Stewardesa była równie przerażona. Jej twarz pobladła, oczy rozszerzyły się.

- Czy nie powinniśmy podjąć nadzwyczajnych kroków?

- Lepiej nie niepokoić pasażerów. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Muszę się najpierw porozumieć z kapitanem.

- Czy nie jest już na to za późno?

- Nie wiem.

Rubin opanował lęk i podszedł szybko, niemal truchtem, do drzwi prowadzących do kokpitu. Zasunął zasłonkę oddzielającą główną kabinę od korytarzyka. Potem nacisnął klamkę drzwi kabiny pilotów. Były zamknięte na klucz.

Zastukał gorączkowo w drzwi. Nikt nie odpowiedział. Rubin patrzył tępo w cienką płytę oddzielającą go od kokpitu, w głowie miał pustkę. Nagle, w przystępie rozpacz, zamachnął się nogą i kopnął w drzwi.

Drzwi otwierały się na zewnątrz, lecz ustąpiły pod ciosem. Rubin przestąpił próg i wybałuszył oczy.

Jednym szybkim spojrzeniem objął Hartleya leżącego połową ciała na tablicy z przyrządami, rozciągniętego na podłodze Oswalda, z twarzą do góry i oczyma patrzącymi niewidząco w sufit. Brak było Lemkego.

Rubin przestąpił przez ciało Oswalda, pochylił się nad pustym fotelem kapitana i



spojrzał przez szybę.

Masywny szczyt lodowca Hofsjokull widniał niecałe dziesięć mil przed dziobem samolotu. Migotliwe blaski zorzy ukazywały zarys spiętrzonego lodu, barwiąc nierówną powierzchnię widmowymi odcieniami szarości i zieleni.

W przypiływie lęku i rozpaczony Rubin rzucił się na fotel kapitana i chwycił wolant. Pociągnął go do siebie.

Nic.

Wolant ani drgnął, mimo to jednak wysokościomierz zaczął wskazywać powolny, lecz stały wzrost wysokości. Znowu szarpnął sterownicę, tym razem mocniej. Ustąpiła lekko.

Nie było czasu na myślenie. Rubin nie zdawał sobie sprawy, że próbuje przemoc siłą automatycznego pilota.

Zdawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by dotknąć lodowca. Rubin pchnął dźwignie ciągu w przód i znowu pociągnął wolant ku sobie. Ustąpił opornie, jak kierownica samochodu wyścigowego, w którym zawiódł mechanizm wspomagania.

Z dręczącą powolnością boeing uniósł dziób i przeleciał trzydzieści kilka metrów nad lodowym szczytem.

Stojący na lodowcu mężczyzna, który zamordował w Londynie prawdziwego kapitana boeinga 720-B lot nr 106, Dale'a Lemkego, i zajął jego miejsce, spoglądał w dal przez nocną lornetkę. Zorza polarna przygasła, lecz nierówny zarys Hofsjokull nadal widniał na tle nieba.

Powietrze było naelektryzowane wyczekiwaniem.

Oczy Sulejmana Aziza Ammara przywykły już do ciemności, toteż widział teraz poszarpane grzbiety znaczące szramami ścianę lodowca. Stał nieruchomy jak posąg i liczył sekundy, czekając na plamkę ognia, która zaznaczy miejsce rozbicia się boeinga.

Lecz odległy wybuch nie nastąpił.

W końcu Ammar opuścił lornetkę i westchnął. Zewsząd otaczała go lodowcowa cisza, zimna i bezkresna. Zdjął siwą perukę i cisnął ją w mrok. Następnie ściągnął z nóg parę specjalnie skonstruowanych butów i wyjął z nich dziesięciocentymetrowe podkładki. Podszedł do niego służący, a zarazem przyjaciel, Ibn Telmuk, smagły mężczyzna o bujnych kręconych hebanowych włosach.

- Świetnie się ucharakteryzowałeś, Sulejmanie, nawet ja bym cię nie poznał - powiedział.

- Załadowaliście ekwipunek? - spytał Ammar.

- Tak jest. Czy misja się powiodła?

- Drobną pomyłką w obliczeniach. Samolot ominął wierzchołek. Allah podarował pani Kamil kilka minut życia.

- Achmad Yazid nie będzie z tego rad.

- Kamil zginie, jak zaplanowano - rzekł z pewnością siebie Ammar. - Nie pozostawiłem niczego przypadkowi.

- Samolot wciąż leci.

- Nawet sam Allah nie zdoła utrzymać go w powietrzu.

- Nie udało ci się - powiedział jakiś nowy głos.

Ammar obrócił się na pięcie i ujrzał Muhammada Ismaila. Krągła twarz Egipcjanina miała wyraz złośliwości i dziecięcej naiwności zarazem. Ammar musiał przystać na współpracę z tym nieznanym wiejskim mułłą. Zmusił go do niej Achmad Yazid. Ten islamski idol skąpił swego zaufania jak prawdziwy kutwa, okazując je tylko tym, którzy jego zdaniem posiadali ducha walki oraz oddanie pierwotnym prawom islamu. Silne zaangażowanie religijne znaczyło dla Yazida więcej niż kompetencja i profesjonalizm.

Sulejman Aziz podawał się za prawdziwego wyznawcę islamu, lecz Yazid mu nie ufał. Nie podobało mu się, że zamachowiec ma zwyczaj rozmawiać z muzułmańskimi przywódcami jak z równymi sobie. Uparł się więc, aby Ammar wypełniał swoje śmiercionośne misje pod czujnym okiem Ismaila.

Ammar przyjął tego stróża bez protestu. Był mistrzem podstępu i szybko doprowadził do zmiany ról - Ismail z nadzorca stał się ofiarą służącą jego własnym wywiadowczym celom.

Głupota Arabów nieustannie go irytowała. Chłodne, analityczne myślenie było im obce. Pokiwał ze znużeniem głową i zaczął cierpliwie wyjaśniać Ismailowi sytuację:

- Zdarza się, że coś się wymknie spod kontroli. Prąd wznoszący, usterka w działaniu pilota automatycznego lub wysokościomierza, nagle zmiana wiatru. Sto różnych czynników mogło spowodować, że samolot nie uderzył w szczyt. Ale ja wziąłem wszystkie prawdopodobieństwa pod uwagę. Automatyczny pilot został ustawiony na kurs do bieguna północnego. Pozostało im nie więcej niż dziewięćdziesiąt minut lotu.

- A jeśli ktoś odkryje zwłoki w kokpicie, a któryś z pasażerów zna się na pilotażu? - upierał się Ismail.

- Zbadałem akta wszystkich pasażerów. Żaden z nich nie posiada uprawnień pilota. Poza tym zniszczyłem radio i instrumenty nawigacyjne. Nikt nie potrafi pilotować bez kompasu i jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Hala Kamil i jej towarzysze z ONZ

znikną niebawem w zimnych wodach Morza Arktycznego.

- Nie mają żadnej nadziei na przeżycie? - spytał Ismail.

- Żadnej - odparł Ammar z przekonaniem. - Absolutnie żadnej.

Dirk Pitt rozparł się w fotelu obrotowym wyciągając nogi. Ziewnął i przeczesał dłońmi gęstą czarną czuprynę.

Był w doskonałej formie jak na kogoś, kto nie przebiega dziesięciu mil dziennie ani nie uprawia ćwiczeń kulturystycznych. Miał cerę człowieka przebywającego dużo na świeżym powietrzu. Spojrzenie jego ciemnozielonych opalizujących oczu było zazwyczaj ciepłe, czasem jednak pojawiał się w nim błysk okrucieństwa.

Jako człowiek obyty towarzysko, zachowywał się swobodnie w kręgu ludzi bogatych i posiadających władzę, ale wolał przebywać wśród mężczyzn i kobiet pijących nie rozcieńczony alkohol i nie dbających przesadnie o czystość rąk.

Był absolwentem Akademii Sił Powietrznych w randze majora, lecz przez ostatnie sześć lat, odkomenderowany do Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych (NUMA), pełnił w niej funkcję dyrektora Wydziału do Zadań Specjalnych.

Razem z Alem Giordino, najbliższym przyjacielem z lat dziecięcych, przemierzył wszystkie morza i zbadał ich głębiny, doświadczając w ciągu pięciu lat więcej niezwykłych przygód niż inni podczas całego życia. Odnalazł zaginiony pociąg ekspresowy „Manhattan Limited” przepłynąwszy przez podziemną jaskinię w Nowym Jorku i wydobył liniowiec pasażerski „Empress of Ireland”, zatopiony wraz z tysiącem dusz na pokładzie na Rzece Świętego Wawrzyńca. Odnalazł też na środku Pacyfiku zaginioną łódź podwodną „Starbuck” z napędem nuklearnym oraz statek widmo „Cyklop” na dnie Morza Karaibskiego. I podniósł z dna oceanu „Titanica”.

Był człowiekiem owładniętym pasją odkrywania przeszłości, który urodził się kilkadziesiąt lat za późno, jak mawiał często Giordino.

- Może zechciałbyś to obejrzeć - powiedział nagle Giordino z drugiego końca pokoju.

Pitt odwrócił się od kolorowego monitora, który ukazywał krajobraz dna morskiego sto metrów pod kadłubem lodołamacza „Polar Explorer”. Lodołamacz był nowym statkiem, specjalnie przystosowanym do szczególnie trudnych warunków żeglugi po zamrożonych wodach. Potężna klockowata nadbudowa górująca nad pokładem przypominała czteropiętrowy budynek biurowy. Dziób lodołamacza, popychany potężnymi silnikami o mocy 80 000 koni mechanicznych, potrafił wyrąbać sobie drogę w półtorametrowej pokrywie lodowej.

Pitt oparł nogę o pulpit, zgiął kolano i odepchnął się. Był to ruch wypracowywany przez wiele tygodni i zgrany z łagodnym kołysaniem lodołamacza. Obrócił Pitta o 180° w fotelu, a następnie przesunął go o trzy metry po przechylonym pokładzie pomieszczenia

elektronicznego.

- Wygląda na powstający krater - powiedział Giordino.

Siedział przy konsolcie kleinowskiego sonaru bocznego. Niski, o potężnych ramionach nadających mu kształt klina, sprawiał wrażenie zbudowanego z zapasowych części buldożera. Włosy miał ciemne i kędzierzawe. Cierpki z usposobienia, ale solidny i rzetelny, był dla Pitta polisą ubezpieczeniową od wszelkich kaprysów losu.

Pitt zatrzymał się przy nim. Popatrzył na sprzężony z komputerem sonograf, ukazujący jak linia krateru wolno unosi się, a następnie opada stromo do wewnątrz.

- Szybko opada - zauważył Giordino.

Pitt spojrział na echosondę.

- Ze sto czterdzieści na sto osiemdziesiąt metrów.

- Prawie żadnej pochyłości na wewnętrznym brzegu.

- Dwieście metrów i wciąż opada.

- Dziwna formacja jak na wulkan - rzekł Giordino. - Nie ma żadnych śladów skamieniałej lawy.

W drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna o rumianej twarzy i gęstych siwiejących włosach, wymykających się spod zsuniętej na tył głowy baseballowej czapki.

- Macie ochotę na coś do jedzenia lub picia?

- Przydałaby się kanapka z masłem arachidowym i kubek czarnej kawy - odparł Pitt nie odwracając się. - Wyrównuje się na dwieście dwadzieścia.

- Dla mnie ze dwa pączki i mleko - rzucił Giordino.

Komandor Byron Knight, szyperski statku badawczego, skinął głową. Był on obok Giordina i Pitta jedynym człowiekiem mającym dostęp do pomieszczenia elektronicznego. Dla reszty oficerów i załogi wstęp był zakazany.

- Każę im się zakrzętnąć w mesie.

- Jesteś wspaniały, Byron - rzekł Pitt z ironicznym uśmiechem. - Nie dbam o to, co mówi o tobie reszta marynarki.

- Próbowałaś kiedyś masła arachidowego z arsenikiem? - rzucił przez ramię Knight wychodząc.

Giordino patrzył w napięciu na ekran. Wulkan rozrastał się coraz bardziej.

- Średnica prawie dwóch kilometrów - powiedział.

- Wnętrze jest gładkie od osadu - zauważył Pitt. - I nie ma żadnej szczeliny w dnie.

- To musi być jeden gigantyczny wulkan.

- Nie wulkan...

Giordino spojrział na Pitta.

- Masz jakąś inną nazwę na ten podwodny ślad po ospie?

- Może to ślad zderzenia z meteorem?

Giordino uniósł brwi.

- Krater powstał od uderzenia meteoru tak głęboko pod powierzchnią wody?

- Zapewne tysiące, może miliony lat temu, kiedy powierzchnia morza była niżej.

- Co cię doprowadziło do takiego wniosku?

- Trzy przesłanki - odpowiedział Pitt. - Po pierwsze, mamy wyraźnie zaznaczony brzeg krateru bez wydatnego wzniesienia zewnętrznego. Po drugie, profil dna wskazuje na jego misko waty kształt. A po trzecie - urwał wskazując stylus wyczyniający gwałtowne skoki na bębnie papieru - magnetomierz dostaje konwulsji. Tu jest dość żelaza, żeby zbudować całą flotę okrętów wojennych.

Giordino nagle zeszywniał.

- Mamy obiekt!

- Jak daleko?

- Dwieście metrów od starbotu, leży prostopadle do zbocza krateru. Trochę niewyraźny odczyt, zasłaniają go częściowo formacje skalne.

Pitt złapał słuchawkę telefonu i zadzwonił na mostek.

- Mamy awarię urządzenia. Kontynuujcie kurs do końca trasy. Jeśli zdołamy usunąć usterkę na czas, wróćcie i powtórzcie trasę.

- Tak jest - odparł oficer wachtowy.

- Powinieneś się zająć sprzedażą podejrzanych mikstur na wszelkie bolączki - stwierdził Giordino.

- Nigdy nie wiadomo, gdzie Sowieci mają uszy.

- Jest coś z wideokamer?

Pitt rzucił okiem na monitory.

- Obiekt jest jeszcze poza ich zasięgiem. Powinny go wyłapać przy następnym kursie.

Początkowy obraz sonarny, który pojawił się na bębnie papieru, wyglądał jak brązowa smuga na tle jaśniejszej ściany krateru. Potem przesunął się obok okienka sonaru i znikł w komputerze, który wspomagał szczegóły obrazu. Ukończony obraz ukazał się na specjalnym kolorowym monitorze o wysokiej rozdzielczości. Smuga stała się teraz wyraźnie zarysowanym kształtem.

Posługując się joystickiem Pitt przesunął punkt przecięcia skrzyżowanych linii na środek obrazu i nacisnął guzik, aby go powiększyć.

Ekran na chwilę zmętniał, a potem pojawił się na nim nowy, większy, bardziej szczegółowy obraz. Wokół obiektu ukazał się prostokąt przedstawiający jego rozmiary. Jednocześnie inne urządzenie wytworzyło na arkuszu lśniącego papieru barwną reprodukcję.

Do pomieszczenia wpadł w pośpiechu komandor Knight. Po całych dniach nużącego kursowania tam i z powrotem, śledzenia godzinami monitorów i zapisów sonaru, był zelektryzowany nadzieją, wypisaną w każdej zmarszczce twarzy.

- Powiadomiono mnie o waszym meldunku o awarii. Jest obiekt?

Pitt i Giordino milczeli. Uśmiechali się jak poszukiwacze, którzy trafili na złotą żyłę. Knight, patrząc na nich z przejęciem, nagle zrozumiał.

- Boże wielki! - wybełkotał. - Znaleźliśmy ją naprawdę?

- Ukrytą na dnie - rzekł Pitt wskazując monitor i wręczając komandorowi fotografię.

- Jedna z sowieckich łodzi podwodnych klasy Alfa.

Knight patrzył wytrzeszczonymi oczyma to na monitor, to na fotografię.

- Rosjanie bardzo się kręcili dokoła tego miejsca. To nie do wiary, że jej nie znaleźli.

- Łatwo ją przeoczyć - rzekł Pitt. - Kiedy jej szukali, pokrywa lodowa była grubsza.

Nie mogli utrzymywać prostego kursu. Prawdopodobnie opłynęli przeciwną stronę zbocza krateru i ich sonary ukazały tylko cień tam, gdzie leży łódź. Poza tym niezwykle duża koncentracja żelaza pod kraterem mogła im zniekształcić profil magnetyczny.

- Nasi z wywiadu zaczną tańczyć na suficie, kiedy to zobaczą.

- Nie zaczną., jeśli czerwoni się dowiedzą - powiedział Giordino. - Oni nie będą stali z założonymi rękami i patrzyli, jak porywamy im sprzed nosa łódź. Tak, jak to zrobił „Glomar Explorer” z ich łodzią klasy Golf w siedemdziesiątym piątym.

- Sugerujesz, że nie przełknęli naszej bajeczki o prowadzeniu badań geologicznych na dnie morza? - zapytał Pitt.

Giordino spojrzał na niego kwaśno.

- Wywiad to zagadkowa sprawa - rzekł. - Załoga za tą ścianą nie ma pojęcia, czym się tutaj zajmujemy, a tymczasem agenci sowieccy w Waszyngtonie zwietrzyli naszą misję już przed kilkoma tygodniami. Tylko dlatego nam nie przeszkadzano, że nasza podmorska technologia jest znacznie lepsza i chcą, abyśmy ich naprowadzili na ślad zaginionej łodzi.

- Niełatwo będzie ich zwieść - zgodził się Knight. - Dwa trawlerzy suną za nami jak cień, odkąd wyszliśmy w morze.

- Sowieckie satelity szpiegowskie również - dodał Giordino.

- Dlatego właśnie poprosiłem mostek, aby płynęli do końca trasy, zanim wrócimy i

bliżej przyjrzymy się obiektowi - powiedział Pitt.

- Świetna robota, ale Rosjanie niewątpliwie zorientują się, że powtarzamy szlak.

- Niewątpliwie, tylko że gdy przeplniemy nad łodzią, zawrócimy i rozpoczniemy następny kurs, jak poprzednio. Potem połączę się drogą radiową z naszymi inżynierami w Waszyngtonie, by ponarzekać na problemy z aparaturą i poprosić o instrukcje w sprawie konserwacji. Co parę mil będziemy powtarzali trasę dla uwiarygodnienia naszego podstępu.

Giordino spojrział na Knighta.

- Może to kupią.

Knight zastanowił się.

- Okay, nie możemy tkwić w miejscu. To będzie nasze ostatnie spojrzenie na obiekt.

Potem popłyniemy dalej jakby nigdy nic.

- A kiedy skończymy ten sektor - rzekł Pitt - możemy rozpocząć nowy o trzydzieści mil dalej i udać, że dokonaliśmy jakiegoś odkrycia.

- Świetnie - rzekł Giordino. - Odwrócimy ich uwagę.

Knight uśmiechnął się.

- Niezły scenariusz.

Pokład statku lekko się przechylił na sterburtę, gdy sternik skierował lodołamacz na kurs powrotny. Daleko za rufą, jak opierający się pies na długiej smyczy, podwodny robot Sherlock automatycznie przeogniskował swoje dwie filmowe kamery i jedną fotograficzną, nie przestając jednocześnie wysyłać badawczych fal sonaru.

Minuty upływały z powolnością godzin, aż wreszcie na rejestratorze zaczął się przesuwać wierzchołek krateru. Sherlock przepływał wzdłuż pionowej ściany w jego wnętrzu.

- Jest - powiedział Giordino z lekkim drżeniem w głosie.

Sowiecka łódź podwodna wypełniła niemal całą lewą stronę sonografu. Leżała z rufą skierowaną do środka krateru, a dziobem uniesionym ku jego krawędzi. Kadłub łodzi stał prawie pionowo i był cały, w przeciwieństwie do amerykańskich łodzi „Tresher” i „Scorpion”, które implodowały, gdy zatoneły w latach sześćdziesiątych. Lekki przechył na sterburtę wynosił nie więcej niż dwa, trzy stopnie. Minęło dziesięć miesięcy od jej zaginięcia, lecz kadłub był wolny od rdzy i porostów.

- Z całą pewnością należy do klasy Alfa - rzekł Knight. - Napęd nuklearny, kadłub z tytanu, antymagnetyczny i nie ulegający korozji w słonych wodach, najnowszy typ cichobieźnej śruby. Jest to zdolna do największych zanurzeń i najszybsza łódź podwodna



na świecie.

Różnica pomiędzy zapisem sonaru i obrazem wideo wynosiła około trzydziestu sekund. Jak przy oglądaniu meczu tenisowego ich głowy jednocześnie odwróciły się od sonaru i zwróciły ku monitorom telewizyjnym.

W widmowej, szaroniebieskiej poświacie ukazały się opływowe linie łodzi oświetlonej reflektorami kamer. Amerykanom aż trudno było uwierzyć, że ten rosyjski okręt był cmentarzem ponad stu pięćdziesięciu ludzi spoczywających w jego wnętrzu. Wyglądał prawie jak dziecinna zabawka porzucona na dnie brodzika.

- Czy coś wskazuje na ponadnormatywną radioaktywność? - spytał Knight.

- Jest lekko zwiększona - odparł Giordino. - Pewnie od reaktora łodzi.

- Chyba nie uległ stopieniu? - zapytał z niepokojem Pitt.

- Nasze odczyty na to nie wskazują.

Knight patrzył w monitory i robił pobieżny rejestr uszkodzeń:

- Odształcenie dziobu. Lewa płyta nurkowa oderwana. Długie pęknięcie po lewej stronie dna, mniej więcej dwudziestometrowe.

- Wygląda na głębokie - dodał Pitt. - Sięga do zbiorników balastowych. Łódź musiała uderzyć w przeciwną krawędź krateru, która wypruła z niej flaki. Na pewno załoga robiła wszystko, żeby wynurzyć łódź na powierzchnię, kiedy płynęła przez środek krateru. Brała jednak więcej wody, niż mogli wypompować, by stracić zanurzenie, i w końcu uderzyła w połowę wzniesienia po tej stronie.

W kabinie zapanowało milczenie, kiedy łódź znalazła się za rufą Sherlocka i z wolna spełzała z monitorów. Patrzyli dalej na nierówny zarys przemykającego obok dna morskiego, wyobrażając sobie straszliwą śmierć, jaka spotkała tamtych ludzi.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, wszyscy jakby wstrzymali oddech. Powoli otrząsnęli się z koszmaru i odwrócili od monitorów.

Pitt i Giordino mogli siedzieć spokojnie przez resztę podróży. Ich rola w poszukiwaniach została zakończona. Odnaleźli igłę w stogu siana. Spojrzenie Pitta spoważniało i zaczął patrzeć gdzieś w przestrzeń.

Giordino znał dobrze te symptomy. Ilekroć jakiś cel został szczęśliwie osiągnięty, Pitt popadał w depresję, która trwała dopóty, dopóki nie znalazł sobie innego zadania.

- Świetna robota, chłopaki - rzekł Knight z entuzjazmem. - Znaie się na swojej robocie. To największe wywiadowcze osiągnięcie od dwudziestu lat.

- Nie ciesz się za wcześnie - rzekł Pitt. - Najtrudniejsze jeszcze przed nami. Podniesienie łodzi pod nosem Rosjan to operacja bardzo delikatna. Nie będzie tym razem

żadnego „Glomar Explorera”. Żadnych widocznych z dala statków nawodnych. Cała operacja będzie musiała zostać przeprowadzona pod wodą...

- Co to jest, do diabła?! - zawołał nagle Giordino, który cały czas obserwował monitor. - Wygląda jak brzuchaty dzban.

- Raczej jak urna - poprawił Knight.

Pitt długo wpatrywał się w monitor, twarz miał zamyśloną, zmęczone oczy zaczerwienione i pełne napięcia. Obiekt widać było bardzo wyraźnie. Po obu stronach wąskiej szyjki widniały dwa ucha sięgające do rozszerzonej części naczynia, która niżej zwężała się ku podstawie tkwiącej w osadzie na dnie morza.

- To terakotowa amfora - oznajmił w końcu Pitt. - Grecy i Rzymianie używali takich do przewożenia wina i oliwy. Znajdowano je na całym obszarze Morza Śródziemnego.

- Ale co ta robi na dnie Morza Grenlandzkiego? - spytał Giordino. - Tam, z lewej strony sonaru, jest druga.

Potem kamery ukazały jeszcze trzy inne amfory leżące obok siebie, a dalej pięć następnych w linii od południowego wschodu ku północnemu zachodowi.

- Jesteś ekspertem od zatopionych statków - zwrócił się Knight do Pitta. - Jak to wytłumaczysz?

Minęło dobrych kilkanaście sekund, zanim Pitt odpowiedział. A kiedy wreszcie to zrobił, jego głos był jakiś oddalony, jakby należał do kogoś w sąsiednim pomieszczeniu.

- Domyślam się, że te amfory prowadzą do zatopionego statku ze starożytnych czasów. Statku, który według historyków nie powinien się tutaj znajdować.

Rubin oddałby duszę, by móc zrezygnować z tego niewykonalnego zadania, zdjąć z wolanta mokre od potu dłonie, zamknąć zmęczone oczy i zaakceptować śmierć, ale poczucie odpowiedzialności za pasażerów i załogę kazało mu trwać na stanowisku.

Nigdy, nawet w najkoszmarniejszych snach nie widział siebie w takiej zwariowanej sytuacji. Jeden błędny ruch, drobna pomyłka, i pięćdziesięciu ludzi znajdzie swój grób w głębinach nieznanego morza. To niesprawiedliwe, powtarzał sobie raz po raz. Niesprawiedliwe.

Ani jeden z instrumentów nawigacyjnych nie funkcjonował. Wszystkie urządzenia komunikacyjne były głuche. Żaden z pasażerów nigdy nie pilotował jakiegokolwiek samolotu, nawet najmniejszego. Rubin był całkowicie zdezorientowany i czuł się zgubiony. Nie wiadomo dlaczego wskazówki wskaźników paliwa podrygiwały na polu oznaczonym: „Pusty”. Wyteżał mózg nad tą zagadką.

Gdzie jest kapitan? Co spowodowało śmierć drugiego pilota i mechanika? Kto kryje się za tym szaleństwem?

Pytania kłębiły mu się w głowie, ale odpowiedź nie nadchodziła.

Jedyną pociechę stanowiło to, że nie był sam. W kokpicie znajdował się jeszcze jeden mężczyzna.

Eduardo Ybarra, członek delegacji meksykańskiej, był kiedyś mechanikiem w siłach powietrznych swego kraju. Minęło już trzydzieści lat od czasu, gdy majstrował kluczem w silniku samolotu śmigłowego, ale zdołał sobie coś niecoś przypomnieć.

Ybarra miał krągłą śniadą twarz, gęste czarne włosy z siwymi pasemkami i szeroko rozstawione brązowe oczy bez wyrazu. Jego garnitur z kamizelką zdecydowanie nie pasował do kokpitu. Na czole nie miał ani kropli potu i nie poluzował krawata ani nie zdjął marynarki.

Wskazał ręką niebo za szybą.

- Sądząc po gwiazdach, zdążamy prosto ku biegunowi północnemu.

- Jak dla mnie, równie dobrze moglibyśmy się znajdować nad wschodnią Rosją - rzekł Rubin ponuro. - Nie mam pojęcia, dokąd lecimy.

- To, co zostawiliśmy za sobą, było wyspą.

- Może Grenlandia?

Ybarra pokręcił głową.

- Lecimy nad wodą już od kilku godzin. Gdyby to była Grenlandia, lecielibyśmy wciąż nad lodowcem. Myślę, że przelecieliśmy nad Islandią.

- Boże drogi, jak długo już lecimy na północ?
- Kto wie, kiedy pilot skręcił z kursu Londyn-Nowy Jork.

Jedna tysięczna szansy na uratowanie życia zmieniła się nagle w jedną milionową. Rubin musiał podjąć rozpaczliwą decyzję, jedyną decyzję.

- Zawracam o dziewięćdziesiąt stopni w lewo.
- Nie mamy innego wyboru - zgodził się Ybarra.

- Może ktoś przeżyje, jeśli rozbijemy się na lądzie. Najbardziej doświadczony pilot nie zdoła po ciemku wylądować na wysokiej fali. A jeśli nawet nam się to jakimś cudem uda, żaden człowiek ubrany po miejsku nie przeżyje więcej niż kilka minut w lodowatej wodzie.

- Chyba już za późno. - Meksykański delegat do Zgromadzenia Ogólnego ONZ wskazał ruchem głowy tablicę z przyrządami. Błyskały na niej czerwone światelka ostrzegające o wyczerpaniu się paliwa. - Obawiam się, że to już koniec lotu.

Rubin patrzył ze zdumieniem na przyrządy kontrolne. Nie zdawał sobie sprawy, że boeing lecący z prędkością 400 kilometrów na godzinę na wysokości 1500 metrów spala tyle samo paliwa, co przy dwukrotnie większej prędkości na wysokości 10 500 metrów.

- Dobra, skręcamy na zachód i lecimy, jak długo się da.

Wytańł spocone dłonie o nogawki spodni i chwycił wolant. Od czasu, gdy wzniósł samolot ponad szczyt lodowca, nie przeprowadził żadnego manewru. Zaczerpnął powietrza w płuca i nacisnął guzik „Wyłączenie autopilota” na wolancie. Był zbyt mało pewny siebie, by wejść boeingiem w przechył za pomocą lotek, użył zatem jedynie sterów głównych i wszedł w łagodny, płaski skręt. Gdy tylko wyprostował kurs, poczuł, że dzieje się coś złego.

- Spadek obrotów czwartego silnika - meldował Ybarra z wyraźnym drżeniem w głosie. - Brak mu paliwa.

- Czy nie powinno się go wyłączyć?
- Nie wiem, jak to zrobić - odparł Ybarra.

Boże drogi, pomyślał Rubin, ślepy prowadzi ślepego. Wysokościomierz zaczął wskazywać stałą utratę wysokości. Prędkościomierz również rejestrował spadek.

Odległość między samolotem a powierzchnią morza wolno, ale nieubłaganie się zmniejszała. Wolant stał się oporny i zaczął wibrować w rękach Rubina.

- Samolot staje dęba! - wrzasnął Ybarra ze strachem. - Opuść dziób!

Rubin pchnął wolant do przodu, w pełni świadom, że przyspiesza tym nieuniknione.

- Wypuść klapy, żeby zwiększyć wznoszenie - rzucił do Ybarry.
- Klapy wypuszczone - zameldował Ybarra przez ściągnięte usta.

- Dobrze - mruknął Rubin. - Schodzimy.

W otwartych drzwiach kokpitu stała stewardesa przysłuchując się tej wymianie zdań. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia, twarz bladą jak papier.

- Rozbijemy się? - wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

Rubin był zbyt zajęty, żeby się odwrócić.

- Siadaj i zapnij pasy! - krzyknął.

Okręciła się na pięcie i omal nie upadła biegnąc w popłochu do głównej kabiny, żeby przygotować resztę załogi i pasażerów na najgorsze. Na szczęście obyło się bez paniki i histerycznych wrzasków.

Ybarra obrócił się w fotelu i spojrzał do wnętrza kabiny. Hala Kamil uspokajała jakiegoś starszego człowieka, który dygotał niepohamowanie. Twarz miała zupełnie spokojną. Jest naprawdę piękną kobietą, pomyślał Ybarra. Szkoda, że zginie. Westchnął i ponownie zajął się instrumentami.

Wysokościomierz wskazywał nieco poniżej 200 metrów. Ybarra zaryzykował i zwiększył ciąg trzech pracujących silników. Był to gest bezużyteczny, zrodzony z rozpacz. Silniki jeszcze szybciej spalały ostatnie galony paliwa i prędzej zamrą. Ybarra jednak nie mógł myśleć logicznie. Nie potrafił siedzieć beczynnym. Czuł, że musi działać, choćby to miało oznaczać przyspieszenie śmierci.

Pięć upiornych minut minęło jak jedna. Czarne wody dotykały już niemal samolotu.

- Widzę jakieś światła! - wybełkotał nagle Rubin. - Prosto przed nami!

Ybarra spojrzał za szybę.

- Statek! - wykrzyknął. - To statek!

Niemal dokładnie w chwili, gdy wykrzykiwał te słowa, samolot przeleciał z rykiem nad statkiem badawczym „Polar Explorer”, mijając maszt jego radaru o niecałe dziesięć metrów.

Załoga lodolamacza była już postawiona w stan pogotowia przez radar, który zarejestrował nadlatujący samolot. Mężczyźni stojący na mostku mimo woli pochylili się, gdy odrzutowiec z rykiem przetoczył się nad nimi ku brzegom Grenlandii na zachodzie.

Ryk wypełnił pomieszczenie elektroniczne, które natychmiast opustoszało. Knight pomknął jak szalony na mostek, a Pitt i Giordino za nim. Żaden z mężczyzn pełniących wachtę na mostku nawet nie odwrócił głowy, kiedy wpadł kapitan. Wszyscy patrzyli w stronę oddalającego się samolotu.

- Co to było, do cholery? - spytał Knight oficera wachtowego.

- Jakiś nie zidentyfikowany samolot mało nie staranował statku, kapitanie.

- Wojskowy?

- Nie, panie kapitanie. Widziałem spód jego płatów, gdy przelatywał nad nami. Nie miał żadnych znaków.

- Może szpiegowski?

- Wątpię. Wszystkie okna były oświetlone.

- Jakiś samolot liniowy - zasugerował Giordino.

Knight miał wyraz twarzy niepewny i trochę zagniewany.

- Co ten pilot sobie myśli? Naraża na niebezpieczeństwo mój statek. A w ogóle, co on tutaj robi? Jesteśmy oddaleni o setki mil od komercyjnych korytarzy powietrznych.

- Traci wysokość - zauważył Pitt patrząc na błyskające światła, które malały w dali. - Chyba schodzi do lądowania.

- Niech Bóg ma ich w opiece, jeśli wylądują na morzu po ciemku.

- Dziwne, że nie włączyli świateł lądowania.

Oficer wachtowy przytaknął ruchem głowy.

- Właśnie. Każdy pilot w takiej sytuacji dałby sygnał alarmowy. Radio nie odebrał nic.

- Próbowaleś go wywołać? - spytał Knight.

- Jak tylko się pojawił na radarze. Żadnej odpowiedzi.

Knight podszedł do okna i wyjrzał. Przez kilka sekund bębnił palcami po szybie. Potem odwrócił się do oficera wachtowego.

- Trzymaj kurs. Kontynuujemy nasze zadanie.

Pitt spojrzał na niego.

- Rozumiem tę decyzję, ale nie mogę powiedzieć, bym ją pochwalał.

- Jest pan na okręcie marynarki, panie Pitt - rzekł Knight surowo. - Nie jesteśmy

Strażę Przybrzeżną. Mamy misję do spełnienia.

- Na pokładzie tego samolotu mogą być kobiety i dzieci.

- Nic nie świadczy o żadnej tragedii. Samolot jest wciąż w powietrzu. Jeśli „Polar Explorer” był jego jedyną nadzieją na ratunek w tej części morza, czemu nie nadał sygnału SOS, czemu nie dał nam znaku światłami lądowania, żadnego znaku o przygotowaniach do wodowania? Jesteś pilotem, więc powiedz, czemu nie zatoczył kręgu nad statkiem, skoro jest w kłopotcie?

- Być może próbuje dolecieć do lądu.

- Za pozwoleniem pana kapitana - wtrącił się oficer wachtowy. - Zapomniałem wspomnieć, że miał wypuszczone klapy.

- To żaden dowód, że grozi mu katastrofa - rzekł Knight z uporem.

- Do diabła ze współczuciem, pełną parą naprzód - powiedział Pitt zimno. - To nie wojna, kapitanie. Mówimy o misji ratunkowej. Nie chciałbym mieć na sumieniu śmierci setki osób tylko dlatego, że nie podjąłem żadnych działań. Marynarkę stać na te trochę paliwa, żeby zbadać sprawę.

Knight zrobił ruch głową w stronę pustego pomieszczenia nawigacyjnego. Gdy Pitt i Giordino weszli tam za nim, zamknął drzwi.

- Musimy mieć na uwadze własną misję - rzekł spokojnie. - Jeżeli teraz zejdziemy z kursu, Rosjanie nabiorą podejrzeń, że znaleźliśmy ich łódź.

- Słusznie - przyznał mu rację Pitt. - Ale mimo to możesz zlecić tę akcję nam dwóm.

- W jaki sposób?

- Weźmiemy helikopter NUMA z tylnego pokładu, a ty dasz nam ekipę medyczną i kilku silnych marynarzy. My polecimy za samolotem, „Polar Explorer” zaś będzie nadal pływał tam i z powrotem.

- A co z rosyjskim nadzorem? Co na to powie ich wywiad?

- Nie dostrzegą w tym niczego podejrzanego. A jeśli, nie daj Boże, samolot się rozbije i okaże się, że to odrzutowiec pasażerski, wówczas będziesz miał uzasadniony powód do zmiany kursu i podjęcia akcji ratunkowej. Później podejmiemy prace poszukiwawcze i będziemy dalej oszukiwać Rosjan.

Knight opuścił wzrok, jakby patrząc na coś nad pokładem. Potem westchnął i spojrział na Pitta.

- Tracimy czas. Odwiążcie śmigłowiec i grzejcie silniki. Ja zajmę się ekipą medyczną i grupą ochotników.

Rubin nawet nie próbował okrążyć lodołamacza „Polar Explorer” bojąc się, że

samolot stanie dęba i spadnie koziółkując w wezbrane fale.

Widok statku rozpalił iskierkę nadziei w Rubinie. Teraz ich zobaczono i ewentualna ekipa ratownicza będzie wiedziała, gdzie szukać tych, którzy ocaleją z katastrofy. Słaba to nadzieja, lecz lepsza niż żadna.

Czarne wody zmieniły się nagle w lód pakowy. Rubin miał wrażenie, jakby samolot się weń worywał. Steward przypomniał sobie wreszcie o światłach lądowania i kazał Meksykaninowi je włączyć.

Ybarra gorączkowo patrzył na tablicę z przyrządami, w końcu znalazł właściwe przełączniki i włączył. Blask reflektorów oświetlił na chwilę spłoszonego niedźwiedzia polarnego. Mknęli nad martwą, zamrożoną równiną.

- Matko Jezusowa - mruknął Meksykanin. - Widzę z prawej strony wzgórze. Jesteśmy nad ziemią.

Wzgórze, o których mówił Ybarra, były niegościnnym łańcuchem górskim rozciągającym się wzdłuż wybrzeża Grenlandii na sto mil w obu kierunkach. Rubin jednakże zdołał go jakoś wyminąć i w sposób graniczący z cudem wmanewrował opadającego boeinga w środek fiordu Ardencaple. Leciał nad wąską zatoczką między szczytami stromych skał. Szczęście sprawiło, że leciał pod wiatr, co podtrzymywało samolot w powietrzu.

Powierzchnia lodu była tak blisko, że zdawało się, wystarczy sięgnąć ręką, by jej dotknąć. W świetle reflektorów lód iskrzył się różnokolorowo jak w kalejdoskopie. Nagle przed samolotem zamajaczył ciemny masyw. Rubin nacisnął lekko prawy pedał i masyw znikł za lewą burtą.

- Opuść podwozie! - krzyknął do Meksykanina.

Ybarra wykonał rozkaz bez słowa. Gdyby to było zwykłe lądowanie awaryjne, nie mogliby zrobić nic gorszego, ale w obecnych warunkach w swojej ignorancji podjęli nieświadomie jedyną słuszną decyzję. Opuszczone podwozie stworzyło dodatkowy opór i samolot zaczął szybko wytracać prędkość.

Rubin ścisnął wolant, aż mu pobieły kostki rąk, i patrzył w dół na umykający pod samolotem lód.

Zacisnął powieki modląc się, aby zetknęli się z miękkim śniegiem, a nie uderzyli w twardy lód. Niczego więcej ani on, ani Ybarra nie mogli zrobić. Koniec przybliżał się z przerażającą prędkością.

Na szczęście nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że lód ma tylko metr grubości, więc jest zbyt cienki, aby utrzymać ciężar boeinga.



Światelka na tablicy z przyrządami nagle oszalały, wszystkie zaczęły błyskać czerwono. Z mroku pędził im na spotkanie lód. Rubin pociągnął wolant ku sobie i szybkość boeinga zmniejszyła się, gdy dziób samolotu wznosił się po raz ostatni w daremnej próbie wzbicia się w powietrze.

Ybarra siedział zeszywniały ze strachu. Nieświadom prędkości 320 kilometrów na godzinę, nawet nie próbował zamknąć przepustnic. Nie pomyślał też w oszołomieniu o konieczności odcięcia dopływu paliwa i prądu.

I wtedy nastąpiło uderzenie.

Odruchowo Rubin i Ybarra unieśli ręce i zamknęli oczy. Koła zetknęły się z lodem i wydarły w nim bliźniacze bruzdy. Lewy zewnętrzny silnik zaczepił się, oderwał i pomknął wirując w mrok. Oba prawe silniki zaryły w lód w tym samym czasie, odłamując skrzydło ze zgrzytem skręcane metalu. Wszystkie światła zgasły.

Boeing sunął przechylony po zamarzniętym fiordzie, gubiąc po drodze kawałki protestującego metalu. Uderzył w spiętrzenie lodu pakowego. Dziób został wgnieciony w kadłub, a ogon odłamał się i orząc lód wgniół cienkie płyty aluminiowe do wnętrza kokpitu.

Wreszcie siła rozpędu wygasła i połamany samolot dotarł do kresu swojej podróży. Zatrzymał się trzydzieści metrów przed grupą wielkich skał u skutego lodem brzegu.

Na kilka sekund zapanowała grobowa cisza. Potem dał się słyszeć groźny trzask pękającego lodu, zgrzyt metalu trącego o metal i pogruchotany samolot wolno opadł w lodowatą wodę.

Archeolodzy usłyszeli wpadającego do fiordu boeinga. Wybiegli z chaty w samą porę, by zobaczyć w odbitym od lodu blasku światła zarys samolotu. Widzieli oświetlone okienka kabiny i opuszczone podwozie. Dał się słyszeć przeraźliwy zgrzyt metalu, a w chwilę później po lodzie rozeszła się wibracja uderzenia. Światła zgasły, lecz zgrzyty skrećanego i rozrywanego metalu trwały jeszcze przez parę chwil. Potem z mroku powiało śmiertelną ciszą, ciszą, która zapanowała nad ponurym jękiem wichru.

Archeolodzy stali wstrząśnięci, niedowierzający. Oszołomieni, nieczuli na chłód, patrzyli w czerń nocy jak skamieniali.

- Boże wielki - wymamrotał Gronquist - rozbił się na fiordzie.

Lily nie mogła opanować drżenia głosu.

- Straszne. Nikt nie mógł wyjść z tej katastrofy bez szwanku.

- Musieli wszyscy zginąć, jeżeli wpadli do wody.

- Pewnie dlatego nie nastąpił wybuch - dodał Graham.

- Czy ktoś widział, jaki to był rodzaj samolotu? - spytał Hoskins.

Graham potrząsnął głową.

- To się stało za szybko. Duży, wyglądał na wielosilnikowy.

- Jak daleko stąd spadł? - spytał Gronquist.

- Z kilometr, może kilometr i ćwierć.

Twarz Lily była blada i pełna napięcia.

- Musimy im jakoś pomóc.

Gronquist roztarł nie osłonięte policzki.

- Wracajmy do chaty, zanim zamarzniemy, i zróbmy plan działania, żebyśmy nie wyruszyli źle przygotowani.

Lily natychmiast to podchwyciła.

- Weźmiemy wszystkie koce, całą zapasową ciepłą odzież - powiedziała energicznie. - Ja zajmę się medykamentami.

- Ty, Mike, bierz się do radia - rozkazał Gronquist. - Powiadom stację meteo w Daneborgu. Niech wezwą jednostki ratownicze Sił Powietrznych w Thule.

Graham machnął potwierdzająco ręką i pierwszy znikł we wnętrzu chaty.

- Powinniśmy wziąć z sobą jakiś łom, żeby móc wydostać ocalałych z wraku - rzekł Hoskins.

Gronquist kiwnął głową, wciągając parkę i rękawiczki.

- Słusznie. Pomyśl, co jeszcze może być potrzebne. Ja idę przywiązać sanie do

skutera.

Przed pięcioma minutami wszyscy spali. Teraz wciągali na siebie ciepłą odzież i w pośpiechu wypełniali przydzielone sobie zadania. Tajemnicza moneta bizantyjska poszła w zapomnienie, tak samo jak ciepło snu, teraz liczyła się tylko konieczność jak najszybszego dotarcia do rozbitego samolotu.

Wyszedłszy znów na zewnątrz, z głową pochyloną pod wiatr, który nagle zmienił kierunek, Gronquist pobiegł na tył chaty do niewielkiej przysypanej śniegiem szopy, gdzie stały dwa skutery śnieżne. Odbił kopniakiem lód, który utworzył się u dołu drzwi, i wszedł. W szopie buzował piec na ropę, mający utrzymywać temperaturę wyższą o dziesięć stopni od panującej na zewnątrz. Gronquist próbował odpalić silniki przy użyciu elektrycznego rozrusznika, ale po miesiącach używania akumulatory były wyczerpane i żaden z silników nawet nie drgnął. Klnąc ściągnął zębami grube rękawice i zabrał się do uruchamiania silników za pomocą linki. Pierwszy zapalił przy piątej próbie, ale drugi był uparty. W końcu, po trzydziestu dwóch szarpnięciach - Gronquist je liczył - silnik zaskoczył pokaszlując.

Połączył zaczep dużych sań z hakiem skutera, którego silnik dłużej się rozgrzewał. Nieskoro mu to poszło, bo miał zgrabiałe ręce.

Kiedy podjechał pod drzwi chaty, pozostali już ułożyli tam przeznaczone do zabrania rzeczy. Wszyscy oprócz Gronquista byli ubrani w puchowe kombinezony. W niespełna dwie minuty załadowali sanie po sam wierzch. Graham rozdał wszystkim silne latarki i byli gotowi do drogi.

- Jeżeli poszli pod lód - krzyknął Hoskins ponad wyciem wiatru - to już po nich.

- Raczej tak - odkrzyknął Graham.

Oczy Lily pod maską arktyczną zrobiły się nagle twarde.

- Pesymizm jeszcze nigdy nikogo nie ocalił. Proponuję, abyśmy ruszali w drogę.

Gronquist chwycił ją wpół i posadził na skuterze.

- Róbcie, co mówi pani, chłopcy. Tam umierają ludzie.

Wskoczył na siedzenie przed Lily i zaczął przegazowywać silnik. Tymczasem Graham i Hoskins pobiegli do szopy po pracujący na jałowym biegu drugi skuter śnieżny. Silnik pierwszego skutera warczał ziejąc spalinami, a tylna gaśnica zaryła się w śnieg. Gronquist wykonał nawrót i ruszył z podskakującymi z tyłu saniami ku brzegowi fiordu.

Przemknęli po nierównych, pokrytych lodem głazach na zamarznięty fiord. Była to niebezpieczna jazda. Światło zamocowanego na kierownicy reflektora omiatało powierzchnię tworząc wariacką mozaikę białych błysków i czarnych cieni, w której

Gronquist dostrzegał wypiętrzenia lodu dopiero wtedy, gdy na nie najeżdżał, podrzucany jak łódź ratunkowa na wzburzonych falach. Poza tym nawet najlepszy kierowca nie mógłby zapobiec temu, by naładowane po brzegi sanie, które ciągnęli za sobą, nie skręcały i nie szarpały to w jedną, to w drugą stronę.

Lily obejmowała ramionami wielki brzuch Gronquista, oczy miała zamknięte, twarz przyciśniętą do jego ramienia. Wrzasnęła, aby zwolnił, lecz on ją zignorował. Odwróciła się i zobaczyła podskakujące światło drugiego skutera, który się szybko przybliżał.

Nie obciążony wleczonymi za sobą saniami pojazd z Hoskinsem za kierownicą i Grahamem z tyłu szybko dogonił ich i wyprzedził. Wkrótce Lily widziała już tylko mglisty zarys skulonych postaci, spowitych chmurą śnieżnego pyłu.

Nagle poczuła, że Gronquist sztywnieje, i zobaczyła duży metalowy przedmiot dobytej z mroku światłem reflektora. Gronquist skręcił kierownicę w lewo. Krawędzie przednich ślizgów zaryły się w lód i skuter rozminął się o metr z kawałkiem roztrzaskanego skrzydła samolotu. Gronquist próbował gorączkowo wyrównać kurs, lecz siła odśrodkowa sprawiła, że sanie zawinęły niczym ogon rozwścieczonego grzechotnika. Wyładowane po brzegi, wpadły w poślizg, złożyły się ze skuterem jak scyzoryk i podcięły go. Końce płóz zaczepiły o lód i sanie stanęły, wyrzucając swój ładunek w powietrze.

Gronquist coś krzyknął, ale urwał nagle, gdy płoza trzasnęła go w ramię, strącając ze skutera. Zatoczył łuk jak żelazna kula do kruszenia muru, mająca właśnie uderzyć w rumowisko. Pęd powietrza zerwał mu kaptur z głowy. Wyrznął nią, nie osłoniętą, w lód.

Ręce Lily oderwały się od pasa Gronquista, gdy poleciał w mrok. Myślała, że i ona spadnie. Sanie nie uderzyły jej, rozbijając się o kilka metrów dalej, a skuter stanął chwiejnie, przechylony niebezpiecznie pod kątem 45 stopni, z silnikiem pracującym na wolnych obrotach.

Stał tak chwilę, a potem wolno opadł na bok, przygniatając nogi Lily od bioder w dół i przygważdżając ją do płyty lodu.

Hoskins i Graham nie od razu zdali sobie sprawę z wypadku za ich plecami, ale niebawem sami wpadli w tarapaty. Przejechawszy około dwustu metrów Graham odwrócił się, aby sprawdzić, jak bardzo wyprzedzili Lily i Gronquista. Zdumiał się widząc ich reflektor daleko w tyle, nieruchomy i skierowany w dół.

Klepnął Hoskinsa w ramię i wrzasnął mu do ucha:

- Chyba coś im się stało!

Hoskins wypatrywał zagłębienia w lodzie, które wyrzezał samolot, aby pojechać wzdłuż niego i dotrzeć do wraku. Właśnie wyteżał wzrok starając się przeniknąć ciemności,

gdy Graham rozproszył jego uwagę.

Słowa zabrzmiały niewyraźnie ponad warkotem skutera, odwrócił więc głowę i krzyknął do Grahama:

- Co mówisz?

- Zawracaj, coś się stało!

Hoskins kiwnął głową na znak zgody i znów skierował uwagę na teren w przedzie, ale było już za późno. Tuż przed sobą dostrzegł nagle jeden z rowów wyłobionych kołami samolotu.

Skuter śnieżny przeleciał nad dwumetrową szczeliną w lodzie. Ciężar dwóch mężczyzn sprawił, że przód skutera opadł i z ostrym trzaskiem uderzył w przeciwległą krawędź rowu. Na szczęście dla nich obu zostali wystrzeleni jak z procy na taflę lodu i pokoziołkowali po niej niczym dwie szmaciane lalki po wywoskowanej podłodze.

W pół minuty później półprzytomny Graham, poruszając się jak dziewięćdziesięcioletni starzec, uniósł się sztywno na ręce i kolana. Usiadł w oszołomieniu, nie zdając sobie sprawy, co się naprawdę stało. Usłyszał za sobą dziwny syk i obejrzał się.

Hoskins siedział zgięty z bólu i przyciskał obie ręce do krocza. Wciągał i wypuszczał powietrze przez zaciśnięte zęby, kiwając się w przód i w tył.

Graham zdjął wierzchnią rękawicę i lekko dotknął nosa. Nie wydawał się złamany, choć z nozdrzy ciekła krew, zmuszając go do oddychania ustami. Ostrożnie poruszył kończynami i stwierdził, że są całe. Podpełzł więc do Hoskinsa, którego pełen bólu syk przeszedł w żalosne jęki.

- Co się stało? - spytał.

- Trafiliśmy na szczelinę, którą wyrzył w lodzie samolot - wybełkotał Hoskins pomiędzy jękami. - O Jezu, chyba zostałem wykastrowany.

- Pokaż. - Graham odsunął jego ręce i rozpiął zamek błyskawiczny kombinezonu. Wyjął z kieszeni latarkę i poświecił. Nie zdołał ukryć uśmiechu. - Żona będzie musiała poszukać innej wymówki, żeby się ciebie pozbyć. Nie widzę ani śladu krwi. Twojemu życiu seksualnemu nic nie zagraża.

- Gdzie Lily... i Gronquist? - zapytał Hoskins urywanym głosem.

- Chyba ze dwieście metrów w tyle. Musimy obejść tę szczelinę dookoła i zobaczyć, co się z nimi stało.

Hoskins wstał obolały i podszedł do szczeliny w lodzie. Jakimś cudem reflektor skutera wciąż świecił. Jego mglisty blask ukazywał dno fiordu, podświetlając banieczki powietrza wędrujące z sześciometrowej głębi na powierzchnię. Graham podszedł i też

spojrzał w dół. Potem popatrzyli na siebie nawzajem.

- Jako ratownicy jesteśmy do niczego - rzekł Hoskins z przygnębieniem. - Powinniśmy raczej trzymać się archeologii...

- Cicho! - powiedział nagle Graham. Przyłożył dłoń do uszu i zaczął obracać się na boki jak talerz anteny radarowej. Potem znieruchomiał i wskazał z podnieceniem światła błyskające w oddali. - O Boże! - wrzasnął. - To helikopter!

Lily raz po raz traciła przytomność i znów ją odzyskiwała. Nie rozumiała, czemu jest jej coraz trudniej jasno myśleć. Uniosła głowę i rozejrzała się za Gronquistem. Leżał nieruchomo kilka metrów dalej. Krzyknęła próbując rozpaczliwie zmusić go do odpowiedzi, lecz on leżał jak martwy. Zrezygnowała i stopniowo pogrążyła się w półśnie. Kiedy zaczęła się trząść, zdała sobie sprawę, że jest w lekkim szoku.

Była pewna, że Graham i Hoskins lada chwila wrócą, lecz chwile przeszły wkrótce w bolesne minuty, a oni się nie pokazywali. Czowała się bardzo zmęczona i właśnie zapadała z ulgą w sen, gdy nagle usłyszała jakiś dziwny dudniący odgłos przybliżający się skądś z góry. Potem z nieba zaświeciło światło i oślepiło ją. W nagłym podmuchu wichury wokół wzbil się sypki śnieg. Dudnienie nieco osłabło i w kręgu światła dostrzegła zarys zbliżającej się postaci.

Postać okazała się mężczyzną w grubej futrzanej parce, który natychmiast zorientował się w sytuacji, chwycił mocno skuter, podniósł i postawił prosto.

Obszedł ją dookoła pozwalając, by blask światła padł mu na twarz. Lily nie widziała tak ostro jak powinna, ale dostrzegła parę błyszczących zielonych oczu, surowych i łagodnych zarazem. Leciutko się zwięzły, kiedy zobaczył, że jest kobietą. Zastanawiała się w oszołomieniu, skąd się tutaj wziął.

Mogła jedynie powiedzieć:

- Och, bardzo się cieszę, że pana widzę.

- Jestem Dirk Pitt - odpowiedział ciepły głos. - Jeśli jest pani wolna, może zjemy jutro razem obiad?

Lily patrzyła na Pitta, usiłując go zrozumieć, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Nie wiem, czy będę do tego zdolna.

Pchnął w tył kaptur parki i przesunął dłońmi po jej nogach. Delikatnie ścisnął kostki.

- Żadnych widocznych złamań ani opuchnięć - rzekł przyjaznym głosem. - Boli panią coś?

- Jest mi za zimno, żebym mogła odczuwać ból.

Przyniósł parę koców wyrzuconych z sań i okrył ją.

- Pani nie jest z samolotu. Skąd się pani tutaj wzięła?

- Jestem z ekipy archeologów, którzy prowadzą prace wykopaliskowe w starożytnej wiosce eskimoskiej. Usłyszeliśmy samolot nadlatujący nad fiord i wybiegliśmy z chaty w samą porę, żeby zobaczyć, jak ląduje na lodzie. Jechaliśmy właśnie z kocami i medykamentami na miejsce katastrofy, kiedy... - Słowa Lily stały się niewyraźne. Słabym ruchem ręki wskazała przewrócone sanie.

- My...?

W świetle reflektorów helikoptera Pitt szybko czytał ślady pokrywające lód: prosty ślad skutera, potem nagły skręt przed oderwanym skrzydłem samolotu, ostre rysy wykonane płozami sań, które wymknęły się spod kontroli - i dopiero wtedy zauważył drugiego człowieka, leżącego prawie dziesięć metrów za skrzydłem.

- Proszę poczekać.

Pitt podszedł i ukląkł obok Gronquista. Wielki mężczyzna oddychał miarowo. Pitt zbadał go pobieżnie.

Lily chwilę przyglądała się temu, a potem zapytała z niepokojem:

- Czy jest martwy?

- Ależ skąd. Ma brzydkie stłuczenie na czole. Prawdopodobnie doznał wstrząsu mózgu. Może pęknięcia czaszki, ale wątpię. Ma łeb jak kasa pancerna.

Nadszedł powłócząc nogami Graham, a za nim kulejący Hoskins, obaj niczym śniegowe bałwany, w przyprószonych białą kombinezonach arktycznych i z oblodzonymi od pary oddechu maskami na twarzach. Graham zdjął swoją odsłaniając okrwawioną twarz, chwilę przyglądał się Pittowi, a potem uśmiechnął się słabo.

- Witamy cię, obcy przybyszu. Zjawileś się w samą porę.

Nikt z lecących helikopterem nie zauważył wcześniej tych dwóch członków ekspedycji archeologicznej, toteż Pitt zaczął się zastanawiać, ilu jeszcze pacjentów wymagających opieki ambulatoryjnej pałęta się wokół fiordu.

- Mam tu rannego mężczyznę i kobietę - rzekł Pitt bez żadnych wstępów. - Czy są z waszej grupy?

Uśmiech spełził z twarzy Grahama.

- Co się stało?

- Mieli paskudny wypadek.

- My też.

- Widzieliście samolot?

- Widzieliśmy, jak ląduje, lecz nie dotarliśmy do niego.

Hoskins wyszedł zza pleców Grahama, spojrział na Lily, a potem zaczął się rozglądać dokoła. Dostrzegł Gronquista.

- Co im jest?

- Dowiemy się, jak ich prześwietlimy. Mam w helikopterze ekipę medyczną...

- Więc na co pan u licha czeka? - przerwał mu Hoskins. - Niech ich pan tu wezwie. - Zrobił ruch, aby wyminąć Pitta, lecz nagle stanął jak wryty czując żelazny uchwyt na ramieniu. Spojrział nierozumiejąco w surowe oczy.

- Wasi przyjaciele będą musieli poczekać - rzekł Pitt stanowczym tonem. - Ludzie z rozbitego samolotu mają pierwszeństwo. Daleko jest wasz obóz?

- Kilometr na południe - odparł ulegle Hoskins.

- Ten skuter jest na chodzie. Przyczepcie do niego sanie i zawieźcie swoich rannych do obozu. Jedźcie powoli, bo mogą mieć jakieś wewnętrzne obrażenia. Macie radiostację?

- Tak.

- Nastawcie ją na częstotliwość trzydzieści dwa i bądźcie na nasłuchu - rzekł Pitt. - Jeżeli to samolot pasażerski, czeka nas mnóstwo roboty.

- Będziemy na nasłuchu - zapewnił go Graham.

Pitt pochylił się nad Lily i ścisnął jej dłoń.

- Proszę nie zapomnieć, że jesteśmy umówieni - rzekł.

Wciągnął kaptur parki na głowę, odwrócił się i pobiegł do helikoptera.

Rubin czuł napierający nań ze wszystkich stron ciężar, jakby jakaś nieubłagana siła pchała go w tył. Pasy wrzynały mu się bezlitośnie w brzuch i ramiona. Otworzył oczy i zobaczył tylko niewyraźne cienie. Czekał aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, próbował poruszyć dłońmi i ramionami, ale były jak przykute.

Potem jego oczy stopniowo odzyskały zdolność widzenia i wtedy zobaczył.

Przez rozbite okno wpadła do kokpitu lawina śniegu i lodu, unieruchamiając mu całe ciało aż po pierś. Zrobił rozpaczliwą próbę uwolnienia się. Po kilku minutach szarpania



zrezygnował. Nie wydostanie się z kokpitu bez pomocy.

Szok z wolna ustępował i Rubin zacisnął zęby z bólu, który doszedł od złamanych nóg. Stopy miał jakby zanurzone w wodzie. Pomyślał, że to pewnie jego własna krew.

Mylił się jednak. Samolot osiadł na dnie fiordu w miejscu, gdzie woda miała głębokość prawie trzech metrów i zalała kabinę aż po siedzenia.

Dopiero teraz przypomniał sobie Ybarrę. Obrócił głowę w prawo i wytrzymał wzrok. Prawa część dziobu samolotu była wgnieciona niemal po tablicę z przyrządami. Zobaczył tylko sztywną rękę meksykańskiego delegata, która wystawała nad śniegiem i zgniecionymi w harmonijkę blachami.

Odwrócił głowę. Zemdlilo go, gdy zdał sobie sprawę, że mały człowieczek, który przez cały czas straszliwej próby, jakiej zostali poddani, siedział u jego boku, jest teraz martwy. Zdał sobie sprawę i z tego, że pozostało mu bardzo mało czasu do zamrożenia na śmierć.

Zaczął płakać.

- Zaraz powinniśmy go zobaczyć! - krzyknął Giordino ponad warkotem rotora.

Pitt skinął głową i spojrział w dół na szczelinę wyoraną w lodzie. Po obu jej stronach leżały szczątki oderwanych blach. Nagle go ujrzał. Za chwilę znaleźli się nad nim.

W wyglądzie rozbitego samolotu było coś smutnego i złowróżbnego. Jedno skrzydło całkowicie oderwane, drugie wykręcone w tył, ku kadłubowi. Część ogonowa żałośnie zakrzywiona. Wrak wyglądał jak owad rozdeptany na białym dywanie.

- Łód załamał się pod kadłubem i samolot jest w dwóch trzecich zatopiony w wodzie - zauważył Pitt.

- Nie zapalił się na szczęście - powiedział Giordino. Podniósł dłoń, aby osłonić oczy od blasku, gdy światła helikoptera oświetliły kadłub. - Ale wypolerowany! Dbali o niego. To chyba boeing 720-B. Widać jakieś oznaki życia?

- Żadnych - odparł Pitt. - Niewesoło to wygląda.

- Ma znaki identyfikacyjne?

- Trzy pionowe pasy, jasnoniebieski i purpurowy, przedzielone złotym.

- Żadna ze znanych mi linii nie ma takich barw.

- Zmniejsz wysokość i zatocz koło - rzekł Pitt. - Poszukaj miejsca do wylądowania, a ja spróbuję odczytać, co na nim jest napisane.

Giordino spiralą sprowadził śmigłowiec nad wrak samolotu. Światła lądowania, umieszczone na dziobie i ogonie śmigłowca, zalały na wpół zatopiony samolot morzem blasku. Napis nad ozdobnymi paskami był wykonany skośnymi literami.

- Nebula - odczytał głośno Pitt. - Linie lotnicze Nebula.

- Nigdy o nich nie słyszałem - powiedział Giordino ze wzrokiem utkwionym w lód.

- Luksusowe linie świadczące usługi ważnym osobistościom. Wykonują tylko czarterowe loty.

- Co on, u licha, robi tak daleko od normalnych szlaków?

- Wkrótce się dowiemy... jeśli ktokolwiek przeżył, aby nam to powiedzieć.

Pitt odwrócił się do ośmiu mężczyzn siedzących wygodnie w ciepłym wnętrzu śmigłowca. Wszyscy mieli na sobie granatowe arktyczne kombinezony marynarki. Jeden z nich był chirurgiem okrętowym, trzech lekarzami, a czterej ekspertami od awarii technicznych. Rozmawiali bez troski jak podczas wycieczki autobusowej do Denver. Pomiędzy nimi, przytroczone pasami do podłogi, stały pudła z medykamentami, a obok ubrań azbestowych i skrzyni ze sprzętem pożarniczym leżały nosze i stosy koców.

Naprzeciwko głównych drzwi znajdowało się przymocowane linkami do sufitu pomocnicze elektryczne urządzenie ogrzewcze. Obok stał mały skuter śnieżny z kabiną i bocznymi gąsienicami.

Siwy mężczyzna z wąsami i brodą siedzący tuż za fotelami pilotów spojrzał na Pitta.

- Pora, abyśmy zasłużyli na nasze płace? - zapytał z uśmiechem. Nic nie było w stanie zakłócić pogody ducha doktora Jacka Gale'a.

- Lądujemy - odparł Pitt. - Wokół samolotu martwa cisza. Żadnych śladów ognia. Kokpit zarył się w śniegu, a kadłub wygląda na zniekształcony, ale cały.

- Całe szczęście, że się nie zapalił - stwierdził Gale. - Cholernie trudno leczyć przypadki poparzenia.

- To była dobra wiadomość, a zła jest taka, że główna kabina jest wypełniona prawie na metr wodą, a my nie wzięliśmy kaloszy.

Twarz Gale'a spoważniała.

- Niech Bóg ma w opiece tych rannych, którzy znaleźli się w wodzie. Nie przeżyliby więcej niż osiem minut w tej temperaturze.

- Jeżeli nikt z tych, którzy utrzymali się przy życiu, nie zdoła otworzyć drzwi awaryjnych, będziemy musieli wyciąć sobie wejście.

- Iskry przyrządów do cięcia metalu mają brzydki zwyczaj zapalania rozlanego paliwa - powiedział porucznik Cork Simon, krępy dowódca ekipy do usuwania awarii technicznych z „Polar Explorera”. Wyglądał na człowieka, który zna swój fach na wylot. - Lepiej wejdźmy przez główne drzwi. Doktor Gale musi mieć dużo miejsca, żeby wydostać ludzi na noszach.

- Zgoda - rzekł Pitt. - Ale drzwi ciśnieniowe zablokowane na skutek odkształceń na czopach mogą być trudne do otwarcia. Ludzie tam pewnie umierają z zimna. Pierwszą rzeczą będzie zrobienie otworu, w którym można by umieścić wylot urządzenia ogrzewczego...

Urwał, kiedy Giordino wykonał nagły nawrót i skierował maszynę w dół, ku płaskiemu miejscu o rzut kamieniem od wraku samolotu. Wszyscy stężeli w gotowości. Na zewnątrz śmigła wzbily w powietrze cząsteczki śniegu i lodu, zmieniając miejsce lądowania w alabastrową breję, która odcięła wszelką widoczność.

Ledwo Giordino dotknął kołami helikoptera lodu i nastawił przepustnice na jałowy bieg, już Pitt pchnął drzwi załadunkowe, wyskoczył i pobiegł ku wrakowi. Doktor Gale zaczął kierować rozładunkiem, a Cork Simon i jego ekipa opuścili pomocnicze urządzenie ogrzewcze i skuter na lód.

Biegając i ślizgając się Pitt okrążył kadłub wraku, skrzętnie omijając szczeliny lodowe. W powietrzu unosił się zapach paliwa. Wspiął się na lodową hałdę górującą nad okienkami kokpitu. Wspinanie się na tę śliską powierzchnię było podobne do gramolenia się na pokrytą smarem rampę. Próbował wygrzebać sobie przejście do kokpitu, ale szybko zrezygnował - musiałby z godzinę przekopywać się przez odłamki lodu pakowego.

Ześliznął się w dół i podbiegł do skrzydła. Główna jego część była skręcona i odłamana od wsporników, koniec leżał przy ogonie, wsparty o lód, a całe skrzydło, przygniecione do częściowo zatopionego kadłuba, biegło o długość ramienia pod rzędem okien. Posłużywszy się skrzydłem jako pomostem nad otwartą wodą, Pitt opadł na czworaka i spróbował zajrzeć do wnętrza samolotu. Światła helikoptera odbijały się od pleksiglasu, musiał więc osłonić oczy dłońmi.

Z początku nie widział wewnątrz nic. Ciemność i śmiertelny bezruch.

Potem nagle z drugiej strony szyby ukazała się kilka centymetrów od oczu Pitta jakaś groteskowa twarz.

Cofnął się odruchowo. Nagłe pojawienie się kobiety z raną ciętą nad okiem i połową twarzy zalaną krwią, z rysami zniekształconymi przez spękaną szybę, wstrząsnęło Pittem.

Szybko się jednak opanował i przyjrzał nietkniętej części twarzy. Wysokie kości policzkowe, długie ciemne włosy i oliwkowobrazowe oko świadczyły, że była to bardzo piękna kobieta.

Przysunął twarz do okna i krzyknął:

- Czy może pani otworzyć klapę wyjścia awaryjnego?

Wyskubana brew uniosła się leciutko, lecz oko nie przejawiało zrozumienia.

- Słyszysz mnie pani?

W tej samej chwili ludzie Simona włączyli agregat prądotwórczy i zabłysły światła rozstawionych reflektorów, oświetlając kadłub samolotu. Szybko podłączyli nagrzewnicę i Simon przeciągnął przez lód giętką rurę dmuchawy.

- Tutaj, na skrzydło! - zamachał do niego Pitt. - I przynieś coś do przecięcia okna.

Ekipa do usuwania awarii technicznych była specjalnie wyszkolona i wzięła się do roboty z kompetencją, jakby ratowanie pasażerów rozbitych odrzutowców było jej codziennym zajęciem.

Kiedy Pitt znów spojrział w okno, kobiety już nie było.

Simon i jeden z ludzi z jego ekipy wdrapali się na skrzydło i z trudem się po nim posuwając wlekli za sobą grubą rurę dmuchawy. Pitt poczuł podmuch gorąca.

- Potrzebna mi siekiera, żeby wybić okno - powiedział.

Simon spojrział na niego z wyższością.

- Marynarkę Stanów Zjednoczonych stać na lepsze sposoby. My nie posługujemy się tak prymitywnymi metodami. - Wyjął z kieszeni jakieś urządzenie na baterię. Przycisnął guzik i umieszczone z boku kółko z materiału ciernego zaczęło się obracać. - Wchodzi w pleksyglas i aluminium jak w masło.

- Więc do roboty - rzekł Pitt sucho, usuwając się z drogi.

Simon w niespełna dwie minuty wyciął swoim niewielkim przyrządem zewnętrzne okno. Wycięcie cieńszego, wewnętrznego, zajęło mu ledwie trzydzieści sekund.

Pitt schylił się, włożył do środka rękę i zapalił latarkę. Po kobiecie ani śladu. W blasku latarki lśniła zimna fiordowa woda. Chlupotała o brzegi pobliskich pustych foteli.

Simon i Pitt włożyli koniec rury dmuchawy w okno i pospieszyli do przedniej części samolotu. Marynarze sięgnęli pod powierzchnię wody i odryglowali zamek głównych drzwi wyjściowych, lecz jak przewidywali, były zablokowane. Szybko wywiercili otwory i wkręcili w nie haki z nierdzewnej stali, które następnie zamocowali do lin przyczepionych do skutera.

Kierowca włączył sprzęgło i skuter zaczął się posuwać cal po calu, aż liny się naprężyły. Wówczas dodał gazu. Stalowe kolce gąsienic wryły się w lód. Przez kilka sekund nic się nie działo. Słychać było tylko ryk silnika i chrzęst darty gąsienicami lodu.

Po pełnej wyczekiwania chwili dał się słyszeć inny dźwięk - zgrzyt opierającego się metalu - i nagle dolna część drzwi kabiny uniosła się nad wodę. Odczepiono liny i cała ekipa ratownicza przykucnęła, zaparła się barkami w drzwi i dźwignęła je prawie do samej góry.

Wnętrze samolotu było mroczne i złowróżbne.

Pitt schylił się nad wąskim pasmem wody i spojrzał w nieznane. Jego postać rzucała cień na wodę w głównej kabinie i początkowo nie widział nic prócz połyskującej ściany kuchenki.

Było zupełnie cicho, brak było jakichkolwiek oznak ludzkiej obecności.

Pitt zawahał się i spojrzał za siebie. Za nim stał doktor Gale i jego ekipa medyczna, wszyscy pełni ponurych przeczuć. Ludzie Simona rozwijali kabel, aby oświetlić wnętrze kadłuba.

- Wchodzę - rzekł Pitt.

Skoczył przez półotwarte drzwi do samolotu. Wylądował w wodzie, która ochlapała go aż nad kolana. Poczul w nogach jakby ukłucie tysiąca igieł. Obszedł przepierzenie i wszedł między rzędy foteli kabiny pasażerskiej. Pełna grozy cisza działała mu na nerwy. Jedynym dźwiękiem był chlupot jego kroków.

Nagle zastygł wstrząśnięty: zobaczył przed sobą mnóstwo widmowo białych twarzy. Żadna z nich nie poruszyła się, nie mrugnęła, nie wydała dźwięku. Ludzie siedzieli zapięci pasami w fotelach i wpatrywali się w niego niewidzącymi oczyma umarłych.

Przez grzbiet Pitta przeszedł zimny dreszcz. Z zewnątrz, spoza okienek przenikał blask, rzucający na ściany niesamowite cienie. Pitt spoglądał na fotele jakby w oczekiwaniu, że któryś z pasażerów machnie mu na powitanie ręką albo coś powie, lecz wszyscy tkwili nieruchomo jak mumie w grobowcu.

Pochylił się nad mężczyzną o przylizanych rudawoblond włosach przedzielonych na środku przedziałkiem. Na twarzy mężczyzny nie było wyrazu cierpienia. Oczy były na wpół otwarte, jakby się miały za chwilę przymknąć we śnie, usta zamknięte.

Uniósł bezwładną dłoń, dotknął koniuszkami palców podstawy kciuka i przycisnął biegnącą pod skórą arterię po wewnętrznej stronie przegubu. Nie wyczuł pulsu - serce nie pracowało.

- Żyje? - zapytał doktor Gale brodząc w wodzie i badając innego pacjenta.

- Nie - odparł Pitt.

- Ten też.

- A jaki jest powód śmierci?

- Jeszcze nie wiem. Nie ma widocznych uszkodzeń ciała. Śmierć nastąpiła niedawno. Nic nie wskazuje na silny ból lub walkę. Zabarwienie skóry nie sugeruje uduszenia.

- To by się zgadzało - rzekł Pitt. - Wszystkie maski tlenowe leżą na półkach.

Gale szybko przesunął się od ciała do ciała.

- Będę mógł powiedzieć coś więcej po dokładniejszym badaniu.

Pitt czekał, aż Simon skończy mocowanie lampy nad drzwiami. Machnął ręką do kogoś na zewnątrz i nagle wewnątrz kabiny pasażerskiej zalało światło.

Przyjrzał się kabinie. Jedyne uszkodzeniem, jakie dostrzegł, było lekkie wgniecenie w suficie. Wszystkie fotele stały prosto i wszystkie pasy były zapięte.

- Trudno uwierzyć, że siedzieli w lodowatej wodzie nic nie robiąc i czekali, aż umrą z wychłodzenia ciała - powiedział szukając oznak życia u starszej kobiety o brązowych włosach. W jej twarzy również nie było nic wskazującego na cierpienie. Wyglądała, jakby po prostu spała. Z palców kobiety zwisał różaniec.

- Najwidoczniej wszyscy byli już martwi, kiedy samolot uderzył w lód - rzekł Gale.

- Na to wygląda - mruknął Pitt, szybko przebiegając wzrokiem rzędy foteli, jakby w poszukiwaniu kogoś.

- Śmierć spowodowały prawdopodobnie jakieś toksyczne wyziewy.

- Czujesz coś?

- Nie.

- Ja też nie.

- Cóż więc pozostaje?

- Trucizna.

Gale rzucił na Pitta długie spojrzenie.

- Mówisz o masowym mordzie.

- Wszystko na to wskazuje.

- Gdybyśmy jeszcze mieli jakiegoś świadka...

- Mamy.

Gale zeszywniał i szybko spojrzał po bladych twarzach.

- Zauważyłeś, że któryś oddycha? Który?

- Zanim tutaj weszliśmy - wyjaśnił Pitt - wyjrzała do mnie zza szyby jakaś kobieta.

Była żywa. Nie widzę jej teraz.

Nim Gale zdążył coś powiedzieć, przyczłapał z chłupotem Simon i stanął przy nich wstrząśnięty.

- Co u licha? - Rozglądał się w osłupieniu po kabinie. - Wyglądają jak woskowe figury.

- Raczej jak trupy w kostnicy - rzekł Pitt cierpko.

- Są martwi? Wszyscy? Wiecie na pewno?

- Ktoś żyje - odparł Pitt - i jest w kokpicie albo ukrywa się w jednej z toalet w tyle samolotu.

- Na pewno potrzebuje mojej pomocy - powiedział Gale.

Pitt skinął głową.

- Najlepiej będzie, jeśli zbadasz resztę pasażerów. Może w którymś z nich tli się iskierka życia. Simon sprawdzi kokpit, a ja przeszukam toalety.

- A co z tymi sztywniakami? - spytał Simon. - Czy nie powinniśmy powiadomić komandora Knighta i zacząć ich ewakuować?

- Zostaw ich - rzekł Pitt spokojnie. - I trzymaj się z dala od radia. Zameldujemy o tym komandorowi osobiście. Nie wpuszczaj tu swoich ludzi. Potem zapieczętujesz drzwi i powiesz, że wstęp na pokład samolotu jest wzbroniony. To samo dotyczy ekipy medycznej, doktorze. Niczego nie dotykajcie. Stało się tu coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Wiadomość o katastrofie już poszła w świat. Za kilka godzin będą tutaj inspektorzy od wypadków lotniczych, a dziennikarze zlecą się jak szarańcza. Najlepiej nie mówić o tym, co tu zastaliśmy, póki nie skontaktujemy się z odpowiednimi czynnikami.

Simon przez chwilę ważył słowa Pitta.

- Rozumiem.

- No to ruszajmy szukać ocalałych.

Dojście do toalet, które normalnie trwałoby dwadzieścia sekund, zajęło Dirkowi Pittowi prawie dwie minuty, ponieważ musiał brodzić w wodzie sięgającej ud. Stopy zdrętwiały mu z zimna i wcale nie musiał radzić się doktora Gale'a, by wiedzieć, że jeśli ich nie ogrzeje i nie osuszy w ciągu najbliższej półgodziny, ryzykuje odmrożenie.

Liczba śmiertelnych ofiar byłaby znacznie większa, gdyby samolot miał komplet pasażerów. Ale nawet minio wielu pustych miejsc Pitt naliczył aż pięćdziesiąt trzy ciała.

Przystanął, żeby zbadać stewardesę, która siedziała oparta o tylną ściankę. Głowę miała spuszczoną, blond włosy zakrywały jej twarz. Nie wyczuł tętna.

Doszedł do pomieszczenia, w którym znajdowały się toalety. Na trzech z nich widniał napis: WOLNE. Zajrzał do wnętrza. Były puste. Czwarta miała napis ZAJĘTE i była zamknięta. Ktoś musiał być w środku, skoro przekręcił zamek.

Zapukał do drzwi i powiedział:

- Przychodzę z pomocą. Proszę odryglować drzwi.

Przyłożył ucho do drzwi i wydało mu się, że słyszy zza nich ciche łkanie, a następnie jakby szepty dwóch osób.

- Odsuńcie się - rzekł głośno. - Wyważam drzwi.

Podniósł ociekającą wodą nogę i uderzył z odmierzoną siłą. Nie chciał zgnieść drzwiami kogoś, kto się za nimi znajdował. Trafił obcasem tuż nad klamką. Zamek wyłamał się i drzwi uchyliły się na parę centymetrów. Łagodne pchnięcie barkiem otworzyło je szerzej.

Na desce klozetowej w ciasnym kącie toalety stały dwie kobiety - drżały i podtrzymywały się nawzajem. Jedna z nich była w mundurku stewardesy i miała wielkie przerażone oczy łani złapanej w potrzask. Stała na prawej nodze, lewą trzymała wyciągniętą sztywno w bok. Zwichnięte kolano, domyślił się Pitt.

Druga kobieta wyprostowała się i spojrzała na Pitta wyzywająco. Pitt natychmiast rozpoznał w niej tę, którą widział przez okienko. Połowę twarzy miała wciąż pokrytą skrzepłą krwią, ale widział teraz dwoje oczu, które miały chłodny wyraz nienawiści.

- Kim pan jest i czego pan chce? - spytała matowym głosem z lekko cudzoziemskim akcentem.

Pitt pomyślał, że to grupie pytanie, lecz zaraz przypisał je szokowi. Uśmiechnął się swoim najbardziej budzącym zaufanie skautowskim uśmiechem.

- Jestem Dirk Pitt. Należę do brygady ratowniczej ze statku Marynarki Stanów



Zjednoczonych „Polar Explorer”.

- Może pan to udowodnić?

- Przykro mi, ale zostawiłem prawo jazdy w domu. - Wszystko to graniczyło z komedią. Spróbował innego podejścia. Oparł się o framugę drzwi i założył ręce na piersiach. - Proszę się uspokoić. Nie chcę was skrzywdzić. Chcę wam pomóc.

Stewardesa jakby odetchnęła z ulgą. Jej oczy złagodniały, a koniuszki ust uniosły się w płochliwym uśmiechu. Potem nagle strach powrócił i załkała histerycznie.

- Oni wszyscy nie żyją, są zamordowani!

- Tak, wiem - rzekł Pitt łagodnie. Wyciągnął rękę. - Chodźcie, zabiorę was tam, gdzie jest ciepło, i lekarz okrętowy opatrzy wasze rany.

Twarz Pitta była w cieniu i kobiety nie mogły zobaczyć jego oczu.

- A jeśli pan jest jednym z terrorystów, którzy spowodowali to nieszczęście? - spytała druga kobieta opanowanym tonem. - Dlaczego mamy panu wierzyć?

- Bo w przeciwnym razie zamarzniecie tu na śmierć.

Znudziły go te słowne gierki. Podeszedł, uniósł ostrożnie stewardesę i wyszedł z nią z toalety. Nie opierała się, ale zeszywniała ze strachu.

- Spokojnie - rzekł. - Pomyśl sobie, że jesteś Scarlett O'Hara, a ja Rett Butler, który przyszedł cię porwać.

- Nie czuję się jak Scarlett. Pewnie okropnie wyglądam.

- Nie dla mnie. - Pitt uśmiechnął się. - Może zjemy razem kolację?

- Mogę zabrać ze sobą męża?

- Pod warunkiem, że to on zapłaci rachunek.

Wówczas poddała się i Pitt poczuł, że jej ciało odpręża się z ulgą. Objęła ramionami jego szyję i oparła mu głowę na ramieniu. Odwrócił się twarzą do drugiej kobiety. W świetle kabiny widać było teraz ciepło jego uśmiechu i pogodny blask oczu.

- Trzymaj się. Zaraz po ciebie wrócę.

Hala zrozumiała, że wreszcie jest bezpieczna. Tłumione uczucia wyzwoliły się i Hala zapłakała.

Rubin myślał, że umiera. Chłód i ból przestały istnieć. Dziwne głosy i blaski światel nie miały już dla niego żadnego znaczenia.

Nagle rozbity kokpit wypełniło blade światło. Zastanawiał się, czy to nie owa jasność u końca tunelu widziana przez ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną.

Jakiś bezcielesny głos powiedział:

- Spokojnie, spokojnie.

Rubin spróbował skupić spojrzenie na majaczącej nad nim postaci.

- Czy jesteś Bogiem?

Simon zrobił głupią minę, a potem uśmiechnął się współczująco.

- Tylko zwykłym śmiertelnikiem, który przypadkiem był w pobliżu.

- Więc nie umarłem?

- Przykro mi, ale jeżeli potrafię ocenić z wyglądu czyjś wiek, to będziesz musiał poczekać na śmierć jeszcze z pięćdziesiąt lat.

- Nie mogę się poruszyć. Jakbym miał przygniecione nogi. Chyba są złamane. Błagam, wyciągnij mnie stąd.

- Po to właśnie tu jestem - odparł Simon pogodnie. Odgarnął dłońmi pół metra śniegu i lodu z torsu Rubina, uwolnił mu ręce. - Teraz możesz drapać się w nos, póki nie wrócę z łopatą i innymi narzędziami.

Simon wrócił do głównej kabiny w chwili, gdy Pitt przekazywał stewardesę sanitariuszom doktora Gale'a. Delikatnie położyli ją na noszach.

- Doktorze, mam żywego człowieka w kokpicie.

- Już idę - odparł Gale.

- Przydałaby się i twoja pomoc - powiedział Simon Pittowi.

Pitt skinął głową.

- Jak tylko przyniosę drugą kobietę z końca samolotu.

Hala osunęła się na kolana, pochyliła i spojrzała w lustro. Było na tyle jasno, że mogła się przejrzeć. Ujrzała tępooką twarz bez wyrazu, w kompletnej ruinie. Wyglądała jak podstarzała ulicznica pobita przez sutenera.

Zerwała papierowy ręcznik, zanurzyła go w chłodnej wodzie, a potem wytarła nim zakrzepłą krew i szminkę, która rozmasała się wokół warg. Tusz do rzęs i cienie do powiek wyglądały niczym farby, które Jackson Pollock rzucał na swoje płótna. Starła je. Włosy miały jaki taki wygląd, wystarczyło je trochę poprawić.

Nadal wyglądam okropnie, myślała z rozpaczą. Uśmiechnęła się z przymusem, gdy Pitt pojawił się ponownie.

Długą chwilę patrzył na nią z wyrazem ciekawości na twarzy.

- Przepraszam cię bardzo, wspaniała istoto, ale czy nie widziałaś tu gdzieś starej wiedźmy?

Łzy napłynęły do oczu Hali Kamil i na wpół zaśmiała się, na wpół zapłakała.

- Miły z pana człowiek, panie Pitt. Dziękuję.

- Staram się, jak umiem - odrzekł żartobliwie.

Przyniósł z sobą kilka koców i owinął nimi Halę. Wziął ją jedną ręką pod kolana, drugą w pasie i uniósł. Kiedy szedł przez główną kabinę, nogi nagle zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa i mało się nie przewrócił.

- Czy nic panu nie jest?

- Nic, czego by nie wyleczyła szklaneczka whisky Jacka Danielsa z Tennessee.

- Zaraz po powrocie do domu przyślę panu całą skrzynkę.

- A gdzie jest pani dom?

- Obecnie w Nowym Jorku.

- Może więc zjemy razem kolację, jak wpadnę do miasta.

- To będzie dla mnie zaszczyt, proszę pana.

- Dla mnie też, panno Kamil.

Hala uniosła brwi.

- Poznał mnie pan? W takim stanie?

- Przyznam, że dopiero wtedy, gdy doprowadziła się pani trochę do porządku.

- Proszę mi wybaczyć cały ten kłopot. Pewnie ma pan zupełnie odmrożone nogi.

- To bardzo mała cena za możliwość pochwalenia się, że się trzymało panią sekretarz ONZ w ramionach.

Fantastyczne, doprawdy fantastyczne, myślał Pitt. Co za święto! Umówienie się w ciągu jednej półgodziny z trzema przystojnymi kobietami, które były jedynymi przedstawicielkami swojej płci na obszarze dwóch tysięcy mil mroźnego pustkowia, to nie lada osiągnięcie. O wiele większe niż znalezienie rosyjskiej łodzi podwodnej.

Piętnaście minut później, gdy Hala, Rubin i stewardesa zostali wygodnie ulokowani w śmigłowcu, Pitt pomachał do Giordina, który odpowiedział mu wzniesionym kciukiem. Zawirowały rotory i helikopter uniósł się w powietrze ponad chmurę śnieżnego pyłu, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął ku statkowi „Polar Explorer”. Dopiero gdy śmigłowiec bezpiecznie wystartował, Pitt pokuśtykał do pomocniczego urządzenia ogrzewczego.

Zdjął przemoczone buty i mokre skarpety i trzymał nogi w strudze ciepłego powietrza przy dmuchawie, cierpliwie znosząc kłujący ból powracającego krążenia. Kątem oka zauważył zbliżającego się Simona.

Simon zatrzymał się i stał patrząc na bok kadłuba wraku. Samolot nie sprawiał już wrażenia opuszczonego. Ale świadomość, że jest w nim tylu martwych ludzi, nie była przyjemna.

- To byli delegaci ONZ? - zapytał z daleka.

- Kilku z nich było członkami Zgromadzenia Ogólnego - odparł Pitt. - Reszta to dyrektorzy i członkowie różnych wyspecjalizowanych agencji ONZ. Większość z nich wracała z objazdu swoich agentur terenowych.

- Kto mógłby odnieść korzyść z ich śmierci?

Pitt wyjął skarpety i powiesił je na rurze ogrzewczej.

- Nie mam pojęcia.

- Terroryci ze Środkowego Wschodu? - spytał Simon.

- Jeszcze nie słyszałem, żeby stosowali trucizny.

- Jak twoje nogi?

- Powoli odmarzają. A twoje?

- Marynarka Stanów Zjednoczonych zaopatruje swoich ludzi w doskonale obuwie, sprawdzające się w każdych warunkach.

- Brawa dla admirałów - mruknął Pitt.

- Moim zdaniem całą tę brudną robotę wykonał ktoś z tych trojga ocalałych.

Pitt pokręcił głową.

- Jeżeli pasażerowie rzeczywiście zginęli od trucizny, została ona prawdopodobnie umieszczona w jedzeniu, jeszcze zanim je dostarczono na samolot.

- Mógł to zrobić w samolocie szef stewardów albo stewardesa.

- Trudno jest wsypać niepostrzeżenie truciznę do pięćdziesięciu porcji.

- A do napojów? - upierał się Simon.

- Ale z ciebie uparty drań.

- Co szkodzi trochę pospekulować?

Pitt sprawdził skarpety. Były jeszcze wilgotne.

- Zgoda, w napojach to możliwe. Zwłaszcza w herbacie i kawie.

Simon ucieszył się, że przynajmniej jedna z jego teorii została przyjęta.

- Więc powiedz teraz, cwaniaku, kto z trojga ocalałych jest twoim podejrzanym?

- Nikt.

- Chcesz powiedzieć, że sprawca świadomie zażył truciznę i popełnił samobójstwo?

- Nie. Był jeszcze czwarty ocalały.

- Ja naliczyłem tylko troje.

- Po rozbiciu samolotu. Przedtem było ich czworo.

- Nie masz chyba na myśli tego małego Meksykanina z fotela drugiego pilota?

- Właśnie tak.

Simon odniósł się do tego sceptycznie.

- Jaka niezwykła logika przywiodła cię do takiego wniosku?

- Elementarna - odparł Pitt z chytrym uśmiechem. - Zabójcą jest - zgodnie z najlepszą tradycją tajemniczych morderstw - osoba najmniej podejrzana.

Kto rozdał taki chłam?

Juliusz Schiller, podsekretarz stanu do spraw politycznych, skrzywił się patrząc w swoje karty. Ściskając w zębach nie zapalone cygare, podniósł niebieskie inteligentne oczy i spojrzał na graczy.

Przy pokerowym stoliku siedziało naprzeciw niego czterech mężczyzn. Żaden z nich nie palił, więc Schiller wstrzymał się od zapalenia swojego cygara. W zabytkowym piecu marynarskim trzaskały cedrowe polana. Żywczy zapach wypełniał wyłożoną drewnem tekowym jadalnię jachtu Schillera. Ten piękny trzydziestopięciometrowy jacht motorowy stał na kotwicy na rzece Potomak koło South Island, naprzeciwko miasta Alexandria w stanie Wirginia.

Zastępca ambasadora sowieckiego, Aleksiej Korolenko, tęgi i stateczny mężczyzna, miał na twarzy nieodmienny wyraz jowialności, z którego słynął w kręgach towarzyskich Waszyngtonu.

- Szkoda, że nie gramy w Moskwie - rzekł lekko drwiącym tonem. - Znam takie miłe miejsce na Syberii, gdzie moglibyśmy posłać dealera.

- Popieram wniosek - powiedział Schiller. Spojrzał na człowieka, który rozdał karty. - Następnym razem, Dale, postaraj się je potasować.

- Jeżeli macie takie złe karty - burknął Dale Nichols, specjalny asystent prezydenta - to czemu ich nie złożycie?

Senator George Pitt, przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych, wstał i zdjął sportową marynarkę łososiowego koloru. Powiesił ją na oparciu krzesła i zwrócił się do Jurija Wyhouskiego:

- Czemu oni tak narzekają? Tylko my dwaj nie zgarnęliśmy jeszcze puli.

Specjalny doradca sowieckiej ambasady do spraw amerykańskich kiwnął głową.

- Grywamy już dziewięć lat, a ja jeszcze ani razu nie miałem dobrych kart.

Czwartkowe sesje pokerowe na jachcie Schillera zaczęły się istotnie już w roku 1986 i przerodziły w coś więcej niż tylko partyjka pokera z przyjaciółmi, którym należy się raz na tydzień chwila odprężenia. Początkowo traktowano te spotkania jak drobną szczelinę w murze dzielącym dwa supermocarstwa. Niedostępni dla przedstawicieli środków masowego przekazu, mogli wymieniać poglądy bez biurokratycznej procedury i protokołu dyplomatycznego. Ich spotkania, mimo nieoficjalnego charakteru, miały jednak istotny wpływ na stosunki sowiecko-amerykańskie.

- Otwieram za pięćdziesiąt centów - obwieścił Schiller.

- Pięćdziesiąt i dolar - rzekł Korolenko.

- I oni dziwią się, że im nie ufamy - jęknął Nichols.

- Jakie są wasze przewidywania co do możliwości wybuchu rewolucji w Egipcie, Aleksiej? - spytał senator nie podnosząc wzroku znad kart.

- Ja daję prezydentowi Hasanowi nie więcej niż trzydzieści dni. Potem Achmad Yazid obali jego rząd.

- Nie przewidujesz długotrwałej walki?

- Nie, jeżeli wojsko opowie się za Yazidem.

- Wchodzisz, senatorze? - spytał Nichols.

- Dokładam.

- Jurij...?

Wyhouski włożył do puli trzy pięćdziesięciocentówki.

- Od chwili objęcia rządów po rezygnacji Mubaraka Hasan osiągnął pewien poziom stabilności - rzekł Schiller. - Myślę, że się utrzyma.

- Mówiłeś to samo o szachu Iranu - zauważył Korolenko.

- Nie wypieram się, że postawiliśmy na złego konia. - Schiller urwał i odłożył dwie karty na stół. - Kupuję dwie karty.

Korolenko podniósł palec i otrzymał jedną.

- Egipcjowi zagraża głód. Taka sytuacja sprzyja nasilaniu się religijnego fanatyzmu, który ogarnia dzielnice biedoty i wsie. Macie takie same szansę powstrzymać Yazida, jak Chomeiniego.

- A jakie jest stanowisko Kremla? - spytał senator Pitt.

- My czekamy - odparł beznamiętnie Korolenko. - Czekamy, aż opadnie kurz.

Schiller przyjrzał się swoim kartom i przetasował je.

- Bez względu na wynik nikt nie wygra.

- Słusznie, stracimy wszyscy. Wy jesteście w oczach fundamentalistów islamskich szatanami, ale nas jako dobrych komunistycznych ateistów też nie kochają. Nie muszę ci mówić, że najwięcej straci Izrael. Po klęsce zadanej Irakowi przez Iran i zabójstwie prezydenta Saddama Hussajna Iran i Syria mogą bez przeszkód zmusić umiarkowane narody arabskie do połączenia sił w celu stworzenia wspólnego frontu przeciwko Izraelowi. Żydzi zostaną tym razem pokonani.

Senator pokręcił głową powątpiewająco.

- Izraelczycy mają najbardziej rozbudowaną machinę wojenną na Środkowym Wschodzie. Wygrywali przedtem, wygrają i teraz.

- Nie z atakami „ludzkich fal” w wykonaniu dwóch milionów Arabów - zaproponował Wyhouski. - Siły Assada uderzą na południe, a egipski atak Yazida pójdzie na północ, przez półwysep Synaj, tak samo, jak to się stało w sześćdziesiątym siódmym i siedemdziesiątym trzecim. Tylko że tym razem armia irańska przejdzie przez Arabię Saudyjską i Jordanię i przekroczy rzekę Jordan od zachodu. Mimo swej wyższej technologii Izraelczycy będą musieli ulec.

- A kiedy ta rzeź wreszcie się skończy - dodał złowieszczo Korolenko - państwa zachodnie znajdują się w kryzysie, bo zjednoczone rządy muzułmańskie, mające w swoich rękach pięćdziesiąt pięć procent światowych rezerw ropy, zażądają za nią astronomicznych cen.

- Twoja kolej - rzekł Nichols do Schillera.

- Dwa dolce.

- Przebijam dwa - powiedział Korolenko.

Wyhouski cisnął karty na stół.

- Czekam.

Senator przez chwilę przyglądał się swoim kartom.

- Cztery i jeszcze cztery.

- Reki zaczynają krążyć - rzekł Nichols z krzywym uśmiechem. - Beze mnie.

- Nie oszukujmy się - powiedział senator. - To żadna tajemnica, że Izraelczycy posiadają broń nuklearną i nie zawahają się jej użyć, kiedy poczują się do tego zmuszeni.

Schiller westchnął głęboko.

- Wolę nawet nie myśleć, jakie byłyby konsekwencje. - Podniósł wzrok, gdy szyper jego jachtu zapukał do drzwi i wszedł z wahaniem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest ważny telefon do pana. Jedną z kardynalnych zasad tych cotygodniowych spotkań był zakaz wszelkich rozmów telefonicznych, chyba że chodziło o rzecz bardzo pilną i w jakimś stopniu dotyczącą wszystkich. Kiedy Schiller wyszedł, gra trwała dalej, lecz ciekawość przytłumiła emocje pokerowej rozgrywki.

- Twoja kolej, Aleksiej - rzekł senator.

- Przebijam jeszcze cztery.

- Sprawdzam.

Korolenko wzruszył z rezygnacją ramionami i wyłożył karty. Miał tylko parę czwórek.

Senator uśmiechnął się i pokazał swoje. Wygrał parą szóstek.



- O Boże - jęknął Nichols. - A ja odpadłem z parą króli.

- Straciłeś pieniądze na obiad, Aleksiej - zadrwił Wyhouski.

- Więc obaj blefowaliśmy - rzekł Korolenko. - Teraz wiem, czemu nie należy kupować używanego samochodu od amerykańskiego polityka.

Senator rozparł się wygodnie w fotelu i przeczesał ręką gęste srebrne włosy.

- Prawdę mówiąc, przeszedłem przez studia prawnicze sprzedając samochody. Była to najlepsza zaprawa do ubiegania się o miejsce w senacie.

Wrócił Schiller i usiadł przy stole.

- Bardzo was przepraszam, ale właśnie mnie powiadomiono, że samolot czarterowy Narodów Zjednoczonych rozbił się na wybrzeżu północnej Grenlandii. Zginęło ponad pięćdziesiąt osób.

- Czy na pokładzie samolotu byli sowieccy reprezentanci? - spytał Wyhouski.

- Jeszcze nie mamy listy pasażerów.

- Zamach terrorystyczny?

- Za wcześnie o tym mówić, ale z pierwszych raportów wynika, że nie był to nieszczęśliwy wypadek.

- Skąd i dokąd leciał ten samolot? - spytał Nichols.

- Z Londynu do Nowego Jorku.

- Północna Grenlandia - powtórzył w zamyśleniu Nichols. - Musieli zboczyć z kursu ponad tysiąc mil.

- Wygląda to na porwanie - powiedział Wyhouski.

- Na miejscu katastrofy są już ekipy ratownicze - wyjaśnił Schiller. - W ciągu godziny powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej.

Twarz senatora Pitta sposepniała.

- Podejrzewam, że w tym samolocie była Hala Kamil. Miała wrócić do siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych na przyszłotygodniową sesję Zgromadzenia Ogólnego.

- Chyba George ma rację - rzekł Wyhouski. - A w jej otoczeniu byli dwaj nasi delegaci.

- To szaleństwo - rzekł Schiller potrząsając ze znużeniem głową. - Czyste szaleństwo. Komu mogłoby zależeć na wymordowaniu całego samolotu ludzi z ONZ?

Nikt nie odpowiedział. Zapanowało długie milczenie. Korolenko patrzył w środek stołu. Potem rzekł cicho:

- Achmad Yazid.

Senator spojrział Rosjaninowi w oczy.

- Wiedziałeś?

- Zgadłem.

- Sądzisz, że Yazid kazał zamordować Halę Kamil?

- Mogę jedynie powiedzieć, że nasze źródła wywiadowcze odkryły istnienie w Kairze islamskiej frakcji, która planowała jej zgładzenie.

- I stałeś z boku nic nie mówiąc, gdy pięćdziesięciu niewinnych ludzi umierało?

- Błąd w obliczeniach - przyznał Korolenko. - Nie wiedzieliśmy, kiedy ani jak ma być dokonane zabójstwo. Zakładaliśmy, że życiu Kamil grozi niebezpieczeństwo tylko w razie powrotu do Egiptu... i to nie ze strony samego Yazida, lecz jego fanatycznych zwolenników. Yazid nigdy nie uprawiał terroryzmu. Nasza opinia o nim pokrywa się z waszą: człowiek, który uważa się za muzułmańskiego Gandhiego.

- Co te opinie KGB i CIA są warte! - rzekł Wyhouski.

- Jeszcze jeden klasyczny przypadek wykiwania ekspertów od wywiadu - westchnął senator. - Ten człowiek jest bardziej przebiegły, niż myśleliśmy.

Schiller przytaknął:

- Z pewnością odpowiedzialny za tę tragedię jest Yazid. Bez przyzwolenia jego zwolennicy nigdy by się na to nie poważyli.

- Kamil ma wiele uroku i wpływ na ludzi - rzekł Nichols. - Jej popularność w narodzie i w wojsku znacznie przewyższa popularność Hasana. Jeśli nie żyje, opanowanie rządów przez ekstremistycznych mułłów jest kwestią godzin.

- A jeśli Hasan upadnie? - spytał chytrze Korolenko. - Jakie stanowisko zajmie wówczas Biały Dom?

Schiller i Nichols wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Cóż... Takie samo jak Kreml - odparł Schiller. - Zaczekamy, aż kurz opadnie.

Z twarzy Korolenki spęłzył uśmiech.

- A jeśli połączone narody arabskie zaatakują Izrael?

- Wtedy udzielimy mu całkowitego poparcia, jak w przeszłości.

- Ale czy pošlecie tam swoje wojska?

- Prawdopodobnie nie.

- Arabscy przywódcy zachowywaliby się mniej ostrożnie, gdyby to wiedzieli.

- Niech się dowiedzą. Tylko pamiętaj, Aleksiej... tym razem nie będziemy próbowali powstrzymać Izraelczyków przed zajęciem Kairu, Bejrutu i Damaszku.

- Chcesz powiedzieć, że wasz prezydent nie przeszkodzi im w użyciu broni

nuklearnej?

- Mniej więcej - odrzekł Schiller z pozornym spokojem. - Kto rozdaje? - zapytał Nicholasa.

- Chyba ja - powiedział senator siląc się na obojętność. Ta zmiana stanowiska prezydenta wobec Środkowego Wschodu była dla niego czymś nowym. - Wkładamy do puli po pięćdziesiąt centów?

Rosjanie jednak nie zamierzali odpuścić.

- Dla mnie to bardzo niepokojące - rzekł Wyhouski.

- Kiedyś przecież musiało nastąpić - stwierdził Nichols. - Obliczamy nasze rezerwy ropy na osiemdziesiąt miliardów baryłek. Przy cenie blisko pięćdziesięciu dolarów za baryłkę, nasze kompanie naftowe mogą pozwolić sobie na rozpoczęcie szeroko zakrojonych wierceń badawczych. I oczywiście nadal możemy liczyć na ropę meksykańską i południowoamerykańską. Już nie musimy zabiegać o ropę z Bliskiego Wschodu. Jeżeli wasz rząd chce przejąć ten arabski kram, to proszę bardzo.

Korolenko nie wierzył własnym uszom. Ale zbyt dobrze znał Amerykanów, by nie wiedzieć, kiedy blefują lub chcą go wprowadzić w błąd.

Senator Pitt też miał wątpliwości. Było bardzo prawdopodobne, że ropa wcale nie popłynie Rio Grande, kiedy Ameryka będzie jej potrzebowała. Meksyk jest o krok od rewolucji.

Egipt natomiast znajdował się pod biczem fanatyka Yazida, jakby żywcem przeniesionego ze średniowiecza. Meksyk miał swego szaleńca w osobie Topiltzina, ludowego mesjasza w rodzaju Juareza lub Zapaty, głoszącego powrót do państwa religijnego opartego na kulturze Azteków. Podobnie jak Yazid, Topiltzin znalazł oparcie w milionach biedoty i również był o włos od przejęcia władzy.

Skąd biorą się ci szaleńcy, pytał sam siebie senator. Kto płodzi tych szatanów? Świadomym wysiłkiem opanował drżenie rąk i zaczął rozdawać karty.

- Poker, panowie, do pokera.

W pełnej grozy ciszy nocy wznosiły się ogromne postacie spoglądające martwymi oczodołami na jałową ziemię, jakby w oczekiwaniu na przyjście kogoś, kto je ożywi. Te sztywne kamienne posągi były wysokie jak dwupiętrowe gmachy. Ich ponure twarze oświetlał blask księżycowej pełni.

Tysiąc lat temu podtrzymywały dach świątyni umieszczonej na wierzchołku pięciostopniowej piramidy Quetzalcoatl w tolteckim mieście Tula. Świątyni już nie było, lecz piramida pozostała, zrekonstruowana przez archeologów. Wzdłuż niewielkiego pasma wzgórz ciągnęły się ruiny miasta, które w czasach swej świetności miało sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Bardzo nieliczni przybysze odwiedzają to miejsce i wszyscy pozostają pod wrażeniem budzącego grozę opuszczenia.

Księżyc rzucał upiorne cienie w ruinach umarłego miasta, gdy ku kamiennym posągom na szczycie piramidy piął się po stromych schodach samotny mężczyzna. Z rozwartych paszczy węzów wystawały ludzkie twarze, a orły rozszarpywały dziobami ludzkie serca. Mężczyzna szedł mijając ołtarz rzeźbiony w czaszki i piszczele, które w późniejszych wiekach stały się symbolami piratów z Morza Karaibskiego.

W końcu, spocony, znalazł się na szczycie piramidy. Rozejrzał się wokół. Nie był sam. Z cienia wyszli dwaj mężczyźni i obszukali go. Wskazali jego aktówkę. Otworzył ją posłusznie i obaj strażnicy przejrzeni jej zawartość. Nie znalazłszy broni, wycofali się na skraj świątynnej platformy.

Rivas odetchnął z ulgą i nacisnął przycisk na ręczce aktówki. Ukryty w wieku mały magnetofon rozpoczął pracę.

Po krótkiej chwili z cienia olbrzymich kamiennych posągów wyszedł trzeci mężczyzna. Był ubrany w sięgającą aż do ziemi białą szatę. Włosy miał długie i związane w tyle głowy na kształt koguciego ogona. W blasku księżyca lśniły opaski na jego ramionach, rzeźbione w złocie i wykładane turkusami.

Był niski, a gładka owalna twarz świadczyła o indiańskim pochodzeniu. Jego ciemne oczy przyglądały się badawczo wysokiemu białemu mężczyźnie w garniturze. Skrzyżował ręce i powiedział:

- Jestem Topiltzin.

- A ja Guy Rivas, specjalny przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rivas spodziewał się ujrzeć kogoś starszego. Trudno było odgadnąć wiek meksykańskiego mesjasza, ale wyglądał najwyżej na trzydzieści lat. Topiltzin wskazał niski

murek.

- Może usiądziemy?

Rivas kiwnął głową i przykucnął na murku.

- Wybrał pan niezwykle otoczenie.

- Tak, uznałem je za najwłaściwsze. - W głosie Topiltzina zabrzmiała nagle wzgarda:

- Wasz prezydent boi się rozmawiać z nami otwarcie. Nie chciał rozgniewać i wprowadzić w zakłopotanie swoich przyjaciół z Mexico City.

Rivas odpowiedział dyplomatycznie:

- Prezydent jest panu bardzo wdzięczny, że zgodził się pan ze mną mówić.

- Oczekiwałem kogoś wyższego rangą.

- Postawił pan warunek, że chce rozmawiać tylko z jednym człowiekiem. Zrozumieliśmy więc, że nie możemy wziąć tłumacza. Skoro zaś pan nie chce rozmawiać po hiszpańsku ani po angielsku, musiano wysłać mnie, jako jedyne go wyższego urzędnika, który zna nahuatl, język Azteków.

- Mówi pan nim bardzo dobrze.

- Moja rodzina pochodzi z Escampo. Wyemigrowała do Ameryki, ale nauczono mnie tego języka, kiedy byłem dzieckiem.

- Znam Escampo. To mała wioska, w której mieszkają dumni ludzie ledwie wiążący koniec z końcem.

- Twierdzi pan, że położy kres nędzy w Meksyku. Prezydent jest bardzo ciekaw pańskiego programu.

- Czy dlatego pana tu przysłał? - spytał Topiltzin.

Rivas skinął głową.

- Pragnie nawiązać z panem kontakt.

Na twarz Topiltzina wypłynął niewesoły uśmiech.

- Sprytny człowiek. Wie, że w obecnej sytuacji gospodarczej mego kraju byle ruch społeczny zmiecie rządzącą Partido Revolucionario Institucional. Boi się zakłócenia stosunków między Meksykiem i USA. Stara się więc rozgrywać oba krańce przeciwko środkowi.

- Nie potrafię czytać w myślach prezydenta.

- Wkrótce się dowie, że ogromna większość ludzi meksykańskiego pochodzenia nie chce służyć za słomiankę bogaczom i klasie rządzącej. Mają dość politycznych szalbierstw i korupcji. Nie chcą już grzebać w śmietnikach slumsów. Nie zamierzają więcej cierpieć.

- I chcą to osiągnąć poprzez budowę utopii z prochów Azteków?

- Wasz naród też zrobiłby dobrze powracając do zwyczajów swoich przodków.

- Aztekowie byli największymi rzeźnikami obu Ameryk. Próba wzorowania nowoczesnych rządów na dawnych wierzeniach barbarzyńskich jest... - Rivas urwał. Niewiele brakowało, by powiedział: „idiotyczna”, zdołał się jednak ugryźć w język i rzekł:  
- ...naiwna.

Twarz Topiltzina stężała, a jego dłonie zacisnęły się kurczowo.

- Zapominasz, że to hiszpańscy konkwistadorzy urządzili rzeź naszym wspólnym przodkom.

- Hiszpanie mogliby powiedzieć to samo o Maurach, co wcale by nie usprawiedliwiało przywrócenia Inkwizycji.

- Czego wasz prezydent chce ode mnie?

- Tylko pokoju i dobrobytu w Meksyku - odparł Rivas. - Oraz zapewnienia, że nie zwrócić się ku komunizmowi.

- Nie jestem marksistą. Nie cierpię komunizmu tak samo jak on.

- Rad będzie to słyszeć.

- Nasz nowy naród aztecki osiągnie wielkość, gdy tylko zbrodniczy bogacze, przekupni urzędnicy, obecny rząd oraz dowódcy wojskowi zostaną złożeni w ofierze.

Rivas nie wierzył własnym uszom.

- Zamierza pan zgładzić tysiące ludzi!

- Nie, panie Rivas. Ja mówię o ofierze sakralnej dla naszych bogów: Quetzalcoatla, Huitzilopochtli i Tetzcatlipoki.

Rivas spojrział na niego nierozumiejąco.

- Ofiara sakralna...?

Topiltzin nie odpowiedział.

Patrząc na jego stoicką twarz Rivas nagle zrozumiał.

- Nie! - wykrzyknął. - Pan chyba nie mówi poważnie...

- Nasz kraj znów przybierze swą dawną aztecką nazwę Tenochtitlan - ciągnął niewzruszenie Topiltzin. - Będziemy państwem religijnym. Naszym językiem urzędowym stanie się nahuatl. Obcy przemysł przejdzie na własność państwa. Tylko rdzenni mieszkańcy będą mogli przebywać na terenie kraju. Wszyscy inni zostaną przepędzeni.

Rivas oniemiał. Siedział słuchając w milczeniu.

Topiltzin ciągnął:

- Nie będziemy więcej kupowali żadnych towarów od Stanów Zjednoczonych ani nie będziemy im sprzedawali naszej ropy. Nasze zadłużenie w bankach światowych uznamy za

nieważne i niebyłe, a wszystkie zagraniczne aktywa skonfiskujemy. Zażądamy również zwrotu naszych ziem w Kalifornii, Teksasie, Nowym Meksyku i Arizonie. Dla zapewnienia ich zwrotu zamierzam wysłać miliony swoich ludzi przez granicę.

Były to przerażające groźby. Ich konsekwencje przerastały granice wyobraźni.

- Czyste szaleństwo - rzekł Rivas w rozpacz. - Prezydent nie będzie chciał słuchać tak absurdalnych żądań.

- Nie zechce mi uwierzyć?

- Musiałby zwariować.

Rivas poczuł, że posunął się za daleko.

Topiltzin nie mrugnawszy nawet okiem wstał powoli, z opuszczoną głową, i rzekł bezbarwnym głosem:

- Będę więc musiał posłać mu wiadomość, którą zrozumie.

Wzniósł ręce nad głowę, ku ciemnemu niebu. Na ten znak pojawiło się czterech Indian ubranych jedynie w białe, spięte przy szyi pelerynki. Obezwładnili Rivas, zanieśli go na kamienny ołtarz z wyrzeźbionymi czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami i położyli na plecach, unieruchamiając mu ręce i nogi.

Początkowo Rivas był zbyt oszołomiony, aby protestować, zbyt wstrząśnięty. Kiedy wreszcie nadeszło zrozumienie, wykrzyknął w straszliwej panice:

- Nie, Boże! Nie! Nie!

Topiltzin zignorował krzyki przerażonego Amerykanina i lęk w jego oczach. Podszedł do ołtarza, kiwnął głową i jeden z Indian rozerwał koszulę Rivas odsłaniając pierś.

- Nie rób tego! - błagał Rivas.

We wzniesionej lewej ręce Topiltzina ukazał się nagle ostry jak brzytwa nóż z obsydianu. Czarne lśniące ostrze odbijało blask księżyca.

Rivas wydał z siebie krzyk - ostatni w życiu.

Ostrze spadło.

Wysokie jak kolumny posągi spoglądały na ten krwawy akt z kamienną obojętnością. Przed setkami lat widywały tysiące takich straszliwych pokazów nieludzkiego okrucieństwa. W ich nadgryzionych zębem czasu kamiennych oczach nie było krzty litości, kiedy z rozciętej piersi Rivas wyrywano wciąż jeszcze bijące serce.

Mimo otaczających go ludzi i ruchu wokół Pitt czuł intensywną ciszę zimnej Północy. Miała ona w sobie coś z niewiarygodnej martwoty, która pochłaniała wszystkie głosy i dźwięki maszynierii.

Nadszedł wreszcie świt, przedzierając się przez szarą mgłę, która nie dopuszczała żadnych cieni. Potem słońce wypaliło lodowatą mgiełkę i niebo zrobiło się pomarańczowobiałe. To eteryczne światło sprawiało, że skalne wierzchołki gór nad fiordem wyglądały jak grobowce na zasypanym śniegiem cmentarzu.

Miejsce katastrofy zaczęło przypominać teren jakichś działań wojskowych. Najpierw przybyła flotyła pięciu śmigłowców Sił Powietrznych, przywożąc jednostkę Służb Specjalnych. Była to grupa uzbrojonych ludzi, którzy natychmiast otoczyli kordonem kadłub samolotu i zaczęli patrolować okolicę. W godzinę później wylądowali inspektorzy z Federalnego Biura Badania Wypadków Lotniczych i zabrali się do oznaczania rozrzuconych szczątków samolotu. Po nich przybył zespół patologów, który obejrzał i przeniósł zwłoki pasażerów do śmigłowców, by je natychmiast przewieźć do kostnicy bazy lotniczej Stanów Zjednoczonych w Thule.

Marynarkę reprezentował komandor Knight i „Polar Explorer”. Gdy ryki syreny odbiły się echem od gór, wszyscy przerwali swoje ponure zajęcia i skierowali wzrok ku morzu.

Omijając leżące płasko na wodzie odpryski lodowca oraz góry lodowe, które przypominały ruiny zamków gotyckich, „Polar Explorer” wolno wpływał do fiordu.

Ogromny dziób lodołamacza bez wysiłku przeorał sobie drogę przez lód pakowy i zatrzymał się niecałe pięćdziesiąt metrów od wraku samolotu. Knight zastopował maszyny, zszedł po drabince na lód i zaproponował zespołowi zabezpieczającemu oraz badawczemu pomieszczenia swego statku na ośrodki dowodzenia. Jego oferta została przyjęta bez chwili wahania.

Podjęte zabezpieczenia zaimponowały Pittowi. Wiadomość o wypadku nie przedostała się jeszcze do środków masowego przekazu - na Lotnisku Kennedy'ego powiedziano, że samolot ONZ przybędzie z opóźnieniem. Ale było tylko kwestią godzin, nim któryś z bystrzejszych reporterów połapie się, w czym rzecz, i rozgłosi sprawę.

- Czuję, że powieki przymarzają mi do oczu - rzekł ponuro Giordino. Siedział w fotelu pilota śmigłowca NUMA, starając się wypić kawę, nim zamieni się w lód. - Jest zimniej niż w krowim cycku w styczniu w Minnesocie.

Pitt spojrział na przyjaciela powątpiewająco.



- Skąd wiesz? Całą noc przesiedziałeś w ogrzewanym kokpicie.

- Przemarzęm od patrzenia na kostkę lodu w szklance whisky. - Giordino podniósł rękę z rozcapierzonymi palcami. - Spójrz, tak zeszywniałem z zimna, że nie mogę zamknąć dłoni w pięść.

Pitt spojrział przez boczne okienko i zobaczył komandora Knighta idącego po lodzie od statku. Wrócił do głównej kabiny i kiedy komandor podszedł do drabinki, otworzył drzwi załadunkowe. Giordino jęknął żałośnie, gdy cenne ciepło ulotniło się i mroźny powiew wypełnił śmigłowiec.

Knight machnął im ręką na powitanie. Wspiął się po drabince do wewnątrz, sięgnął za pazuchę parki i wyjął obszytą skórą butelkę.

- Małe co nieco z ambulatorium pokładowego. Koniak. Nie mam pojęcia, jakiej marki. Pomyślałem sobie, że może się wam przyda.

- Giordino będzie w siódmym niebie - rzekł Pitt ze śmiechem.

- Wolałbym być w piekle - burknął Giordino. Przechylił butelkę i napił się ze smakiem, a potem zacisnął rękę w pięść. - Myślę, że jestem wyleczony.

- Kazano nam tu pozostać przez dobę - powiedział Knight. - Chcą nas potrzymać na lodzie, póki wszystko nie zostanie uprzątnięte.

- A jak tam ocaleli rozbitkowie? - spytał Pitt.

- Panna Kamil wypoczywa. Chce się z tobą zobaczyć. Napomknęła coś o kolacji w Nowym Jorku.

- Kolacji...? - zapytał Pitt z miną niewiniątka.

- Śmieszna sprawa - ciągnął Knight - stewardesa, której doktor Gale zoperował kolano, też mówiła, że jest z tobą umówiona na kolację.

Pitt miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Zapewne obie są głodne.

Giordino przewrócił oczyma i przyłożył jeszcze raz szyjkę butelki do ust.

- Słyszałem już kiedyś tę śpiewkę.

- A steward?

- Jest w kiepskim stanie - odparł Knight. - Ale doktor mówi, że się wykaraska. Nazywa się Rubin. Gdy go usypiano, zaczął coś bredzić, że pierwszy pilot zamordował drugiego pilota i mechanika, a potem gdzieś znikł w czasie lotu.

- Może to nie takie znowu bredzenie - powiedział Pitt. - Ciała jeszcze nie znaleziono.

- To nie moja sprawa. - Knight wzruszył ramionami. - Dość mam na głowie, żeby się jeszcze zajmować zagadkami katastrof lotniczych.

- A jak się mają sprawy z rosyjską łodzią podwodną? - spytał Giordino.

- Nie puszczaamy pary o naszym odkryciu, póki nie będziemy mogli zameldować o nim dowództwu w Pentagonie. Głupio byłoby zawalić sprawę przez przeciek w łączności. Poszcęściło nam się z tą katastrofą lotniczą. Daje to nam logiczne uzasadnienie wzięcia kursu do kraju i naszego doku w Portsmouth, gdy tylko będzie można przewieźć ocalałych rozbitków do szpitala w Stanach. Miejmy nadzieję, że ten niespodziewany wypadek sprawi, iż wywiad sowiecki da nam spokój.

- Nie licz na to - powiedział Giordino, którego twarz nabrała wreszcie rumieńców. - Jeśli Rosjanie powzięli choćby najmniejsze podejrzenie, że nam się powiodło, a są na tyle paranoidalni, by myśleć, iż spowodowaliśmy katastrofę samolotu dla odwrócenia ich uwagi, wkrótce przybędą tu ze statkami ratowniczymi, flotą okrętów i samolotami osłony powietrznej. A gdy już namierzą łódź, podniosą ją i zaholują do swego portu w Siewieromorsku na półwyspie Kola.

- Albo wysadzą - dodał Pitt.

- Wysadzą...?

- Sowieci nie posiadają nowoczesnej technologii ratowniczej. Zresztą ich głównym celem jest upewnienie się, że łódź nie dostanie się w obce ręce.

Giordino podał Pittowi koniak.

- Nie ma sensu dyskutować tu o zimnej wojnie. Wróćmy lepiej na statek, gdzie jest ciepło i milutko.

- Słusznie - rzekł Knight. - Wy obaj zrobiliście już znacznie więcej, niż do was należało.

Pitt przeciągnął się i zaczął zapinać swoją parkę.

- Pójdę się przejść.

- Nie wracasz z nami?

- Na razie nie. Zajrzę do obozowiska archeologów i zobaczę, jak się mają.

- Szkoda nóg. Doktor wysłał tam jednego ze swojej ekipy. Oprócz kilku guzów i siniaków nic im się nie stało.

- Ciekawe byłoby zobaczyć, co tam odkopali - obstawał Pitt.

Giordino umiał czytać w jego myślach.

- Może znaleźli kilka amfor greckich?

- Nie szkodzi zapytać.

Knight spojrzał na Pitta surowo.

- Nie gadaj za dużo.

- Nie pisnę ani słówka o naszych badaniach.

- A jak będą pytali o pasażerów i załogę samolotu?

- Nie mogli wydostać się z kadłuba i zmarli z wychłodzenia ciała wskutek zetknięcia się z wodą.

- Myślę, że Dirk się dobrze przygotował - stwierdził Giordino.

- W porządku - rzekł Knight. - Zgoda.

Pitt otworzył drzwi załadunkowe i kiwnął im głową.

- Nie czekajcie na mnie. - Wyszedł w chłód.

- Uparty facet - mruknął Knight. - Nie wiedziałem, że interesuje się archeologią.

Giordino patrzył przez okno kokpitu na idącego przez fiord Pitta. Westchnął.

- Ja też nie wiedziałem.

Pole lodowe było twarde i płaskie. Pitt szedł szparko przez fiord. Spoglądał na złowróbnny szary pułap chmur nadciągających z północnego zachodu. W tym klimacie pogoda potrafiła w ciągu kilku minut zmienić się ze słonecznej w oślepiającą burzę śnieżną, zacierającą wszelkie punkty orientacyjne. Nie uśmiechało mu się błędzenie bez kompasu, więc przyspieszył kroku.

Wysoko nad nim krążyła para sokołów grenlandzkich. Ptaki te to jeden z nielicznych gatunków pozostających na Północy nawet podczas zimy.

Posuwając się z grubsza na południe przekroczył linię brzegu i wziął kierunek na dym, który unosił się nad chatą archeologów. Odległa i niewyraźna smużka wyglądała niby widziana przez odwrotną stronę teleskopu.

Znajdował się zaledwie dziesięć minut drogi od obozu, gdy nastąpiło uderzenie burzy śnieżnej. Jeszcze przed chwilą miał widoczność na dwadzieścia kilometrów, teraz nagle ograniczyła się do piętnastu metrów. Zaczął biec mając nadzieję, że czyni to w mniej więcej prostej linii. Wiatr niosący śnieg bił w jego lewe ramię, biegł więc przechylony trochę w lewo, aby zrównoważyć napór.

Wiatr wzmógł się jeszcze i parł z taką mocą, że Pitt z trudem utrzymywał się na nogach. Posuwał się na ślepo patrząc w swoje stopy i liczył kroki, osłaniając ramionami głowę. Wiedział, że nie można tak iść nic nie widząc, by w końcu nie zacząć krążyć w koło. Zdawał sobie sprawę, iż może przejść obok chaty archeologów mijając ją o kilka metrów.

Mimo lodowatego wiatru było mu stosunkowo ciepło dzięki grubemu odzieniu.

Zatrzymał się, kiedy wywnioskował, że musi być już w pobliżu chaty. Przeszedł jeszcze trzydzieści kroków i znów stanął.

Skręcił w prawo, nie oddalając się jednak zbytnio, aby nie stracić z pola widzenia

swoich śladów w śniegu. Następnie zaczął iść równolegle do tych śladów w przeciwnym kierunku, jak przy koszeniu trawnika lub poszukiwaniu czegoś na dnie morza. Zrobił jakieś sześćdziesiąt kroków, nim jego stare ślady znikły pod śniegiem.

Zrobił pięć takich ścieżek, po czym znów skręcił w prawo i powtórzył tę czynność z drugiej strony swego zaniesionego już teraz śniegiem pierwotnego szlaku. Przy trzecim nawrocie potknął się w zaspie i upadł na metalową ścianę.

Obszedł dwa rogi ściany, zanim natknął się na linię wiodącą do drzwi. Pchnął je z westchnieniem ulgi i świadomością, że jego życie było narażone na niebezpieczeństwo, ale wyszedł z próby zwycięsko. Wszedł do środka i zatrzymał się zdumiony.

Nie było to pomieszczenie mieszkalne, lecz coś w rodzaju wielkiego baraku z falistej blachy osłaniającego szereg stanowisk wykopaliskowych w odkrytej ziemi. Temperatura wnętrza nie była wiele wyższa od tej na zewnątrz, ale budowla chroniła przynajmniej od wiatru, który dął teraz z siłą sztormu.

Jedyne światło pochodziło od latarni colemanowskiej. Z początku Pitt myślał, że nikogo tu nie ma, ale po chwili zobaczył głowę i ramiona wystające z rowu wykopanego w ziemi. Ktoś klęczał, zwrócony do Pitta tyłem, całkowicie pochłonięty odgarnianiem żwiru z niewielkiej półeczki w rowie.

Pitt wyszedł z cienia i spojrzał w dół.

- Gotowa? - zapytał.

Lily obróciła się gwałtownie, bardziej zaskoczona niż spłoszona. Światło lampy raziło ją w oczy i widziała tylko zarys jego postaci.

- Do czego?

- Do wyjścia na miasto.

Pamiętała ten głos. Uniosła lampę i wolno wstała. Patrzyła w twarz Pitta urzeczona jego oczami. On zaś był zauroczony jej ciemnorudymi włosami, które połyskiwały jak płomień w blasku syczącej latarni.

- Pan Pitt... prawda? - Zdjęła prawą rękawicę i wyciągnęła do niego rękę.

Również zdjął rękawicę i mocno uściskał jej dłoń:

- Wolę, gdy piękne kobiety mówią mi Dirk.

Poczuła się jak mała zakłopotana dziewczynka. Była wściekła na siebie, że zapomniała o zrobieniu makijażu, i zastanawiała się, czy zauważył odciski na jej dłoni. Co gorsza, czuła, że czerwienieje.

- Lily... Sharp - wyjąkała. - Chcieliśmy ci podziękować z przyjaciółmi za wczorajsze. Myślałam, że żartujesz o kolacji. I że już cię nigdy nie zobaczę.

- Jak słyszysz - urwał i wskazał ruchem głowy drzwi prowadzące na zewnątrz - nawet burza śnieżna nie potrafiła mnie powstrzymać.

- Jesteś szalony.

- Nie, tylko głupi, ponieważ sądziłem, że zdołam prześcignąć arktyczną burzę.

Roześmieli się oboje i napięcie między nimi opadło. Lily zaczęła gramolić się z rowu. Pitt wziął ją pod ramię i pomógł wyjść. Skrzywiła się, więc szybko ją puścił.

- Nie powinnaś dzisiaj być na nogach.

Uśmiechnęła się.

- Jestem sztywna i trochę obolała od siniaków, których nie mogę ci pokazać, ale przeżyję to.

Pitt uniósł latarnię i spojrzał ciekawie na osobliwie pogrupowane kawałki skał i wykopaliny.

- Co ty tutaj masz?

- Starożytną wioskę eskimoską zamieszkaną między setnym a pięćsetnym rokiem naszej ery.

- Czy ma jakąś nazwę?

- Nazwaliśmy to stanowisko Wioską Nad Zatoką Gronquista. Na cześć doktora Hirama Gronquista, który ją odkrył przed pięciu laty.

- To jeden z tych trzech, których poznałem w nocy?

- Ten tęgi olbrzym, który leżał nieprzytomny.

- Jak on się czuje?

- Mimo że ma na czole ogromnego guza, przysięga, że nie cierpi ani na zawroty, ani na ból głowy. Kiedy wychodziłam z chaty, właśnie piekł indyka.

- Indyka? - powtórzył Pitt ze zdziwieniem. - Macie tu świetne zaopatrzenie.

- Co dwa tygodnie przylatuje do nas z Thule samolot Minerwa o pionowym starcie.

- Sądziłem, że prace wykopaliskowe tak daleko na północy są ograniczone jedynie do środka lata, kiedy ziemia taje.

- Ogólnie mówiąc, tak. Mając jednak ogrzewaną osłonę nad głównym wycinkiem wsi, możemy pracować od kwietnia do października.

- Znaleźliście coś niezwykłego, jakiś przedmiot, który tu nie powinien być?

Lily spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Czemu pytasz?

- Z ciekawości.

- Mamy setki odkopanych artefaktów mówiących o stylu życia i kulturze

prehistorycznych Eskimosów. Są w chacie, jeżeli chcesz je obejrzyć.

- A czy mam szansę obejrzyć je przy indyku?

- Oczywiście. Doktor Gronquist jest świetnym kucharzem.

- Zamierzałem zaprosić was wszystkich na obiad na statek, ale ta nagła burza śnieżna pokrzyżowała moje plany.

- Zawsze miło widzieć nową twarz przy stole.

- Odkryłaś coś niezwykłego, prawda? - zapytał z nagłą.

Oczy Lily znów rozszerzyły się podejrzliwie.

- Skąd wiesz?

- Greckiego czy rzymskiego?

- Rzymskiego, a właściwie bizantyjskiego.

- Co bizantyjskiego? - naciskał Pitt. - Z którego wieku?

- Złotą monetę z końca czwartego wieku.

Jakby odetchnął z ulgą, ona zaś patrzyła na niego ze zdumieniem i irytacją.

- O co chodzi? - spytała.

- A co powiesz na to - zaczął Pitt wolno - że na dnie morza, w linii biegnącej do fiordu, leżą porozrzucane amfory?

- Amfory? - powtórzyła Lily ze zdumieniem.

- Mam je zarejestrowane na taśmie wideo.

- Więc byli tu - powiedziała jak w transie. - Naprawdę przekroczyli Atlantyk. Rzymianie dotarli na Grenlandię jeszcze przed wikingami.

- Wszystko na to wskazuje. - Pitt objął Lily w pasie i skierował ku drzwiom. - Czy ta lina na zewnątrz prowadzi do waszej chaty?

Kiwnęła głową.

- Tak, jest rozciągnięta pomiędzy nią i tym barakiem. - Przystanąła i spojrzała na miejsce, w którym znalazła monetę. - Pyteas, żeglarz grecki, odbył swoją wielką podróż w trzysta pięćdziesiątym roku przed Chrystusem. Legenda głosi, że popłynął na północ Atlantyku i dotarł aż do Islandii. Dziwne, że nie ma żadnego opisu lub przekazu, który mówiłby o rzymskiej podróży tak daleko na północ i zachód w siedemset pięćdziesiąt lat później.

- Pyteas miał szczęście. Wrócił do kraju, aby o tym opowiedzieć.

- Sądzisz, że Rzymianie, którzy przybyli tutaj, zginęli podczas powrotnej podróży?

- Nie. Myślę, że nadal są tutaj. - Pitt spojrzał na nią z uśmiechem. - I my oboje, moja piękna, znajdziemy ich.

**CZEŚĆ II**  
**„SERAPIS”**

14 października 1995

Waszyngton D.C.

Stolicę okrywała ponura chłodna mżawka, kiedy przed gmach biur prezydenckich na rogu Pennsylvania Avenue i Siedemnastej Ulicy zajęła taksówka. Z tylnego siedzenia podniósł się mężczyzna w mundurze doręczyciela i kazał kierowcy poczekać. Sięgnął na siedzenie taksówki, wziął paczkę obszytą czerwonym jedwabiem. Przeszedł spieszenie przez chodnik, wspiął się po kilku schodkach i wszedł do biura przesyłek.

- Dla prezydenta - rzekł z hiszpańskim akcentem.

Pracownik biura wpisał do rejestru rodzaj przesyłki i porę doręczenia. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Ciągłe pada?

- Raczej mży.

- Wystarczy, żeby człowiek czuł się podle.

- I żeby na ulicach było żółwie tempo - rzekł doręczyciel z kwaśną miną.

- Życzę powodzenia.

- Nawzajem.

Doręczyciel wyszedł, a pracownik biura wziął paczkę i umieścił ją pod fluoroskopem. Promienie X ukazały na ekranie przedmiot pod opakowaniem.

Łatwo zidentyfikował ów przedmiot jako aktówkę, ale nic nie wskazywało, że w aktówce są jakieś papiery lub coś twardego o ostrym zarysie, nic przypominającego materiał wybuchowy. Był starym specem od prześwietleń, lecz zawartość aktówki była dla niego czymś nowym.

Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił kogoś na drugim końcu linii. Po niespełna dwóch minutach zjawił się agent bezpieczeństwa z psem.

- Masz coś dla Groszka? - spytał.

Pracownik biura skinął głową kładąc paczkę na podłodze.

- Nie mogę dokonać identyfikacji za pomocą fluoroskopu. Groszek nie miał nic wspólnego ze swoim imieniem. Był kundlem, owocem krótkotrwałego związku psa gończego z jamniczką. Miał wielkie brązowe oczy, mały tłusty korpus na krótkich wrzecionowatych łapach i był przeszkolony do wykrywania węchem wszelkich typów ładunków wybuchowych, od najzwyczajniejszych po najbardziej egzotyczne. Pod okiem obu mężczyzn obszedł paczkę dookoła, poruszając nosem jak otyła wdowa przy stoisku z perfumami.



Nagle zeszywniał i ze zjeżoną sierścią na szyi i grzbiecie zaczął się cofać. Na jego pysku ukazał się wyraz niesmaku. Warczał.

Agent zdziwił się.

- On nigdy tak nie reaguje.

- Tu jest coś podejrzanego - rzekł pracownik biura.

- Do kogo jest zaadresowana paczka?

- Do prezydenta.

Agent podszedł do telefonu i wystukał jakiś numer.

- Trzeba sprowadzić Jima Gerharta - wyjaśnił.

Gerhart, szef Bezpieczeństwa Białego Domu, podniósł słuchawkę podczas krótkiej przerwy obiadowej przy biurku i natychmiast udał się do biura przesyłek.

Przyjrzał się wciąż warczącemu psu, po czym zbadał paczkę pod fluoroskopem.

- Nie widzę żadnych przewodów ani zapalnika - rzekł przeciągając zgłoski.

- To nie bomba - zgodził się pracownik biura.

- Dobra, otwórzmy ją.

Ostrożnie zdjęli czerwony jedwab, odsłaniając czarną aktówkę ze skóry. Nie było na niej żadnych znaków, nie było nawet nazwiska producenta ani numeru modelu. Zamiast zamka cyfrowego, zatrzaski miały dziurki na kluczyk.

Gerhart nacisnął oba zatrzaski jednocześnie. Odskoczyły.

- Chwila prawdy - rzekł z lekkim uśmiechem.

Położył ręce na rogach wieka i wolno uniósł je, ukazując zawartość aktówki.

- Jezu! - wyrwało się z ust Gerharta.

Agent bezpieczeństwa odwrócił nagle pobladłą twarz. Pracownik biura wydał dziwny odgłos i pognął do toalety.

Gerhart zatrzaskał wieko.

- Przekażcie to do szpitala Uniwersytetu George'a Waszyngtona.

Agent bezpieczeństwa przełknął kwaśną ślinę, która zebrała mu się w gardle.

Wreszcie wykrztusił:

- To prawdziwe, czy też jest to jakiś głupi kawał?

- Najprawdziwsze - rzekł Gerhart ponuro. - Możesz mi wierzyć, że to nie żaden kawał.

Dale Nichols rozsiadł się w fotelu obrotowym w swoim biurze w Białym Domu i poprawił okulary. Po raz dziesiąty zaczął przeglądać zawartość grubej teczki przekazanej mu przez Armanda Lopeza, dyrektora prezydenckiego biura spraw latynoamerykańskich.

Nichols sprawiał wrażenie profesora uniwersytetu, którym zresztą istotnie był, zanim prezydent go przekonał, aby zamienił spokojną salę wykładową Uniwersytetu Stanforda na centrum polityczne Waszyngtonu. Bardzo był zdziwiony, gdy odkrył w sobie talent do manipulowania urzędnikami Białego Domu.

Gęste ciemne włosy miał rozdzielone pośrodku głowy przedziałkiem. Staromodne okulary o małych okrągłych soczewkach w cienkiej drucianej oprawce świadczyły o samozaparciu i niezłomnym charakterze używającego ich człowieka. I wreszcie - rzecz najważniejsza w akademickim stereotypie - nosił muszkę i palił fajkę.

Zapalił ją nie odrywając wzroku od artykułów wyciętych z meksykańskich gazet i magazynów - artykułów dotyczących tylko jednego tematu.

Topiltzina.

W teczce były również wywiady udzielone przez charyzmatycznego mesjasza przedstawicielom państw Ameryki Środkowej i Południowej. Odmówił jednak rozmowy z dziennikarzami i przedstawicielami rządu Stanów Zjednoczonych.

Nichols nauczył się hiszpańskiego podczas dwuletniego pobytu w Peru w ramach działalności Peace Corps, nie miał więc kłopotów z odczytaniem artykułów. Wziął urzędowy notatnik i zaczął spisywać w punktach żądania i oświadczenia zawarte w wywiadach:

1. Topiltzin mówi o sobie, że pochodzi z najbiedniejszych biednych, urodził się w tekturowej klitce na skraju wysypiska śmieci Mexico City nie wiadomo w jakim dniu, miesiącu, roku. Jakoś udało mu się przeżyć wśród smrodu, much, łajna i brudu...

2. Przyznaje, że nie otrzymał żadnego wykształcenia. Jego dzieje od urodzin aż do wypłynięcia w roli samozwańczego najwyższego kapłana religii toltecko-azteckiej są całkowicie nieznane.

3. Twierdzi, że jest nowym wcieleniem Topiltzina, władcy Tolteków z dziesiątego wieku, którego identyfikowano z legendarnym bożkiem Quetzalcoatlem.

4. Jego filozofia polityczna zakłada połączenie dawnej religii i kultury z czymś w rodzaju autokratycznych, jednoosobowych bezpartyjnych rządów. Chce odegrać rolę ojca narodu meksykańskiego. Ignoruje pytania, jak zamierza odrodzić zniszczoną gospodarkę, i odmawia wyjaśnień, jak przebuduje rząd, jeżeli dojdzie do władzy.

5. Jest wspaniałym mówcą. Ma bardzo silny kontakt ze słuchaczami. Mówi tylko po staroaztecku, przez tłumaczy. Jest to język dotychczas używany przez Indian ze środkowego Meksyku.

6. Ma fanatycznych popleczników. Jego popularność objęła cały kraj. Z sondaży

wynika, że mógłby wygrać wybory ogólnokrajowe większością blisko sześciu procent. Odmawia jednak udziału w wyborach powszechnych, twierdząc słusznie, że skorumpowani przywódcy polityczni nie zechcą oddać władzy po przegranej kampanii wyborczej. Zamierza przejąć władzę jako przywódca wybrany przez cały naród.

Nichols położył fajkę na popielnicze, chwilę patrzył w zamyśleniu w sufit, po czym podsumował swoje uwagi:

Topiltzin jest albo niewiarygodnym ignorantem, albo niewiarygodnie utalentowanym człowiekiem. Ignorantem, jeśli sam wierzy w to, co mówi. Utalentowanym, jeżeli w jego szaleństwie jest metoda, jakiś wiadomy tylko jemu cel.

Kłopoty, kłopoty, kłopoty...

Nichols jeszcze raz przeglądał artykuły w poszukiwaniu klucza do charakteru Topiltzina, kiedy zabrzączał telefon. Podniósł słuchawkę.

- Prezydent na jedyńce.

Nichols przycisnął pierwszy guzik.

- Słucham, panie prezydencie.

- Są jakieś wieści od Guya Rivasa?

- Żadnych.

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie prezydent rzekł:

- Miał się ze mną spotkać przed dwiema godzinami. Jestem zaniepokojony. Jeśli były jakieś problemy, jego pilot powinien nas o tym powiadomić.

- On nie poleciał do Mexico City samolotem należącym do Białego Domu - wyjaśnił Nichols. - Wykupił bilet na zwykły rejs pasażerski udając turystę, dla zachowania ściślejszej tajemnicy.

- Rozumiem - powiedział prezydent. - Gdyby prezydent De Lorenzo dowiedział się, że próbuję za jego plecami pertraktować z opozycją w Meksyku, uznałby to za obrażę, co mogłoby przeszkodzić naszym rozmowom w Arizonie w przyszłym tygodniu.

- Wszystkim nam bardzo zależy, by się nie dowiedział - zapewnił go Nichols.

- Zna pan szczegóły katastrofy czarterowego samolotu ONZ? - spytał prezydent zmieniając nagle temat.

- Nie, panie prezydencie - odparł Nichols. - Wiem tylko, że Hala Kamil się uratowała.

- Ona i dwoje członków załogi. Reszta została otruta.

- Otruta...? - wybełkotał Nichols niedowierzająco.

- Tak mi doniesiono. Istnieje podejrzenie, że pilot samolotu otruł wszystkich, zanim

wyskoczył na spadochronie nad Islandią.

- Pilot mógł być podstawiony.

- Dowiemy się, kiedy go znajdziemy, martwego lub żywego.

- Boże, jaki ruch terrorystyczny mógłby chcieć zamordować ponad pięćdziesięciu przedstawicieli ONZ?

- Jak dotąd, nikt się do tego nie przyznał. Martin Brogan z CIA twierdzi, że jeśli to robota terrorystów, to nie przypomina żadnej ich dotychczasowej akcji.

- Celem mogła być Hala Kamil - zasugerował Nichols. - Achmad Yazid poprzysiągł, że ją wyeliminuje.

- Nie możemy tego wykluczyć - przyznał prezydent.

- Czy środki masowego przekazu już się zwiedziały?

- Za godzinę będzie o tym we wszystkich gazetach i w telewizji. Nie miałem powodu ukrywać tej sprawy.

- Czy chciałby pan, abym coś zrobił, panie prezydencie?

- Byłbym ci wdzięczny, Dale, gdybyś pilnie śledził reakcje ludzi prezydenta De Lorenzo. W samolocie było jedenastu meksykańskich delegatów. Złóż kondolencje w moim imieniu i zaproponuj współpracę w rozsądnych granicach. I jeszcze jedno: informuj o wszystkim Juliusza Schillera z Departamentu Stanu, żebyśmy sobie nawzajem nie szkodzili.

- Każę moim ludziom natychmiast się tym zająć.

- I powiedz mi, jak tylko otrzymasz wiadomość od Rivasa.

- Tak jest, panie prezydencie.

Nichols odłożył słuchawkę i usiłował skupić uwagę na przeglądanej teczce. Zaczął się zastanawiać, czy Topiltzin nie był jakoś powiązany z zamordowaniem delegatów ONZ. Żeby istniała choćby nitka, której można byłoby się ucześcić!

Nichols nie był detektywem i nie potrafił drobiazgowo analizować psychiki człowieka, aby się dowiedzieć, co nim powoduje. Jego specjalnością naukową były międzynarodowe ruchy polityczne.

Topiltzin stanowił dla niego zagadkę. Hitler miał wizję aryjskiej supremacji. Chomeini, powodowany fanatyzmem religijnym, chciał powrotu na Bliski Wschód muzułmańskiego fundamentalizmu rodem ze średniowiecza. Lenin głosił krucjatę światowego komunizmu.

Co jest celem Topiltzina?

Meksyk Azteków? Powrót do przeszłości? Żadne nowoczesne społeczeństwo nie

może funkcjonować według tak archaicznych zasad. Meksyk nie jest krajem, którym można rządzić w oparciu o rojenia jakiegoś Don Kiszota. Musi tu chodzić o coś zupełnie innego. Nichols czynił najróżnorodniejsze domysły. Widział w Topiltzinie karykaturę, komiksowego łotra.

Weszła sekretarka i położyła na jego biurku teczkę.

- Raport z CIA, o który pan prosił... i jest telefon do pana na trójce.

- Kto dzwoni?

- James Gerhart - odparła.

- Szef Bezpieczeństwa Białego Domu - rzekł Nichols do siebie. - Mówił, czego chce?

- Tylko tyle, że to pilne.

Zaciekawiło to Nicholisa. Przycisnął trzeci guzik.

- Tu Dale Nichols.

- Jim Gerhart z...

- Tak, wiem - przerwał mu Nichols. - O co chodzi?

- Niech pan przyjedzie do Wydziału Patologii na Uniwersytet George'a Waszyngtona.

- Do szpitala uniwersyteckiego?

- Tak jest.

- Po jakie lichy?

- Wolalbym nie mówić za dużo przez telefon.

- Jestem ogromnie zajęty, Gerhart. Musi się pan wypowiedzieć jaśniej.

W słuchawce zapanowała chwilowa cisza.

- Jest to sprawa dotycząca pana i prezydenta. Więcej nie mogę powiedzieć.

- Nawet z grubsza?

Gerhart zignorował to pytanie.

- Jeden z moich ludzi czeka przed biurem. Zawiezie pana do laboratorium. Spotkam się z panem w poczekalni.

- Proszę posłuchać, Gerhart... - Tyle tylko zdołał powiedzieć, zanim usłyszał, że połączenie zostało przerwane.

Mżawka przeszła w deszcz, co znalazło odzwierciedlenie w ponurym nastroju Nicholisa idącego od głównego wejścia szpitala uniwersyteckiego do laboratorium patologii. Nie cierpiał zapachu eteru, który przesycił sale szpitalne.

Zgodnie z obietnicą Gerhart czekał tam na niego. Obaj mężczyźni znali się z widzenia i nazwiska, ale nigdy dotąd nie rozmawiali ze sobą. Gerhart wstał, lecz nie

wyciągnął ręki na powitanie.

- Dziękuję za przybycie - powiedział oficjalnym tonem.

- Po co pan mnie tutaj wezwał? - spytał Nichols bez wstępów.

- Celem dokonania identyfikacji.

Nicholsa opanowało nagle złe przeczucie.

- O kogo chodzi?

- Wolałbym, żeby pan mi to powiedział.

- Dostaję mdłości na widok trupów.

- To nie jest ściśle mówiąc trup, ale niech pan lepiej się trzyma.

Nichols wzruszył ramionami.

- Dobra, kończmy z tym.

Gerhart otworzył jakieś drzwi i poprowadził go długim korytarzem do pomieszczenia o ścianach i podłodze wyłożonych dużymi białymi płytkami. Podłoga była nieco wklęsła, z kratką ścieku pośrodku. W pokoju stał jeden jedyny stół z nierdzewnej stali. Biała, nieprzezroczysta płachta plastikowa okrywała coś, co wystawało zaledwie dwa centymetry ponad blat stołu.

Nichols popatrzył na Gerharta w oszołomieniu.

- Co ja mam zidentyfikować?

Gerhart bez słowa uniósł płachtę i rzucił na podłogę.

Nichols nierozumiejąco wytrzeszczył oczy na rzecz leżącą na stole. Początkowo sądził, że jest to papierowa sylwetka mężczyzny. Potem zadrżał, kiedy straszliwa prawda dotarła do jego świadomości. Schylił się nad ściekiem w podłodze i wymiotował.

Gerhart wyszedł z pomieszczenia i szybko wrócił ze składanym krzesłem i ręcznikiem.

Podprowadził Nicholasa do krzesła i podał mu ręcznik.

- Proszę - rzekł bez współczucia. - Niech się pan wytrze.

Nichols przesiedział prawie dwie minuty z przyciśniętym do twarzy ręcznikiem, usiłując stłumić skurcze żołądka. Wreszcie opanował się na tyle, by móc spojrzeć na Gerharta i wyjąkać:

- Boże wielki... to tylko...

- Skóra - dokończył za niego Gerhart. - Zdarta z człowieka.

Nichols zmusił się, aby raz jeszcze spojrzeć na przerażającą rzecz rozciągniętą na stole.

Wyglądała jak balon ze spuszczonego powietrzem. Tylko tak potrafił ją określić. Od

tyłu głowy aż do kostek nóg zrobiono nacięcie i zdarto skórę jak futro ze zwierzęcia. Na piersi było długie pionowe rozcięcie, które z grubsza sfastrygowano. Oczu brakowało, ale skóra była cała, włącznie z zeschniętymi dłońmi i stopami.

- Wie pan, kto to może być? - spytał cicho Gerhart. Nichols przyjrzał się, lecz groteskowe, zniekształcone rysy twarzy uniemożliwiały rozpoznanie. Tylko włosy wydawały się jakby znajome. Nagle doznał olśnienia.

- Guy Rivas - wymamrotał.

Gerhart nic na to nie rzekł. Wziął Nicholasa pod ramię i wyprowadził do sąsiedniego pokoju, w którym stały wygodne fotele i ekspres do kawy. Napenił filiżankę i podał Nicholowski.

- Proszę to wypić. Za chwilę wrócę.

Nichols siedział jak w koszmarze, wstrząśnięty tym, co zobaczył w sąsiednim pomieszczeniu. Nie mógł się pogodzić ze straszliwą śmiercią Rivas.

Wrócił Gerhart z aktówką. Położył ją na niskim stoliku.

- Oto, co przyniesiono do biura odbioru poczty. Była w tym mocno zwinięta skóra zdarta z ciała. Myślałem początkowo, że to sprawka jakiegoś wariata. Potem dokładnie zbadałem aktówkę i znalazłem miniaturowy magnetofon ukryty pod wewnętrzną wykładziną.

- Przesłuchał pan taśmę?

- Dużo mi to dało! Brzmi jak rozmowa prowadzona jakimś szyfrem.

- Jak pan doszedł, że Rivas mógł mieć jakieś powiązania ze mną?

- Pod skórą była legitymacja pracownika rządowego na jego nazwisko. Ktokolwiek go zamordował, chciał mieć pewność, że się dowiemy, czyje to szczątki. Poszedłem do biura Rivas i przesłuchałem jego sekretarkę. Wydobyłem z niej, że przed odjazdem na lotnisko i udaniem się w nieznanym kierunku rozmawiał dwie godziny z panem i prezydentem. Uznałem za rzecz niezwykłą, że jego własna sekretarka nie wiedziała, dokąd się udał, wywnioskowałem więc, iż został wysłany w jakiejś tajnej misji. Dlatego postanowiłem najpierw skontaktować się z panem.

Nichols spojrział na niego uważnie.

- Mówi pan, że na taśmie jest zarejestrowana rozmowa?

Gerhart skinął głową z powagą.

- Rozmowa i krzyki Rivas, kiedy go mordowano.

Nichols zamknął oczy starając się odepchnąć widok, który mu podsunęła wyobraźnia.

- Trzeba będzie powiadomić jego najbliższych - ciągnął Gerhart. - Czy miał żonę?

- I czworo dzieci.

- Znał go pan dobrze?

- Guy Rivas był miłym facetem. Jednym z nielicznych uczciwych ludzi, jakich poznałem w Waszyngtonie. Opracowaliśmy razem kilka misji dyplomatycznych.

Po raz pierwszy kamienna twarz Gerharta nieco złagodniała.

- Bardzo mi przykro.

Nichols nie słyszał. Jego oczy z wolna stały się zimne i pełne goryczy. Wyraz udręki znikł. Nichols przestał czuć smak wymiotów w ustach i wyzbył się mdłości wywołanych okropnym widokiem. Bestialstwo, z jakim potraktowano bliskiego mu człowieka, wywołało przyływ nie znanego mu dotychczas gniewu.

Profesor, którego władza sięgała ścian sali wykładowej, przestał istnieć. W jego miejsce pojawił się człowiek stojący tuż obok prezydenta, jeden z waszyngtońskich potentatów, zdolnych do wpływania na bieg wydarzeń niemal na całej kuli ziemskiej.

Uczyni wszystko, co w jego mocy, aby za przyzwoleniem prezydenta - lub nawet bez przyzwolenia - pomścić zabójstwo Rivas. Topiltzin musi umrzeć.



Mały odrzutowiec Beechcraft dotknął z lekkim piskiem opon ziemi i pokołował po zrobionym z tłucznia pasie prywatnego lotniska położonego dwadzieścia kilometrów na południe od Aleksandrii w Egipcie. W niespełna minutę od chwili, kiedy się zatrzymał koło zielonego volvo z napisem TAXI na drzwiach, skowyt silników ustał i drzwi kabiny pasażerskiej uniosły się do góry.

Szczupły mężczyzna, który wysiadł z samolotu, był wzrostu trochę mniej niż 180 cm. Miał na sobie biały garnitur i także krawat na granatowej koszuli. Przystanął na chwilę, by wytrzeć chustką nieco podwyższone czoło, potem pedantycznie przyglądał wskazującym palcem duży czarny wąs. Oczy miał ukryte za ciemnymi okularami, a dłonie obleczone w białe skórzane rękawiczki.

Sulejman Aziz Ammar w niczym nie przypominał pilota, który wsiadł na pokład samolotu rejs nr 106 w Londynie.

Podszedł do volvo i przywitał się z niskim muskularnym kierowcą, który wysunął się zza kierownicy.

- Dzień dobry, Ibn. Zostałeś jakieś kłopoty po powrocie?

- Twoje sprawy są w porządku - odparł Ibn otwierając tylne drzwi i wcale nie usiłując ukryć strzelby z obciętą lufą, którą miał w kaburze pod pachą.

- Wież mnie do Yazida.

Ibn kiwnął głową, a Ammar rozsiadł się wygodnie na tylnym siedzeniu. Z zewnątrz taksówka wyglądała niepozornie, jednak jej przyciemnione szyby i blachy nadwozia były kuloodporne. Ammar siedział na niskim skórzanym fotelu i miał przed sobą gablotkę z kompaktowym wyposażeniem elektronicznym obejmującym dwa telefony, komputer radiowy oraz monitor telewizyjny. Był tam również barek i półka z dwoma karabinami automatycznymi.

Kiedy samochód okrążył zatłoczone centrum Aleksandrii i skręcił na nadmorską drogę al-Jaysh, Ammar zajął się opracowywaniem swoich dalekosiężnych operacji inwestycyjnych. Sukces finansowy zawdzięczał raczej bezwzględności w działaniu niż przenikliwości. Jeśli na drodze do zyskownego interesu stawał mu jakiś dyrektor korporacji albo urzędnik rządowy, po prostu go likwidował.

Pod koniec dwudziestokilometrowej jazdy Ibn zwolnił i zatrzymał się przy bramie małej willi na niewielkim wzgórzu nad piaszczystą plażą.

Ammar wyłączył komputer i wysiadł z samochodu. Natychmiast obstarpi go i przeszukali czterej strażnicy w drelichach koloru piasku. Następnie przepuszczono

Ammara przez „bramkę” i prześwietlono promieniami X.

Dopiero wtedy poprowadzono go do willi Yazida po kamiennych schodach obok żelbetowych bunkrów, obsadzonych przez niewielką armię goryli. Ammar uśmiechnął się, kiedy minęli ozdobne sklepienie wejście główne, otwarte dla honorowych gości, i weszli przez boczne drzwi. Zlekceważył afront wiedząc, że Yazid lubił w swej małostkowości upokarzać w ten sposób ludzi, którzy robili za niego brudną robotę, ale nie byli dopuszczeni do ścisłego kręgu jego fanatycznych zwolenników.

Wprowadzono go do pokoju, w którym nie było nic prócz jednego drewnianego stołka i dużej perskiej kotary na ścianie. Było tam duszno i gorąco. Światło przedostawało się do wewnątrz tylko przez świetlik w dachu. Strażnicy bez słowa wycofali się i zamknęli drzwi.

Ammar ziewnął, spojrzał od niechcienia na zegarek. Potem zdjął ciemne okulary i przetarł oczy. Te zwykłe gesty pozwoliły mu zlokalizować mały obiektyw kamery telewizyjnej ukryty we wzorzystej kotarze.

Dusił się w tym pokoju prawie godzinę, zanim kotara została odsunięta i w sklepionym wejściu ukazał się Achmad Yazid.

Duchowy przywódca egipskich muzułmanów był człowiekiem młodym, najwyżej trzydziestoletnim, i tak niskim, że musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć Ammarowi w oczy. Jego twarz nie miała wyrazistych rysów typowych dla Egipcjan, broda i kości policzkowe były zarysowane łagodniej, bardziej zaokrąglone. Głowę okrywała biała koronkowa materia zwinięta w rodzaj skróconego turbanu, a na chudym jak kij od miotły ciele był udrapowany biały jedwabny kaftan. Kiedy wyszedł z cienia, jego oczy jakby zmieniły barwę z czarnej na brązową.

Dla wyrażenia szacunku Ammar pochylił nisko głowę, nie patrząc Yazidowi w oczy.

- Ach, mój przyjacielu - rzekł Yazid ciepło. - Dobrze, że już powróciłeś.

Ammar podniósł wzrok, uśmiechnął się i podjął grę:

- Czuję się zaszczycony, że mogę przebywać w twojej obecności, Achmadzie Yazidzie.

- Siądź, proszę - rzekł Yazid. Był to raczej rozkaz niż zaproszenie.

Ammar usłuchał siadając na małym drewnianym stołku, by Yazid mógł na niego patrzeć z góry. Przywódca muzułmanów zastosował jeszcze inną formę upokorzenia: przez cały czas rozmowy krążył po pokoju, zmuszając Ammara do obracania się na stołku.

- Każdy tydzień niesie nowe wyzwania wątlej władzy prezydenta Hasana. Tylko lojalność wojska chroni go przed upadkiem. Wciąż może liczyć na poparcie trzystupięćdziesiąt tysięcy armii. Na razie jego minister obrony Abu Hamid siedzi

okrakiem na barykadzie. Zapewnił mnie, że poprze nasze dążenia do proklamowania republiki islamskiej, ale pod warunkiem, że wygramy referendum bez rozlewu krwi.

- Czy to źle? - zapytał Ammar z niewinnym wyrazem twarzy.

Yazid obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Ten człowiek jest prozachodnim szarlatanem, zbyt tchórzliwym, by zrezygnować z amerykańskiej pomocy. Dla niego liczą się tylko jego bezcenne odrzutowce, uzbrojone helikoptery i czołgi. Boi się, że z Egiptem stanie się to, co z Iranem. Ten idiota upiera się przy legalnym przejęciu władzy, aby pożyczki ze światowych banków i amerykańska pomoc finansowa mogły płynąć dalej.

Umilkł patrząc Ammarowi prosto w oczy, jakby chcąc go sprowokować, by mu się jeszcze raz sprzeciwił. Ammar nic nie odpowiedział. Duszny pokój zaczął mu znów działać na nerwy.

- Abu Hamid żąda też ode mnie obietnicy, że Hala Kamil pozostanie sekretarzem generalnym ONZ - dodał Yazid.

- Mimo to kazałeś mi ją zlikwidować - rzekł z zaciekawionym Ammar. - Dlaczego?

Yazid kiwnął głową.

- Tak, chciałem, żeby ta suka rozstała się z życiem, ponieważ wykorzystuje swoją pozycję w ONZ jako platformę do walki z naszym ruchem i do urabiania światowej opinii przeciwko nam. Abu Hamid jednak zatrzasnąłby mi drzwi przed nosem, gdyby została otwarcie zamordowana. Dlatego liczyłem na ciebie, Sulejmanie... że usuniesz ją pozorując wypadek. Niestety zawiodłeś. Zabiłeś wszystkich na pokładzie samolotu z wyjątkiem Kamil.

Ostatnie słowa spadły jak młot. Pozorny spokój Ammara znikł. Spojrzał na Yazida zdziwiony.

- Ona żyje?

Oczy Yazida były zimne.

- Wiadomość tę podano przed godziną z Waszyngtonu. Samolot rozbił się na Grenlandii. Wszyscy pasażerowie, prócz Kamil, a także załoga, z wyjątkiem dwojga osób, nie żyją z powodu trucizny.

- Trucizny...? - mruknął Ammar niedowierzająco.

- Nasze źródła w amerykańskim świecie dziennikarskim potwierdziły tę wiadomość.

O co tu chodzi, Sulejmanie? Zapewniłeś mnie przecież, że samolot utonie w morzu.

- Czy mówią, jak dotarł do Grenlandii?

- Steward pokładowy odkrył ciała załogi. Z pomocą meksykańskiego delegata przejął stery i zdołał wylądować na lodzie fiordu. Kamil z pewnością umarłaby z zimna, co by

załatwiło sprawę, ale w pobliżu znajdował się amerykański lodołamacz. Załoga natychmiast zareagowała i uratowano ją.

Ammar osłupiał. Nie przywykł do porażek. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak jego drobiazgowo obmyślony plan mógł zostać obrócony wniwecz. Zamknął oczy i ujrzał pod powiekami samolot mijający wierzchołek lodowca. Niemal natychmiast odgadł, co mogło się nieprzewidzianego wydarzyć.

Yazid stał chwilę w milczeniu, a potem powiedział:

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że to ja będę oskarżony o wszystko?

- Nie ma żadnych dowodów świadczących o moich powiązaniach z tą katastrofą albo z tobą - rzekł Ammar stanowczo.

- Być może, ale to ja miałem motyw, aby ją zamordować. Zachodnie środki masowego przekazu mnie uczynią winowajcą. Powinienem cię zgładzić.

Ammar wzruszył ramionami.

- Byłaby to twoja strata. Wciąż jestem najlepszym likwidatorem na Bliskim Wschodzie.

- I najlepiej opłacanym.

- Nie mam zwyczaju brać pieniędzy za nie dokończoną pracę.

- Mam nadzieję - odparł Yazid cierpko. Nagle obrócił się na pięcie i podszedł do kotary. Odsunął ją lewą ręką, zatrzymał się i odwrócił do Ammara. - Muszę się przygotować do modłów. Możesz odejść, Sulejmanie Azizie Ammarze.

- A Hala Kamil? Zadanie nie jest ukończone.

- Powierzam usunięcie jej Muhammadowi Ismailowi.

- Ismailowi...? - burknął Ammar. - Ten człowiek to kretyn.

- Jest dobry.

- Chyba do czyszczenia ścieków.

Twarde, zimne oczy Yazida spojrzały na Ammara groźnie.

- Kamil już cię nie obchodzi. Zostaniesz tu, w Egipcie, u mego boku. Powziąłem ze swoimi wiernymi doradcami inny plan. Będziesz miał okazję odkupić się w oczach Allacha.

Zanim Yazid zdążył wejść w drzwi, Ammar wstał i zapytał:

- Ten delegat meksykański, który pomagał prowadzić samolot... czy on też był otruty?

Yazid odwrócił się i potrząsnął głową.

- Raport mówi, że zginął podczas lądowania.

Wyszedł i kotara za nim opadła.

Ammar usiadł ponownie na stołku. Przez mgłę zagadki przebił się nagły błysk olśnienia. Usta Ammara wykrzywił pod wąsem uśmiech rozbawienia.

- A więc było nas dwóch - rzekł głośno w pustym pokoju. - I ten drugi zatrul jedzenie dostarczone na pokład samolotu. - Pokręcił głową w zadziwieniu. - Trucizna w pieczeni wołowej... No, no.

Początkowo nikt nie zwrócił uwagi na małą plamkę wędrującą po krawędzi papierowej taśmy rejestrującej zapis sonaru.

Po sześciu godzinach poszukiwań znaleźli kilka obiektów. Części samolotu, które postanowili wydobyć, zatopiony trawler rybacki i różne rzeczy pozostawione przez floty rybackie poszukujące w fiordzie schronienia przed sztormami.

Ostatni obiekt nie znajdował się na dnie fiordu, jak oczekiwali, lecz w małej zatoczce otoczonej stromymi skałami. Tylko jeden jego koniec wystawał nad czystą wodę, reszta była zakryta ścianą lodu.

Pitt pierwszy się zorientował, co to znaczy. Siedział przed rejestratorem, a Giordino, komandor Knight i archeolodzy stali wokół niego. Powiedział do mikrofonu:

- Ustaw rybkę na jeden-pięć-zero stopni.

„Polar Explorer” nadal stał w skutym lodem fiordzie. Ekipa pod dowództwem Córka Simona przewierciła lód i opuściła w wodę czujnik. Wolniutko obracali rybkę, jak nazywali to urządzenie, dokładnie badając cały obszar. Po przeszukaniu go rozwinęli więcej kabla i próbowali w innym miejscu, dalej od statku.

Simon zastosował się do polecenia Pitta i skrzył kabel, ustawiając czujniki sonaru na 150 stopni.

- Jak teraz? - zapytał.

- Teraz jesteś nakierowany wprost na cel - odparł Pitt ze statku.

Pod tym kątem cel był wyraźniejszy. Pitt wziął czarny flamaster i zaznaczył obiekt kółkiem.

- Chyba coś mamy.

Gronquist przysunął się bliżej i pokiwał głową.

- Za mało widoczny, żeby go móc zidentyfikować. Co to może być?

- Dość niewyraźny - odparł Pitt. - Trzeba posłużyć się wyobraźnią, ponieważ większa część obiektu jest zakryta lodem, który osunął się z otaczających skał. Ale ta część, którą widać pod wodą, nasuwa przypuszczenie, że to drewniany statek. Widać dokładnie kanciasty kształt zwieńczony czymś, co może być wysoką zakrzywioną stwą rufy.

- Tak - powiedziała Lily z ożywieniem. - Wysoka i pełna gracji. Typowa dla statku handlowego z czwartego wieku.

- Nie podniecaj się - przestrzegł ją Knight. - To może być stary żaglowiec rybacki.

- Wykluczone. - Giordino zamyślił się. - Jeżeli mnie pamięć nie myli, Duńczycy, Islandczycy i Norwegowie, którzy łowili na tych wodach w ciągu minionych wieków,

pływali znacznie większymi statkami, o rufach takich samych jak dzioby.

- Masz rację - rzekł Pitt. - Ostry dziób i rufę przejęli od wikingów. Ale to, co tu mamy, może być też takim statkiem. On może być znacznie większy, niż nam się wydaje.

- Trudno coś zobaczyć przez lód pokrywający kadłub - powiedział Gronquist. - Gdybyśmy opuścili kamerę w czystą wodę za rufą, można by się lepiej zorientować.

Giordino miał wątpliwości.

- Kamera jedynie potwierdzi, że jest to rufa rozbitego statku, nic więcej.

- Mamy tu mnóstwo silnych mężczyzn - powiedziała Lily. - Moglibyśmy wyrąbać tunel w lodzie i sami zbadać statek.

Gronquist wziął lornetkę i wyszedł na mostek. Po chwili wrócił.

- Według moich obliczeń pokrywa lodowa ma dobre trzy metry grubości. Wycięcie takiego tunelu zajęłoby nam co najmniej dwa dni.

- Obawiam się, że będziecie musieli zrobić to bez nas - zauważył Knight. - Otrzymałem rozkaz wypłynięcia przed godziną osiemnastą. Nie mamy czasu na dłuższe prace.

Gronquist był zaskoczony.

- Zostało nam tylko pięć godzin!

Knight rozłożył ręce w geście bezradności.

- Przykro mi, ale to nie ode mnie zależy.

Pitt przyglądał się ciemnej plamce na wydruku.

- Jeżeli udowodnię, że jest to rzymski statek z czwartego wieku - rzekł do Knighta - czy wówczas przekonasz dowództwo, że powinniśmy tu zostać jeszcze dzień lub dwa?

Knight spojrzał na niego podejrzliwie.

- Co ty knujesz?

- Postarasz się? - przyciskał go Pitt.

- Tak - odparł Knight. - Ale tylko wtedy, gdy udowodnisz ponad wszelką wątpliwość, że jest to aż tak wiekowy wrak.

- No to umowa stoi.

- A jak to zrobisz?

- Bardzo prosto - odparł Pitt. - Zanurkuję pod lód i wypłynę przy kadłubie, by go zbadać.

Cork Simon i jego ludzie pracowali w pośpiechu, wycinając za pomocą piły łańcuchowej otwór w metrowym lodzie. Najpierw wycinali wielkie kostki lodu, póki nie dotarli do ostatniej warstwy. Przebili ją młotem kowalskim zamocowanym na długiej rurze,

a potem usunęli kawały lodu hakami, aby Pitt mógł się bezpiecznie zanurzyć.

Zadowolony ze swojego dzieła, Simon przeszedł kilka kroków do namiotu, który był ogrzany i pełen ludzi. Obok warkoczącego urządzenia ogrzewczego, z rurą wydechową wyprowadzoną poza namiot, stał kompresor powietrza.

Lily siedziała wraz z innymi archeologami przy składanym stoliku w kącie namiotu, kreśląc jakieś rysunki i omawiając je z Pittem, który ubierał się w strój nurka.

- Jestem gotowy - oznajmił Simon.

- Jeszcze pięć minut - odparł Giordino, sprawdzając zawory i regulator przy masce do nurkowania typu Mark I.

Pitt wciągnął specjalny nieprzemakalny kombinezon z grubym ocieplaczem z puszystej nylonowej gąbki. Następnie włożył na głowę kominiarkę i zapiął pas obciążający, przerabiając jednocześnie krótki kurs budowy starożytnych statków.

- We wczesnych statkach handlowych cieśle okrętowi lubili stosować drewno cedrowe i cyprysowe, a nawet sosnę na pokrycie - wykladał Gronquist. - Na kil brali przeważnie drewno dębowe.

- Nie potrafię odróżnić jednego drewna od drugiego - rzekł Pitt.

- Więc przyjrzyj się dobrze kadłubowi. Deski były łączone na gniazda i czopy. Wiele statków objmano ołowianą blachą poniżej linii wodnej. Części metalowe były z żelaza i miedzi.

- A co ze sterem? - spytał Pitt. - Mam wypatrywać jakiegoś szczególnego kształtu i mocowań?

- Nie znajdziesz steru zamocowanego na rufie - powiedział Sam Hoskins. - Pojawiły się dopiero w osiem wieków później. Wszystkie wczesnośródziemnomorskie statki handlowe miały tylko po dwa wiosła sterujące w tylnej części kadłuba.

- Chcesz zabrać rezerwową butlę z tlenem na „powrót do domu”? - przerwał Giordino wywód Hoskinsa.

Pitt potrząsnął głową.

- Nie będzie mi potrzebna przy tak płytkim nurkowaniu, w dodatku z liną ubezpieczającą.

Giordino wziął maskę i pomógł Pittowi wciągnąć ją na głowę. Sprawdził jej szczelność przy twarzy, poprawił ułożenie i zapiął klamry. Pompa powietrzna była podłączona i kiedy Pitt dał mu znak, że ma odpowiedni przepływ, przyłączył do maski przewód komunikacyjny.

Podczas gdy jeden z marynarzy rozwijał i prostował przewód powietrza i przewód



komunikacyjny, Giordino obwiązał Pitta w pasie liną asekuracyjną z konopi manilskich. Następnie sprawdził raz jeszcze cały ekwipunek i włożył sobie na głowę słuchawki z mikrofonem.

- Dobrze mnie słyszysz? - spytał.

- Wyraźnie, ale słabo - odparł Pitt. - O stopień głośniej.

- Teraz lepiej?

- Znacznie.

- Jak się czujesz?

- Świetnie, póki oddycham ciepłym powietrzem.

- Gotowy?

Pitt odpowiedział uniesieniem w górę kciuka. Przyczepił do pasa wodoszczelną latarkę.

Lily uściskała go i spojrzała mu w twarz przez szybkę maski.

- Szczęśliwych łowów. Uważaj na siebie.

Mrugnął do niej.

Odwrócił się i wyszedł z namiotu, a za nim dwaj marynarze, którzy pilnowali przewodów.

Giordino chciał również wyjść, ale Lily przytrzymała go za ramię.

- Czy będziemy go słyszeli? - spytała z niepokojem.

- Tak, podłączyłem go do głośnika. Będziecie mogli siedzieć tu w cieple i rozmawiać.

Wszelkie pytania do Pitta przekazujcie mnie, a ja przekażę jemu.

Pitt przyczłapał sztywno do przerębli i usiadł. Temperatura powietrza spadła do minus 18°C. Był krystalicznie jasny listopadowy dzień z ostrym wiatrem wiejącym z prędkością dziesięciu mil na godzinę.

Wciągając płetwy patrzył na strome ściany gór wokół zatoczki. Tony śniegu i lodu, które przywierały do nich, wyglądały, jakby w każdej chwili mogły osunąć się w dół. Spojrzał w głąb fiordu, na długie jezory lodowca spływające ku morzu. Potem popatrzył w dół.

Woda w przerębli była złowroga i zimna.

Podszedł do niego komandor Knight i położył mu rękę na ramieniu. Widział przez szybkę maski tylko ciemnozielone oczy Pitta. Powiedział głośno:

- Została nam godzina i dwadzieścia trzy minuty. Pamiętaj o tym.

Pitt spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział. Podniósł do góry kciuki i przez wąski otwór w lodzie ześliznął się w wodę.

Wolno opadał obok otaczających go białych ścian. Jakby nurkował w studnię. Znalazszy się pod lodem, był zdumiony kalejdoskopowym lśnieniem barw promieni słońca, które przenikały lód. Dolna powierzchnia pokrywy lodowej była nierówna, usiana małymi stalaktytami utworzonymi z raptownie zamarzającej świeżej wody napływającej do fiordu z topniejących lodowców.

Widoczność wynosiła w linii poziomej prawie osiemdziesiąt metrów. Pitt spojrzął w dół i zobaczył niewielką kolonię wodorostów uczepionych skalistego dna. Tysiące małych krewetkopodobnych skorupiaków tkwiących w nieruchomych wodach pierzchno z pola jego widzenia.

Ogromna, trzymetrowa foka brodata z kępkami grubych szczecin pod nosem mierzyła go z oddali wzrokiem. Pitt machnął rękami i foka odpłynęła.

Dotknął dna i zatrzymał się na chwilę dla wyrównania ciśnienia w uszach. Nurkowanie z kamizelką ratunkową regulującą pływność było pod lodem niebezpieczne, toteż Pitt jej nie miał. Czuł, że jest trochę za ciężki, wyjął więc z pasa kilka ołowianych ciężarków i wyrzucił je. Powietrze z kompresora płynące przez filtr do jego maski miało mdły zapach, lecz było czyste.

Spojrzął w górę i orientując się według widmowej poświaty z przerębli sprawdził kompas. Nie zabrał ze sobą głębokościomierza wiedząc, że ma pracować na głębokościach nie przekraczających czterech metrów.

- Mów do mnie - rozległ się w słuchawkach głos Ala Giordino.

- Jestem na dnie - odparł Pitt. - Wszystko działa jak należy.

Pitt odwrócił się i spojrzął przez zieloną pustkę.

- Statek znajduje się około dziesięciu metrów na północ ode mnie. Idę w jego kierunku. Popuście przewody.

Płynął powoli, uważając, aby przewody nie zaczepiły o skalne występy. Chłód lodowatej wody zaczynał przenikać przez kombinezon. Pitt był rad, że Giordino pomyślał o tym, aby powietrze było ogrzane i suche.

Z wolna jego oczom ukazała się rufa wraku. Burty były pokryte warstwą alg. Oczyszczył z nich kawałek deski, wznecając zieloną chmurę. Czekał chwilę, aż opadnie, a potem obejrzał rezultat swojego działania.

- Powiedz Lily i doktorowi, że mam przed sobą drewniany kadłub bez steru rufowego. Ale nie ma też żadnych wiosel sterujących.

- Przyjąłem - rzekł Giordino.

Pitt wyjął nóż z pochwy, którą miał przytroczoną do nogi, i zadrapał nim kadłub w

okolicy stępki. Wyczuł pod ostrzem miękkiego metalu.

- Spód wyłożony ołowianą blachą - oznajmił.

- Coraz lepiej - odparł Giordino. - Doktor Gronquist chce wiedzieć, czy jest jakaś rzeźba na stewie.

- Chwileczkę.

Pitt wytarł dokładnie ręką płaską część stewy rufowej w miejscu, gdzie wchodziła w lód, i czekał, aż chmura alg opadnie.

- Jest tu coś w rodzaju plakietki z twardego drewna, wpuszczonej w stewę. Widzę jakieś litery i twarz.

- Twarz?

- Z kędzierzawymi włosami i gęstą brodą.

- A co jest napisane?

- Niestety nie znam greckiego.

- Nie po łacinie? - zapytał Giordino niedowierzająco.

Wypukła rzeźba nie była najlepiej widoczna w migotliwym świetle sączącym się przez lód. Pitt przysunął się, niemal dotykając maską plakietki.

- Po grecku - rzekł stanowczo.

- Jesteś pewien?

- Chodziłem kiedyś z dziewczyną, która studiowała grekę.

- Zaczekaj. Wprawiliś w podniecenie tych zbieraczy starych kości. Po prawie dwóch minutach znów dał się słyszeć głos Giordina:

- Gronquist utrzymuje, że masz halucynacje, ale Mike Graham mówi, że studiował grekę na uniwersytecie i prosi cię, abyś opisał te litery.

- Pierwsza przypomina S, ale takie w kształcie błyskawicy. Drugą jest A bez prawej nóżki. Potem idzie P, a za nim drugie okaleczone A i coś, co wygląda na odwrócone L albo szubienicę. Potem jest I. Ostatnią literą jest drugie S jak błyskawica. Lepiej tego określić nie potrafię.

Słuchając Pitta przez głośnik w namiocie, Graham próbował odtworzyć ten kiepski opis w notesie.

Wyglądało to jak jakiś wyraz. Coś tu było jednak nie tak. Wyteżył pamięć i nagle doznał olśnienia. Litery były greckie, ale wschodniogreckie.

Po namyśle napisał jedno słowo, wydarł kartkę z notatnika i pokazał swoim towarzyszom. Było na niej napisane:

SARAPIS

Lily spojrzała na Grahama pytająco.

- Czy to coś znaczy?

- Myślę, że jest to imię grecko-egipskiego boga - rzekł Gronquist.

- Bóstwa popularnego w całym basenie Morza Śródziemnego - zgodził się Hoskins. -

Obecnie piszemy „Serapis”.

- Więc naszym statkiem jest „Serapis” - mruknęła Lily w zadumie.

Knight chrząknął.

- Mamy zatem do czynienia z greckim, rzymskim albo egipskim wrakiem statku... ale którym z nich?

- To przerasta nasze możliwości - odparł Gronquist. - Potrzebujemy porady eksperta z dziedziny archeologii marynistycznej, który zna się na starożytnych jednostkach pływających.

Tymczasem Pitt przeszedł pod lodem wzdłuż prawej burty do miejsca, gdzie deski poszycia ginęły w lodzie. Następnie przepłynął wokół rufy na lewą burtę. Tu deski poszycia były spazzone i poodginane na zewnątrz. Kilka kopnięć płetwami i Pitt mógł zajrzeć do części, która była odgradzona lodem.

Przysunął się do otworu i wetknął głowę do środka. Zupełnie jakby patrzył w ciemną szafę. Widział tylko jakieś niewyraźne kształty. Sięgnął ręką i namacał coś krągłego i twardego. Zmierzył wzrokiem otwór. Był za mały, by mógł przecisnąć ramiona.

Chwycił górną deskę, oparł się nogą z płetwą o kadłub i pociągnął. Dobrze zachowane drewno wolno wygięło się, lecz nie puściło. Pitt zaparł się w kadłub obiema stopami i pociągnął deskę z całych sił. Wciąż nie puszcziała. W chwili, gdy już miał zrezygnować, kołki mocujące deskę do żebra łodzi nagle puściły i Pitt poleciał w tył, uderzając o dużą skałę.

Każdy szanujący się licencjonowany archeolog morski dostałby zawału na widok tak brutalnego obchodzenia się ze starożytnym wytworem rąk ludzkich. Pitt jednak był całkowicie nieczuły na akademickie skrupuły. Zaczynało mu się robić coraz zimniej, w dodatku od uderzenia o skałę bolało go ramię i wiedział, że już niedługo będzie mógł pozostawać pod wodą.

- Znalazłem i powiększyłem otwór w kadłubie - rzekł dysząc jak maratończyk. - Przyślijcie na dół kamerę.

- Zrozumiałem - usłyszał flegmatyczny głos Giordina. - Zbliź się, to ci ją podam.

Pitt podpłynął do otworu w lodzie i wychylił się na powierzchnię. Giordino położył się na lodzie i dał mu małą podwodną videokamerę.

- Zrób kilka metrów taśmy i wracaj - powiedział. - Dość już osiągnąłeś.

- A co na to komandor Knight?

- Zaraz cię z nim połączę.

Po chwili Pitt usłyszał w słuchawkach głos Knighta:

- Dirk?

- Słucham cię, Byron.

- Czy jesteś stuprocentowo pewny, że mamy do czynienia z tak starym statkiem?

- Wszystko na to wskazuje.

- Potrzebny mi niezbity dowód, jeżeli mam przekonać dowództwo atlantyckie, że musimy tu pozostać jeszcze czterdzieści osiem godzin.

- Poczekaj chwilę, a przypieczętuję to buziakiem.

- Wystarczy jakiś możliwy do umiejscowienia w czasie przedmiot - odparł Knight cierpko.

Pitt wywinął koziółka i znikł pod wodą.

Nie od razu wszedł do środka wraku. Sam nie wiedział, jak długo trwał bez ruchu przy wyłamanych deskach poszycia. Może minutę, na pewno nie dłużej niż dwie. Nie wiedział też, czemu się waha.

Pochylił jednak w końcu głowę, ściągnął barki i ostrożnie machnął płetwami.

Otworzyło się przed nim nieznane. Wpłynął w jego czerń.

Wcisnąwszy się do środka zatrzymał się, znieruchomiał, po czym wolno opadł na kolana nasłuchując bicia swego serca i bulgotania powietrza wydostającego się przez zawór na zewnątrz. Czekał, aż wzrok przystosuje się do płynnego mroku.

Nie wiedział, czego się tu spodziewać. Zaraz na początku natknął się na szereg terakotowych dzbanków, garnków, kubków i talerzy schludnie poustawianych na półkach wbudowanych w przegrody. Na samym brzegu stał mosiężny gar, którego dotknął macając przez otwór w burcie. Był cały pokryty zielenią patyny.

Początkowo sądził, że kłęczy na twardej powierzchni pokładu. Pomacał wokół dłońmi i stwierdził, że wylądował kolanami na ceramicznych płytkach kuchennego paleniska. Spojrzał w górę i zobaczył banieczki powietrza tworzące drżące kręgi. Kiedy wstał, jego głowa i ramiona znalazły się nad powierzchnią wody fiordu.

- Jestem w kuchni statku - powiadomił kolegów na górze. - Górna połowa jest sucha. Włączam kamerę.

- Przyjąłem - odparł krótko Giordino.

Pitt wykorzystał następnych kilka minut, by sfilmować kamerą wideo wnętrze kuchni nad i poniżej linii wody, cały czas mówiąc, co widzi. Znalazł otwartą szafkę wypełnioną eleganckimi szklanymi naczyniami. Wziął stojące najbliżej i zajrzał do wnętrza. Zawierało monety. Wyjął jedną z nich, starł palcami algi i zrobił zbliżenie monety. Wyglądała na złotą.

Ogarnęło go uczucie lęku i niemal czci. Rozejrzał się szybko, jakby spodziewając się, że zaraz zobaczy widmową załogę albo co najmniej jej szkielety, jak wsuwają się przez luk, aby oskarżyć go o kradzież. Ale załogi nie było. Znajdował się tu sam i dotykał przedmiotów należących do ludzi, którzy chodzili po tym pokładzie, gotowali tu i jedli - ludzi, którzy już od szesnastu wieków byli martwi.

Zaczął się zastanawiać, co się z nimi stało. Jak dotarli na skutą lodem Północ? Nie istnieje przecież żaden zapis historyczny takiej podróży. Musieli umrzeć z zimna, lecz gdzie są ich ciała?

- Lepiej już wychodź - rzekł Giordino. - Jesteś pod wodą prawie trzydzieści minut.

- Zaraz - odparł Pitt. Trzydzieści minut, myślał. Przemknęło jak pięć. Zaczynał tracić poczucie czasu. Chłód spowolniał jego reakcje. Wrzucił monetę z powrotem do naczynia i szperał dalej.

Sufit kuchni wystawał pół metra nad główny pokład i w górnej części przedniej przegrody znajdowały się zabite okienka, które normalnie służyły jako wywietrzniki. Pitt

wyważył jedno z nich, ale zobaczył za nim tylko ścianę lodu.

Według jego pobieżnej oceny woda zalewająca tylną część kuchni była głębsza. Wywnioskował stąd, że dziób i środek kadłuba stały na pochyłym brzegu, znajdującym się pod lodem.

- Znalazłeś jeszcze coś? - pytał niecierpliwie Giordino.

- Na przykład co?

- Szczątki załogi...?

- Żałuję, ale nie widzę żadnych kości.

Pitt dał nura pod wodę i przejrzał dokładnie pokład. Nie znalazł na nim nic.

- Pewnie wpadli w panikę i opuścili statek - teoretyzował Giordino.

- Nic tutaj nie wskazuje na panikę - odparł Pitt. - Kuchnia wygląda jak przygotowana do inspekcji.

- Możesz przedostać się do innych pomieszczeń?

- W przedniej przegrodzie jest luk. Zobaczę, co jest po jego drugiej stronie.

Schylił się i przecisnął przez niski i wąski otwór, ciągnąc ostrożnie za sobą linę ratowniczą i przewody. Ciemności natarły na niego ze wszystkich stron. Odczepił latarkę od pasa i omiół jej światłem niewielkie pomieszczenie.

- Jestem w czymś w rodzaju magazynu. Woda jest tu płytka, sięga mi ledwie do kolan. Są w nim narzędzia, tak, narzędzia cieśli okrętowego, zapasowe kotwice, bezmian...

- Bezmian...? - przerwał mu Giordino.

- To taka waga wisząca na haku.

- Rozumiem.

- Jest tu też mnóstwo siekier, ciężarków ołowianych i sieci. Poczekaj, sfilmuję to.

Na główny pokład wiodła wąska drewniana drabinka. Pitt ostrożnie wypróbował ją, zdziwiony, że okazała się dość mocna, by wytrzymać jego ciężar.

Wolno wspiął się po szczeblach i wsadził głowę do kabiny pokładowej. Nie zobaczył nic prócz kawałków połamanego drewna. Była prawie zupełnie zgnieciona lodem.

Zszedł na dół i brodząc doszedł do innego luku, który prowadził do komory ładunkowej. Przesunął światło latarki od jednej burty do drugiej i zdrętwiał.

To była nie tylko komora ładunkowa.

To była również krypta.

Lodowate zimno przemieniło ładownię w komorę kriogeniczną. Wokół małego żelaznego pieca u dziobu statku ujrzał osiem niemal idealnie zachowanych ciał. Były okryte lodowym całunem, co sprawiało, że wyglądały, jakby każde z osobna owinięto grubym

przezroczystym plastikiem.

Umarli mieli spokojne twarze i otwarte oczy, jak manekiny w oknie wystawowym. Znajdowali się w różnych pozycjach, jakby specjalnie ustawieni i rozmieszczeni. Czterech pożywiało się przy stole, z talerzami i kubkami przed sobą. Dwaj siedzieli oparci plecami o burtę i wydawali się czytać leżące na ich kolanach zwoje pergaminu. Jeden był przegięty przez drewnianą skrzynię, a ostatni siedział nad stosikiem woskowych tabliczek ułożonym na podrapanym blacie składanego stołu.

Pitt czuł się, jakby wszedł do maszyny czasu. Nie mógł uwierzyć, że patrzy na dawnych obywateli imperium rzymskiego, starożytnych żeglarzy, którzy zawijali do portów od wieków już leżących pod gruzami późniejszych cywilizacji. Ludzi sprzed ponad szesnastu stuleci.

Nie byli przygotowani na arktyczny chłód. Żaden nie miał na sobie grubego odzienia, w nagłej potrzebie opatulili się więc kocami. W porównaniu z Pittem zdawali się niewysocy, mniejsi od niego co najmniej o głowę. Jeden był łysy, z siwymi kędzierzawymi włosami po bokach głowy. Drugi miał bujną rudą czuprynę i także brodę. Pozostali byli gładko ogoleni. O ile Pitt mógł się rozeznac patrząc przez warstewkę lodu, najmłodszy liczył sobie lat osiemnaście, najstarszy blisko czterdzieści.

Żeglarz, który zmarł nad stosikiem woskowych tabliczek, miał skórzaną czapkę mocno przylegającą do głowy i długie pasma wełny owinięte wokół nóg.

Załoga nie wyglądała na wygłodniałą ani zmarłą wolno z zimna. Śmierć przyszła nagle i niespodziewanie.

Pitt odgadł jej przyczynę. Wszystkie pokrywy luków były dobrze uszczelnione, a jedyny otwór służący wentylacji zamarł. Garnki z ostatnią strawą stały na małym piecyku olejowym. W ładowni nagromadził się śmiertcionośny tlenek węgla. Bez ostrzeżenia przyszła utrata świadomości i każdy z tych ludzi zmarł tak, jak siedział.

Pitt odłupał lód z woskowych tabliczek czyniąc to ostrożnie, jakby się bał obudzić dawno zmarłego żeglarza. Rozpiął kombinezon i wsunął tabliczki za pazuchę.

Nie odczuwał już dręczącego chłodu ani nerwowego drżenia. Był tak pochłonięty oglądaną sceną, że nie słyszał wciąż ponawianego pytania Giordina:

- Słyszysz mnie? Odpowiedz, do cholery!

Pitt wymamrotał coś niezrozumiałe.

- Powtórz jeszcze raz. Masz jakieś kłopoty?

Niepokój brzmiący w głosie Giordina wyrwał wreszcie Pitta z transu.

- Powiedz komandorowi, że ten statek jest naprawdę starożytny. A przy okazji -



dodał bezdźwięcznym głosem - wspomnij również, że jeśli potrzebuje świadków, mogę mu dostarczyć całą załogę.

- Jesteś proszony do telefonu - krzyknęła żona Juliusza Schillera z okna kuchni.

Schiller podniósł wzrok znad ogrodowego rusztu na podwórku swego ocienionego drzewami domu w Chevy Chase.

- Nie wiesz, kto dzwoni?

- Nie, ale ma głos podobny do Dale'a Nicholasa.

Westchnął i uniósł w górę szczypce.

- Chodź i przypilnuj befsztyków, żeby się nie przypaliły.

Pani Schiller pocałowała męża w przejściu, kiedy mijali się na ganku. Wszedł do gabinetu, zamknął drzwi i podniósł słuchawkę.

- Słucham.

- Juliusz, tu Dale.

- O co chodzi?

- Przepraszam, że dzwonię w niedzielę - rzekł Nichols. - Czy ci w czymś przeszkodziłem?

- Tylko w rodzinnym pieczeniu befsztyków na ruszcie.

- Ale się zawzięłeś. Na dworze jest najwyżej siedem stopni.

- Lepsze to od zadymiania garażu.

- Ja wolę befsztyk smażony z jajami.

Schiller zorientował się, że Nicholsowi nie chodzi o towarzyską pogawędkę i przełączył telefon na linię ze specjalnym skomputeryzowanym zabezpieczeniem podsłuchowym.

- No dobra, Dale, co masz mi do powiedzenia?

- Chodzi o Halę Kamil. Wymiana przeszła bardzo gładko.

- Jej dublerka jest w szpitalu Waltera Reeda? - spytał Schiller.

- Tak, pod ścisłym nadzorem.

- Kto ją dubluje?

- Teri Rooney, aktorka. Ma doskonałą charakteryzację. Przysięgłbyś, że to pani sekretarz, chyba że zetknąłbyś się z nią nos w nos. Zrobiliśmy też konferencję prasową z lekarzami szpitalnymi. Zmyślili coś, z czego wynikało, że jej stan zdrowia wygląda poważnie.

- A Kamil?

- Została w samolocie Sił Powietrznych, który ją przywiózł z Grenlandii. Po uzupełnieniu paliwa odleciała do Buckley Field koło Denver. Tam przesiadła się na

helikopter i poleciała do Breckenridge.

- Ośrodek sportów zimowych w Kolorado?

- Tak. Teraz wypoczywa sobie wygodnie w domku rekreacyjnym senatora Pitta tuż za miastem. Nie ma żadnych urazów oprócz kilku sińców i lekkiego odmrożenia.

- Jak przyjęła tę przymusową rekonwalescencję?

- Jeszcze nie wiem. Była na silnych środkach uspokajających, kiedy ją zabierano ze szpitala w Thule. Ale chyba nie będzie protestowała, gdy się dowie o naszej operacji mającej zabezpieczyć jej przybycie do siedziby ONZ, gdzie ma przemówić na otwarciu sesji Zgromadzenia Ogólnego. Ktoś godny zaufania z bliskich jej osób twierdzi, że Hala zamierza oskarżyć Yazida, demaskując go jako religijnego szarlatana, oraz przedstawić dowody jego tajnych akcji terrorystycznych.

- Czytałem raport pochodzący z tego samego źródła - rzekł Schiller.

- Mamy pięć dni do otwarcia sesji - powiedział Nichols. - Yazid nie cofnie się przed niczym, by się jej pozbyć.

- Trzeba ją trzymać w ukryciu aż do wejścia na podium - zaznaczył Schiller z naciskiem.

- Jest bezpieczna - odparł Nichols. - Miałaś jakąś wiadomość od rządu egipskiego?

- Prezydent Hasan zadeklarował pełną współpracę w związku z Kamil. Uwija się jak w ukropie, żeby wprowadzić w życie swoje reformy gospodarcze i zastąpić przywódców wojskowych zaufanymi ludźmi. Hala Kamil jest ostatnią przeszkodą stojącą na drodze Yazida do przejęcia władzy. Jeśli jego siepacze dorwą Kamil, zanim jej przemówienie pójdzie w świat kanałami satelitarnymi, staniemy przed niebezpieczeństwem, że jeszcze przed końcem miesiąca Egipt przemieni się w drugi Iran.

- Bądź spokojny, Yazid nie połąpie się, w czym rzecz, a potem będzie za późno - powiedział Nichols z ufnością.

- Mam nadzieję, że ona jest dobrze strzeżona.

- Strzegą jej najlepsi agenci Secret Service. Prezydent osobiście interesuje się tą operacją.

Rozległo się pukanie do drzwi i żona Schillera zawołała:

- Juliusz, befsztyki gotowe!

- Już idę - odparł Schiller.

Nichols słyszał tę wymianę zdań i powiedział:

- To na razie tyle. Pozwolę ci już wrócić do befsztyków.

- Byłbym spokojniejszy, gdyby w tej sprawie pomogło nam FBI - rzekł Schiller.

- Wzięliśmy pod uwagę wszystkie możliwości. Prezydent uważa, że lepiej, aby ta wiadomość nie wyszła poza ścisłe grono.

Schiller zamyślił się. Po chwili rzekł:

- Nie pochrzań czegoś, Dale.

- Spokojna głowa. Przrzekam ci, że Hala Kamil przybędzie do siedziby ONZ w świetnej kondycji i pełna ognia.

- Oby tak się stało.

- Masz to jak w banku.

Schiller odłożył słuchawkę. Czuł się nieswojo. Pozostała mu tylko nadzieja, że Biały Dom wie, co robi.

Po drugiej stronie ulicy stała furgonetka. W jej tylnej części z napisem STOLECZNE ZAKŁADY KANALIZACYJNE na szybach, siedziało trzech mężczyzn. Ciasne wnętrze było zastawione elektroniczną aparaturą podsłuchową.

Od pięciu godzin w furgonetce panowała nuda. Podsłuch jest jednym z najnudniejszych zajęć. Ludzie byli poirytowani. Jeden palił, pozostali nie, i nie znosili papierosowego dymu. Wszyscy zeszywnieli z zimna. Byli to agenci kontrwywiadu, którzy opuścili służbę, aby pracować na własną rękę.

Większość byłych agentów podejmowała się czasem zleconych zajęć dla rządu, ale ci trzej należeli do tych nielicznych, którzy bardziej cenili sobie pieniądze niż patriotyczny obowiązek i sprzedawali wszelkie tajne wiadomości, jakie udało im się zdobyć, temu, kto więcej płacił.

Jeden z nich, blondyn o sterzcących włosach, zza przyciemnionej szyby obserwował przez lornetkę dom Schillera.

- Wychodzi z gabinetu.

Schylony nad magnetofonem grubas ze słuchawkami na uszach kiwnął głową.

- Skończyli rozmowę.

Trzeci, z wielkimi wypomadowanymi wąsiskami, operował parabolą laserową, czułym mikrofonem, który odczytywał dźwięki z drgania szyb, powiększając je następnie światłowodami i przekazując na kanał dźwiękowy.

- Coś ciekawego? - zapytał chudy blondyn.

Grubas zdjął słuchawki i otarł pot z czoła.

- Myślę, że udział z tego przedsięwzięcia opłaci mój jacht.

- Uwielbiam chodliwy towar.

- Ta informacja jest warta kupę szmalu dla odpowiedniego kontrahenta.

- Kogo masz na myśli? - spytał ten z wąsami.

Grubas uśmiechnął się jak nasycony kojot.

- Bardzo bogatego, wysoko postawionego turbaniarza, który i chce zyskać kilka punktów u Achmada Yazida.

Prezydent wstał zza biurka i kiwnął głową dyrektorowi CIA, Martinowi Broganowi, który wszedł do Gabinetu Owalnego na poranną konferencję.

Odkąd rozpoczęli te codzienne spotkania, zarzucili zwyczaj ściskania sobie dłoni. Szczupłemu, eleganckiemu Broganowi bardzo to odpowiadało. Miał wąskie dłonie o długich palcach skrzypka, a wysoki, ważący blisko sto kilo prezydent potrafił człowiekowi pogruchotać kości żelaznym uściskiem swoich wielkich łapsk.

Brogan zaczekał, aż prezydent usiądzie, po czym sam usadowił się w skórzanym fotelu. Prezydent napełnił filiżankę kawą, sypnął do niej łyżeczkę cukru i wręczył Broganowi.

Przyglądził dłonią srebrne włosy, a potem wbił w Brogana swoje przejrzyste szare oczy.

- Jakież to sekrety kryje świat dziś rano?

Brogan wzruszył ramionami i pchnął przez biurko oprawioną w skórę teczkę.

- O dziewiątej zero zero czasu moskiewskiego sowiecki prezydent Georgij Antonow po drodze na Kreml przeleciał na tylnym siedzeniu limuzyny swoją kochankę.

- Zazdroszczę mu tej metody rozpoczynania dnia - rzekł prezydent z szerokim uśmiechem.

- Przeprowadził również dwie rozmowy z samochodowego telefonu. Jedną z Siergiejem Kornilowem, szefem sowieckiego programu przestrzeni kosmicznej, drugą ze swoim synem, który pracuje w sekcji handlowej ambasady w Mexico City. Znajdzie pan stenogramy tych rozmów na stronie czwartej i piątej.

Prezydent otworzył teczkę, włożył okulary do czytania i przejrzał tekst.

- A jak przeminęła reszta dnia Georgija?

- Większość czasu poświęcił sprawom krajowym. Chyba nie chciałby pan być w jego skórze. Sytuacja sowieckiej gospodarki pogarsza się z dnia na dzień. Wszelkie reformy w rolnictwie i przemyśle diabli wzięli. Stara gwardia w politbiurze kopie pod Antonowem dołki. Wojsko jest niezadowolone z jego propozycji rozbrojeniowych i zgłasza otwarty sprzeciw. Obywatele sowieccy coraz szczerzej się wypowiadają, w miarę jak rosną kolejki. We wszystkich miastach pojawiają się antyrządowe napisy na murach. Całkowity dochód gospodarczy spadł do dwóch procent. Bardzo możliwe, że Antonow zostanie usunięty przed nadejściem lata.

- Jeśli nasz deficyt budżetowy nie zostanie wyrównany, ja mogę skończyć podobnie - powiedział prezydent ponuro.

Brogan nie zaprzeczył.

- Jakie są ostatnie wiadomości z Egiptu? - spytał po chwili prezydent.

- Akcje prezydenta Hasana też nie stoją najlepiej. Siły powietrzne pozostają wobec niego lojalne, ale generałowie sił lądowych skłaniają się ku Yazidowi. Minister obrony Abu Hamid odbył potajemne spotkanie z Yazidem w Port Saidzie. Nasi informatorzy utrzymują, że Hamid nie udzieli mu poparcia bez uzyskania zapewnienia silnej pozycji we władzach. Nie chce działać pod dyktando kręgu fanatycznych mułłów Yazida.

- Sądzisz, że Yazid pójdzie na to?

Brogan potrząsnął głową.

- Nie. On nie zamierza dzielić się władzą. Hamid nie docenił bezwzględności Yazida. Właśnie odkryliśmy, że jego ludzie mają podłożyć bombę w prywatnym samochodzie Hamida.

- Powiadomiłeś o tym Hamida?

- Potrzebuję na to twojej zgody.

- Więc ją masz - rzekł prezydent. - Hamid jest chytry. Może pomyśleć, że go oszukujemy, żeby utrzymać z dala od obozu Yazida.

- Damy mu nazwiska zamachowców. Niech sobie dalej sam szuka dowodów, jeśli chce.

Prezydent odchylił się w tył i chwilę patrzył w sufit.

- Czy da się jakoś powiązać Yazida z katastrofą samolotu ONZ, którym leciała Hala Kamil?

- W najlepszym razie byłby to dowód pośredni - odparł Brogan. - Nie możemy wyciągać żadnych konkretnych wniosków, póki nie otrzymamy pełnego raportu po zakończeniu śledztwa. Na razie ten wypadek jest całkowitą zagadką. Wiemy zaledwie o kilku faktach. Wiemy, że prawdziwy pilot został zamordowany. Jego ciało znaleziono w kufrze samochodu zaparkowanego na Heathrow.

- Wygląda to na działanie mafii.

- Zabójca dokonał mistrzowskiej charakteryzacji i sam wystąpił w roli pilota. Po starcie zabił pozostałych członków załogi wstrzykując im toksyczny środek paralizujący system nerwowy, środek zwany sarin, skręcił z kursu i nad Islandią wyskoczył z samolotu.

- Musiał działać z zespołem dobrze wyszkolonych zawodowców - zauważył prezydent z podziwem.

- Mamy powody sądzić, że działał sam - rzekł Brogan.

- Sam...? - Na twarzy prezydenta odmalowało się niedowierzanie. - Z tego faceta

musi być kawał sprytnego sukinsyna.

- Precyzja i perfekcyjność wykonania wskazują na pewnego Araba, Sulejmana Aziza Ammara...

- Terrorystę?

- Nie w zwykłym tego słowa znaczeniu. Ammar jest jednym z najsprytniejszych zamachowców, jacy istnieją. Chciałbym, żeby był po naszej stronie.

- Lepiej, żeby nasi liberałowie w Kongresie tego nie słyszeli - rzekł prezydent cierpko.

- Albo dziennikarze - dodał Brogan.

- Masz teczkę Ammara?

- Grubą na metr. Jest mistrzem przebierania się. Dobry, praktykujący muzułmanin, który nie interesuje się polityką, najemnik bez żadnych znanych powiązań z fanatycznymi islamskimi zapaleńcami. Żąda olbrzymich wynagrodzeń i dostaje je. Bystry biznesmen. Jego majątek ocenia się na ponad sześćdziesiąt milionów dolarów. Akcje Ammara są pomysłowo planowane i wykonywane. Wszystkie są pomyślane tak, by wyglądały na zwykłe wypadki. Żadnej nie można z całą pewnością przypisać jemu. Dla osiągnięcia celu nie waha się zabijać nawet zupełnie niewinnych ludzi. Podejrzewamy, że jest odpowiedzialny za ponad sto morderstw popełnionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Ta ostatnia próba, jeśli zostanie mu dowiedziona, próba zabicia Hali Kamil, byłaby pierwszym ze znanych nam niepowodzeń Ammara.

Prezydent poprawił okulary i zajrzał do raportu o katastrofie samolotu ONZ.

- Musiałem coś przeoczyć. Jeśli chciał, aby samolot zatonął w oceanie, to po co truł pasażerów? Jaki mógł mieć powód, aby zabijać ich dwa razy?

- W tym właśnie sęk - wyjaśnił Brogan. - Analiza nie wskazuje na to, że Ammar jest odpowiedzialny za zamordowanie pasażerów.

W oczach prezydenta odmalowało się zdziwienie.

- Martin, o czym ty u diabła mówisz?

- Patologowie z laboratoriów FBI udali się do Thule i dokonali autopsji. Znaleźli w ciałach załogi pięćdziesięciokrotnie większą dawkę sarinu, niż jest potrzebna do uśmiercenia człowieka, ale pasażerowie zmarli od manchineelu, który podano im w posiłku na pokładzie samolotu.

Brogan urwał, aby wypić łyk kawy.

Prezydent czekał, stukając niecierpliwie piórem o kalendarz biurkowy.

- Manchineel, czyli trująca agawa, rośnie w obrębie basenu Morza Karaibskiego i na



wybrzeżu Meksyku - ciągnął Brogan. - Pochodzi z drzewa rodzącego śmiercionośne, podobne do jabłek owoce o słodkim smaku. Indianie karaibscy używali ich soku do smarowania grotów strzał. Wciąż są ofiary - dawniej byli to rozbitkowie, a teraz turyści.

- I twoi ludzie utrzymują, że zamachowiec w rodzaju Ammara nie zniżyłby się do użycia manchineelu?

- Właśnie tak - skinął głową Brogan. - Ludzie powiązani z Ammarem mogli bez trudu kupić lub ukraść sarin w jednym z europejskich towarzystw chemicznych. Z manchineelem sprawa przedstawia się inaczej. Nie znajdzie się go na półce. Działa też za wolno. Wątpię, czy Ammar kiedykolwiek brał pod uwagę możliwość jego użycia.

- Jeśli to nie ten Arab, to kto?

- Nie wiemy - odparł Brogan. - Z pewnością żadne z trojga ocalałych. Jedyne ślad, bardzo słabutki, wiedzie do meksykańskiego delegata nazwiskiem Eduardo Ybarra. Jest on jedynym pasażerem prócz Hali Kamil, który nie jadł posiłku.

- Tu jest napisane, że zginął w katastrofie. - Prezydent podniósł wzrok znad teczek. - Zresztą jak by zdołał niepostrzeżenie umieścić truciznę w pożywieniu?

- Zrobiono to w kuchni spółki, która dostarcza posiłki na samoloty tych linii. Agenci brytyjscy sprawdzają teraz ten trop.

- Może Ybarra jest niewinny. Może nie jadł z bardzo prozaicznych przyczyn.

- Według stewardesy, która ocalała, Hala przespała posiłek, Ybarra zaś udawał, że cierpi na żołądek.

- Może naprawdę cierpiał.

- Ale ta stewardesa mówiła, że widziała, jak jadł kanapkę, którą miał w neseserze.

- Więc wiedział...

- Na to wygląda.

- Po co jednak ryzykował lot tym samolotem, skoro miał pewność, że wszyscy pasażerowie oprócz niego zginą?

- Na wszelki wypadek, gdyby ci, o których głównie chodziło, zapewne cała delegacja meksykańska, nie zażyli trucizny.

Prezydent odchylił się w tył i zapatrzył w sufit.

- Więc dobra, Hala Kamil jest cierniem w boku Yazida. Yazid opłaca Ammara, aby ją usunął. Robota zostaje spaprana i samolot nie tonie na środku Oceanu Lodowatego, jak zaplanowano, lecz ląduje na Grenlandii. Tyle jeżeli idzie o pierwszą tajemnicę. Nazwiemy ją łącznikiem egipskim. Tajemnica druga, łącznik meksykański, jest bardzo mglista. Nie ma wyraźnego motywu masowego morderstwa, a jedyny podejrzany jest martwy. Gdybym był

sędzią, oddaliłbym sprawę z powodu braku dowodów.

- A ja musiałbym się na to zgodzić - rzekł Brogan. - Nie mamy żadnych dowodów na jakiegokolwiek działania terrorystyczne z obszaru Meksyku.

- Zapominasz o Topiltzinie - rzekł nagle prezydent.

Brogana zdumiał wyraz zimnej furii, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Nie zapomnieliśmy o Topiltzinie - zapewnił Brogan prezydenta. - Ani o tym, co zrobił z Guyem Rivasem. Zlikwiduję go, gdy tylko powiesz słowo.

Prezydent nagle westchnął i opadł w fotelu.

- Gdyby to było takie proste. Wystarczy pstryknąć palcami i CIA likwiduje zagranicznego przywódcę opozycji. Za duże ryzyko. Odkrył to już Kennedy, kiedy zezwolił mafii na zabicie Fidela Castro.

- Reagan nie sprzeciwił się próbom zlikwidowania Muammara Kadafiego.

- Tak - rzekł prezydent ze znużeniem. - Nie wiedział biedak, że Kadafi wystrychnie wszystkich na dudka i umrze na raka.

- Z Topiltzinem nie pójdzie tak łatwo. Wiemy z raportów medycznych, że jest zdrow jak koń.

- Ten człowiek jest krwawym szaleńcem. Jeśli obejmie władzę w Meksyku, będzie nieszczęście.

- Słyszałeś taśmę nagraną przez Rivasa? - spytał Brogan, choć wiedział, jaką odpowiedź usłyszy.

- Cztery razy - odparł prezydent. - Wystarczy, żeby śnić koszmary.

- A jeśli Topiltzin obali obecny rząd i spełni swoją groźbę, wysyłając miliony ludzi przez granicę w szaleńczej próbie odzyskania amerykańskiego południowego zachodu...? - Brogan zawiesił pytanie w próżni.

Prezydent odpowiedział dziwnie łagodnym tonem:

- Wówczas nie będę miał innego wyboru, jak tylko wydać siłom zbrojnym rozkaz, by traktowały nielegalnych imigrantów meksykańskich jak najeźdźców.

Brogan wrócił do swojego biura w siedzibie CIA na Langley i zastał oczekującego tam na niego podsekretarza marynarki, Elmera Shawa.

- Przepraszam, że ci zajmuję cenny czas - rzekł Shaw - ale mam dla ciebie bardzo interesujące wiadomości.

- Muszą być bardzo ważne, skoro przychodzisz osobiście.

- Są.

- Wejdz i usiądź. Czy to dobre wiadomości, czy złe?

- Bardzo dobre.

- Wszystko ostatnio się wikła - rzekł Brogan z powagą. - Z chęcią posłucham czegoś radosnego dla odmiany.

- Nasz statek badawczy, „Polar Explorer”, poszukuje sowieckiej łodzi podwodnej klasy Alfa, która zaginęła...

- Wiem o tej misji - przerwał mu Brogan.

- No więc znalazł ją.

Brogan uradowany uderzył dłonią o blat biurka.

- Gratuluję. Klasa Alfa to najlepsze łodzie obu flot. Udało wam się.

- Jeszcze nie mamy jej w swoich rękach - rzekł Shaw.

Oczy Brogana zwięzły się.

- A co Rosjanie? Wiedzą o tym odkryciu?

- Chyba nie. Wkrótce po wykryciu zatopionej łodzi „Polar Explorer” opuścił rejon poszukiwań, by pomóc w operacji ratowniczej pasażerów samolotu ONZ. Zasłona dymna zesłana przez niebiosa. Nasz wywiad w sowieckiej marynarce nie doniósł o niczym niezwykłym.

To samo z KGB. A wywiad satelitarny śledzący ich północnoatlantycką flotę nie mówi o żadnych zmianach kursu w stronę rejonu poszukiwań.

- Dziwne, że nie kazali swemu trawlerowi szpiegowskiemu śledzić „Polar Explorera”.

- Zrobili to - wyjaśnił Shaw. - Pilnie śledzili nasze działania, kontrolując kurs statku i połączenia satelitarne. Trzymali się z dala w nadziei, że tam, gdzie ich technologia podwodnych poszukiwań zawiodła, nam się poszczęści. Mieli nadzieję, że popełnimy jakiś błąd i zdradzimy położenie łodzi.

- Ale nie popełniliście.

- Właśnie - rzekł Shaw z naciskiem. - Powzięliśmy wszelkie środki ostrożności. Prócz kapitana i dwóch ekspertów podwodnych poszukiwań z NUMA, cała załoga myśli, że statek prowadzi badania geologiczne dna morskiego i śledzi trasy gór lodowych. Raport o odnalezieniu łodzi został mi dostarczony osobiście przez jednego z oficerów statku. Rosjanie nie mieli więc szans na przechwycenie wiadomości.

- No dobrze, a co teraz? - spytał Brogan. - Sowietci z całą pewnością nie pozwolą zabrać sobie łodzi sprzed nosa, jak zrobił to kiedyś „Glomar Explorer”. Ich okręt wciąż patroluje rejon, w którym stracili tamtą łódź.

- Przymierzamy się do podwodnej operacji ratowniczej - rzekł Shaw.

- Kiedy?

- Jeśli zaczniemy ją przygotowywać teraz... chodzi o przemalowanie i zmodyfikowanie naszych urządzeń podwodnych i ekwipunku... powinniśmy być gotowi do akcji za dziesięć miesięcy.

- A więc zignorujemy tę łódź? To jest udamy, że ją ignorujemy do tego czasu?

- Tak - odparł Shaw. - Tymczasem wydarzyło się coś innego, coś, co pomoże nam wprowadzić Sowieców w błąd. W związku z tym marynarka prosi twoją agencję o współpracę.

- Słucham.

- W czasie operacji ratowniczej oraz towarzyszących jej badań ludzie z NUMA, którzy są u nas zaangażowani, natknęli się przypadkiem na wrak starożytnego statku rzymskiego skutego lodem...

Brogan spojrział na Shawa ze sceptycyzmem.

- W Grenlandii?

Shaw kiwnął głową.

- Eksperci twierdzą, że jest autentyczny.

- A cóż CIA może zrobić, co by pomogło marynarce w wydobyciu rzymskiego wraku?

- Chodzi o dezinformację. Chcielibyśmy, aby Rosjanie pomyśleli, że „Polar Explorer” od początku szukał tego rzymskiego statku.

Brogan zauważył lampkę błyskającą na swoim interkomie.

- Niezły pomysł. Rozsypimy okruszyny wzdłuż innej ścieżki, a tymczasem marynarka będzie miała czas przygotować się do zwędzenia Rosjanom ich łodzi.

- Coś w tym rodzaju.

- A co wy chcecie zrobić w sprawie tego wraka?

- Chcemy zorganizować ekspedycję archeologiczną jako przykrywkę i stworzyć na miejscu bazę operacyjną. „Polar Explorer” zostanie, gdzie jest, aby jego załoga mogła pomóc w wydobyciu wraka.

- Czy łódź podwodna jest gdzieś w pobliżu?

- Niecałe dziesięć mil od tamtego rzymskiego zabytku.

- Wiecie, w jakim jest stanie?

- Ma lekkie wgniecenia powstałe przy zetknięciu się z wyniosłością dna morskiego, ale poza tym jest cała.

- A statek rzymski?

- Nasi ludzie twierdzą, że znaleźli świetnie zachowane zamrożone zwłoki załogi.

Brogan wstał zza biurka.

- Aż trudno w to uwierzyć - rzekł podekscytowany. Potem uśmiechnął się przekornie.
  - Ciekawe, czy znajdziecie też jakieś dawne tajemnice państwowe.  
Shaw również się uśmiechnął.
  - Lepiej, żebyśmy znaleźli skarb.
- Żaden z nich nie przypuszczał, że za czterdzieści osiem godzin ich żartobliwa wymiana zdań okaże się proroctwem.

Pod kierunkiem archeologów załoga lodołamacza „Polar Explorer” przebiła sobie drogę do skutego lodem statku i warstwa po warstwie oczyściła cały pokład od dziobu po rufę.

Kto żyw w okolicy fiordu ściągał na miejsce odkrycia, wiedziony ciekawością. Nie było jedynie Pitta i Lily. Pozostali na pokładzie lodołamacza, aby odczytać tabliczki woskowe.

W grupie stojących przy statku marynarzy, archeologów i ekspertów od badania katastrof lotniczych panowała pełna szacunku cisza. Patrzyli na częściowo odsłonięty statek jak na tajemny grobowiec jakiegoś starożytnego władcy.

Hoskins i Graham zmierzili kadłub, który miał prawie dwadzieścia metrów długości i siedem szerokości. Maszt był złamany dwa metry nad piętą, odłamanej części brakowało. Szczątki konopnego olinowania leżały poskręcane na pokładzie i zwisały z burt, jakby rozdzielane i porzucone przez gigantycznego ptaka. Kilka kawałków podartego płótna było wszystkim, co pozostało z szerokiego prostokątnego żagla.

Wypróbowano wytrzymałość desek pokładu i stwierdzono, że są równie mocne jak w dniu spuszczenia statku na wodę w jakiejś dawno zapomnianej śródziemnomorskiej stoczni. Artefakty znalezione na pokładzie sfotografowano, oznaczono i ostrożnie przeniesiono na lodołamacz, gdzie następnie zostały oczyszczone i skatalogowane. Każdy przedmiot złożono w chłodni lodołamacza, aby zapobiec rozkładowi podczas transportu do kraju, którego naród jeszcze nie istniał, kiedy ten stary statek handlowy wyruszał w swą ostatnią podróż.

Gronquist, Hoskins i Graham nie wchodzili do kuchni. Wolniutko, niemal z czułością, dźwignęli we trzech jeden koniec pokrywy luku ładowni.

Gronquist położył się na brzuchu, wsadził głowę i ramiona do luku.

- Są tam? - zapytał Graham w podnieceniu. - Tak jak mówił Pitt?

Gronquist patrzył na widmowo białe twarze zastygłe w martwe maski. Miał wrażenie, że gdyby zeszkrobać z nich lód i potrząsnąć, zamrugwałyby oczyma i ożyły.

Nie odpowiedział od razu. Jasne światło dnia pozwoliło mu zobaczyć wewnątrz całej ładowni i ujrzał dwa przytulone do siebie kształty na samym dziobie, których Pitt nie mógł ze swego miejsca zobaczyć.

- Wszystko jest tak, jak opisał Pitt - rzekł po chwili - ale jest tu jeszcze dziewczynka i pies.

Pitt stał pod osłoną pokładowego dźwigu i patrzył, jak Giordino manewruje

helikopterem NUMA nad rufą lodołamacza. W piętnaście sekund później płozy śmigłowca dotknęły pokładu akurat w środku wymalowanego koła, wycie silnika ustało i śmigła z wolna zatrzymały się.

Prawe drzwi kokpitu otworzyły się i wyskoczył z nich na pokład wysoki mężczyzna w brązowej sztruksowej kurtce i zielonym swetrze z golfowym kołnierzem. Chwilę rozglądał się, jakby chcąc się zorientować w sytuacji, ale zaraz wypatrzył Pitta, który pomachał mu na powitanie. Mężczyzna ruszył sztywno, ze skulonymi barkami i z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie, aby uchronić je od zimna.

Pitt wyszedł mu na spotkanie i szybko wprowadził go przez właz do ciepłego wnętrza statku.

- Doktor Redfern?

- Dirk Pitt?

- Tak, jestem Pitt.

- Czytałem o pana wyczynach.

- Bardzo dziękuję, że zechciał pan poświęcić nam trochę swojego cennego czasu.

- Pan żartuje! - zawołał Redfern z entuzjazmem w oczach. - Bardzo się ucieszyłem z pańskiego zaproszenia. Nie ma na świecie archeologa, który nie oddałby, co ma najdroższego, żeby móc być przy takim znalezisku. Kiedy będę mógł je zobaczyć?

- Za dziesięć minut zrobi się ciemno. Sądzę, że byłoby dobrze, gdyby we wszystko wprowadził pana doktor Gronquist, archeolog nadzorujący prace. Pokaże panu również artefakty, które odkrył na głównym pokładzie. Potem skoro świt wyruszy pan na miejsce i przejmie kierownictwo.

- Zgoda.

- Ma pan jakiś bagaż?

- Tylko aktówkę i torbę podróżną.

- Al Giordino...

- Pilot helikoptera?

- Tak. Al zaopiekuje się rzeczami. A teraz proszę za mną. Musi pan zjeść coś gorącego i zająć się pewną intrygującą zagadką.

- Bardzo chętnie.

Doktor Mel Redfern był dużo wyższy od Pitta, musiał więc zgiąć się niemal wpół przechodząc przez luk. Miał duże zakola w blond włosach i szaroniebieskie oczy chronione okularami. Był dość wysportowany jak na czterdziestolatka, choć z lekką, lecz zauważalną wypukłością brzucha.

Redfern, niegdyś gwiazda koszykówki uniwersyteckiej, zrobił doktorat z antropologii i poświęcił się badaniom podwodnym. Wkrótce stał się jednym z najwybitniejszych ekspertów w dziedzinie archeologii morskiej świata antycznego.

- Jak się udała panu podróż z Aten do Reykjavíku? - spytał Pitt.

- Prawie w całości ją przespałem - odparł Redfern. - Ale w drodze z Islandii do eskimoskiego osiedla sto kilometrów na południe stąd o mało nie zmieniałem się w kostkę lodu. Mam nadzieję, że pożyczycie mi jakieś ciepłe ubranie. Przygotowałem się na pobyt na słonecznych wyspach Grecji i wcale nie planowałem pospiesznej wyprawy za krąg polarny.

- Z pewnością zadba o to szyper tego statku, komandor Knight. Nad czym pan pracował?

- Nad greckim statkiem handlowym z drugiego wieku przed Chrystusem. Zatonął z ładunkiem rzeźb w marmurze. - Redfern nie mógł pohamować ciekawości i zaczął wypytywać Pitta: - W swojej depeszy radiowej nie wspomniał pan, co wiozł pański statek.

- W ładowni nie znalazłem nic oprócz ciał załogi.

- Nie można mieć wszystkiego - rzekł Redfern filozoficznie. - Ale powiedział pan, że statek jest zasadniczo nietknięty.

- Tak, to prawda. Gdybyśmy załatali dziurę w kadłubie, zaopatrzyli go w maszt, żagle i wiosła sterowe, moglibyśmy nim popłynąć do Nowego Jorku.

- Zdumiewające! Czy doktor Gronquist zdołał ustalić przybliżony wiek statku?

- Tak, znaleźliśmy monety wybite w roku trzysta dziewięćdziesiątym. Znamy nawet nazwę statku - „Serapis”. Została wyryta na stewie rufowej.

- Kompletnie zachowany bizantyjski statek handlowy z czwartego wieku... - mruknął Redfern w zadumie. - To największe odkrycie archeologiczne tego stulecia. Nie mogę się doczekać, żeby się do niego dorwać.

Pitt zaprowadził go do mesy oficerskiej, gdzie zastali Lily przynoszącą napisy z tabliczek woskowych na papier, Pitt przedstawił ich sobie.

- Doktor Lily Sharp, doktor Mel Redfern.

Lily wstała i wyciągnęła rękę.

- Czuję się zaszczycona, doktorze. Choć nie zajmuję się archeologią morską, podziwiam pańskie podmorskie sukcesy od czasu studiów.

- To ja jestem zaszczycony - odparł grzecznie Redfern. - Ale porzućmy lepiej tytuły i mówmy sobie po imieniu.

- Czym możemy cię poczęstować? - spytał Pitt.

- Myślę, że po paru litrach gorącej czekolady i talerzu zupy zdołam jakoś odtajać.



Pitt przekazał zamówienie stewardowi.

- Gdzie jest ta zagadka, o której wspomniałeś? - spytał Redfern z zapalem małego chłopca wyskakującego z łóżka w dzień Bożego Narodzenia.

Pitt spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Jak z twoją łaciną, Mel?

- Nieźle. Ale sądziłem, że ten statek jest grecki.

- Bo tak też i jest - odparła Lily - lecz kapitan pisał dziennik pokładowy po łacinie na woskowych tabliczkach. Sześć jest zapisanych, a siódma przedstawia coś w rodzaju mapy. Dirk przyniósł je z wyprawy do wnętrza statku. Przeniosłam pismo w bardziej czytelnej formie na papier, aby można je było powielić na kopiarce. Tę jakąś mapę przedstawiłam w większej skali. Jak dotąd nie udało nam się ustalić jej lokalizacji z powodu braku legendy.

Redfern usiadł i wziął jedną z tabliczek. Przez kilka chwil studiował ją z nabożeństwem, a potem odłożył. Chwycił zapisane przez Lily arkusze i zaczął czytać.

Steward przyniósł kubek gorącej czekolady oraz sporą miskę bostońskiej zupy z małży. Redfern tak się pogrążył w tłumaczeniu, że zapomniał o głodzie. Ruchem robota uniósł kubek z gorącą czekoladą, nie odrywając wzroku od zapisanych stron. Po blisko dziesięciu minutach wstał i zaczął krążyć między stolikami mesy oficerskiej, mamrocząc pod nosem łacińskie zdania - zupełnie nieświadom, że ktoś go słucha.

Pitt i Lily siedzieli w milczeniu, nie chcąc go rozpraszać, i z ciekawością obserwowali jego reakcje. Nagle Redfern zatrzymał się, jakby umieściwszy problem we właściwej perspektywie. Wrócił do stolika i jeszcze raz przejrzał kartki. Powietrze było aż naelektryzowane wyczekiwaniem.

Minęło wolno kilka minut, nim Redfern drżącymi dłońmi odłożył kartki na stół. Potem spojrzał niewidząco w dal. Był wstrząśnięty do głębi.

- Wyglądasz, jakbyś znalazł Świętego Graala - rzekł Pitt.

- Co to jest? - spytała Lily. - Co odkryłeś?

Ledwie dosłyszeli odpowiedź Redferna. Powiedział ze spuszczoną głową:

- Możliwe, bardzo możliwe, że wasze przypadkowe odkrycie otworzy drzwi do największej kolekcji sztuki i skarbów literatury, jaką świat kiedykolwiek znał.

- Może podzielisz się z nami swoim odkryciem? - rzekł Pitt cierpko.

Redfern potrząsnął głową, jakby chcąc wrócić do przytomności.

- Ta opowieść... właściwszym określeniem byłaby saga... jest niesamowita. Nie w pełni ją nawet rozumiem.

- Czy te tabliczki wyjaśniają - spytała Lily - czemu ten grecko-rzymski statek znalazł się tak daleko od swego macierzystego portu?

- Nie grecko-rzymski, lecz bizantyjski - poprawił ją Redfern. - Kiedy „Serapis” pływał po starożytnym świecie, Konstantyn Wielki przeniósł stolicę imperium z Rzymu nad Bosfor, gdzie niegdyś stało greckie miasto Bizancjon.

- Które później stało się Konstantynopolem - wtrącił Pitt.

- A potem Stambułem. Przepraszam - Redfern zwrócił się do Lily - że nie odpowiadam wprost. Lecz tak, tabliczki wyjaśniają, jak i dlaczego statek tu przyplłynął. Aby to dokładnie zilustrować, trzeba najpierw przedstawić fakty, jakie miały miejsce w roku trzysta dwudziestym trzecim przed Chrystusem, roku śmierci Aleksandra Wielkiego w Babilonii. Imperium zostało podzielone pomiędzy generałów. Jeden z nich, Ptolemeusz, wykroił sobie Egipt i został jego królem. Był to sprytny facet. Udało mu się również zdobyć zwłoki Aleksandra, które złożył w trumnie ze złota i kryształu. Później umieścił trumnę w pięknym mauzoleum i wybudował wokół niego wspaniałe miasto przewyższające świetnością Ateny. Na cześć swojego byłego króla nazwał je Aleksandrią.

- Co to wszystko ma wspólnego z „Serapisem”? - spytała Lily.

- Proszę o cierpliwość - odparł łagodnie Redfern. - Ptolemeusz założył ogromne muzeum i bibliotekę. Ich zbiory były przewspaniałe. Jego potomkowie, od Kleopatry po późniejszych następców, nadal nabywali manuskrypty i dzieła sztuki, aż muzeum, a zwłaszcza biblioteka, stały się największą składnicą dzieł sztuki, dzieł naukowych i literatury, jaka kiedykolwiek istniała w świecie. Ten ogromny zbiór dzieł istniał aż do roku trzysta dziewięćdziesiątego pierwszego naszej ery. Tego roku cesarz Teodozjusz i patriarcha Aleksandrii Teofilos, który miał bzika na punkcie religii, zdecydowali, że wszystko, co nie jest zgodne z zasadami chrześcijańskimi, jest pogaństwem. Zaplanowali zniszczenie zbiorów bibliotecznych. Posągi, bajeczne dzieła sztuki z marmuru, brązu, złota i kości słoniowej, wspaniałe malowidła i tkaniny dekoracyjne, niezliczone księgi spisane na jagnięcej skórze i zwojach papirusu, nawet zwłoki Aleksandra... wszystko to miało zostać unicestwione.

- O jakich liczbach mówimy? - spytał Pitt.

- Samych ksiąg było setki tysięcy.

Lily pokręciła ze smutkiem głową.

- Cóż za straszliwe barbarzyństwo.

- Zostały tylko pisma biblijne i kościelne - ciągnął Redfern. - Całą bibliotekę i muzeum zniszczono ostatecznie, gdy około roku sześćset czterdziestego szóstego wtargnęły do Egiptu armie muzułmańskie.

- Więc wszystkie dawne arcydzieła, które gromadzono przez całe stulecia, na zawsze przepadły - podsumował Pitt.

- Przepadły - przyznał Redfern. - A przynajmniej tak do dziś sądzili historycy. Ale jeżeli to, co przed chwilą przeczytałem, okaże się prawdą, najlepsza część zbiorów nie przepadła, lecz leży gdzieś ukryta.

Lily była oszłamiona.

- Istnieje do dziś? Przeszmuglowana z Aleksandrii na „Serapisie”? Ocalona przed spalaniem?

- Tego dowodzi tekst tych tabliczek.

Pitt miał wątpliwości.

- Przecież „Serapis” mógł umknąć co najwyżej z niewielką częścią kolekcji. Statek jest mały. Mógł zabrać mniej niż czterdzieści ton ładunku. Kilka tysięcy zwojów i parę posągów, ale nie taką ilość, o jakiej mówisz.

Redfern spojrzał na Pitta z szacunkiem.

- Sporo wiesz o dawnych statkach.

- Wróćmy do tego, jak „Serapis” znalazł się w Grenlandii - przynaglił Pitt.

Redfern wziął kilka arkuszy tekstu Lily i ułożył je kolejno.

- Nie będę dokładnie tłumaczył tej starożytnej łaciny. Jest zbyt sztywna i formalna. Spróbuję w wolnym przekładzie przedstawić, co tu napisano. Pierwszy zapis jest z datą trzeciego kwietnia Anno Domini trzysta dziewięćdziesiąt jeden według kalendarza juliańskiego. Zaczyna się tak:

„Ja, Cuccius Rufinus, kapitan „Serapisa”, w służbie Niciasa, kupca greckiego z portowego miasta Rodos, zgodziłem się na przewóz ładunku Juniusza Venatora z Aleksandrii. Podróż ma być długa i ciężka, a Venator nie chce zdradzić jej celu. W podróży towarzyszy mi moja córka, Hypatia, toteż jej matka będzie się bardzo martwiła długą rozłąką. Venator jednak płaci dwadzieścia razy więcej, niż to jest w zwyczaju, co bardzo się przyda Niciasowi, a także mnie i załodze.

Ładunek wniesiono na statek w nocy, pod silną strażą i w tajemnicy, jako że podczas

ładowania kazano mi pozostać wraz z załogą w porcie. Potem czterem żołnierzom z legionu Domicjusza Severusa wydano rozkaz, by pozostali na statku i żeglowali z nami.

Nie podoba mi się to, lecz Venator zapłacił mi całą sumę z góry i nie mogę zerwać kontraktu.”

- Uczciwy człowiek - rzekł Pitt. - Ale trudno uwierzyć, że nie wiedział, co wiezie.

- Pisze o tym później. Następnym kilka wierszy dotyczy szczegółów technicznych podróży. Rufinus wspomina też boga Serapisa, na którego cześć został nazwany statek. Przeskoczę teraz do miejsca, gdzie zawijają do pierwszego portu:

„Dzięki naszemu panu, Serapisowi, przebyliśmy gładko i szybko czternastodniową drogę do Nowej Kartaginy, gdzie odpoczywaliśmy pięć dni i wzięliśmy na pokład czterokrotnie więcej prowiantu niż zwykle. Spotkaliśmy tu inne statki Juniusza Venatora. Większość z nich ma ładowność dwustu ton, niektóre blisko trzysta. Wszystkich razem jest szesnaście wraz ze statkiem Venatora. Nasz krzepki „Serapis” jest najmniejszy z całej floty.”

- Flota! - wykrzyknęła Lily. Oczy jej błyszczały, była cała spięta. - A więc ocalili zbiory!

Redfern skinął z zadowoleniem głową.

- W każdym razie sporą ich część. Dwustu - i trzystutonowe statki to na owe czasy statki typowe. Jeśli przyjmiemy, że dwa statki wiozły ludzi i prowiant i że pozostałych czternaście miało przeciętnie po dwieście ton, ogólny tonaż floty wynosił dwa tysiące osiemset ton. Wystarczyło, by przewieźć jedną trzecią ksiąg i sporo dzieł sztuki z muzeum.

Pitt poprosił o chwilę przerwy. Podszedł do lady kuchennej i przyniósł dwa kubki kawy. Postawił jeden przed Lily i wrócił po pączki. Nie usiadł jednak. Łatwiej było mu się skupić na stojąco.

- Jak dotąd, porwanie części aleksandryjskich zbiorów jest tylko teorią - powiedział.

- Nie usłyszałem jeszcze nic, co by dowodziło, że cokolwiek zostało z biblioteki ukradzione.

- Rufinus pisze o tym w dalszym miejscu - rzekł Redfern. - Wyszczególnienie ładunku „Serapisa” znajduje się na końcu dziennika.

Pitt obrzucił archeologa niecierpliwym spojrzeniem i usiadł czekając.

- Na drugiej tabliczce Rufinus wymienia drobne naprawy statku, plotki portowe i opisuje Carthago Nova, obecnie Kartagenę w Hiszpanii. Dziwne, że już nie niepokoi się podróżą. Nie zapisał nawet daty wyruszenia z portu. Ale najbardziej niezwykłą sprawą jest zastosowanie cenzury. Posłuchajcie następnego ustępu:

„Wyłynęliśmy dziś na ogromne morze. Szybsze statki holowały wolniejsze. Nie mogę więcej pisać. Żołnierze pilnują. Z rozkazu Juniusza Venatora nie wolno prowadzić

żadnego opisu podróży.”

- Mamy już obrys tej układanki - mruknął Pitt - ale środka nadal brak.

- Będzie więcej - powiedziała Lily. - Orientuję się według tego, co kopiowałam.

- Rzeczywiście - przyznał Redfern przerzucając kartki. - Rufinus po jedenastu miesiącach podejmuje swą opowieść.

„Teraz mogę bez strachu przed karą swobodnie opisać naszą okropną podróż. Venator i jego niewielka armia niewolników, Severus i jego legionieści, załogi statków, wszyscy zostali zabici przez barbarzyńców, a flota spalona. „Serapis” uniknął zagłady, ponieważ z lęku przed Venatorem zachowywałem ostrożność.

Poznałem zawartość ładunku, a także znam miejsce jego ukrycia w górach. Takich tajemnic nie wolno powierzać śmiertelnikom. Podejrzywałem, że Venator i Severus postanowili wymordować wszystkich, oprócz kilku zaufanych żołnierzy i załogi jednego statku, aby zapewnić sobie powrót do domu.

Bąłem się o życie córki, więc uzbroiłem załogę i kazałem jej się trzymać blisko statku, abyśmy mogli odbić od brzegu na pierwszą oznakę zdrady. Lecz barbarzyńcy uderzyli pierwsi, wymordowali niewolników Venatora i legionistów Severusa. Straże zginęły w bitwie, odcięliśmy więc liny i odbiliśmy od brzegu. Venator próbował ocaleć rzucając się do wody. Wołał o pomoc. Nie mogłem jednak ryzykować życia Hypatii i mojej załogi i nie wróciłem po niego. Byłoby to dla nas samobójstwem.”

Redfern przerwał tłumaczenie i powiedział:

- W tym miejscu Rufinus cofa się do chwili wypłynięcia z Kartageny.

„Droga z Hiszpanii do miejsca przeznaczenia na obcym lądzie zajęła nam pięćdziesiąt osiem dni. Pogoda nam sprzyjała i wiatr wiał w plecy. Za tę przychylność Serapis zażądał jednak ofiary. Dwóch z mojej załogi zmarło na nie znaną mi chorobę.”

- Pewnie chodzi o szkorbut - powiedziała Lily.

- Dawni żeglarze rzadko żeglowali dłużej niż tydzień bez dobijania do brzegu - wyjaśnił Pitt. - Szkorbut rozpowszechnił się dopiero z rozpoczęciem długich podróży Hiszpanów. Mogli umrzeć z różnych innych powodów.

- Przepraszani, że ci przerwałam - powiedziała Lily do Redferna. - Mów dalej.

„Po raz pierwszy wyszliśmy na ląd na dużej wyspie zamieszkaney przez barbarzyńców, którzy przypominali Scytów, ale mieli ciemniejszą skórę. Okazali się przyjaźnie do nas nastawieni i chętnie pomogli nam uzupełnić zapasy jedzenia oraz wody do picia.

Widzieliśmy też inne wyspy, lecz statek flagowy nie zatrzymał się przy żadnej z nich.

Tylko Venator wiedział, dokąd zdąży flota. W końcu ujrzelśmy nagi brzeg i wpłynęliśmy do szerokiego ujścia rzeki. Pięć dni i nocy staliśmy tam czekając na pomyślny wiatr. Potem postawiliśmy żagle i popłynęliśmy w górę rzeki, często wiosłując, aż dopłynęliśmy do rzymskich wzgórz.”

- Rzymskich wzgórz? - powtórzyła Lily w roztargnieniu. - To dopiero zagadka.

- On pewnie miał na myśli takie jak rzymskie - rzekł Pitt.

- Trudny orzech do zgryzienia - przyznał Redfern. „Niewolnicy zaczęli kopać w zboczu góry pod nadzorem Latiniusza Macera. Osiem miesięcy później cały ładunek floty został przeniesiony do kryjówek.”

- Czy opisał tę „kryjówkę”? - spytał Pitt.

Redfern wziął tabliczkę i porównał ją z kopią Lily.

- Niektóre słowa są zatarte. Będę musiał zgadywać.

„W ten sposób tajemnica tajemnic legła w wyłobionej przez niewolników jaskini we wnętrzu góry. Miejsce to jest niewidoczne z powodu palisady. Gdy wszystko już złożono, z gór spłynęła na nas horda barbarzyńców. Nie wiem, czy zdołano na czas zasypać wejście do jaskini, ponieważ musiałem pomóc załodze zepchnąć statek z mielizny.”

- Rufinus nie mówi nic o odległościach - rzekł Pitt z rozczerwaniem - nie podaje też kierunków. Najprawdopodobniej barbarzyńcy, kimkolwiek byli, złupili jaskinię.

- Nie możemy nie brać pod uwagę takiej możliwości - odparł Redfern z ponurym wyrazem twarzy.

- Nie sądzę, że to się musiało stać - powiedziała Lily z optymizmem. - Zresztą takie ogromne zbiory nie mogłyby zostać unicestwione bez jakiegokolwiek śladu. Poszczególne egzemplarze musiałyby pozostać...

- Wszystko zależy od miejsca akcji - rzekł Pitt. - Pięćdziesiąt osiem dni... przy przeciętnej szybkości trzech i pół węzła... Taki statek jak „Serapis” mógł w tym czasie przepłynąć ponad cztery tysiące mil morskich.

- Zakładając, że płynął wzdłuż linii prostej - zauważył Redfern. - A to mało prawdopodobne. Rufinus stwierdza tylko jedno: że po pięćdziesięciu ośmiu dniach podróży zeszli na ląd. Żeglując po nieznanym wodach trzymali się pewnie brzegu.

- Ale dokąd żeglując? - zapytała Lily.

- Najlogicznym celem wyprawy byłoby południowe wybrzeże Afryki Zachodniej - odparł Redfern. - Fenicjanie opłynęli Afrykę zgodnie ze wskazówkami zegara w piątym wieku przed Chrystusem. Część tej trasy została opisana jeszcze przed Rufinusem. Byłoby rzeczą zrozumiałą, gdyby Venator po przepłynięciu Gibraltaru skierował swoją flotę na

południe.

- To wcale nie takie pewne - rzekł Pitt. - Rufinus pisał o wyspach.

- Mogła to być Madera, Wyspy Kanaryjskie albo Cape Verde.

- Nadal nic się tu nie zgadza. Jak wytłumaczyć, dlaczego „Serapis” przemierzył pół globu ziemskiego z koniuszka Afryki do Grenlandii? Chodzi o odległość ośmiu tysięcy mil.

- To prawda. Nie mieści mi się to w głowie.

- Ja głosuję za północnym kursem - powiedziała Lily. - Te wyspy to mogły być również Szetlandy albo Wyspy Owcze. W takim razie miejsce ukrycia zbiorów byłoby gdzieś na wybrzeżu Norwegii albo Islandii.

- To brzmi rozsądnie - zgodził się Pitt. - Taka teoria wyjaśniałaby, jak „Serapis” trafił na Grenlandię.

- A czy Rufinus pisze, co się działo po jego ucieczce od barbarzyńców? - spytała Lily. Redfern dopił do końca gorącą czekoladę.

- Pisze tak:

„Wypłynęliśmy na otwarte morze. Nawigacja była utrudniona. Gwiazdy są tu w odmiennych pozycjach. Słońce też nie to samo. Gwałtowne sztormy wyгнаły nas z południa. Jeden z członków załogi, Gal, został dziesiątego dnia zmieciony z pokładu. Wichry nadal gnają nas ku północy. Trzydziestego pierwszego dnia nasz bóg doprowadził nas do bezpiecznej zatoki, gdzie dokonaliśmy napraw statku i uzupełnienia żywności, jaką mogliśmy znaleźć na tej ziemi. Wzięliśmy też dodatkowy kamień balastowy. W pewnej odległości od plaży znajduje się ogromne morze sosen karłowatych. Z piasku wypływa świeża woda, kiedy szturchnąć kijem.

Sześć dni dobrej żeglugi, a potem nowa burza, jeszcze gorsza od ostatniej. Nasze żagle są podarte i bezużyteczne. Straszna wichura złamała maszt i zmiotła wiosła sterowe. Przez wiele dni dryfowaliśmy bezradnie w bezlitosnym wietrze. Straciłem rachubę czasu. Sen stał się niemożliwy. Zrobiło się bardzo zimno. Pokład pokrywa się lodem. Statek jest niestabilny. Kazałem mojej zmarzniętej załodze wyrzucić dzbany z wodą i winem za burtę.”

- To te amfory, które znalazłeś na dnie morza u ujścia fiordu - rzekł Redfern do Pitta. Potem tłumaczył dalej:

„Wkrótce potem dopłynęliśmy do długiej zatoki, dobiliśmy do brzegu i wszyscy zapadli w sen trwający dwa dni i dwie noce.

Serapis jest dla nas niełaskawy. Nastąpiła zima i lód unieruchomił statek. Nie mamy innego wyboru, jak ją przetrwać i doczekać ciepłych dni. Po drugiej stronie zatoki znajduje się wioska barbarzyńców, którzy chętnie z nami handlują. Zamieniamy różne rzeczy na

jedzenie. Oni traktują nasze złote monety jak świecidełka, nie mają pojęcia o ich wartości. Pokazali nam, jak się ogrzać, paląc tłuszcz z jakichś monstrualnych ryb. Mamy co jeść, więc myślę, że przeżyjemy.

Teraz żyję sobie wygodnie i mam dużo czasu, będę więc codziennie pisał kilka słów. Tym razem opiszę rodzaj ładunku, jaki niewolnicy Venatora wyladowali z »Serapisa«, bo obserwowałem ich ukryty w kuchni. Na widok wielkiego przedmiotu wszyscy osunęli się ze złości na kolana.”

- Co to mogło być? - spytała Lily.

- Cierpliwości - rzekł Redfern. - Słuchajcie:

„Było tam trzysta dwadzieścia rur miedzianych z napisem: »Karty Geologiczne«. Sześćdziesiąt trzy tkaniny ozdobne. Były one owinięte wokół wielkiej szkatuły ze szkła i złota, zawierającej zwłoki Aleksandra. Kolana mi zadrżały. Widziałem przez szkło jego twarz...”

- Rufinus nic więcej nie napisał - rzekł Redfern po chwili milczenia. - Ostatnia tabliczka przedstawia ogólną konfigurację brzegu i bieg rzeki.

- Zaginiona trumna Aleksandra Wielkiego - powiedziała Lily niemal szeptem. - Może wciąż leży w jakiejś jaskini.

- Wraz ze skarbami Biblioteki Aleksandryjskiej - dodał Redfern. - Możemy tylko mieć nadzieję.

Reakcja Pitta była całkiem inna.

- Nadzieja jest dla ludzi przyglądających się z boku - powiedział. - Ja znajdę ten skarb w trzydzieści... nie, w dwadzieścia dni.

Lily i Redfern wytrzeszczyli oczy. Patrzyli na niego podejrzliwie, tak jak się patrzy na polityka obiecującego obniżkę podatków. Po prostu mu nie wierzyli.

- Jesteś bardzo pewny siebie - stwierdziła Lily.

Zielone oczy Pitta jaśniały zapałem.

- Zobaczmy tę mapę.

Redfern podał mu powiększoną kopię, którą zrobiła Lily. Poza szeregiem falistych linii niewiele było na niej widać.

- Mało nam to mówi - powiedział. - Rufinus nie dał żadnego opisu.

- Wystarczy nam - rzekł Pitt suchym, spokojnym tonem. - Zaprowadzi nas do samych frontowych drzwi.

Była czwarta rano, kiedy Pitt się zbudził. Automatycznie przewrócił się na drugi bok, by znowu zapaść w sen, lecz zdał sobie niejasno sprawę, że ktoś zapalił światło i mówi do



niego:

- Przykro mi, chłopie, ale musisz wstać.

Pitt spojrzał nieprzytomnym wzrokiem w poważną twarz komandora Knighta.

- O co chodzi?

- Rozkaz z samej góry. Musisz natychmiast zbierać się do Waszyngtonu.

- Mówili, po co?

- Oni to Pentagon, a ten nie zniża się do tego, aby udzielać wyjaśnień.

Pitt usiadł i spuścił bose stopy na deski pokładu.

- Myślałem, że posiedzę sobie tutaj i poprzyglądam się znaleźskom.

- Cóż, nic z tego - rzekł Knight. - Ty, Giordino i doktor Sharp musicie ruszać za godzinę.

- Lily? - Pitt wstał i ruszył do łazienki. - Rozumiem, że dowództwo chce przesłuchać mnie i Ala w sprawie tej sowieckiej łodzi, ale co ich obchodzi Lily?

- Szefowie połączonych sztabów nie zwierzają się maluczkim - rzekł Knight z cierpkim uśmiechem. - Nie mam pojęcia.

- A jak się tam dostaniemy?

- W taki sam sposób, w jaki Redfern dostał się tutaj. Helikopterem do wioski eskimoskiej i stacji meteorologicznej, potem samolotem marynarki na Islandię, a stamtąd bombowcem B-52, na który przypadła kolej poddania się gruntownemu przeglądowi, do Stanów.

- Nie zgadzam się - wymamrotał Pitt ze szczoteczką w ustach. - Jeżeli chcą ze mną współpracować, niech przysła prywatny odrzutowiec.

- Coś taki zarozumiały od samego rana?

- Kiedy mnie wykopują z łóżka przed świtem, mogę powiedzieć szefom połączonych sztabów, gdzie ich mam.

- Koniec z moją promocją - jęknął Knight. - Winny przez współuczestnictwo.

- Trzymaj się mnie, a zostaniesz admirałem.

- Nie wątpię.

Pitt postukał się szczoteczką w czoło.

- Mam genialną myśl. Zatelegrafuj do nich. Powiedz, że spotkamy się z nimi w połowie drogi. My z Giordinem udamy się helikopterem NUMA wprost do bazy Sił Powietrznych w Thule, a oni niech przysła po nas rządowy odrzutowiec.

- Nie sądzę, by na to przystali.

Pitt uniósł w górę rękę.

- Czemu tu nikt nie ma szacunku dla moich pomysłów?

Po olśniewająco jasnym dniu lotu ukazał się Waszyngton. Rzeńska jesienna pogoda sprawiła, że powietrze stało się przejrzyste, a zachodzące słońce przemieniło biały granit budynków rządowych w złotawą porcelanę. Niebo było usiane białymi obłoczkami, które wyglądały tak solidnie, że odrzutowiec Gulfstream IV zda się mógłby na nich wylądować.

Samolot zabierał dziewiętnastu pasażerów, lecz tym razem Pitt, Giordino i Lily mieli główną kabinę dla siebie. Giordino zasnął, ledwie koła samolotu oderwały się od pasa startowego w bazie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Thule i aż do końca podróży nie otworzył oczu. Lily drzemała albo czytała powieść Marlys Millhiser „Próg”.

Pitt nie spał. Pograżony w myślach, zapisywał czasem coś w notesie. Odwrócił głowę i spojrział przez małe okienko na samochody wolno przebijające się z centrum miasta ku domom właścicieli.

Powrócił myślami do zamarzniętej załogi „Serapisa”, do jej szypra Rufinusa i jego córki Hypatii. Żałował, że nie wypatrzył dziewczynki w mroku ładowni, chociaż kamera zarejestrowała ją całkiem wyraźnie, obejmującą ramionami małego długowłosego pieska.

Gronquist mało się nie rozplakał, kiedy o niej mówił. Pitt zastanawiał się, co z nią będzie. Może skończy jako zamarznięty eksponat w jakimś muzeum, oglądana w niemym zdziwieniu przez nie kończące się tłumy ciekawskich.

Patrząc na waszyngtoński deptak, kiedy samolot zataczał krąg przed lądowaniem, Pitt wybiegł myślami w przyszłość, do poszukiwań skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej. Wiedział dokładnie, jak się do tego zabierze. Jednakże dreszcz emocji tłumił w nim fakt, że trzeba wszystko postawić na jedną kartę. Całe poszukiwania musiał oprzeć na kilku wydrapanych zgrabiałą ręką umierającego człowieka linijkach w wosku. Prawo Murphy’ego: cokolwiek może ci pokrzyżować plany, z pewnością je pokrzyżuje - już zaczynało się sprawdzać.

Rysunek na tabliczce może nie pasować do żadnego ze znanych miejsc na mapie z wielu przyczyn. Jedną z nich mogło być zniekształcenie kresek w wosku przez nagłą zmianę temperatury - od bardzo niskiej na „Serapisie”, do plusowej na pokładzie lodolamacza. Inną to, że Rufinus pomylił się co do skali i poprzemieszczał zakola, cyple i rzeki. Najgorszym zaś i najbardziej prawdopodobnym scenariuszem było, że w czasie szesnastu wieków zaszły ogromne zmiany w krajobrazie na skutek erozji, trzęsień ziemi i ekstremalnych zmian w klimacie. Żadna rzeka świata nie zachowała niezmiennego biegu w ciągu tysiąca lat.

Pitt poczuł odurzającą woń wyzwania. Dla ludzi niespokojnego ducha jest to woń ni

to podnieconej seksualnie kobiety, ni to świeżo skoszonej trawy po deszczu. Kusi i pociąga, aż ofiara porzuca jakąkolwiek myśl o niepowodzeniu lub niebezpieczeństwie. Samo dążenie do osiągnięcia celu znaczyło dla Pitta tyle co rzeczywisty sukces. Ale kiedy już osiągnął niemal niemożliwe, zawsze następował nieunikniony zawód.

Pierwszą przeszkodę stanowił brak czasu. Drugą - sowiecka łódź podwodna. On i Giordino byli pierwszymi kandydatami do nadzorowania podwodnych prac wydobywczych.

Z tych sennych spekulacji wyrwał go głos pilota nakazujący zapięcie pasów. Patrzył, jak maleńki cień samolotu raptownie rośnie na tle bezlistnych drzew w dole. Mignęła brunatna trawa przechodząc w beton. Pilot skierował samolot głównym pasem startowym bazy amerykańskich Sił Powietrznych Andrews do stojącego na lotnisku forda taurusa kombi.

Pitt pomógł Lily wysiąść. Potem obaj z Giordinem wyładowali bagaż i włożyli na tył forda taurusa. Kierowca, młody wysportowany chłopak, stał z boku patrząc z szacunkiem na tych dwóch starych wyjadaczy, którzy nosili ciężkie wypchane torby i walizy, jakby to były poduszki z pierza.

- Jaki jest plan? - spytał Pitt kierowcy.

- Kolacja z admirałem Sandeckerem w klubie.

- Jakim admirałem? - spytała Lily.

- Sandeckerem - odparł Giordino. - Naszym szefem w NUMA. Musieliśmy zrobić coś jak trzeba. To wielki dowód uznania, takie zaproszenie.

- Nie mówiąc o tym, że jest to klub Johna Paula Jonesa - dodał Pitt.

- Taki ekskluzywny?

Giordino skinął głową.

- Depozytornia starych zardzewiałych oficerów marynarki z wodą zęzową w pęcherzach.

Było już ciemno, kiedy samochód wjechał w cichą uliczkę okazałych rezydencji w Georgetown. Minąwszy kilka przecznic kierowca skręcił na wysypiany żwirem podjazd i zatrzymał się przed gankiem wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły.

W hallu wejściowym ruszył ku nim po dywanie niski mężczyzna przypominający zadziornego kogucika, ubrany w szyty na miarę jedwabny garnitur z kamizelką. Posuwał się szybkim, energicznym krokiem. Miał ostre rysy i zawsze przypominał Pittowi gryfa. Ciemnorude włosy na głowie łączyły się ze skrupulatnie przystrzyżoną bródką a la Van Dyck.

Admirał James Sandecker nie należał do osób, które wślizgują się do pokoju, brał go

szturmem.

- Dobrze was znowu widzieć, chłopcy - burknął bardziej urzędowo niż przyjaźnie. - Podobno wasze odkrycie może zmienić podręczniki do historii. Prasa trąbi o tym na wsze strony.

- Poszczyściło się nam - odparł Pitt. - Pozwoli pan, że mu przedstawię doktor Lily Sharp. Lily, admirał James Sandecker.

Sandecker rozpromieniał się zwykle jak latarnia morska na widok przystojnych kobiet. Stało się tak i teraz.

- Jest pani najpiękniejszą z dam, jakie zaszczyliły te progi.

- Bardzo się cieszę, że pański klub nie dyskryminuje kobiet.

- Jego członkowie nie mają uprzedzeń - powiedział Giordino ironicznie. - Ale większość kobiet wolałaby zażyć strychninę, niż przyjść tu i słuchać, jak stare truposze bajają o przeżytych wojnach.

Sandecker posłał mu miazdzące spojrzenie.

Lily patrzyła na nich zaskoczona. Wyglądało na to, że nagle znalazła się w samym środku jakiejś odwiecznej wojny.

Pitt zdusił śmiech, ale nie mógł zataić uśmiechu. Był świadkiem tych utarczek od dziesięciu lat. Każdy, kto ich znał, wiedział, że Giordino i Sandecker są serdecznymi przyjaciółmi.

Lily postanowiła wykonać taktyczny odwrót.

- Czy ktoś z panów może mi powiedzieć, gdzie jest damska toaleta? Chciałabym się odświeżyć.

Sandecker wskazał w głąb korytarza.

- Pierwsze drzwi na prawo. I proszę się nie spieszyć. - Gdy się oddaliła, admirał zaprowadził Pitta i Giordina do małego saloniku i zamknął za sobą drzwi. - Za godzinę będę musiał pójść na spotkanie z ministrem marynarki. To nasza jedyna okazja, żeby porozmawiać, więc powiem szybko, o co chodzi, zanim wróci doktor Sharp. A więc spisaliście się znakomicie znajdując tę sowiecką łódź, a potem kamuflując sprawę. Prezydent był z tego bardzo rad i prosił, żebym wam podziękował.

- Kiedy rozpoczynamy? - spytał Giordino.

- Co?

- Tajną podwodną operację ratowniczą.

- Sprawę przejmuje nasz wywiad. Plan jest taki, żeby podsunąć sowieckim agentom mylne informacje. Udać, że wszelkie dalsze poszukiwania są według nas tylko

marnowaniem pieniędzy amerykańskiego podatnika i wobec tego spisaliśmy całą rzecz na straty.

- Na jak długo? - spytał Pitt.

- Może rok. Na tyle, ile inżynierom zajmie zaprojektowanie i wykonanie potrzebnych urządzeń.

Pitt spojrzał na admirała podejrzliwie.

- Mam przecucie, że zostaniemy z tej sprawy wyłączeni.

- Tak jest - odparł Sandecker prosto z mostu.

- Wolno zapytać, czemu?

- Mam dla was ważniejsze zadanie.

- Co może być ważniejsze od wykradzenia sowieckich tajemnic dotyczących ich najgroźniejszej łodzi podwodnej? - zapytał Pitt ostrożnie.

- Wakacje na nartach - odparł Sandecker. - Nie ma nic lepszego od orzeźwiającego powietrza i sypkiego śniegu Gór Skalistych. Macie bilety na samolot odlatujący jutro rano o dziesiątej czterdzieści pięć do Denver. Doktor Sharp będzie wam towarzyszyła.

Pitt spojrzał na Giordina, który tylko wzruszył ramionami.

- To jest nagroda czy wygnanie?

- Nazwijmy to czynnym odpoczynkiem. Senator Pitt wyjaśni ci szczegóły.

- Mój ojciec?

- Dzisiaj po kolacji czeka na ciebie w swoim domu. - Sandecker wyjął z kieszeni kamizelki duży złoty zegarek z tarczą z kości słoniowej i rzekł: - Nie każmy pięknej pani na siebie czekać.

Ruszył ku drzwiom, lecz Pitt i Giordino stali na spłowiałym dywanie jak wrośnięci.

- Co pan przed nami ukrywa, admirale? - zapytał ostro Pitt. - Niech pan mówi otwarcie albo słowo daję, że nie wsiądę jutro do tego samolotu.

- Mnie również bardzo przykro - rzekł Giordino - ale czuję, że odezwała mi się dawna dolegliwość, której się nabawiłem w dżungli na Borneo.

Sandecker zatrzymał się w pół kroku, odwrócił się, uniósł brew i spojrzał Pittowi prosto w oczy.

- Nie oszukasz mnie, mój panie. Wiem, że nic cię nie obchodzi ta sowiecka łódź podwodna. Tak bardzo chcesz odnaleźć resztki Biblioteki Aleksandryjskiej, że gotów byłbyś wszystko poświęcić.

- Pańska intuicja jest jak zwykle bezbłędna - rzekł Pitt z ironią. - Tak samo pana kreci wywiad. Zamierzałem przekazać panu po powrocie transkrypcję dziennika

„Serapisa”. Widocznie ktoś mnie uprzedził.

- Komandor Knight. Wysłał drogą radiową zakodowane tłumaczenie doktora Redferna do Wydziału Marynarki, który z kolei przekazał je Narodowej Radzie Bezpieczeństwa i prezydentowi. Przeczytałem je, zanim opuściłeś Islandię. Nieświadomie otworzyłeś puszkę Pandory. Jeśli ten ukryty skarb rzeczywiście istnieje i może zostać odnaleziony, spowoduje przewrót polityczny. Ale nie zamierzam się w to wgłębiać. Sprawa ta została powierzona twemu ojcu z przyczyn, które on lepiej potrafi wyjaśnić.

- A jakie w tym wszystkim jest zadanie Lily?

- Chodzi o kamuflaż. Na wypadek jakiegoś przecieku albo podejrzeń KGB, że ich łódź została znaleziona. Martin Brogan ma zamiar oświadczyć, że pracujesz nad legalnym przedsięwzięciem archeologicznym. Dlatego właśnie spotykam się z wami w klubie, a w resztę wprowadzi was twój ojciec. Wasze działania muszą być poza wszelkimi podejrzeniami. Mogą was śledzić.

- To mi wygląda na lekką przesadę.

- Oni mają swoje tajemne sposoby - rzekł Giordino z rezygnacją. - Ciekawym, czy dostanę bilety na mecz denwerskich Bronco.

- Cieszę się, że mogłem was zobaczyć - zamknął sprawę Sandecker. - Chodźmy poszukać naszego stolika. Umieram z głodu.

Zostawili Lily przy Hotelu Jeffersona. Uściskała ich obu i weszła do hallu za portierem niosącym jej walizki. Pitt i Giordino kazali się zawieźć do dziesięciopiętrowego budynku ze szkła i stali, który był siedzibą NUMA.

Giordino udał się wprost do swojego biura na czwartym piętrze, a Pitt pojechał windą dalej, do centrum informacji i łączności na samej górze. Zostawił swoją aktówkę u recepcjonistki, wyjął tylko kopertę, którą wsunął do kieszeni marynarki.

Szedł wśród nie kończących się rzędów aparatury elektronicznej, póki nie natrafił na człowieka siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na wyłożonej kafelkami podłodze i dumającego nad miniaturowym magnetofonem wyjętym ze środka dużego pluszowego kangura.

- Falszuje melodię „Waltzing Matilda”? - spytał Pitt.

- Skąd wiesz?

- Domyśliłem się.

Hiram Yaeger spojrzał na niego i uśmiechnął się. Miał wesołą twarz i długie blond włosy związane w koński ogon. Jego kędzierzawa broda wyglądała, jakby pochodziła z wypożyczalni kostiumów. Na nosie miał okulary w drucianej oprawce i był ubrany jak

wykolejony kowboj z rodeo - w stare levisy i buty, których nie wzięłyby od niego nawet żebrak.

Sandecker podkraść Yaegera pewnej firmie komputerowej z kalifornijskiej Doliny Krzemowej i powierzył mu stworzenie od podstaw kompleksu danych NUMA. Mózg Yaegera był mózgiem geniusza - i zarazem centralną jednostką przetwarzania danych. Nadzorował ogromną bibliotekę informacji, zawierającą wszelkie znane opracowania dotyczące oceanów świata.

Informatyk przyglądał się krytycznie magnetofonowi zabawki.

- Mógłbym skonstruować coś lepszego przy użyciu samych przyborów kuchennych.

- Naprawisz to?

- Chyba nie.

Pitt pokręcił głową i wskazał kompleks komputerów.

- Sam zbudowałeś to wszystko, a nie potrafisz naprawić zwyczajnego magnetofonu kasetowego?

- Bo nie mam do tego serca. - Yaeger wstał, wszedł do biura i posadził pluszowego kangura na rogu biurka. - Może jak mnie coś natchnie, to przerobię go kiedyś na gadającą lampę.

Pitt wszedł za nim i zamknął drzwi.

- Jesteś w nastroju do czegoś bardziej egzotycznego?

- Na przykład?

- Pracy badawczej.

- Jeszcze jak!

Pitt wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Yaegerowi. Czarodziej komputerów NUMA opadł na fotel, otworzył kopertę i wyjął jej zawartość. Szybko przebiegł wzrokiem treść napisanego na maszynie tekstu, potem przeczytał go wolniej drugi raz. Po długim milczeniu spojrzął znad okularów na Pitta.

- To z tego starego statku, który znalazłeś?

- Wiesz już o tym?

- Musiałbym chyba być ślepy i głuchy, gdybym nie wiedział. Trąbi o tym telewizja i cała prasa.

Pitt wskazał kartki w ręku Yaegera.

- To tłumaczenie dziennika pokładowego statku.

- Czego w związku z tym oczekujesz ode mnie?

- Spójrz na tę kartę z mapą.



Yaeger przyjrzał się nie opisanym liniom.

- Chcesz, abym zlokalizował to miejsce na dzisiejszej mapie?

- Jeśli zdołasz - potwierdził Pitt.

- Cholernie mało danych, na których można by się oprzeć. Co to jest?

- Brzeg oceanu i rzeka.

- Kiedy to zostało narysowane?

- Anno Domini trzysta dziewięćdziesiąt jeden.

Yaeger spojrział na Pitta z rozbawieniem.

- Równie dobrze mógłbyś mi kazać wymienić nazwy ulic Atlantydy.

- Zaprogramuj swych elektronicznych kumpli na projekcję kursu statku po wypłynięciu floty z Kartageny. Mógłbyś też zacząć od końca, to znaczy od Grenlandii. Zaznaczyłem położenie statku.

- Zdajesz sobie sprawę, że ta rzeka może już nie istnieć?

- Tak, myślałem o tym.

- Będzie mi potrzebne upoważnienie admirała.

- Dostaniesz je jutro rano.

- Dobrze - rzekł Yaeger ponuro. - Zrobię, co będę mógł. Na kiedy to ma być?

- Po prostu szukaj, póki nie znajdziesz - odparł Pitt. - Muszę wyjechać na krótko z miasta. Zadzwoń do ciebie pojutrze, żeby się dowiedzieć, jak ci idzie.

- Wolno o coś spytać?

- Wal.

- Czy to naprawdę ważne?

- Tak - rzekł wolno Pitt. - Tak uważam. Może ważniejsze, niż obaj potrafimy sobie wyobrazić.

Gdy ojciec Pitta otworzył drzwi swego kolonialnego domu przy Massachusetts Avenue w Bethesda w stanie Maryland, miał na sobie spłowiałe spodnie koloru khaki i rozciągnięty sweter. Ten senacki Sokrates słyszał z upodobania do kosztownych i modnych garniturów, zawsze ozdobionych kalifornijskim złotym makiem w butonierce, ale prywatnie ubierał się jak ranczer obozujący na krańcach swoich włości.

- Dirk! - wykrzyknął z radością i uściskał syna. - Ostatnio zbyt rzadko cię widuję.

Pitt objął ojca i poszli razem do gabinetu wypełnionego od podłogi do sufitu książkami. Na kominku z misternie rzeźbioną półką z drewna lękowego płonął ogień.

Senator wskazał synowi fotel, a sam podszedł do barku.

- Dżin martini po bombajsku ze skórą cytrynową?

- Trochę za chłodno na dżin. Może lepiej Jacka Danielsa bez niczego.

- Każdy się truje, czym chce.

- Co u mamy?

- Jest w jakimś modnym uzdrowisku w Kalifornii i stara się jak co roku zrzucić kilka kilogramów tłuszczu. Wróci pojutrze o kilogram cięższa.

- Nigdy nie rezygnuje.

- To ją uszczęśliwia.

Senator podał synowi kukurydziankę, a sobie nalał porto. Uniósł kieliszek.

- Za owocną podróż do Kolorado.

Pitt nie wypił.

- Kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby mnie wysłać na narty?

- Ja.

Pitt przełknął spokojnie trochę whisky i spojrzał na ojca twardo.

- Interesuje cię zawartość Biblioteki Aleksandryjskiej?

- Bardzo, jeżeli ona istnieje naprawdę.

- Mówisz jako prywatny obywatel czy jako biurokrata?

- Jako patriota.

- Skoro tak - rzekł Pitt z głębokim westchnieniem - to mnie oświeć. Czemu sztuka klasyczna i dzieła literackie oraz trumna Aleksandra mają tak wielkie znaczenie dla interesów Stanów Zjednoczonych?

- Wcale nie o sztukę chodzi - powiedział senator. - Najważniejsze są mapy z zaznaczeniem bogactw naturalnych starożytnego świata. Zaginionych kopalń złota faraonów, zapomnianych kopalń szmaragdów Kleopatry, mitycznego kraju Punt słynącego

z obfitości srebra, antymonu i zielonkawego złota, miejsc znanych przed dwoma i trzema tysiącami lat, ale z czasem zapomnianych. Jest również legendarna kraina Ofir ze swym bogactwem cennych minerałów. Jej lokalizacja wciąż pozostaje tajemnicą. Kopalnie króla Salomona, Nabuchodonozora z Babilonu i Szeby, królowej Saby, której bajeczny kraj pozostał tylko wspomnieniem z Biblii. Te legendarne bogactwa wciąż spoczywają pod piaskami Bliskiego Wschodu.

- No więc znajdziemy je, i co z tego? Co złoża cennych minerałów, należące do innych krajów, mogą obchodzić nasz rząd?

- Mogą, i to bardzo - odparł senator. - Jeśli będziemy potrafili pokazać tym krajom, gdzie one są, będziemy również mogli wynegocjować z nimi wspólną eksploatację tych złóż na zasadach joint venture. Zyskamy też pewną przewagę nad przywódcami narodowymi i może przyczynimy się trochę do rozładowania niektórych napięć.

Pitt potrząsnął głową i zastanowił się.

- To dla mnie nowina, że Kongres zabiega o dobre stosunki międzynarodowe. W tym musi być coś więcej.

Senator przytaknęła, pełen podziwu dla przenikliwości syna.

- Bo i jest. Czy znany ci jest termin: pułapka stratygraficzna?

- Oczywiście. - Pitt uśmiechnął się. - Znalazłem jedną z nich na Morzu Labradorским u brzegów prowincji Quebec przed kilku laty.

- Tak, plan „Rakieta”. Pamiętam.

- Pułapka stratygraficzna to jeden z najtrudniejszych do wykrycia typów złóż naftowych. Nie można jej wykryć normalnymi metodami sejsmicznymi. A jednak takie złoża należą do najwydajniejszych.

- Co nas prowadzi do bitumenu, smółki węglowodorowej czy też asfaltu, który był stosowany w Mezopotamii przed pięcioma tysiącami lat do uszczelniania budowli, kanałów, glinianych drenów i łodzi. Poza tym używano go do nawierzchni dróg i leczenia ran. Później u Greków pojawiły się wzmianki o źródłach rozłokowanych wzdłuż wybrzeży północnoafrykańskich, z których jakoby biła ropa. Rzymianie piszą o miejscu na półwyspie Synaj, które zwą Górą Naftową. A w Biblii jest mowa o dolinie Siddim, pełnej oczek błotnych, które były prawdopodobnie oczkami naftowymi.

- Żaden z tych obszarów nie został zlokalizowany i zbadany? - spytał Pitt.

- Prowadzi się liczne wiercenia, ale bez większych rezultatów. Geolodzy twierdzą, że istnieje dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo znalezienia ogromnych złóż ropy w samym Izraelu. Niestety, wskutek wielowiekowych trzęsień ziemi i zmian

geologicznych miejsca jej występowania są bardzo trudne do wykrycia.

- A więc głównym celem jest znalezienie pól roponośnych w Izraelu?

- Musisz przyznać, że to rozwiązałoby wiele problemów.

- Tak, na pewno.

Senator i jego syn siedzieli chwilę w milczeniu, patrząc w ogień. Jeżeli Yaeger i jego komputery nie natrafią na żaden ślad, szansę odnalezienia Biblioteki będą żadne. Pitta ogarnął nagle gniew i smutek, że ludzie z Białego Domu i Kongresu bardziej interesują się ropą i złotem niż literaturą i sztuką, które mogłyby zapełnić luki historii.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Senator podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Nie powiedział ani słowa, tylko słuchał. Potem odłożył słuchawkę.

- Wątpię, czy znajdę zaginioną Bibliotekę w Kolorado - rzekł Pitt cierpko.

- Wszyscy zainteresowani byliby zdumieni, gdyby to się stało - powiedział senator. - Moi ludzie załatwili ci spotkanie z największym autorytetem w tej dziedzinie. Doktor Bertram Rothberg, profesor Wydziału Klasyki na Uniwersytecie Kolorado, poświęcił całe życie badaniom dziejów Biblioteki Aleksandryjskiej. Przekaze ci wszelkie dane, które mogą okazać się pomocne.

- Czemu ja muszę jechać do niego? Czy nie byłoby praktyczniej, gdyby to on przyjechał do Waszyngtonu?

- Widziałeś się z admirałem Sandeckerem?

- Tak.

- Więc wiesz, jakie to ważne, abyście obaj z Alem Giordino wyłączyli się ze sprawy sowieckiej łodzi. Ten telefon przed chwilą był od agenta FBI śledzącego agenta KGB, który śledzi ciebie.

- Widzę, że jestem popularny.

- Nie wolno ci zrobić żadnego kroku, który mógłby wzbudzić podejrzenia.

Pitt kiwnął głową.

- Wszystko to pięknie, ale jeżeli Rosjanie się połapią, co wtedy? Mogą tyle samo zyskać na odnalezieniu Biblioteki, co i my.

- To raczej mało prawdopodobne - powiedział senator. - Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności, by nikt nie dowiedział się o tabliczkach.

- Następne pytanie.

- Wal.

- Jestem śledzony - rzekł Pitt - więc w jaki sposób ukryję swoje spotkanie z doktorem Rothbergiem?

- Nie ukryjesz - odparł senator. - Bardzo nam nawet zależy, żeby KGB się dowiedziało.

- Więc mam się zachowywać jak gdyby nigdy nic?

- Dokładnie.

- A czemu właśnie ja?

- Z powodu twego corda L-29

- Mojego corda?

- Samochodu, który kazalesz odrestaurować w Denver. Człowiek, który to zrobił, dzwonił w zeszłym tygodniu, że skończył pracę i że to istne cudęńko.

- A więc mam się udać w blasku reflektorów do Kolorado tylko po to, aby odebrać swój samochód, pojeździć na nartach po zboczach i spędzić miło czas z panią doktor Sharp?

- Dokładnie - powtórzył senator. - Zatrzymasz się w Hotelu Breckenridge. Dostaniesz tam wiadomość, gdzie i kiedy masz się skontaktować z doktorem Rothbergiem.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie wchodził z tobą w układy.

Senator zaśmiał się.

- Sam się uwikłałeś w różne ciemne sprawy.

Pitt dokończył whisky, wstał i postawił szklankę na półce nad kominkiem.

- Mogę zająć nasz domek wypoczynkowy?

- Lepiej trzymaj się od niego jak najdalej.

- Ale w garażu są moje narty i buty.

- Skorzystaj z wypożyczalni.

- To śmieszne.

- Wcale nie śmieszne - rzekł senator z powagą - zważywszy, że jeśli tylko otworzysz drzwi domku, dostaniesz kulą w łeb.

- Na pewno tutaj chcesz pan wysiąść? - spytał taksówkarz zatrzymawszy się przy budowli w rogu waszyngtońskiego lotniska międzynarodowego, która przypominała opuszczony hangar.

- Tak, tutaj - odparł Pitt.

Taksówkarz rozejrzył się trwożnie po tej odludnej, nie oświetlonej okolicy. Pomyślał, że to wymarzone miejsce do bandyckiego napadu. Sięgnął pod fotel po kawałek rurki, którą tam trzymał na takie okazje. Z lękiem spoglądał w tylne lustro, gdy Pitt wyciągał portfel z wewnętrznej kieszeni. Odetchnął z ulgą. Jego pasażer nie zachowywał się jak bandyta.

- Ile jestem winien?

- Na liczniku jest osiem sześćdziesiąt - odparł.

Pitt zapłacił z nadwyżką i wysiadł, czekając by taksówkarz otworzył kufer i wyjął walizki.

- Piekielne miejsce - mruknął taksówkarz.

- Mam się tu z kimś spotkać.

Pitt zaczekał, póki tylne światła taksówki nie zniknęły w dali, i dopiero wtedy wyłączył system alarmowy hangaru przy pomocy kieszonkowego nadajniczka. Wszedł bocznymi drzwiami. Wystukał numer na nadajniczku i całe wnętrze skąpało się w jasnym świetle jarzeniówek.

Ten hangar był domem Pitta. Cały parter wypełniała lśniąca kolekcja klasycznych samochodów. Znajdował się tam też stary wagon pulmanowski i trójsilnikowy samolot Forda. Najdziwniejszym eksponatem była żeliwna wanna z silnikiem przyczepnym.

Poszedł ku wejściu do części mieszkalnej na piętrze. Wchodziło się do niej po ozdobnych spiralnych żelaznych schodach. Drzwi prowadziły do salonu. Obok salonu znajdowała się duża sypialnia i gabinet, a z drugiej strony pokój stołowy i kuchnia.

Rozpakował się i wszedł pod prysznic. Włączył gorącą wodę skierowując strumienie na wykładaną kafelkami ścianę. Potem położył się na plecach opierając stopy tuż pod kurkiem, aby móc regulować palcami nóg temperaturę rozpryskującej się na mgiełkę wody, i natychmiast zasnął.

W czterdzieści pięć minut później włożył szlafrok i wyłączył telewizor. Właśnie miał sobie podgrzać ronderek z teksaskim chili, kiedy rozległ się brzęczyk domofonu. Przycisnął guzik, spodziewając się usłyszeć głos Ala Giordino.

- Słucham?

- Grenlandzka dostawa żywności - odpowiedział damski głos.

Roześmiał się, przycisnął guzik otwierający boczne drzwi. Wyszedł na balkonik i spojrzał w dół.

Zobaczył Lily niosącą wielki kosz piknikowy. Stała jak wryta. Przez kilka chwil patrzyła ze zdumieniem, olśniona blaskiem chromu i wypolerowanego lakieru.

- Admirał Sandecker próbował mi opisać twój dom - rzekła z podziwem - ale nie był to opis adekwatny.

Pitt wyszedł jej na spotkanie po spiralnych schodkach. Wziął od niej kosz i mało go nie upuścił.

- Ten kosz waży chyba z tonę. Co w nim jest?

- Nasza kolacja. Wstąpiłam do delikatesów i kupiłam trochę dobrych rzeczy.

- Pachną wspaniale.

- Zaczniemy od wędzonego łososa, potem będzie zupa grzybowa, sałatka ze szpinaku z bazyliem i orzechami włoskimi, makaron z sosem ostrygowym z białym winem, a do tego wszystkiego butelka Principessa Gavi. Na deser mamy kawowe ciasto z polewą czekoladową.

Pitt spojrzał na Lily i uśmiechnął się szczerze zachwycony. Jej twarz była ożywiona, oczy błyszczały. Miała długie proste włosy. Ubrana była w obcisłą suknię z dekoltem na plecach, wyszytą czarnymi cekinami, które połyskiwały, kiedy szła. Uwolnione od ciężkiego palta, jej piersi okazały się większe, a biodra smuklejsze, niż sobie wyobrażał. Nogi miała długie i poruszała się ze zmysłową gracją.

Gdy weszli do salonu, Pitt postawił kosz na fotelu i wziął ją za rękę.

- Możemy zjeść później - powiedział cicho.

W odruchu wstydu spuściła oczy, a potem wolno, jakby pod naciskiem jakiejś nieodpartej siły, uniosła je ku górze. Zielone oczy Pitta patrzyły tak przenikliwie, że nogi osłabły jej w kolanach, a dłonie zaczęły drżeć. Zacerwieniła się.

To głupie, pomyślała. Spokojnie zaplanowała przecież uwiedzenie, włącznie z doborem odpowiedniego wina, sukni, kuszącego staniczka z czarnej koronki i takich samych majtek. A teraz czuje się zmieszana i niepewna. Nawet nie marzyła, że wszystko tak gładko pójdzie.

Pitt bez słowa zsunął suknię z ramion Lily, pozwalając aby opadła na podłogę i utworzyła lśniąca plamę wokół jej stóp. Ujął Lily w pasie i pod kolana i uniósł jednym płynnym ruchem z podłogi.

W drodze do sypialni ukryła twarz na jego piersi.

- Czuję się jak ladacznica - wyszeptła.

Pitt ułożył ją delikatnie na łóżku. Widok jej ciała rozniecił w nim żar.

- Wolalbym - rzekł ochryplym głosem - żebyś się teraz zachowywała jak ladacznica.

Yazid wszedł do pokoju stołowego swojej willi. Stał i skinął lekko głową w stronę długiego stołu z talerzami, półmiskami, sztuccami i pucharami z brązu.

- Ufam, że moim przyjaciółom smakował obiad.

Mohammed al-Hakim, uczonego mułła, który był cieniem Yazida, odsunął krzesło i wstał.

- Wyborny jak zawsze, Achmadzie. Ale odczuwaliśmy brak twojej świetlanej obecności.

- Allah nie wyjawia mi swoich pragnień, kiedy mam pełny żołądek - rzekł Achmad z lekkim uśmieszkiem. Spojrzał na pięciu mężczyzn stojących wokół stołu w pozach znamionujących różne stopnie uniżoności i uznania dla jego władzy.

Każdy z nich był ubrany inaczej. Pułkownik Naguib Bashir, przywódca tajnej organizacji sprzyjających Yazidowi oficerów, miał na sobie luźną, obszerną dżelabę z długimi rękawami i kapturem, aby go nikt nie poznał, kiedy wyjeżdżał z Kairu. Na głowie al-Hakima turban wyglądał niczym śmieszny guz, on sam zaś, mały i chudy, był okryty sięgającą aż do stóp czarną ponurą szatą. Mussa Moheidin, dziennikarz i główny propagandysta Yazida, miał na sobie dżinsy i koszulę rozpiętą pod szyją, a młody Turek, Khaled Fawzy, podpora rady rewolucyjnej, mundur polowy. Tylko Sulejman Ammar był ubrany w nieskazitelny, szyty na miarę garnitur typu safari.

- Pewno się zastanawiacie, czemu zwołałem to nagłe zebranie - rzekł Yazid - nie będę więc marnował czasu. Allah podszeptał mi plan mistrzowskiego pozbycia się prezydenta Hasana i jego hałasty przekupnych złodziei. Teraz usiądźcie i skończcie pić swoją kawę.

Podszedł do ściany i przycisnął guzik. Z sufitu wolno spłynęła na dół kolorowa mapa. Była to standardowa szkolna mapa egipska przedstawiająca Amerykę Południową. Czerwonym kółkiem zaznaczono na niej Punta del Este, nadmorskie miasto w Urugwaju. Do dolnej połowy mapy przymocowano powiększone zdjęcie jakiegoś luksusowego statku pasażerskiego.

Wszyscy usiedli wokół stołu z twarzami bez wyrazu. Tłumili ciekawość. Czekali cierpliwie, aż ich przywódca religijny wyjawi, jakie objawienie zesłał mu Allah.

- Za sześć dni - zaczął Yazid - odbędzie się międzynarodowy szczyt ekonomiczny, zwołany z powodu światowego kryzysu walutowego. Odbędzie się w miejscowości wypoczynkowej Punta del Este, dawnej siedzibie Wewnątrzamerykańskiej Rady Ekonomicznej i Społecznej, która proklamowała Zjednoczenie dla Postępu. Kraje zadłużone, z wyjątkiem Egiptu, zjednoczyły się w celu wyparcia się wszelkich pożyczek i



zniesienia zagranicznego zadłużenia. Akt ten spowoduje, że upadną setki banków Stanów Zjednoczonych i Europy. Zachodni bankierzy oraz ich narodowi eksperci finansowi wezwali do rozmów, które mają być ostatnią próbą uniknięcia katastrofy gospodarczej. Nasz liżący imperialistom buty prezydent jest jedynym zaprzającym. Ma on wziąć udział w tych rozmowach i dopraszać się u zachodnich bankierów o dalsze pożyczki, aby utrzymać w swych słabnących rękach Egipt. Może to podkopać jedność naszych islamskich braci oraz przyjaciół z Trzeciego Świata. Nie pozwolimy na to. Wykorzystamy ten moment dla powołania prawdziwie islamskich rządów nad naszym ludem.

- Zabijmy tyrana i skończmy z tym raz na zawsze - rzekł ostro Khaled Fawzy. Był młody, arogancki i nietaktowny. W swoim braku cierpliwości próbował już raz dokonać z pomocą studentów-rewolucjonistów zamachu stanu, który się nie udał i pociągnął za sobą utratę trzydziestu istnień ludzkich. Strzelał teraz ciemnymi oczyma wokół stołu. - Jedna dobrze umieszczona wyrzutnia raketowa ziemia-powietrze, kiedy samolot Hasana wystartuje w podróż do Urugwaju, i pozbędziemy się jego skorumpowanego reżimu.

- I w ten sposób stworzymy ministrowi obrony Abu Hamidowi możliwość objęcia dyktatury, zanim jeszcze będziemy gotowi zrobić to sami - dokończył Mussa Moheidin. Ten znany egipski pisarz i dziennikarz miał sześćdziesiąt kilka lat. Był dowcipny, układny, wymowny i bardzo powściągliwy w zachowaniu. Ammar tylko jego jednego naprawdę szanował.

Yazid zwrócił się do Bashira.

- Czy to słuszne przewidywania, pułkowniku?

Bashir skinął głową. Jako człowiek płytki i próżny, szybko zdradzał się ze swoim wąskim widzeniem spraw wojskowych.

- Mussa ma rację. Abu Hamid trzyma w zawieszeniu ewentualność poparcia ciebie, tłumacząc się tym, iż czeka, aż przedstawiś swój mandat od narodu. To po prostu wykręty i gra na zwłokę. Hamid to człowiek ambitny. Liczy, że wykorzysta armię i przy jej pomocy ogłosi się prezydentem, zanim my wykonamy swój następny krok.

- To prawda - rzekł Fawzy. - Jeden z jego adiutantów, członek naszego ruchu, mówił, że Hamid chce się obwołać prezydentem, po czym zamierza umocnić swoją pozycję przez małżeństwo z Halą Kamil, ze względu na jej popularność w narodzie.

Yazid uśmiechnął się.

- Buduje zamki z piasku. Hala Kamil nie stawi się na ceremonię ślubną.

- Czy to jest pewne? - spytał Ammar.

- Tak - odparł Yazid stanowczo. - Z wolą Allacha nie dożyje jutrzejszego wschodu

słońca.

- Podziel się z nami swą wiedzą, Achmadzie - poprosił al-Hakim. W przeciwieństwie do swych smagłych towarzyszy, miał twarz człowieka, który pół życia spędził w lochu. Jego blada skóra wydawała się niemal przezroczysta. Oczy muły, powiększone grubymi szklami, pały niewzruszonym zdecydowaniem.

Yazid kiwnął głową.

- Wiem z dobrze poinformowanych źródeł w Meksyku, że z powodu nieoczekiwanego najazdu turystów w Punta del Este brak w tej chwili wolnych luksusowych pomieszczeń hotelowych i pałacowych rezydencji. Nie chcąc stracić przywileju goszczenia rozmów na szczycie, a co za tym idzie i międzynarodowego rozgłosu, rząd Urugwaju zagwarantował przywódcom zagranicznym i ich mężom stanu zakwaterowanie na zakotwiczonych w porcie wynajętych luksusowych statkach. Hasan i delegacja egipska znajdą się na liniowcu brytyjskim „Lady Flamborough”. Prezydent meksykański De Lorenzo i jego ekipa również będą na tym statku.

Yazid urwał i spojrzał po twarzach słuchaczy. Potem rzekł:

- Allah kazał mi porwać statek.

- Chwała Allahowi! - wykrzyknął Fawzy.

Pozostali patrzyli na siebie niedowierzająco. Potem znów spojrzeli wyczekująco na Yazida.

- Czytam w waszych twarzach, przyjaciele, zwątpienie, iż usłyszałem głos Allacha.

- Skądże znowu - odparł al-Hakim z powagą. - Ale być może źle zinterpretowałeś rozkaz Allacha.

- Nie. Był całkiem wyraźny. Statek z prezydentem Hasanem i jego ministrami musi zostać porwany.

- W jakim celu? - zapytał Mussa Moheidin.

- Żeby zapobiec powrotowi Hasana do Kairu, gdy siły islamskie będą przejmowały władzę.

- Abu Hamid postawi armię przeciwko każdemu usiłującemu dokonać przewrotu ugrupowaniu, któremu sam nie przewodniczy - ostrzegł pułkownik Bashir. - Wiem o tym ponad wszelką wątpliwość.

- Hamid nie może powstrzymać fali rewolucyjnego zapału - rzekł Yazid. - Niepokój społeczny sięgnął szczytu. Masy mają dość wyrzeczeń spowodowanych spłatą zagranicznych długów. Hamid i Hasan sami sobie podrzynają gardła nie odcinając się od bezbożnych lichwiarzy. Egipt może ocalić jedynie czystość praw islamu.

Khaled Fawzy zerwał się na nogi i wznosił zaciśniętą pięść.

- Wydaj mi tylko rozkaz, Achmadzie, a wyprowadzę milion ludzi na ulice.

Yazid milczał. Głęboko oddychał, przejęty religijnym zapalem. W końcu rzekł:

- Lud sam poprowadzi. Ja pójdę za nim.

- Muszę wyznać... - zaczął al-Hakim z poważnym wyrazem twarzy - że mam złe przeczucia.

- Jesteś tchórzem! - wrzasnął Fawzy z pogardą.

- Mohammed al-Hakim jest mądrzejszy od ciebie - powiedział Moheidin spokojnie. - Wiem, co ma na myśli. Nie chce, aby się powtórzyła historia z „Achille Lauro” z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, kiedy to komandosi palestyńscy zawładnęli włoskim liniowcem i zamordowali starego Żyda - kalekę w wózku inwalidzkim. Ponieśli wtedy porażkę.

- Terrorystyczna rzeź nie pomoże naszej sprawie - poparł go Bashir.

- Chcesz się sprzeciwić woli Allacha? - spytał z rozdrażnieniem Yazid.

Zaczęli mówić wszyscy naraz. W pokoju zawrzało.

Tylko Ammar milczał. To idioci, myślał, cholerni idioci. Wyłączył się z dyskusji i patrzył na zdjęcie statku.

- Jesteśmy nie tylko Egipcjanami - dowodził Bashir. - Jesteśmy Arabami. Jeśli zamordujemy naszych przywódców, a może nawet któregoś z ich przywódców, który wejdzie nam w drogę, inne narody arabskie zwrócą się przeciwko nam. Nie będą w tym widziały nakazu Allacha, lecz terrorystyczny spisek.

- Khaled ma rację - stwierdził Moheidin. - Lepiej zabić Hasana na własnym terytorium, niż urządzić krwawą łaźnię na statku, na którym przebywa również przywódca Meksyku i jego delegacja.

- Nie możemy brać pod uwagę aktu masowego terroryzmu - powiedział al-Hakim. - Jego konsekwencje dla naszego rządu byłyby katastrofalne.

- Jesteście wszyscy gadami z obozu Hasana - warknął Fawzy. - Trzeba zaatakować statek i pokazać światu naszą siłę.

Nikt nie zwracał uwagi na tego wojowniczego fanatyka, zajadle antyżydowskiego i antychrześcijańskiego.

- Czy nie rozumiesz, Achmadzie - mówił Bashir - że zostaną tam podjęte środki bezpieczeństwa, których nie da się ominąć? Będzie aż rojno od łodzi patrolowych. Trzeba by samobójczego ataku całej armii komandosów. Tego się po prostu nie da zrobić.

- Będziemy mieli pomoc, ale muszę zachować w tajemnicy, skąd przybędzie -

powiedział Yazid. Spojrzał z uwagą na Ammara. - Ty, Sulejmanie... ty jesteś ekspertem od tajnych operacji. Jeżeli uda nam się przeszmyglować na pokład „Lady Flamborough” grupę najlepszych komandosów, to czy zdołają oni opanować i przetrzymać statek, póki nie utworzymy republiki islamskiej?

- Tak - odparł Ammar nie odrywając wzroku od fotografii statku. Powiedział to z pełnym przekonaniem. - Sześć dni to trochę mało czasu, ale biorąc pod uwagę element zaskoczenia, dziesięciu doświadczonych komandosów i pięciu doświadczonych marynarzy potrafi uprowadzić statek bez rozlewu krwi.

Oczy Yazida rozbłysły.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- To niewykonalne - zagrmiał Bashir. - Nigdy nie przeszmyglujesz do Urugwaju tylu ludzi bez wzbudzenia podejrzeń. A jeśli nawet jakimś cudem opanujesz statek, w ciągu dwudziestu czterech godzin zjawią się tam wszystkie zachodnie oddziały specjalne i dobiorą ci się do skóry. Groźba, że zabijesz zakładników, wcale ich nie powstrzyma. Będziesz miał szczęście, jeśli utrzymasz się dłużej niż kilka godzin.

- Potrafię opanować „Lady Flamborough” i utrzymać ją przez dwa tygodnie.

Bashir pokręcił głową.

- Jesteś marzycielem.

- Jak to możliwe? - zapytał Moheidin. - Ciekaw jestem, jak zamierzasz przebić się przez całą armię wysoko wyszkolonych międzynarodowych agentów bezpieczeństwa nie wdając się z nimi w walkę.

- Wcale nie zamierzam walczyć, a mimo to opanuję statek.

- To nonsens! - rzekł wstrząśnięty Yazid.

- Nic podobnego - odparł Ammar. - Trzeba tylko znać sposób.

- Sposób...?

- Właśnie. - Ammar uśmiechnął się z wyższością. - Zamierzam sprawić, by „Lady Flamborough” znikła wraz z załogą i pasażerami.

- Moja wizyta jest nieoficjalna i ściśle tajna - rzekł Juliusz Schiller do Hali Kamil, kiedy wchodzili do saloniku z belkowanym stropem w domku wypoczynkowym senatora Pitta. - Wszyscy są przekonani, że łowię teraz ryby na Key West.

- Rozumiem - odparła Hala Kamil. - Mam przynajmniej szansę porozmawiać z kimś innym niż kucharka i agenci Secret Service.

Przyjęła go ubrana modnie w zapinany z przodu brązowy sweter z islandzkiej wełny i w odpowiednio dobrane spodnie. Wyglądała jeszcze młodziej, niż kiedy widział ją po raz ostatni.

On natomiast wydawał się w tym ośrodku narciarskim raczej nie na miejscu w garniturze, lśniących pantoflach i z aktówką w ręku.

- Czy jest coś, co mógłbym zrobić, aby uczynić twój pobyt tutaj bardziej znośnym?

- Nie, dziękuję. Nic nie wyzwoli mnie z frustracji bezczynności, gdy tyle mam do zrobienia.

- Jeszcze kilka dni i wszystko się skończy - rzekł Schiller pocieszająco.

- Nie spodziewałam się tu ciebie, Juliuszu.

- Zaszło coś, co dotyczy Egiptu. Nasz prezydent uznał za rozsądne skonsultować się z tobą w sprawie niedawnego wydarzenia... Byłby bardzo wdzięczny za pomoc.

- W czym?

Schiller otworzył aktówkę, podał Hali oprawiony maszynopis i usiadł wygodnie ze swoją herbatą. Patrzył, jak delikatne rysy jej pięknej twarzy z wolna stają się napięte, w miarę jak poznawała doniosłość sprawy. Wreszcie skończyła czytać i odłożyła maszynopis. Spojrzała na Schillera uważnie.

- Czy to zostało podane do publicznej wiadomości?

Skinął głową.

- Odkrycie statku będzie obwieszczone dzisiaj po południu. Zatrzymaliśmy jednakże wszelkie wiadomości dotyczące skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej.

Hala spojrzała za okno.

- Zniszczenie Biblioteki przed szesnastoma wiekami można porównać do spalenia archiwów waszyngtońskich, Smithsonian Institute i National Art Gallery z rozkazu waszego prezydenta...

Schiller kiwnął głową.

- Dobre porównanie.

- Czy jest nadzieja na odnalezienie starożytnych ksiąg?

- Jeszcze nie wiemy. Woskowe tabliczki ze statku dają jedynie kilka zwodniczych wskazówek.

- Ale chcecie szukać? - spytała z rosnącym zaciekawieniem.

- Właśnie się nad tym zastanawiamy.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Tylko prezydent, ja i kilku zaufanych członków rządu. A teraz ty.

- Czemu powiadomiłeś mnie, a nie prezydenta Hasana?

Schiller wstał i przeszedł na drugi koniec pokoju. Odwrócił się twarzą do Hali.

- Twój przywódca narodowy pewnie niedługo utrzyma się u władzy. A ta sprawa ma zbyt wielkie znaczenie, aby dopuścić do jej przejścia przez niepowołane osoby.

- Masz na myśli Achmada Yazida?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Prędzej czy później będziecie musieli zacząć z nim pertraktować - rzekła Hala. - Jeżeli skarby Biblioteki i cenne mapy geologiczne zostaną znalezione, Yazid zażąda ich zwrotu Egiptowi.

- Wiemy o tym - powiedział Schiller. - W tym właśnie celu spotykam się z tobą tutaj. Prezydent chciałby, abyś wspomniała w swoim przemówieniu w ONZ o możliwości odnalezienia skarbów.

Hala patrzyła chwilę w zamyśleniu na Schillera. Potem odwróciła wzrok i powiedziała z gniewem:

- Jakże mogę mówić o bliskim ich odnalezieniu, skoro poszukiwania będą trwały lata i może nigdy nie zostaną uwieńczone powodzeniem? Czy to jeszcze jedna z twoich głupich bliskowschodnich gier politycznych, Juliuszu? Ostatnia próba utrzymania prezydenta Hasana u władzy i zniszczenia wpływów Achmada Yazida? Mam posłużyć za narzędzie? Mam wprowadzić naród egipski w błąd wzbudzając w nim przekonanie, że wkrótce w Egipcie zostaną odkryte bogate złoża mineralne, co postawi na nogi upadającą gospodarkę i zlikwiduje straszliwą biedę?

Schiller siedział milcząc.

- Zwróciłeś się pod zły adres, Juliuszu. Prędzej pogodzę się z upadkiem rządu i narażę na śmierć z rąk zbirów Yazida, niżli nakarmię mój naród fałszywymi nadziejami.

- To szlachetne uczucia - rzekł Schiller spokojnie. - Jestem pełen podziwu dla twoich zasad. Mam jednak głębokie przekonanie, że plan jest dobry.

- Ale ryzyko zbyt wielkie. Jeżeli prezydent nie dostarczy danych z Biblioteki, spowoduje poważne perturbacje polityczne. Yazid wykorzysta to w swojej propagandzie,

zyska więcej zwolenników i wzrośnie w potęgę w stopniu, o jakim się waszym ekspertom nie śniło. Po raz dziesiąty w ciągu tylu lat wasi eksperci od spraw zagranicznych zblażnią się w oczach świata.

- To prawda, że popełnialiśmy błędy - przyznał Schiller.

- Gdybyście się chociaż nie mieszali w nasze sprawy.

- Nie przyjechałem tu, żeby dyskutować o sprawach Bliskiego Wschodu, Hala. Przyjechałem tylko prosić cię o pomoc.

Pokręciła głową i odwróciła się.

- Przykro mi. Nie mogę publicznie głosić kłamstw.

Schiller spojrział na nią ze współczuciem. Nie naciskał, uznał za stosowne raczej się wycofać.

- Powiem prezydentowi, jak zareagowałaś - rzekł biorąc aktówkę i kierując się ku drzwiom. - Będzie ogromnie zawiedziony.

- Zaczekaj!

Odwrócił się do niej.

Hala wstała i podeszła bliżej.

- Udowodnij mi, że twoi ludzie są w posiadaniu wyraźnej wskazówki, gdzie zostały ukryte skarby Biblioteki, a wtedy zrobię to, czego pragnie Biały Dom.

- Ogłosisz bliskość ich odkrycia?

- Tak.

- Cztery dni do twojego wystąpienia to niewiele czasu.

- Takie są moje warunki - powiedziała Hala.

Schiller skinął głową z powagą.

- Zgoda.

Odwrócił się i wyszedł.

Muhammad Ismail patrzył, jak limuzyna Schillera wyjeżdża z prywatnej drogi prowadzącej do domku senatora Pitta i skręca na szosę nr 9 ku narciarskiemu miasteczku Breckenridge. Nie wiedział, kto siedzi na tylnym siedzeniu, ale nic go to nie obchodziło.

Urzędowa limuzyna, ludzie patrolujący teren, którzy porozumiewali się ze sobą przez radio w regularnych odstępach czasu, wreszcie dwaj uzbrojeni strażnicy siedzący w furgonetce u wylotu drogi było wszystkim, czego potrzebował dla potwierdzenia informacji zakupionej przez agentów Yazida w Waszyngtonie.

Ismail stał oparty niedbale o dużego mercedesa benza z silnikiem dieslowskim, zasłaniając sobą siedzącego wewnątrz mężczyznę, który patrzył przez lornetkę. Na

bagażniku dachowym znajdowało się kilka par nart. Ismail był ubrany w biały kombinezon narciarski, a para narciarskich okularów kryła jego wiecznie chmurne spojrzenie.

- Zobaczyles, co trzeba? - spytał udając, że poprawia coś przy bagażniku.

- Jeszcze chwileczkę - odparł mężczyzna z lornetką. Patrzył na domek, częściowo widoczny za drzewami. Miał twarz okrytą gęstym zarostem i bujną, nie uczesaną czuprynę.

- Pośpiesz się, bo zamarznę tu na kość.

- Chwilka cierpliwości.

- Jak to wygląda? - spytał Ismail.

- Nie więcej niż pięciu ludzi. Trzech w domu. Dwóch w furgonetce. Każdy po kolei patroluje pojedynczo teren, jednak ani sekundy dłużej jak trzydzieści minut. Chłód im też się daje we znaki. Chodzą ciągle tą samą ścieżką w śniegu. Nie widać kamer telewizyjnych, ale prawdopodobnie mają jedną zamontowaną w furgonetce, podłączoną do monitora w domku.

- Pójdziemy dwiema grupami - rzekł Ismail. - Jedna zajmie dom, druga zlikwiduje strażnika patrolującego teren i uderzy na furgonetkę od tyłu, skąd najmniej spodziewają się ataku.

Zarośnięty mężczyzna opuścił lornetkę.

- Czy zamierzasz zaatakować dziś w nocy, Muhammadzie?

- Nie - odparł Ismail. - Jutro, kiedy te amerykańskie wieprze będą siedziały przy porannym posiłku.

- Atak za dnia może być niebezpieczny.

- Nie będziemy zakradać się po ciemku jak kobiety.

- Ale nasza jedyna droga ucieczki na lotnisko wiedzie przez środek miasta - protestował zarośnięty mężczyzna. - Ulice będą zatłoczone samochodami i setkami narciarzy. Sulejman Ammar nie podjąłby podobnego ryzyka.

Ismail nagle odwrócił się i ręką w rękawiczce wymierzył zarośniętemu policzek.

- Ja tu dowodzę! - warknął. - A Sulejman jest przecenianym szakalem. Nie wymieniaj jego imienia w mojej obecności.

Spoliczkowany mężczyzna nie przestraszył się. Jego oczy błyszczały wrogością.

- Wytracisz nas wszystkich - rzekł cicho.

- Być może - syknął Ismail głosem zimnym jak lód. - Ale jeśli zginiemy po to, aby zginęła Hala Kamil, cena nie będzie wysoka.



- Wspaniały - rzekł Pitt.

- Cudowny, wręcz cudowny - szepnęła Lily.

Giordino przyznał im rację:

- Pierwsza klasa.

Stali w warsztacie renowacji starych, klasycznych samochodów, a ich pełne zachwyty spojrzenia były skierowane na samochód osobowy marki Cord L-29 z 1930 roku. Był to model z otwartym miejscem dla szofera. Karoseria miała kolor burgunda, a zderzaki były płowóżółte, dopasowane barwą do pokrytego skórą dachu nad miejscami pasażerów. Samochód miał napęd na przednie koła, co pozwoliło na nadanie mu eleganckiej, zgrabnej sylwetki. Twórca corda rozciągnął jego podwozie na blisko pięć i pół metra od przedniego do tylnego zderzaka, z czego prawie połowę zajmowała maska silnika, zakończona ostro nachyloną przednią szybą.

Był wielki i lśniący, dzieło sztuki pochodzące z czasów czczonych przez starsze pokolenia, lecz zupełnie nie znanych ludziom młodszym.

Człowiek, który znalazł ten samochód w starym garażu pod warstwą nagromadzonych przez czterdzieści lat rupieci i odrestaurował jego karoserię, był dumny ze swojego dzieła. Robert Esbenson, wysoki mężczyzna o chochlikowatej twarzy i przezroczystych oczach, ostatni raz z czułością przetarł flanelą maskę i przekazał samochód Pittowi.

- Bardzo niechętnie się z nim rozstaję.

- Świetnie się pan spisał - rzekł Pitt.

- Wyśle go pan do domu?

- Jeszcze nie teraz. Chcę nim pojeździć kilka dni.

Esbenson kiwnął głową.

- Dobra, wobec tego przereguluję gaźnik i zapłon na tutejszą wysokość. Tu jest ponad milę nad poziomem morza. Potem, kiedy pan wróci, załatwię panu transport do Waszyngtonu.

- Czy będę mogła nim pojechać? - spytała Lily.

- Aż do Breckenridge - odparł Pitt. - Pojedziesz z nami, Al?

- Czemu nie? Możemy zostawić wynajęte auto na parkingu.

Przenieśli bagaż i w dziesięć minut później Pitt skierował corda na autostradę Interstate 70 i pomknął ku wzgórzom wiodącym w pokryte śniegiem Góry Skaliste.

Lily i Al siedzieli wygodnie w luksusowej części pasażerskiej, oddzieleni od Pitta

szybą. Pitt nie postawił składanego daszku, który osłaniał miejsce kierowcy, i siedział w grubym kożuchu w zimnym wietrze, ciesząc się jego podmuchami smagającymi mu twarz.

Przez pewien czas koncentrował się na prowadzeniu samochodu, spoglądając na wskaźniki, aby sprawdzić, czy sześćdziesięcioletni samochód sprawuje się jak należy. Trzymał się prawego pasa, pozwalając innym wyprzedzać się i podziwiać.

Gładki pomruk ośmiocylindrowego silnika i gang rury wydechowej sprawiał mu ogromną radość. Czuł się tak, jakby sprawował władzę nad żywą istotą.

Gdyby się domyślał, w jakie pakuje się kłopoty, zawróciłby natychmiast do Denver.

Kiedy cord wtoczył się do legendarnego miasta górniczego w Kolorado, które zamieniono w ośrodek sportów zimowych, nad Górami Skalistymi zapadł już mrok. Pitt jechał główną ulicą, której zabudowa zachowała historyczny westernowy charakter. Chodniki były zatłoczone ludźmi z nartami i kijkami na ramionach, powracającymi ze stoków.

Pitt zaparkował nieopodal wejścia do Hotelu Breckenridge. Wpisał się do rejestru i otrzymał od recepcjonisty dwie przekazane telefonicznie wiadomości. Przeczytał obie kartki i wsunął je do kieszeni.

- Od doktora Rothberga? - spytała Lily.

- Tak, zaprosił nas do siebie na kolację. To po drugiej stronie ulicy.

- O której? - zapytał Al.

- Wpół do ósmej.

Lily spojrzała na zegarek.

- Mam tylko czterdzieści minut, żeby się wykapać i uczesać. Muszę się śpieszyć.

Pitt dał jej klucz.

- Jesteś zakwaterowana w pokoju numer 21. Pokój Ala i mój są po obu stronach twojego.

Gdy tylko Lily z portierem zniknęli w windzie, Pitt skinął na Ala Giordino i weszli do salonu koktajlowego. Począł, aż kelnerka przyjmie od nich zamówienie i odejdzie, i położył na stole kartkę.

Giordino przeczytał ją półgłosem:

- „Twój projekt biblioteczny stał się sprawą numer jeden. Najważniejsze, żebyś w ciągu czterech dni odnalazł stały adres Alexa. Powodzenia, Ojciec.” - Podniósł wzrok, zupełnie zbity z tropu. - Czyja dobrze zrozumiałem? Mamy tylko cztery dni na zlokalizowanie Biblioteki?

Pitt kiwnął głową.

- Wyczuwam między wierszami panikę i wężę w kręgach waszyngtońskich jakąś aferę.

- Równie dobrze mogliby zażądać leku na opryszczkę, AIDS i trądzik - utyskiwał Al. - Możemy skreślić jazdę na nartach.

- Zostaniemy tutaj - rzekł Pitt stanowczo. - I tak nic nie zrobimy, póki Yaegerowi coś nie wyjdzie z tej mapy. - Wstał z krzesła. - A skoro o tym mowa, pójdę do niego zadzwonić.

Znalazł telefon publiczny w hallu hotelowym. Po czterech dzwonekch usłyszał głos, który brzmiał jak w samym środku ziewnięcia:

- Tu Yaeger...

- Mówi Dirk. Jak postępują poszukiwania, Hiram?

- Postępują.

- Wpadłeś na jakiś trop?

- Moje caczka przesłały wszelkie dane geologiczne w swoich bankach od Casablanki aż po Zanzibar. Nie znalazły miejsca wzdłuż wybrzeży afrykańskich, które by odpowiadało twemu rysunkowi. Były trzy, dość słabe zresztą, możliwości. Ale po zaprogramowaniu profilów transformacji lądowych w ciągu minionych szesnastu stuleci żadna z nich nie ostała się próbie. Przykro mi.

- Co teraz zrobisz?

- Właśnie badam wybrzeża północne. Zajmie to więcej czasu z powodu bardzo długiej linii brzegów, zwłaszcza brzegów Wysp Brytyjskich. A także innych krajów nadbałtyckich i dalej, aż po Syberię.

- Zrobisz to w ciągu czterech dni?

- Tylko jeżeli będziesz nalegał, abym zatrudnił kogoś do całodobowej pracy.

- Nalegam - rzekł Pitt zdecydowanym tonem. - Właśnie mnie powiadomiono, że to zadanie stało się sprawą numer jeden.

- No to ruszamy ostro naprzód - rzekł Yaeger wesoło.

- Jestem w Breckenridge, Kolorado. Jeśli natrafisz na coś, dzwoń do mnie do Hotelu Breckenridge. - Pitt podał numer hotelowego telefonu i numer swojego pokoju.

Yaeger powtórzył numer, wciąż tym samym niefrasobliwym tonem.

- Wygląda na to, że jesteś w dobrym nastroju - zauważył Pitt.

- Bo jestem. Sporo osiągnęliśmy.

- Co na przykład? Wciąż nie wiesz, gdzie się znajduje nasza rzeka.

- To prawda - odparł pogodnie Yaeger. - Ale wiem na pewno, gdzie jej nie ma.

Gdy cała trójka szła na drugą stronę ulicy do dwupiętrowego bloku stojącego wśród

cedrów, padał śnieg wielkości płatków kukurydzianych. Oświetlona nazwa głosiła: SKIQUEEN. Weszli po schodach i zapukali do drzwi 22B.

Bertram Rothberg powitał ich błyszczącymi oczyma i promiennym uśmiechem prześwitującym wśród bujnego siwego zarostu. Jego wielkie uszy przypominały żagle sterczące ze wzburzonego morza siwej czupryny. Ogromne ciało było przyodziane w czerwoną kraciatą koszulę i sztruksowe spodnie. Gdyby wziął w jedną rękę siekierę, a w drugą piłę, mógłby z powodzeniem uchodzić za drwala.

Uściskał im bez żadnych wstępów dłonie, jakby się znali od lat, a następnie zaprowadził wąskimi schodkami do ni to salonu, ni to pokoju stołowego o skośnym suficie ze świetlikami.

- Co powiecie na galon taniego burgunda przed kolacją? - zapytał z chytrym uśmiechem.

Lily zaśmiała się.

- Ja jestem za.

Giordino wzruszył ramionami.

- Piję wszystko, co jest mokre.

- A ty, Dirk?

- Brzmi nieźle.

Pitt nie zadał sobie trudu, aby zapytać Rothberga, skąd wie, jak każde z nich się nazywa. Zapewne od jego ojca. W każdym razie utrafił bezbłędnie z dopasowaniem imion do opisu. Pitt podejrzewał, że historyk musiał w którymś okresie swojego życia pracować dla jednej z wielu agencji wywiadowczych.

Rothberg udał się do kuchni, aby nalać wina. Lily poszła za nim.

- Czy mogę panu w czymś... - Urwała nagle, patrząc na puste półki i zimny piec.

Rothberg zauważył jej zaciekawione spojrzenie.

- Jestem podłym kucharzem, więc zamówiłem kolację w restauracji. Powinni ją przynieść koło ósmej. - Wrócił do pokoju i wskazał kanapę. - Proszę, usiądźcie wygodnie przy kominku.

Wręczył im kieliszki, a potem opuścił swoje wielkie ciało na skórzany fotel. Uniósł kieliszek.

- Za udane poszukiwania.

- Dziękujemy - powiedziała Lily.

Pitt od razu przystąpił do rzeczy:

- Ojciec mi mówił, że poświęciłeś całe życie sprawie Biblioteki Aleksandryjskiej.

- Trzydzieści dwa lata. Pewnie lepiej bym zrobił, gdybym się ożenił, zamiast gmerać po zakurzonych półkach z książkami i męczyć oczy nad rękopisami. Ten temat stał się dla mnie jak kochanka. Nigdy o nic nie pyta, nigdy niczego nie odmawia.

- Rozumiem to - powiedziała Lily.

Rothberg uśmiechnął się do niej.

- Cóż, jesteś przecież archeologiem...

Wstał i poruszył pogrzebaczem polana na kominku. Zadowolony, że płoną równo, usiadł i zaczął mówić dalej:

- Tak, Biblioteka była nie tylko dziełem sztuki architektonicznej, ale i wspaniałym cudem starożytnego świata, zawierającym ogromne zdobycze całych dawnych cywilizacji. - Rothberg mówił jak w transie, śledząc oczyma duszy cienie przeszłości. - Były tam wielkie dzieła sztuki i literatury Greków, Egipcjan, Rzymian, święte pisma Żydów, zbiory wiedzy i mądrości najbardziej utalentowanych ludzi, jakich znał świat, dzieła filozoficzne, zapisy utworów muzycznych o niewiarygodnym pięknie, dawne bestsellery, dzieła medyczne i przyrodnicze. Był to najdoskonalszy i najpełniejszy zbiór wiedzy i materiałów naukowych, jaki kiedykolwiek zgromadzono.

- Czy była otwarta dla publiczności? - spytał Giordino.

- Na pewno nie dla każdego żebraka z ulicy - odparł Rothberg. - Ale badacze i uczeni mogli swobodnie z niej korzystać, robić spisy, tłumaczyć, opracowywać i publikować swoje odkrycia. Biblioteka i przylegające do niej muzeum nie były jedynie depozytoriami. Księgozbiór aleksandryjski był pierwszą prawdziwą biblioteką podręczną w dzisiejszym rozumieniu, gdzie zbiory są usystematyzowane i skatalogowane.

Rothberg umilkł i spojrzał na kieliszki swoich gości.

- Al, ty się chyba jeszcze napijesz.

Giordino uśmiechnął się.

- Nigdy nie odmawiam domowego napitku.

- Lily, Dirk...?

- Ja swój ledwie napoczęłam - odparła Lily.

- A ja już dziękuję - rzekł Pitt kręcąc głową.

Rothberg napełnił kieliszek Ala i swój, po czym mówił dalej:

- Późniejsze imperia i narody zawdzięczają bardzo wiele Bibliotece Aleksandryjskiej. Mało instytucji naukowych może się poszczycić tak wielkimi osiągnięciami. Pliniusz, pisarz rzymski z pierwszego wieku, napisał tam pierwszą encyklopedię na świecie. Arystofanes, kierownik Biblioteki żyjący dwa stulecia przed Chrystusem, ułożył pierwszy słownik.

Kallimach, sławny pisarz i autorytet w dziedzinie greckiej tragedii, stworzył pierwsze „Who’s Who”, korzystając z jej zbiorów. Wielki matematyk Euklides napisał pierwszy ze znanych podręczników geometrii. Dionizjusz ułożył gramatykę w koherentny system i opublikował traktat „O zestawianiu wyrazów”, który stał się wzorcowym tekstem dla gramatyk wszystkich języków, pisanych i mówionych. Wszyscy ci ludzie - i tysiące innych - pracowali w Bibliotece nad swymi epokowymi osiągnięciami.

- Mówisz o niej jak o uniwersytecie - zauważył Pitt.

- Oczywiście. Biblioteka i muzeum były uważane za uniwersytet świata hellenistycznego. Ich ogromne gmachy zawierały także galerie obrazów, sale rzeźb, teatry, czytano w nich poezje i wykładano wszystko od astronomii po geologię. Były tam też dormitoria, sale jadalne, krużganki do kontemplacji, park zwierzęcy i ogród botaniczny. Sale biblioteki mieściły najprzeróżniejsze rodzaje ksiąg i rękopisów. Setki tysięcy dzieł spisanych na papirusie lub pergaminie, a potem zwiniętych w zwoje i umieszczonych w tubach z brązu.

- Jaka jest różnica między papirusem a pergaminem? - spytał Giordino.

- Papirus to roślina tropikalna. Egipcjanie robili materiał do pisania z jego łodyg. Pergamin, zwany również welinem, produkowano ze skór zwierzęcych, przede wszystkim z młodych cieląt, kozłat i jagniąt.

- Czy to możliwe, by przetrwały tyle wieków? - zapytał Pitt.

- Pergamin powinien być trwalszy od papirusu - odparł Rothberg. Spojrzał na Pitta. - Ale stan zbiorów bibliotecznych będzie zależał przede wszystkim od tego, gdzie zostały złożone. Zwoje papirusowe z egipskich grobowców są czytelne po trzech tysiącach lat.

- Dzięki gorącemu i suchemu powietrzu.

- Tak.

- A gdyby te zwoje zostały schowane gdzieś na północnym wybrzeżu Szwecji lub Rosji?

Rothberg pochylił głowę w zamyśleniu.

- Myślę, że podczas zimowych mrozów nic by im się nie stało, lecz w czasie letnich roztopów musiałyby zgnić z wilgoci.

Pitt już przewidywał katastrofę. Nadzieja na znalezienie nie naruszonych rękopisów wydała mu się jeszcze bardziej mglista.

Lily nie podzielała pesymizmu Pitta. Jej twarz płonęła z podniecenia.

- Gdybyś był na miejscu Juniusza Venatora - zwróciła się do Rothberga - jakie księgi próbowałbyś ocalić?

- Trudne pytanie - rzekł Rothberg. - Mogę jedynie zgadywać, że pewnie próbował ocalić wszystkie dzieła Sofoklesa, Eurypidesa, Arystotelesa i Platona. A także oczywiście Homera. Homer napisał dwadzieścia cztery księgi, lecz tylko bardzo nieliczne dotrwały do naszych czasów. Sądzę, że Venator chciałby ocalić również tyle z pięćdziesięciu tysięcy tomów historii greckiej, etruskiej, rzymskiej i egipskiej, ile tylko jego flota mogłaby unieść. Dla nas niebywale interesująca byłaby zwłaszcza historia egipska. Całe dziedziny egipskiej literatury, religii i nauki kompletnie są nam nie znane. Nie wiemy praktycznie nic o Etruskach, choć Klaudiusz opisał ich dzieje i jego dzieło musiało się znajdować na półkach Biblioteki. Z całą pewnością Venator wzięłby też dzieła dotyczące religii hebrajskiej i chrześcijańskiej, ich praw i tradycji. Rewelacje zawarte w tych zwojach mogłyby sprawić, że nowoczesnym biblistom spadłyby kaptcie z nóg ze zdumienia.

- A książki naukowe? - spytał Giordino.

- O tym nie trzeba nawet mówić.

- Nie zapominaj o kucharskich - powiedziała Lily.

Rothberg roześmiał się.

- Venator miał otwartą głowę. Chciał z pewnością ocalić dzieła dotyczące wszystkich dziedzin, włącznie z kulinarną. Dla każdego wedle jego zainteresowań.

- Zwłaszcza starożytne dane geologiczne - rzekł Pitt.

- Zwłaszcza one - zgodził się Rothberg.

- Czy zachowały się jakieś wiadomości o nim samym? - spytała Lily.

- O Venatorze?

- Tak.

- Był czołowym intelektualistą swoich czasów. Uczonym i nauczycielem, którego przeniesiono z wielkiego ośrodka naukowego w Atenach na stanowisko ostatniego z kuratorów Biblioteki Aleksandryjskiej. Był wielkim kronikarzem czasów, w których żył. Wiemy, że napisał ponad sto ksiąg zawierających uwagi społeczne i polityczne obejmujące cały znany ówczesnie świat - cztery tysiące lat wstecz. Ale żadna z tych ksiąg się nie zachowała.

- Archeolodzy mieliby nie lada frajdę, gdyby weszli w posiadanie tych danych - zauważyła Lily.

- Co jeszcze o nim wiemy? - dopytywał się Pitt.

- Niewiele. Venator miał mnóstwo uczniów, którzy stali się później znanymi uczonymi i pisarzami. Jeden z nich, Diokles z Antiochii, wspomina o nim w swoim eseju. Opisuje go jako śmiałego innowatora, który odważnie wkracza w dziedziny przez innych

omijane. Venator był chrześcijaninem, lecz widział w religii raczej naukę społeczną. Stało się to główną przyczyną nieporozumień pomiędzy nim a biskupem Aleksandrii Teofilesem. Teofilos twierdził, że muzeum i Biblioteka są wylęgarnią pogaństwa. W końcu udało mu się namówić cesarza Teodozjusza, gorliwego chrześcijanina, aby kazał je spalić. Przypuszczano, że w czasie zamieszek i zatargów między chrześcijanami a innowiercami Juniusz Venator został zamordowany przez fanatycznych zwolenników Teofilosa.

- Ale teraz już wiemy, że uciekł z najcenniejszymi dziełami - powiedziała Lily.

- Kiedy senator Pitt zadzwonił do mnie z wiadomością o waszym odkryciu na Grenlandii - rzekł Rothberg - czułem się jak zamiatacz ulic, który wygrał milion na loterii.

- Jak sądzisz, gdzie Venator mógł ukryć swój skarb? - zapytał Pitt.

Rothberg zastanawiał się przez dłuższą chwilę. W końcu rzekł cicho:

- Juniusz Venator nie był zwyczajnym człowiekiem. Chodził własnymi ścieżkami. Miał dostęp do ogromnej wiedzy. Zaplanował swój szlak w sposób naukowy, pozostawiając na los szczęścia jedynie nieznanne. Wysiłki jego nie poszły na marne, skoro przez szesnaście wieków skarb nie został znaleziony. - Historyk wzniosł ręce w geście poddania. - Nie wiem. To twardy orzech do zgryzienia.

- Jednak snujesz jakieś domysły - przyciskał Pitt.

Rothberg długo spoglądał na płomienie migocące na kominku.

- Jedno mogę powiedzieć: grób Venatora znajduje się tam, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać.



Aiegarek Ismaila wskazywał godzinę 7.58. Leżał rozplaszczony za małym świerczkiem i patrzył na domek wypoczynkowy. Z jednego z dwu kominów unosił się spiralą dym, a z wentylatorów pomieszczenia ogrzewczego wydostawała się para. Ismail wiedział, że Kamil lubiła wcześniej wstawać i była dobrą kucharką. Słusznie się domyślał, że już wstała i przygotowywała śniadanie dla swoich strażników.

Ismail był człowiekiem pustyni, nienawykłym do zimna. Najchętniej by wstał, pobił ramionami i potupał. Stopy bolały go, a palce rąk w rękawiczkach zdrętwiały. Chłód działał także na jego umysł i opóźniał reakcje. Ogarnął go lęk, że pokpi sprawę lub daremnie zginie. W decydującej fazie misji miał rozstrojone nerwy. W lęku i zdenerwowaniu zatracił zdolność podejmowania szybkich decyzji.

7.59. Jedno szybkie spojrzenie na furgonetkę tuż u wylotu drogi prywatnej. Co cztery godziny dwaj strażnicy siedzący w ciepłym domku zmieniali tych marznących w furgonetce. W każdej chwili z domku mogli teraz wyjść następni zmiennicy.

Ismail skierował uwagę na strażnika obchodzącego teren ubitą w śniegu ścieżką. Tamten wolno zbliżał się do świerczka Ismaila, wypuszczając z ust obłoczki pary i bez przerwy wypatrując oznak czegoś podejrzanego.

Rutyna i chłód nie osłabiły czujności agenta tajnej służby. Jak radar omiatał wzrokiem teren. Za niecałą minutę dostrzeże ślady stóp Ismaila na śniegu.

Ismail zaklął pod nosem i wcisnął się głębiej w śnieg. Wiedział, że jest zupełnie nie osłonięty. Igły świerkowe zakrywały go przed wzrokiem, lecz nie chroniły przed kulami.

8.00. Frontowe drzwi domku otworzyły się i wyszło z nich dwóch ludzi. Mieli na sobie wełniane czapki i puchowe kurtki narciarskie. Szli drogą rozmawiając cicho i uważnie obserwowali teren.

Ismail zamierzał zaczekać, aż dwaj zmieniający dojdą do furgonetki, i wtedy wyeliminować wszystkich czterech za jednym zamachem. Pomylił się jednak w swoich kalkulacjach i za wcześnie wysunął się na pozycję. Dwaj agenci byli zaledwie w połowie drogi, gdy trzeci, obchodzący teren, zauważył ślady Ismaila.

Zatrzymał się i uniósł radio do ust. Słowa jego przerwała seria strzałów z półautomatu Heckler-Koch MP5

Amatorski plan Ismaila zawiódł od samego początku. Zawodowiec sprzątnąłby agenta jednym strzałem półautomatu. Ismail przestębnował kurtkę agenta dziesięcioma seriami, a ze dwadzieścia poszło jeszcze w las.

Któryś z Arabów zaczął jak szalony rzucać granatami w furgonetkę, drugi szył w nią

pociskami. Przemysłany atak był dla większości tych terrorystów czymś niepojętym. Liczyli jedynie na swoją siłę i szczęście. Jeden z granatów wybił szybę i rozerwał się z głuchym łoskotem. Eksplozja ta w niczym nie przypominała efektów filmowych - zbiornik z paliwem nie rozerwał się jak ognista kula. Karoseria furgonetki wyrzuciła się tylko, jakby ktoś odpalił fajerwerk w blaszanej puszcze. Obaj agenci padli zabici.

Ogarnięci żądzą krwi dwaj napastnicy, obaj zaledwie dwudziestoletni, atakowali dalej rozbitą furgonetkę, póki nie wypróżnili magazynków, zamiast skoncentrować uwagę na dwóch agentach na drodze, którzy schronili się za drzewa. Tamci otworzyli ogień ze swoich uzi, kładąc Arabów trupem.

Wiedząc, że nie ocala swoich kolegów w furgonetce, agenci wycofali się do domku. Biegli zygzakami ostrzeliwując Ismaila, który ukrył się za wielkim omszałym głazem.

Cała strategia Ismaila wzięła w łeb.

Pozostałych dziesięciu ludzi z jego grupy miało na odgłos wystrzału Ismaila zaatakować tylne drzwi domku, ale stracili cenny czas brodząc po kolana w śniegu. Ich atak był spóźniony i znajdujący się w domku agenci skutecznie go odparli.

Jeden z Arabów przypadł pod północną ścianą domku. Wyciągnął zawleczkę granatu i rzucił nim w wielkie rozsuwane okno. Przeliczył się, ponieważ szyby były bardzo grube - granat się odbił i rozerwał go. Dwaj agenci wbiegli po schodkach i skoczyli we frontowe drzwi. Arabowie skierowali na nich ogień, trafiając jednego w plecy. Padł na podłogę zostawiając stopy za progiem, szybko więc wciągnięto go do środka i zatrzaśnięto drzwi. W tej samej chwili posypały się strzały i granat rozerwał drzwi na drzazgi.

Szyby rozsypały się w ulewie szkła, lecz grube ściany z bali oparły się natarciu. Agenci położyli trupem jeszcze dwóch ludzi Ismaila, ale reszta nadal atakowała, używając drzew i głazów jako osłony. Zbliżywszy się na dwadzieścia metrów, zaczęli rzucać granaty przez okna.

W domku jeden z agentów wepchnął brutalnie Halę Kamil do kominka. Właśnie przysuwał biurko, aby ją osłonić, kiedy grad kul wpadł przez okno i rykoszetując od półki nad kominkiem ugodził go w szyję i ramię. Hala nie widziała tego, ale usłyszała łoskot padającego na podłogę ciała.

Teraz zaczęły zbierać śmiertelne żniwo granaty. Z bliskiej odległości szrapnele są znacznie bardziej skuteczne w działaniu niż pojedyncze kule. Jedynym ratunkiem agentów mógł być silny i precyzyjny ogień. Nie liczyli się jednak z możliwością tak zmasowanego ataku i ich zapasy amunicji prawie się wyczerpały.

Już po pierwszych strzałach Ismaila agenci wezwali pomocy, ale mieli połączenie

radiowe jedynie z centralą w Denver i minęło dużo cennego czasu, nim powiadomiono miejscowego szeryfa i zgromadzono oddział policji.

W składziku eksplodował granat, zapalając puszkę rozcieńczalnika do farb, od którego z kolei zapalił się kanister z benzyną do skutera śnieżnego, i niebawem cała ściana domku stanęła w płomieniach.

Strzały ustały, gdy tylko ogień się rozprzestrzenił. Arabowie ostrożnie zacieśnili krąg wokół domku. Wszystkie ich karabiny były wymierzone w okna i drzwi. Czekali cierpliwie, aż ogień wypędzi ocalałych.

Tylko dwaj agenci jeszcze żyli. Reszta leżała w kałużach krwi wśród roztrzaskanych mebli. Ogień objął kuchnię, schody i zaczął się rozprzestrzeniać na sypialnie na piętrze. Był już teraz nie do ugaszenia. Dla pozostałych przy życiu na parterze żar z wolna stawał się nie do zniesienia.

W dolinie od strony miasta rozległ się odgłos syren i zaczął się przybliżać.

Jeden z agentów odepchnął biurko osłaniające Halę w kominku i poprowadził ją na czworakach do niskiego okna.

- Już jedzie miejscowa policja - rzekł szybko. - Gdy tylko odwrócą uwagę terrorystów, będziemy uciekać, żeby się tu nie usmażyć.

Hala mogła tylko kiwnąć głową. Ledwie go słyszała. Od huku granatów bolały ją uszy. Oczy jej łzawiły, do ust i nosa przyciskała chustkę, żeby się nie udusić gęstniejącym dymem.

Na zewnątrz Ismail leżał na płask w śniegu i ścisnął w mękach niezdecydowania automatyczny karabinek. Domek przemienił się w piekło ognia. Z okien wylewał się dym i płomień. Każdy, kto się znajdował wewnątrz, musiał w ciągu najbliższych sekund wyskoczyć lub spłonąć żywcem.

Ale Ismail nie mógł czekać. Widział już między drzewami błękitne i czerwone błyski samochodu szeryfa.

Z jego dwunastoosobowej grupy uderzeniowej pozostało razem z nim siedmiu. Rannych należało raczej dobić, niż pozwolić, aby przesłuchał ich amerykański wywiad. Krzyknął na swoich ludzi i szybko wycofali się ku autostradzie.

Policyjny samochód zatrzymał się u wylotu prywatnej drogi, blokując ją w poprzek. Podczas gdy jeden z policjantów mówił do mikrofonu, drugi ostrożnie otworzył drzwi, przyglądając się furgonetce i płonącemu domkowi. W rękę miał gotowy do strzału rewolwer. Przyjechali tutaj, aby zrobić rozeznanie, zameldować co się dzieje i zaczekać na wsparcie.

Była to roztropna taktyka, nie mogła jednak niestety okazać się skuteczna wobec niewidocznego oddziału terrorystów, którzy nagle otworzyli ogień i roznieśli w puch samochód patrolowy, zanim policjanci mieli czas zareagować.

Na znak jednego z agentów Hala wyskoczyła przez okno. Za nią ruszyli obaj agenci i podtrzymując ją z obu stron zaczęli biec na przełaj ku autostradzie, potykając się w głębokim śniegu.

Ledwie przebiegli może trzydzieści kroków, gdy zauważył ich jeden z ludzi Ismaila i wszczął alarm. Z drzew posypały się na uciekających ścinane kulami gałązki. Jeden z agentów wyrzucił nagle w górę ramiona, przebiegł potykając się kilka kroków i padł twarzą w śnieg.

- Chcą nas odciąć od autostrady! - krzyknął drugi. - Biegnij dalej. Ja zostanę i postaram się ich zatrzymać.

Hala chciała coś powiedzieć, lecz agent obrócił ją i niezbyt grzecznie pchnął.

- Biegnij, cholera jasna, biegnij! - wrzasnął.

Zrozumiał jednak, że jest już za późno. Nie mieli żadnych szans. Ruszyli w złym kierunku i zmierzali ku dwóm mercedesom zaparkowanym w lesie przy autostradzie. Agent zdał sobie sprawę, że samochody należą do terrorystów. Nie miał wyboru. Jeżeli nie może powstrzymać pościgu, to przynajmniej opóźni go o tyle, by Hala mogła zatrzymać jakiś przejeżdżający samochód. Ruszył na Arabów z palcem na cynglu swojego uzi, wywrzaskując wszystkie plugawe wyzwiska, jakie znał.

Ismail i jego ludzie na chwilę zamarli w bezruchu, widząc szarżującego demona. Przez parę sekund wahali się, a potem skierowali na dzielnego agenta tajnej służby ogień z automatów i ścięli go w pół skoku.

Lecz zanim to uczynili, on skosił trzech z nich.

Hala też zobaczyła samochody. Widziała również, że terroryści rzucili się ku nim. Za sobą słyszała grmiącą kanonadę. Krztusząc się i z trudem chwytając ustami powietrze, z przysmalonymi włosami i ubraniem, wpadła w płytki rów i wdrapała się na jego drugą stronę, po czym upadła na twardą powierzchnię.

Uniosła lekko głowę i zobaczyła czerń asfaltu. Dźwignęła się na nogi i zaczęła biec czując, że tylko trochę opóźnia nieuniknione, wiedząc z ponurą pewnością, że za kilka minut padnie bez życia.

Cord toczył się majestatycznie autostradą z Breckenridge, lśniąc w porannym słońcu chromem i lakierem. Narciarze zmierzający ku wyciągom machali im rękami widząc eleganckiego sześćdziesięcioletnia przemykającego obok. Giordino drzemał w zamkniętej tylnej części, Lily zaś siedziała na odsłoniętym siedzeniu obok Pitta.

Pitt obudził się tego ranka w nastroju buntu. Nie widział żadnego powodu, aby jeździć na wypożyczonych nartach, skoro jego własne amerykańskie oliny 921 stały w garażu zaledwie trzy mile od hotelu. Mógł pojechać do rodzinnego domku wypoczynkowego, wziąć sprzęt i siąść na krzeselku wyciągu, tracąc zaledwie połowę czasu potrzebnego na wyczekiwanie w kolejce do wypożyczalni.

Zlekceważył więc niejasne ostrzeżenie ojca, by trzymał się z dala od domku. Uznał je za biurokratyczną przesadę. Senator mógłby z równym skutkiem powiedzieć Hulkowi Hoganowi, aby nastawił drugi policzek, kiedy przeciwnik kopnie go w jądra.

- Kto wystrzeliwuje fajerwerki o tak wczesnej porze? - zastanawiała się głośno Lily.

- To nie fajerwerki - rzekł Pitt nasłuchując ostrych trzasków karabinowych wystrzałów i łoskotu wybuchających granatów, które odbijały się echem od górskich zboczy. - Raczej wygląda na atak ogniowy piechoty.

- To z tego lasu przed nami - wskazała palcem. - Po prawej stronie drogi.

Zmarszczki wokół oczu Pitta pogłębiły się. Zwiększył prędkość i zastukał w szybę. Giordino ocknął się i opuścił ją.

- Zbudziłeś mnie, kiedy się właśnie miała zacząć orgia - rzekł ziewając.

- Posłuchaj - powiedział Pitt.

Giordino skrzywił się, gdy do wnętrza wpadło mroźne powietrze. Przyłożył dłonie do uszu. Z wolna na jego twarz wypłynął wyraz zdumienia.

- Czyżby wylądowali Rosjanie?

- Spójrzcie! - krzyknęła Lily z podnieceniem w głosie. - Las się pali!

Giordino przyjrzał się szybko czarnym kłębowi dymu przetkanego słupami ognia.

- Zbyt skoncentrowany - stwierdził krótko. - Moim zdaniem to jakaś płonąca budowla, zapewne dom.

Pitt wiedział, że Giordino się nie myli. Zaklął i uderzył pięścią w kierownicę, mając bolesną pewność, że ten rosnący grzyb dymu i ognia bucha z domku należącego do jego rodziny.

- Lepiej się nie zatrzymywać, żeby nie napytać sobie biedy - rzekł. - Przejedziemy obok i sprawdzimy, co się dzieje. Al, chodź tu do mnie. A ty, Lily, usiądź z tyłu i schowaj

głowę. Nie chcę, aby ci się coś stało.

- A mnie może się stać? - spytał Giordino z pełnym rezygnacji oburzeniem. - Czy ja nie zasługuję na odrobinę troski? Wyjaśnij mi, czemu powinienem siedzieć tam z tobą i się narażać?

- Aby ochraniać twojego wiernego szofera od złego i brzydkich zbrodniarzy.

- To stanowczo niewystarczający argument.

Pitt spróbował więc innego:

- Jest jeszcze sprawa tych pięćdziesięciu dolarów, które od ciebie pożyczyłem w Panamie i dotychczas nie oddałem.

- Plus odsetki.

- Plus odsetki - zgodził się Pitt.

- Czego bym nie zrobił dla ochrony mych nędznych dochodów. - Brzmiało to niemal prawdziwie, kiedy Giordino gramolił się przez okienko, aby zamienić się miejscami z Lily.

Nieco dalej na szosie, jakieś pół mili przed drogą do domku, ludzie zatrzymywali się i chowali za samochody, wpatrując się z przerażeniem w dym i nasłuchując strzałów z automatów. Pitt dziwił się, że policja jeszcze nie przybyła. Nagle zobaczył podziurawiony kulami wóz patrolowy blokujący wylot drogi do domku.

Kiedy patrzył na prawą stronę szosy i piekło ognia za drzewami, dostrzegł kątem oka jakąś niewyraźną sylwetkę na trasie corda.

Wdepnął z całej siły na hamulec i skręcił kierownicę w prawo, wprowadzając corda w boczny poślizg, pod kątem 90 stopni do kierunku jazdy. Wąskie opony zapiszczały ostro. Cord zatrzymał się bokiem, blokując szosę w obu kierunkach, od strony kierowcy zaledwie o metr od stojącej na szosie kobiety.

Serce Pitta biło z podwójną częstotliwością. Wypuścił powietrze z płuc i spojrzał na kobietę, której o mało nie zabił. Zobaczył, jak lęk w jej oczach z wolna przechodzi w zdumienie.

- To pan! - wydusiła z siebie. - Czy to naprawdę pan?

Pitt patrzył na nią tępo.

- Pani Kamil?

- Wierzę w *deja vu* - wymamrotał Giordino. - Wierzę, wierzę, wierzę...

- Chwała Bogu - wyszeptała. - Niech mnie pan ratuje. Wszyscy zginęli. Oni mnie ścigają i chcą zabić.

Pitt wyskoczył zza kierownicy, a z pomieszczenia dla pasażerów wyszła Lily. Pomogli Hali wsiąść do samochodu.

- Kim są ci „oni”? - spytał Pitt.

- Płatni mordercy Yazida. Zamordowali tajnych agentów, którzy mnie strzegli. Musimy szybko uciekać. Będą tu lada chwila.

- Proszę się uspokoić - powiedziała Lily, zauważając dopiero teraz poczerwioną skórę Hali i jej osmalone włosy. - Zawieziemy panią do szpitala.

- Nie ma chwili do stracenia - powiedziała ciężko dysząc Hala i wskazała drżącą ręką za okno. - Spieszcie się, bo i was pozabijają.

Pitt obejrzał się i zobaczył, jak z lasu wypadają na szosę dwa czarne mercedesy. Natychmiast znalazł się za kierownicą. Wrzucił pierwszy bieg i wcisnął gaz do deski. Skreślił kierownicę i skierował corda w jedyną możliwą stronę - z powrotem ku śródmieściu Breckenridge.

Rzucił okiem w lusterko wsteczne zamontowane na kole zapasowym z boku samochodu. Odległość między cordem a samochodami terrorystów wynosiła najwyżej trzysta metrów. Ten krótki rzut oka musiał mu wystarczyć. Trafione kulą lusterko rozpadło się na kawałeczki.

- Na podłogę! - wrzasnął do dwóch kobiet w tyle samochodu.

Cord nie miał tunelu wału napędowego, więc obie kobiety mogły przywrzeć do płaskiej podłogi. Hala patrzyła na Lily i trzęsła się nieopanowanie. Lily objęła ją ramieniem i dzielnie się uśmiechnęła.

- Nie ma się co bać - powiedziała pokrzepiająco. - Gdy tylko wjedziemy do miasta, będziemy bezpieczni.

- Nie - odparła Hala. - Nigdzie nie będziemy bezpieczni.

Giordino kulił się na przednim siedzeniu, próbując znaleźć osłonę przed kulami i mroźnym wiatrem gwizdzącym wokół szyby.

- Jak szybko to potrafi jechać? - spytał od niechcienia.

- Największa szybkość, jaką L-29 kiedykolwiek osiągnął, wynosi siedemdziesiąt siedem - odparł Pitt.

- Mil czy kilometrów?

- Mil.

- Mam przygnębiające wrażenie, że jesteśmy gorsi od nich o klasę - wrzasnął Giordino do ucha Pitta, usiłując przekrzyknąć wycie drugiego biegu corda.

- Z czym się ścigamy?

Giordino odwrócił się, pochylił nad drzwiczkami i spojrzał ostrożnie za siebie.

- Trudno zgadnąć, jaki to model mercedesa, ale ci dranie jadą chyba modelami SDL

- Dieslami?

- Tak, w dodatku z turbodoładowaniem. Takie coś osiąga prędkość 220 kilometrów na godzinę.

- Są już blisko?

- Cholernie blisko - odparł Giordino pośpiesznie. - Załatwią nas, zanim dojedziemy do miejsca, gdzie tutejszy szeryf pija kawę.

Pitt wcisnął pedał sprzęgła, chwycił za dźwignię biegów i wrzucił trójkę.

- Lepiej wiejmy. Ci żądni krwi dranie zdolni są wystrzelać nawet setkę niewinnych ludzi, żeby tylko załatwić panią sekretarz.

Giordino znowu spojrzął w tył.

- Chyba już widać białka ich oczu.

Ismail zaklął głośno, bo mu się zaciął automat. Z wściekłością cisnął go na szosę i wyrwał drugi z rąk jednego ze swych ludzi siedzących na tylnym siedzeniu. Wychylił się przez okno i puścił serię w corda. Lufa wypluła tylko pięć kul i magazynek się skończył. Ismail znów zaklął, poszukał w kieszeni drugiego i założył.

- Nie podniecaj się - rzekł spokojnie kierowca. - Jeszcze kilometr i dogonimy ich. Ja ich zajadę z lewej strony, a Omar i jego ludzie z prawej. Weźmiemy ich w krzyżowy ogień.

- Chcę zabić tego chłystka, który się wtrąca w nie swoje sprawy - warknął Ismail.

- Będziesz miał okazję to zrobić. Cierpliwości.

Zupełnie jak rozkapryszone dziecko, któremu czegoś odmówiono, Ismail opadł nachmurzony na siedzenie i patrzył mściwie na uciekający samochód.

Należał do najgorszego rodzaju zabójców. Nie miał żadnych skrupułów. Mógłby fetować nawet wysadzenie w powietrze wydziału połączniczego. Najlepsi terroryści starannie planowali swoje akcje i robili wszystko, aby umknąć niepotrzebnych ofiar. Ismail nigdy nie liczył trupów i nie planował akcji, i zdarzyło mu się parę razy sprzątnąć nie tych ludzi, co trzeba, a to czyniło takiego jak on fanatyka tym bardziej niebezpiecznym. Nieobliczalny jak rekin, uderzał bezlitośnie w każdą niewinną ofiarę, która miała nieszczęście stanąć mu na drodze. Usprawiedliwiał to krwawe żniwo tym, że zabijał z pobudek religijnych, ale w innym miejscu i czasie byłby po prostu okrutnym mordercą, który zostawia za sobą usiany trupami szlak mogący przyprawić o mdłości Johna Dillingera oraz Bonnie i Clyde. Siedział skulony, głąskał automat jak żywą istotę i czekał na chwilę, kiedy będzie mógł posłać przez cienkie ścianki starego samochodu śmierniczą serię w ciało człowieka, który wyrwał mu z rąk ofiarę.



- Pewnie oszczędzają amunicję - rzekł Giordino z ulgą.

- Tylko do czasu, kiedy zrównają się z nami i nie będą mogli chybić - odparł Pitt. Oczywiście śledził drogę, ale w myślach wciąż szukał jakiegoś sposobu ratunku.

- Królestwo za rakiетnicę - powiedział nagle Giordino.

- Kiedy dziś rano wsiadałem do samochodu, kopnąłem coś niechcący pod siedzenie. Giordino schylił się i pomacał podłogę pod siedzeniem Pitta. Ręka trafiła na jakiś zimny twardy przedmiot.

- To tylko klucz oczkowy - obwieścił ponuro. - Tyle z niego pożytku, co z kawałka kości.

- Tu jest taka polna droga wiodąca na szczyt, gdzie kończą się wyciągi. Czasem jeżdżą nią jeepy z ekwipunkiem i sprzętem konserwacyjnym. Może zgubimy ich w lesie albo w jakimś wąwozie. Jeżeli będziemy trzymali się szosy, to po nas.

- Daleko stąd ta droga?

- Zaraz za następnym zakretem.

- Uda się nam?

- Skąd mogę wiedzieć?

Giordino obejrzał się po raz trzeci.

- Siedemdziesiąt pięć metrów.

- Blisko, za blisko - rzekł Pitt. - Musimy ich trochę przystopować.

- Mógłbym pokazać im swoją szpetną twarz i zrobić parę obscenicznych gestów.

- To by ich tylko rozwścieczyło. Musimy zastosować pierwszy plan.

- Nie byłem na odprawie - rzekł z sarkazmem Giordino.

- Potrafisz celnie rzucać?

Giordino kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Jedź tym gruchotem prosto przed siebie, a dzielny Giordino powstrzyma napastników.

Odkryty samochód stanowił świetną platformę. Giordino ukląkł na siedzeniu tyłem do kierunku jazdy, z głową i ramionami wystającymi nad złożonym dachem. Namierzył cel, zamachnął się ramieniem i cisnął wysokim łukiem klucz oczkowy w pierwszego mercedesa.

W pierwszej chwili pomyślał, że nie dorzucił, bo klucz spadł na maskę samochodu - jednak odbił się od niej i uderzył w szybę.

Kierujący mercedesem Arab widział, jak Giordino zamierza się kluczem. Miał szybki refleks, ale nie dość szybki. Wcisnął pedał hamulca i skręcił kierownicę, żeby ominąć klucz, lecz w tej samej chwili szybka rozprysła się na tysiące kawałeczków, które trysnęły mu w

twarz. Klucz odbił się od kierownicy i upadł na kolana Ismaila.

Kierowca drugiego mercedesa jechał tuż za samochodem Ismaila i nie widział szybującego w powietrzu klucza. Był kompletnie zaskoczony, gdy przed oczyma zabłyśły mu czerwone światła. Zdążył tylko wytrzeszczyć oczy, nim wyrzwał swoim samochodem w pierwszego mercedesa, który zatoczył młynka i stanął tyłem do kierunku jazdy.

- Czy o to ci chodziło? - spytał Giordino.

- Najdokładniej. Trzymaj się, zbliżamy się do zakrętu. - Pitt zwolnił i skręcił w wąską drogę wiodącą zakosami w górę zbocza.

Ośmiocylindrowy silnik o mocy 115 koni mechanicznych ciągnął z wyciem ciężki samochód po śliskiej nierównej powierzchni. Sztywne sprężyny podwozia rzucały nimi jak piłkami tenisowymi w pralce automatycznej, kiedy lżejszy tył samochodu zarzucało to w lewo, to w prawo. Pitt kompensował to lekkimi ruchami kierownicy i pedału gazu, starając się, aby długa maska wciąż znajdowała się pośrodku drogi.

Lily i Hala wstały z podłogi, usiadły i z całych sił uczepiły się uchwyty nad głową.

W sześć minut później pozostawili las za sobą. Droga biegła teraz wśród stromych zboczy, głębokiego śniegu i głazów. Pitt zamierzał początkowo porzucić corda i korzystając z osłony lasu i głazów uciekać na piechotę, ale uniemożliwiła to głębokość śniegu na tej wysokości. Nie pozostało im nic innego, jak starać się dotrzeć na szczyt i korzystając z przewagi czasu zjechać wyciągiem krzeselkowym do miasta i zgubić się w tłumie.

- Woda w chłodnicy się zagotowała - zauważył Giordino.

Pitt nie musiał patrzeć na parę dobywającą się spod zakrętki chłodnicy, dawno już widział, jak wskazówka temperatury silnika przechyliła się na pole oznaczone napisem: GORĄCY.

- Silnik przeszedł remont generalny - wyjaśnił. - Za bardzo go wyżyłowałem przed dotarciem.

- Co zrobimy, kiedy droga się skończy? - spytał Giordino.

- Plan numer dwa - odrzekł Pitt. - Zjedziemy sobie na dół wyciągiem krzeselkowym i udamy się do najbliższego baru.

- Lubię twój styl, ale wojna jeszcze nie skończona. - Giordino wskazał głową w tył. - Są już nasi przyjaciele.

Pitt był zbyt zajęty, aby obserwować ścigających, którzy pozbierali się po wypadku i ruszyli pod górę za cordem. Zanim zdążył się obejrzeć, kule strzaskały tylną szybę między głowami Lily i Hali i pozostawiły trzy małe otwory w przedniej szybie. Kobiety już nie czekały na rozkaz położenia się na podłodze. Tym razem mało się w nią nie wtopiły.

- Chyba są wściekli o ten klucz - rzekł Giordino.

- Ani w połowie tak jak ja, że niszczą mi samochód.

Pitt wziął ostry zakręt, a kiedy wyjechał znów na prostą, obrócił się i szybko spojrzął na ścigające go samochody. Nie uradował go ten widok.

Mercedesy zarzucały tyłami na pokrytej śniegiem drodze. Ich większą szybkość częściowo kompensował przedni napęd corda. Pitt oddalał się od nich na ostrych zakrętach, ale na prostej Arabowie niebezpiecznie się zbliżali.

Widział przez chwilę kierowcę pierwszego mercedesa, jak kręci kołem kierownicy niczym wariat i buksuje tylnymi kołami. Na każdym zakręcie był o włos od utknięcia w głębokiej zaspie.

Pitt dziwił się, że mercedesy nie miały opon przeciwśnieżnych. Nie wiedział, że Arabowie przyjechali nimi z Meksyku, aby zatrzeć za sobą ślady, i nie przewidywali dłuższego ich użytkowania. Zarejestrowane na nie istniejącą firmę tekstylną w Matamoros, miały po zamordowaniu Hali zostać porzucone na lotnisku w Breckenridge.

Sprawa wyglądała bardzo kiepsko. Mercedesy przybliżyły się nieubłagane. Były zaledwie pięćdziesiąt metrów w tyle. Pitt zauważył, że jeden z Arabów wystawił lufę automatu przez rozbite okno.

- Uwaga! - wrzasnął zsuwając się jak mógł najniżej pod kierownicę. Oczy miał tuż nad deską rozdzielczą. - Wszyscy na dół!

Zaledwie powiedział te słowa, gdy kule zaczęły łomotać w karoserię corda. Jedna seria oderwała koła zapasowe zamontowane na prawym błotniku. Następna rozdarła dach szarpiąc na strzępy skórzane obicia i rwąc blachę pod nim.

Pitt próbował opuścić się jeszcze niżej, gdy cała lewa strona samochodu została rozpruta jak zaatakowana przez armię kluczy do otwierania puszek. Drzwi otworzyły się i przez jedną chwilę wisiały, zanim odpadły, kiedy cord otarł się o drzewo. Fragmenty szkła posypały się jak deszcz. Jedna z kobiet wrzasnęła - Pitt nie wiedział, która. Spostrzegł krople krwi na szybie. Kula rozszarpała ucho Giordina, lecz dzielny Włoch nie wydał nawet jęku.

Giordino ze spokojem zbadał ranę, jakby należała do kogoś innego. Przechylił potem głowę i uśmiechnął się półgębkiem do Pitta.

- Zdaje się, że mi wycieka wczorajsze wino.

- Mocno?

- Nie takiego, czego chirurg plastyczny nie mógłby nareperować za jakieś dwa tysiące dolarów. Co z kobietami?

- Lily! - wrzasnął Pitt nie odwracając głowy. - Nic wam się nie stało?

- Mamy tylko drobne draśnięcia rozbitym szkłem - odparła mężnie Lily. - Poza tym nic nam nie jest. - Była wystraszona, ale daleka od paniki.

Para z chłodnicy corda buchała coraz większym strumieniem. Pitt czuł, że silnik zaczyna tracić obroty. Jak dżokej jadący na zmęczonej szkapie na pastwisko, starał się wydusić z samochodu resztki sił.

Skoncentrował uwagę na ostatnim zakręcie przed wierzchołkiem, ale nie zdołał zmylić pogoni. Trzymała się jego tylnego zderzaka niczym przykuta łańcuchem.

W proteście przeciwko przegrzaniu i przeciążeniu silnik zaczął grzechotać. Następna seria z automatu przedziurawiła lewy tylny błotnik i oponę. Pitt trzymał z całej siły koło kierownicy, żeby samochód nie zarzucił tyłem w bok i nie zleciał na dół po stromym zboczu, w dodatku najeżonym głazami.

Cord kończył się. Z otworów w masce zaczął się wydobywać złowróżbny niebieskawy dymek. Skała, której Pitt nie mógł ominąć, rozdarła miskę olejową. Wskazówka ciśnienia oleju stanęła na zerze. Z każdym obrotem wału korbowego malała szansa na dotarcie na wierzchołek góry.

Nie widział żadnego miejsca, które by się nadawało na rozpaczliwą ucieczkę na piechotę. Wpadli w pułapkę wąskiej drogi między stromym zboczem z jednej strony a urwistym stokiem z drugiej. Mogli tylko jechać dalej, póki silnik corda się nie zatrze.

Pitt wcisnął pedał gazu do podłogi i zmówił szybką modlitwę.

Nie do wiary, lecz silnik steranego starego samochodu mógł jeszcze dać coś z siebie. Zupełnie jakby miał duszę. Obroty nagle się zwiększyły, przednie opony wgryzły się w śnieg i cord ruszył dziarsko na ostatnie wzniesienie. W minutę później, wlokąc za sobą chmurę niebieskiego dymu i biały obłok pary, wypadł na szczyt nartostrady.

Niecałe sto metrów dalej stał górny słup wyciągu krzeselkowego. Pittowi wydało się dziwne, że nikt nie zjeżdża zboczem tuż koło corda. Ludzie zeskakiwali z krzesełek, kierowali się na przeciwległą stronę wyciągu i zjeżdżali równoległą trasą.

Potem zauważył, że jego część zbrocza jest odgrodzona sznurem. Na sznurze z jasnopomarańczowymi wstążkami wisiało kilka tabliczek ostrzegających, że ta nartostrada jest niebezpieczna z powodu oblodzenia.

- Koniec drogi - powiedział z powagą Giordino.

Pitt kiwnął głową.

- Nie możemy biec do wyciągu. Zastrzelą nas, nim przebiegniemy dziesięć metrów.

- Mamy więc do wyboru albo się poddać, albo walczyć z nimi śnieżkami.

- Albo zdecydować się na plan trzeci.

Giordino spojrział na Pitta z zaciekawieniem.

- Chyba nie może być gorszy od pierwszych dwu. - Potem oczy mu się rozszerzyły i jęknął: - Chyba nie zamierzasz... O Boże, nie!

Mercedesy były już niemal na wyciągnięcie ręki. Jechały obok siebie chcąc wziąć corda w dwa ognie, gdy Pitt skręcił kierownicę i pomknęli nartostradą w dół.

- Niech nam Allah dopomoże - mruknął kierowca Ismaila. - Przeklęci idioci. Nie zatrzymamy ich.

- Jedź za nimi! - wrzasnęła histerycznie Ismail. - Nie daj im uciec.

- I tak zginą. Nikt nie przeżyje takiej jazdy.

Ismail obrócił się i przytknął lufę automatu do ucha kierowcy.

- Musisz dogonić te świnię - warknął wściekle. - Albo zobaczysz Allacha wcześniej, niż zamierzałeś.

Kierowca zawahał się widząc, że tak czy owak czeka go śmierć. W końcu ustąpił i skierował mercedesa za pędzącym w dół cordem.

- Niech mnie Allah prowadzi - rzekł ogarnięty strachem.

Ismail cofnął automat i wskazał nim przed siebie.

- Milcz i zajmij się kierowaniem.

Jadący drugim mercedesem terroryści Ismaila nie zawahali się ani na chwilę. Ruszyli karnie za swoim przywódcą.

Cord pędził po ubitym śniegu jak pociąg towarowy, który się wyrwał spod wszelkiej kontroli, coraz bardziej zwiększając szybkość. Nie było jak zmniejszyć prędkości ciężkiego samochodu. Pitt leciuteńko poruszał kierownicą i dotykał pedału hamulca najdelikatniej jak umiał, by nie zablokować kół i nie wprawić corda w niekontrolowany poślizg. Boczny poślizg na stromym zboczu mógł spowodować przewrócenie się samochodu i sturlanie na sam dół.

- Dobrze by było chyba zapiąć teraz pasy - rzekł Giordino, siedząc ze stopami zapartymi w deskę rozdzielczą.

Pitt pokręcił głową.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym jeszcze nie było dodatkowego wyposażenia.

Kiedy podziurawiona kulami opona spadła z obręczy tylnego koła, Pitt uznał to za łut szczęścia. Ostre krawędzie obręczy dawały jakieś takie oparcie, gdy wjeżdżali na oblodzoną część zbocza, wzbijając chmury cząsteczek pokruszonego lodu.

Szybkościomierz wskazywał sześćdziesiąt mil na godzinę, kiedy Pitt ujrzał przed sobą odcinek trasy z muldami. Wytrawni narciarze bardzo lubili tego rodzaju przeszkody. Lubił je również Pitt szusując na nartach, ale nie tym razem, gdy pędził na dół w ciężkim, ważącym 2120 kilogramów samochodzie.

Zręcznym ruchem łagodnie skierował corda na skraj nartostrady, gdzie było gładko. Tuż obok ciągnął się pas drzew. Podświadomie przygotował się na najgorsze. Gdyby

popęłił najmniejszy błąd, skończyłoby się to dla nich krwawą katastrofą - samochód uderzyłby w najbliższe drzewo, miażdżąc wszystkich.

Uderzenie jednak nie nastąpiło. Cord jakoś zdołał zmieścić się w wąskiej szczelinie między muldami a drzewami.

Znalazłszy się znów na szerokiej gładkiej trasie, Pitt obejrzał się za siebie, aby zobaczyć, jak sobie radzą ścigający.

Kierowca pierwszego mercedesa był mądrzejszy. Jadąc po śladach corda ominął muldy. Drugi kierowca albo ich nie widział, albo nie uznał ich za niebezpieczne. Za późno zdał sobie sprawę ze swej pomyłki i chciał ją naprawić rzucając mercedesem na boki dla ominięcia wysokich na metr muld.

Udało mu się w ten sposób wyminąć trzy czy cztery, ale na następną najechał wprost. Przód samochodu zarył się w śnieg, a tył uniósł i zawisnął pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Mercedes na chwilę zastygł w tej pozycji, po czym zaczął koziółkować w dół. Uderzał w twarde, zbity śnieg raz za razem, z rozdzierającym uszy zgrzytem gnieczonego metalu i pękającego szkła.

Znajdujący się w nim ludzie mogliby ocaleć, gdyby ich wyrzuciło na zewnątrz, ale liczne wstrząsy i uderzenia zablokowały drzwi. Samochód zaczął się rozpadać. Pierwszy - jako najcięższy - oderwał się silnik i poturlał w las. Koła, przednie zawieszenie, tylny most - wszystko to poodrywało się od mercedesa i powirowało w szalonych podskokach w dół.

Pitt nie miał czasu patrzeć, jak samochód terrorystów robi młynki i zmienia w bezkształtną masę, zatrzymując się w końcu na zgniecionym dachu w jakimś żlebie.

- Czy to nie będzie nietaktowne - rzekł Giordino po raz pierwszy, odkąd ruszyli w dół nartostradą - jeżeli powiem, że o jednego mniej?

- Wolałbym, abyś nie używał tego rodzaju określeń - mruknął Pitt przez zaciśnięte zęby. - Zaraz może być znacznie gorzej. - Oderwał na chwilę rękę od kierownicy i wskazał przed siebie.

Giordino zeszywniał ujrawszy, że zbliżają się do miejsca, gdzie nartostrada łączy się z inną drogą, zapełnioną teraz narciarzami i urlopowiczami. Zerwał się na nogi i przytrzymując się resztek ramy przedniej szyby zaczął wrzeszczeć i machać ręką jak szalony, Pitt zaś nie zdejmował dłoni z przycisku klaksonu.

Zdumieni narciarze oglądali się i z przerażeniem spostrzegali dwa samochody pędzące nartostradą. W ostatniej sekundzie zjeżdżali na bok i wytrzeszczali oczy najpierw na corda, potem na jadącego tuż za nim mercedesa.

Obok trasy ukazał się nagle rozbieg skoczni narciarskiej opadający sto metrów w dół.

Pitt ledwie miał czas dostrzec zaśnieżoną rampę, która zlewała się ze zboczem. Bez wahania skierował corda na początek rozbiegu.

- Chyba nie chcesz... - wybełkotał Giordino.

- Plan czwarty - uspokoił go Pitt. - Trzymaj się. Mogę stracić panowanie nad kierownicą.

- Sądziłem, że dawno już straciłeś.

Skocznia ta, dużo mniejsza niż inne, budowane do zawodów olimpijskich, była wykorzystywana do lokalnych akrobatycznych popisów. Rampa była dość szeroka, aby zmieścić corda, i jeszcze zostawało na niej dużo miejsca. Ciągnęła się ze trzydzieści metrów i kończyła progiem na wysokości dwudziestu metrów nad ziemią.

Pitt skierował się na bramkę startową, zasłaniając szeroką karoserią corda samą skocznię, aby jej nie dostrzeżono z mercedesa.

W ostatnim momencie, zanim przednie koła przetoczyły się przez linię startu, Pitt przekręcił kierownicę, powodując zarzucenie tyłem w bok i odskok samochodu od rampy rozbiegu. Kierowca Ismaila skręcił, aby uniknąć zderzenia, i wjechał prosto przez bramkę startową na rozbieg skoczni.

Kiedy Pitt mocował się z kierownicą, aby wyprowadzić corda z powrotem na prostą drogę, Giordino obejrzał się na mercedesa i dojrzał twarze, na których malowało się przerażenie i wściekłość. Samochód pomknął w dół po stromym rozbiegu.

Musiał mieć prędkość ze 120 kilometrów na godzinę, kiedy oderwał się od progu. Wyrzucony ogromnym rozpędem, mknął długo w powietrzu, nim opadł w dół i z niewiarygodną siłą uderzył czterema kołami w ubity śnieg. Jak na zwolnionym filmie odbił się i poszybował na wysoką sosnę, rozbijając się o gruby pień. Powietrze rozdarł zgrzyt giętego metalu, gdy karoseria owijała się wokół pnia, aż przedni i tylny zderzak spotkały się ze sobą. Samochód przypominał podkowę rzuconą na stalowy kołek. Szkło sypnęło się niczym konfetti, a ludzkie ciała wewnątrz zostały zgniecione jak muchy pod packą.

Giordino pokręcił głową ze zgrozą.

- To najpaskudniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Zobaczysz jeszcze inne - rzekł Pitt.

Wyprowadził jakoś corda z poślizgu, ale samochód nie zwolnił ani trochę. Hamulce spaliły się już w połowie stoku, drążek kierownicy był zgięty i ledwo się trzymał. Pozbawiony hamulców cord podązał prosto do wypożyczalni sprzętu narciarskiego i restauracji tuż przy wyciągach krzeselkowych. Pitt mógł tylko trąbić i starać się wyminąć struchlałych narciarzy.



Hala i Lily patrzyły na to wszystko z chorobliwą ciekawością i ogromną ulgą. Uczucie ulgi nie trwało jednak długo. Spoglądały teraz przerażone na szybko przybliżającą się ścianę jakiegoś budynku.

- Czy nie można nic zrobić? - spytała Hala.

- A co pani proponuje? - rzucił Pitt i zajął się wymijaniem szkółki narciarskiej dla dzieci. Większość narciarzy widziała lub słyszała uderzenie mercedesa w sosnę i rozpierzchła się na dźwięk klaksonu corda. Pojeżdżali szybko z nartostrady, patrząc ze zdumieniem na pędzący jak rakieta wóz.

Z góry wyciągu zawiadomiono telefonicznie o pojawieniu się samochodów, toteż instruktorzy usunęli większość ludzi znajdujących się na dole. Był tam płytki zamrożony staw, na prawo od wypożyczalni sprzętu. Pitt ludził się, że jakoś zdoła skierować samochód w tę stronę i wjedzie na lód, który załamie się pod cordem, zatrzymując go. Problem polegał jednak na tym, że gapie nieświadomie utworzyli kordon zagrażający drogę do stawu.

- Nie sądzę, by istniał jakiś plan piąty - rzekł Giordino przygotowując się do zderzenia ze ścianą

- Bardzo mi przykro - odparł Pitt. - Wszystkie zostały wyprzedane.

Lily i Hala patrzyły bezradne i przerażone. Potem rzuciły się na podłogę za ścianką oddzielającą je od kierowcy i tuląc się do siebie zamknęły oczy.

Pitt zeszywniał, kiedy uderzyli w kilka długich stojaków na kijki i narty. Narty jakby eksplodowały, wylatując w powietrze jak wykałaczkę. Na chwilę cord znikł pod ich stosem, a potem wypadł wdarł się na betonowe schody i mijając bokiem restaurację przebił się przez drewnianą ścianę sali koktajlowej.

Nie było w niej nikogo oprócz pianisty, który siedział jak sparaliżowany przy klawiaturze, i barmana, chroniącego się za kontuarem właśnie w chwili gdy cord wpadł przez ścianę i sunął wśród foteli i stolików

Niewiele brakowało, a byłby się przebił przez drugą ścianę i spadł dwa piętra w dół. Wytraciwszy jednak jakimś cudem pęd, zatrzymał się jedynie z przednim zniekształconym zderzakiem wystającym za ścianę. Sala koktajlowa wyglądała jak po ataku artyleryjskim

W pełnej grozy ciszy słyhać było tylko syk pary uchodzącej z chłodnicy i trzaskanie przegrzanego silnika. Pitt uderzył głową w szybę i z rozciętej skóry tuż nad linią włosów ciekła mu na twarz krew. Spojrzał na Giordina, który siedział jak skamieniały ze wzrokiem wlepionym w ścianę, a potem odwrócił się i zajrzał do części dla pasażerów. Lily i Hala miały na twarzach wyraz zdumienia, że jeszcze żyją, ale wyglądało na to, że nic im się nie

stało.

Barman był wciąż ukryty za kontuarem, więc Pitt zwrócił się do pianisty który siedział oszołomiony na trójnogim stołku. W kąciку ust miał papierosa, z którego nawet nie spadł popiół. Jego ręce były zawieszane nad klawiaturą, a ciało sztywne, jakby go coś paraliżowało. Patrzył wstrząśnięty na skrwawioną zjawę, która uśmiechała się do niego wariacko.

- Bardzo przepraszam - rzekł Pitt grzecznie. - Czy mógłby pan zagrać: „Zabierz mnie na Księżyc”?

## **CZEŚĆ III**

# **„LADY FLAMBOROUGH”**

19 października 1995

Uxmal, Yucatan

Kamienne mury masywnej budowli odbijały blaski całej baterii różnokolorowych reflektorów. Błękitny barwił wielką piramidę, a pomarańczowy oświetlał Świątynię Maga na szczycie. Czerwone punktówki omiatały szerokie schody. Wyglądało to, jakby spływała po nich krew. Wyżej, na dachu świątyni, stała biało podświetlona szczupła postać.

Topiltzin rozpostarł w czarnoksiężkim geście ramiona i otworzył dłonie, po czym spojrział w dół na sto tysięcy uniesionych twarzy otaczających świątynię w starożytnym mieście Majów Uxmal na półwyspie Yucatan. Jak zawsze, zakończył swoją mowę zaśpiewem w języku azteckim. Tłum podchwycił frazy i powtarzał je unisono.

- Siła i męstwo naszego narodu leży w nas, w tych, którzy nigdy nie będą wielcy i bogaci. Głodujemy i harujemy dla przywódców, którzy są nieuczciwi i nieszlachetni. Nie wróci wielkość i chwała Meksyku, dopóki żyje nasz fałszywy rząd. Nie będziemy dłużej znosili niedoli. Bogowie znów się gromadzą, aby złożyć ofiarę ze złych dla sprawiedliwych. Ich darem będzie nowa cywilizacja. Musimy ten dar przyjąć.

Kiedy echa tych słów zamarły, barwne światła powoli zagasty, pozostało jedynie białe, oświetlające Topiltzina. Potem i ono ściemniało, i Topiltzin znikł.

Rozpalono ogromne ognisko i z ciężarówki zaczęto rozdawać wdzięcznym masom pudła z żywnością. Każde zawierało taką samą porcję mąki i konserw oraz broszurkę z wieloma ilustracjami i skąpym tekstem. Rysunki przedstawiały Topiltzina wraz z czterema głównymi azteckimi bogami, jak wypędzają prezydenta De Lorenzo i jego ministrów z Meksyku.

Były tam również instrukcje, jak pokojowymi, lecz skutecznymi metodami niweczyć wpływy rządu.

Podczas wydawania żywności wśród tłumów uwijali się mężczyźni i kobiety rekrutujący nowych zwolenników Topiltzina. Wszystko przebiegało gładko i sprawnie, jak profesjonalnie zorganizowany koncert muzyki rockowej. Uxmal był tylko jednym z przystanków w kampanii Topiltzina, zmierzającej do obalenia rządu w Mexico City.

Przemawiał on do mas tylko wśród wielkich kamiennych pomników dawnej kultury - Teotihuacan, Monte Alban, Tulą i Chichen Itza. Nigdy nie występował w nowoczesnych miastach Meksyku.

Ludzie wznosili okrzyki na cześć Topiltzina, lecz on już ich nie słyszał. Gdy tylko zagasty światła reflektorów, goryle sprowadzili go po drabinie z tyłu piramidy do dużej

ciężarówka z przyczepą mieszkalną. Zawarczał silnik i ciężarówka z jednym samochodem z przodu, a drugim z tyłu wolno przecisnęła się przez tłum i wyjechała na autostradę, kierując się do Meridy, stolicy stanu Yucatan.

Wnętrze przyczepy było kosztownie urządzone, podzielone na pokój konferencyjny i prywatne mieszkanie Topiltzina.

Topiltzin krótko omówił ze swoimi najbardziej zaufanymi czcicielami zadania następnego dnia. Kiedy spotkanie się skończyło, zatrzymano ciężarówkę i goście wyszli życząc dobrej nocy. Jadące za ciężarówką dwa samochody zabrały ich do hoteli w Meridzie.

Zamykając drzwi i odcinając się od otaczającej go rzeczywistości, Topiltzin przenosił się do całkiem odmiennego świata.

Zdjął z głowy pióropusz i zrzucił białą szatę, spod której ukazała się para eleganckich spodni oraz sportowa koszula. Otworzył ukryty barek, wyjął z niego schłodzoną butelkę Schramsberg Blanc de Blanc i szybko odkorkował. Pierwszy kieliszek wypił dla ugaszenia pragnienia, lecz drugi smakował już powoli.

Odprężony, wszedł do małego pomieszczenia zawierającego urządzenie komunikacyjne, wystukał na holograficznym telefonie numer i zwrócił się twarzą ku środkowi pokoju. Popijając kalifornijski szampan, czekał cierpliwie. Powoli zaczęła się ukazywać niewyraźna trójwymiarowa postać. W tym samym czasie postać Topiltzina ukazywała się w podobny sposób tysiące mil od Meksyku.

Gdy obraz się wypełnił, przed Topiltzinem siedział na otomane mężczyzna. Cere miał ciemną, a rzadkie, gładko szesane do tyłu włosy lśniły od brylantyny. Jego oczy połyskiwały twardością diamentu. Był ubrany w jedwabny szlafrok włożony na pizamę. Chwilę przyglądał się koszuli i spodniom Topiltzina. Skrzywił się na widok kieliszka w jego dłoni.

- Żyjesz niebezpiecznie - rzekł surowo amerykańską angielszczyzną. - Eleganckie ubrania, szampan... mało brakuje, a będą i kobiety.

Topiltzin zaśmiał się.

- Daj spokój. Dość mam udręki z zachowywaniem się jak papież i noszeniem tego dziwnego stroju przez osiemnaście godzin na dobę, żebym jeszcze miał żyć w celibacie.

- Ja muszę znosić te same niedogodności.

- Obaj musimy dźwigać swój krzyż - powiedział Topiltzin znudzonym tonem.

- Tylko nie zrób błędu u progu sukcesu.

- Nie zamierzam. Żaden z moich ludzi nie śmie zakłócić mi spokoju. Myślę, że tu, w samotności, łączę się z bogami.

Tamten uśmiechnął się.

- To mi brzmi dziwnie znajomo.

- Ale do rzeczy... - powiedział Topiltzin.

- Więc jak wyglądają sprawy?

- Przygotowania są zakończone. Każdy będzie w odpowiedniej chwili na swoim miejscu. Zapłaciłem ponad dziesięć milionów pesos łąpówek. Kiedy tylko ci durnie zrobią, co do nich należy, zostaną zlikwidowani, nie tyle po to, aby zagwarantować ich milczenie, lecz by ostrzec tych, którzy czekają na wykonanie naszych poleceń.

- Gratuluję. Jesteś bardzo sumienny.

- Spryt pozostawiam tobie.

Po tej uwadze zapadło przyjazne milczenie, które trwało kilka chwil, podczas których obaj mężczyźni byli zajęci własnymi myślami. W końcu eteryczny gość uśmiechnął się chytrze i wyjął spod fałdów szlafroka kieliszek koniaku.

- Twoje zdrowie.

Topiltzin roześmiał się i uniósł kieliszek szampana.

- Za udane przedsięwzięcie.

Jego rozmówca milczał przez chwilę.

- Udane przedsięwzięcie - powtórzył i dodał: - Bez żadnych kruczków. - A po dłuższej przerwie powiedział w zamyśleniu: - Ciekawe, jak nasze wysiłki zmienią przyszłość.

Ryk silników przycichł, kiedy nie oznakowany samolot odrzutowy Beechcraft oderwał się od płyty lotniska Buckley Field i zaczął wznosić na wysokość podrózną. Ośnieżone Góry Skaliste zostały w tyle, gdy odrzutowiec skierował dziób ku wielkim równinom.

- Prezydent przesyła pani życzenia rychłego powrotu do zdrowia - rzekł Dale Nichols. - Był bardzo zły, kiedy się dowiedział o tym, co panią spotkało...

- Wściekły jak diabli, należałoby powiedzieć - wtrącił Schiller.

- Powiedzmy raczej, że nie czuł się szczęśliwy - ciągnął Nichols. - Prosił mnie, abym wyraził pani jego żal, że nie zapewnił skuteczniejszych środków bezpieczeństwa. Obiecał też na przyszłość zrobić co tylko w jego mocy, ażeby pani mogła się czuć w Stanach Zjednoczonych bezpiecznie.

- Proszę mu wyrazić moją wdzięczność - odparła Hala - I ubłagać w moim imieniu, aby zaopiekował się rodzinami ludzi, którzy zginęli w mojej obronie.

- Na pewno się nimi zaopiekuje - obiecał jej Nichols.

Hala leżała na łóżku ubrana w biały dres w zielone paski. Kostkę prawej nogi miała w gipsie. Spojrzała na Nicholasa, potem na Juliusza Schillera i senatora Pitta, którzy siedzieli naprzeciw jej łóżka.

- Czuję się zaszczycona, że tak wysokie osobistości poświęciły swój cenny czas i przyleciały aż do Kolorado, aby mi towarzyszyć w drodze do Nowego Jorku.

- Jeśli możemy czymś służyć...

- Zrobiliście panowie więcej, niż jakikolwiek cudzoziemiec w waszym kraju mógłby oczekiwać.

- Ma pani tyle żywotów co kot - rzekł senator Pitt.

Usta Hali rozchyliły się w uśmiechu.

- Dwa z nich zawdzięczam pańskiemu synowi. Ma zdolność pojawiania się, gdzie trzeba, w najbardziej dramatycznym momencie.

- Widziałem samochód Dirka. Cud, że przeżyliście.

- To była naprawdę piękna maszyna - westchnęła Hala. - Szkoda, że została zniszczona.

Nichols chrząknął.

- Czy moglibyśmy teraz poruszyć temat pani jutrzejszego wystąpienia w ONZ...

- A czy wasi ludzie dostarczyli już jakichś solidniejszych danych dotyczących ukrycia skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej? - spytała ostro Hala.

Nichols spojrział na senatora i Schillera wzrokiem człowieka, który nagle wstąpił na ruchome piaski. Senator rzucił mu linę, odpowiadając:

- Nie mieliśmy czasu zająć się intensywnymi poszukiwaniami - odparł szczerze. - Wiemy tyle, co przed czterema dniami.

- Prezydent miał nadzieję, że... - zaczął Nichols z wahaniem.

- Oszczędzę panu czasu, panie Nichols. - Hala skierowała wzrok na Schillera. - Możesz się uspokoić, Juliuszu, powiem w moim jutrzejszym przemówieniu o bliskim odkryciu skarbów Biblioteki.

- Cieszę się, że zmieniła pani zdanie.

- Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, jestem to winna waszemu rządowi.

Nichols wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Pani słowa dadzą prezydentowi Hasanowi dużą przewagę polityczną nad Achmadem Yazidem i być może spowodują, że egipskie uczucia narodowe wezmą górę nad religijnym fundamentalizmem.

- Nie oczekuj zbyt wiele - powiedział senator. - My tylko zacieramy rysy w murach rozsypującego się fortu.

Usta Schillera rozchyliły się w chłodnym uśmiechu.

- Oddałbym swoje miesięczne pobory, żeby zobaczyć twarz Yazida, kiedy zda sobie sprawę, że został przechytrzony.

- Obawiam się, że dopiero wtedy naprawdę zechce się zemścić na Hali - rzekł Schiller.

- Nie sądzę - powiedział Nichols. - Jeżeli FBI zdoła ustalić związek Yazida z martwymi terrorystami, a także z zamachowcem odpowiedzialnym za katastrofę samolotu i śmierć sześćdziesięciu ludzi, wielu Egipcjan o umiarkowanych poglądach, którzy nie godzą się na terroryzm, wycofa swoje poparcie dla jego ruchu. Gdy ostatnia terrorystyczna misja Yazida zyska międzynarodowy rozgłos, będzie się musiał dobrze zastanowić, zanim wyda ponowny rozkaz zlikwidowania pani Kamil.

- Pan Nichols ma częściowo rację - powiedziała Hala. - Większość Egipcjan to sunnici, którzy nie pójda za rewolucyjnym wezwaniem irańskich szyitów. Wolą rozwiązania ewolucyjne, powolne zmiany. Nie godzą się na krwawe metody Yazida. - Urwała na chwilę. - Jestem przekonana jednak, że Yazid nie spocznie, póki mnie nie uśmierci. On nigdy nie rezygnuje. Zapewne już teraz planuje nowy zamach na moje życie.

- Ma pani rację. Wywiad nie może spuścić Yazida z oka - stwierdził senator.

- Jakie masz plany po wystąpieniu na forum ONZ? - spytał Schiller.

- Dziś rano, jeszcze przed opuszczeniem szpitala, dostarczono mi list z naszej ambasady w Waszyngtonie, od prezydenta Hasana. Prezydent życzy sobie, abym się z nim spotkała.

- Nie możemy zagwarantować pani bezpieczeństwa, jeśli opuści pani nasze granice - ostrzegł Nichols.

- Rozumiem - odparła. - Ale nie ma się co martwić. Od czasu zabójstwa prezydenta Sadata egipska służba bezpieczeństwa stała się dosyć sprawna.

- Mogę zapytać, gdzie ma się odbyć to spotkanie? - spytał Schiller.

- To żadna tajemnica. Spotkanie będzie transmitowane przez międzynarodowe środki przekazu - odparła Hala. - Prezydent Hasan spotka się ze mną w czasie konferencji ekonomicznej w Punta del Este, w Urugwaju.

Poobijany i podziurawiony kulami cord stał żałośnie na środku warsztatu samochodowego. Esbenson wolno obchodził go wkoło i kiwał ze smutkiem głową.

- Pierwszy raz będę odnawiał samochód, który przed dwoma dniami właśnie odnowiłem.

- Mieliśmy zły dzień - wyjaśnił Giordino. Na szyi miał gipsowy kołnierz, rękę na temblaku, a ucho obandażowane.

- Cud, że w ogóle żyjecie.

Oprócz sześciu szwów na głowie, ukrytych pod włosami, Pitt nie miał żadnych widocznych obrażeń. Poklepał chromową maskę chłodnicy, jakby samochód był pokaleczonym psem.

- Mamy szczęście, że te samochody robiono z myślą o trwałości - stwierdził.

Lily kulejąc wyszła z biura warsztatu. Jej lewy policzek zdobił siniec, prawe oko było podbite.

- Hiram Yaeger przy telefonie - oznajmiła.

Pitt kiwnął głową. Położył rękę na ramieniu Esbensona.

- Zrób, żeby wyglądał jeszcze lepiej niż przedtem.

- Niech pan się liczy z sześcioma miesiącami pracy i ciężką forszą.

- Czas i pieniądze to nie problem. - Pitt uśmiechnął się. - Tym razem rachunek pokryje rząd. - Odwrócił się, wszedł do biura i przyłożył słuchawkę do ucha. - Masz coś dla mnie, Hiram?

- Nic prócz zwykłego raportu - odparł Yaeger z Waszyngtonu. - Wyeliminowałem Bałtyk i wybrzeże Norwegii.

- I nic?



- Nic. Nie znalazłem nic, co odpowiadałoby geologicznym konturom albo opisowi geograficznemu z dziennika okrętowego „Serapisa”. Barbarzyńcy, o których pisze Rufinus, nie przypominają wikingów. Raczej takich ludzi jak Scytowie, tylko o ciemniejszej cerze.

- Trochę to dziwne - stwierdził Pitt. - Scytowie pochodzili z Azji Środkowej...

- Nie widzę sensu w kontynuacji poszukiwań wzdłuż wybrzeży Norwegii i północnych brzegów Rosji.

- Zgadzam się z tobą. A co z Islandią? Wikingowie osiedlili się tam dopiero jakieś pięć wieków później. Może Rufinusowi chodziło o Eskimosów?

- Niemożliwe - odparł Yaeger. - Sprawdziłem. Eskimosi nigdy nie dotarli na Islandię. Rufinus mówi też o „wielkim morzu karłowatych sosen”. Nie mógł ich znaleźć na Islandii. I nie zapominaj, że masz do czynienia z sześćsetmilową podróżą przez najtrudniejsze do żeglugi wody. Morskie zapisy historyczne mówią wyraźnie: rzymskie statki rzadko wypuszczały się na dłużej niż dwa dni bez widoczności lądu.

- Więc co zrobimy?

- Przejrzę jeszcze raz zachodnie brzegi Afryki. Może coś przeoczyłem. Ciemnoskórzy Afrykanie i ciepły klimat wydają się logiczniejszym rozwiązaniem niż zimne kraje północne. Zwłaszcza dla ludzi z basenu Morza Śródziemnego.

- Nadal będziesz musiał wytłumaczyć, jak „Serapis” znalazł się przy brzegach Grenlandii.

- Można by szukać wytłumaczenia w kombinacji wiatrów i prądów.

- Dzisiaj wieczorem lecę do Waszyngtonu - powiedział Pitt. - Zajrzę do ciebie jutro.

- Może już będę coś miał - odparł Yaeger, lecz w jego tonie nie było optymizmu.

Pitt odłożył słuchawkę i wyszedł z biura. Lily spojrzała na niego z nadzieją, ale wyczytała w jego oczach zawód.

- Żadnych dobrych wieści? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nie wyszliśmy jeszcze z kwadratu pierwszego.

Wzięła go pod ramię.

- Yaeger da sobie radę - rzekła z otuchą.

- Nie potrafi czynić cudów.

Giordino spojrzał na zegarek na zdrowej ręce.

- Nie mamy wiele czasu, jeśli chcemy zdążyć na samolot. Jedźmy już.

Pitt podszedł, uścisnął Esbensenowi rękę i uśmiechnął się.

- Doprowadź go do porządku. On nam uratował życie.

Esbenson spojrzał na niego.

- Pod warunkiem, że będzie go pan chronił przed kulami i trzymał z dala od nartostrad.

- Zgoda.

Gdy odjechali na lotnisko, Esbenson pociągnął za klamkę tylnych drzwi. Została mu w ręku.

- Boże - jęknął żałośnie. - Co za kupa złomu.

Z galerii dla publiczności spadła na delegatów na sali burza oklasków, gdy Hala odrzuciła ofiarowaną jej pomoc i wolno szła o kulach. Stała na podium, opanowana i pogodna, przemawiając silnym, przekonującym głosem. Mówiła bez nadmiernej emfazy. Wzruszyła słuchaczy pełnym uczucia apelem o zaprzestanie zabijania niewinnych ludzi w imię religii. Ale kiedy wezwała do potępienia rządów, które zamykają oczy na działalność terrorystów, kilku delegatów zaczęło się kręcić na swoich miejscach i spoglądać w przestrzeń.

Wiadomość o bliskim odkryciu Biblioteki Aleksandryjskiej wywołała szmer podniecenia. Następnie Hala zaatakowała Achmada Yazida, oskarżając go wprost o próbę zamachu na jej życie.

Zakończyła swoje przemówienie stanowczym stwierdzeniem, że nie da się usunąć ze swego stanowiska sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych groźbą zamachu w przyszłości i pozostanie na swym posterunku do chwili, gdy delegaci sami poproszą ją o rezygnację.

Odpowiedzią była owacja na stojąco, która zmieniła się w burzę oklasków, gdy Hala odstąpiwszy na bok pokazała nogę w gipsie.

- Co za kobieta! - rzekł prezydent z zachwytem. - Dałbym wszystko, żeby ją mieć w swoim rządzie. - Przycisnął guzik pilota i ekran telewizyjny zgasł.

- Wspaniałe przemówienie - rzekł senator Pitt. - Porwała Yazida na strzepy... i świetnie wyakcentowała sprawę poszukiwań skarbów Biblioteki.

Prezydent kiwnął głową.

- Tak, przysłużyła nam się pod obu względami.

- Wie pan oczywiście, że ona jedzie do Urugwaju na konferencję z Hasanem?

- Dale Nichols mówił mi o rozmowie, jaką odbyliście z nią w samolocie - przyznał prezydent. Siedział za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym. - Jaki jest stan poszukiwań?

- Zespół urządzeń komputerowych NUMA pracuje nad zlokalizowaniem miejsca - odparł senator.

- I jak im to idzie?

- Nie za dobrze. Są w tym samym punkcie, co przed czterema dniami.

- Nie można jakoś przyspieszyć tego procesu? Zorganizować trust mózgow, sprowadzić ludzi z uniwersytetów, innych agencji rządowych?

Na twarzy senatora Pitta ukazało się powątpiewanie.

- NUMA ma najwspanialszą w świecie bibliotekę komputerową, zawierającą

wszelkie opracowania dotyczące mórz, oceanów, jezior i rzek. Jeżeli oni nie znajdą celu podróży egipskiej floty, nikt go nie znajdzie.

- A co mówi archeologia i historia? - zapytał prezydent. - Czy przypadkiem jakieś odkrycie w przeszłości nie zawiera wskazówki?

- Może warto to zbadać. Znam człowieka z uniwersytetu stanowego Pensylwanii, który jest znakomitym badaczem. Może postawić na nogi trzydziestu ludzi, którzy już jutro o tej porze zaczną grzebać w archiwach tu i w Europie.

- Dobra, niech spróbuje.

- Teraz, gdy Hala i środki przekazu rozgłosiły tę wieść - powiedział senator - połowa wszystkich rządów i poszukiwacze skarbów z całego świata zaczną polować na zbiory Biblioteki.

- Wziąłem to pod uwagę - odparł prezydent. - Ale ważniejsze jest umocnienie pozycji rządu prezydenta Hasana. Jeśli odnajdziemy Bibliotekę, a potem Hasan wystąpi z dramatycznym żądaniem, abyśmy zwrócili jej skarby Egiptowi, my zaś będziemy udawać, że nie chcemy, zyska u siebie w kraju ogromną popularność i stanie się w oczach Egipcjan bohaterem.

- Odsuwając jednocześnie groźbę przejęcia władzy przez Yazida i jego zwolenników - dokończył senator. - Jedyne problemy stanowią sam Yazid. To człowiek nieobliczalny. Nasi bliskowschodni eksperci nie mogą go rozszyfrować. W każdej chwili może wyciągnąć z rękawa jakiegoś asa.

Prezydent spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

- Nie widzę żadnych problemów z usunięciem go w cień, gdy skarby Biblioteki zostaną zwrócone prezydentowi Hasanowi.

- Zgadzam się z panem, panie prezydencie, chodzi mi tylko o to, że niebezpiecznie jest nie doceniać Yazida.

- Jest daleki od doskonałości.

- Tak, lecz to bardzo bystra umysłowość. Jest, jak to określają agencje reklamowe, człowiekiem dobrych koncepcji.

- Może w polityce, ale nie w próbach zamachu.

Senator wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jego plany zostały zapewne pokrzyżowane przez nieudolność wykonawców. Jako prezydent wie pan lepiej niż ktokolwiek inny, jak łatwo jakiś doradca lub sekretarz potrafi zepsuć prosty plan.

Prezydent uśmiechnął się niewesoło. Odchylił się w tył i zaczął bawić piórem.

- Diabelnie mało wiemy o Yazidzie... skąd pochodzi, do czego dąży...

- Twierdzi, że pierwsze trzydzieści lat spędził na pustyni Synaj rozmawiając z Allachem.

- A więc skradł kartkę z życiorysu Jezusa Chrystusa. Co jeszcze o nim wiemy?

- Musi pan zapytać Dale'a Nicholasa - odparł senator. - Podobno pracuje w CIA nad jego portretem biograficznym i psychologicznym.

- Zobaczymy, czy już coś mają. - Prezydent nacisnął guzik interkomu. - Dale, możesz tu przyjść na chwileczkę?

- Już idę - rozległ się głos Nicholasa w głośniku.

W ciągu piętnastu sekund oczekiwania na Nicholasa żaden z mężczyzn w Gabinetie Ovalnym nie powiedział ani słowa. Rozległo się pukanie, drzwi się otworzyły i wszedł Nichols.

- Rozmawialiśmy o Achmadzie Yazidzie - poinformował go prezydent. - Czy twoi ludzie znaleźli jakieś dane na temat jego pochodzenia?

- Omawiałem to z Martinem Broganem zaledwie przed godziną - odparł Nichols. - Mówi, że za dzień, dwa powinien mieć gotowy raport.

- Chcę mieć ten raport jak najprędzej - powiedział prezydent.

- Nie mówię tego po to, aby zmienić temat - rzekł senator - ale czy ktoś nie powinien powiadomić prezydenta Hasana o naszych planach, na wypadek gdyby nam się udało zlokalizować zbiory biblioteczne w najbliższych tygodniach?

- Właśnie. - Prezydent kiwnął głową. Spojrzał na senatora. - Sądziś, że mógłbyś się wyrwać na czterdzieści osiem godzin, aby się tym zająć, George?

- Chcę pan, abym się spotkał z Hasanem w Urugwaju... - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Masz coś przeciwko temu?

- To jest raczej zadanie dla Douga Oatesa z Departamentu Stanu. On i Joe Arnold z Ministerstwa Skarbu są już w Kingston na wstępnych rozmowach z zagranicznymi przywódcami ekonomicznymi. Sądzi pan, że takie działanie za jego plecami jest wskazane?

- W zwykłych warunkach nie. Ale ty jesteś najdokładniej poinformowany w sprawie planów poszukiwań. Spotkałeś się z Hasanem już cztery razy i jesteś w bliskich stosunkach z Halą Kamil. Mówiąc wprost, najlepiej nadajesz się do tego zadania.

Senator uniósł dłonie w geście rezygnacji.

- Senat nie omawia teraz żadnych poważniejszych spraw. Moi ludzie potrafią mnie zastąpić. Jeśli dostanę rządowy samolot, mogę wyjechać we wtorek rano, wieczorem

spotkać się z Hasanem i wrócić z meldunkiem następnego dnia po południu.

- Dziękuję ci, George, dobry z ciebie chłopak. - Prezydent umilkł na chwilę, po czym dodał: - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Zawsze tak bywa - westchnął senator.

- Chciałbym, abyś poinformował prezydenta Hasana w zaufaniu, w najściślejszej tajemnicy, że zgłaszam swoją pełną współpracę, na wypadek gdyby zdecydował się usunąć Yazida.

Senator był wstrząśnięty.

- Odkąd to Biały Dom zajmuje się zabójstwami politycznymi? Błagam pana, panie prezydencie, niech pan nie kała swojego urzędu, zniżając się do środków stosowanych przez Yazida i terrorystów.

- Gdyby ktokolwiek okazał się tak przewidujący, by wykończyć Chomeiniego przed piętnastu laty, mielibyśmy teraz na Bliskim Wschodzie spokój.

- Król angielski mógł to samo powiedzieć o Waszyngtonie i koloniach w tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym roku.

- Uspokój się, George. Moglibyśmy spędzić cały dzień robiąc takie porównania. Ostateczna decyzja należy do Hasana. To on ma wydać polecenie.

- Zły pomysł - oświadczył senator stanowczo. - Mam poważne wątpliwości co do tej sprawy. Gdyby to przedostało się do prasy, pańska prezydentura stanęłaby pod znakiem zapytania.

- Szanuję twoje rady i uczciwość. Dlatego jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę powierzyć tę sprawę.

Senator odparł z determinacją:

- Spełnię pana prośbę i z radością poinformuję Hasana o naszych planach w związku z Biblioteką, ale proszę nie oczekiwać po mnie, że będę go namawiał do zabójstwa Yazida.

- Dopilnuję, aby powiadomiono otoczenie Hasana o twoim przybyciu - wtrącił Nichols dyplomatycznie.

Prezydent wstał zza biurka na znak, że konferencja jest skończona. Uścisnął dłoń senatora.

- Jestem ci wdzięczny, stary przyjacielu. Będę oczekiwał na twój raport w środę po południu. Zjemy razem wczesną kolację.

- Do zobaczenia, panie prezydencie.

- Szczęśliwej podróży.

Wychodząc z Gabinetu Owalnego, senator Pitt miał nieprzyjemne przeczucie, że

prezydent sam zje kolację w środowy wieczór.

„Lady Flamborough” wśliznęła się do małej przystani w Punta del Este kilka chwil wcześniej, zanim słońce schowało się za zachodnim horyzontem. Z południa napływał lekki powiew, ledwie poruszając brytyjską flagą na rufie.

Był to piękny, zgrabny statek z opływową nadbudówką. Jego projektanci zerwali z brytyjską tradycją nakazującą malowanie kadłubów na czarno, nadbudówek zaś na biało. Cały został pomalowany na kolor szaroniebieski, a ostro pochylony komin w pasy królewskiej purpury i ciemnej czerwieni.

Jako jeden z nowej generacji eleganckich małych statków pasażerskich, „Lady Flamborough” przypominała raczej komfortowy jacht. Jej zgrabny 101-metrowy kadłub zawierał wszelkie luksusy, jakie kiedykolwiek pływały po morzach. Mając zaledwie pięćdziesiąt apartamentów, zabierała stu pasażerów, których obsługiwało niemal tyle samo członków załogi.

Jednakże w tym rejsie z rodzimego portu San Juan w Puerto Rico nie miała pasażerów.

- Dwa stopnie w lewo - rzekł ciemnoskóry pilot.

- Dwa stopnie w lewo - powtórzył sternik.

Pilot w luźnej koszuli khaki i szortach pilnie obserwował cypel osłaniający zatokę, póki nie został za rufą statku.

- Zaczynaj skręcać w prawo i trzymaj na zero-osiem-zero.

Sternik posłusznie powtórzył komendę i statek z wolna skręcił na nowy kurs.

Port był zatłoczony jachtami i luksusowymi statkami przystrojonymi barwnymi chorągiewkami. Niektóre ze statków zostały wynajęte jako hotele nawodne, inne miały normalny komplet urlopowiczów w rejsach wycieczkowych.

Na pół kilometra przed redą pilot wydał polecenie: „maszyny stop”. „Lady Flamborough” sunęła po spokojnej wodzie siłą rozpędu, aż zaczęła stopniowo zwalniać i zatrzymała się.

Zadowolony z siebie pilot powiedział do mikrofonu:

- Maszyny wolno wstecz i rzuć kotwicę.

Po otrzymaniu polecenia z mostka, na dziobie spuszczone kotwicę, podczas gdy statek wolniutko się cofał. Kiedy kotwica zaryła się w dno, wybrano trochę łańcucha i padła komenda: „maszyny stop”.

Kapitan Oliver Collins, szczupły i prosty jak trzcina mężczyzna w doskonale skrojonym białym mundurze, skłonił z szacunkiem głowę przed pilotem i uściśnął mu dłoń.



- Świetna robota jak zawsze, panie Campos. - Kapitan Collins znalazł pilota już dwadzieścia lat, lecz nigdy nikomu, nawet najbliższym przyjacielom, nie mówił po imieniu.

- Gdyby statek był dłuższy o trzydzieści metrów, już bym go tu nie wcisnął. - Harry Campos uśmiechnął się ukazując poplamione tytoniem zęby. Mówił z akcentem raczej irlandzkim niż hiszpańskim. - Przykro, że nie możemy przycumować do nabrzeża, ale kazano mi postawić go na redzie.

- Ze względów bezpieczeństwa... - ni to stwierdził, ni zapytał Collins.

Campos przypalił niedopałek cygara.

- Właśnie. To spotkanie grubych ryb przewróciło całą wyspę do góry nogami. Policja zachowuje się, jakby za każdą palmą czaił się strzelec wyborowy.

Collins spojrział przez okna mostka na Punta del Este, popularny ośrodek wypoczynkowy Ameryki Południowej.

- Ja się nie skarżę. Będziemy gościli na tym statku prezydentów Meksyku i Egiptu.

- Naprawdę? - zdziwił się Campos. - W takim razie nic dziwnego, że trzymają wasz statek na redzie.

- Czy mogę panu zaproponować drinka w mojej kajucie? Albo jeszcze lepiej, zważywszy na porę, niech mi pan zrobi ten zaszczyt i zje ze mną obiad.

Campos potrząsnął głową.

- Dzięki za zaproszenie, kapitanie, ale mamy teraz moc pracy. - Wskazał rój statków wypełniających przystań. - Może gdy pan do nas zawita następnym razem.

Campos wypełnił rachunek i dał kapitanowi Collinsowi do podpisania. Spojrział przez tylne okna mostka na nieskazitelnie czyste pokłady statku.

- Kiedyś zrobię sobie wakacje i popłynę z panem jako pasażer.

- Niech pan tylko powie, kiedy - rzekł Collins. - Dopilnuję, żeby towarzystwo pokryło panu wszystkie wydatki.

- Bardzo miła propozycja. Powiem żonie. Ona już się postara, żebyśmy to wykorzystali.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Campos. Kiedy pan tylko zechce.

Podpłynęła motorówka pilota i Campos zeskoczył z drabinki na jej pokład. Machnął kapitanowi ręką na pożegnanie i motorówka popłynęła w kierunku morza, po nowy statek oczekujący na wejście do przystani.

- To był najprzyjemniejszy rejs, jaki kiedykolwiek miałem - powiedział pierwszy oficer Collinsa, Michael Finney. - Pełny skład załogi i żadnych pasażerów. Przez sześć dni myślałem, że umarłem i jestem w niebie.

Towarzystwo wymagało od oficerów, by tyle samo czasu poświęcali pasażerom, co obsłudze statku. Finney nie cierpiał pasażerów. Był prawdziwym człowiekiem morza i trzymał się jak najdalej od głównej sali jadalnej, wołąc jeść z kolegami lub przeprowadzać inspekcje statku.

- Finney, niech pan uważa na dobre maniery w ciągu najbliższych dni - upomniał Collins. - Będziemy przyjmowali na pokładzie ważnych przywódców zagranicznych i mężów stanu.

Finney nie odpowiedział. Patrzył na nowoczesne wieżowce górujące nad przybrzeżnymi pensjonatami.

- Ilekroć spojrzę na to stare miasto - rzekł ze smutkiem - zaraz widzę jakiś nowy hotel.

- Prawda, jest pan przecież z Urugwaju.

- Urodziłem się tuż na zachód od Montevideo. Mój ojciec był dyrektorem przedstawicielstwa handlowego zakładów mechanicznych.

- Lubi pan chyba odwiedzać rodzinne strony.

- Nie bardzo. W wieku szesnastu lat zaciągnąłem się na panamski rudowęglowiec. Rodzice już nie żyją. Nie ma tu nikogo z ludzi, wśród których spędziłem dzieciństwo. - Umilkł i wskazał nadpływającą motorówkę. - Płyną ci cholerni celnicy i inspektorzy imigracyjni.

- Nie powinniśmy mieć z nimi kłopotów, skoro nie mamy pasażerów, a załoga nie schodzi na ląd - rzekł Collins.

- Inspektorzy zdrowia są najgorsi.

- Niech pan powiadomi intendenta, panie Finney. A tamtych proszę przyprowadzić do mojej kabiny.

- Bardzo pana przepraszam, kapitanie, ale czy to nie za wielki dla nich zaszczyt? Żeby przyjmować zwykłych celników w kajucie kapitańskiej?

- Być może, ale nie chcę wchodzić w żadne zatargi z biurokracją, kiedy jestem w porcie. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się nam okazać przydatni.

- Tak jest, kapitanie.

Był zmierzch, gdy celnicy i inspektorzy urzędu imigracyjnego podpłynęli do statku i weszli po opuszczonym trapie. Zabłyły nagle światła statku i oświetliły górne pokłady i nadbudówkę. Stojąca na kotwicy wśród świateł miasta i innych luksusowych statków „Lady Flamborough” zalśniła jak brylant w szkatułce z klejnotami.

Prowadzeni przez Finneya urzędnicy urugwajscy weszli w otwarte drzwi kajuty

kapitańskiej. Collins przyjrzał się pięciu ludziom, których wprowadził jego pierwszy oficer. Dostrzegł coś dziwnego w jednym z przybyszy. Miał on słomkowy kapelusz z szerokim rondem nasuniętym na oczy i kombinezon, podczas gdy reszta była ubrana w mundury noszone przez większość urzędników na wszystkich wyspach Morza Karaibskiego.

Mężczyzna wyróżniający się nietypowym ubiorem szedł nie podnosząc głowy i patrzył na pięty idącego przed nim. Gdy doszli do drzwi, Finney grzecznie odstąpił na bok i przepuścił ich.

Collins wystąpił naprzód.

- Dobry wieczór, panowie. Witam na pokładzie „Lady Flamborough”. Jestem kapitan Oliver Collins.

Urzędnicy stali dziwnie cicho, więc Collins wymienił zaniepokojone spojrzenia z Finneyem. Mężczyzna w kombinezonie wysunął się do przodu i wolno zaczął go ściągać, ukazując biały mundur ze złotymi galonami. Mundur był dokładną kopią tego, który miał na sobie kapitan. Następnie zdjął słomkowy kapelusz i zastąpił go czapką dopasowaną do munduru.

Zwykle nieporuszony Collins poczuł się wytrącony z równowagi. Zupełnie jakby patrzył na siebie w lustrze. Nieznajomy mógł z łatwością uchodzić za jego brata bliźniaka.

- Kim pan jest? - zapytał kapitan. - Co się tu dzieje?

- Mniejsza o nazwiska - rzekł Sulejman Aziz Ammar z rozbrawiającym uśmiechem. - Przejmuję dowodzenie pańskim statkiem.

Zaskoczenie jest kluczem powodzenia każdej tajnej operacji. A zaskoczenie przy przejmowaniu „Lady Flamborough” było totalne. Z wyjątkiem kapitana Collinsa, pierwszego oficera Finneya i intendenta, którzy leżeli związani, zakneblowani i pilnie strzeżeni w kajucie Finneya, nikt z oficerów ani członków załogi nie wiedział, że ich statek został porwany.

Ammar świetnie zgrał swoją akcję w czasie. Bogu ducha winni urugwajscy inspektorzy celni przybyli dopiero dwanaście minut później. Powitał ich w swoim niemal doskonałym przebraniu za Collinsa, jakby byli jego starymi przyjaciółmi. Ludzie, których wybrał, aby pełnili role Finneya i intendenta, trzymali się na uboczu. Obaj byli doświadczonymi oficerami marynarki i przypominali do złudzenia tych, których mieli udawać. Niewielu członków załogi dopatrzyłoby się z odległości powyżej trzech metrów czegoś podejrzanego.

Urzednicy urugwajscy załatwili formalności i odpłynęli. Ammar wezwał drugiego i trzeciego oficera Collinsa do kajuty kapitańskiej. Miał to być dla niego pierwszy i najważniejszy test. Jeśli przejdzie tę próbę bez wzbudzenia podejrzeń, oficerowie będą dla niego bezcenni jako niewinni współuczestnicy realizacji skomplikowanego planu w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

Upodobnienie się do Dale’a Lemkego, pilota samolotu linii Nebula lot nr 106, nie było trudnym zadaniem. Ammar mógł z łatwością zdjąć gipsowy odlew z twarzy Lemkego, kiedy go zamordował. Ale ucharakteryzowanie się na kapitana „Lady Flamborough” było już sprawą trudniejszą. Mógł wzorować się tylko na ośmiu fotografiach Collinsa zdobytych przez jednego z agentów w Anglii. Musiał też wstrzyknąć sobie związek chemiczny, który ustawił jego głos na identycznym poziomie, co głos Collinsa na nagraniach magnetofonowych.

Wynajął biegłego rzeźbiarza, który na podstawie fotografii wyrzeźbił podobiznę twarzy Collinsa. Następnie zdjął formę odlewniczą z rzeźby. W przygotowanej matrycy odcisnął z naturalnego lateksu zabarwionego na odcień skóry Collinsa maskę i odłożył do zastygnięcia, a potem wypiekl. Starannie dopasował lateksową maskę do swojej twarzy, używając mieszaniny wosku i żywicy do drobniejszych poprawek struktury twarzy.

Następnie zastosował piankę protetyczną do poprawienia kształtu nosa i uszu i nałożył makijaż. Doszła do tego jeszcze odpowiednio uformowana i ufarbowana peruka z przedziałkiem, szkła kontaktowe barwy oczu Collinsa, koronki na zęby, i Ammar stał się sobowtórem kapitana „Lady Flamborough”.

Nie miał jednak czasu na dogłębne przestudiowanie osobowości i zwyczajów Olivera Collinsa. Przeszedł tylko krótki kurs obowiązków okrętowych i zapamiętał nazwiska oraz twarze oficerów statku. Mógł więc jedynie blefować, opierając się na założeniu, że załoga nie będzie miała najmniejszych powodów do podejrzeń. Gdy dwaj oficerowie weszli do kajuty kapitańskiej, Ammar natychmiast wprowadził w czyn swoją taktykę:

- Wybaczcie mi, panowie, że jestem nieswój i dziwnie wyglądam, ale chyba złapałem grypę.

- Czy mam wezwać lekarza? - zapytał drugi oficer, Herbert Parker, atletyczny mężczyzna o gładkiej, chłopięcej twarzy, która widywała brzytwę jedynie w sobotnie wieczory.

Błąd, pomyślał Ammar. Znający Collinsa lekarz w mgnieniu oka rozpozna maskaradę.

- Dostałem od niego już tyle pigułek, że słoń by się nimi udławił. Czuję się na tyle dobrze, że jakoś przebrnę przez swoje obowiązki.

Trzeci oficer, Szkot o nietypowym nazwisku Jones, odgarnął z czoła kosmyk rudych włosów.

- Czy moglibyśmy coś dla pana zrobić?

- Tak, panie Jones - odparł Ammar. - Nasi ważni goście przybędą jutro po południu. Pan ich powita na statku. Nieczęsto mamy zaszczyt przyjmować dwóch prezydentów państw, toteż spółka zapewne by chciała, aby się to odbyło bardzo uroczyście.

- Tak jest, kapitanie.

- Panie Parker...

- Tak jest, kapitanie?

- W ciągu najbliższej godziny przybędzie do nas statek z ładunkiem dla spółki. Zajmie się pan nim. Dzisiaj wieczorem stawi się też oddział bezpieczeństwa. Proszę ich zakwaterować.

- Czy nie za późno powiadomiono nas o tym ładunku? Myślałem też, że egipscy i meksykańscy agenci bezpieczeństwa mają przybyć dopiero jutro rano.

- Dyrektorzy naszej spółki działają dziwnie tajemniczo - stwierdził filozoficznie Ammar. - Ten zbrojny oddział bezpieczeństwa to także ich pomysł. Na wszelki wypadek chcą mieć własnych bezpieczniaków na pokładzie.

- Jeden oddział bezpieczniaków będzie czuwał nad drugim?

- Coś w tym guście. Zapewne Lloyds zażądał dodatkowych środków ostrożności, grożąc zwiększeniem stawki ubezpieczeniowej do astronomicznej wysokości.

- Rozumiem.

- Są jakieś pytania, panowie?

Nie było żadnych i oficerowie skierowali się do wyjścia.

- Jest jeszcze jedna rzecz, Herbert - rzekł Ammar. - Chciałbym, aby załadunek odbył się jak najciszej i najszybciej.

- Tak jest, kapitanie.

Gdy tylko znaleźli się na pokładzie, Parker powiedział do Jonesa:

- Słyszałeś? Zwrócił się do mnie po imieniu. Nie sądzisz, że to dziwne?

Jones wzruszył obojętnie ramionami.

- Musi być bardziej chory, niż na to wygląda.

Podpłynął statek z ładunkiem i uruchomiono małą windę pokładową. Załadunek przebiegł gładko. Reszta ludzi Ammara również przybyła i została rozmieszczona w pustych apartamentach.

O północy statek odpłynął. Winda pokładowa na „Lady Flamborough” została schowana do luku, a podwójne drzwi ładowni zamknięto.

Ammar zastukał pięć razy w drzwi kabiny Finneya i czekał. Drzwi uchyliły się i strażnik odstał na bok. Ammar szybko spojrzał w obie strony wyłożonego dywanem korytarza, po czym wszedł.

Wskazał ruchem głowy kapitana. Strażnik podszedł i zerwał plaster z ust kapitana Collinsa.

- Bardzo mi przykro, kapitanie, ale przypuszczam, że gdybym poprosił pana o danie mi słowa, że nie będzie pan próbował uciec ani ostrzec załogi, byłoby to tylko stratą czasu.

Collins siedział sztywno na krześle ze skrupowanymi nogami i rękami, patrząc na Ammara morderczym wzrokiem.

- Ty podły rysztołowy śmieciu.

- To zabawne, jak wy, Brytyjczycy, umiecie nadać literacki kształt swym obelgom. Amerykanin na wyrażenie tego samego użyłby po prostu krótkiego plugawego słowa.

- Nie zmusi pan do współdziałania ani mnie, ani żadnego z moich oficerów.

- Nawet jeżeli każę moim ludziom podcinać po kolei gardła kobietom z załogi i rzucać je rekinom na pożarcie?

Finney rzucił się na Ammara, ale strażnik zdzielił go w brzuch kolbą automatu. Pierwszy oficer ze zduszonym jękiem opadł z powrotem na krzesło i oczy zaszyły mu mgłą bólu.

Collins nie spuszczał wzroku z Ammara.

- Można się tego spodziewać po takich bandytach jak wy.

- Nie jesteśmy fanatycznymi młodzikami żądnymi krwi niewiernych - wyjaśniał Ammar cierpliwie. - Jesteśmy profesjonalistami najwyższej klasy. Nie powtórzymy nieszczęsnego epizodu z „Achille Lauro” sprzed lat. Nie zamierzamy nikogo mordować. Naszym celem jest tylko porwanie prezydentów Hasana i De Lorenzo, a także ich sztabów, oczywiście dla okupu. Jeśli nie będziecie nam przeszkadzali, załatwimy sprawę i znikniemy.

Collins przyglądał się twarzy Ammara szukając w niej oznak kłamstwa, ale oczy tamtego wyrażały całkowitą szczerość. Kapitan nie mógł wiedzieć, że Ammar był świetnym aktorem.

- W przeciwnym razie nie zawaha się pan wymordować wszystkich moich ludzi... Czy tak?

- Pana też oczywiście.

- Czego pan chce ode mnie?

- Od pana? Właściwie niczego. Pan Parker i pan Jones uważają mnie za Olivera Collinsa. Potrzebuję usług pierwszego oficera Finneya. Niech pan zechce wydać mu rozkaz, aby podporządkował się moim poleceniom.

- Czemu właśnie Finneya? - spytał Collins.

- Zajrzałem do kartoteki w pana kajucie i przeczytałem dane personalne pańskich oficerów. Finney zna te wody.

- Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Nie możemy ryzykować wezwania pilota - wyjaśnił Ammar. - Jutro po zmroku Finney musi stanąć za sterem i wyprowadzić statek przez kanał na otwarte morze.

Collins rozważał to przez chwilę. Potem potrząsnął głową.

- Gdy władze portowe powezmą jakieś podejrzenia, zablokują wejście do portu bez względu na groźbę zamordowania całej załogi.

- Zaciemniony statek może się wymknąć z portu nocą - zapewnił go Ammar.

- Jak daleko zamierza pan zapłynąć? W obrębie stu mil każda łódź patrolowa przyskrzyni pana w ciągu dnia.

- Nie znajdą nas.

Collins patrzył nierozumiejąco.

- To szaleństwo. Nie ukryje pan takiego statku jak „Lady Flamborough”.

- Wiem - odparł Ammar z chłodnym uśmiechem na ustach. - Lecz mogę uczynić go niewidocznym.

Jones siedział pochylony nad biurkiem w swojej kajucie, robiąc notatki do

jutrzejszej uroczystości powitalnej, gdy do drzwi zastukał Parker. Wyglądał na zmęczonego, a jego mundur był wilgotny od potu.

Jones odwrócił się i spojrzał na niego.

- Skończyłeś załadunek?

- Dzięki Bogu.

- Może wypijesz coś na lepszy sen?

- Szklaneczkę twojej doskonałej szkockiej whisky? Z przyjemnością.

Jones wstał i wyjął butelkę z szuflady komody. Nalał dwie szklaneczki, jedną podał Parkerowi.

- Upiekła ci się wczesnoranna wachta. Spójrz na to od tej strony.

- Wolałbym ją pełnić, niż doglądać tego ładunku - rzekł Parker ze znużeniem. - A co z tobą?

- Właśnie skończyłem wachtę.

- Nie zawracałbym ci głowy, ale zobaczyłem światło w twoim iluminatorze. Nie ma Finneya, a musiałem z kimś pomówić.

Jones dopiero teraz zauważył wyraz zatroskania w oczach Parkera.

- Co cię trapi?

Parker wychylił whisky i patrzył w zamyśleniu na pustą szklaneczkę.

- Właśnie wzięliśmy najdziwniejszy ładunek, jaki kiedykolwiek pływał statkiem pasażerskim.

- Co to jest? - spytał Jones wyraźnie zaintrygowany.

Parker siedział nieruchomo, kręcąc głową.

- Przyrządy do malowania. Kompresory, pędzle, wałki i pięćdziesiąt beczek farby.

- Jakiego koloru? - spytał Jones.

Parker potrząsnął głową.

- Nie wiem. Beczki mają hiszpańskie napisy.

- Nic w tym niezwykłego. Pewnie spółka chce mieć to wszystko pod ręką, gdy „Lady Flamborough” pójdzie do renowacji.

- Ale to tylko połowa ładunku. Wzięliśmy też ogromne bębny folii plastikowej.

- Folia plastikowej...?

- I wielkie arkusze z włókna szklanego - dodał Parker. - Załadowaliśmy tego całe kilometry. Ledwie je przecisnęliśmy przez drzwi ładunkowe. Guzdrałem się ze trzy godziny, próbując to jakoś upchnąć.

Jones patrzył na swoją szklaneczkę współprzymkniętymi oczyma.



- Co twoim zdaniem spółka zamierza z tym zrobić?

Parker spojrział na Jonesa z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Egipcycy i meksykańscy agenci bezpieczeństwa weszli na pokład zaraz po wschodzie słońca i przystąpili do inspekcji statku, szukając ukrytych materiałów wybuchowych i sprawdzając personalia załogi. Ale z wyjątkiem kilku Hindusów i Pakistańczyków cała załoga była złożona z Brytyjczyków i nikt z nich nie miał żadnych zatargów z rządem egipskim lub meksykańskim.

Cała brygada terrorystyczna Ammara mówiła biegle po angielsku i nie uchylała się od współdziałania, okazując na wezwanie swoje sfałszowane brytyjskie paszporty i dokumenty świadczące o przynależności do służby bezpieczeństwa firmy ubezpieczeniowej.

Prezydent De Lorenzo zjawił się na pokładzie nieco później. Był to niski mężczyzna lat sześćdziesięciu kilku, sprawny fizycznie, o siwych, rozwianych wiatrem włosach i smutnych ciemnych oczach.

Został powitany przez Ammara odgrywającego rolę kapitana Collinsa. Orkiestra okrętowa zagrała hymn narodowy Meksyku, a potem przywódca meksykański i jego świta zostali odprowadzeni do apartamentów przy prawej burcie „Lady Flamborough”.

Po południu przyplłynął jacht należący do bogatego egipskiego eksportera i na pokład wszedł prezydent Hasan. Przywódca egipski stanowił całkowite przeciwieństwo swojego meksykańskiego kolegi. Był od niego młodszy, właśnie ukończył pięćdziesiąt cztery lata. Szczupły i wysoki, poruszał się niepewnie, jak człowiek chory. Jego ciemne oczy były wodniste i patrzyły na wszystko podejrzliwie.

Ceremonia powitania powtórzyła się i prezydent Hasan wraz ze swą świtą został zakwaterowany w apartamentach przy lewej burcie.

Do Punta del Este zjechało na szczyt ekonomiczny ponad pięćdziesiąt głów państw Trzeciego Świata. Część z nich zamieszkała w rezydencjach pałacowych swoich zamożnych obywateli lub w ekskluzywnym Cantegril Country Club, inni woleli spokój i odosobnienie luksusowych statków pasażerskich.

Dziennikarze i przebywający w mieście dyplomaci zapełnili wkrótce ulice i restauracje miasta. Oficjele urugwajscy martwili się, czy poradzą sobie z nagłym napływem tak wielkiej liczby ważnych osobistości zagranicznych, nie licząc normalnej liczby turystów. Policja i siły wojskowe robiły wszystko, aby zapanować nad sytuacją, lecz wkrótce zrezygnowały z wszelkich prób kierowania ruchem i skoncentrowały swe wysiłki na zapewnieniu bezpieczeństwa członkom spotkania na szczycie.

Ammar stał na prawym skrzydle mostka i obserwował miasto przez lornetkę. Opuścił ją na chwilę i spojrzął na zegarek.

Jego przyjaciel Ibn przyjrzał mu się uważnie.

- Czy liczysz minuty dzielące nas od zmroku, Sulejmanie?

- Słońce zajdzie za czterdzieści trzy minuty - odparł Ammar nie odwracając głowy.

- Woda aż się gotuje - rzekł Ibn wskazując ruchem głowy flotyllę krążących po porcie motorówek z dziennikarzami, którzy domagali się wywiadów, i z turystami chcącymi zobaczyć międzynarodowe sławy.

- Nie wpuszczać nikogo na pokład oprócz egipskich i meksykańskich delegatów z otoczenia Hasana i De Lorenzo.

- A jeśli któryś z nich zechce zejść na ląd, zanim wypłyniemy z portu?

- To niech zejdzie - powiedział Ammar. - Wszystkie czynności muszą przebiegać normalnie. Bałagan panujący w mieście działa na naszą korzyść. Nikt nie zauważy naszej nieobecności, póki nie stanie się za późno.

- Władze portowe to nie głupcy. Jeśli po zmroku nasze światła się nie ukążą, przyjadą zbadać sprawę.

- Powiadomimy ich, że nasz główny generator jest w reperaturacji. - Ammar wskazał inny statek pasażerski zakotwiczony nieco dalej, pomiędzy „Lady Flamborough” a cyplem lądu. - Jego światła będą wyglądały z brzegu jak nasze.

- Chyba że ktoś się przyjrzy uważnie...

Ammar wzruszył ramionami.

- Wystarczy nam jedna godzina, abyśmy się wydostali na otwarte morze. Urugwajskie siły bezpieczeństwa nie zaczną, nas szukać poza portem przed wschodem słońca.

- Jeżeli mamy w porę usunąć agentów egipskich i meksykańskich - rzekł Ibn - musimy zacząć już teraz.

- Macie pozakładane tłumiki na broń?

- Nasze strzały nie będą głośniejsze niż kłaśnięcie w dłonie.

- Zróbcie to naprawdę po cichu, mój przyjacielu. Stosujcie wszelkie możliwe podstępny, aby ich izolować i wykańczać pojedynczo. Bez krzyku i hałasu. Jeśli którykolwiek z nich wymknie się wam i powiadomi siły bezpieczeństwa, zginiemy wszyscy. Uświadom to swoim ludziom.

- Będzie nam potrzebna każda silna para rąk do wykonania tego zadania.

- Wykorzystaj więc wszystkich, którzy ci będą potrzebni. Nadszedł czas, abyśmy pokazali, co umiemy, i uczynili Yazida panem Egiptu.

Najpierw wyeliminowano agentów egipskich. Nie mając powodu podejrzewać ludzi

Ammara, łatwo dali się zwabić do pustych apartamentów, które szybko zamieniły się w cele śmierci.

Kiedy tylko przekraczali próg, drzwi się za nimi zamykały i jeden z ludzi Ibna z zimną krwią strzelał im prosto w serce. Potem szybko wycierano krew i składano trupy w przyległej sypialni.

Gdy przyszła kolej na Meksykan, dwóch z nich zaczęło coś podejrzewać i nie chciało wejść do apartamentu. Szybko ich jednak obezwładniono i zadźgano nożami w pustym korytarzu, zanim zdążyli wszczać alarm.

Jeden po drugim agenci szli na śmierć, razem dwunastu, aż pozostało tylko dwóch Egipcjan i trzech Meksykan, stojących na straży przed drzwiami do apartamentów swych przywódców.

Zmierzch zapadał, kiedy Ammar zdjął mundur kapitana statku i ubrał się w czarny bawełniany dres. Następnie zerwał z twarzy lateks i włożył małą błazeńską maseczkę.

Właśnie zapinał ciężki pas z dwoma pistoletami automatycznymi i urządzeniem nadawczo-odbiorczym, kiedy do drzwi zapukał Ibn.

- Zostało pięciu - zameldował. - Można ich wziąć tylko w bezpośrednim ataku.

- Dobra robota - rzekł Ammar. Spojrzał na Ibna. - Nie musimy już stosować podstępów. Bierz się za nich, tylko ostrzeż swoich ludzi, żeby uważali. Nie chcę, aby Hasan albo De Lorenzo zginęli od zabłąkanej kuli.

Ibn kiwnął głową i wydał rozkaz jednemu ze swoich ludzi oczekującemu przy drzwiach. Potem znów zwrócił się z uśmiechem do Ammara.

- Możesz uważać statek za bezpieczny.

Ammar wskazał ruchem głowy duży mosiężny zegar nad biurkiem Collinsa.

- Ruszamy za trzydzieści siedem minut. Zgromadź wszystkich pasażerów i członków załogi, z wyjątkiem mechaników. Dopilnuj, żeby w maszynowni byli gotowi uruchomić statek na mój rozkaz. Zbierz wszystkich w głównej sali jadalnej. Pora, abyśmy się ujawnili i postawili swoje żądania.

Ibn nie odpowiedział, tylko stał nieruchomo, powoli odsłaniając w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

- Allah zesłał na nas wielkie szczęście - rzekł wreszcie.

Ammar spojrzał na niego.

- Dowiemy się tego za pięć dni.

- Już teraz dał nam dobry znak. Ona tu jest.

- Ona? O czym ty mówisz?

- Hala Kamil.

Z początku Ammar nie zrozumiał. Potem nie mógł uwierzyć.

- Kamil jest tutaj, na tym statku?

- Weszła na pokład dziesięć minut temu - oznajmił Ibn cały promieniejąc. - Umieściłem ją pod strażą w kajucie jednej z członkiń załogi.

- Allach istotnie jest dla nas łaskawy - powiedział Ammar niedowierzająco.

- Tak, zesłał pajakowi muchę - rzekł Ibn. - I dał ci drugą szansę zabicia jej w imieniu Achmada Yazida.

Z nadejściem zmroku spadł mały tropikalny deszczyk, oczyścił niebo i oddalił się na północ. Wzdłuż ulic Punta del Este i na statkach w przystani rozbłysły światła, rzucając migotliwy blask na wodę.

Senator Pitt uznał to za dziwne, że „Lady Flamborough” pozostała ciemna i widać było tylko jej zarys na tle jasno oświetlonego statku zakotwiczonego poza nią. Zdawała się opuszczona, gdy łódź motorowa przepłynęła przed jej dziobem i zatrzymała się przy trapie.

Trzymając w ręku jedynie aktówkę, senator wskoczył lekko na wąską platformę. Ledwie zdążył pokonać dwa schodki, łódź zawróciła i skierowała się z powrotem do basenu portowego. Senator wszedł na pokład i zobaczył, że nikogo na nim nie ma. Musiało się tu stać coś bardzo niedobrego. Pierwszą jego myślą było, że wszedł nie na ten statek.

Jedynym dźwiękiem, jedyną oznaką życia był jakiś głos dochodzący z wnętrza nadbudówki i pomruk generatorów we wnętrzu kadłuba.

Odwrócił się, aby przywołać łódź motorową, lecz znajdowała się już za daleko i jego głos nie przedarłby się przez warkot starego, steranego silnika dieslowskiego. Nagle z cienia wyszła jakaś postać w czarnym dresie, mierząc z automatu w brzuch senatora.

- Czy to „Lady Flamborough”? - zapytał senator.

- Kim jesteś? - rzucił w odpowiedzi strażnik głosem brzmiącym prawie jak szept. - Co tutaj robisz? - Stał z lekko przechyloną głową i czekał, aż senator wytłumaczy swą obecność.

- Jestem George Pitt.

- Senator Pitt? Nie spodziewaliśmy się tu ciebie.

- Prezydent Hasan był powiadomiony o mojej wizycie - odparł senator ze zniecierpliwieniem. - Opuść z łaski swojej tę łufę i zaprowadź mnie do niego.

Oczy strażnika błysnęły podejrzliwie w blasku światła na brzegu.

- Jest z tobą ktoś jeszcze?

- Nie, jestem zupełnie sam.

- Musisz wrócić na brzeg.

Senator wskazał ruchem głowy oddalającą się coraz bardziej motorówkę.

- Nie mam jak.

Strażnik zdawał się namyślać. Wreszcie opuścił automat i przeszedł cicho po pokładzie ku jakimś drzwiom. Wyciągnął wolną rękę ku aktówce.

- Daj mi aktówkę i wejdź tutaj - rzekł cicho.

- Tu są urzędowe dokumenty - odparł senator. Przycisnął aktówkę obiema rękami do piersi i przeszedł obok strażnika.

Natknął się na grubą czarną zasłonę, odsunął ją na bok i znalazł się w wielkiej, liczącej dwa tysiące metrów kwadratowych sali jadalnej i balowej. Całe pomieszczenie było wyłożone dębową boazerią. Gromada ludzi, z których jedni siedzieli, drudzy stali, ubrani w garnitury lub mundury marynarskie, odwróciła jednocześnie głowy - jak na meczu tenisowym.

Pod ścianami stało dziewięciu ludzi, milczących, śmiertelnie poważnych, ubranych w jednakowe czarne dresy i buty do joggingu. Każdy z nich lufą przewieszoną przez ramię automatu omiatał zgromadzonych w sali.

- Witamy - zabrzmiał przez głośniki głos człowieka stojącego przed mikrofonem. Był ubrany tak samo jak ludzie z automatami, tylko na twarzy miał karnawałową błazeńską maskę. - Proszę się przedstawić - powiedział.

Senator Pitt patrzył zdezorientowany.

- Co się tutaj dzieje?

- Zechce pan wykonać moje polecenie - rzekł Ammar z lodowatą grzecznością.

- Jestem senator George Pitt, z Kongresu Stanów Zjednoczonych. Przybyłem tu na konferencję z panem prezydentem Hasanem. Podobno przebywa na tym statku.

- Prezydent siedzi w pierwszym rzędzie.

- Czemu ci ludzie trzymają wszystkich na muszkach automatów?

- To chyba oczywiste, senatorze - odparł Ammar, jakby z wysiłkiem zdobywając się na cierpliwość. - Trafił pan na statek w trakcie jego porywania.

Senator Pitt ruszył przed siebie jak zahipnotyzowany, minął kapitana Collinsa i jego oficerów i spojrzał w blade znajome twarze prezydentów Hasana i De Lorenzo. Zatrzymując się popatrzył w przerażone oczy Hali Kamil.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że ludzie ci zginą.

W milczeniu objął ramieniem Halę i nagle ogarnął go gniew.

- Na miłość boską, czy pan sobie zdaje sprawę, co pan robi?

- Wiem bardzo dobrze, co robię - rzekł Ammar. - Allah towarzyszy mi na każdym kroku. Mówiąc waszym pokerowym językiem, wzbogacił pulę przez niespodziewane przybycie pani sekretarz generalnej ONZ, a obecnie pana, senatora Stanów Zjednoczonych.

- Popelniliście poważny błąd - warknął senator wyzywająco. - Nie dożyje pan chwili, kiedy będzie pan mógł się tym chlępić.

- Jestem spokojny, że dożyję.

- Niemożliwe.

- Ależ tak, możliwe - rzekł Ammar ze złowróżbną pewnością w głosie. - Wkrótce sam się pan o tym przekona.

Nichols stał w palcie i przed wyjściem do domu wkładał papiery do aktówki, kiedy przez otwarte drzwi weszła sekretarka.

- Ktoś z Langley ze sprawą do pana.

- Niech wejdzie.

Wszedł agent CIA, którego Nichols znał. W ręku trzymał staromodną teczkę.

- Złapałeś mnie w ostatniej chwili, Keith - powiedział Nichols. - Właśnie miałem wychodzić.

Keith Farquar miał krzaczaste wąsy i gęste brązowe włosy. Był wielkim poważnym mężczyzną o zadumanych oczach, przysłoniętych okularami w rogowej oprawie. To jeden z tych, myślał Nichols, którzy stanowią fundament Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Farquar siadł nie czekając na zaproszenie, położył teczkę na kolanach, ustawił zamki cyfrowe, zwolnił je i wyłączył obwód małego ładunku zapalającego wewnątrz. Wyjął z teczki cienki skoroszyt, który położył na biurku przed Nicholsem.

- Pan Brogan prosił, żebym ci powiedział, że jakiegokolwiek pewne dane na temat Achmada Yazida są właściwie nie do zdobycia. Wszelkie zapisy dotyczące urodzenia, rodziców i przodków, wykształcenia, stanu cywilnego, dzieci, czy jakiegokolwiek wzmianki na temat postępowania prawnego w dziedzinie karnej lub cywilnej, praktycznie nie istnieją. Ponad połowa tego, co nasza sekcja bliskowschodnia zdołała zgromadzić, pochodzi z ustnych przekazów ludzi, którzy go znali. Niestety, większość z nich z takich czy innych przyczyn stało się wrogami Yazida. Ich relacje są zatem stronicze.

- Czy wasza sekcja psychologiczna sporządziła jego profil charakterologiczny? - spytał Nichols.

- Tylko jego próbny zarys. Yazid jest trudny do przeniknięcia jak burza pustynna. Wywiady dziennikarskie przeprowadza się jedynie z ludźmi z jego otoczenia, którzy mówią dwuznaczności i wzruszają ramionami.

- Co dodatkowo przyczynia się do utworzenia jakiegoś absurdalnego mirażu.

- Brogan powiedział o Yazidzie dokładnie to samo. „Wymykający się miraż.”

- Dziękuję ci za ten skoroszyt - rzekł Nichols. - I podziękuj wszystkim, którzy trudzili się zbieraniem dla mnie informacji.

- Czego się nie robi dla klienta. - Farquar zatrzasnął zamki teczki i skierował się ku drzwiom. - Miłego wieczoru.

- Nawzajem.

Nichols zadzwonił po sekretarkę. Weszła w płaszczu i z torebką w ręku.



- Mogę coś jeszcze zrobić dla pana, zanim wyjdę? - spytała lękliwie, bojąc się, że znów ją poprosi, aby została, i już trzeci dzień z rzędu pracowała po godzinach.

- Czy może pani wychodząc zadzwonić do mojej żony? - spytał Nichols. - Proszę jej powiedzieć, żeby się nie martwiła. Przyjdę na przyjęcie, ale będę jeszcze zajęty przez jakieś pół godziny.

Sekretarka odetchnęła z ulgą.

- Dobrze, proszę pana, zadzwonię. Dobranoc.

Nichols wsadził fajkę w zęby, lecz jej nie nabijał ani nie zapalał. Odsunął na bok aktówkę i nie zdejmując płaszcza usiadł i zajął się teczką Yazida.

Farquar ani trochę nie przesadził. Był to rzeczywiście skąpy materiał. Wprawdzie ostatnie sześć lat obfitowało w różne doniesienia o Yazidzie, jednak jego życie przed raptownym wychynięciem z mroków można było zamknąć w kilku zdaniach. Jego debiut w środkach masowego przekazu nastąpił w związku z aresztowaniem przez policję egipską podczas demonstracji na rzecz głodujących mas kairskich, w hallu luksusowego hotelu. Popularność zdobył przemawiając w najędzniejszych slumsach kraju.

Twierdzi, że urodził się w ziemiance wśród rozpadających się mauzoleów Miasta Umarłych na przedmieściach Kairu. Jego rodzina bytowała na wąziutkim marginesie pomiędzy śmiercią a przeżyciem, póki ojciec i dwie siostry nie umarli z chorób wywołanych niedożywieniem i okropnymi warunkami życia.

Nie otrzymał żadnego systematycznego wykształcenia, ale lata młodości spędził podobno wśród mużulańskich świętych mężów - nie znaleziono jednak żadnego z nich mogącego to potwierdzić. Yazid utrzymuje, że przemawia przez niego Mahomet, zsyłając poprzez niego objawienia wiernym i nakłaniając ich do uczynienia z Egiptu prawdziwego państwa islamskiego.

Yazid ma dźwięczny głos. Zręczna inscenizacja i sposób mówienia pozwalają mu porwać tłumy słuchaczy. Twierdzi, że filozofia zachodnia jest niezdolna do rozwiązania problemów socjoekonomicznych Egiptu. Głosi, że wszyscy Egipcjanie należą do zagubionego pokolenia, które musi się na nowo odnaleźć.

Chociaż sam gwałtownie temu zaprzecza, wszystko świadczy o tym, że dla osiągnięcia swoich celów nie waha się posługiwać terroryzmem. W pięciu różnych wypadkach - włącznie z zamordowaniem generała Sił Powietrznych, wybuchem ciężarówki-pułapki przed ambasadą sowiecką oraz noszącym znamiona wyroku zabójstwem czterech wykładowców uniwersyteckich, którzy chwalili zachodni styl życia - ślady prowadzą właśnie do niego. Trudno tego dowieść, ale z fragmentarycznych wiadomości uzyskanych

od naszych muzułmańskich informatorów wynika, że Yazid planuje kolejne posunięcie, które wyeliminuje prezydenta Hasana, jego zaś wyniesie na szczyt władzy.

Nichols odłożył teczkę, nabił i zapalił fajkę. Gdzieś na krańcach jego umysłu zakiełkowała jakaś jeszcze nie sprecyzowana myśl.

W raporcie uderzyło go coś niejasno znajomego. Odłożył lśniąca fotografię Yazida spoglądającego złowrogo w obiektyw kamery.

Nagle spadło na niego olśnienie. Odpowiedź była zarazem prosta i wstrząsająca.

Podniósł słuchawkę i wystukał zakodowany numer, z niecierpliwością bębniąc palcami po biurku, póki na drugim końcu nie odezwał się głos:

- Tu Brogan.

- Martin, dzięki Bogu. Mówi Dale Nichols.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Dale? - spytał szef CIA. - Dostałeś teczkę Achmada Yazida?

- Tak, dziękuję - odparł Nichols. - Właśnie ją przejrzałem i znalazłem coś, w czym mógłbyś mi pomóc.

- Oczywiście. Co to ma być?

- Potrzebne mi dwa typy krwi i odciski palców.

- Odciski?

- Tak.

- Obecnie posługujemy się kodami genetycznymi i DNA - odparł Brogan z nutką pobłażliwości w głosie. - Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Nichols milczał chwilę, aby pozbierać myśli.

- Gdybym ci powiedział, na pewno pomyślałbyś, że zwariowałem.

Yaeger zdjął staromodne okulary do czytania, wsunął je do kieszeni drelichowej kurtki, przetasował i ułożył plik wyciągów z komputera, a potem rozsiadł się wygodnie na fotelu i napił trochę gazowanego napoju z puszki.

- Bełkot - rzekł niemal ze smutkiem. - Klęska na całej linii. Trop sprzed tysiąca sześciuset lat jest zbyt stary, by pójść nim bez solidnych danych. Komputer nie może cofnąć się w czasie i powiedzieć, jak to było.

- Może po zbadaniu artefaktów doktor Gronquist będzie mógł określić miejsce, w którym „Serapis” dobił do brzegu - powiedziała Lily z nadzieją w głosie.

Dwa rzędy niżej i trochę w bok od nich w niewielkiej amfiteatralnej salce NUMA siedział Pitt.

- Przed godziną rozmawiałem z nim przez radio - powiedział. - Nie znalazł nic, co

pochodziłoby z basenu Morza Śródziemnego.

Ekran nad sceną wypełniał trójwymiarowy obraz Oceanu Atlantyckiego, ukazujący fałdy terenu i nieregularną geologię dna morskiego. Wszyscy wydawali się nim pochłonięci bez reszty. Ich oczy były jak przykute do ekranu nawet wtedy, gdy mówili.

Wszyscy z wyjątkiem admirała Jamesa Sandeckera. Jego oczy bowiem obserwowały podejrzliwie Ala Giordino, a raczej wielkie cygaro wyrastające z kącika ust zastępcy dyrektora planowania, zupełnie jakby wykiełkowało tam z nasionka.

- Kiedy zacząłeś kupować Excalibury Hoyo de Monterrey?

Giordino spojrział z miną niewiniątka na admirała.

- Do mnie mówisz, admirale?

- Skoro ty i ja jesteśmy tutaj jedynymi ludźmi palącymi excalibury, a ja nie mam zwyczaju rozmawiania z sobą samym, jest to chyba oczywiste.

- Są wspaniałe, bardzo smakowite - rzekł Giordino wyjmując z ust grube cygaro i wypuszczając błękitny dymek. - Podzielam twój wykwintny smak.

- Skąd je masz?

- Z małego sklepiku w Baltimore. Zapomniałem nazwy.

Sandecker nie dał się nabrać. Giordino podkradał mu te kosztowne cygara od lat. Ale najbardziej doprowadzało admirała do szału to, że nie wiedział, w jaki sposób. Choćby nie wiadomo jak je chował i nie wiadomo gdzie zamykał, zawsze po przeliczeniu okazywało się, że mu paru cygar brakuje.

Giordino ukrywał ten swój sekret przed Pittem, aby jego najlepszy przyjaciel nie musiał kłamać, gdyby go zapytano. Tylko on sam i jego stary koleżka z Sił Powietrznych, który był zawodowym włamywaczem pewnej agencji wywiadowczej, znali szczegóły techniczne operacji „Cygaro”.

- Chętnie obejrzałbym paragon - warknął Sandecker.

- Zabraliśmy się do tej sprawy od złej strony - ciągnął Pitt.

- A jest jakaś inna możliwość? - spytał Yaeger. - Obraliśmy jedyną logiczną drogę.

- Bez jakiegokolwiek wskazówki co do kierunku wyprawy, zadanie jest niewykonalne - poparła go Lily.

- Szkoda, że Rufinus nie notował dziennych pozycji statku i przebytej drogi - westchnął Sandecker.

- Miał surowo zabronione zapisywanie czegokolwiek.

- Czy oni w ogóle umieli wtedy określać swoją pozycję na morzu? - spytał Giordino.

Lily kiwnęła głową.

- Grek Hipparch określił pozycje naziemnych punktów orientacyjnych, obliczając ich długość i szerokość geograficzną, już sto trzydzieści lat przed Chrystusem.

Sandecker splótł ręce na swym płaskim brzuchu i spojrzął znad okularów na Pitta.

- Znam ten błędny wyraz twoich oczu. Coś cię gnębi.

Pitt rozciągnął się niedbale na krześle.

- Zabawiamy się w zgadywanki, nie biorąc pod uwagę osobowości człowieka, który przesz mugłował skarby Biblioteki.

- Juniusza Venatora?

- Bystrego faceta - ciągnął Pitt - uważanego przez współczesnych za „śmiałego innowatora, który nie bał się zapuszczać na obszary trwoźnie omijane przez innych uczonych”. Pominęliśmy tu kwestię zasadniczą: gdzie będąc na miejscu Venatora my sami zawieźlibyśmy i ukryli te ogromne skarby literatury i sztuki?

- Ja wciąż upieram się przy Afryce - rzekł Yaeger. - Najlepiej za Przylądkiem Dobrej Nadziei, w górze jakiejś rzeki wzdłuż wschodniego wybrzeża.

- Jednakże twoje komputery nie znalazły niczego podobnego.

- Rzeczywiście nie - przyznał Yaeger. - Ale Bóg jeden wie, jak bardzo od czasów Venatora zmieniła się linia brzegowa.

- Czy Venator mógł poprowadzić flotę na północny wschód, w głąb Morza Czarnego?

- spytała Lily.

- Rufinus mówi wyraźnie o pięćdziesięciu ośmiu dniach podróży - powiedział Giordino.

Sandecker kiwnął głową wypuszczając dym z cygara.

- Tak, ale jeżeli flota natrafiła na złą pogodę lub przeciwny wiatr, mogła w tym czasie przepłynąć mniej niż tysiąc mil.

- Admirał ma rację - zgodził się Yaeger. - Statki z tego okresu budowano w taki sposób, aby pływały z wiatrem. Przy swoim ożaglowaniu bardzo opornie chodziły na wiatr. Nie sprzyjające warunki pogodowe mogły obniżyć ich prędkość nawet o osiemdziesiąt procent.

- Tylko że Venator - rzekł Pitt z naciskiem - załadował na swoje statki „cztery razy więcej żywności niż normalnie”.

- Wybierał się w daleką podróż - powiedziała zaintrygowana Lily. - Wcale nie zamierzał dobijać co kilka dni do brzegu, by uzupełniać żywność.

- Wszystko to według mnie dowodzi - rzekł Sandecker - że Venator chciał utrzymać całą podróż w jak największej tajemnicy, starając się nie dobijać do brzegu, by nie

zostawiać śladów.

Pitt potrząsnął głową.

- Gdy tylko statki opuściły Cieśninę Gibraltarską, skończyła się potrzeba zachowywania tajemnicy. Venator stał się wolny i bezpieczny. Wysyłane za nim statki bizantyjskie były tak jak my zdezorientowane co do jego dalszego kursu.

Yaeger spojrział na Pitta z rozbawieniem.

- Wczuwamy się zatem w rolę Venatora i co? Co zamierzamy?

- Doktor Rothberg nieświadomie wpadł na klucz do tajemnicy - wyjaśnił Pitt. - Stwierdził, że Venator musiał ukryć skarby tam, gdzie nikomu z jego współczesnych nie przyszłoby do głowy ich szukać.

Yaeger patrzył na niego nierozumiejąco.

- To mogło być na całym obszarze starożytnego świata.

- Albo poza nim.

- Starożytne mapy nie sięgały dużo dalej niż Afryka Północna z jednej strony, a Morze Czarne i Zatoka Perska z drugiej - powiedziała Lily. - Wszystko poza tym było nie zbadane.

- Nie wiemy tego na pewno - sprzeciwił się Pitt. - Juniusz Venator miał dostęp do liczącej sobie cztery tysiące lat skarbnicy wiedzy. Wiedział o istnieniu kontynentu afrykańskiego i bezkresnych stepów Rosji. Wiedział o handlu z Indiami, które z kolei prowadziły handel z Chinami. I musiał czytać opisy wypraw morskich do miejsc poza normalnymi bizantyjsko-rzymskimi szlakami handlowymi.

- Wiemy, że Biblioteka Aleksandryjska posiadała cały dział poświęcony kartografii, geograficznym opisom - powiedziała Lily. - Venator mógł się oprzeć na mapach źródłowych sporządzonych w znacznie wcześniejszym okresie.

- Co twoim zdaniem odkrył? - spytał Sandecker.

- Szlak - odparł Pitt.

Wszyscy patrzyli z zaciekawieniem na niego. Nie zawiódł ich. Podszedł do estrady i wziął latarkę, która rzucała świetlistą strzałkę na trójwymiarowy obraz na ekranie.

- Mnie interesuje tylko jedno - rzekł Giordino - gdzie skierowała się flota, na północ czy na południe.

- Ani na północ, ani na południe. - Pitt przesunął strzałkę przez Cieśninę Gibraltarską i poprowadził przez Atlantyck. - Venator powiódł swoją flotę przez Atlantyck do którejś z Ameryk.

Stwierdzenie to powitano z niedowierzaniem.

- Nie mamy żadnych dowodów archeologicznych na jakikolwiek prekolumbijski kontakt z którąś z Ameryk - stwierdziła Lily ze zdecydowaniem.

- „Serapis” może być niezłym dowodem, że taka podróż mogła się odbyć - rzekł Sandecker.

- Sprawa jest zbyt dyskusyjna - przyznał Pitt. - Ale istnieje zbyt wiele podobieństw w sztuce i kulturze Majów i naszej, by je zignorować. Starożytna Ameryka mogła wcale nie być tak odizolowana od wpływów europejskich, jak myśleliśmy.

- Ja to kupuję, słowo daję - rzekł Yaeger z nowym entuzjazmem. - Stawiam swoją kolekcję płyt Williego Nelsona, że Fenicjanie, Egipcjanie, Grecy, Rzymianie i wikingowie przybijali do brzegów obu Ameryk na długo przed Kolumbem.

- Żaden szanujący się archeolog nie poprze cię w tym stwierdzeniu - powiedziała Lily.

Giordino uśmiechnął się do niej.

- Bo nie chcą ryzykować swojej cennej reputacji.

Sandecker spojrział na Yaegera.

- Zróbmy jeszcze jedną próbę.

- Które brzegi mam zbadać? - spytał Yaeger Pitta.

Pitt podrapał się w brodę. Pomyślał, że powinien się ogolić.

- Zaczynj od fiordu w Grenlandii i jedź na południe, aż do Panamy. - Umilkł, aby popatrzeć w zamyśleniu na obraz brzegów na ekranie. - To musi być gdzieś tam.

Kapitan Oliver Collins postukał knykciami w barometr na mostku. Odszukał z wysiłkiem ledwie widoczną w blasku światła brzegu igłę i zaklął pod wąsem ujrawszy, że wskazuje dobrą pogodę. Gdyby nadszedł sztorm, jego statek nie mógłby wyjść z portu.

Collins był świetnym marynarzem, lecz kiepskim znawcą ludzkiej natury. Sulejman Aziz Ammar kazałby wypłynąć nawet w środku huraganu, przy wietrze wiejącym z prędkością dziewięćdziesięciu węzłów na godzinę. Siedział teraz spięty na miejscu kapitana przed oknami kabiny mostka i ocierał pot ściekający mu na szyję.

Maska była prawdziwą udręką w tym wilgotnym klimacie, tak samo zresztą rękawiczki, których nie zdejmował. Znosił te niewygody ze stoicyzmem. Gdyby porwanie się nie udało i musiałyby uciekać, międzynarodowe służby wywiadowcze nie będą mogły go zidentyfikować na podstawie zeznań świadków lub odcisków palców.

Jeden z jego ludzi przejął ster i patrzył na niego wyczekująco. Dwaj inni strzegli wejścia na mostek, mając broń wymierzoną w Collinsa i pierwszego oficera Finneya, który stał obok sternika Ammara.

Zaczął się przypływ i obrócił statek na kotwicy tak, że jego dziób skierował się do wejścia do portu. Ammar ostatni raz omiół spojrzeniem przez lornetkę port i doki, po czym dał znak Finneyowi.

- Teraz - rozkazał. - Ruszaj i każ ludziom zabrać się do roboty.

Finney, z wykrzywioną gniewem twarzą, spojrzał błagalnie na kapitana, chcąc zlekceważyć to polecenie. Kapitan jednak wzruszył ramionami i pierwszy oficer wydał niechętnie rozkaz podniesienia kotwicy.

W dwie minuty później ociekająca mulem z dna basenu portowego kotwica wynurzyła się z czarnej wody i zawisała przy kluzie. Sternik stał przy kole sterowym, ale nie chwycił za szprychy. Na nowoczesnych statkach ręczne sterowanie stosuje się jedynie w czasie burz oraz kiedy statek jest pod dowództwem pilota podczas wchodzenia i wychodzenia z portu. To Finney sterował statkiem i regulował jego szybkość przy tablicy rozdzielczej, połączonej za pomocą światłowodów ze zautomatyzowanym systemem kontrolnym. Pilnie też obserwował ekran radaru.

Posuwając się jak duch w wieczornym mroku, widoczna tylko wtedy, gdy zasłaniała światła na przeciwległym brzegu, „Lady Flamborough” przemykała niezauważalnie przez zatłoczony basen portu. Mruczały silniki poruszające w wodzie wielkie śruby z brązu.

Jak duch sunący po omacku wśród grobów na cmentarzu, statek przepłynął między innymi zakotwiczonymi jednostkami i wszedł w wąski kanał wiodący na otwarte morze.

Ammar podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z radiem.

- Jest coś? - spytał.

- Jeszcze nie - odparł człowiek prowadzący nasłuch radiowy na częstotliwości używanej przez łódzie patrolowe marynarki urugwajskiej.

- Jeśli coś będzie, przełącz na głośniki na mostku.

- Tak jest.

- Jacht na kursie - oznajmił Finney. - Musimy ustąpić mu z drogi.

Ammar przyłożył lufę pistoletu do głowy pierwszego oficera.

- Nie zmieniaj kursu ani prędkości.

- Dojdzie do kolizji - zaprotestował Finney. - Nie mamy świateł. Oni nas nie zobaczą.

Jedyną odpowiedzią był silniejszy nacisk lufy pistoletu.

Teraz wyraźnie widzieli przybliżającą się jednostkę. Był to duży luksusowy jacht motorowy. Collins obliczał jego długość na czterdzieści, a szerokość na osiem metrów. Był piękny, elegancki i jarzył się światłami. Na pokładzie odbywało się przyjęcie i ludzie stali grupkami rozmawiając lub tańczyli. Collins zmartwiaił ujrawszy, że antena radarowa jachtu się nie obraca.

- Pozwól dać sygnał syreną - błagał. - Póki jeszcze jest szansa, aby się mogli usunąć.

Ammar zignorował go.

Mijały sekundy, aż stało się jasne, że zderzenie jest nieuniknione. Ludzie bawiący się na jachcie i człowiek u steru byli całkowicie nieświadomi obecności wielkiego stalowego potwora nacierającego na nich w mroku.

- Ta nieludzkie! - wykrzyknął Collins. - To jest nieludzkie!

„Lady Flamborough” wyrznęła dziobem w sam środek prawej burty jachtu. Nie było przeraźliwego zgrzytu metalu o metal. Ludzie na mostku statku pasażerskiego odczuli tylko leciutkie drgnienie, kiedy wysoki na cztery piętra dziób wgniół niemal cały jacht pod wodę, nim przeciął jego kadłub na pół.

Collins zaciskał dłonie na relingu, patrząc z przerażeniem na tę katastrofę. Słyszał wyraźnie przerażone krzyki kobiet, gdy obie części rozprutego jachtu drapały o burty „Lady Flamborough”, nim zatoneły niecałe pięćdziesiąt metrów od jej rufy. Ciemna powierzchnia morza usłana była szczątkami jachtu i ciałami.

Kilku nieszczęsnych pasażerów wyrzuconych przy zderzeniu za burtę próbowało się ratować płynąc ku brzegowi, ranni czepiali się wszystkiego, co pływało.

W piersi Finneya wezbrała gorycz i gniew.

- Ty morderco! - krzyknął do Ammara.



- Tylko Allah zna nieprzewidziane - rzekł Ammar głosem oddalonym i obojętnym. Odjął pistolet od czaszki Finneya. - Gdy tylko opuścimy kanał, weź kurs na jeden-pięć-pięć i włącz automatycznego pilota.

Poszarzały pod opalenizną Collins odwrócił się i spojrzał na przywódcę porywaczy.

- Na miłość boską, niechże pan da znać do portu i pozwoli uratować tych ludzi.

- Żadnej łączności.

- Nie musi pan mówić, kto nadaje wiadomość.

Ammar potrząsnął głową.

- W niespełną godzinę po powiadomieniu miejscowych władz o katastrofie władze bezpieczeństwa rozpoczną śledztwo. Szybko odkryją naszą nieobecność i zarządzą pościg. Przykro mi, kapitanie, ale dla nas liczy się każda mila morska między Punta del Este a rufą statku.

Collins patrzył w oczy Ammara bez słowa, starając się w oszołomieniu zebrać myśli. W końcu rzekł:

- Jakiej żąda pan ceny za uwolnienie mego statku?

- Jeżeli pan i pana załoga będziecie robili, co rozkażę, nic się wam złego nie stanie.

- A pasażerom? Prezydentom De Lorenzo i Hasanowi oraz ich otoczeniu? Co pan zamierza z nimi zrobić?

- Zostaną uwolnieni, kiedy dostanę okup. Ale w ciągu następnych dziesięciu godzin będą musieli sobie trochę ubrudzić ręce...

Collins czuł w ustach gorycz bezradności, lecz głos miał beznamiętny:

- Pan ich nie trzyma dla pieniędzy.

- Czyżby poza żeglowaniem był pan specjalistą od czytania cudzych myśli?

- Nie trzeba być antropologiem, by wiedzieć, że pana ludzie są z Bliskiego Wschodu.

Zgaduję, że chce pan zgładzić Egipcjan.

Ammar uśmiechnął się.

- O ludzkim losie decyduje Allah. Ja tylko wypełniam polecenia.

- Od kogo są te polecenia?

Nim Ammar zdążył odpowiedzieć, z głośnika mostka padła informacja:

- Spotkanie druga trzydzieści, komendancie.

Ammar potwierdził otrzymanie wiadomości przez swój nadajnik. Potem spojrzał na Collinsa.

- Nie mamy czasu na rozmowę, kapitanie. Musimy jeszcze bardzo wiele zrobić przed świtem.

- Jakie są pana zamiary względem mego statku? - spytał Collins. - Winien mi pan odpowiedź na to pytanie.

- Tak, oczywiście - mruknął Ammar, wyraźnie myślami już gdzie indziej. - Jutro wieczorem o tej porze w międzynarodowym serwisie wiadomości będzie doniesienie, że „Lady Flamborough” jest uznana za zaginioną i według wszelkich przypuszczeń spoczywa wraz z całą załogą i pasażerami na dnie oceanu.

- Słyszałeś coś, Carlos? - spytał stary rybak ściskający wyrobione szprychy koła sterowego rybackiego kutra.

Młodszy mężczyzna, który był jego synem, przyłożył dłonie do uszu i wpatrzył się w ciemność przed dziobem.

- Masz lepszy słuch niż ja, ojczec. Słyszę jedynie warkot silnika.

- Zdawało mi się, że coś słyszę. Jakby krzyk kobiety wołającej o pomoc.

Syn posłuchał chwilę i wzruszył ramionami.

- Nadal nic.

- Naprawdę coś słyszałem. - Luiz Chavez potarł rękawem siwą szczecinę na brodzie i wrzucił jałowy bieg. - Nie przyśniło mi się.

Chavez był w świetnym nastroju. Połów się udał. Ładownie zostały zapełnione tylko do połowy, ale w sieciach znalazły się różne różności, za które weźmie najwyższe ceny od szefów restauracji hotelowych i pensjonatowych. Sześć butelek wina, które bulgotało mu w żołądku, również miało swój udział w jego dobrym nastroju.

- Ojczec, widzę coś w wodzie.

- Gdzie?

Carlos wskazał ręką.

- Z lewej burty. Jakby szczątki łodzi.

Oczy starego rybaka nie były nocą tak bystre jak niegdyś. Wyteżył wzrok patrząc we wskazaną stronę. W blasku świateł kutra zaczęły się pojawiać jakieś szczątki. Lśniąca biała farba i politura pozwoliły rybakowi stwierdzić, że były to szczątki jachtu. Wybuch albo kolizja, pomyślał. Zdecydował jednak, że musiała to być kolizja. Port znajdował się około dwa kilometry od nich. Eksplozja musiałaby być widoczna i słyszalna, a nie widział żadnych świateł nawigacyjnych łodzi ratunkowych płynących na miejsce katastrofy.

Kuter wpływał właśnie na obszar usłany szczątkami, gdy stary rybak znów coś usłyszał. To, co przedtem zabrzmiało jak krzyk, teraz wydawało się raczej łkaniem. Dochodziło skądś z bliska.

- Ściągnij tu z kuchni Raula, Justina i Manuela. Szybko. Niech przygotują się do wyławiania z wody rozbitków.

Chłopak pobiegł wykonać polecenie, a Chavez zatrzymał silnik. Wyszedł zza koła sterowego, zapalił reflektor i wolno omiatał smugą światła wodę.

Dostrzegł dwie skulone postacie, leżące połową ciała na kawałku tekowego pokładu. Znajdowały się niecałe dwadzieścia metrów od kutra. Jedna z nich leżała nieruchomo. Był

to mężczyzna. Druga, kobieta z twarzą białą jak kreda, patrzyła w blask reflektora i rozpaczliwie machała ręką. Nagle zaczęła histerycznie krzyczeć i młócić ramieniem wodę.

- Trzymaj się! - krzyknął Chavez. - Nie wpadaj w panikę. Płyniemy do ciebie.

Odwrócił się na odgłos biegnących stóp. Z nadbudówki wybiegła załoga i szybko zgromadziła się wokół niego.

- Widzisz coś? - zapytali.

- Dwoje rozbitków uczepionych szczątków jachtu. Przygotujcie się do wciągnięcia ich na pokład. Być może jeden z was będzie musiał wskoczyć do wody, żeby im pomóc.

- Nikt dzisiaj w nocy nie wskoczy do wody - rzekł blednąc nagle jeden z załogi.

Chavez odwrócił się w chwili, gdy kobieta wydała z siebie krzyk przerażenia. Serce starego rybaka zamarło, kiedy ujrzał wysoką płetwę i paskudny łeb z okiem czarnym jak atrament, szarpiący się na boki ze szczękami zaciśniętymi na nogach kobiety.

- Mario, Matko Chrystusowa! - wymamrotał żegnając się Carlos.

Chavez drżał cały, lecz nie mógł oderwać wzroku, gdy rekin ciągnął kobietę w głąb morza. Wokół krążyły inne rekiny przyciągnięte zapachem krwi i uderzały w kawałek pokładu, póki leżący na nim mężczyzna nie stoczył się do wody. Jeden z rybaków odwrócił się i zwymiotował za burzę, a tymczasem przeraźliwy krzyk kobiety przemienił się w bulgot.

Potem zapadła cisza.

W niespełna godzinę później pułkownik Jose Rojas, urugwajski Główny Koordynator Specjalnych Służb Bezpieczeństwa, stał sztywno przed grupą oficerów w mundurach polowych. Po ukończeniu krajowej szkoły wojskowej przeszedł szkolenie w British Grenadiers Guards, skąd zapożyczył przestarzały nawyk noszenia trzcinki.

Stał nad stołem z makietą nabrzeża Punta del Este i przemawiał do zgromadzonych:

- Utworzymy trzy zespoły pływające, które będą patrolowały doki przez trzy ośmiogodzinne zmiany - mówił uderzając trzcinką w rozwartą dłoń dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji. - Naszym zadaniem jest zachowanie stałej czujności na wypadek ataku terrorystycznego. Zdaję sobie sprawę, że trudno wam będzie nie rzucać się w oczy, lecz mimo wszystko spróbujcie. Nocami trzymajcie się cienia, za dnia unikajcie głównych tras. Nie chcemy wystraszyć turystów ani pozwolić im sądzić, że Urugwaj jest krajem zmilitaryzowanym. Są pytania?

Porucznik Eduardo Vazquez podniósł rękę.

- Słucham cię, Vazquez.

- Co mamy robić, gdy zobaczymy kogoś o podejrzanym wyglądzie?

- Nic, tylko donieść o tym. Prawdopodobnie okaże się, że to jeden z

międzynarodowych agentów bezpieczeństwa.

- A jeśli będzie uzbrojony?

Rojas westchnął.

- Wówczas będzie na pewno wiadomo, że to agent bezpieczeństwa. Zostawcie sprawy międzynarodowe dyplomatom. Czy wszystko jasne?

Żadna ręka nie uniosła się do góry.

Rojas odprawił ludzi i wszedł do swojego tymczasowego biura w budynku komendantury portu. Zatrzymał się przy ekspresie do kawy, żeby nalać sobie filiżankę. Podszedł do niego adiutant.

- Kapitan Flores z Wydziału Marynarki prosi o spotkanie na dole.

- Mówił, w jakiej sprawie?

- Nie, ale twierdzi, że to pilne.

Rojas nie chciał rozlać swojej kawy, więc wsiadł do windy, zamiast zejść po schodach. Flores, w nieskazitelnym białym mundurze, powitał go na parterze i nic nie wyjaśniając poprowadził na drugą stronę ulicy do hangaru, w którym trzymano kutry ratunkowe straży przybrzeżnej. W hangarze stała grupka ludzi oglądających jakieś pogruchotane szczątki, które wydały się pułkownikowi szczątkami jachtu.

Kapitan Flores przedstawił mu Chaveza i jego syna.

- Ci rybacy przywieźli przed chwilą te szczątki. Znaleźli je w kanale portowym - zaczął wyjaśniać. - Ich zdaniem są to szczątki jachtu, który uległ zderzeniu z jakimś statkiem.

- Czemu sprawa katastrofy jachtu miałaby dotyczyć specjalnych sił bezpieczeństwa?

Komendant portu, niski mężczyzna o krótko przystrzyżonych włosach i najeżonym wąsiku, powiedział:

- Bo to nieszczęście może rzucić cień na spotkanie na szczycie. - Urwał, a po chwili dodał: - Ekipy ratownicze są już na miejscu wypadku. Jak dotąd nie odnaleziono żadnych rozbitków.

- Zidentyfikowaliście ten jacht?

- Jeden z wyłowionych przez pana Chaveza kawałków burty nosi napis „Lola”.

Rojas potrząsnął głową.

- Jestem żołnierzem. Nie znam się na jachtach. Czy to powinno mi coś mówić?

- Jacht został tak nazwany na cześć żony Victora Rivery - odparł Flores. - Zna go pan?

Rojas stężał.

- Znam przewodniczącego Izby Deputowanych. To był jego jacht?

- Był zarejestrowany na jego nazwisko - rzekł Flores. - Skontaktowaliśmy się z jego sekretarką. Oczywiście nie informowaliśmy jej o niczym. Zapytaliśmy jedynie, gdzie jest pan Rivera. Odpowiedziała, że na pokładzie swego jachtu. Urządził na nim przyjęcie dla argentyńskich i brazylijskich dyplomatów.

- Ilu...? - zapytał Rojas z rosnącym lękiem.

- Rivera i jego żona, dwadzieścioro troje gości i pięciu członków załogi. Razem trzydzieści osób.

- Nazwiska?

- Sekretarka nie miała u siebie w mieszkaniu spisu zaproszonych gości. Pozwoliłem sobie wysłać adiutanta do biura Rivery po kopię.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli od tej chwili przejmę śledztwo w swoje ręce - stwierdził urzędowym tonem Rojas.

- Marynarka bardzo chętnie udzieli panu wszelkiej możliwej pomocy - rzekł Flores z ulgą.

- Kto spowodował to zderzenie? - spytał Rojas komendanta portu.

- Nie wiadomo. W ciągu ostatnich dziesięciu godzin żaden statek ani nie przyplłynął, ani nie wypłynął z portu.

- Czy to możliwe, by jakiś statek wszedł do portu bez pańskiej wiedzy?

- Jego kapitan musiałby być głupcem, żeby nie wezwać pilota...

- Czy to możliwe? - powtórzył swoje pytanie Rojas.

- Nie - stwierdził stanowczo komendant portu. - Żaden statek oceaniczny nie mógłby stanąć na redzie ani w dokach bez mojej wiedzy.

- A wypłynąć?

Komendant portu zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Nie mógłby odbić od brzegu bez mojej wiedzy. Lecz jeśli stał na redzie i jego kapitan lub któryś z oficerów znał kanał, a poza tym jeżeli płynął bez świateł, mógł wypłynąć na morze nie zauważony. Muszę jednak stwierdzić, że to graniczyłoby z cudem.

- Czy może pan dostarczyć kapitanowi Floresowi listę statków stojących na kotwicy?

- Będę ją miał za dziesięć minut.

- Kapitanie Flores, ponieważ chodzi tu o operację morską, chciałbym, aby to pan zajął się poszukiwaniem tego statku.

- Tak jest, pułkowniku. Zajmę się tym bezzwłocznie.

Rojas patrzył w zamyśleniu na szczątki jachtu leżące w hangarze.

- Diabli wiedzą, co jeszcze się stanie, zanim ta noc się skończy - mruknął.

Wkrótce przed północą kapitan Flores, ukończywszy dokładny przegląd basenu portowego i wód u wylotu kanału, powiadomił Rojasa, że statkiem, którego brakuje, jest „Lady Flamborough”.

Pułkownik Rojas był zdumiony, gdy zapoznał się ze spisem pasażerów tego luksusowego statku. Zarządził poszukiwania w płonnej nadziei, że prezydenci Meksyku i Egiptu przenieśli się na kwatery na lądzie. Dopiero kiedy się upewnił, że zniknęli wraz ze statkiem, straszliwe widmo terrorystycznego porwania stało się dla niego oczywistym faktem.

O świcie wszczęto intensywne poszukiwania lotnicze. Wszystkie samoloty, jakimi dysponowały połączone siły lotnicze Urugwaju, Argentyny i Brazylii, przeszukiwały obszar 400 000 kilometrów kwadratowych południowego Atlantyku.

Nie znaleziono ani śladu „Lady Flamborough”.

Zupełnie jakby statek został pochłonięty przez morze.

Po plecach Pitta przesuwały się dwie dłonie. Starał się wyrwać z nieprzyjemnego snu, w którym był głęboko pod wodą i usiłował wypłynąć na roziskrzoną powierzchnię, ale nie mógł. Przetarł oczy, zobaczył, że wciąż leży na kanapie w swoim biurze, i obrócił się na plecy. Jego wzrok przykuła para kształtnych nóg.

Usiadł i spojrzał w rozbawione oczy Lily. Chciał rzucić okiem na zegarek, ale nie miał go na ręku. Leżał wraz z kluczami i portfelem na biurku.

- Która godzina? - spytał.

- Wpół do szóstej - odparła z uśmiechem, masując mu szyję i ramiona.

- W dzień czy w nocy?

- Po południu. Spałeś tylko trzy godziny.

- A ty nigdy nie sypiasz?

- Mnie wystarczają cztery godziny snu na dobę.

Ziewnął.

- Twój przyszły mąż zasługuje na najgłębsze współczucie.

- Masz, napij się kawy. - Postawiła kubek na stoliku przy jego głowie.

Pitt wsunął stopy w buty i wetknął koszulę w spodnie.

- Czy Yaeger coś znalazł?

- Tak.

- Rzekę?

- Nie, jeszcze nie. Wypowiada się bardzo tajemniczo, ale twierdzi, że miałeś rację.

Venator przepłynął Atlantyk, zanim uczynili to wikingowie i po nich Kolumb.

Pitt łyknął kawy i skrzywił się z niesmakiem.

- Ta kawa to prawie sam cukier.

Lily zdziwiła się.

- Al mówił, że zawsze wsypujesz sobie cztery łyżeczki.

- Skłamał. Zawsze piję gorzką z fusami na dnie kubka.

- Przepraszam - powiedziała z pozbawionym wyrzutów uśmiechem. - Dałam się nabrać temu kawalarzowi.

- Nie ty pierwsza - odparł Pitt wychodząc z biura.

Giordino siedział z nogami opartymi na biurku Yaegera i studiując mapę dojadł ostatni kawałek pizzy.

Wpatrzony przekrwionymi oczyma w ekran komputera Yaeger robił zapiski w notatniku. Nie musiał się odwracać, żeby zobaczyć, kto wszedł. Widział odbicie Lily i Pitta



w ekranie.

- Robimy postępy - rzekł z satysfakcją.

- Co osiągnąłeś? - spytał Pitt.

- Zamiast koncentrować się na każdym załamaniu linii brzegowej na południe od grobowca „Serapisa” na Grenlandii, przeskoczyłem od razu do Maine.

- I opłaciło się? - spytał Pitt z nadzieją.

- Tak. O ile sobie przypominasz, Rufinus pisał, że gdy zostawili Venatora, przez trzydzieści jeden dni byli nękani sztormami z południa, a potem znaleźli bezpieczną zatokę, w której mogli się zająć reperacją statku. W czasie następnego etapu podróży nowe sztormy porwały im żagle i pozbawiły wiosel sterowych. Potem statek dryfował przez niewiadomą liczbę dni, aż w końcu dotarł do grenlandzkiego fiordu.

Yaeger umilkł i wywołał na ekranie obraz amerykańskich brzegów północnego Atlantyku. Następnie wystukał na klawiaturze szereg kodów. Pokazała się mała strzałka i zaczęła się przesuwać na południe od wschodniego wybrzeża Grenlandii, następnie przerywaną zygzakowatą ścieżką wokół Nowej Funlandii, obok Nowej Szkocji i Nowej Anglii, po czym zatrzymała się w punkcie położonym nieco powyżej Atlantic City.

- New Jersey - mruknął zaskoczony Pitt.

- Ściśle mówiąc, zatoka Barnegat - rzekł Giordino. Przyniósł swoją mapę topograficzną i położył na stole. Potem zrobił flamastrem kółko w miejscu, o którym mówili.

- Zatoka Barnegat, New Jersey - powtórzył Pitt.

- Ukształtowanie lądu w roku trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym było całkiem inne - zaczął rzeczowo wyklądać Yaeger. - Pas plaży był bardziej pozałamywany, a zatoka głębsza i bardziej osłonięta.

- Jak trafiłeś na to miejsce? - spytał Pitt.

- W swoim opisie zatoki Rufinus wspomniał o wielkim „morzu” karłowatych sosen, w którym przy dźgnięciu kijem z piasku wytryskuje świeża woda. W New Jersey jest las sosen karłowatych odpowiadający temu opisowi. Nazywa się Pine Barrens i ciągnie się przez cały stan na południu, sięgając morza na wschodzie. Poziom wód gruntowych jest tam tuż pod powierzchnią ziemi. Wiosną lub po ulewnych deszczach można rzeczywiście wydłubać dziurę w piachu i trafić na wodę.

- Wygląda to obiecująco - rzekł Pitt. - Ale czy Rufinus nie mówił czegoś o kamieniu balastowym?

- Przyznaję, że mnie też zabiło to klina. Zadzwoiłem więc do geologa Wojskowego

Korpusu Inżynieryjnego. Powiedział o kamieniołomie, który mi ostatecznie wskazał miejsce przybicia „Serapisa” do lądu.

- Dobra robota - rzekł Pitt. - Trafiłeś na właściwy trop.

- I co teraz? - zapytała Lily.

- Będę szukał dalej na południe - odparł Yaeger. - Jednocześnie każę moim ludziom wyliczyć przybliżony kurs Venatora na zachód od Hiszpanii. Wydaje się, że wyspy, do których flota przybiła po raz pierwszy po opuszczeniu Morza Śródziemnego, musiały być Indiami Zachodnimi. Kontynuując drogę „Serapisa” z New Jersey i przedłużając jego szlak na południe, w odległości pięciuset mil znajdziemy przecięcie obu linii, które powinno wypaść u ujścia rzeki pasującego do posiadanego opisu. Lily miała sceptyczny wyraz twarzy.

- Nie rozumiem, jak zamierzasz prześledzić szlak Venatora, skoro zakazał rejestrowania kierunku, prądów, wiatrów i odległości.

- To żadna sprawa - odparł Yaeger. - Wezmę opisy podróży Kolumba do Nowego Świata, oczywiście uwzględniając poprawki wynikające z odmiennej budowy, oporu wody, różnicy w ożaglowaniu i powierzchni żagli pomiędzy jego statkami a flotą bizantyjską, starszą o tysiąc lat.

- Mówisz, jakby to było bardzo proste.

- Wcale takie nie jest. Może wreszcie osiągniemy cel, ale zajmie to nam jeszcze co najmniej cztery pełne dni.

Znużenie, a także długie godziny żmudnych badań jakby poszły w niepamięć. Zaczerwienione oczy Yaegera płonęły wolą zwycięstwa. Lily wydawała się naelektryzowana nadmiarem energii. Wszyscy byli pełni napięcia, jakby oczekiwali wystrzału z pistoletu na linii startu.

- Zrób to - powiedział Pitt. - Znajdź tę cholerną Bibliotekę.

Pitt sądził, że Sandecker posłał po niego, ponieważ chciał się dowiedzieć, jak idą poszukiwania, kiedy jednak ujrzał wyraz twarzy admirała, zaraz domyślił się, że stało się coś złego.

A gdy Sandecker podszedł, wziął go pod ramię, posadził na kanapie i sam usiadł obok, Pitt wiedział już na pewno, że coś się stało.

- Właśnie otrzymałem niepokojącą wiadomość z Białego Domu - zaczął Sandecker. - Brytyjski statek, na którym przebywali w Punta del Este w Urugwaju prezydenci Hasan i De Lorenzo, został prawdopodobnie porwany.

- To niewesoło - rzekł Pitt. - Ale co do tego może mieć NUMA?

- Na pokładzie statku była też Hala Kamil.

- Do diabła!

- A także senator.

- Mój ojciec...? - wymamrotał Pitt. - Przedwczoraj w nocy rozmawiałem z nim przez telefon. Skąd się wziął w Urugwaju?

- Pojechał tam z polecenia prezydenta.

Pitt wstał, przeszedł się po pokoju i znów usiadł.

- Jak wygląda sytuacja?

- Wczoraj wieczorem ten brytyjski statek znikł z portu Punta del Este. To „Lady Flamborough”.

- A gdzie jest teraz?

- Intensywne poszukiwania lotnicze nie dały rezultatu. Wedle mniemania miejscowych władz statek spoczywa na dnie morza.

- Wobec braku niezbitych dowodów to jeszcze nic pewnego.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

- A warunki pogodowe?

- Z raportu z tego obszaru wynika, że pogoda była dobra, a morze spokojne.

- Statki toną w czasie burz - powiedział Pitt. - Rzadko na spokojnych wodach.

- Póki nie otrzymamy bliższych szczegółów, możemy tylko snuć domysły - stwierdził bezradnie Sandecker.

Pitt nie mógł uwierzyć, że jego ojciec nie żyje. To, co słyszał, było nieprzekonywające.

- Co Biały Dom w związku z tym zamierza zrobić?

- Prezydent ma związane ręce.

- To śmieszne - powiedział Pitt. - Mógłby kazać wszystkim jednostkom pływającym na tamtym obszarze włączyć się do poszukiwań.

- W tym sęk - rzekł Sandecker. - Z wyjątkiem okresowych manewrów, które obecnie się nie odbywają, Stany Zjednoczone nie mają żadnych jednostek marynarki na południowym Atlantyku.

Pitt wstał i spojrzał przez okno na światła Waszyngtonu. Potem spojrzał ostro na Sandeckera.

- Chcesz powiedzieć, że rząd Stanów Zjednoczonych nie ma zamiaru wziąć udziału w akcji poszukiwawczej?

- Na to wygląda.

- A co stoi na przeszkodzie, żeby zajęła się tym NUMA?

- Nic, prócz tego, że nie posiadamy flotylii statków Straży Przybrzeżnej ani lotniskowca.

- Ale mamy „Soundera”.

Sandecker chwilę milczał. Potem jego twarz przybrała pytający wyraz.

- Jeden z naszych statków badawczych?

- Który za pomocą sonaru pracuje nad mapą dna morskiego u południowych brzegów Brazylii.

Sandecker kiwnął głową.

- Dobra, wiem, do czego zmierzasz, ale „Sounder” jest zbyt powolny, żeby się przydać w rozległych poszukiwaniach morskich. Co chcesz przy jego pomocy osiągnąć?

- Jeśli nie można znaleźć tego statku na powierzchni morza, poszukam go pod nią.

- Tu chodzi o tysiąc mil kwadratowych, może nawet więcej.

- Sonar „Soundera” może objąć pas szerokości dwóch mil, ma poza tym na pokładzie batyskaf. Potrzebuję tylko twego pozwolenia, by objąć jego dowództwo.

- Będzie ci potrzebny ktoś do pomocy.

- Al Giordino i Rudi Gunn. Tworzymy zgrany zespół.

- Rudi jest zajęty podwodnymi pracami wiertniczymi w okolicy Wysp Kanaryjskich.

- Mógłby się znaleźć w Urugwaju w ciągu osiemnastu godzin.

Sandecker splótł dłonie z tyłu głowy i wlepił wzrok w sufit. Czuł w głębi ducha, że Pitt ściga majaki, lecz ani przez chwilę nie wątpił, jaką da mu odpowiedź.

- Napisz podanie - rzekł w końcu. - Poprę cię.

- Dziękuję, admirale - rzekł Pitt. - Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Jak wyglądają sprawy z Biblioteką Aleksandryjską?

- Yaeger i doktor Sharp są bliscy rozwiązania zagadki. Nie potrzebują pomocy mojej ani Ala.

Sandecker wstał i położył dłonie na ramionach Pitta.

- Jak wiesz, wcale nie wiadomo, czy on zginął.

- Lepiej, żeby nie zginął - rzekł Pitt z ponurym uśmiechem. - Bo nigdy bym mu tego nie wybaczył.

- Do licha, Martin! - zawołał prezydent. - Czy twoi ludzie na Bliskim Wschodzie nie zwietrzyli spisku zmierzającego do porwania „Lady Flamborough”?

Martin Brogan, dyrektor CIA, wzruszył ramionami. Był uodporniony na zarzuty stawiane mu przy okazji każdego aktu terrorystycznego, w którym ginęli lub byli brani jako zakładnicy Amerykanie. Sukcesy CIA rzadko bywały rozgłaszane, natomiast wszystkie błędy stanowiły przedmiot badań Kongresu i ataków ze strony środków masowego przekazu.

- Statek wraz z całą załogą i pasażerami został porwany sprzed nosa najlepszych agentów świata - odparł. - Musiało to być zaplanowane i zrealizowane przez człowieka bardzo przebiegłego. Sam zasięg tego przedsięwzięcia dalece przerasta jakąkolwiek akcję terrorystyczną w przeszłości. Wcale się nie dziwię, że nasze siły antyterrorystyczne nic o tym nie wiedziały.

Alan Mercier, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, zdjął okulary i przetarł szkła chusteczką.

- Moje służby też zawiodły - powiedział. - Analizy systemów podsłuchowych nie ujawniły niczego, co by wskazywało na zamiar porwania luksusowego statku pasażerskiego i uprowadzenia przywódców dwóch państw.

- Skazałem starego przyjaciela na śmierć, wysyłając go na spotkanie z prezydentem Hasanem - rzekł prezydent ze smutkiem.

- To nie pana wina - pocieszał go Mercier.

Prezydent uderzył z gniewem pięścią w biurko.

- Senator, Hala Kamil, De Lorenzo i Hasan. Nie chce mi się wierzyć, że wszyscy oni nie żyją.

- Nie wiemy tego na pewno - powiedział Mercier.

Prezydent spojrzał na niego.

- Nie można ukryć statku pasażerskiego i wszystkich ludzi na pokładzie, Alan. Nawet tak tępy polityk jak ja wie o tym.

- Wciąż istnieje szansa, że...

- Jaka tam szansa! Wszyscy ci nieszczęśnicy zostali prawdopodobnie zamknięci, a potem statek zatopiono. Terroryci pewnie nawet nie zamierzali uciekać i też poszli pod wodę.

- Nie znamy jeszcze wszystkich faktów - upierał się Mercier.

- Więc co naprawdę wiemy? - spytał prezydent.

- Nasi eksperci są już w Punta del Este i pracują u boku urugwajskich agentów bezpieczeństwa - wyjaśnił Brogan. - Jak dotąd, mamy jedynie wstępne wnioski. Po pierwsze, porwania dokonali Arabowie. Zgłosili się dwaj świadkowie, którzy przepływali obok łodzią motorową, kiedy „Lady Flamborough” brała jakiś ładunek z barki. Słyszeli, jak załogi obu statków rozmawiały po arabsku. Barki nie znaleziono i zakłada się, że leży gdzieś na dnie portu.

- Czy wiadomo, jaki to był ładunek? - spytał Mercier.

- Świadkowie mówią o jakichś beczkach - odparł Brogan. - Po drugie, do komendantury portu przyszło z „Lady Flamborough” fałszywe doniesienie, że statek ma zepsuty główny generator i będzie miał tylko światła nawigacyjne dopóty, dopóki generator nie zostanie naprawiony. Gdy zapadły ciemności, nie oświetlony statek podniósł kotwicę i wymknął się z portu, zderzając się po drodze z prywatnym jachtem wiozącym biznesmenów i dyplomatów południowoamerykańskich. Jedyne partactwo w bezbłędnym poza tym działaniu. Po tym wypadku statek znikł.

- Rzeczywiście - powiedział Mercier. - Całkiem inaczej jak ta spaprana druga próba zamachu na Halę Kamil.

- Mamy tu do czynienia z zupełnie inną grupą niż tamta - dodał Brogan.

- Którą łączysz bezpośrednio z Achmadem Yazidem - odezwał się po raz pierwszy podczas tego spotkania Dale Nichols.

- Tak, tamci zamachowcy nie byli zbyt ostrożni. Przy ich zwłokach znaleziono paszporty egipskie. Jednego z nich, przywódcę, zidentyfikowaliśmy jako mułłę i fanatycznego zwolennika Yazida.

- Uważasz, że Yazid jest odpowiedzialny i za to porwanie?

- Ma w każdym razie motyw - odparł Brogan. - Po usunięciu prezydenta Hasana będzie miał otwartą drogę do przejęcia władzy w Egipcie.

- To samo odnosi się do prezydenta De Lorenzo, Topiltzina i Meksyku - stwierdził Nichols.

- Ciekawe powiązanie - rzekł Mercier.

- Co możemy zrobić oprócz wysłania do Urugwaju kilku specjalistów CIA od terroryzmu? - spytał prezydent. - Jakie mamy możliwości pomocy w poszukiwaniach „Lady Flamborough”?

- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: niewiele - rzekł Brogan. - Ale śledztwo jest w dobrych rękach. Szefowie urugwajskiej policji i służby bezpieczeństwa szkolili się tutaj i w Wielkiej Brytanii. Znają się na rzeczy i chętnie współpracują z naszymi ekspertami... -

Urwał unikając wzroku prezydenta. - Co do drugiego pytania też niewiele. Departament Marynarki nie ma żadnych okrętów patrolujących ocean u wybrzeży Ameryki Południowej. Najbliżej tego obszaru znajduje się atomowa łódź podwodna przebywająca w rejsie ćwiczebnym w okolicach Antarktydy. Nasi latynosecy przyjaciele świetnie sobie radzą bez nas. Ponad osiemdziesiąt wojskowych i cywilnych samolotów oraz co najmniej czternaście statków z Argentyny, Brazylii i Urugwaju przeczesuje już od świtu morze wokół Punta del Este.

- I nie znalazły klucza do zagadki, co stało się z „Lady Flamborough”... - powiedział z przygnębieniem prezydent.

- Znajdą - rzekł Mercier zwięźle.

- Z całą pewnością ciała i szczątki statku się znajdą - powiedział Brogan brutalnie. - Żaden statek tych rozmiarów nie może zniknąć nie zostawiając śladów.

- Czy sprawa już się dostała do prasy? - spytał prezydent.

- Mówiono mi, że wiadomość o tym została przed godziną ogłoszona przez stacje radiowe - odparł Nichols.

Prezydent złożył dłonie i ścisnął je mocno.

- Ale w Kongresie rozpęta się piekło, kiedy się dowiedzą, że jeden z ich członków padł ofiarą zamachu terrorystycznego!

- Sam cel misji senatora już wystarczy, żeby wywołać niebywały skandal, jeśli nastąpi przeciek - powiedział Nichols.

- Zastanawiające, że terroryści mogą mordować przywódców międzynarodowych i dyplomatów, a przy okazji także wielu innych ludzi, i dostają za to najwyżej kilka lat więzienia - dumiał prezydent. - Ale kiedy my próbujemy stosować ich metody i bierzemy się za nich przy użyciu broni, od razu podnosi się krzyk, że jesteśmy amoralnymi, żądnymi krwi mścicielami. Zaraz rzucają się na nas środki masowego przekazu i Kongres żąda wszczęcia postępowania dochodzeniowego.

- Niełatwo być porządnym - rzekł Brogan. W jego głosie dało się słyszeć zmęczenie.

Nichols wstał i przeciągnął się.

- Nie sądzę, abyśmy musieli się o to martwić. Nic nie zostało zapisane na papierze ani nagrane na taśmę. I tylko tu obecni wiedzą, po co senator George Pitt poleciał do Punta del Este.

- Dale ma rację - rzekł Mercier. - Możemy wytłumaczyć jego misję na mnóstwo sposobów.

Prezydent rozplótł dłonie i przetaił zmęczone oczy.

- Jeszcze nie minął tydzień od śmierci George'a, a my już staramy się osłonić swoje tyłki.

- Ten problem jest niczym w porównaniu z klęską polityczną, jaka nas czeka w Egipcie i Meksyku - powiedział Nichols. - Wobec śmierci Hasana Egipt wstąpi na drogę Iranu i stanie się nieodwracalnie stracony dla Zachodu. A Meksyk... - Zawahał się. - Lada moment na naszej własnej granicy wybuchnie bomba.

- Co proponujesz jako szef mego gabinetu i mój najbliższy doradca?

Nicholsa ścisnęło w żołądku i serce zabiło mu szybciej. Prezydent i dwaj jego pozostali doradcy patrzyli na niego. Zastanawiał się, czy ucisk w żołądku jest wynikiem skierowanej na niego uwagi zebranych, czy myśli o katastrofie grożącej w polityce zagranicznej.

- Proponuję, abyśmy poczekali na dowody, że „Lady Flamborough” i jej pasażerowie rzeczywiście spoczywają na dnie oceanu.

- A jeśli ich nie zdobędziemy? - spytał prezydent. - Czy będziemy czekać, aż Egipt i Meksyk, których przywódcy zniknęli i prawdopodobnie nie żyją, zostaną zagarnięte przez Topiltzina i Achmada Yazida, tych dwóch zwariowanych megalomanów? Co wtedy? Czy mamy jeszcze jakiś sposób powstrzymania ich, nim będzie za późno?

- Oprócz zamachu żadnego. - Ręka Nicholsa nerwowo masowała bolący żołądek. - Możemy się tylko przygotować na najgorsze.

- To znaczy...?

- Spisać Egipt na straty - rzekł Nichols ponuro - i dokonać inwazji na Meksyk.



Stolica Urugwaju, Montevideo, stała w potokach ulewnego deszczu, gdy mały odrzutowiec wyłonił się z chmur i zniżył do lądowania. Dotknąwszy kołami ziemi, minął terminal komercyjny i pokołował betonowym pasem ku grupie hangarów obstawionych rzędami odrzutowych myśliwców. Podjechał ford z wojskowymi oznaczeniami i poprowadził samolot na obszar parkingowy zarezerwowany dla samolotów ważnych osobistości.

Pułkownik Rojas stał w pomieszczeniu biurowym hangaru i spoglądał przez ociekającą strugami wody szybę. Kiedy samolot się przybliżył, Rojas odczytał litery NUMA na pasie koloru akwamaryny biegnącym wzdłuż kadłuba. Szum silników ustał i po chwili z samolotu wyszli trzej mężczyźni. Wsiedli do forda i ruszyli nim do hangaru, w którym czekał Rojas.

Pułkownik podszedł do drzwi i patrzył, jak jego adiutant, młody porucznik, prowadzi ich przez ogromną wybetonowaną halę.

Tuż za porucznikiem szedł swobodnym energicznym krokiem niski mężczyzna o gęstych kędzierzawych czarnych włosach i wypukłej piersi. Miał dłonie i ramiona jak niedźwiedzie łapy. Spoglądał spode łba i odsłaniał w drwiącym uśmiechu białe równe zęby.

Drugi z nowo przybyłych, o wąskich biodrach i ramionach, w okularach w rogowej oprawie, wyglądał jak księgowy, który wybrał się na inspekcję jakiejś spółki. Niósł aktówkę i dwie książki pod pachą. Sprawiał wrażenie człowieka w pełni kompetentnego.

Wysoki mężczyzna zamykający pochód miał czarne faliste włosy i gęste brwi, a jego opalona twarz była nieprzystępna i surowa. Cechowała go jakaś obojętność, jakby gotów był przyjąć tak samo skazanie na pobyt w więzieniu, jak i obietnicę spędzenia wakacji na Tahiti. Rojas nie dał się jednak zwieść, mężczyznę zdradziło jego przenikliwe spojrzenie. Rojas wyszedł przed drzwi i zsalutował.

- Witam w Urugwaju, panowie. Pułkownik Jose Rojas, na panów usługi. - Potem, mówiąc doskonałą angielszczyzną z lekkim nalotem cockneya nabytego od Brytyjczyków, zwrócił się do wysokiego mężczyzny: - Bardzo się cieszę ze spotkania z panem po naszej rozmowie przez telefon, panie Pitt.

Pitt stanął między pozostałymi dwoma mężczyznami i uściśnął dłoń Rojas.

- Dziękuję za poświęcenie nam czasu. - Odwrócił się i przedstawił mężczyznę w okularach: - To Rudi Gunn, a ten kryminalny typ po mojej prawej ręce to Al Giordino.

Rojas skłonił lekko głowę i trzepnął trzcinką po starannie zaprasowanych spodniach.

- Proszę mi wybaczyć to spartańskie otoczenie, ale po porwaniu statku nasz kraj

najechała armia zagranicznych dziennikarzy. Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy z dala od tej hordy.

- Bardzo słusznie - zgodził się Pitt.

- Może chcielibyście panowie trochę odpocząć po długim locie i zjeść obiad w kasynie oficerskim Sił Powietrznych?

- Dziękujemy, pułkowniku - odrzekł Pitt - ale jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, zamierzamy od razu przystąpić do rzeczy.

- Więc proszę za mną, zorientuję panów w szczegółach naszej operacji.

W biurze Rojas przedstawił im kapitana Floresa, który koordynował powietrzno-morskie poszukiwania. Następnie skinął na trzech Amerykanów, aby zbliżyli się do stołu z rozłożonymi mapami morskimi oraz zdjęciami satelitarnymi.

Przed rozpoczęciem odprawy pułkownik spojrzął na Pitta i powiedział:

- Bardzo mi przykro z powodu ojca pana, który był na tym statku. Gdy rozmawiałem z panem przez telefon, wcale pan nie wspomniał, że jest jego synem.

- Jest pan dobrze poinformowany - rzekł Pitt.

- Łączę się co godzinę z doradcą do spraw bezpieczeństwa waszego prezydenta.

- Ludzie z naszego wywiadu w Waszyngtonie, którzy mi przedstawiali sytuację, bardzo chwalili pańską aktywność.

Rojas nie spodziewał się usłyszeć takiego komplementu.

- Żałuję, że nie mam dla pana żadnej optymistycznej wiadomości. Od czasu pana wyjazdu ze Stanów nie zaszło nic nowego... Czy mogę zaproponować panom kieliszek naszej doskonałej urugwajskiej brandy?

- To brzmi nieźle - rzekł Giordino. - Zwłaszcza w deszczowy dzień.

Rojas kiwnął na adiutanta.

- Poruczniku, niech pan pełni honory gospodarza domu. - Potem pochylił się nad stołem i złożył razem kilka powiększonych czarno-białych zdjęć satelitarnych, tworząc z nich mozaikę akwenów, sięgających trzysta kilometrów od brzegu. - Zakładam, że panowie są zaznajomieni z technicznymi możliwościami fotografii satelitarnej?

Rudi Gunn kiwnął głową.

- NUMA realizuje obecnie trzy oceanograficzne programy satelitarne mające na celu zbadanie prądów, pływów, wiatrów powierzchniowych i tras gór lodowych.

- Ale żaden z tych programów nie koncentruje się na tym wycinku obszaru południowego Atlantyku - rzekł Rojas. - Większość bloków informacji geograficznej dotyczy Północy.

- Tak, ma pan rację. - Gunn poprawił okulary i przyjrzał się powiększonym fotografiom. - Widzę, że posłużyliście się satelitą również do badania zasobów naturalnych ziemi.

- Tak, „Landsatem”.

- I zastosowaliście specjalny system graficzny dla objęcia statków będących na morzu?

- Mieliśmy szczęście - odparł Rojas. - Orbita satelity odchyła się ku morzu u wybrzeży Urugwaju tylko raz na szesnaście dni. Stało się to akurat wtedy, kiedy trzeba.

- „Landsat” jest przeznaczony przede wszystkim do badań geologicznych - powiedział Gunn. - Kamery zwykle wyłączają się w celu zaoszczędzenia energii, gdy satelita orbituje nad oceanami. Jak pan wobec tego uzyskał te zdjęcia?

- Natychmiast po wszczęciu poszukiwań postawiliśmy na nogi nasz wydział meteorologiczny celem uzyskania prognoz meteo dla łodzi patrolowych i samolotów - wyjaśnił Rojas. - Jednego z meteorologów coś tknęło, by sprawdzić orbitę „Landsata”, i wówczas okazało się, że będzie on przechodził nad rejonem poszukiwań. Wystąpił więc z prośbą do waszego rządu, aby kamery zostały włączone. Włączono je godzinę wcześniej i do stacji odbiorczej w Buenos Aires zaczęły napływać sygnały.

- Czy na zdjęciach z „Landsata” może być widoczny cel wielkości „Lady Flamborough”? - spytał Giordino.

- Nie zobaczysz go w szczegółach, jak na zdjęciach o wysokiej rozdzielczości z satelitów typu szpiegowskiego - odparł Pitt - ale powinien być widoczny jako kropeczka.

- Dokładnie tak - rzekł Rojas. - Zresztą zobaczycie panowie sami.

Postawił dużą podświetloną soczewkę powiększającą na małym wycinku mozaiki zdjęć satelitarnych i odsunął się do tyłu.

Pitt spojrział pierwszy.

- Widzę dwa... nie, trzy statki.

- Zidentyfikowaliśmy je wszystkie.

Rojas odwrócił się i skinął na kapitana Floresa, który zaczął głośno czytać z kartki niepoprawną angielszczyzną:

- Największy z tych statków to chilijski rudowęglowiec, „Cabo Gallegos”, wiozący z Punta Arenas do Dakaru ładunek węgla.

- Ten płynący na północ, na samym dole zdjęcia? - spytał Pitt.

- Tak - powiedział Flores. - To właśnie „Cabo Gallegos”. Ten naprzeciwnie, u góry zdjęcia, płynie na południe. Pływa pod banderą meksykańską. To kontenerowiec „General

Bravo”, wiozący dostawy i ekwipunek wiertniczy do San Pablo.

- Gdzie jest San Pablo? - spytał Giordino.

- To taki mały port na południowym krańcu Argentyny - odparł Rojas. - W zeszłym roku trafiono tam na ropę.

- A ten statek między nimi i bliżej brzegu to „Lady Flamborough”. - Flores wypowiedział nazwę statku jakby z namaszczeniem.

Pojawił się adiutant Rojasa z butelką brandy i pięcioma kieliszkami. Pułkownik uniósł jeden z nich i powiedział:

- Saludos.

- Salute - odpowiedzieli Amerykanie.

Pitt wypił spory łyk, który, jak później przysięgał, wypalił mu migdałki. Zanim oddał szkło powiększające Gunnowi, przyjrzał się ponownie małej plamce na zdjęciu.

- Nie mogę się zorientować, w jakim kierunku płynie.

- Po wymknięciu się z Punta del Este popłynęła prosto na wschód nie zmieniając kierunku.

- Czy kontaktowaliście się z tamtymi statkami?

Flores kiwnął głową.

- Żaden z nich jej nie widział.

- O której przelatywał nad nimi satelita?

- Dokładnie o trzeciej dziesiąt.

- Zdjęcia zostały wykonane w podczerwieni?

- Tak.

- Ten facet, który pomyślał o wykorzystaniu „Landsata”, powinien dostać medal - rzekł Giordino.

- Już został przedstawiony do awansu - powiedział z uśmiechem Rojas.

Pitt spojrzał na pułkownika.

- O której rozpoczął się wasz lotniczy rekonesans?

- O pierwszym brzasku. W południe otrzymaliśmy i zanalizowaliśmy zdjęcia z „Landsata”. Mogliśmy wtedy obliczyć prędkość i kurs „Lady Flamborough” i skierować statki i samoloty w rejon przejścia.

- Ale już jej tam nie było?

- Tak jest.

- Nie znaleziono żadnych szczątków?

- Łodzie patrolowe natrafiły na jakieś śmieci - rzekł kapitan Flores.

- Czy je zidentyfikowano?

- Niektóre wyciągnięto na pokład i zbadano, lecz szybko wyrzucono. Pochodziły najwyraźniej z jakiegoś statku handlowego, a nie luksusowego statku pasażerskiego.

- Co to było?

Flores poszperał w aktówce i wyjął z niej cienki skoroszyt.

- Mam tutaj krótki spis otrzymany od kapitana statku poszukiwawczego. Jeden stary zniszczony fotel, dwie spłowiałe kamizelki ratownicze, co najmniej piętnastoletnie, z instrukcjami użycia wypisanymi niemal nieczytelną hiszpańszczyzną, kilka nie oznakowanych drewnianych skrzynek, materac, pojemniki na żywność, trzy gazety: jedna z Veracruz w Meksyku, dwie pozostałe z Recife w Brazylii...

- A daty tych gazet? - przerwał mu Pitt.

Flores spojrzał na niego.

- Kapitan ich nie podał.

- Przeoczenie, które musi być naprawione - rzekł Rojas surowo, natychmiast podchwyciwszy myśl Pitta.

- Jeżeli nie jest za późno - odparł zmieszany Flores. - Musi pan przyznać, pułkowniku, że to wyglądało na śmieci, a nie szczątki wraku.

- Czy może pan obliczyć współrzędne statków na podstawie zdjęcia? - spytał Pitt.

Flores kiwnął głową i zaczął ustalać ich pozycje na mapie morskiej.

- Jeszcze po kieliszku, panowie? - spytał Rojas.

- Wspaniałe napitek - rzekł Gunn podsuwając kieliszek porucznikowi. - Czuję w nim smak kawy.

Rojas uśmiechnął się.

- Widzę, że jest pan znawcą, panie Gunn. Ma pan słuszność. Mój wuj destyluje go na swojej plantacji z kawy.

- Trochę za słodki - powiedział Giordino. - Przypomina lukrecję.

- Zawiera również anyżek - rzekł Rojas i zwrócił się do Pitta: - A panu jak smakuje? Pitt podniósł kieliszek pod światło.

- Jakby miał około dwustu procent alkoholu.

Północni Amerykanie wciąż zdumiewali Rojasa. Potrafili być niezwykle rzeczowi i zarazem zupełnie niepoważni. Często zastanawiał się, jak mogli zbudować takie supermocarstwo. Pitt roześmiał się swym zaraźliwym śmiechem.

- Ja tylko żartuję. Niech pan powie swojemu wujowi, że jeśli zechce eksportować to brandy do Stanów Zjednoczonych, chętnie podejmę się dystrybucji.

Flores odłożył cyrkle i popukał w zaznaczony ołówkiem kwadracik na mapie.

- Wczoraj o trzeciej dziesięć rano byli tutaj.

Zbliżyli się do stołu i pochylili nad mapą.

- Wszystkie trzy statki były na zbieżnych kursach - zauważył Gunn. Wyjął z kieszeni mały kalkulator i zaczął wciskać guziki. - Jeśli przyjmę, że „Lady Flamborough” miała szybkość trzydziestu węzłów, „Cabo Gallegos” osiemnaście, a „General Bravo” dwadzieścia dwa... - Umilkł notując coś na skraju mapy. Po kilku chwilach wyprostował się i postukał ołówkiem w otrzymane liczby. - Chilijski rudowęgłowiec nie miał kontaktu wzrokowego z „Lady Flamborough”. Przeciął jej kurs dobre sześćdziesiąt cztery kilometry na wschód.

Pitt patrzył w zamyśleniu na linie nakreślone na mapie.

- Ale ten kontenerowiec meksykański minął się z „Lady Flamborough” o trzy do czterech kilometrów.

- Mógł jej nie widzieć - rzekł Rojas. - Płynęła bez świateł.

Pitt spojrzał na Floresa.

- Czy przypomina pan sobie fazę księżyca, kapitanie?

- Tak, pomiędzy nowiem a pierwszą kwadrą, sierp.

Giordino potrząsnął głową.

- Było za ciemno, aby wachtowy na mostku zobaczył statek, jeśli nie patrzył w jego kierunku.

- Zakładam, że rozpoczęliście poszukiwania od tego miejsca - powiedział Pitt.

Flores kiwnął głową.

- Tak, samoloty przepatrzyły morze skrawek po skrawku, dwieście mil na wschód, północ i południe.

- I nie znalazły jej?

- Nie, tylko kontenerowiec i rudowęgłowiec.

- Mogła zawrócić, a potem skierować się na północ lub południe - zauważył Gunn.

- Myśleliśmy też i o tym - powiedział Flores. - Wracając po paliwo, samoloty przebadały cały obszar aż do brzegów.

- Biorąc pod uwagę wszystkie fakty - rzekł Gunn ponuro - obawiam się, że jedynym miejscem, gdzie „Lady Flamborough” może się znajdować, jest dno morza.

- Zanotuj jej ostatnią pozycję, Rudi, i oblicz, jak daleko mogła dotrzeć, nim pojawiły się samoloty.

Rojas spojrzał na Pitta z zaciekawieniem.

- Mogę zapytać, co pan zamierza zrobić? Dalsze poszukiwania są bezcelowe. Cały

obszar, na którym zniknęła, został już dokładnie przeszukany,

Pitt spojrzał na Rój asa, jakby ten był przezroczysty.

- Rudi powiedział: „jedynym miejscem, gdzie statek może się znajdować, jest dno morza”. I tam właśnie będziemy go szukać.

- Jak mogę panom pomóc?

- „Sounder”, statek badawczy NUMA, powinien dziś wieczorem znaleźć się na obszarze poszukiwań. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby jeden ze śmigłowców zawiózł nas na jego pokład.

Rojas kiwnął głową.

- Zaraz wydam polecenie, by czekali na was. - Potem dodał: - Zdaje pan sobie sprawę, że będzie to jak polowanie na jedną określoną rybę na dziesiątkach tysięcy kilometrów kwadratowych morza? Zajmie to panu resztę życia.

- Nie - odparł Pitt z przekonaniem. - Najwyżej dwadzieścia godzin.

Rojas był człowiekiem pragmatycznym. Obce mu były pobożne życzenia. Spojrzał na Giordina, a potem na Gunna, szukając w ich oczach odzwierciedlenia swojego sceptycyzmu. Dostrzegł jednak tylko niewzruszoną pewność.

- Ten termin nie może być chyba realny? - spytał.

Giordino podniósł rękę i przyjrzał się własnym paznokciom.

- Jeśli moje doświadczenie może być tu sędzią - odparł spokojnie - Dirk przyjął go z dużym zapasem.

Dokładnie w czternaście godzin i czterdzieści dwie minuty od chwili, gdy urugwajski helikopter wojskowy zostawił ich na pokładzie „Soundera”, znaleźli na głębokości tysiąca dwudziestu metrów wrak odpowiadający wymiarom „Lady Flamborough”.

Za którymś z nawrotów cel ukazał się ich oczom jako maleńka ciemna plamka na płaskiej równinie tuż pod skarpą kontynentalną.

Gdy „Sounder” się przybliżył, operator sonaru zmniejszył zasięg zapisu, aż widmowy obraz statku stał się dostrzegalnym kształtem.

„Sounder” nie miał na swoim pokładzie kosztownych urządzeń obserwacyjnych, jakie służyły Pittowi i Ałowi Giordino na statku „Polar Explorer”. Nie miał też kolorowych kamer video na holowanym sensorze sonaru. Zadaniem oceanografów było wykonanie map dużych wycinków dna morskiego, urządzenia elektroniczne „Soundera” były więc przeznaczone do zdalnej obserwacji dna, nie zaś szczegółów zatopionych obiektów.

- Niezbyt wyraźny - rzekł Gunn. - Może mi się tylko zdaje, ale statek ma chyba skośny komin na nadbudówce rufowej. Burty wysokie i proste. Stoi na dnie prawie pionowo, z przechylem nie większym niż dziesięcioprocentowy.

Giordino wstrzymał się ze swoim zdaniem.

- Będziemy musieli obejrzeć go przez kamery, żeby ostatecznie zidentyfikować.

Pitt nic nie powiedział. Wpatrywał się w ekran sonaru nawet wtedy, gdy obiekt znikł już za rufą „Soundera”. Opuściła go nadzieja znalezienia ojca żywego. Czuł się, jakby patrzył na jego trumnę.

- Świetna robota, przyjacielu - rzekł do niego Giordino. - Naprowadziłeś nas prościutko na cel.

- Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? - spytał Frank Stewart, szyper „Soundera”.

- Założyłem, że „Lady Flamborough” nie zmieniła kursu po przecięciu szlaku „General Bravo” - wyjaśnił Pitt. - A ponieważ patrolujące samoloty nie zauważyły jej za szlakiem „Cabo Gallegos”, zdecydowałem, że należy skoncentrować poszukiwania na pasie ciągnącym się na wschód od miejsca, w którym ją zlokalizował „Landsat”.

- Krótko mówiąc, w wąskim pasie pomiędzy „General Bravo” i „Cabo Gallegos” - rzekł Giordino.

- Na to wychodzi - przyznał Pitt.

Gunn spojrział na niego.

- Przykro mi, ale nie jest to sytuacja, która nadawałaby się do uczczenia.

- Chcesz posłać na dół naszego robota z kamerą? - spytał Stewart.



- Nie - odparł Pitt - możemy zyskać na czasie wysyłając od razu sondę z ludzką obsadą. Bardzo przydatne będą też jej ramiona mechaniczne, gdybyśmy chcieli wziąć coś z wraku.

- „Deep Rover” będzie gotowy do zanurzenia za pół godziny - rzekł Stewart. - Czy ty będziesz jego operatorem?

Pitt kiwnął głową.

- Tak, sprowadzę go na dół.

- Ale pamiętaj, że tysiąc metrów zanurzenia to granica jego możliwości.

- Nic się nie martw - rzucił pocieszająco Rudi Gunn. - „Deep Rover” ma na tej głębokości współczynnik bezpieczeństwa cztery do jednego.

- Wolałbym spłynąć z wodospadu Niagara w volkswagenie - rzekł kapitan - niż opuścić się na głębokość kilometra w takiej plastikowej bańce.

Stewart był wytrawnym żeglarzem i umiał pływać, lecz bał się głębokiej wody i nie chciał się nauczyć nurkowania. Spełniał prośby i kaprysy naukowców związane z ich oceanograficznymi badaniami na zwykłych zasadach: nasz klient - nasz pan. Lecz kierowanie statkiem było jego wyłączną domeną i każdy pracownik NUMA, który by zechciał odgrywać Długiego Silvera przed jego załogą, dostawał od niego surową odprawę.

- Ta plastikowa bańka - rzekł Pitt - jest akrylową kulą o ściankach ponad dwunastocentymetrowej grubości.

- Wolę siedzieć w słońcu na pokładzie i machać ręką na pożegnanie temu, kto siedzi pod wodą w tym urządzeniu - mruknął Stewart wychodząc.

- Lubię go - rzekł Giordino markotnie. - Jest całkowicie pozbawiony savoir faire, ale go lubię.

- Wy dwaj macie ze sobą coś wspólnego - powiedział Pitt.

Gunn utrwalił obraz wraku na taśmie video i przyglądał mu się w zamyśleniu. Podniósł okulary na czoło i przetarł oczy.

- Kadłub wygląda na nie naruszony. Żadnego śladu uszkodzeń. Czemu u licha zatonął?

- No właśnie - mruknął Giordino. - I czemu nie wypłynęły żadne szczątki?

Pitt również spojrział na rozmazany obraz.

- Pamiętacie „Cyklopa”? Ten statek też zaginął bez śladu.

- Jakże moglibyśmy zapomnieć? - jęknął Giordino. - Jeszcze nosimy po nim blizny.

Gunn podniósł na niego wzrok.

- Nie można porównywać kiepsko obciążonego statku zbudowanego na początku

wieku z nowoczesnym luksusowym statkiem pasażerskim, wyposażonym w tysiące zabezpieczeń.

- Na pewno nie znalazł się na dnie z powodu sztormu - rzekł Pitt. - Ale wkrótce się dowiemy, dlaczego - dodał spokojnie. - Za dwie godziny będziemy na jego pokładzie.

„Deep Rover” wyglądał, jakby czuł się bardziej u siebie orbitując w przestrzeni kosmicznej, niż opuszczając się w głębiny oceanów. Miał kształt, jaki mogą lubić jedynie Marsjanie. Z kulistego kadłuba batyskafu wystawały najrozmaitsze dziwne akcesoria: dysze sterownicze i silniki, butle z tlenem, pojemniki na dwutlenek węgla, mechanizmy mocujące, systemy kamer, sonar. Ale na widok wystających z przodu manipulatorów nawet najbardziej szanujący się robot zzieleniałby z zazdrości. Mówiąc po prostu, były to mechaniczne ramiona i dłonie mogące zrobić wszystko, co potrafią zrobić ręce z krwi i kości, a nawet więcej. System sensorów umożliwiał operowanie mechanizmem z dokładnością do tysięcznych centymetra, pozwalał chwytakom manipulatorów trzymać delikatnie filiżankę i spodek, a także chwycić i unieść żelazny piec.

Pitt i Giordino krążyli wokół „Deep Rovera”, gdy tymczasem dwaj inżynierowie czynili przy nim ostatnie przygotowania. Batyskaf stał na stojaku wewnątrz obszernej komory zwanej „księżycową”. Platforma ze stojakiem stanowiła część kadłuba „Soundera” i mogła być opuszczana na dwadzieścia stóp w głąb morza.

Wreszcie jeden z inżynierów kiwnął głową i powiedział:

- Jest gotowy.

Pitt klepnął Giordina po plecach.

- Proszę bardzo.

- Dobra, ja zajmę się kamerami i manipulatorami - rzekł jowialnie Giordino. - Ty będziesz prowadził, ale uważaj na ruch uliczny.

- Nie ucz go - wrzasnął Stewart z galerii na górze głosem dudniącym echem w komorze. - Ale wracajcie cało, dam wam za to buziaka.

- Mnie też? - odkrzyknął Giordino.

- Też.

- A będę mógł wyjąć sztuczne zęby?

- Co tylko zechcesz.

- I ty to nazywasz zachętą? - rzekł Pitt cierpko. Był jednak wdzięczny kapitanowi za chęć odwrócenia jego uwagi od tego, co mogą zastać na dole. - Wolałbym raczej czmychnąć do Afryki.

- Musiałbyś zabrać chyba z ciężarówkę tlenu - odparł Stewart.

Podszedł Gunn, który nie słyszał tej dobroduszej wymiany zdań, ponieważ miał już na uszach słuchawki. Wokół kolan dyndał mu przewód.

- Będę kontrolował waszą radiolatarnię audiolokacyjną i łączność. - Próbował mówić suchym tonem, ale w jego głosie dawało się wyczuć współczucie. - Jak tylko zobaczycie dno, zaczniście się obracać, póki wasz sonar nie wyśledzi wraku. Potem podajcie mi swój kierunek. Chciałbym, żebyście mnie informowali o każdym swoim kroku.

Pitt uściśnął dłoń Gunna.

- Będziemy w kontakcie.

Gunn spojrział ze smutkiem na starego przyjaciela.

- Jesteś pewien, że nie wolałbyś pozostać na powierzchni? Zszedłbym pod wodę zamiast ciebie.

- Muszę się przekonać na własne oczy.

- Powodzenia - mruknął Gunn, a potem odwrócił się szybko i wyszedł po drabince z komory.

Pitt i Giordino usiedli obok siebie w fotelach. Inżynierowie opuścili górną półkulę i docisnęli do pierścienia uszczelniającego, po czym dokręcili zaciski.

Giordino zaczął rutynowe sprawdzanie działania urządzeń.

- Napięcie?

- Jest - potwierdził Pitt.

- Radio?

- Słyszać nas, Rudi?

- Głośno i wyraźnie - odparł Gunn.

- Tlen?

- Dwadzieścia jeden koma pięć procent.

Gdy zakończyli sprawdzanie, Giordino rzekł:

- Halo, „Sounder”, jesteśmy gotowi.

- „Deep Rover”, możesz startować - odparł Stewart swoim ironicznym jak zawsze tonem. - Przywieźcie nam na obiad homara.

Kiedy platforma zaczęła się wolno opuszczać, obok batyskafu stanęli dwaj nurkowie. Woda chlusnęła na „Deep Rovera” i wkrótce otoczyła całą kulę. Pitt spojrział w górę na migocące światła komory i zobaczył falujące postacie przechylone przez barierkę galeryjki. Kto żyw, załoga i wszyscy oceanografowie, przyszedł zobaczyć opuszczanie „Deep Rovera”, tłocząc się wokół Gunna i nasłuchując raportów z batyskafu.

Kiedy już byli w pełni zanurzeni, nurkowie odczepili batyskaf od stojaka. Jeden z

nich dał znak ręką, że wszystko w porządku. Pitt uśmiechnął się i odpowiedział wzniesionym w górę kciukiem, po czym wskazał przed siebie.

Uchwyty przy końcu oparc rąk służyły do operowania manipulatorami, same zaś oparcia sterowały czterema dyszami. Pitt prowadził „Deep Rovera”, jakby to był podwodny helikopter. Lekkie naciśnięcie łokciami i batyskaf uniósł się nad stojak. Pchnięcie oparc w przód i dysze poziome nadały batyskafowi kierunek do przodu.

Odpłynął jakieś trzydzieści metrów od platformy i zatrzymał się, żeby sprawdzić kompas. Następnie włączył dysze pionowe i zaczął się opuszczać.

„Deep Rover” schodził niżej i niżej, pogrążając się w coraz mroczniejszych głębinach. Drgająca błękitna zieleń powierzchni wkrótce przemieniła się w miękką szarość. Do batyskafu podpłynął mały, jednometrowy rekin błękitny, okrążył go i nie znalazłszy nic interesującego, ruszył dalej w samotną wędrówkę przez płynną mglistość.

Mieli wrażenie, że wszystko wokół zastygło w bezruchu. Jedyne dźwiękiem, jaki słyszeli, były ciche trzaski z radia i świsty audiolokatora. Poza niewielkim kręgiem światła woda stała się teraz nieprzeniknioną kurtyną czerni.

- Przekraczamy czterysta metrów - zameldował Pitt jak pilot obwieszczający wysokość lotu.

- Czterysta metrów - powtórzył Gunn.

W podobnych sytuacjach we wnętrzu batyskafu było zazwyczaj gwarno, dowcipnie i uszczypliwie, lecz tym razem Pitt i Giordino byli dziwnie milczący. Rzadko zamieniali ze sobą więcej niż kilka słów.

- Spójrz na tę ślicznotkę - rzekł Giordino.

Pitt ujrzał ją w tej samej chwili. Był to jeden z najbrzydszych mieszkańców głębin. Długi węzowaty kształt jarzył się w świetle reflektorów jak neon. Nieruchome rozdziawione szczęki, które się nigdy nie zamykają, bo nie pozwalają na to długie nierówne zęby, używane nie tyle do żucia ofiary, ile do jej przytrzymywania. Paskudnie łyskające oko i zwisająca u dolnej szczęki miękka rurka dopełniały obrazu morskiego potwora.

- Chciałbyś wsadzić rękę w paszczę czegoś takiego? - spytał Pitt.

Zanim Giordino zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Gunn:

- Jeden z naukowców pragnie wiedzieć, co zobaczyliście.

- Smokorybę - odparł Pitt.

- On chce, żebyś ją opisał - powiedział Giordino.

- Powiedz, że mu narysuję, kiedy wrócimy do domu.

- Dobra, przekażę.

- Przekraczamy osiemset metrów - zameldował Pitt.
- Uważajcie, żebyście nie uderzyli w dno - ostrzegł Gunn.
- Będziemy uważali. Żadnemu z nas nie zależy na podróży tylko w jedną stronę.
- Nigdy nie zawadzi przestrzec. Jak z tlenem?
- W porządku.
- Powinniście być już blisko.

Lekkim poruszeniem oparcia Pitt zwolnił „Deep Rovera”. Giordino patrzył w dół wypatrując skał. Pitt mógłby przysiąc, że jego przyjaciel nie mrugnął okiem przez całe osiem minut, które minęły, zanim ich oczom ukazało się dno.

- Jesteśmy na dole - obwieścił Giordino. - Głębokość tysiąc piętnaście metrów.

Pitt włączył dodatkową moc, zatrzymując batyskaf na wysokości trzech metrów nad szarym mułem. Na skutek ciśnienia wody podczas opuszczania się ciężar batyskafu wzrósł. Pitt przekręcił zawór jednego ze zbiorników balastowych, nie spuszczać wzroku ze wskaźnika ciśnienia, i napełnił go taką ilością powietrza, aby uzyskać naturalną pławność.

- Robimy obrót - powiadomił Gunna.

- Wrak powinien się znajdować na kierunku jeden-jeden-zero stopni - zatrzeszczał głos Gunna.

- Słyszę cię - rzekł Pitt. - Cel na sonarze w odległości dwustu dwudziestu metrów, kierunek jeden-jeden-dwa stopnie.

- Notuję, „Deep Rover”.

- No cóż - zwrócił się Pitt do Giordina - zobaczymy, co zobaczymy.

Zwiększył moc dysz poziomych i wykonał zwrot, przyglądając się jednocześnie dnu oceanu, podczas gdy Giordino prowadził odczyt kompasu:

- Kilka punktów w lewo. Za dużo. Świetnie. Tak trzymać.

W oczach Pitta nie było nawet śladu emocji. Twarz miał dziwnie nieruchomą. Zastanawiał się z rosnącym lękiem, co zobaczy.

Przypomniał sobie makabryczną opowieść nurka podnoszącego z dna prom, który zatonął po kolizji z innym statkiem. Nurek pracował na głębokości trzydziestu metrów, gdy nagle poczuł klepnięcie w ramię. Odwrócił się i zobaczył zwłoki pięknej dziewczyny, która patrzyła na niego niewidzącymi oczyma. Jedną rękę miała wyciągniętą, jakby chciała mu ją podać. Nurek później przez całe lata miewał koszmary.

Pitt widywał już w swoim życiu zwłoki. Zamarznięte jak załoga „Serapisa”, rozdęte i groteskowe jak załoga jachtu prezydenckiego „Eagle”, w stanie rozkładu i na wpół zgalaretowaciałe, jak w zatopionych samolotach u brzegów Islandii i w jeziorze pośród Gór

Skalistych w Kolorado. Kiedy zamykał oczy, mógł te wszystkie obrazy przywołać na nowo.

Modlił się, żeby nie zobaczyć ojca w tym stanie. Zamknął na kilka chwil oczy i o mało nie uderzył „Deep Roverem” w dno. Chciał zachować w pamięci ojca żywego i tryskającego energią. Nie jako zjawę w morzu ani nieudolnie podretuszowanego trupa w trumnie.

- Obiekt w mule z prawej strony - rzekł Giordino wyrывая Pitta z jego obsesyjnych myśli.

Pitt pochylił się do przodu.

- Dwustulitrowa beczka. Trzy inne z lewej.

- Pełno ich tutaj - rzekł Giordino. - Jak w składnicy złomu.

- Mają oznakowania?

- Tylko jakieś hiszpańskie napisy. Pewnie to informacje dotyczące wagi i objętości.

- Podpłynę bliżej do tej na wprost przed nami. Resztki tego, co w nich było, wciąż wydobywają się na powierzchnię.

Pitt przybliżył „Deep Rovera” do zatopionej beczki. W światłach reflektorów batyskafu ukazała się jakaś ciemna ciecz dobywająca się z otworu.

- Ropa? - zapytał Giordino.

Pitt pokręcił głową.

- Za bardzo rdzawe. Nie, czekaj, czerwone. To chyba czerwona farba olejna!

- Obok beczki leży jakiś inny cylindryczny przedmiot.

- Co to może być?

- Moim zdaniem zwój folii plastikowej.

- Chyba masz rację...

- Może byłoby dobrze zabrać go na pokład „Soundera” do zbadania. Stań. Chwyć go manipulatorami.

Pitt w milczeniu kiwnął głową i starał się utrzymać „Deep Rovera” nieruchomo w lekkim prądzie dennym. Giordino zaczął operować uchwytami i w końcu manipulatory objęły bęben z folią. Następnie ustawił wielofunkcyjne chwytaki mechanizmu w takiej pozycji, aby przytrzymały bęben od dołu.

- Gotowe - rzekł. - Szarpnij teraz lekko do góry, żeby wyrwać bęben z mułu.

Pitt usłuchał i „Deep Rover” uniósł się powoli razem z bębniem, wzbijając kłębiastą chmurę mułu. Przez kilka chwil nic nie widzieli. Potem Pitt ruszył naprzód i przedostali się na czyste wody.

- Chyba się zbliżamy do obiektu - rzekł Giordino. - Sonar ukazuje masywny cel przed nami trochę w prawo.

- Jesteście już prawie przy wraku - donosił Gunn.

Statek wyłonił się nagle z mroku jak nieziemska zjawą w przyciemnionym lustrze. Powiększony przez załamującą promienie świetlne wodę, wydawał się przeogromny.

- Mamy kontakt wizualny - zameldował Giordino.

Pitt zwolnił „Deep Rovera” i zatrzymał go siedem metrów od kadłuba zatopionego statku. Następnie skierował batyskaf na przedni pokład wraka.

- Do licha... - wyrwało mu się nagle. - Rudi, na jaki kolor była pomalowana „Lady Flamborough”?

- Chwileczkę. - Minęło dziesięć sekund, zanim Pitt usłyszał odpowiedź. - Jasnoniebieski kadłub i nadbudówki.

- Ten statek ma czerwony kadłub i białe nadbudówki.

Gunn nie od razu odpowiedział. Kiedy to uczynił, jego głos brzmiał staro i apatycznie:

- Bardzo mi przykro, Dirk. Pewnie natknęliśmy się na wrak statku z czasów drugiej wojny światowej, storpedowanego przez niemiecką łódź podwodną.

- Niemożliwe - mruknął Giordino. - To świeżuteńki wrak. Nie ma na nim ani śladu wodorostów czy korozji. Widzę uciekające z niego w górę banieczki powietrza i oleju. Jest najwyżej tygodniowy.

- Wykluczone - zabrzmiał głos Stewarta. - Jedynym zaginionym w ciągu ostatnich sześciu miesięcy statkiem w tym rejonie Atlantyku jest właśnie wasz statek pasażerski.

- To wcale nie jest statek pasażerski - odpalił mu Giordino.

- Zaczekajcie chwilę - powiedział Pitt. - Podpłynę do rufy i zobaczymy, czy da się go zidentyfikować.

Ostro zakręcił i skierował „Deep Rovera” wzdłuż burty zatopionego statku. Kiedy znaleźli się przy jego rufie, skręcił w bok i zatrzymał się. Batyskaf zawisł nieruchomo o metr od nazwy statku wymalowanej na stalowej płycie.

- O mój Boże! - szepnęła z niedowierzaniem Giordino. - Wystrychnęli nas na dudka.

Pitt wcale nie czuł się oszołomiony. Uśmiechał się do siebie. Zagadka nie została jeszcze do końca rozwiązana, ale miał już w ręku jej podstawowe elementy. Białe wypukłe litery na stalowych płytach wcale nie układały się w nazwę „Lady Flamborough”.

Zatopionym statkiem był „General Bravo”.

Z odległości czterystu metrów projektanci i konstruktorzy nie rozpoznaliby swojej „Lady Flamborough”. Jej komin został przekonstruowany, a każdy cal kwadratowy powierzchni przemalowany. Dla dokończenia dzieła kadłub został pomazany farbą przypominającą rdzę.

Piękna niegdyś nadbudówka, okna sali balowej i pokłady spacerowe były obecnie ukryte pod wielkimi arkuszami fibry tak, aby wyglądały jak kontenery.

Tam, gdzie nie dało się usunąć lub ukryć nowoczesnych zaokrąglonych kształtów mostka, nałożono na nie kanciaste ramy obite płótnem z namalowanymi fałszywymi bulajami i pokrywami luków.

Nim światła Punta del Este zdążyły zniknąć za rufą, wszyscy członkowie załogi i pasażerowie zostali włączeni przez uzbrojonych porywaczy do brygad przymusowej pracy. Oficerowie statku, stewardzi, kucharze i kelnerzy oraz zwykli marynarze - wszyscy walili młotkami i harowali całą noc jak niewolnicy przy konstruowaniu fałszywych kontenerów.

Żadna z ważnych osobistości nie została oszczędzona. Senator Pitt, Hala Kamil, prezydenci Hasan i De Lorenzo wraz ze swoimi ministrami i urzędnikami również zostali zmuszeni do pracy.

Kiedy „Lady Flamborough” spotkała się z kontenerowcem „General Bravo”, fałszywe kontenery były już zainstalowane, a statek przemalowany i zmieniony.

Od linii wodnej w górę „Lady Flamborough” mogła z daleka ujść za kontenerowiec. Z samolotu również nie dałoby się zauważyć różnicy. Dopiero bliższa obserwacja z morza ujawniłaby oczywiste fałszerstwo.

Kapitan Juan Machado i osiemnastu członków załogi statku „General Bravo” przenieśli się na „Lady Flamborough”, otworzywszy uprzednio wszystkie przegrody i luki ładowni swojego statku i odpaliwszy umieszczone w kadłubie ładunki. Po serii stłumionych wybuchów statek zapadł się w morze.

Gdy niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać, przemieniona „Lady Flamborough” szła pełną parą ku portowi przeznaczenia kontenerowca „General Bravo”. Kiedy jednak San Pablo w Argentynie znalazło się czterdzieści kilometrów z prawej burty, „Lady Flamborough” ominęła port i popłynęła dalej na południe.

Plan Ammara udał się znakomicie. Minęły trzy dni, a świat wciąż trwał w przekonaniu, że „Lady Flamborough” i jej znamienici pasażerowie spoczywają gdzieś na dnie oceanu.

Ammar siedział przy stole z mapami i wyznaczał ostatnią pozycję statku. Potem



wyrysował linię prostą do miejsca przeznaczenia, które zaznaczył literą X. Zadowolony z siebie rzucił ołówek i zapalił długiego dunhilla, wydmuchując dym na mapę.

Szesnaście godzin, myślał. Jeszcze szesnaście godzin drogi i nie ścigany przez nikogo statek zostanie bezpiecznie ukryty w miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie.

Z mostka wszedł kapitan Machado, balansując w ręku małą tacą.

- Ma pan ochotę na filiżankę herbaty i rogalika? - zapytał doskonałą angielszczyzną.

- Dziękuję, kapitanie. Prawdę mówiąc, nie jadłem nic, odkąd wypłynęliśmy z Punta del Este.

Machado postawił tacę na stole i nalał herbaty.

- Nie spał pan, odkąd wszedłem z załogą na pokład.

- Jeszcze jest wiele do zrobienia.

- Może rozpoczniemy od formalnego przedstawienia się sobie.

- Wiem, kim pan jest, a przynajmniej znam nazwisko, którego pan używa - odparł Ammar obojętnie. - Nie interesują mnie przydługie biografie.

- Ach tak...?

- Tak.

- Może wtajemniczy mnie pan jednak w swoje plany - powiedział Machado. - Nie wiem nic prócz tego, że po zatopieniu „General Bravo” miałem się przesiąść na ten statek. Bardzo mnie interesuje następny krok... a zwłaszcza to, jak nasze załogi mają opuścić statek, aby uniknąć aresztowania przez międzynarodowe siły bezpieczeństwa.

- Przepraszam, byłem zbyt zajęty, by pana dokładniej poinformować.

- Może teraz jest odpowiednia na to pora - naciskał Machado.

Ammar spokojnie dopił herbatę i zjadł rogalika. Potem spojrzał nad stołem na Machado.

- Nie zamierzam jeszcze opuszczać statku - rzekł. - Według instrukcji otrzymanych od naszych przywódców mamy czekać z ostatecznym zniszczeniem „Lady Flamborough”, aż nadejdzie właściwy moment.

Machado z wolna odprężył się. Spojrzał przez otwory w masce w ciemne oczy Egipcjanina i zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem, który całkowicie panuje nad sytuacją. Uniósł dzbanek.

- Jeszcze herbaty? - zapytał.

Ammar podał mu swoją filiżankę.

- Co pan robi, kiedy nie zatapia pan statków?

- Specjalizuję się w zabójstwach politycznych - odparł Machado tonem człowieka

prowadzącego towarzyską rozmowę. - Tak samo zresztą jak pan, Sulejmanie Azizie Ammarze.

Machado nie mógł zobaczyć wyrazu twarzy Ammara pod maską, lecz wiedział, że tamten był czujny.

- Przysłano pana, aby mnie pan zabił? - spytał Ammar, strząsając niedbałym ruchem popiół z papierosa i jednocześnie mierząc w kapitana z malutkiego pistoletu, który w magiczny sposób pojawił się w jego dłoni.

Machado uśmiechnął się i założył ręce tak, by jego dłonie były widoczne.

- Niech się pan uspokoi. Kazano mi współpracować z panem w całkowitej harmonii.

Ammar z powrotem umieścił pistolet w sprężynowym urządzeniu w prawym rękawie.

- Jak mnie pan poznał?

- Nasi przywódcy nie mają przed sobą sekretów.

Cholerny Yazid, pomyślał z gniewem Ammar. Zdradził go, ujawniając jego tożsamość. Ammar nie dał się ani na chwilę zwieść kłamstwu Machado. Usunąwszy prezydenta Hasana, nowe wcielenie Mahometa nie potrzebowało już płatnego zabójcy. Ammar nie zamierzał ujawniać planów ucieczki meksykańskiemu zamachowcowi. Jasno zdawał sobie sprawę, że Machado nie ma innego wyjścia, jak z konieczności zawrzeć z nim przymierze. Świadomość, że mógłby w każdej chwili zabić Meksykanina, podczas gdy on musi czekać, aż wszystko się zakończy, dawała Ammarowi pewien komfort psychiczny. Wiedział dokładnie, na czym stoi.

Uniósł filiżankę.

- Za Achmada Yazida.

Machado wzniósł niezgrabnie swoją.

- Za Topiltzina.

Halę i senatora Pitta zamknięto w jednym apartamencie wraz z prezydentem Hasanem. Byli brudni, powaleni farbą i zbyt wyczerpani, aby spać. Od pracy fizycznej, do której nie nawykli, bolały ich mięśnie. Na dłoniach mieli pęcherze. Poza tym byli głodni.

Po gorączkowym przemodelowaniu statku porywacze nie dali im nic do jedzenia. Pili jedynie wodę z kranu w łazience. Co gorsza, temperatura wciąż spadała, a z wentylatorów nie napływało ciepłe powietrze.

Prezydent Hasan leżał na jednym z łóżek w skrajnym wyczerpaniu. Cierpiał na chroniczne bóle kręgosłupa, a dziesięciogodzinna praca wymagająca ustawicznego schylania się i dźwigania wywołała ogromny ból.

Hala siedziała nieruchomo przy stole, z głową opartą na dłoniach. Nawet w tych okropnych warunkach wydawała się pogodna i piękna.

Senator Pitt leżał na kanapie i patrzył w zadumie w lampę na suficie. Tylko poruszające się powieki zdradzały, że żyje.

Hala uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Gdybym mogła coś zrobić... - powiedziała głosem tylko trochę silniejszym od szeptu.

Senator uniósł się sztywno i usiadł. Jak na swój wiek, był jeszcze w dobrej kondycji. Czuł się obolały od szyi po stopy, lecz jego serce biło mocno, jakby miał dwadzieścia lat mniej.

- Ten diabeł w masce jest bardzo cwany - rzekł. - Nie karmi nas, żebyśmy byli słabi. Poza tym jesteśmy pozamykani oddzielnie, byśmy nie mogli się porozumieć i odebrać im statku. Ani on, ani jego ludzie nie kontaktowali się z nami od dwóch dni. Wszystko to jest obliczone na wyprowadzenie nas z równowagi i wywołanie uczucia bezradności.

- Czy nie możemy przynajmniej spróbować się stąd wydostać?

- Prawdopodobnie przy końcu korytarza stoi strażnik, który tylko czeka, żeby strzelić do pierwszego z nas, który ośmieli się przejść przez drzwi. A jeśli nawet uda nam się to jakoś, dokąd pójdziemy?

- Może zdołalibyśmy ukraść łódź ratunkową - wpadła na szaleńczy pomysł Hala.

Senator potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Za późno na tego rodzaju próbę. Siły porywaczy podwoiły się przez dołączenie tej meksykańskiej grupy.

- A gdybyśmy wybili okno i zaczęli wyrzucać meble, pościel i co się tylko da, żeby zostawić ślady? - upierała się Hala.

- Równie dobrze moglibyśmy rzucać zakorkowane butelki z listami. Do rana prądy uniosłyby je setki kilometrów stąd. - Urwał i potrząsnął głową. - Ekipy ratunkowe nie znajdą ich w porę.

- Wie pan równie dobrze jak ja, senatorze, że nikt nas nie szuka. Świat myśli, że statek zatonął, a my razem z nim. Próby odnalezienia nas zostały już dawno zaniechane.

- Jest jeden człowiek, który nie zaprzestanie poszukiwań.

- Kto? - Hala spojrzała na niego pytająco.

- Mój syn, Dirk.

Hala wstała, podeszła lekko kulejąc do okna i stanęła patrząc niewidząco w arkusz fibry, który zasłaniał morze.

- To dzielny i zaradny człowiek, ale tylko człowiek. Nie przejrzy tego podstępu... -  
Urwała nagle i spojrzała w małą szparę, przez którą było widać kawałek wody. - Coś  
płynie obok statku.

Senator wstał i podszedł do niej. Ujrzał kilka białych płaszczyzn na tle błękitu morza.

- Łód - powiedział zdumiony. - To wyjaśnia, dlaczego tak zimno. Pewnie zmierzamy  
ku Antarktydzie.

Hala ukryła twarz na jego piersi.

- Teraz już nikt nas nie uratuje - powiedziała z rezygnacją. - Nikomu nie przyjdzie do  
głowy nas tu szukać.

Nikt nie przypuszczał, że „Sounder” potrafi tyle z siebie dać. Pokłady drżały od wytężonej pracy maszyn, a cały kadłub aż się trząsał od zderzeń z falami.

Wodowany w bostońskiej stoczni latem 1961 roku, spędził prawie trzydzieści lat w służbie różnych szkół oceanograficznych, prowadząc podwodne badania na niemal wszystkich wodach świata. Po zakupieniu przez NUMA w 1990 roku został całkowicie odrestaurowany i wyposażony na nowo. Jego nowy silnik dieslowski o mocy 4000 koni mechanicznych miał osiągać maksymalną prędkość czternastu węzłów, lecz Stewart i jego inżynierowie zdołali wyciągnąć z niego siedemnaście.

„Sounder” był jedynym statkiem podążającym za „Lady Flamborough” i miał tyle szans na doścignięcie jej, co basset goniący lamparta. Uciekający statek pasażerski mogły pochwyć argentyńskie i brytyjskie okręty wojenne stacjonujące na Falklandach, ale nie zostały postawione w stan gotowości.

Po przesłaniu przez Pitta do admirała Sandeckera zakodowanej wiadomości o zdumiewającym odkryciu „General Bravo” w miejsce „Lady Flamborough”, dowódcy połączonych sztabów oraz szefowie wywiadu doradzili prezydentowi utrzymanie tej wiadomości w ścisłej tajemnicy aż do czasu, gdy Specjalne Siły Operacyjne Stanów Zjednoczonych dotrą na teren akcji i skoordynują swoje działania.

Tak więc stary „Sounder” pruć fale samotny i bez oficjalnego zezwolenia, a jego załoga i zespół naukowców znaleźli się w samym środku nieoczekiwanych wydarzeń.

Pitt i Giordino siedzieli w jadalni statku studiując mapy obrzeży południowego Atlantyku, które przyniósł i rozłożył na stole Gunn, przyciskając je filiżankami kawy.

- Jesteś przekonany, że zmierzają na południe? - spytał Pitta.

- Gdyby skręcili na północ, znaleźliby się w rejonie poszukiwań - wyjaśnił Pitt. - A nie mogli przecież zawrócić na zachód ku wybrzeżom Argentyny.

- Mogli skierować się na wschód, na otwarte morze.

- I mogliby się teraz znajdować prawie w połowie drogi do Afryki - dodał Giordino.

- To byłoby zbyt ryzykowne - rzekł Pitt. - Człowiek, który kieruje tą akcją, nie cierpi na brak szarych komórek. Gdyby skręcił na wschód przez ocean, byłby narażony na zidentyfikowanie przez samoloty albo napotkanie po drodze statki. Nie, jedyną możliwością uniknięcia podejrzeń było kontynuowanie kursu „General Bravo” do San Pablo na Ziemi Ognistej.

- Ale władze portowe narobiłyby krzyku, gdyby kontenerowiec się spóźnił - upierał się Giordino.

- Nie doceniasz tego faceta. Mogę się założyć, że zatelegrafował do komendanta portu San Pablo z wiadomością, że „General Bravo” przybędzie z opóźnieniem na skutek awarii maszyn.

- Całkiem możliwe - zgodził się Giordino. - W ten sposób mógł z łatwością zyskać czterdzieści osiem godzin.

- No dobra - rzekł Gunn. - Więc dokąd się uda? Wokół Cieśniny Magellana są tysiące nie zamieszkałych wysepek, przy których może się schronić.

- Albo - Giordino zawiesił głos na tym „albo” - popłynie na Antarktydę, gdzie, jak sądzi, nikt go nie będzie szukał.

- Mówimy w czasie przyszłym - powiedział Pitt. - A kto wie, czy już nie stoi na kotwicy w jakiejś odludnej zatoczce?

- Teraz wiemy, na co go stać - stwierdził Gunn. - W następnym przelocie kamery „Landsata” zostaną włączone i „Lady Flamborough” alias „General Bravo” ukaże się naszym oczom w całej krasie.

Giordino czekał, co na to powie Pitt, ale przyjaciel spoglądał gdzieś w przestrzeń. Giordino znał te objawy aż nadto dobrze, wiedział, że Pitt całkowicie się wyłączył.

Pitt nie był już na „Sounderze”, stał na mostku „Lady Flamborough” i próbował się wczuć w rolę swego przeciwnika. Nie było to zadanie łatwe. Człowiek, który dokonał porwania, był najbystrzejszym z przeciwników, jakich kiedykolwiek miał.

- On sobie zdaje z tego sprawę - rzekł w końcu.

- Z czego? - spytał zaintrygowany Gunn.

- Z tego, że może być wyśledzony przez satelitę.

- Więc wie, że może uciekać, ale nie może się ukryć.

- Myślę, że może.

- Chciałbym wiedzieć, jak.

Pitt wstał i przeciągnął się.

- Pójdę się trochę przejść.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zniecierpliwił się Gunn.

Balansując ciałem na kołyszącym się pokładzie, Pitt spojrzał na Gunna z półuśmiechem.

- Na jego miejscu - rzekł, jakby mówił o człowieku, którego dobrze znał - sprawiłbym, aby statek znikł po raz drugi.

Giordino spojrzał z wymownym wyrazem twarzy na Gunna, któremu opadła szczęka. Nim jednak zdążył zapytać o coś więcej, Pitt wyszedł.

Udał się na rufę i spuścił drabinę do komory księżycowej. Ominął „Deep Rovera” i stanął przed wielkim bębniem plastikowej folii, wydobytym z dna. Przywiązany linami do podpory pokładowej bęben był prawie tak wysoki jak on.

Pitt przyglądał mu się z pięć minut, po czym podszedł i poklepał go dłonią.

Cicho wymówił dwa słowa:

- Mam cię!

Do Ośrodka Dowodzenia Pentagonu, Ośrodka Operacyjnego na siódmym piętrze Departamentu Stanu i sali Gier Wojennych w gmachu biur prezydenckich szła przez dalekopisy fala informacji dotyczących porwania „Lady Flamborough”.

Dane z tych ośrodków strategicznych były zbierane i analizowane z prędkością błyskawicy. Następnie skondensowaną wersję wraz z zaleceniami przesyłano do Sali Sytuacyjnej w suterenie Białego Domu w celu uzyskania pełnej oceny danego wydarzenia.

Prezydent, ubrany po domowemu w golf i spodnie, usiadł przy końcu długiego stołu konferencyjnego. Po zapoznaniu się z najnowszą sytuacją spytał swoich doradców, jakie ich zdaniem należy podjąć działania. Chociaż ostateczne decyzje należały wyłącznie do niego, wspierali go w ich podjęciu weterani sztabu operacyjnego, którzy pracowali nad najwłaściwszą taktyką i po uzyskaniu aprobaty prezydenta natychmiast wprowadzali ją w czyn.

Raporty wywiadowcze z Egiptu były w większości złe. Szerzyła się tam anarchia, sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Policja i wojsko pozostawały w koszarach, a tysiące zwolenników Achmada Yazida urządzało strajki i demonstracje w całym kraju. Pociuszające w tym wszystkim było to, że demonstracjom nie towarzyszyły przemoc i gwałt.

Sekretarz stanu Douglas Oates szybko przebiegł wzrokiem raport, który przed chwilą otrzymał.

- Tego nam tylko brakowało - mruknął.

Prezydent spojrzał na niego wyczekująco.

- Buntownicy muzułmańscy zaatakowali i przejęli jedną z największych stacji telewizyjnych.

- Czy Yazid się pokazał?

- Nie. - Szef CIA, Brogan, podszedł do jednego z monitorów. - Według najnowszych wiadomości wciąż siedzi ukryty w swej willi pod Aleksandrią, czekając na utworzenie nowego rządu przez aklamację.

- To już niedługo. - Prezydent westchnął ze znużeniem. - Jakie stanowisko zajmują w tej sprawie ministrowie Izraela?

- Wyczekujące - odparł Oates układając papiery w schludny stosik. - Nie dostrzegają w Yazidzie bezpośredniego zagrożenia.

- Zmienią ton, kiedy zerwie układ pokojowy zawarty w Camp David. - Prezydent odwrócił się i spojrzał Broganowi w oczy. - Możemy go usunąć?

- Tak. - Odpowiedź Brogana zabrzmiała stanowczo, dobitnie.



- W jaki sposób?

- Z całym szacunkiem dla pana, wolałbym o tym nie mówić, by nie mogło to rzucić cienia na pańską kadencję.

Prezydent skłonił lekko głową na znak zgody.

- Ma pan zapewne rację. Mimo to nie może pan tego uczynić, póki nie wydam rozkazu.

- Usilnie nalegam, aby nie ryzykował pan zabójstwa - rzekł Oates.

- Doug ma rację - stwierdził Juliusz Schiller. - To mogłoby się zwrócić przeciwko nam. Gdyby wiadomość się rozeszła, przywódcy terrorystów bliskowschodnich obraliby za cel pana.

- Nie mówiąc o wrzawie w Kongresie - dodał Dale Nichols siedzący w połowie stołu. - A prasa by pana uśmierciła.

Prezydent rozważył to w milczeniu. W końcu kiwnął głową.

- Zgoda, póki Yazid z równą wrogością odnosi się do sowieckiego premiera Antenowa, niech sobie żyje. Ale zapamiętajcie dobrze, panowie, nich ten półgłówek lepiej nie częstuje mnie bredniami, jakimi moich poprzedników częstował Chomeini, bo ja na to nie pójdę.

Brogan skrzywił się, ale Oates i Schiller spojrzeli na siebie z ulgą. Nichols pykał z zadowoleniem fajkę. Prezydent zmienił temat:

- Co nowego w Meksyku?

- Spokojnie - odparł Brogan. - Żadnych demonstracji, żadnych buntów. Topiltzin wyraźnie zachowuje się wyczekująco, jak jego brat.

Prezydent spojrział na niego ze zdumieniem.

- Dobrze usłyszałem? Brat...?

Brogan wskazał ruchem głowy na Nicholasa.

- Dale wpadł na właściwy trop. Yazid i Topiltzin są braćmi i żaden z nich nie urodził się ani w Egipcie, ani w Meksyku.

- Czy to pewne? - przerwał mu ze zdumieniem Schiller. - Masz na to dowód?

- Nasi agenci zdobyli i porównali ich kody genetyczne.

- Czemu mi o tym nie powiedziałeś? - zapytał zdumiony prezydent.

- Dokumentacja wkrótce przybędzie z Langley. Przepraszam, panie prezydencie, ale nie chciałem mówić o tak ważnym odkryciu, póki nie miałem niezbitych dowodów.

- Jak, do licha, zdobyliście ich kody genetyczne? - spytał Nichols.

- Obaj są żądni sławy - wyjaśnił Brogan. - Nasz wydział podrabiania dokumentów

posłał Yazidowi Koran, a Topiltzinowi fotografię ukazującą go w pełnych azteckich regaliach, i wraz z tym prośby o napisanie krótkich modlitw. Prośby musiały zostać napisane charakterem pisma znanych i oddanych zwolenników, o znaczącej politycznej i finansowej pozycji. Obaj dali się nabrać. Najtrudniej było przejąć zwrotne przesyłki, zanim trafiły do adresatów. Następnym problemem było odsianie odcisków palców, które znajdowały się na tych przesyłkach. Adiutantów, sekretarzy i różnych innych ludzi. Jeden odcisk kciuka odpowiadał odciskom Yazida znajdującym się w kartotekach policji egipskiej, gdy go aresztowano przed kilku laty. Potem odczytaliśmy jego DNA z olejków odcisków... Z Topiltzinem nie poszło nam tak łatwo. Nie był notowany w Meksyku, ale w laboratorium dopasowano kod jego brata do kodu z odcisków palców na fotografii. Potem w kartotekach głównego biura Interpolu w Paryżu trafiliśmy przez czysty przypadek na dodatkowe informacje. Wszystko stało się jasne. Natknęliśmy się na organizację rodzinną, dynastię kryminalną, która powstała po drugiej wojnie światowej. Miliardowe imperium rządzone przez matkę, ojca, trzech braci i siostrę, stojących na czele wszystkich przedsięwzięć i kierujących nimi przy pomocy ciotek, wujów, kuzynów i wszystkich innych krewnych. Te rodzinne powiązania sprawiają, że organizacja jest dla agentów międzynarodowych niemal nie do przeniknięcia.

Nad stołem zapadła głucha cisza. Słyszeć było tylko stuk dalekopisów i szmer stłumionych głosów urzędników. Brogan patrzył na twarze Nicholasa, Schillera, Oatesa i prezydenta.

- Jak się nazywają? - spytał cicho prezydent.

- Capesterre - odparł Brogan. - Ronald i Josephine Capesterre to ojciec i matka. Najstarszym synem jest Robert, czyli Topiltzin. Następny po nim to Paul.

- Yazid?

- Tak.

- Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz na ten temat - powiedział prezydent.

- Jak już mówiłem - rzekł Brogan - nie mamy w ręku wszystkich informacji, takich jak miejsce pobytu Karla i Marie, najmłodszego brata i siostry, ani nazwisk związanych z nimi krewnych. Zdołaliśmy zaledwie wniknąć tuż pod powierzchnię. Capesterre'owie są wielopokoleniową rodziną przestępczą... Osiemdziesiąt lat temu dziadek Roberta i Paula wyemigrował z Francji na Karaiby i zajął się przemytem. Przewoził kradzione towary i samogon do Stanów Zjednoczonych w czasach prohibicji. Początkowo działał w Port of Spain w Trynidadzie, potem wzbogacił się, kupił niewielką wysepkę i zamieszkał na niej. Interes przejął po śmierci ojca Ronald i wraz z żoną Josephine, która podobno jest

mózgiem organizacji, zajął się handlem narkotykami. Najpierw założyli na wyspie legalną plantację bananów, uczciwie zarabiając na niej okrągłą sumkę. Następnie pod bananami, aby zapobiec wykryciu, zaczęli uprawiać marihuanę. Założyli też na wyspie rafinerię. Czy ja nie przedstawiam tego zbyt chaotycznie?

- Nie - rzekł prezydent. - Rozumiemy doskonale. Dziękuję ci, Martin.

- Ładnie to sobie zorganizowali - mruknął Schiller. - Uprawiali, przetwarzali i przemycali.

- A także rozprawdzali - ciągnął Brogan. - Ale ciekawa rzecz, nie w Stanach Zjednoczonych. Sprzedawali narkotyki tylko w Europie i na Dalekim Wschodzie.

- Czy nadal zajmują się narkotykami? - spytał Nichols.

- Nie - zaprzeczył Brogan. - Dzięki swym kontaktom otrzymali ostrzeżenie, że na ich prywatną wyspę planowany jest nalot sił bezpieczeństwa Indii Zachodnich. Spalili więc zbiór marihuany nie niszcząc plantacji bananów i rozpoczęli skupowanie akcji kontrolnych niepewnych finansowo korporacji. Osiągnęli duże sukcesy w stawianiu zagrożonych przedsiębiorstw na nogi. Miały z tym oczywiście wiele wspólnego ich niezwykle metody zarządzania...

Nichols dał się wziąć na haczyk.

- Jaki mieli system?

Brogan uśmiechnął się.

- Szantaż, wymuszanie i morderstwa. Gdy tylko konkurencyjna spółka stawiała im na drodze, zaraz ni stąd, ni zowąd rada dyrektorów inicjowała rozmowy z przedsiębiorstwami Capesterre'ów, tracąc naturalnie swoje własne aktywa. Przedsiębiorcy, którzy sprzeciwiali się ich projektom, prawnicy wytaczający im procesy, nieprzychylni politycy, wszyscy musieli poznać i pokochać Capesterre'ów, w przeciwnym razie któregoś pięknego dnia ich żony i dzieci ulegały nieszczęśliwym wypadkom, paliły się ich domy lub oni sami ginęli bez śladu.

- Coś jak mafia zarządzająca General Motors lub Gulf and Western - rzekł prezydent.

- Dobre porównanie. - Brogan kiwnął grzecznie głową i mówił dalej: - Obecnie rodzina Capesterre'ów zawiaduje ogromnym światowym potencjałem finansowym i przemysłowym, obliczanym z grubsza na dwanaście miliardów dolarów.

- Miliardów, nie milionów? - wymamrotał niedowierzająco Oates. - Chyba przestanę chodzić do kościoła.

Schiller wzruszył w zadumie ramionami.

- Kto powiedział, że zbrodnia nie popłaca?

- Nic dziwnego, że pociągają za sznureczki w Egipcie i Meksyku - powiedział Oates. - Musieli sobie kupić, wymusić szantażem lub przebić siłą drogę do każdego ministerstwa i dowództwa wojsk.

- Zaczynam się orientować, jak ich machinacje wiążą się ze sobą - rzekł prezydent. - Nie rozumiem jednak, jak tym dwu udało się tak wspaniale odegrać swoje role... rodowitego Egipcjanina i rodowitego Meksykanina. Nikt nie potrafi oszukać milionów ludzi.

- Ich matka pochodzi z czarnej rasy, stąd ciemne zabarwienie skóry synów - tłumaczył Brogan cierpliwie. - Ronald i Josephine pomyśleli o przyszłości czterdzieści lub nawet więcej lat temu. Kiedy urodziły im się dzieci, rozpoczęli realizację swojego programu przerabiania synów na obcokrajowców. Paul niewątpliwie zaczął się uczyć arabskiego, zanim umiał chodzić, a Robert uczył się staroazteckiego. Kiedy podrośli, poszli zapewne pod przybranymi nazwiskami do prywatnych szkół w Egipcie i Meksyku.

- Imponujący plan - mruknął Oates z podziwem. - Żadne tam szpiegostwo, ale infiltracja na najwyższych szczeblach, i jeszcze na dodatek misja religijna...

- Diaboliczny zamysł - stwierdził Nichols.

- Zgadzam się z Dougiem - rzekł prezydent wskazując ruchem głowy Oatesa. - Imponujący plan. Szkolić dzieci od kolebki, wykorzystując ogromne bogactwo i władzę, aby zawładnąć całymi krajami. Mamy tu do czynienia z niewiarygodnym przejawem niezłomnego uporu i cierpliwości.

- Trzeba oddać draniom tę sprawiedliwość - przyznał Schiller. - Trzymali się swojego scenariusza i doczekali, aż wypadki przechyliły szalę na ich stronę. Teraz są o włos od zawładnięcia dwoma głównymi krajami Trzeciego Świata.

- Nie możemy do tego dopuścić - rzekł prezydent stanowczo. - Jeżeli ten brat z Meksyku zostanie głową państwa i spełni swą groźbę wysyłając dwa miliony swoich ziomków do nas, pozostanie nam jedynie zbrojny atak.

- Muszę przestrzec przed podjęciem akcji zbrojnej - powiedział Oates, wczuwszy się w swoją rolę sekretarza stanu. - Zamordowanie Yazida i Topiltzina, czy jak tam się oni nazywają, i akcja zbrojna na Meksyk nie rozwiążą problemu.

- Może nie - burknął prezydent - ale dadzą nam przynajmniej czas na znalezienie jakiegoś rozstrzygnięcia.

- Kto wie, czy nie istnieje inne wyjście - powiedział Nichols. - Na przykład nastawienie Capesterre'ów przeciwko sobie.

- Jestem zmęczony - rzekł prezydent. - Nie mówcie zagadkami.

Nichols poszukał poparcia u Brogana.

- Ci ludzie byli handlarzami narkotyków. Są więc poszukiwanymi przestępcami.  
Mam rację?

- Co do pierwszego tak, ale nie co do drugiego - odparł Brogan. - To nie są zwykli uliczni kanciarze. Śledztwo przeciwko całej rodzinie toczy się od lat. Żadnych aresztowań. Żadnych wyroków. Mają cały sztab doradców i adwokatów, którzy mogą zakasować największe waszyngtońskie biura prawne. Mają też przyjaciół i koneksje w rządach przynajmniej dziesięciu liczących się państw. Chcesz zgarnąć ich wszystkich i postawić przed sądem? Równie dobrze mógłbyś rozebrać piramidy szczypcami do lodu.

- Więc obwieścimy światu, jakie z nich łotry - obstawał Nichols.

- Nic z tego - rzekł prezydent. - Każda taka próba zostanie uznana za kłamstwo lub chwyt propagandowy.

- W tym, co mówi Nichols, coś jest - powiedział Schiller cicho. Był człowiekiem, który więcej słuchał, niż mówił. - Ale trzeba nam jakichś dobrych, niepodważalnych argumentów.

- Do czego zmierzasz, Juliuszu?

- Do sprawy „Lady Flamborough” - odparł Schiller. - Zdobądźmy niezbity dowód, że za porwaniem statku stoi Yazid, a zniszczymy Capesterre’ów.

Brogan przytaknął z entuzjazmem.

- Wynikły z tego skandal odrze z pewnością Yazida i Topiltzina z mistycyzmu i pozwoli nam sięgnąć dalej, w przestępczą działalność całej rodziny.

- Nie zapominajcie o światowych środkach przekazu. Niech no się tylko wgrzą w krwawą przeszłość Capesterre’ów, a zaraz obudzi się w nich żarłoczność rekinów.

- Wszyscy pomijacie jeden ważny fakt - rzekł Schiller z głębokim westchnieniem. - Jak dotąd, związki między zniknięciem statku i Capesterre’ami nie są wcale udowodnione.

Nichols skrzywił się.

- A kto inny miałby powód do pozbycia się prezydentów De Lorenzo i Hasana oraz Hali Kamil?

- Nikt! - wykrzyknął zapalczywie Brogan.

- Czekajcie - powiedział prezydent spokojnie. - Juliusz ma rację. Porywacze wcale nie zachowują się jak typowi bliskowschodni terroryści. Jeszcze się nie ujawnili. Nie postawili żadnych żądań ani nie grozili. Nie posłużyli się załogą i pasażerami do szantażu.

- Capesterre’owie stosują taktykę wyczekiwania - przyznał Brogan. - Mają nadzieję, że rządy Hasana i De Lorenzo upadną pod ich nieobecność.

- Są jakieś wiadomości o „Lady Flamborough” od czasu, gdy syn George’a Pitta odkrył kamuflaż? - spytał Oates, zrecznie zmieniając temat rozmowy.

- Jest gdzieś u wschodnich wybrzeży Ziemi Ognistej - odparł Schiller. - Gna na złamanie karku na południe. Śledzimy ją z satelity i jutro o tej porze powinniśmy ją mieć w garści.

Nie uszczęśliwiło to prezydenta.

- Porywacze mogą do tej pory wszystkich wymordować.

- Jeżeli już tego nie zrobili - powiedział Brogan.

- Jakie siły mamy w tym rejonie?

- Prawdę mówiąc, żadnych - odparł Nichols. - Oprócz kilku samolotów transportowych, które zaopatrują stacje polarne, jedynym naszym statkiem znajdującym się w pobliżu jest „Sounder”, statek NUMA do badań głębinowych.

- Ten, na którym jest Dirk Pitt?

- Tak, panie prezydencie.

- A co z naszymi ludźmi z Sił Specjalnych?

- Dwadzieścia minut temu rozmawiałem przez telefon z generałem Keithem w Pentagonie - powiedział Schiller. - Przed godziną ich oddział wraz z całym ekwipunkiem wystartował w odrzutowcach towarowych C-140. Towarzyszy im dywizjon myśliwców.

Prezydent odchylił się w tył i założył dłonie.

- Gdzie mają utworzyć punkt dowodzenia?

Brogan kazał wyświetlić na ogromnym ściennym monitorze mapę dolnego krańca Ameryki Południowej. Aby pokazać odpowiednie miejsce, użył świetlnej strzałki.

- Jeśli nie uzyskamy nowych informacji, które nas zmuszą do zmiany planu - wyjaśnił - samoloty wylądują na półwyspie Brunswick, na lotnisku koło małego chilijskiego miasta Punta Arenas, które stanie się bazą ich operacji.

- Długi lot - rzekł cicho prezydent. - Kiedy tam przybędą?

- Za piętnaście godzin. Prezydent spojrzał na Oatesa.

- Doug, powierzam ci wszelkie sprawy dotyczące naruszenia suwerenności Chile i Argentyny.

- Zajmę się tym.

- Przed podjęciem akcji ratowniczej trzeba chyba najpierw odnaleźć „Lady Flamborough” - zauważył ze swą nieubłaganą logiką Schiller.

- Cóż... - W głosie Brogana zabrzmiała rozterka. - Najbliższy lotniskowiec znajduje się prawie pięć tysięcy mil dalej. Nie ma jak wszcząć morskich i powietrznych poszukiwań

na pełną skalę.

Schiller patrzył zamyślony na stół.

- Akcja ratownicza może trwać tygodnie, jeśli porywacze wprowadzą „Lady Flamborough” w odludną zatoczkę gdzieś u wybrzeży Antarktydy. Mgły lub niski pułap chmur też nie ułatwią sprawy.

- Zdjęcia satelitarne są naszym jedynym środkiem - powiedział Nichols. - Najgorsze, że żaden z naszych inwigilacyjnych satelitów nie nadzoruje tego regionu.

- Dale ma rację - zgodził się Schiller. - Południowe morza nie zajmują najważniejszego miejsca na liście regionów strategicznego nadzorowania. Gdyby szło o północną półkulę, moglibyśmy słuchać rozmów na statku i czytać gazety leżące na jego pokładzie.

- A czym dysponujemy? - spytał prezydent.

- „Landsatem”, kilkoma meteorologicznymi satelitami oraz „Seasatem”, który NUMA wykorzystuje do badań pokrywy lodowej Antarktydy i prądów morskich - odparł Brogan.

- Czy w Ameryce Łacińskiej mamy samolot zwiadowczy SR-90?

- Najbliższe lotnisko dla tego typu samolotów znajduje się w Teksasie.

- Jak długo trwałby lot tam i z powrotem?

- „Casper” osiąga prędkość pięciu machów, czyli niecałe pięć tysięcy kilometrów na godzinę. Może polecieć na Antarktydę, zrobić zdjęcia i wrócić z filmem za pięć godzin.

Prezydent skonsternowany potrząsnął głową.

- Może mi ktoś z łaski swojej zechce wytłumaczyć, czemu właśnie rząd Stanów Zjednoczonych zawsze pakuje się w jakieś kłopotliwe sytuacje? Słowo daję, nikt tak nie chrzani wszystkiego jak my. Konstruujemy najlepsze w świecie urządzenia do wykrywania, a gdy ich potrzebujemy, znajdują się akurat nie tam, gdzie trzeba.

Nikt nie śmiał się odezwać, nie śmiał się poruszyć. Ludzie prezydenta unikali jego wzroku, patrzyli ze skrepowaniem w stół, w papiery, w ścianę, w cokolwiek.

Wreszcie Nichols powiedział spokojnym, przekonywającym tonem:

- Znajdziemy ten statek, panie prezydencie. A Siły Specjalne na pewno potrafią wydostać tych ludzi z opresji.

- Taak - rzekł przeciągając samogłoskę prezydent. - Do takich właśnie misji są szkoleni. Pytanie tylko, czy jest jeszcze kogo ratować. Czy znalazłszy statek nie zastaną na nim grobowej ciszy i mnóstwa trupów...

Pułkownik Morton Hollis nie był zachwycony, gdy musiał opuścić rodzinę w samym środku urodzinowego przyjęcia żony. Na widok pełnego zrozumienia w jej oczach aż go skręciło w żołądku. Wiedział, że będzie go to drogo kosztowało. Do czerwonego koralowego naszyjnika trzeba będzie dodać pięciodniowy rejs na Bahamy, o który się od dawna dopominała.

Siedział za biurkiem w specjalnie skonstruowanym pomieszczeniu biurowym samolotu transportowego C-140 lecącego na południe nad Wenezuelą. Zaciągał się głęboko dużym hawańskim cygarem, które nabył w kantynie bazy, ponieważ embargo na import z Kuby zostało zniesione.

Studiował ostatnie raporty meteorologiczne dotyczące pogody na Półwyspie Antarktycznym i patrzył na fotografie przedstawiające dzikie lodowe brzegi. Dziesiątki razy przebiegał w myślach oczekujące go trudności. W czasie swej krótkiej historii Specjalne Siły Operacyjne mogły się poszczycić wieloma znakomitymi osiągnięciami, ale nie było wśród nich wyczynu na miarę odbicia takiego statku jak „Lady Flamborough”.

Specjalne Siły Operacyjne stały się wydzieloną służbą dopiero jesienią 1989 roku. Wtedy właśnie grupa „Delta”, której członkowie wywodzili się z elitarnych jednostek Rangersów oraz Zielonych Beretów, a także tajnej jednostki powietrznej znanej jako Task Force 160, połączyła się z wyborową jednostką SEAL Team Six Marynarki Wojennej oraz dywizjonem do specjalnych operacji Sił Powietrznych.

Te połączone siły dostały się pod jedno dowództwo, licząc dwanaście tysięcy ludzi. Kwaterowały w zamkniętej bazie w południowo-wschodniej Wirginii. Ich żołnierze byli doskonale wyszkoleni w taktyce partyzanckiej, w skokach spadochronowych oraz w umiejętnościach zachowania się w szczególnie trudnych warunkach.

Hollis był niski - ledwie sprostał wymogom Sił Specjalnych pod względem wzrostu - i tak szeroki w barach, że niemal kwadratowy. Miał czterdzieści lat i był niesamowicie wytrzymały. Przeżył symulowaną wojnę partyzancką na bagnach Florydy i po trzech tygodniach walk od razu podjął inne ciężkie zadanie. Jego krótko ostrzyżone brązowe włosy były rzadkie i przedwcześnie posiwiałe, a białka zielononiebieskich oczu lekko pożółkły od zbyt długiego przebywania w słońcu bez okularów ochronnych. Był wspaniałym żołnierzem, który zawsze miał wszystko z góry zaplanowane i nic nie zostawiał przypadkowi.

Puścił kółko z dymu odczuwając coś w rodzaju uniesienia. Nie mógłby mieć lepszego zespołu pod swoimi rozkazami, choćby nawet wybrał samych medalistów wojskowej



olimpiady. Byli elitą elit. Jego osiemdziesięciosobowy zespół, który nosił nazwę „Tropicieli Demona”, został wybrany do odbicia „Lady Flamborough”, ponieważ odbył właśnie zimowe ćwiczenia polegające na pozorowanej walce z terrorystami, którzy porwali statek z zakładnikami u wybrzeży Norwegii. Czterdziestu z nich było strzelcami wyborowymi, pozostali stanowili wsparcie logistyczne i taktyczne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili ukazała się w nich głowa zastępcy Hollisa, majora Johna Dillingera.

- Jesteś zajęty, Mort? - spytał major z teksaskim akcentem.

Hollis machnął ręką.

- Moje biuro jest twoim biurem - powiedział jowialnie. - Wciśnij się do środka i usiądź na mojej nowej skórzanej francuskiej kanapie.

Dillinger, szczupły, żyłasty, o ściągniętej twarzy, spojrzał powątpiewająco na obciążony płótnem stółek przyśrubowany do podłogi i usiadł. Major, ustawicznie wykpiwany z powodu nazwiska - identycznego z nazwiskiem słynnego włamywacza obrabiającego banki - był mistrzem w sztuce planowania taktycznego oraz penetracji najcięższych linii obrony.

- Co teraz robisz? - spytał Hollis.

- Przeglądam prognozy meteorologiczne i warunki terenowe.

- Widzisz coś w swojej kryształowej kuli?

- Za wcześnie na to.

Hollis uniósł brew.

- Jakie plany się zrodziły w twych przewrotnych myślach?

- Mogę wyrecytować i wyrysować sześć różnych sposobów zakradnięcia się na „Lady Flamborough”. Zapoznałem się z wyglądem i planem pokładów, ale póki nie będę wiedział, czy zastosujemy atak z powietrza, czy z morza, mogę planować jedynie z grubsza.

Hollis kiwnął z powagą głową.

- Na tym statku jest ponad stu niewinnych ludzi. Dwaj prezydenci i sekretarz generalny ONZ. Boże uchwaj, żeby któryś z nich wszedł na naszą linię ognia.

- Nie możemy przecież atakować ślepymi nabojami - zauważył cierpko Dillinger.

- Nie, i nie możemy spaść z hałaśliwych helikopterów plując ogniem. Musimy wtargnąć, zanim porywacze zorientują się, że jesteśmy. Grunt to całkowite zaskoczenie.

- Więc zaatakuj ich w nocy na spadochronach.

- Może tak zrobię - rzekł Hollis zwięźle.

Dillinger poruszył się niespokojnie na płóciennym stołku.

- Nocny desant spadochronowy jest niebezpieczny, lecz desant na ślepo na zaciemniony statek może przemienić się w rzeź. Obaj to wiemy, Mort. Z czterdziestu ludzi piętnastu w ogóle nie trafi w cel i wpadnie do morza. Dwudziestu odniesie rany z powodu zderzenia z twardymi, wystającymi częściami nadbudówek. Dobrze, jeżeli chociaż pięciu będzie się nadawało do walki.

- To całkiem możliwe.

- Zaczekajmy, aż będziemy mieli więcej informacji - zaproponował Dillinger. - Wszystko zależy od tego, gdzie znajdziemy statek. Nie wiemy przecież, czy stoi na kotwicy, czy płynie - a to duża różnica. Gdy tylko otrzymamy wiadomość, jak z nim ostatecznie jest, ułożę plan ataku i dam ci go do rąk, abyś go zatwierdził.

- Zgoda - rzekł Hollis. - A jak chłopaki?

- Odrabiają lekcje. Kiedy wylądujemy w Punta Arenas, będą znali „Lady Flamborough” dostatecznie dobrze, by biegać po jej pokładach z zawiązanymi oczyma.

- Tym razem bardzo wiele od nich zależy.

- Wywiążą się z zadania. Najważniejsze, żeby się cało znaleźli na pokładzie.

- I jeszcze jedno - rzekł Hollis z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy. - Według ostatniej informacji siły porwaczy...

- Iluż ich może być? Pięciu, dziesięciu, no, może dwudziestu.

Hollis przecząco pokręcił głową.

- Zakładając, że załoga meksykańskiego rudowęgłowca, która przesiadła się na „Lady Flamborough”, jest również uzbrojona... Możemy mieć do czynienia z czterdziestoma.

Dillinger aż otworzył usta.

- O rany! Mamy stawić czoło równej nam sile terrorystów? - Przetarł czoło dłonią, a potem spojrzał w oczy Hollisa. - Niektórzy będą mieli mocno podeptane palce, zanim ten taniec się skończy - rzekł z niesmakiem.

Porucznik Samuel T. Jones wpadł do przestronnego biura głęboko w betonowym bunkrze pod jednym ze wzgórz nieopodal Waszyngtonu. Dyszał, jakby przed chwilą startował w biegu na dwieście metrów. Tak też i zresztą było, bowiem salę łączności i biuro fotoanaliz oddzielała właśnie taka przestrzeń.

Twarz miał zaczerwienioną z podniecenia, a w wyciągniętych rękach trzymał dużą fotografię.

Jones często biegał po korytarzach w czasie ćwiczeń, ale ani on, ani nikt z trzystu pozostałych pracowników Dowództwa Specjalnych Sił Operacyjnych nigdy dotąd nie wkładał w to bieganie tyle serca. Ćwiczenia były jedynie ćwiczeniami. Po długim

oczekiwaniu nagle wszyscy ożyli, gdy z Pentagonu przyszedł alert w związku z porwaniem „Lady Flamborough”.

Dowódcą Specjalnych Sił Operacyjnych był generał major Frank Dodge. Teraz on i kilku członków jego sztabu oczekiwali w napięciu na najnowsze zdjęcie z satelity, obejmujące wody na południe od ziemi Ognistej, gdy do pokoju wpadł Jones.

- Mam!

Dodge spojrział na młodego oficera surowo.

- Powinno to tu być przed ośmioma minutami - burknął.

- Moja wina, generale. Pozwoliłem sobie powiększyć rejon poszukiwań.

Wyraz twarzy Dodge'a złagodniał. Kiwnął głową z aprobatą.

- Bardzo rozsądnie, poruczniku.

Jones szybko przyszpilił najnowsze zdjęcie na długiej ściennej tablicy oświetlonej osłoniętymi lampami. Wcześniejsze zdjęcie wisiało obok, ukazując ostatnią pozycję „Lady Flamborough” zaznaczoną czerwonym kółkiem, z poprzednim kursem wyrysowanym linią zieloną, a kursem przewidywanym pomarańczową.

Jones odstał w tył, kiedy generał Dodge i oficerowie jego sztabu tłumnie zebrali się wokół zdjęcia wypatrując kropki, która miała oznaczać statek.

- Ostatnie zdjęcie satelitarne ukazywało „Lady Flamborough” mniej więcej sto kilometrów na południe od przylądka Horn - rzekł któryś z oficerów, obliczając kurs według poprzedniego zdjęcia. - Statek powinien się więc znajdować teraz w głębi Cieśniny Drake'a, gdzieś w okolicy wysp u wybrzeży Półwyspu Antarktycznego.

Po dłuższej chwili generał Dodge zwrócił się do Jonesa:

- Czy oglądał pan to zdjęcie, poruczniku?

- Nie, panie generale. Nie miałem czasu.

- Jest pan pewien, że to ostatnia transmisja?

Jones był zaskoczony.

- Tak, panie generale.

- Z całą pewnością?

- Z całą pewnością - odparł Jones bez wahania. - Satelita „Seasat”, który należy do NUMA, zarejestrował ten obszar za pomocą impulsów elektronicznych przekazywanych natychmiast do stacji naziemnych. Ogląda pan obraz sprzed niespełna sześciu minut.

- Kiedy otrzymamy następne zdjęcie?

- „Landsat” powinien orbitować nad tym rejonem za czterdzieści minut.

- A „Casper”?

Jones spojrział na zegarek.

- Jeśli powróci o czasie, obejrzymy film za cztery godziny.

- Proszę mi go natychmiast dostarczyć.

- Tak jest, panie generale.

Dodge zwrócił się do swoich podwładnych:

- No cóż, moi panowie, nie będzie się to podobało Białemu Domowi.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Proszę mnie połączyć z Alanem Mercierem.

Po krótkiej chwili usłyszał głos doradcy do spraw bezpieczeństwa:

- Mam nadzieję, że dzwonisz z dobrymi wiadomościami, Frank.

- Przykro mi, ale nie - odparł Dodge prosto z mostu. - Wygląda na to, że statek...

- Zatonął?

- Nie wiemy tego na pewno.

- O czym ty mówisz?

Dodge zaczerpnął powietrza w płuca.

- Poinformuj prezydenta, że „Lady Flamborough” znów zniknęła.

Na początku lat dziewięćdziesiątych urządzenia służące do przesyłania fotografii czy wykresów za pomocą mikrofal via satelita lub światłowodami stały się równie powszechne w świecie biznesu i biurach rządowych jak kopiarki. Wykonany laserem, a następnie przekazany do laserowego odbiornika obraz mógł być niemal natychmiast odtworzony w naturalnych barwach i z najdrobniejszymi szczegółami.

Tak więc w dziesięć minut od telefonu generała Dodge'a prezydent i Dale Nichols pochylali się w Gabinetcie Ovalnym nad biurkiem, oglądając uważnie obraz z „Seasata”, przedstawiający rejon wód u dolnego krańca Ameryki Południowej.

- Tym razem statek może rzeczywiście leżeć już na dnie - rzekł Nichols. Czuł się zmęczony i zakłopotany.

- Nie wierzę - odparł prezydent. - Porywacze mieli szansę zniszczyć „Lady Flamborough” koło Punta del Este i umknąć na „General Bravo”. Czemu mieliby ją topić teraz?

- Może uciekli łodzią podwodną.

Prezydent jakby nie słyszał.

- Nasza niezdolność do rozwiązania tego problemu jest przerażająca. Wszystko, co czynimy, grzęźnie w jakimś bezwładzie.

- Zaskoczyli nas. Nie byliśmy przygotowani ani wyekwipowani.

- Takie rzeczy zdarzają się tu zbyt często - mruknął prezydent. Podniósł pałające gniewem oczy. - Nie mogę uznać tych ludzi za straconych. Jestem to winien George'owi Pittowi. Bez jego poparcia nie siedziałbym dziś w Gabinetcie Ovalnym. - Zrobił efektowną pauzę. - Nie damy się tym razem nabrać.

Sid Green uważnie przeglądał zdjęcia satelitarne. Był specjalistą od fotowyywiadu przy Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Fort Meyer. Przyglądał się wyświetlonym na ekranie dwóm ostatnim zdjęciom. Zaintrygowany, zignorował to najnowsze, na którym nie było statku, i skoncentrował się na wcześniejszym. Skomputeryzowanym obiektywem zrobił zbliżenie malutkiej plamki, która przedstawiała „Lady Flamborough”.

Zarys statku był rozmazany, zbyt niewyraźny, by dojrzeć coś więcej niż jego kontury. Green zajął się stojącym z lewej strony komputerem i wydał mu szereg poleceń. Kilka szczegółów, uprzednio niedostrzegalnych, stało się teraz widocznymi. Zaczął rozróżniać komin, kształt nadbudówki i rozmazane wycinki górnych pokładów.

Dalej bawił się klawiaturą komputera, usiłując wyostrzyć zarysy elementów statku. Spędził w ten sposób blisko godzinę, nim wreszcie odchylił się do tyłu, założył ręce na

głowę i dał oczom odpocząć.

Drzwi zaciemnionego pokoju otworzyły się i wszedł przełożony Greena, Vic Patton. Chwilę stał za Greenem, patrząc na ekran.

- To jest tak, jakbyś z dachu Światowego Centrum Handlu chciał czytać leżącą na ulicy gazetę - zauważył. - Ani śladu statku na ostatnim zdjęciu?

- Ani śladu.

- Szkoda, że nie możemy opuścić naszych szpiegowskich ptaszków tak nisko.

- KH-15 na pewno dałby dobry obraz.

- Sytuacja bliskowschodnia znowu staje się gorąca. Nie mogę zdjąć żadnego z orbity, póki kurz nie osiadzie.

- Wyślij więc „Caspera”.

- Już jest w drodze - odparł Patton. - Koło południa będziesz mógł zobaczyć kolor oczu porywaczy.

Green wskazał obiektyw komputera.

- Spójrz i powiedz mi, czy nie wydaje ci się, że coś tu jest nie tak?

Patton przycisnął oko do gumowego okulara i spojrzał na plamkę, którą była „Lady Flamborough”.

- Zbyt rozmazane, żeby odróżnić szczegóły. O co ci chodzi?

- Sprawdź część dziobową.

- Jak odróżniłeś dziób od rufy?

- Po kilwaterze za rufą - odparł niecierpliwie Green.

- Dobra, mam. Pokład za rufą wydaje mi się zaciemniony, zupełnie jakby był zasłonięty.

- Zgadza się - powiedział Green.

- Co oni kombinują? - dziwił się Patton.

- Dowiemy się, jak dostaniemy film z „Caspera”.

Na pokładzie C-140, lecącego teraz nad Boliwią, panowała atmosfera gorzkiego rozczarowania. Zdjęcie bez „Lady Flamborough”, które trafiło na pokład samolotu przez laserowy odbiornik, wywołało tu takie samo podniecenie, jak w waszyngtońskim ośrodku dowodzenia.

- Gdzie ona się podziała? - pytał Hollis.

- Nie mogła przecież zniknąć - wymamrotał Dillinger.

- Ale tak się najwyraźniej stało. Zobacz sam.

- Patrzyłem. Nie widzę jej tak samo jak ty.

- Już trzeci raz pod rząd stajemy przed zatrzaśniętymi drzwiami z powodu złych informacji, niepogody lub uszkodzenia urządzeń. A teraz jeszcze nasz cel bawi się z nami w chowanego.

- Z pewnością zatonała - stwierdził Dillinger. - Nie widzę żadnego innego wytłumaczenia.

- Nie rozumiem, jak czterdziestu porywaczy mogło się zgodzić na popełnienie samobójstwa.

- Co teraz będzie?

- Mogę tylko zwrócić się o instrukcje do dowództwa... ale nie sadzę, aby podjęli już jakąś decyzję.

- Przerywamy misję? - spytał Dillinger.

- Nie, chyba że każą nam zawrócić.

- Więc lecimy dalej.

Hollis w przygnębieniu kiwnął głową.

- Lecimy na południe, póki nie otrzymamy innego rozkazu.

Ostatni dowiedział się o tym Pitt. Spał jak zabity, kiedy do kajuty wszedł Rudi Gunn i potrząsnął nim.

- Wracaj do życia - rzekł ponaglająco. - Masz duży problem.

Pitt otworzył oczy i spojrzał na zegarek.

- Mandat za przekroczenie szybkości przy wpływaniu do Punta Arenas?

Gunn spojrzał na niego z niesmakiem. Każdy, kto budzi się z głębokiego snu w dobrym humorze i natychmiast opowiada kiepskie kawały, musi być degeneratem.

- Statek wpłynie do portu dopiero za godzinę.

- Świetnie, mogę jeszcze trochę pospać.

- Bądź poważny! - rzekł Gunn. - Właśnie otrzymaliśmy ostatnie zdjęcie z satelity. „Lady Flamborough” zniknęła po raz drugi.

- Naprawdę zniknęła?

- Nawet najmocniejsze powiększenia nie wykazują jej obecności na tym obszarze. Właśnie rozmawiałem z admirałem Sandeckerem. Biały Dom i Pentagon plują rozkazami jak zwariowane automaty. Oddział Specjalnych Sił Operacyjnych jest w drodze, przygotowany do akcji. Wysłali również samolot szpiegowski, żeby porobił przyzwoite zdjęcia z powietrza.

- Niech admirał zorganizuje mi spotkanie z dowódcą Oddziału Specjalnych Sił Operacyjnych, gdy tylko wylądują.

- Czemu sam mu tego nie powiesz?

- Bo chcę się jeszcze przespać - odparł Pitt z głośnym ziewnięciem.

Gunn stał skonsternowany.

- Twój ojciec jest na tym statku. Czy to cię ni cholery nie obchodzi?

- Tak - odparł Pitt z ostrzegawczym błyskiem w oku. - Obchodzi mnie jak cholera.

Ale w tej chwili nic nie mogę zrobić.

Gunn wycofał się.

- Jest jeszcze coś, o czym admirał powinien się dowiedzieć? - zapytał.

Pitt podciągnął koc pod pachy i obrócił się twarzą do ściany.

- Tak. Możesz mu powiedzieć, że wiem, w jaki sposób „Lady Flamborough” zniknęła.

I że domyślam się, gdzie się ukrywa.

Gdyby ktokolwiek inny powiedział te słowa, Gunn nazwałby go kłamcą, lecz w słowa Pitta nie wątpił ani przez moment.

- Możesz mi zdradzić tę tajemnicę?

Pitt odwrócił się do niego.

- Jesteś kolekcjonerem dzieł sztuki, prawda, Rudi?

- Mój zbiór malarstwa abstrakcyjnego nie równa się co prawda zbiorowi nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ale zasługuje na szacunek. - Spojrzał na Pitta nierozumiejąco. - Ale co to ma wspólnego z tą sprawą?

- Jeżeli się nie pomyliłem, wkrótce będziemy mieli do czynienia ze sztuką na ogromną skalę.

- Czy nadajemy na tych samych falach?

- Christo - rzekł Pitt odwracając się z powrotem do ściany. - Wkrótce zobaczymy rzeźbę inspirowaną przez Christa.



W położonym najdalej na południu wielkim mieście świata lekki śnieżek przemienił się we wstrętny, mieciony wiatrem deszcz ze śniegiem. Punta Arenas to port, który kwitł, dopóki nie zbudowano Kanału Panamskiego, po czym zamarł. Miasto powróciło do roli ośrodka hodowli owiec, ale obecnie znów rozkwitło w związku z odkryciem nieopodal bogatych pól naftowych.

Hollis i Dillinger czekali niecierpliwie na molo, by wejść na pokład „Soundera”. Temperatura spadła kilka stopni poniżej zera. Był wilgotny, ostry chłód, który kąsał ich odsłonięte twarze. Czuli się jak wielbłądy w Arktyce. Współpracowali z władzami chilijskimi i byli przebrani w mundury urzędników imigracyjnych.

Ich samolot, tak jak planowano, wylądował na pobliskim lotnisku wojskowym, gdy było jeszcze ciemno. Panował sztorm, zmniejszając widoczność do kilkuset metrów, co spowodowało, że ich przybycie nie zostało zauważone. Dowództwo wojskowe Chile posunęło się w swej gościnności tak daleko, że przydzieliło nawet hangary dla Hollisowego dywizjonu, aby go nie było widać.

Hollis i Dillinger wyszli spod osłony magazynu w chwili, kiedy ze statku badawczego rzucono cumy i spuszczoneo trap. Obaj wzdrygnęli się pod uderzeniem lodowatego wiatru.

Na skrzydle mostka pojawił się wysoki, uśmiechnięty przyjaźnie mężczyzna ubrany w kurtkę narciarską. Przyłożył do ust dłoń.

- *Senor López?* - krzyknął przez śnieg z deszczem.

- *Si!* - odwrzasnął Hollis.

- Kto jest z panem?

- *Mi amigo, senor Jones* - odpowiedział Hollis wskazując ruchem głowy Dillingera.

- Słyszałem lepszą hiszpańszczyznę w chińskiej restauracji - mruknął Dillinger.

- Zapraszam na statek. Kiedy będziecie na głównym pokładzie, wejdźcie po drabince z prawej strony na mostek.

- *Gracias.*

Dwaj dowódcy elitarnych sił amerykańskich weszli posłusznie po pochyłym trapie i wspięli się po drabince. Hollisa zżerała ciekawość. Na godzinę przed wylądowaniem w Punta Arenas otrzymał pilną zakodowaną wiadomość od generała Dodge'a, nakazującą mu udać się potajemnie na „Soundera”, gdy tylko zawinie do portu. Bez żadnych wyjaśnień, bez dalszych instrukcji. Z krótkiej odprawy w Wirginii wiedział tylko, że statek badawczy i jego załoga odkryli znowę pomiędzy meksykańskim kontenerowcem a „Lady Flamborough”. Nic poza tym. Ogromnie pragnął się dowiedzieć, czemu „Sounder” tak

nagle pojawił się w Punta Arenas niemal w tym samym czasie, co oddział Specjalnych Sił Operacyjnych.

Hollis bardzo nie lubił być niedoinformowany i przejawiał wtedy szczególną drażliwość.

Człowiek, który z nim rozmawiał, nadal stał na skrzydle mostka. Hollis spojrzał w hipnotyzującą opalową zieleń jego oczu. Był to szczupły mężczyzna o szerokich barach, którego odsłonięte czarne włosy poczętkowały płatki śniegu. Przyglądał się dwóm oficerom przez całe pięć sekund, a potem wyjął wolno z kieszeni kurtki prawą dłoń i wyciągnął do nich.

- Pułkowniku Hollis, majorze Dillinger, jestem Dirk Pitt.

- Widać, że wie pan o nas więcej niż my o panu.

- Za chwilę to naprawimy - rzekł Pitt pogodnie. - Zapraszam do kajuty kapitana.

Kawa już się gotuje.

Udali się na niższy pokład, do pomieszczeń kapitańskich. Kiedy znaleźli się wewnątrz, Pitt przedstawił Gunna, Giordina i kapitana Stewarta. Oficerowie Specjalnych Sił Operacyjnych uścisnęli wszystkim dłonie i z wdzięcznością przyjęli podaną im gorącą kawę.

- Siadajcie, panowie - rzekł Stewart wskazując krzesła.

Dillinger usiadł, lecz Hollis potrząsnął głową.

- Dziękuję, wolę stać. Chciałbym się dowiedzieć, o co tu, u diabła, chodzi.

- O „Lady Flamborough” oczywiście - odparł Pitt.

- O czym tu gadać? Terrorysty ją zniszczyli.

- Wciąż pływa sobie cało i zdrowo - zapewnił go Pitt.

- Nic o tym nie wiem - rzekł Hollis. - Na ostatnim zdjęciu z satelity nie ma po niej ani śladu.

- Niech mi pan wierzy na słowo.

- Przylecieliśmy tu, aby ratować ludzkie życie - powiedział Hollis szorstko. - Nikt, nawet moi przełożeni, nie powiedział mi, że ludzi na tym statku można jeszcze ocalić.

- Musi pan zrozumieć, pułkowniku - rzekł Pitt głosem siekącym nagle jak batog - że tym razem nie mamy do czynienia ze zwyczajnymi terrorystami. Ich przywódca jest niesłychanie pomysłowy. Jak do tej pory udawało mu się przechytryć najtęższe głowy. I udaje mu się to nadal.

- A jednak ktoś go przejrzał - rzekł Hollis, rzucając niezdarny komplement.

- Poszczyściło nam się. Gdyby „Sounder” nie prowadził badań w tym rejonie,

odkrycie „General Bravo” zajęłoby miesiąc.

Pesymizm pułkownika Hollisa zaczął topnieć. Ten człowiek naprawdę wiedział, co robi.

- Gdzie jest statek? - spytał wprost.

- Nie wiemy - odpowiedział Gunn.

- Nie znacie jego pozycji nawet w przybliżeniu?

- Możemy tylko domniemywać, gdzie się znajduje - powiedział Giordino.

- Na podstawie czego?

Gunn spojrział z wyczekiwaniem na Pitta, który z uśmiechem podjął pałeczkę.

- Intuicji...

Nadzieje Hollisa znów legły w gruzach.

- Posługujecie się kartami do taroka czy kryształową kulą? - spytał z sarkazmem.

- Ja osobiście wolę fusy herbaciane - odplącił pięknym za nadobne Pitt.

Nastąpiła długa chwila chłodnego milczenia. Hollis doszedł do wniosku, że agresywność nic mu nie da. Dopił kawę i wolno obracał w rękach filiżankę.

- No dobra, panowie. Przepraszam za swoją natarczywość. Nie przywykłem do rozmów z cywilami.

W twarzy Pitta nie było złośliwości, po prostu rozbawienie.

- Jeśli to panu poprawi samopoczucie, to mam stopień majora Sił Powietrznych.

Hollis zmarszczył brew.

- Czy wolno mi więc zapytać, co pan robi na statku NUMA?

- Niech pan to nazwie stałym odkomenderowaniem... długa historia, na którą nie mamy czasu.

- Nie jest pan przypadkiem krewnym senatora George'a Pitta? - spytał Dillinger.

- Jestem jego synem.

- Teraz wszystko rozumiem... Panie Pitt, proszę nam powiedzieć, co wiecie - rzekł Hollis.

- Ostatni raport - wtrącił się Dillinger - mówił o „Lady Flamborough” zmierzającej ku Antarktydzie. Twierdzi pan, że ona nadal płynie. Nowe zdjęcia z pewnością ukażą ją wśród kry lodowej.

- Jeśli pan stawia na zdjęcia z „Caspera” SR-90 - rzekł Pitt - to szkoda pieniędzy.

Dillinger spojrział na Hollisa nie rozumiejąc.

- SR-90 potrafi z odległości stu tysięcy kilometrów dostarczyć trójwymiarowe obrazy o takiej ostrości, że widać na nich szwy piłki futbolowej - stwierdził Hollis.

- Bezsprzecznie. Lecz co wtedy, gdy piłka jest zamaskowana i wygląda jak skała?

- Nadal nie rozumiem...

- Zrozumie pan, gdy coś panu pokazemy - rzekł Pitt. - Załoga coś panom zademonstruje na pokładzie.

Odkryty pokład na rufie statku został osłonięty dużą płachtą nieprzezroczystej folii plastikowej, mocno przywiązanej i napiętej, aby nie wybrzuszała się na wietrze. Kapitan Stewart stał przy dwóch marynarzach, którzy obsługiwali wąż przeciwpożarowy.

- W czasie badania obszaru dna wokół „General Bravo” - wyjaśniał Pitt - odkryliśmy rulon tej folii plastikowej. Przypuszczam, że spadł z pokładu „Lady Flamborough”, kiedy te dwa statki się spotkały. Leżał pomiędzy pustymi beczkami po farbie, którą porywacze malowali statek, by upodobnić go do meksykańskiego kontenerowca. Zgadzam się, że to nie stanowi żadnego dowodu. Musicie mi uwierzyć na słowo. Lecz wszystko wskazuje na to, że tamci poszli jeszcze dalej. Na ostatnim zdjęciu satelitarnym niczego nie znaleziono, bo wszyscy szukali statku. A „Lady Flamborough” już nie wygląda jak statek. Przywódca porywaczy musi się znać na sztuce. Wzorował się na kontrowersyjnym rzeźbiarzu Christo, który słynie ze swych rzeźb plenerowych z plastiku. Owija nim budynki, brzegi morza, wyspy. Zawiesił monstrualną zasłonę w Rifle Gap w Kolorado i zrobił płot ciągnący się na mile w Marin County w Kalifornii. Przywódca porywaczy owinał plastikiem cały statek. Nie jest duży, więc zarys jego kadłuba mógł zostać zmieniony za pomocą podpór i rusztowań. Mając uprzednio przyciętą i ponumerowaną folię, setka zakładników i porywacze mogli wykonać tę pracę w dziesięć godzin. Zapewne właśnie pracowali, kiedy w górze przelatywał „Landsat”. Powiększenie zdjęcia było zbyt mało wyraźne, by móc to zauważyć. Kiedy pół dnia później przelatywał „Seasat”, nie było już żadnego statku. Czy mówię za szybko?

- Nie... - odparł powoli Hollis. - Ale nadal niewiele z tego rozumiem.

- On pewnie jest z Missouri - rzekł Giordino cierpko. - Pokażemy mu?

Pitt kiwnął głową do kapitana Stewarta.

- No, chłopcy - rzekł Stewart do swoich marynarzy. - Jeszcze raz.

Jeden z marynarzy odkręcił zawór, drugi kierował dyszą. Plastikową folię przesłoniła mgiełka wodna. Początkowo wiatr znosił ją za burtę. Marynarz zaraz jednak zmienił ustawienie dyszy i wkrótce folia pokryła się warstewką wody.

Nim upłynęła minuta, warstewka wody zmieniła się w lód.

Hollis obserwował tę przemianę w zadumie. Potem podszedł do Pitta i wyciągnął dłoń.

- Proszę przyjąć wyrazy mojego szacunku. Świetna robota.

Dillinger miał minę wieśniaka oszukanego na jarmarku.

- Góra lodowa - mruknął gniewnie. - Sukinsyny zmienili statek w górę lodową.

Hala obudziła się zziębnięta i sztywna. Późny ranek wyglądał wciąż ciemnawo. Makiety kontenerów w połączeniu z pokrytą lodem folią plastikową, która okrywała statek, tłumili światło. To, które docierało do apartamentów, wystarczało jedynie na ukazanie zarysów postaci prezydenta De Lorenzo i prezydenta Hasana leżących na sąsiednim łóżku. Okryci jednym żałośnie cienkim i wąskim kocem, przywarli ciasno do siebie dla ochrony przed zimnem, a ich oddechy wisiały obłoczkami pary nad głowami, póki nie osiadły i nie zamarły na ścianach.

Sam chłód byłby jeszcze do zniesienia, ale wysoka wilgotność powietrza czyniła go okropnym. Stan zakładników pogarszał jeszcze brak pożywienia - od wypłynięcia z Punta del Este nie otrzymali nic do jedzenia. Zimno i głód wysysały ich siły, a lęk przed nieznanym przytłaczał umysły.

Początkowo więźniowie ratowali się wodą z kranu w łazience. Rury jednak zamarły i do męki głodu doszła jeszcze udręka pragnienia.

„Lady Flamborough” była przystosowana do pływania po wodach tropikalnych i nie miała na pokładzie zbyt wielu ciepłych koców. Każdy, kto wszedł na pokład w Puerto Rico lub w Punta del Este, pozostawił całą zimową odzież w domu. Więźniowie opatulili się, jak mogli, włożywszy na siebie po kilka lekkich warstw ubrania, a głowy owinęli ręcznikami. Najbardziej brakowało im rękawic.

Nie było żadnego ogrzewania, Ammar bowiem oddalił wszelkie prośby o włączenie ciepła. Nie mógł sobie na to pozwolić - ogrzanie wnętrza rozpuściłoby warstewkę lodu na plastikowej folii i zniszczyłoby jego plany.

Nie tylko Hala nie spała, większość więźniów również nie mogła zasnąć. Leżeli jak w hipnotycznym transie, świadomi, gdzie są, lecz niezdolni do jakiegokolwiek fizycznego wysiłku. Opuściły ich wszelkie myśli o oporze. Kapitan Collins i jego załoga myśleli tylko o tym, jak przetrwać w tym paraliżującym zimnie.

Gdy do kajuty wszedł senator Pitt, Hala uniosła się na łokciach.

Wyglądał dziwnie w dwóch garniturach włożonych jeden na drugi. Uśmiechnął się do Hali, by dodać jej otuchy, lecz był to żalosny uśmiech. Zmęczenie ostatnich pięciu dni odjęło mu młodzieńczy wygląd i widać było po nim jego lata.

- Jak się trzymasz? - spytał.

- Oddałabym prawą rękę za filiżankę gorącej herbaty - odparła dzielnie.

- Jeśli o mnie idzie, oddałbym więcej.

Prezydent De Lorenzo usiadł i opuścił nogi na podłogę.

- Czy ktoś mówił coś o gorącej herbacie?
- Tylko marzyliśmy, panie prezydencie - odrzekł senator.
- Nigdy nie sądziłem, że będę marzył i głodował na takim luksusowym statku.
- Ani ja - powiedziała Hala.

Prezydent Hasan jęknął cicho zmieniając pozycję i uniósł głowę.

- Bolał pana plecy? - spytał prezydent De Lorenzo z wyrazem z troskaniem na twarzy.
- Jestem zbyt zmarznięty, by mogło mnie coś boleć - odparł Hasan z wymuszonym uśmiechem.

- Pomóc panu wstać?

- Nie, dziękuję. Myślę, że zostanę w łóżku, żeby zachować siły, jakie mi zostały. - Spojrzał na De Lorenzo i uśmiechnął się lekko. - Wolałbym, żebyśmy się poznali i zaprzyjaźnili w bardziej sprzyjających warunkach.

- Słyszałem, jak Amerykanie mówią: „Polityka czyni obcych towarzyszami wspólnego łoża”. Jesteśmy tego dokładnym przykładem.

- Musi mnie pan odwiedzić w Egipcie, kiedy to się skończy.

De Lorenzo kiwnął głową.

- I pan mnie w Meksyku.

- Będzie to dla mnie zaszczyt.

Dwaj prezydenci uścisnęli sobie uroczyście dłonie - już nie jako rozpieszczone głowy państw, ale jako dwaj mężczyźni znoszący dzielnie swój los, zdecydowani nie tracąc godności wyjść z opałów, w jakich się znaleźli.

- Maszyny stanęły - powiedziała nagle Hala.

Senator Pitt kiwnął głową.

- Przed chwilą rzucono kotwice. Dlatego wyłączyli silniki.

- Musimy być gdzieś przy brzegu.

- Trudno to stwierdzić przy zasłoniętych oknach.

- Jesteśmy jak ślepi - stwierdził Hasan.

- Jeżeli ktoś popilnuje drzwi, spróbuję wyważyć okno - powiedział senator. - Może uda mi się wybić dziurę w szybie nie zwracając uwagi straży, wtedy wytnę otwór w fibrze. Przy odrobinie szczęścia zorientujemy się, gdzie jesteśmy.

- Ja będę nasłuchiwała przy drzwiach - zaproponowała Hala.

- Jest wystarczająco zimno i bez dziur - rzekł De Lorenzo niechętnie.

- Tutaj jest taka sama temperatura jak na zewnątrz - odparł senator.

Nie tracił czasu na dalszą dyskusję. Podszedł do wielkiego panoramicznego okna w

saloniku. Miało dwa metry na jeden. Nie było za nim pokładu spacerowego. Wejścia do salonów i apartamentów znajdowały się od strony wewnętrznej. Ściany zewnętrzne, z oknami, były tuż przy burtach.

Porywacze patrolowali jedynie pokłady nad apartamentami i pokłady widokowe na dziobie oraz na rufie.

Senator postukał w szybę knykциями. Usłyszał tylko głuchy odgłos. Szkło było bardzo grube. Musiało być takie, aby się oprzeć naporowi ogromnych fal i huraganowej sile wiatru.

- Czy ktoś z państwa ma pierścionek z brylantem? - spytał.

Hala wyjęła rękę z kieszeni lekkiego płaszcza od deszczu, uniosła je do góry i poruszyła palcami, pokazując dwa pierścionki z opalami i turkusami.

- Muzułmańscy zalotnicy nie mają zwyczaju psuć swoich kobiet hojnymi darami - powiedziała.

- Przydałby się karatowy brylant.

Prezydent Hasan zdjął z palca duży pierścień.

- Ten jest trzykaratowy.

Senator przyjrzał się kamieniowi w niewyraźnym świetle.

- Dziękuję. Powinien spełnić zadanie.

Zabrał się szybko do roboty nie wznecając hałasu. Wyciął dostateczny otwór, by móc weń włożyć palec. Co chwila przerywał pracę i chuchał na rękę. Kiedy palce mu drętwiały, wkładał dłonie pod pachy, aby je rozgrzać.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co mu zrobią porywacze, jeśli go przyłapią. Widział już w wyobraźni swoje podziurawione kulami ciało niesione prądem.

Zakreślił brylantem koło wokół małego otworu, po czym powtórzył tę czynność jeszcze kilka razy. Chodziło o to, aby szkło nie spadło uderzając z brzękiem o stalową burtę statku.

Włożył palec w otwór i zgiął go. Pociągnął i wyjął szklany krąg. Położył go na dywanie. Niezła robota. Teraz miał dostatecznie duży otwór, by móc weń włożyć głowę.

Fibrowa płyta udająca kontener znajdowała się w odległości niespełna pół metra od szyby i zakrywała całą długość nadbudówki śródokręcia. Senator wsadził ostrożnie w otwór głowę, uważając, aby nie skaleczyć sobie uszu o ostre jak brzytwa krawędzie. Rozejrzał się na boki, lecz zobaczył tylko wąską szczelinę między fibrą a stalową burtą statku. W górze dostrzegł przyciemniony pasek nieba, jakby przez gęstą mgłę. Powinien ujrzeć wąski pas wody w dole, ale widział tylko wielką płachtę folii plastikowej, która była przymocowana do listew na poziomie linii wodnej. Patrzył na nią w zdumieniu, nie mając pojęcia, do czego



mogła służyć.

Na razie czuł się bezpieczny. Skoro on nie widział porywaczy, oni też nie mogli go zobaczyć. Wrócił do sypialni i zaczął grzebać w swej walizce.

- Czego szukasz? - spytała Hala.

Pokazał jej scyzoryk.

- Zawsze wożę go ze sobą razem z przyborami do golenia. - Uśmiechnął się. - Korkociąg bardzo się przydaje na zaimprovizowanych przyjęciach.

Nie spieszył się tym razem i dobrze ogrzał sobie dłonie, nim wrócił do pracy. Włożył rękę przez otwór w szybie i zaczął wiercić mniejszym ostrzem scyzoryka dziurę w płycie, a potem borował ją większym.

Trwało to dość długo, senator jednak nie śmiał wysunąć scyzoryka więcej jak milimetr na drugą stronę płyty. Bał się, że czujny strażnik przechyli się przez barierkę i zobaczy poruszające się metalowe ostrze. Wycinał otwór ostrożnie, warstwa po warstwie.

Ręka zdrętwiała mu z zimna, lecz nie ustawał w pracy.

Wreszcie zrobił dostateczny otwór, aby móc zobaczyć spory fragment morza. Wsadził głowę w otwór w szybie i przyłożył policzek do chłodnej powierzchni płyty.

Coś zasłaniało mu widoczność. Włożył palec w dziurę i dotknął nim plastikowej folii. Był zdumiony, że pokrywała nie tylko kadłub, ale i fałszywe kontenery.

Zaklął z cicha. Nie musiał się bać, że ktoś zobaczy jego scyzoryk, zasłaniała go folia. Wyzbył się więc wszelkiej ostrożności i wyciął szczelinę w nieprzejrzywej płachcie. Potem znów przyłożył oko.

Nie zobaczył otwartego morza, nie zobaczył także linii brzegu.

Zobaczył przed sobą lodową ścianę, której szczytu nie mógł ze swego miejsca dojrzeć. Ta lśniąca ściana była tak blisko, że mógłby jej dotknąć końcem parasola lub laski.

Patrząc tak usłyszał głuchy basowy łoskot. Przypominał odgłos towarzyszący trzęsieniu ziemi.

Cofnął głowę i Hala ujrzała jego zmartwiałą twarz.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona. - Co zobaczyłeś?

Odwrócił się i spojrzał na nią tępo, poruszając bezgłośnie ustami. Potem na jego wargi wypłynęły słowa:

- Statek stoi zakotwiczony przy ogromnym lodowcu - rzekł wreszcie. - Lodowa ściana może się w każdej chwili zwalić i zgnieść statek jak papierową łódkę.

Dwadzieścia tysięcy metrów nad Półwyspem Antarktycznym samolot zwiadowczy typu Delta przemykał przez rozrzedzone powietrze z prędkością 3200 kilometrów na godzinę. Był przeznaczony do latania na dwakroć większej wysokości i z dwakroć większą prędkością, ale jego pilot trzymał przepustnice otwarte tylko na 40 procent, w celu zaoszczędzenia paliwa i dania kamerom szansy na ostrzejsze zdjęcia.

W przeciwieństwie do swojego poprzednika, SR-71, zwanego „krukiem”, którego skrzydła i kadłub o barwie głębokiego indygo wykonano z tytanu, znacznie nowocześniejszy SR-90 był zbudowany z niewiarygodnie mocnego, lekkiego tworzywa plastikowego, zabarwionego na popielato. Nazwany imieniem komiksowego ducha Caspera, samolot ten był niemal niewykrywalny zarówno wzrokiem, jak i radarem.

Jego pięć kamer mogło podczas jednego przelotu objąć w ciągu godziny całą długość Stanów Zjednoczonych. Zespół kamer filmował w czarno-bieli, w kolorze, w podczerwieni i trójwymiarowo, przy zastosowaniu ściśle tajnych technik zupełnie nie znanych zawodowym fotografom.

Podpułkownik James Slade miał niewiele do roboty podczas długiego nudnego zwiadu. Przechodził na ręczne sterowanie tylko podczas tankowania. Silniki „Caspera” piły bardzo dużo. Operacje tankowania trzeba było przeprowadzać cztery razy, wykorzystując powietrzne tankowce.

Slade spojrział krytycznym okiem na instrumenty - „Casper” był nowym samolotem i jeszcze nie ujawnił swych narowów. Stwierdziwszy z ulgą, że wszystkie odczyty są prawidłowe, westchnął i wyjął z kieszeni kombinezону miniaturową grę elektroniczną. Zaczął naciskać guziki pod małym ekranem, starając się przeprowadzić maleńkiego nurka cało i zdrowo obok ogromnej ośmiornicy strzegącej skrzyni ze skarbami.

Po kilku minutach znudziło go to i spojrział w dół na wielką pustkę, jaką była Antarktyda. Daleko w dole, pod diamentowo przejrzystym niebem lśnił zgięty przywołujące palec północnego półwyspu.

Lód, skały i morze stanowiły groźny dla oka, onieśmiałający przestwór. Widok z wysokości dwudziestu kilometrów mógł się wydawać piękny, ale nie Slade'owi. Woził kiedyś dostawy do stacji badawczej na biegunie południowym i szybko się nauczył, że piękno i wrogość w wiecznym władaniu zimna chodzą ręką w rękę.

Pamiętał dobrze, jakie tam panują temperatury. Kiedyś nie wierzył, jak to możliwe, by ślina po splunięciu zamieniała się w lód, zanim upadła na ziemię. I nigdy nie zapomniał straszliwych wichrów, które smagają ten najzimniejszy z kontynentów. Podmuchy o

prędkości 160 kilometrów wydawały mu się niewyobrażalne, póki ich sam nie doświadczył.

Nie pojmował, jak niektórzy ludzie mogą być urzeczeni tym zamrażającym piekłem. Przyszła mu do głowy niedorzeczna myśl, by po powrocie zadzwonić do biura podróży i poprosić o zarezerwowanie miejsca w jakimś dobrym hotelu blisko bieguna południowego.

Nagle usłyszał damski głos dobywający się z jednego z trzech głośników w kokpicie:

- Proszę o uwagę. Samolot przekroczy zaraz zewnętrzną linię drogi lotu, na której przecinają się siedemdziesiąty równoleżnik i siedemdziesiąty południk. Proszę wyłączyć autopilota i wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Kurs trasy powrotnej do bazy jest zaprogramowany w komputerze. Proszę wpisać odpowiedni kod. Szczęśliwego powrotu.

Slade zastosował się do instrukcji i wykonał leniwy skręt. Gdy tylko komputer przeszedł na kurs powrotny, włączył ponownie autopilota i rozsiadł się wygodniej na fotelu.

Jak tyłu innych mężczyzn podczas lotów zwiadowczych, zaczął dorabiać w wyobraźni twarz i ciało do głosu z głośnika. Fama głosiła, że osoba ta ważyła sto pięćdziesiąt kilo, miała sześćdziesiąt lat i dwanaścioro wnucząt, ale żaden pilot o zdrowej wyobraźni nie dawał wiary podobnym pogłoskom. Na pewno wyglądała jak Sigourney Weaver. Może nawet nią była? Postanowił zbadać to dręczące przypuszczenie zaraz po powrocie.

Rozstrzygnąwszy tak delikatny problem, sprawdził wskazania instrumentów, po czym odprężył się, a tymczasem skuty lodem ład pozostawał coraz dalej za ogonem samolotu. Zajął się ponownie grą elektroniczną.

Nie widział celu w obserwowaniu przetaczającej się w dole kuli ziemskiej, zwłaszcza że Ziemię Ognistą okrywała gruba powłoka czarnych chmur. Był to nieszczęsny kraj stałych wichrów, deszczów i śniegu. Slade był niemal rad, że nie widzi monotonnego, ponurego krajobrazu. Pozostawił tę sprawę kamerze filmującej w podczerwieni ten wyludniony, ślepy zaułek kontynentu południowoamerykańskiego.

Kapitan Collins patrzył w maskę Ammara i musiał użyć całej siły woli, by nie odwrócić wzroku. W oczach przywódcy terrorystów było coś nieludzkiego.

- Żądam wyjaśnienia, kiedy zamierza pan opuścić mój statek - rzekł zdecydowanym tonem kapitan.

Ammar odstawił filiżankę z herbatą na spodek, dotknął ust serwetką i spojrzał na Collinsa.

- Mogę zaproponować panu herbatę?

- Nie, póki jej pan nie da moim pasażerom i załodze - odparł spokojnie Collins. Stał wyprostowany w letnim białym mundurze, trzęsąc się z zimna.

- Oto odpowiedź, jakiej się spodziewałem. - Ammar odwrócił filiżankę do góry dnem i odchylił się do tyłu. - Zapewne ucieszy się pan, gdy powiem, że ja i moi ludzie opuścimy statek już jutro wieczorem. Jeżeli da mi pan słowo, że nie będzie żadnych niemądrych prób przejścia statku albo ucieczki na pobliski brzeg przed naszym odejściem, nikomu nie stanie się krzywda, a pan będzie mógł ponownie objąć dowództwo.

- Wolałbym, żeby pan zaraz ogrzał statek i nakarmił ludzi. Brakuje nam ciepłego odzienia i koców. Nikt z nas nie jadł od wielu dni. Rury pozamarzały i nie mamy wody. O problemach sanitarnych nawet nie wspomnę.

- Cierpienie jest dobre dla ducha - rzekł Ammar filozoficznie.

Collins spojrział na niego złowrogo.

- Co za bzdura.

Ammar wzruszył ramionami.

- Skoro pan tak uważa.

- Boże wielki, człowieku, na statku są chorzy i umierający.

- Bardzo wątpię, czy ktoś z załogi i pasażerów umrze z zimna lub głodu przed naszym odejściem - rzekł Ammar. - Muszą znosić niewygody, póki pan nie włączy ponownie silników, aby ogrzać statek.

- Może się to okazać dla nas za późno. Jeśli ta ściana lodowca się zawali...

- Wygląda dość solidnie.

- Pan nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Lodowa płyta może się zwalić lada chwila. Jej ciężar zgniecie „Lady Flamborough” jak pudełko zapalek. Musi pan odsunąć statek.

- To nieuniknione ryzyko. Powłoka lodu na folii plastikowej mogłaby stopnieć, zdradzając nasze położenie, a satelitarne kamery do zdjęć w podczerwieni wykryłyby wypromieniowywane ciepło.

Collinsa ogarnął bezsilny gniew.

- Jest pan albo głupcem, albo szaleńcem. Co dobrego komukolwiek z tego przyjdzie? Co pan na tym skorzysta? Skoro ma pan zamiar po prostu odejść i pozostawić nas... Doprawdy, nie widzę w tym żadnego sensu.

- Pana ciekawość jest irytująca, kapitanie. Wkrótce pozna pan powody porwania pańskiego statku. - Ammar wstał i skinął na strażnika stojącego za Collinsem. - A teraz proszę wracać do swego aresztu.

Collins ani drgnął.

- Czemu pan nie chce dać ludziom herbaty, kawy, zupy, czegokolwiek, co by im

ulżyło w cierpieniach?

Przywódca porywaczy nawet nie raczył się odwrócić wychodząc z jadalni.

- Żegnam pana, kapitanie. Już się nie spotkamy.

Ammar udał się wprost do pomieszczenia komunikacyjnego. Zastał tam Ibna przy dalekopisie wystukującym najnowszy serwis telegraficznych wiadomości. Jego specjalista od elektroniki siedział przy radiu słuchając wiadomości, które audiorecorder kopiował na papierze. Radio i dalekopis były zasilane prądem z przenośnego generatora.

Ibn odwrócił się na odgłos kroków Ammara, skłonił głowę i oderwał długi pas papieru od dalekopisu.

- Międzynarodowe środki przekazu wciąż donoszą o zaginięciu „Lady Flamborough” - zameldował. - Statki ratownicze dopiero teraz docierają do wybrzeży Urugwaju, aby rozpocząć poszukiwania podwodne. Gratuluję ci, Sulejmanie, oszukałeś cały świat. Nim Zachód dowie się prawdy, będziemy bezpiecznie w Kairze.

- Jakie wieści z Egiptu?

- Na razie żadnych zasługujących na uczczenie. Ministrowie Hasana wciąż utrzymują władzę w swoich rękach. Wykazali duży spryt nie wysyłając sił bezpieczeństwa, aby zdławiły rozruchy. Krew połała się tylko w jednym wypadku, gdy nasi bracia fundamentalisci wysadzili przez pomyłkę cały autobus algierskich strażaków, którzy przyjechali na zjazd w Kairze. Sądzone, że autobus stanowi część rządowego konwoju policyjnego. Radio Kair twierdzi, iż ruch Achmada Yazida jest przykrywką dla fanatyków irańskich. Wielu jego popleczników zaczęło się wahać i nie ma już nacisków na rząd, aby się rozwiązał.

- Za tym wysadzeniem w powietrze autobusu stoi ten idiota Khaled Fawzy - warknął Ammar. - A wojsko, kogo popiera wojsko?

- Minister obrony Abu Hamid odmawia jakichkolwiek deklaracji, póki na własne oczy nie zobaczy zwłok prezydenta Hasana i Hali Kamil.

- Więc Yazid jeszcze nie dokonał triumfalnego przejęcia władzy...

Ibn potwierdził skinieniem głowy i dodał ponurym głosem:

- Jest jeszcze jedna wiadomość. Yazid obwieścił, że załoga statku i jego pasażerowie wciąż żyją i on osobiście wynegocjuje z terrorystami uwolnienie wszystkich zakładników. Chcąc wywrzeć wrażenie na Amerykanach posunął się nawet do tego, że ofiarował swoje życie za życie senatora George'a Pitta.

Odrętwiająca, paralizująca wściekłość wezbrała w Ammarze. Po kilku chwilach spojrzał na Ibna.

- Na Allacha, ten zdradziecki cap wysłał nas na rzeź - rzekł z niedowierzaniem. - Yazid nas sprzedał.

Ibn kiwnął głową.

- Yazid posłużył się nami i zdradził ciebie.

- To wyjaśnia, czemu wstrzymywał się z wydaniem mi rozkazu zabicia Hasana, Hali Kamil i całej reszty. Chciał, aby nic im się nie stało, póki Machado i jego łotry nie usuną mnie, ciebie i naszych ludzi.

- A co Yazid i Topiltzin zyskują zachowując zakładników przy życiu? - spytał Ibn.

- Grając rolę wybawicieli dwóch prezydentów, pani sekretarz generalnej Narodów Zjednoczonych i ważnego polityka Stanów Zjednoczonych, Yazid i Topiltzin zyskują uznanie międzynarodowych przywódców. Staną się automatycznie silniejsi, a ich przeciwnicy słabsi, i będą mogli wkrótce przejąć rządy drogą pokojową.

Ibn zwiesił z rezygnacją głowę.

- Zostaliśmy więc rzućni sępom na pożarcie.

Ammar przytaknął.

- Yazid chciał od początku, abyśmy zginęli, gwarantując tym milczenie w sprawie tej misji i wielu poprzednich, które dla niego wykonaliśmy.

- A co z kapitanem Machado i jego meksykańską załogą? Co będzie z nimi, kiedy nas wyeliminują?

- Topiltzin już się postara, aby znikli po powrocie.

- Najpierw musieliby uciec ze statku i z wyspy.

- Tak - odparł w zamyśleniu Ammar. Zaczął gniewnie spacerować po pokoku. - Okazuje się, że nie doceniłem chytryści Yazida. Myślałem, że Machado jest bezsilny, ponieważ nie wie nic o naszych przygotowaniach ucieczki na bezpieczne lotnisko w Argentynie. Ale dzięki Yazidowi nasz meksykański towarzysz przygotował własny plan odwrotu.

- Więc czemu nas jeszcze nie zamordował?

- Bo Yazid i Topiltzin nie wydadzą mu rozkazu, póki nie będą gotowi do przeprowadzenia swoich niby to negocjacji w sprawie uwolnienia zakładników. - Nagle Ammar odwrócił się i chwycił za ramię mężczyznę obsługującego radio, który szybko zdjął słuchawki. - Czy słyszałeś jakieś niezwykle brzmiące wiadomości skierowane do statku?

Egipski ekspert od łączności radiowej wytrzeszczył oczy.

- Dziwne, że o to pytasz. Nasi latynosczy przyjaciele przychodzą tu co dziesięć minut pytając o to samo. Myślałem już, że pogłupieli. Każde potwierdzenie bezpośredniego

przekazu byłoby natychmiast przejęte przez amerykańskie i europejskie urządzenia nasłuchowe. W parę sekund ustaliliby naszą pozycję.

- Więc nie usłyszałeś nic podejrzanego?

Arab potrząsnął głową.

- Nawet gdybym usłyszał, wiadomość byłaby zakodowana.

- Wyłącz urządzenia. Ale niech Meksykanie myślą, że wciąż nasłuchujesz. Ilekroć będą pytali o wiadomości, udawaj głupiego i mów, że nic nie słyszałeś.

Ibn patrzył na Ammara wyczekująco.

- Jakie masz dla mnie rozkazy, Sulejmanie?

- Nie spuszczaaj załogi Machado z oka. Bądź dla nich przyjazny. Otwórz bar i zaproś ich na drinka. Dawaj najgorsze wachty naszym ludziom, aby Latynosi się odprężyli. To obniży ich czujność.

- Zabijemy ich, nim oni nas zabiją.

- Nie - powiedział Ammar z błyskiem sadystycznej przyjemności w oku. - Zostawimy to zadanie lodowcowi.

- Tu musi być co najmniej milion gór lodowych - rzekł Giordino niewesoło. - Łatwiej byłoby chyba wypatrzeć kelnera liliputa wśród stada pingwinów. To może zająć całe dni. Pułkownik Hollis był w podobnym nastroju.

- Musi być wśród nich jedna odpowiadająca zarysowi i rozmiarom „Lady Flamborough”. Szukaj dalej.

- Pamiętajcie o jednym - rzekł Gunn - antarktyczne góry lodowe bywają zwykle płaskie. A nadbudowa statku pod płachtami plastiku nadaje statkowi kształt o wielu szczytach.

Stali wszyscy wokół stolika w kajucie łączności „Soundera”, oglądając wielkie kolorowe zdjęcie z „Caspera”. Film z rekonesansu powietrznego został wywołany i przesłany do laserowego odbiornika statku badawczego w niespełna czterdzieści minut po wylądowaniu samolotu.

Zdjęcie ukazywało morze gór lodowych, które oderwały się od lodowej półki po wschodniej stronie półwyspu, a setki innych widniały w pobliżu lodowców w okolicy Ziemi Grahama na zachodzie.

Uwaga Pitta koncentrowała się na czym innym. Siedział z boku trzymając dużą mapę morską na kolanach. Co chwila podnosił wzrok, słuchał, ale nie włączał się do dyskusji.

Hollis zwrócił się do kapitana Stewarta, który stał przy odbiorniku ze słuchawkami na uszach i mikrofonem przy ustach.

- Kiedy możemy się spodziewać zdjęć w podczerwieni z „Caspera”?

Stewart uniósł dłoń dając znak, aby mu nie przeszkadzano. Przycisnął słuchawki do uszu słuchając głosu kogoś z centrali CIA w Waszyngtonie. Następnie kiwnął głową w stronę Hollisa.

- W laboratorium na Langley mówią, że zaczną je transmitować za pół minuty.

Hollis chodził po niewielkim pomieszczeniu, jak kot nasłuchujący odgłosu otwierania puszk. Przystanął i patrzył z zaciekawieniem na Pitta, który mierzył cyrklem odległości na mapie.

W ciągu ostatnich kilku godzin pułkownik wiele się dowiedział o tym człowieku z NUMA, nie od niego samego wprawdzie, lecz od ludzi na statku. Mówili o nim tak, jakby był chodzącą legendą.

- Już jest - oznajmił Stewart. Zdjął słuchawki i czekał cierpliwie, aż z odbiornika wyłoni się zdjęcie wielkości gazety. Gdy tylko ukazało się w całości, wziął je i położył na stole. Wszyscy zaczęli zaraz badać linię brzegów górnej części półwyspu.



- Technicy w laboratorium CIA przetworzyli specjalnie czuły film za pomocą komputera na termogram - wyjaśnił Stewart. - Różnice promieniowania cieplnego są tu ukazane różnymi barwami. Czerń to najzimniejsze temperatury. Granat, błękit, zieleń, żółć i czerwień tworzą coraz to cieplejszą skalę - aż do bieli.

- Jakiej barwy należy się spodziewać po „Lady Flamborough”? - spytał Dillinger.

- Gdzieś między górną żółcią a czerwienią.

- Raczej granatowej - wtrącił Pitt.

Wszyscy zwrócili na niego oczy, jakby nagle kichnął w czasie meczu szachowego.

- W takim razie odróżnienie jej byłoby niemożliwe - rzekł Hollis. - Nigdy byśmy jej nie znaleźli.

- Promieniowanie ciepła z maszyn i generatorów będzie wyraźne jak piłka golfowa na trawie - utrzymywał Gunn.

- Nie, jeśli maszyny zostały zatrzymane.

- Chcesz powiedzieć, że statek został unieruchomiony, a wszystkie urządzenia wyłączone?

Pitt kiwnął głową, uśmiechnął się i rzekł:

- Wciąż mamy skłonność do niedoceniań trenera drużyny przeciwnika.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a potem znów na Pitta, czekając na wyjaśnienie.

Pitt odłożył na bok mapy morskie i wstał z krzesła. Podszedł do stołu, wziął zdjęcie i złożył je na pół, pozostawiając na widoku tylko południowy kraniec Chile.

- Otóż - powiedział - zwróciliście zapewne uwagę, że za każdym razem, gdy statek przybierał inny wygląd lub zmieniał kurs, następowało to zaraz po przejściu jednego z naszych satelitów.

- Jeszcze jeden przykład precyzyjnego planowania - rzekł Gunn. - Orbity zbierających dane satelitów są śledzone przez pół krajów świata. Informacje o nich są równie dostępne, jak informacje o fazach księżyca.

- Dobra, zatem przywódca porywaczy zna rozkład orbitowania i wie w związku z tym, kiedy kamery satelitów są wymierzone w jego kierunku - powiedział Hollis. - I co z tego?

- To, że zatroszczył się o wszystko i wyłączył wszelkie zasilanie, aby go nie wykryto za pomocą zdjęć w podczerwieni. A co najważniejsze, aby ciepło nie roztopiło cieniutkiej warstewki lodu pokrywającego plastikową folię.

Gunn jednak dostrzegł lukę w tej teorii.

- Zapominasz o minusowych temperaturach wokół Półwyspu Antarktycznego -

powiedział. - Przy wyłączonym zasilaniu nie ma ogrzewania. W ciągu kilku godzin wszyscy na statku zamrzliby na śmierć. W ten sposób porywacze nie tylko by zamordowali zakładników, ale i sami popełniliby samobójstwo.

- Rudi ma rację - powiedział Giordino. - Nie przeżyliby bez ogrzewania i ciepłych ubrań.

Pitt uśmiechnął się, jakby wygrał na loterii.

- Zgadzam się z Rudim w stu procentach.

- Krążysz dookoła - rzekł zdenerwowany Hollis - zamiast przejść do sedna.

- Sprawa jest prosta: „Lady Flamborough” nie dopłynęła do Antarktyki.

- Nie dopłynęła do Antarktyki... - powtórzył Hollis machinalnie. - Człowieku, spójrz na fakty. Ostatnie zdjęcie satelitarne ukazało „Lady Flamborough” w połowie drogi między przylądkiem Horn a końcem Półwyspu Antarktycznego, zdążającą prosto na południe.

- Gdzie indziej mogła płynąć? - zapytał Dillinger.

Pitt postukał palcem w morze skalistych wysepek rozrzuconych po cieśninie Magellana.

- Chcesz się założyć?

Hollis stał nachmurzony, zbity z tropu. I nagle zrozumiał.

- Zawróciła - rzekł krótko.

- Rudi odkrył klucz do zagadki - powiedział Pitt. - Porywacze nie chcieli popełnić samobójstwa ani ryzykować odkrycia. Wcale nie mieli zamiaru płynąć w lód pakowy. Popłynęli na północny zachód, omijając wyspy powyżej przylądka Horn.

Gunn skinął głową.

- Temperatury w okolicy Ziemi Ognistej nie są tak bardzo niskie. Bez ogrzewania jest zimno, owszem, ale można przeżyć.

- Więc po co to przebranie za górę lodową?

- Aby wyglądać jak ogromna bryła lodu oderwana od czoła lodowca.

Giordino spojrzał na zdjęcie.

- Lodowce tak daleko na północy?

- Kilka z nich spływa z gór i dociera do morza na przestrzeni ośmiuset kilometrów od Punta Arenas, gdzie stoimy na kotwicy - odrzekł Pitt.

- Dokąd więc twoim zdaniem ona dopłynęła? - spytał Hollis.

Pitt wziął mapę wysp położonych na zachód od Ziemi Ognistej.

- Są dwie możliwości, wzięwszy pod uwagę możliwy zasięg „Lady Flamborough” od chwili ostatniego dostrzeżenia jej z satelity. - Urwał, żeby postawić krzyżyki przy dwóch

nazwach na mapie. - Bezpośrednio na południe stąd z gór Italia i Sarmiento spływają dwa lodowce.

- Z dala od utartych szlaków - zauważył Hollis.

- Ale za blisko pól naftowych - rzekł Pitt. - Nisko lecący samolot towarzystwa naftowego mógłby wykryć oszustwo. Ja, gdybym był na ich miejscu, popłynąłbym sto kilkadziesiąt kilometrów dalej na północny zachód. W ten sposób znalazłbym się przy lodowcu na wyspie Santa Inez.

Dillinger przyglądał się chwilę nieregularnej linii brzegów wyspy. Następnie spojrzął na kolorowe zdjęcie, lecz południowy kraniec Chile był zasłonięty chmurami. Odsunął je więc i spojrzął przez szkło powiększające na górną część zdjęcia wykonanego w podczerwieni, które Pitt również złożył.

Po chwili podniósł wzrok, w którym malowało się zdumienie i podziw.

- Jeżeli matka natura nie tworzy gór lodowych z ostrym dziobem i zaokrągloną rufą, to myślę, że znaleźliśmy nasz statek - widmo.

Hollis wziął szkło powiększające od swego podwładnego i obejrzał malutki podłużny kształt.

- No jasne, to są kontury „Lady Flamborough”. I, jak mówił Pitt, ani śladu promieniowania cieplnego. Jest prawie taka zimna jak lodowiec. Między czystą czernią a ciemnym granatem.

Nad zdjęciem pochylił się Gunn.

- Tak, widzę. Lodowiec wpływa do fiordu, który wychodzi na zatokę pełną wysepek. Parę średniej wielkości gór lodowych oderwanych od czoła lodowca. Niewiele tego. - Urwał z dziwnym wyrazem oczu za okularami. - Ciekawe, czemu zakotwiczyli „Lady Flamborough” tuż przy czole lodowca.

Oczy Pitta zwięzły się.

- Pokażcie. - Wcisnął się między Dillingera i Gunna, pochylił i spojrzął przez silne szkło powiększające. Po chwili wyprostował się z nachmurzoną twarzą.

- Co zobaczyłeś? - spytał kapitan.

- Skazali ich wszystkich na śmierć.

Stewart spojrzął zaskoczony.

- Skąd taki wniosek?

- Gdy od lodowca oderwie się płyta lodu i spadnie na statek - rzekł Giordino - wtłoczy go pod wodę i zmiążdży. Nie pozostanie po nim nawet ślad.

Dillinger spojrzął na Pitta.

- Sądysz, że po tych poprzednich nie wykorzystanych okazjach zamierzają teraz właśnie zamordować całą załogę i pasażerów?

- Tak.

- Czemu nie zrobili tego wcześniej?

- Wszystkie te podstępny miały na celu zyskanie na czasie. Ten, kto zarządził porwanie, musiał mieć powody, aby nie pozbawiać prezydentów życia. Naprawdę nie wiem, jakie...

- A ja wiem - rzekł Hollis. - Sprawcą porwania jest Achmad Yazid. Zamierzał zawładnąć Egiptem wkrótce po rozejściu się wiadomości, że prezydent Hasan i pani sekretarz generalny ONZ Hala Kamil zostali uprowadzeni i prawdopodobnie zabici przez nieznaną terrorystów. Zdobywszy sobie wraz ze swoimi najbliższymi zwolennikami solidną podstawę władzy, obwieściłby, że jego agenci znaleźli statek, a następnie wystąpiłby w roli dobroczyńcy zesłanego przez niebiosy, który wynegocjuje uwolnienie zakładników.

- Zmyślny drań - mrugnął Giordino. - Gdyby ocalał jeszcze na dokładkę prezydenta De Lorenzo i senatora Pitta, zostałby z pewnością kandydatem do pokojowej nagrody Nobla.

- I naturalnie postarałby się o to, by w drodze do Egiptu Hasan i Kamil ulegli nieszczęśliwemu wypadkowi.

- A on pozostałby czysty jak świeży śnieg - burknął Giordino.

- Chytry podstęp - przyznał Pitt. - Lecz według najnowszych doniesień wojsko w Egipcie pozostaje neutralne, a rząd prezydenta Hasana odmówił rezygnacji.

Hollis kiwnął głową.

- Niweczając cały misterny plan Yazida...

- Który się znalazł w ślepych zaułku - dokończył Pitt. - Skończyło się zwlekanie, skończyły się maskarady. Będzie więc musiał spowodować zniknięcie „Lady Flamborough”, w przeciwnym razie stanie przed bardzo realną groźbą, że wywiad wywęszy jego rolę w całej operacji.

- Zgadza się z tą teorią - powiedział Hollis.

- Kiedy my tutaj sobie rozmawiamy - rzekł cicho Gunn - przywódca terrorystów gra w rosyjską ruletkę z lodowcem. Może nawet zdążył już uciec ze statku łodzią lub helikopterem, pozostawiając zamkniętą pod pokładem bezradną załogę i pasażerów.

- Być może przegapiliśmy tę łódź - zastanawiał się Dillinger.

Hollis nie widział tego w ten sposób. Nagryzmolił jakieś cyfry na skrawku papieru i podał go kapitanowi Stewartowi.

- Kapitanie, proszę połączyć się z moim oficerem łącznościowym na tej częstotliwości. Proszę mu powiedzieć, że zaraz wracam z majorem na lotnisko. Niech zbierze wszystkich na natychmiastową odprawę.

- Chcemy w niej uczestniczyć - rzekł Pitt z determinacją.

Hollis potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Jesteście cywilami. Nie macie odpowiedniego przeszkolenia. Wykluczone.

- Na tym statku jest mój ojciec.

- Przykro mi - rzekł Hollis, ale wcale nie wyglądało na to, że mu przykro. - Niech pan to złoży na karb złego losu.

Pitt spojrział na Hollisa zimno.

- Wystarczy jeden telefon do Waszyngtonu, a cała pańska kariera zawodowa zostanie obrócona wniwecz.

Hollis zacisnęła usta.

- Lubi pan grozić, panie Pitt? - Zrobił krok do przodu. - My tu nie gramy w piłkę. W ciągu najbliższych dwunastu godzin na pokładach tego statku będzie mnóstwo trupów. A jeżeli ja i moi ludzie wykonamy jak należy to, do czego nas przeznaczono, nie pomoże nawet tysiąc telefonów do Kongresu i Białego Domu. - Zrobił następny krok w stronę Pitta. - Znam więcej chytrych sztuczek, niż pan zdoła poznać do końca swego życia. Mógłbym pana...

Nikt nie zauważył tego ruchu. Pitt, który przed chwilą stał niedbale ze zwieszonymi wzdłuż boków rękami, trzymał teraz lufę colta przy brzuchu Hollisa.

Dillinger stał zgięty, jakby gotował się do skoku. Giordino zaszedł go od tyłu i niedźwiedzim uściskiem przygwoździł ramiona majora do boków.

- Nie będę was nudził wyliczaniem naszych umiejętności i kompetencji - rzekł spokojnie Pitt. - Niech mi pan wierzy, że Rudi, Al i ja mamy dość doświadczenia, aby walczyć z bronią w ręku. Obiecuję, że nie będziemy przeszkadzali. Przypuszczam, że zaatakuje pan „Lady Flamborough” jednocześnie z morza i z powietrza. My pozostaniemy na lądzie.

Hollis wcale się nie przestraszył, ale był zdumiony. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł wyciągnąć pistolet równie błyskawicznie.

- Dirk prosi o bardzo niewiele, pułkowniku - rzekł Gunn. - Proponuję, aby pan wykazał odrobinę rozsądku i zgodził się.

- Nie wierzę, że byłby pan zdolny mnie zamordować - warknęła Hollis do Pitta.

- Nie, lecz mogę panu zagwarantować, że pana życie seksualne nie byłoby zbyt owocne.

- Kim wy jesteście? Pracujecie w Agencji?

- W CIA? - spytał Giordino. - Nie, nie mieliśmy odpowiednich kwalifikacji, więc zaciągnęliśmy się do NUMA.

Hollis potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiem.

- Wcale pan nie musi - odparł Pitt. - Więc jak będzie?

Hollis myślał chwilę, potem się pochylił, aż jego nos znalazł się o milimetry od nosa Pitta, i rzekł głosem prowadzącego musztrę:

- Każę was, cudaki, zawieźć ospreyem na odległość dziesięciu kilometrów od statku. Nie bliżej, bo utracilibyśmy element zaskoczenia. Możecie stamtąd przejść piechotą. Jeżeli szczęście mi dopisze, zanim dotrzecie na miejsce, będzie już po wszystkim.

- Doskonale - zgodził się Pitt.

Hollis się cofnął, spojrzął na Giordina i warknął:

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan puścił mojego zastępcę. - Potem znów zwrócił się do Pitta: - Idziemy. A jeśli nie ruszycie z nami, i to już, nie możecie na nic liczyć. Bo w pięć minut po starcie mojego samolotu cały mój oddział również znajdzie się w powietrzu.

- Już idziemy.

- Ja idę z majorem - rzekł Giordino klepiąc przyjaźnie Dillingera po ramieniu. - Wielkie umysły nadają na tej samej częstotliwości.

Dillinger spojrzął na niego kwaśno.

W piętnaście sekund pokój opustoszał. Pitt pognął do swojej kajuty po torbę podróżną. Potem wbiegł szybko na mostek, żeby zamienić kilka słów z kapitanem.

- Ile trzeba czasu, żeby „Sounder” dotarł do Santa Inez?

Stewart spojrzął na mapę i wykonał szybkie obliczenie.

- Wyciskając z maszyn wszystko, na co je stać, powinniśmy się znaleźć koło lodowca w dziewięć, dziesięć godzin.

- Zróbcie to - rzekł Pitt. - Będziemy na was czekać o świcie.

Stewart uściśnął dłoń Pitta.

- Uważaj na siebie.

- Postaram się nie zamoczyć nóg.

Podszedł do nich stojący obok pracownik naukowy statku. Był czarny, średniego wzrostu i miał ostre, surowe rysy twarzy. Nazywał się Clayton Findley.

- Przepraszam, że panów podsłuchiwałem, ale byłbym przysięgł, że wspomnieliście o wyspie Santa Inez - odezwał się głębokim basem.

Pitt kiwnął głową.

- Tak.

- Koło lodowca jest stara kopalnia cynku. Zamknęli ją, gdy rząd Chile przestał subsydiować wydobycie.

- Zna pan tę wyspę? - spytał Pitt ze zdziwieniem.

Findley przytaknął ruchem głowy.

- Byłem głównym geologiem spółki arizońskiej, która sądziła, że przy zastosowaniu specjalnych, obniżających koszty technik dalsze wydobycie może okazać się opłacalne. Posłano mnie tam z kilkoma inżynierami dla dokonania oceny. Spędziliśmy w tej piekielnej dziurze trzy miesiące. Stwierdziliśmy, że ruda jest na wyczerpaniu. Wkrótce potem kopalnia została zamknięta, a wszystkie urządzenia porzucone.

- Umie się pan posługiwać bronią?

- Trochę polowałem.

Pitt wziął go za ramię.

- Clayton, przyjacielu, jesteś dla mnie darem z niebios.

Clayton Findley okazał się rzeczywiście wybawieniem.

Kiedy Hollis robił odprawę ze swymi ludźmi w nie używanym magazynie, Pitt, Gunn i Giordino pomagali Findleyowi lepić z gliny model wyspy Santa Inez na starym stole pingpongowym. Dla odświeżenia pamięci geolog posługiwał się mapą morską Pitta.

Utwardził miniaturowy krajobraz przenośną suszarką i pomalował farbą w aerozolu, otrzymaną od jednego z ludzi Hollisa. Szarą oznaczył teren skalisty, białą śnieg i lód lodowca. Ulepił nawet malutką „Lady Flamborough” i ustawił ją u stóp lodowca. Wreszcie odstąpił od stołu i spojrzął z zachwytem na swoje dzieło.

- Oto wyspa Santa Inez - rzekł.

Hollis przerwał odprawę i przywołał swoich ludzi do stołu. Przez kilka chwil stali i w zamyśleniu patrzyli na model wyspy.

Wyspa przypominała środkową część tekturowej układanki puzzle, wykonanej przez pijanego zabawkarza. Linia brzegu była postrzępiona ostrogami i załamaniami, przetkanymi fiordami i koślawymi zatoczkami. Na wschodzie wychodziła na Cieśninę Magellana, a na zachodzie na Pacyfik. Była to martwa ziemia, nie nadająca się nawet na cmentarz, zwieńczona górą Wharton o wysokości 1320 metrów.

Nie było na niej plaż ani żadnych płaskich terenów. Niskie góry stały jak statki wśród rumowisk skalnych, a ich strome zbocza opadały pionowo do zimnego morza.

Odwieczny lodowiec leżał na wyspie niczym siodło. Jego mroźną masę obrzeżały skalne masywy tkwiące w ponurej ciszy, podczas gdy lodowiec parł nieugięcie ku morzu, gdzie odrywały się od niego jedna po drugiej ogromne płyty, na podobieństwo plastrów kielbasy krojonej przez rzeźnika.

Mało jest na świecie obszarów bardziej wrogich człowiekowi. Cały łańcuch wysp wzdłuż Cieśniny Magellana nie był nigdy na dłużej zamieszkały. Ludzie tu przybywali, po czym odchodzili pozostawiając po sobie tylko pełne gniewu nazwy, jak Półwysep Złamanego Karku, Wyspa Oszustw, Zatoka Klęsk, Wyspa Opuszczenia i Port Głodu. Jedyłą roślinnością zdolną przetrwać w tamtejszych warunkach były poskręcane karłowate drzewa iglaste i niskie krzaczki, tworzące coś w rodzaju wrzosowisk.

Findley zatoczył ręką nad modelem.

- Wyobraźcie sobie jałowy teren pokryty w wyższych partiach śniegiem, a będziecie wiedzieli, jak wygląda wyspa.

Hollis kiwnął głową.

- Dziękujemy panu bardzo, panie Findley.



- Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.

- Dobra, wracajmy do naszej operacji. Major Dillinger poprowadzi atak z powietrza, a ja obejmę komendę nad drużyną pływaczy.

Hollis urwał na chwilę, by spojrzeć na twarze swoich ludzi. Byli to twardzi, surowi mężczyźni. Przeszli mordercze przeszkolenie i w pełni zasłużyli sobie na wyróżnienie, jakim była służba w elitarnych Siłach Operacyjnych. Wspaniały zespół, pomyślał z dumą Hollis. Najlepszy na świecie.

- Przeciwiczyliśmy opanowywanie statków nocą - powiedział. - Ale nie mieliśmy ani jednego takiego przypadku, gdzie wróg posiadałby tak wielką przewagę. Brakuje nam informacji wywiadowczych, warunki pogodowe są okropne, w dodatku znajdziemy się u czoła lodowca, który w każdej chwili może nas przywalić. Są to poważne problemy. Zanim za kilka godzin przystąpimy do działania, musimy uzyskać jak najwięcej informacji. Jeśli więc ktoś widzi jakąś lukę, niechaj mówi. Zaczynajcie.

- Mieszkańcy wyspy? - spytał od razu Findleya Dillinger.

- Nie ma żadnych, odkąd zamknęliśmy kopalnię.

- Warunki pogodowe?

- Niemal nieustanne deszcze. To jeden z najbardziej deszczowych rejonów. Słońce jest rzadkością. Temperatury o tej porze roku spadają poniżej zera. Stałe wiatry, chwilami bardzo gwałtowne.

Dillinger spojrział na Hollisa.

- Nie mamy szans na celne skoki ze spadochronem w nocy.

Hollis spochmurniał.

- Będziemy musieli zaatakować minikopterami i spuścić się po linach.

- Macie helikoptery? - spytał Gunn. - Nie sądziłem, że posiadają zasięg i szybkość...

- ...pozwalające dolecieć tak daleko i tak prędko? - dokończył za niego Hollis. - Ich wojskowe oznaczenia mają za dużo liter i cyfr, by je zapamiętać, więc nazywamy je „Gołębiami Transportowymi”. Są małe, zabierają tylko pilota i dwóch żołnierzy na zewnątrz. Są wyposażone w podczerwone kopuły i wyciszone rotory. Można je złożyć lub rozłożyć w ciągu piętnastu minut. Jeden samolot C-140 może przetransportować sześć minikopterów.

- Jest jeszcze problem - rzekł Pitt.

- Jaki?

- Radar nawigacyjny „Lady Flamborough” może być nastawiony na wykrywanie pojazdów latających. Wasze „Gołębie Transportowe” są być może małe, ale mogą być

dostrzeżone na ekranie dostatecznie wcześniej, aby porywacze zdążyli w porę przygotować wam niemiłe przyjęcie.

- I zaskoczenie z powietrza diabli wezmą - powiedział Dillinger ponuro.

Hollis spojrział na Findleya.

- A jak wyglądałyby warunki ataku z fiordu?

Findley uśmiechnął się lekko.

- Pan będzie miał łatwiejsze zadanie od majora. Mroźne opary stwarzają panu znacznie lepsze możliwości.

- Mroźne opary...?

- Rodzaj mgieł, które się tworzą na skutek zetknięcia chłodnego powietrza z cieplejszą wodą przy lodowcu. Mogą sięgać na dwa do dziesięciu metrów w górę. W połączeniu z deszczem da to pańskiemu oddziałowi płetwonurków pełną osłonę, aż do chwili przedostania się na pokład.

- W końcu jednemu z nas trochę się poszczęściło - powiedział Dillinger.

Hollis potarł w zamyśleniu podbródek.

- Mamy do czynienia z nietypową sytuacją. Jeżeli atak z powietrza się nie powiedzie, możemy spaskudzić robotę. Z zaskoczenia wyjdą nici i dwudziestu ludzi z oddziału płetwonurków nie da sobie rady z czterdziestoma uzbrojonymi porywaczami.

- Skoro skok ze spadochronem na statek byłby dla was skokiem samobójczym - powiedział Pitt - to czemu nie skoczycie na lodowiec? Moglibyście wówczas przejść na jego czoło i spuścić się prosto na pokład na linach.

- Byłoby to dosyć łatwe - zgodził się Dillinger. - Ściana lodowca jest tuż nad nadbudówką statku, a przestrzeń pomiędzy nią i statkiem niewielka.

Hollis kiwnął głową i rzekł:

- Myślałem o tym. Czy ktoś widzi jakieś przeszkody dla tego rodzaju taktyki?

- Moim zdaniem - odezwał się Gunn - największym niebezpieczeństwem jest sam lodowiec. Może kryć w sobie mnóstwo szczelin i zdradzieckich powłok śnieżnych, które się zapadają pod ciężarem człowieka. Musicie posuwać się po nim bardzo powoli i ostrożnie, zwłaszcza że będzie to w nocy.

- Są jeszcze jakieś uwagi? - Nie było żadnych. Hollis spojrział z ukosa na Dillingera. - Ile ci trzeba czasu od skoku do gotowości bojowej?

- Dobrze byłoby znać siłę i kierunek wiatru.

- Przez dziewięć dni na dziesięć wieje z południowego wschodu - odparł Findley. - Przeciętna siła wiatru wynosi dziesięć kilometrów na godzinę, ale w porywach dochodzi do

stu.

Dillinger patrzył kilka chwil w zamyśleniu na niewielkie góry wznoszące się za lodowcem. Próbował wyobrazić sobie ten krajobraz w nocy, wyczuć ostrość wiatru. Podniósł wzrok.

- Czterdzieści do czterdziestu pięciu minut od skoku do zaatakowania statku - powiedział.

- Przepraszam, że się wtrącam, majorze - rzekł Pitt - ale to chyba za mało.

Findley kiwnął głową.

- Ma pan rację. Nieraz wspinałem się na ten lodowiec. Lodowe grzbiety bardzo utrudniają drogę.

Dillinger wyciągnął długi nóż i użył jego końca do wskazywania.

- Ja widzę to tak... Zeskoczmy na tył tej góry na prawo od lodowca. To powinno uchronić naszego C-140 przed radarem statku. Wykorzystując wiatr, który, miejmy nadzieję, będzie wiał jak zazwyczaj, poszybujemy na naszych spadochronach jakieś siedem kilometrów wokół góry i wylądujemy kilometr od czoła lodowca. Czas od skoku do zgrupowania się na lodowcu oceniam na jakieś osiemnaście minut. Czas przejścia nad krawędź ściany następne dwadzieścia minut. Sześć minut zajmie przygotowanie do zjazdu na linie. Razem czterdzieści cztery minuty.

- Na pana miejscu podwoiłbym ten czas - powiedział z dezaprobatą Giordino. - Będziecie mieli cholerny kłopot ze zmieszczeniem się w nim, jeśli któryś z waszych ludzi wpadnie w szczelinę lodową. Oddział pletwonurków nie będzie wiedział o mogącej nastąpić zwłoce.

Hollis posłał Alowi spojrzenie, które zwykle rezerwował dla przeciwników wojny.

- To nie są czasy pierwszej wojny światowej, panie Giordino. My nie musimy synchronizować zegarków przed wyruszeniem do akcji. Każdy żołnierz jest wyposażony w miniaturowy radioodbiornik w uchu oraz mikrofon wewnątrz kominiarki. Nie jest wcale ważne, czy major się spóźni lub ja przybędę za wcześnie, póki jesteśmy w stałej łączności i możemy skoordynować wspólny atak...

- Jeszcze jedna rzecz - wtrącił się Pitt. - Należy przyjąć, że wasza broń jest zaopatrzona w tłumiki.

- Oczywiście - zapewnił go Hollis. - A czemu pan pyta?

- Bo jedna seria z broni maszynowej bez tłumika może spowodować oderwanie się ściany lodowca.

- Nie mogę odpowiadać za porywaczy.

- Więc niech ich pan szybko pozabija - mruknął Giordino.

- Nie uczą nas brać terrorystów do niewoli - rzekł Hollis z zimnym, złowrogim uśmiechem. - A teraz, jeśli nasi goście zechcą powstrzymać swoje uwagi, czy są jeszcze jakieś pytania?

Dowódca płetwonurków Richard Benning podniósł rękę.

- Tak, Benning?

- W jaki sposób zbliżymy się do statku, pod wodą czy na powierzchni?

Hollis postukał długopisem w małą wysepkę w głębi fiordu.

- Nasz oddział zostanie przeniesiony „Gołębiami” na tę wyspę. Leży jakieś trzy kilometry od statku. Woda jest za zimna, żeby tak daleko płynąć, więc podpłyniemy gumowymi pontonami. Jeśli pan Findley się nie myli co do tych mroźnych oparów, będziemy mogli bezpiecznie podpłynąć do samej „Lady Flamborough”. Gdyby wiatr je rozwiał, ostatnie dwieście metrów do burt statku przebedziemy wpływ.

- Niejeden odmrozi sobie jaja, jeśli będziemy musieli długo czekać na oddział majora Dillingera.

Fala śmiechu przetoczyła się wokół stołu.

Hollis westchnął i uśmiechnął się szeroko.

- Nie zamierzam mrozić swoich żołnierzy. Damy majorowi duże fory.

Gunn uniósł rękę.

- Słucham pana, panie Gunn - rzekł Hollis ze znużeniem. - Co teraz pana niepokoi? Czy o czymś zapomniałem?

- To tylko ciekawość, pułkowniku. Skąd pan będzie wiedział, czy porywacze nie zwietrzyli ataku i nie zastawili pułapki?

- Jeden z naszych samolotów jest wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia do podsłuchu elektronicznego. Będzie krążył na wysokości siedmiu mil nad „Lady Flamborough”, przechwytyjąc wszelkie transmisje radiowe wysyłane przez porywaczy. Gdyby się dowiedzieli, że Siły Operacyjne zaciskają wokół nich swą sieć, rozwrzeszczeliby się jak szaleni. Nasi łącznościowcy i tłumacze potrafią przejąć wszystkie transmisje i w porę nas o tym powiadomią.

Tym razem niedbałym ruchem uniósł rękę Pitt.

- Słucham pana, panie Pitt.

- Mam nadzieję, że nie zapomniał pan o grupie z NUMA.

Hollis uniósł brew.

- Nie, nie zapomniałem. - Zwrócił się do geologa: - Panie Findley, gdzie się znajduje

ta opuszczona kopalnia?

- Nie zaznaczyłem jej - odparł Findley. - Ale skoro to pana interesuje... - Urwał i położył pudełko zapalek na zboczu niewielkiej góry ponad lodowcem i fiordem. - Tutaj, dwa i pół kilometra od czoła lodowca i od statku.

- Będziecie tu - powiedział Hollis do Pitta. - To wasz punkt obserwacyjny.

- Ładny mi punkt obserwacyjny - stęknął Giordino. - W ciemnościach i deszczu... dobrze będzie, jeśli zobaczymy własne sznurowadła.

- Będzie nam tam miło, przyjemnie i bezpiecznie - rzekł Pitt. - Rozpalimy sobie ogień w piecu i urządzimy piknik.

- Bardzo proszę - powiedział Hollis. Spojrzał po zgromadzonych. - No, panowie, nie będę was zanudzał długimi przemowami. Róbmy, co do nas należy.

- I zdobądźmy punkt dla szefa - mruknął Giordino.

- Co pan powiedział?

- Al mówi, że to wielki zaszczyt służyć w jednostce elitarnej - powiedział Pitt.

Hollis spojrział na Giordina wzrokiem, który mógłby przeciąć szkło.

- Specjalne Siły Operacyjne nie przyznają honorowego członkostwa. Wy, cywile, trzymajcie się z dala - powiedział, po czym zwrócił się do Dillingera: - Jeżeli któryś z tych ludzi z NUMA spróbuje wejść na pokład statku bez mojego zezwolenia, macie strzelać. To rozkaz.

- Z przyjemnością. - Dillinger uśmiechnął się zimno.

Giordino wzruszył ramionami.

- Nie ma co, tu potrafią być bardzo przyjemni.

Pitt nie podzielał cierpkiego nastroju Giordina. Doskonale rozumiał stanowisko pułkownika Hollisa. Jego ludzie byli zawodowcami, stanowili zgrany zespół. Spojrzał na nich, wysokich, spokojnych, stojących wokół modelu wyspy. Żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Kiedy tak patrzył w te twarze, nie mógł pozbyć się myśli, że niektórzy z tych chłopców zginą w ciągu najbliższych godzin.

- Jak długo jeszcze? - spytał Machado Ammara rozkładając się na kozetce.

Generatory były wyłączone i kajutę kapitańską oświetlały mgliście zawieszzone u sufitu latarki na baterie. Ammar wzruszył ramionami, po czym ponownie zajął się lekturą Koranu.

- Spędzasz więcej czasu w pokoju komunikacyjnym niż ja. Ty mi to powiedz - mruknął.

Machado splunął na podłogę.

- Czekamy i czekamy nie wiadomo na co. Mam tego dość. Trzeba ich wszystkich wystrzelać i uciekać z tego czyścica jak najprędzej.

Ammar spojrzał na swego kolegę po fachu. Machado nie dbał zbyt przesadnie o czystość. Włosy miał przetłuszczone, paznokcie brudne i wystarczyło pociągnąć nosem z odległości paru kroków, żeby się przekonać, jak rzadko się kąpie. Ammar cenił Machado jako zręcznego zabójcę, ale poza tym żywił do niego odrazę.

Machado wstał z kozetki i zaczął krążyć niespokojnie po kajucie. Po chwili usiadł na krześle.

- Powinniśmy otrzymać instrukcje dwadzieścia cztery godziny temu - rzekł. - Topiltzin nie jest z tych, którzy się wahają.

- Achmad Yazid także nie - powiedział Ammar nie odrywając oczu od Koranu. - Będzie, jak chce on i Allah.

- To znaczy jak? Czy przyśle nam helikoptery, statek, łódź podwodną, zanim nas odkryją? Ty znasz odpowiedź, mój egipski przyjacielu, a milczysz jak sfinks.

Ammar odwrócił stronę nie podnosząc wzroku.

- Jutro o tej porze ty i twoi ludzie znajdziecie się bezpiecznie w Meksyku.

- Jaką masz gwarancję, że nie zostaniemy wszyscy poświęceni dla dobra sprawy?

- Yazid i Topiltzin nie mogą ryzykować, że zostaniemy pojmani przez międzynarodowe siły bezpieczeństwa - rzekł ze znużeniem Ammar. - Boją się, że zaczęlibyśmy mówić. Ich kwitnące imperia rozpadłyby się na szczątki, gdyby któryś z nas ujawnił ich rolę w tym wszystkim. Ufaj mi, droga odwrotu jest przygotowana. Musisz być cierpliwy.

- Jaka to droga?

- Dowiesz się, gdy tylko przyjdą instrukcje, co mamy zrobić z zakładnikami.

Ta gra stawała się coraz bardziej ryzykowna. Machado mógł go lada chwila przejrzeć. Póki radiem statku zajmował się jeden z ludzi Ammara, nie przychodziły żadne

sygnały, ponieważ radio było nastawione na inną częstotliwość. Yazid, a prawdopodobnie też Topiltzin, myślał Ammar, muszą się dobrze pocić sądząc, że zignorował pierwotny plan i wymordował wszystkich na pokładzie, zamiast trzymać ich żywych dla propagandowych celów.

- Czemu nie zdecydujemy sami? Zamknijmy ich pod pokładem, zatopmy statek i skończmy z tym raz na zawsze. - Głos Machado aż pogrubiał z irytacji.

- Zabicie całej brytyjskiej załogi, amerykańskiego senatora i przedstawicieli innych narodowości niż meksykańska i egipska nie byłoby mądre. Ciebie być może podnieca myśl o międzynarodowym pościgu za tobą, ale ja wolałbym jeszcze trochę pożyć sobie wygodnie.

- Niedobrze pozostawiać świadków.

Nawet nie wie, głupiec, ile w tym racji, pomyślał Ammar. Westchnął i odłożył Koran.

Machado wstał, przeszedł przez kajutę i szarpnął drzwi.

- Niech lepiej ta wiadomość szybko przyjdzie - rzekł nieprzyjemnym tonem. - Nie utrzymam długo swoich ludzi w ryzach. Oni chcą, żebym to ja stanął na czele misji.

Ammar uśmiechnął się zgodnie.

- Jeśli do południa nie usłyszymy od naszych przywódców żadnej wiadomości, oddam dowództwo w twoje ręce.

Oczy Machado rozszerzyły się podejrziwie.

- Zgodziłbyś się ustąpić i uczynić mnie dowódcą?

- Czemu nie? Osiągnąłem już, co zamierzałem. Z wyjątkiem zgładzenia Hasana i panny Kamil, moje zadanie jest skończone. Bardzo chętnie przekażę końcowe kłopoty tobie.

Machado nagle uśmiechnął się szatańsko.

- Trzymam cię za słowo, Egipcjaninie.

Wyszedł.

Ledwie drzwi zatrzasnęły się za Machado, Ammar wyjął z zanadru miniaturowy nadajnik i wcisnął guzik.

- Ibn?

- Słucham cię, Sulejmanie.

- Gdzie jesteś?

- Na rufie.

- Ilu naszych jest na brzegu?

- Sześciu już przewieźliśmy na molo starej kopalni. Włącznie z tobą zostało nas na pokładzie piętnastu. Ewakuacja idzie wolno. Mamy tylko jedną trzyosobową łódź. Duży,

ośmioosobowy ponton gumowy został pocięty na kawałki.

- Czy to sabotaż?

- Mogli to zrobić jedynie ludzie Machado.

- Stwarzają jakieś problemy?

- Na razie nie. Chłód spędził ich z pokładu. Część siedzi w barze i pije tequilę. Reszta śpi. Dobrze zrobiłeś, każąc ludziom odnosić się do nich przyjaźnie. Znacznie rozluźnili dyscyplinę.

- Co z ładunkami?

- Zostały umieszczone w szczelinie wzdłuż czoła lodowca. Detonacja powinna zwalić na statek całą ścianę lodu.

- Ile jeszcze potrwa nasza ewakuacja?

- Odpływ powoduje, że poruszanie się o wiosłach idzie wolno. Nie możemy użyć silnika przyczepnego z obawy przed ludźmi Machado. Ale sądzę, że za trzy kwadransy znajdziemy się wszyscy na brzegu.

- Musimy tam być przed brzaskiem.

- Staramy się wszyscy, jak możemy, Sulejmanie.

- Czy ta operacja może się odbywać bez ciebie?

- Tak.

- Weź jednego z ludzi i przyjdź do kajuty Hasana.

- Zabijemy ich?

- Nie - odparł Ammar. - Zabierzemy ze sobą.

Ammar wyłączył radio i wsunął Koran do kieszeni kurtki.

Pomści zdradę Achmada Yazida. Drażniło go, że tak wspaniały pierwotny plan rozpada się, ale nie miał zamiaru doprowadzać go do końca wiedząc, że Machado został wynajęty do zgładzenia jego i oddziału porywaczy. Gniewała go bardziej utrata zapłaty niż to pchnięcie nożem w plecy.

Zachowa Hasana i Kamil przy życiu, a także De Lorenzo, przynajmniej na razie. Może w końcu wynagrodzi sobie stratę przez odwrócenie ról i zrzucenie całej winy na Yazida i Topiltzina.

Potrzebował czasu na stworzenie nowego planu. Ale teraz nie mógł się tym zajmować.

Musiał przemycić zakładników na ląd, zanim Machado i jego zbieranina połapią się w podstępnie.

Serce Hali zamarło, gdy drzwi apartamentu otworzyły się i wszedł przywódca



porywaczy. Patrzyła na niego chwilę, widząc tylko jego oczy w otworach błazeńskiej maski i pistolet maszynowy w ręku. Zastanawiała się z kobiecą ciekawością, jakim człowiekiem okazałby się w innych okolicznościach.

Ammar wszedł i powiedział cichym, ale budzącym lęk głosem:

- Pójdziecie wszyscy ze mną.

Hala zadrżała i spuściła wzrok, zła na siebie, że okazała strach.

Senator Pitt nie dał się zastraszyć. Zerwał się na nogi i stanął tuż przed Ammarem.

- Dokąd nas zabieracie i w jakim celu? - zapytał.

- Nie siedzę przed jedną z waszych komisji śledczych złożonych z senatorów o wielbłądzych mózgach - powiedział Ammar lodowatym tonem. - Proszę mnie nie wypytywać.

- Mamy prawo wiedzieć - obstawał stanowczo senator.

- Nie macie żadnych praw! - warknął Ammar. Odepchnął senatora na bok i stanął na środku kajuty, patrząc na blade, zalęknione twarze.

- Popłyniecie najpierw łódką, a potem przejedziecie się kawałek pociągiem. Moi ludzie dadzą wam koce, żeby was uchronić przed zimmem.

Wszyscy patrzyli na niego jak na wariata, ale nikt nic nie powiedział.

Z obezwładniającym uczuciem bezradności Hala pomogła prezydentowi Hasanowi wstać. Miała już dość tego życia pod nieustanną groźbą śmierci. Jakby nagle coś się w niej załamało. Przestało jej zależeć na czymkolwiek.

A mimo to w głębi niej jakaś iskierka oporu nadal się tliła.

Zaczęła ogarniać ją nieustraszoną żołądź idącego w bój, żołnierza, który wie, że zginie, i nie ma nic do stracenia, więc postanawia walczyć do ostatka. Była zdecydowana przetrwać.

Kapitan Machado wszedł do pomieszczenia komunikacyjnego i stwierdził, że jest puste. Początkowo sądził, że radiooperator Ammara wyszedł na chwilę do ubikacji, lecz kiedy tam zajrzał, nikogo nie znalazł.

Patrzył na aparat nadawczo-odbiorczy zmęczonymi i zaczerwienionymi od bezsenności oczyma, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Wyszedł na mostek i podszedł do jednego ze swych ludzi, który wpatrywał się w ekran radaru.

- Gdzie jest radiooperator? - spytał.

Człowiek od radaru odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Nie widziałem go, kapitanie. Czy nie ma go przy radiu?

- Nie.

- Mam pójść i zapytać przywódcę Arabów?

Machado wolno potrząsnął głową, nie mogąc pojąć nagłego zniknięcia egipskiego radiooperatora.

- Znajdź Jorge Delgado i sprowadź go tutaj. On zna się na radiach. Lepiej będzie, jeśli sami zajmujemy się komunikacją radiową.

Kiedy tak rozmawiali, żaden z nich nie zauważył silnego błysku na ekranie, oznaczającego samolot lecący nisko nad środkiem wyspy.

Gdyby go jednak zauważyli, nie mogliby wyśledzić niewidocznych dla radaru specjalnych spadochronów oddziału Sił Specjalnych Dillingera. Spadochronów, które się właśnie otwierały i kierowały ku czołu lodowca.

Pitt siedział w spartańskim wnętrzu ospreya. Ten mający kształt pocisku samolotik startował z ziemi jak śmigłowiec, lecz latał z prędkością ponad sześciuset kilometrów na godzinę. Mimo zmęczenia Pitt nawet nie próbował zasnąć. Tylko nieboszczyk mógłby spać w tych aluminiowych siedzeniach obciążonych płótnem, przy burzliwej pogodzie i huku silnika w prawie zupełnie nie wyciszzonej kabinie. Tylko nieboszczyk, oczywiście z wyjątkiem Giordina, który siedział oklapły niczym ogromny balon w kształcie człowieka, mający w środku tyle zaledwie powietrza, by nie stracić formy. Co kilka minut zmieniał pozycję, jakby miał mózg podłączony do jakiegoś mechanizmu czasowego, nie otwierając oczu i nie zmieniając tempa oddechu.

- Jak on to robi? - zapytał Findley w szczerym zdumieniu.

- Ma to w genach - odparł Pitt.

Gunn potrząsnął głową z podziwem.

- Widywałem go, jak spał w najdziwniejszych pozycjach i w najdziwniejszych miejscach i wciąż, gdy to widzę, nie mogę uwierzyć.

Drugi pilot, młody chłopak, odwrócił się i spojrzał ze swojego miejsca.

- Widać nie przeżywa żadnych stresów.

Pitt i pozostali roześmieli się, a potem ucichli myśląc o tym, że zaraz będą musieli opuścić miłe ciepło we wnętrzu samolotu i wyjść w lodowaty koszmar na zewnątrz. Pitt odczuwał pewną satysfakcję. Chociaż nie pozwolono mu wziąć udziału w bezpośrednim ataku - znalazł się wystarczająco blisko miejsca akcji, by móc deptać po piętach Hollisowi i jego oddziałom Służb Specjalnych. Miał zamiar opuścić się na linie w ślad za ludźmi Dillingera na pokład statku zaraz po ataku.

Nie wątpił ani przez chwilę, że jego ojciec żyje. Nie potrafił tego sobie wytłumaczyć, ale prawie czuł obecność senatora. Łączyły ich od lat bardzo silne więzi. Niemal czytali sobie nawzajem w myślach.

- Za sześć minut będziemy na miejscu - obwieścił radośnie pilot. Pitt aż się skulił.

Pilot wydawał się niewzruszony faktem, że leci nad skalistymi, pokrytymi śniegiem, niewidocznymi szczytami. Przez szybę było widać tylko siekący śnieg z deszczem i czerń nocy.

- Skąd wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Pitt.

Pilot, chłopak w typie Burta Raynoldsa, wzruszył leniwie ramionami.

- Ma się to w małym palcu - odparł.

Pitt schylił się i zajrzał przez ramię pilota. Tamten wcale nie trzymał dłoni na

sterach. Siedział z założonymi rękami patrząc na malutki ekran, który wyglądał jak gra komputerowa. U dołu ekranu widniał tylko dziób ospreya, a cała jego reszta była wypełniona górami i dolinami, które przemykały pod samolotem. W górnym rogu ekranu czerwone cyferki wskazywały odległości i wysokość.

- No, no - rzekł Pitt. - Komputery zastępują już ludzi niemal we wszystkim.

- Szczęście, że jeszcze się nie zajęły seksem - roześmiał się pilot. Zrobił lekką poprawkę malutką gałką. - Czujniki radarowe i podczerwone badają teren, a komputer przetwarza ich odczyt na trójwymiarowy obraz. Włączam autopilota i gdy samolot pędzi nad ziemią, dumam sobie o takich wspaniałościach jak budżet Kongresu albo polityka zagraniczna Departamentu Stanu.

- To dla mnie coś nowego - mruknął drugi pilot.

- Bez naszego elektronicznego przewodnika - ciągnął nie spieszony pierwszy pilot - siedzielibyśmy wciąż na lotnisku Punta Arenas czekając na świt i sprzyjającą pogodę... - Zadzźwięczał dzwonek przy ekranie i pilot powiedział: - Zbliżamy się do planowanego miejsca lądowania. Niech pan przygotuje swoich ludzi do wyjścia.

- Jakie otrzymał pan polecenie od pułkownika Hollisa?

- Żeby was wysadzić pod szczytem góry nad kopalnią. Chodzi o to, by nas nie wykrył radar statku. Będziecie musieli przebyć resztę drogi na piechotę.

- Widzisz jakieś problemy? - spytał Pitt Findleya.

Findley uśmiechnął się.

- Znam tę górę doskonale. Jej szczyt znajduje się zaledwie trzy kilometry od wejścia do kopalni. Droga w dół zbocza jest bardzo łatwa. Mógłbym nią przejść z zawiązanymi oczyma.

- Zważywszy na tę pogodę - mruknął posepnie Pitt - myślę, że właśnie tak to będzie wyglądało.

Gdy oddziałek NUMA szybko wyskoczył przez klapę załadunkową samolotu, skowyt turbin ospreya zastąpiło wycie wichru. Nie tracili czasu, nie marnowali słów, machnęli tylko na pożegnanie pilotom. W minutę potem czterej mężczyźni z dwiema torbami podręcznymi szli już smagani wiatrem po skalistej pochyłości ku szczytowi góry.

Findley w milczeniu objął prowadzenie. Widoczność była niemal równie zła na ziemi, jak w powietrzu. Latarka w ręku Findleya prawie nic nie dawała. Zacinający śnieg z deszczem odbijał snop światła, ograniczając widoczność ledwie do metra lub dwu.

Wcale nie przypominali swoim wyglądem elitarnego oddziału. Każdy ubrany był inaczej. Pitt miał na sobie szare ubranie narciarskie, Giordino granatowe, a Gunn płatał się

w o dwa numery za dużym pomarańczowym. Findley ubrał się jak kanadyjski drwal, miał nawet zrobioną na drutach wełnianą czapeczkę. Jedyнным wspólnym elementem ich ubioru były pomarańczowe narciarskie gogle.

Wiatr wiał według oceny Pitta z prędkością około dwudziestu kilometrów na godzinę, ostry, ale znośny. Nierówne skalne zbocze było śliskie od wilgoci, toteż ślizgali się na nim i potykali, często tracąc równowagę i padając.

Co kilka minut musieli ścierać z gogli śnieg. Wkrótce wyglądali od przodu niby śniegowe bałwany, lecz plecy mieli suche.

Findley omiatał latarką teren, wymijając wielkie głazy i rzadkie powykręcane krzaki. Gdy wyszedł na nagie skały i poczuł na sobie uderzenie pełnej siły wiatru, zdał sobie sprawę, że znalazł się na szczycie.

- Już niedaleko - rzekł ponad wyciem wichru. - Teraz cały czas w dół.

- Szkoda, że nie możemy wynająć toboganu - zauważył Giordino.

Pitt ściągnął rękawicę i spojrzał na fosforyzujące wskazówki swojej starej wodoszczelnej doxy. Atak wyznaczono na godzinę piątą. Za dwadzieścia osiem minut. Byli już spóźnieni.

- Musimy nadrobić czas - krzyknął. - Nie chciałbym przegapić tego widowiska.

Następne piętnaście minut szli ostrym tempem. Zbocze stało się łagodniejsze i Findley znalazł wąską, krętą ścieżkę wiodącą do kopalni. Kiedy zeszli niżej, karłowate sosny stały się gęstsze, a kamieni jakby ubyło, mieli więc lepsze oparcie dla stóp.

Wiatr i śnieg z deszczem nieco zelzały. Pojawiły się luki w chmurach i zobaczyli nad sobą gwiazdy. Mogli już zdjąć gogle.

Findley rozpoznał teren, gdy pośród czerni ukazała się wysoka hałda. Okrążył ją i zaczął iść wzdłuż szyn wąskotorowej kolejki.

Chciał się odwrócić i krzyknąć, że są na miejscu, ale nagle głos uwiązł mu w krtani. Pitt szarpnął go za kołnierz z taką siłą, że nogi uciekły spod niego i siadł na ziemi. Kiedy padał, Pitt wyrwał mu z ręki latarkę i zgasił.

- Co u diabła...?

- Cisza! - rzucił chrapliwie Pitt.

- Słyszysz coś? - spytał szeptem Gunn.

- Nie, ale czuję jakiś znajomy zapach.

- Znajomy zapach...?

- Baraniny. Ktoś piecze na rożnie udziec barani.

Wszyscy pochyłili głowy węższąc.

- Rany, masz rację - mruknął Giordino. - Ja też czuję zapach pieczonej baraniny.

Pitt pomógł Findleyowi wstać.

- Wygląda na to, że ktoś eksploatuje twoją działkę.

- Wątpię, by kopał cynk.

Giordino odszedł na bok.

- Kiedy zgasiłeś latarkę, zobaczyłem gdzieś tu błysk. - Poruszył nogą wokół siebie. Coś brzęknęło pod jego butem. Schylił się i podniósł jakiś przedmiot. Odwrócił się tyłem do kopalni i zapalił latarkę ołówkową. - Butelka Chateau Margaux, rocznik 1966. Ci faceci mają styl.

- Ktokolwiek się tu zagnieździł, na pewno nie brudzi sobie rąk wydobywaniem cynku - powiedział Findley.

- Baranina i bordeaux muszą pochodzić z „Lady Flamborough” - wywnioskował Gunn.

- Lodowiec znajduje się zaledwie pięćset metrów na północ. Jego czoło, przy którym stoi statek, jest niecałe dwa kilometry na zachód.

- Jak transportowano rudę?

Findley wskazał ręką w kierunku fiordu.

- Wąskotorówką. Szyny biegną od wejścia kopalni do kruszalni rudy, a stamtąd do doku, gdzie ładowano ją na statki.

- Nic nie mówiłeś o doku.

- Bo nikt mnie nie pytał. - Findley wzruszył ramionami. - Małe załadunkowe moło.

- W jakiej odległości od statku?

- O rzut piłką dobrego baseballisty.

- Powinienem wziąć to pod uwagę - mruknął Pitt. - Przegapilem to, wszyscy przegapili.

- O czym mówisz? - dopytywał się Findley.

- O grupie wspierającej terrorystów - odparł Pitt. - Porywacze musieli uprzednio założyć bazę, która umożliwiałaby im ucieczkę. Nie mogą zejść ze statku na morzu bez obawy wykrycia i ujęcia, jeśli nie mają do dyspozycji łodzi podwodnej, a przecież jej nie mają. Ale opuszczona kopalnia jest doskonałą kryjówką dla helikopterów. Wąskotorówkę zaś mogą wykorzystywać do poruszania się między fiordem i kopalnią.

- Hollis - rzekł Gunn krótko. - Trzeba go zawiadomić.

- Nie da rady - powiedział Giordino. - Nasz przyjaciel pułkownik odmówił zaopatrzenia nas w radio.

- Więc jak ostrzeżemy Hollisa?

- Nie ostrzeżemy. - Pitt wzruszył ramionami. - Ale pomożemy mu odnajdując i unieruchamiając helikoptery, a także terrorystów obozujących w kopalni, by uniemożliwić im wzięcie Hollisa i jego ludzi w dwa ognie.

- Tam może być ich z pięćdziesięciu - zaprotestował Findley. - Nas jest tylko czterech.

- Nie mają się na baczności - zwrócił uwagę Gunn. - Nie spodziewają się, że ktoś może przyjść z głębi nie zamieszkaney wyspy, w dodatku w samym środku burzy.

- Rudi ma rację - rzekł Giordino. - Gdyby mieli wystawione stráže, już by nas schwytali. Ja jestem za tym, żeby przepędzić sukinsynów.

- Zaskoczmy ich - ciągnął Pitt. - Póki będziemy uważali i kryli się w ciemnościach, póty będziemy mieli nad nimi przewagę.

- A jeśli nas zaatakują - zapytał Findley - mamy rzucać w nich kamieniami?

- Nic podobnego. Ja jestem stary skaut - odparł Pitt.

Obaj z Giordinem uklękli i otworzyli błyskawiczne zamki podręcznych toreb. Giordino zaczął rozdawać kamizelki kuloodporne, a Pitt broń.

Findley owi podał dubeltówkę.

- Mówiłeś mi, że trochę polowałeś, Clayton. Masz tu, może trochę za wcześnie, prezent pod choinkę. Benelli Super 90, dwunastka.

Oczy Findleya rozbłysły.

- Wspaniała. - Poglaskał strzelbę delikatnie, jakby to było udo kobiety. Spostrzegł, że Gunn i Giordino dostali automaty Heckler-Kocha z tłumikami. - Czegoś takiego nie można kupić w pierwszym lepszym sklepie z żelastwem. Skąd je wytrzasnąłeś?

- Z zapasów Sił Specjalnych - odparł Pitt nonszalancko. - Pożyczyłem sobie, kiedy Hollis i Dillinger patrzyli w inną stronę.

Findley zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Pitt wcisnął krągły bęben do wiekowego thompsona.

- Widzę, że jesteś rozmiłowany w antykach.

- Ja zawsze jestem za starym, solidnym rzemiosłem - rzekł Pitt. Spojrzał znów na zegarek. Zostało jeszcze sześć minut do rozpoczęcia ataku na statek. - Żadnej strzelaniny, póki nie powiem. Lepiej nie psuć roboty Siłom Specjalnym. I tak mają niewiele szans na zaskoczenie.

- A co z lodowcem? - spytał Findley. - Czy nasz ogień nie spowoduje oderwania się lodowej płyty?

- Nie z tej odległości - zapewnił go Gunn. - Tam będzie go słyhać jak odległe fajerwerki.

- Pamiętajcie, aby możliwie najpóźniej zacząć strzelać - przykazał Pitt. - Najpierw musimy odnaleźć helikoptery.

- Szkoda, że nie mamy żadnych materiałów wybuchowych - mruknął Giordino.

- Nic nie przychodzi łatwo.

Pitt dał Findleyowi kilka chwil na zorientowanie się w terenie. Wreszcie geolog kiwnął głową i ruszyli, omijając tyły starych, zniszczonych budowli, trzymając się cienia i starając się stąpać jak najciszej. Chrząst butów na żwirze tłumił wiatr, który zmienił kierunek i teraz wiał w dół zbocza.

Budynki otaczające kopalnię były w większości wykonane z drewnianych belek obitych blachą falistą, mocno już nadgryzioną rdzą. Niektóre z nich były zwykłymi szopami, inne wznosiły się na dwa do czterech pięter i ściany ich ginęły w mroku. Gdyby nie zapach pieczonej baraniny, mogliby sądzić, że są w jednym z amerykańskich miast-widm.

Nagle Findley zatrzymał się za długą szopą i uniósł rękę czekając, aż podejda pozostali. Raz i drugi ostrożnie wysunął głowę za róg, po czym rzekł do Pitta:

- Stołówka i świetlica mieszczą się w tym budynku kilka kroków w prawo. Widzę wąskie paski światła pod zasłonami.

Giordino pociągnął nosem.

- Wyraźnie lubią dobrze przypieczone mięso.

- Widać jakieś warty? - spytał Pitt.

- Miejsce wygląda na opuszczone.

- Gdzie mogli ukryć helikoptery?

- Główna kopalnia jest pionowym szybem sięgającym sześć pięter w dół. Trzeba ją więc wykluczyć jako kryjówkę helikopterów.

- Gdzie zatem?

Findley wskazał w mrok przedświt.

- Największą osłoniętą przestrzenią jest kruszalnia rudy. Ma też wielkie rozsuwane drzwi dla cięższego sprzętu. Przy złożonych śmigłach mogłyby się tam zmieścić ze trzy helikoptery.

- Więc schowali je w kruszalni - powiedział cicho Pitt.

Nie było czasu do stracenia, Hollis i Dillinger mieli za chwilę rozpocząć atak. Byli w połowie budynku stołówki, gdy nagle drzwi się otworzyły i przez strugi deszczu przesączył się promień światła, padając na ich nogi poniżej kolan. Zamarli z bronią gotową do strzału.



Na kilka chwil ukazała się podświetlona z tyłu sylwetka mężczyzny. Przeształ próg i zgarnął z talerza na ziemię resztki jedzenia. Potem odwrócił się zamykając drzwi za sobą.

Wkrótce Pitt i jego towarzysze stanęli oparci plecami o ścianę kruszalni.

Pitt przysunął usta do ucha Findleya.

- Jak się tam wśliznąć?

- Przez otwory w ścianie biegną transportery, które doprowadzają rudę do kruszarek i z powrotem do wagonów. Jedynym problemem jest to, że są wysoko ponad naszymi głowami.

- A są jakieś drzwi niżej?

- Wielkie, rozsuwane, do magazynu ciężkiego sprzętu - odparł Findley równie cicho - i główne wejście. Jeżeli dobrze pamiętam, są również schody wiodące do kantoru.

- Na pewno zamkniętego - rzekł Giordino ponuro.

- Chyba masz rację - stwierdził Pitt. - Dobra, wejdziemy od frontu. Nikomu z nich nie przyjdzie do głowy, że to ktoś obcy. Wejdziemy cicho i spokojnie, jakbyśmy należeli do ich grupy. Czterech koleżków, którzy wracają ze stołówki.

- Założę się, że drzwi skrzypią - mruknął Giordino.

Przeszli za róg kruszalni i weszli bez przeszkód przez wysokie drzwi, które otwarły się bezszelestnie.

Wnętrze budynku było ogromne. Bo też i musiało takie być. Na środku stała wielka maszyna, od której biegły na wszystkie strony koryta ładunkowe, węże gumowe i przewody elektryczne, niczym macki wielkiej ośmiornicy. Głównym elementem maszyny kruszącej był potężny bęben zawierający różnych rozmiarów stalowe kule, które rozdrabniały rudę.

Wzdłuż jednej ze ścian stały wielkie zbiorniki osadowe, do których po rozkruszeniu rudy odprowadzano muł płuczkowy. Górą biegły galeryjki ze stalowymi drabinkami. Z galeryjek zwiślał rząd lamp zasilanych z generatora warczącego w rogu hali.

Pitt myślał, że do ewakuacji porywaczy przygotowano co najmniej dwa, a może nawet trzy helikoptery. Był jednak tylko jeden - duży brytyjski Westland Commando, stary, lecz niezawodny śmigłowiec przeznaczony do transportu wojska i do wsparcia logistycznego. Zdolny był do przewozu ponad trzydziestu ciasno stłoczonych osób. Na wysokiej platformie stało dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach. Dłubali coś przy silniku. Byli pochłonięci swoją pracą i nie zwrócili uwagi na tak wczesnych gości.

Powoli, ostrożnie Pitt wsunął się do ogromnej hali. Findley szedł z jego prawej strony, Giordino z lewej. Gunn podążał z tyłu. Dwaj ludzie z obsługi helikoptera nadal nie odrywali się od swej pracy. Dopiero wtedy Pitt zauważył ubranego w czarny kombinezon i

kominiarkę strażnika, siedzącego beztróska tyłem do drzwi na drewnianej skrzynce za stalowym słupem.

Pitt nakazał gestem, aby Giordino i Findley okrążyli helikopter i zobaczyli, czy nie ma tam innych terrorystów. Strażnik poczuł prąd zimnego powietrza od drzwi i obrócił się lekko, żeby zobaczyć, kto idzie.

Pitt szedł wolno w jego stronę. Gdy znalazł się o dwa metry od niego, uśmiechnął się i uniósł dłoń w geście powitania.

Tamten spojrzał na niego niepewnie i powiedział parę słów po arabsku.

Pitt wymamrotał coś w odpowiedzi, która utonęła w warkocie generatora.

Strażnik dostrzegł wówczas starego thompsona w rękach Pitta. Dwie sekundy opóźnienia reakcji, spowodowane zaskoczeniem, drogo go kosztowały. Nim zdążył wydobyć broń i odskoczyć w bok, Pitt wyrzucił go kolbą thompsona w głowę ukrytą pod kominiarką.

Przytrzymał osuwające się bezwładnie ciało strażnika i oparł o słup. Następnie dał nura pod kadłub śmigłowca i podszedł do dwóch mechaników pracujących przy silniku. Doszedłszy do platformy chwycił za szczeble drabinki i pchnął mocno platformę, przewracając ją do tyłu.

Nie wydawszy nawet krzyku mechanicy polecili na dół. Jedyłą ich reakcją było wyrzucenie rąk w górę w daremnym pragnieniu przytrzymania się powietrza, nim uderzyli mocno o drewnianą podłogę. Jeden wyrzucił w nią głowę i stracił natychmiast przytomność. Drugi wylądował bokiem, łamiąc z głośnym chrupnięciem rękę. Z krtani wyrwał mu się bolesny jęk, zaraz zresztą uciszony kolbą thompsona.

- Ładna robota - rzekł Findley, rezygnując z zachowywania ciszy.

- Każdy ruch to dzieło sztuki - powiedział Pitt dumnie.

- Mam nadzieję, że to wszyscy.

- Niezupełnie. Al ma z tyłu za śmigłowcem jeszcze czterech.

Findley ostrożnie przeszedł pod helikopterem i zdumiał się widząc, że Giordino siedzi sobie wygodnie na składanym krześle, popatrując srogo na czterech patrzących spode łba jeńców tkwiących po szyje w śpiworach.

- Zawsze lubiłeś ładnie zrobione poduszki - rzekł Pitt.

Giordino nie spuszczał oka z jeńców.

- A ty zawsze zachowywałeś się za głośno. Co to był za hałas?

- Dwóch mechaników spadło z platformy.

- Ilu przyskrzyniliśmy?

- Razem siedmiu.
  - Czterech musi należeć do załogi śmigłowca.
  - Pilot, drugi pilot i dwóch mechaników.
- Findley wskazał jednego z mechaników.

- Ten tutaj chyba zaraz się ocknie.

Pitt przewiesił thompsona przez ramię.

- Sądzę, że powinniśmy tak to załatwić, żeby przez jakiś czas nigdzie nie chodzili. Tobie przypadnie ten zaszczyt, Clayton. Zaknebluj ich i zwiąż. Powinieneś znaleźć jakieś paski w śmigłowcu. Al, nie spuszczaaj z nich oka. My z Rudim pójdziemy rozejrzeć się na zewnątrz.

- Zabezpieczymy mu kompletne unieruchomienie - rzekł Giordino biurokratycznym stylem.

- Koniecznie. W przeciwnym razie pozabijają was.

Pitt skinął na Gunna i zdarli wierzchnie ubrania z dwóch jeńców. Pitt zerwał kominiarkę i czarny sweter z nieprzytomnego strażnika. Wciągając je na siebie, skrzywił nos czując woń przeпоconego swetra.

Potem wyszli drzwiami wcale nie próbując się kryć. Szli pewni siebie, różnym krokiem, środkiem drogi biegnącej między zabudowaniami. Przy budynku mieszczącym stołówkę weszli w cień i zajrzeli przez szparę w zasłonie do wewnątrz.

- Tu jest ich chyba z dziesięciu - szepnął Gunn. - Wszyscy uzbrojeni po zęby. Wygląda na to, że szykują się do opuszczenia terenu.

- Cholerny Hollis - zaklął Pitt z cicha. - Żeby nam choć zapewnił jakieś środki porozumienia.

- Już za późno.

- Za późno?

- Jest piąta dwanaście - odparł Gunn. - Jeśli nie zaszło nic nieprzewidzianego, oddział Hollisa leci teraz w stronę statku.

- Musimy znaleźć pociąg - rzekł Pitt. - Trzeba go unieruchomić i przeciąć wszelką łączność pomiędzy statkiem a kopalnią.

Gunn kiwnął głową i zaczęli się przekradać wzdłuż ściany stołówki, schylając się pod oknami. Potem biegli przez otwartą przestrzeń, póki nie natrafili na tory. Pobiegli dalej po podkładach.

Pitt zaciskał ręce na thompsonie z rosnącym uczuciem rozpacz. Wiatr i deszcz ustały i po wschodniej stronie nieba gwiazdy zaczęły błędnać.

Musiało się stać coś złego.

Hollisowi wydawało się, że upłynęły godziny, odkąd spuścili pontony na wodę.

„Gołębie” przeleciały nisko nad skalnym wybrzeżem i bez przeszkód wysadziły oddział Hollisa na wysepce u ujścia fiordu. Spuszczenie pontonów na wodę przeszło gładko i bez wysiłku, lecz prąd odpływowy okazał się silniejszy, niż ktokolwiek przewidywał.

Cichy silnik elektryczny pięcioosobowej łodzi, która miała ich holować, już po dziesięciu minutach odmówił posłuszeństwa. Żołnierze Sił Specjalnych łamali wiosła, rozpaczliwie usiłując zbliżyć się do „Lady Flamborough” przed brzaskiem.

Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy zerwała się łączność. Ku swemu przerażeniu Hollis nie mógł się połączyć z Dillingerem. Nie wiedział, czy major dokonał już desantu na statek, czy też zagubił się gdzieś na lodowcu.

Hollis wiosłował i przy każdym ruchu wiosła kłął zepsuty silnik, prąd i Dillingera. Atak był poważnie spóźniony, a on nie mógł ryzykować jego odwołania.

Jedynym ratunkiem były opary, o których mówił Findley. Kłębiły się wokół pontonów i zdeterminowanych ludzi, chroniąc ich jak zasłona dymna.

Ta mgła i ciemności sprawiały, że Hollis widział tylko na kilka metrów przed sobą. Kierował swoją małą flotyllą tylko dzięki noktowizorowi. Zgrupował wszystkich wokół siebie w promieniu trzech metrów, wydając cicho instrukcje przez miniaturowe radio.

Skierował noktowizor na „Lady Flamborough”. Jej kształtny kadłub wyglądał teraz jak lodowa rzeźba unosząca się na wodzie. Hollis ocenił, że wciąż dzieli go od statku ponad kilometr.

Prąd pływowy zaczął wreszcie słabnąć i pontony wkrótce osiągnęły prędkość prawie jednego węzła. Oby nie za późno. Hollis widział, jak szybko ludzie tracą siły od bezustannego, gorączkowego wiosłowania, choć byli zahartowani surowymi ćwiczeniami i regularnym podnoszeniem ciężarów. dzielnie walczyli z bezlitosnym prądem, ale ich mięśnie zaczynały sztywnieć - każdy ruch przychodził im teraz z wysiłkiem.

Oslaniająca ich mgła rzedła. Hollis bał się, że terroryści wystrzelają ich jak kaczki. Spojrzał w górę. Zobaczył między kłębami mgły, że barwa nieba zmienia się z czarnej w granatową.

Jego flotylla znajdowała się pośrodku fiordu, a najbliższy brzeg, który mógłby im dać jakąś osłonę, był pół kilometra dalej niż „Lady Flamborough”.

- Przyłóżcie się do wiosel, chłopaki - rzekł. - Jesteśmy prawie w domu. Ile sił w grzbietach.

Znużeni żołnierze dobyli resztki sił, pociągnięcia wiosel stały się dłuższe i szybsze.

Hollis odłożył noktowizor i sam zaczął wiosłować jak szalony.

Może się jeszcze uda, może się uda - myślał z nadzieją, kiedy szybko zbliżali się do statku.

Ale gdzie jest Dillinger? Co się u licha stało z jego oddziałem na lodowcu?

Dillinger był w opałach. Natychmiast po skoku z transportowca C-140 jego ludzie zostali rozproszeni po całym niebie przez silny zmienny wiatr.

Major rozglądał się ze ściągniętą twarzą. Każdy z jego ludzi miał zapaloną małą błękitną latareczkę, lecz siekący deszcz ze śniegiem uniemożliwiał dostrzeżenie światełek. Stracił wszystkich z oczu już w chwili, kiedy jego spadochron się otworzył.

Sięgnął w dół i nacisnął włącznik małego czarnego pudełka przytroczonego do nogi. Potem powiedział do mikrofonu miniaturowego nadajnika:

- Tu major Dillinger. Włączyłem radiolatarnię. Mamy przed sobą siedem kilometrów lotu ślizgowego. Postarajcie się trzymać blisko mnie i kierujcie na mnie po wylądowaniu.

- W tej zamieci będziemy mieli szczęście, jeżeli w ogóle trafimy na wyspę - mruknął jakiś malkontent.

- Cisza w eterze - rozkazał Dillinger.

Spojrzał w dół i nie zobaczył nic poza pojemnikiem z bronią, dyndającym na dwumetrowej linie pod uprzężą spadochronu. Wziął namiar z podświetlonej tarczy kompasu połączonego z wysokościomierzem, wystającej nad jego czołem niczym lusterko laryngologa.

Bez punktów odniesienia, bez zrzuconej uprzednio w strefie lądowania radiolatarni - która bardzo ułatwiłaby im orientację, lecz także zwiększyłaby ryzyko wykrycia przez porywaczy - Dillinger szybował na wycucie.

Pilnował się, aby nie przelecieć ponad krawędzią lodowca i nie wylądować w fiordzie. Niesłusznie się obawiał, wylądował za blisko - prawie o cały kilometr za blisko.

W ciemnościach pod sobą ujrzał lodowiec i stwierdził, że spada prosto w lodową rozpadlinę. Nagły boczny podmuch pochwycił jednak prostokątną czaszę i poniósł ją trochę dalej. Dillinger podciągnął się na linkach przyjmując pozycję do lądowania w ostatniej chwili, kiedy pojemnik uderzył w wewnętrzną ścianę rozpadliny, i przeskoczył przez jej krawędź. Cienka warstwa śniegu zamortyzowała uderzenie - major dokonał idealnego lądowania na stopy zaledwie dwa metry za rozpadliną.

Szarpnął uchwyt zwalnający i spadochron opadł, nim wiatr zdążył go pochwycić. Nie zwinął spadochronu, by ukryć go w jakiejś lodowej szczelinie. Nie było na to czasu. Amerykańscy podatnicy będą musieli pogodzić się z tą stratą.

- Tu Dillinger. Wylądowałem. Kierujcie się na mnie.

Wyjął z kieszeni kurtki plastikowy gwizdek i zaczął weń dmuchać co dziesięć sekund, zwracając się za każdym razem w inną stronę. Przez kilka minut nie było widać nikogo.

Potem powoli pokazał się pierwszy z jego ludzi i podbiegł. Byli bardzo rozproszeni, poza tym droga przez lodowiec zajęła im znacznie więcej czasu, niż Dillinger przewidywał.

Wkrótce przyszli pozostali. Jeden z ludzi miał złamane ramię, drugi nogę w kostce. U swego sierżanta Dillinger podejrzewał pęknięcie nadgarstka, lecz ten zachowywał się, jakby to było zwykłe stłuczenie. Major zbyt go potrzebował, by mógł go spisać na straty.

- Nie dotrzymacie nam kroku - zwrócił się do dwóch okaleczonych - ale podążajcie w nasze ślady najprędzej, jak tylko zdołacie. I pamiętajcie, żeby osłaniać blask latarek. - Potem skinął na swego sierżanta, Jacka Fostera. - Zwiążmy się liną i ruszajmy, sierżancie. Ja poprowadzę.

Foster zasalutował i sprawdził obecność.

Droga po nierównym lodzie była zdradziecka, szli jednak prędko. Dillinger nie obawiał się, że wpadnie w jakąś szczelinę, ubezpieczała go teraz bowiem lina. Dwa razy nakazywał krótki postój, aby zorientować się w terenie, i zaraz szli dalej.

Musieli pokonywać ostre lodowe grzbiety, a raz szczelinę w lodzie, która o mało nie okazała się przeszkodą nie do przebycia. Stracili całe siedem minut, nim przywiązana do liny kotwica zahaczyła o przeciwną krawędź. Potem najlżejszy z żołnierzy przeszedł na drugą stronę, aby zaczepić linę mocniej. Zanim ostatni żołnierz przeszedł nad przepaścią, minęło dziesięć następnych minut.

Jakiś niepokój narastał w duszy Dillingera. Jego oddział został pomniejszony o dwóch ludzi, a na dodatek byli coraz bardziej spóźnieni. Żałował, że nie posłuchał nieproszonej rady Giordina i nie podwoił czasu, jaki według jego oceny miał upłynąć pomiędzy skokiem ze spadochronem a atakiem.

Modlił się, aby oddział płetwonurków nie czekał marznąc w lodowatej wodzie przy kadłubie „Lady Flamborough”. Raz po raz próbował połączyć się przez radio z Hollisem i powiadomić pułkownika o swym opóźnieniu, lecz nie mógł nawiązać łączności. Za jego plecami pojawiał się już pierwszy brzask, oświetlając powierzchnię lodowca. Dillinger widział też słabiutki połysk fiordu - i nagle zrozumiał powód braku łączności.

Hollis widział już statek wyraźnie bez noktowizora. Gdyby jakiś bystrooki porywacz spojrział w ich kierunku, mógłby wysledzić na tle ciemnoszarej wody cienie nadmuchiwanych pontonów. W miarę jak przybliżali się do statku, Hollis ledwie śmiał oddychać.

Nie poddając się rozpaczycy wciąż próbował nawiązać łączność radiową z Dillingerem.

- Rekin do Sokoła, odezwiw się. - Wypowiedział to wezwanie chyba ze sto razy, gdy nagle w słuchawce zadudnił głos Dillingera:

- Tu Sokół, słucham.

- Spóźniłeś się - syknął cicho Hollis. - Czemu nie odpowiadałeś na moje wezwanie?

- Dopiero teraz znalazłem się w zasięgu słyszalności. Nasze sygnały nie mogły przeniknąć przez ścianę lodu.

- Jesteś na pozycji?

- Nie - odparł Dillinger. - Natrafiliśmy na pewien problem. Aby go rozwiązać, potrzebujemy trochę czasu.

- Co to znaczy?

- Znaleźliśmy ładunki wybuchowe umieszczone w szczelinie za czołem lodowca. Są przygotowane do odpalenia na sygnał radiowy.

- Ile czasu zajmie ich rozbrojenie?

- Samo znalezienie wszystkich może potrwać około godziny.

- Daję wam na to pięć minut - rzekł szybko Hollis. - Nie możemy dłużej czekać, bo zginimy.

- Zginimy wszyscy, jeśli ładunki zostaną odpalone i ściana lodu zwali się na statek.

- Zaryzykujemy. Może zaskoczenie powstrzyma terrorystów od zdetonowania ładunków. Pośpiesz się. Lada moment dostrzegą moje pontony.

- Widzę ich cienie z krawędzi lodowca.

- Wy zaczynacie - rozkazał Hollis. - Musicie odwrócić uwagę terrorystów, bo zrobiło się za jasno.

- Spotkamy się na słonecznym pokładzie na koktajlach - powiedział Dillinger.

- Ja stawiam - odparł Hollis, poczuwszy nagły przypływ optymizmu. - Powodzenia.

Zobaczył ich Ibn.

Stał na starym moło załadowczym obok Ammara, czterech zakładników i dwudziestu egipskich porywaczy. Patrzył przez lornetkę na czarno ubrane postacie na lodowcu, przyglądał się, jak zjeżdżają po linach, przebijają się przez plastikową folię i nikną w jej wnętrzu.

Opuścił nieco lornetkę i zogniskował ją na ludziach siedzących w pontonach przy kadłubie statku. Patrzył jak wystrzeliwują kotwiczki, a potem wspinają się po przywiązanych do nich linach na główny pokład.

- Kto to może być? - zapytał Ammar, który stał obok i również obserwował akcję



przez lornetkę.

- Nie wiem, Sulejmanie. Wyglądają na jakieś siły elitarne. Nie słyszę żadnych odgłosów walki, muszą mieć broń z tłumikami. Ich atak jest prowadzony fachowo.

- Zbyt fachowo jak na tę hołotę, którą Yazid lub Topiltzin mógł zebrać w tak krótkim czasie.

- Moim zdaniem to amerykańskie Specjalne Siły Operacyjne.

Ammar kiwnął głową w jaśniejącym świetle.

- Może masz rację, ale jak, na Allacha, zdołali tak szybko nas znaleźć?

- Musimy zmiatać, zanim przybędą oddziały wspierające.

- Dałeś sygnał, aby przyjechał pociąg?

- Zaraz powinien tu być i zabrać nas do kopalni.

- Co to? - spytał prezydent De Lorenzo. - Co się dzieje?

Ammar zignorował pytanie De Lorenza.

- Zdaje się, że opuściliśmy statek w najodpowiedniejszej chwili. Allah się do nas uśmiechnął. Tamci nie zdają sobie sprawy, że jesteśmy tutaj.

- Za pół godziny na całej wyspie aż się zaroi od żołnierzy amerykańskich - powiedział senator spokojnie, dokręcając śrubę. - Radzę panu się poddać.

Ammar obrócił się nagle i spojrzał dziko na polityka.

- Obejdzie się, senatorze. Niech pan nie oczekuje, że wasza słynna kawaleria przybędzie panu na odsiecz. A jeśli nawet przybędzie, nie będzie już miała kogo ratować.

- Czemu nie zabił nas pan na statku? - spytała mężnie Hala.

Ammar w ohydny uśmiech wyszczerzył zęby pod maską, lecz nie raczył odpowiedzieć. Skinął na Ibna.

- Zdetonuj ładunki.

- Jak każesz, Sulejmanie - odparł Ibn posłusznie.

- Jakie ładunki? - spytał senator. - O czym wy mówicie?

- O ładunkach wybuchowych, które umieściliśmy za ścianą lodu - odparł Ammar. Wskazał ruchem ręki „Lady Flamborough”. - Ibn, zrób, co ci mówię, z łaski swojej.

Z twarzą zupełnie bez wyrazu Ibn wyjął z kieszeni kurtki mały nadajnik radiowy i trzymając go przed sobą zwrócił się przodem do lodowca.

- Na miłość boską, człowieku! - błagał senator. - Nie rób tego.

Ibn zawahał się patrząc na Ammara.

- Na statku jest mnóstwo ludzi - rzekł wstrząśnięty prezydent Hasan. - Nie ma powodu ich zabijać.

- Nie muszę usprawiedliwiać się przed nikim z moich czynów.

- Yazid zostanie ukarany za twoje okrucieństwo - mruknęła Hala tonem, w którym pobrzmiwała furia.

- Dziękuję za ułatwienie mi zadania - powiedział Ammar uśmiechając się do Hali, której twarz wyrażała pełne niezrozumienie. - Dość już tych cikliwych opóźnień. Szybko, Ibn.

Zanim którykolwiek z oniemiałych zakładników zdążył zaprotestować, Ibn włączył nadajnik i nacisnął guzik uruchamiający detonatory.

Wybuch zabrzmiał niczym przytłumiony grzmot. Lodowiec zatrzeszczał, jęknął złowrogo, ale poza tym nic się nie stało. Czoło lodowca pozostało nadal pionowe i nieruchome.

Detonacje powinny nastąpić w ośmiu różnych miejscach szczeliny lodowej, lecz major Dillinger i jego ludzie znaleźli i rozbroili wszystkie ładunki z wyjątkiem jednego.

Odległy wybuch zabrzmiał w chwili, gdy Pitt i Gunn skradali się do dwóch porywaczy, którzy palili pod kotłem starej lokomotywy. Porywacze przerwali na chwilę pracę, nasłuchując przez kilka chwil i wymieniając parę słów po arabsku. Potem zaśmiali się i wrócili do swego zajęcia.

- Cokolwiek spowodowało ten huk - szepnął Gunn - nie zaskoczyło tych ludzi. Zachowują się, jakby się go spodziewali.

- To brzmiało jak wybuch - odparł cicho Pitt.

- Ale na pewno nie jak odłamujące się czoło lodowca, bo czuliśmy drżenie ziemi.

Pitt patrzył na małą wąskotorową lokomotywę, która była podczepiona do węglarki i pięciu wagonów do przewozu rudy. Była to lokomotywa z rodzaju tych, jakich używano na plantacjach, w fabrykach i kopalniach. Z wysokim kominem i okrągłymi okienkami kabiny wyglądała niczym dziecięca zabawka puszczająca kłęby pary.

- Pożegnajmy ciepło maszynistę i palacza - mruknął Pitt z kwaśnym uśmiechem. - To przyjacielski obowiązek.

Gunn spojrzał na Pitta i pokręcił głową, po czym pobiegł skulony w stronę końca pociągu. Chcieli podejść do lokomotywy z obu stron, skradając się wzdłuż wagonów. Kabina była jasno oświetlona blaskiem z paleniska i Pitt uniósł dłoń każąc Gunnowi zaczekać.

Arab występujący w roli maszynisty był zajęty zaworami i wskaźnikami ciśnienia. Palacz sypał węgiel w rozgrzany do białości piec. Kiedy już uznał, że wystarczy, otarł pot z twarzy i przymknął szuflę drzwiczki paleniska, pogrążając kabinę w półmroku.

Pitt wskazał Gunnowi maszynistę, a potem chwycił za poręcze i wskoczył na schodki lokomotywy od swojej strony.

Spokojnie podszedł do palacza i powiedział miłym głosem:

- Dzień dobry.

Zanim zdumiony i zmieszany palacz zdołał odpowiedzieć, Pitt zręcznie wyrwał mu szuflę z rąk i zdzielił go nią w łeb.

Maszynista właśnie się odwracał, kiedy Gunn wyrznął go w szczękę ciężkim

tłumikiem zamocowanym u wylotu grubej lufy automatu. Arab zwał się jak worek.

Gunn stanął na straży, a Pitt przewiesił obu porywaczy przez boczne okna kabiny. Następnie zaczął studiować labirynt rurek, dźwignien i zaworów.

- Nie dasz rady - rzekł Gunn kręcąc głową.

- Potrafię przecież uruchomić i poprowadzić stanleya steamera - obruszył się Pitt.

- Co?

- To taki stary samochód - odparł Pitt. - Otwórz drzwiczki paleniska. Muszę mieć trochę światła, żeby odczytać wskaźniki.

Gunn zrobił, o co go proszono, i grzał sobie dłonie od buchającego żaru.

- Lepiej szybko się w tym połap - rzekł zniecierpliwiony. - Jesteśmy oświetleni jak tancerki w Las Vegas.

Pitt pociągnął lekko długą dźwignię i lokomotywa przesunęła się parę centymetrów do przodu.

- Dobra, to hamulec. Myślę, że już wiem, która dźwignia co robi. Kiedy będziemy przejeżdżali koło kruszalni, zeskakujemy i wbiegamy do środka.

- A co z pociągiem?

- Ekspres „Kula Armatnia” - odparł Pitt z szerokim uśmiechem - nigdzie się nie zatrzymuje.

Zwolnił urządzenie zapadkowe dźwigni przód-tył i pchnął ją przed siebie. Następnie pociągnął dźwignię przepustnicy. Lokomotywa ruszyła wolno do przodu, z brzękiem spinaczy wagoników do przewozu rudy. Otworzył przepustnicę do samego końca. Koła napędowe zabuksowały i wgryzły się w zardzewiałe szyny. Pociąg zaczął posuwać się naprzód.

Mozolne pach-pach stawało się coraz szybsze, w miarę jak pociąg nabierał prędkości przejeżdżając obok stołówki. Drzwi stołówki otworzyły się i ukazał się w nich jakiś terrorysta z uniesioną ręką, jakby chciał im pomachać. Opuścił ją jednak natychmiast, gdy ujrzał dwa ciała zwisające z okien. Cofnął się do wewnątrz, krzycząc jak szalony do swych towarzyszy.

Pitt i Gunn wystrzelili serię z automatów w okna i drzwi budynku. Teraz lokomotywa zaczęła się zbliżać do kruszalni rudy. Pitt spojrzął na ziemię i ocenił szybkość pociągu na piętnaście do dwudziestu kilometrów na godzinę.

Pociągnął dźwignię gwizdka i przywiązał ją w tym położeniu sznurkiem, który znalazł w kieszeni swojej narciarskiej kurtki. Para ulatująca przez mosiężny gwizdek przecięła powietrze jak brzytwa.

- Przygotuj się do skoku! - wrzasnął do Gunna ponad rozrywającym uszy gwizdem.

Gunn nie odpowiedział. Patrzył na umykający w dole żwir.

- Teraz! - krzyknął Pitt.

Dotknęli stopami ziemi i biegli przed siebie ślizgając się po żwirze, lecz nie tracąc równowagi. Nie było czasu na wahania, na to, by zaczerpnąć tchu. Biegli wzdłuż pociągu, potem skoczyli na schodki kruszalni rudy i w drzwi. Zahaczyli o próg i padli na podłogę wewnątrz.

Pitt zobaczył stojącego nad nimi Giordino z automatem w dłoniach.

- Widywałem już, jak cię wyrzucano z podejrzanych barów - rzekł Giordino cierpko - ale pierwszy raz widzę, jak cię wyrzucili z jadącego pociągu.

- Niewielka strata - powiedział Pitt wstając. - Nie było w nim wagonu klubowego.

- A te strzały? Były wasze czy ich?

- Nasze.

- Goście w drodze?

- Jak rozszalałe szerszenie z poruszonego gniazda - odparł Pitt. - Mamy bardzo mało czasu na przygotowanie się do oblężenia.

- Będą musieli dobrze mierzyć, bo inaczej zniszczą swój helikopter.

- Postaramy się wykorzystać ten fakt.

Findley skończył wiązać razem strażnika i dwóch mechaników na środku podłogi.

- Gdzie mam ich ulokować?

- Niech leżą tam, gdzie są - odparł Pitt. Rozejrzał się szybko po rozległym wnętrzu budowli z urządzeniem do kruszenia rudy. - Al, weźcie z Findleyem co się tylko da z narzędzi i różnych gratów i przemieńcie tę maszynę w twierdzę. My z Rudim będziemy się starali odpierać ich jak najdłużej.

- Twierdza w twierdzy - powiedział Findley.

- Trzeba by było ze dwudziestu ludzi, żeby się skutecznie bronić w takiej wielkiej hali - wyjaśnił Pitt. - Chcąc odbić swój helikopter nietknięty, porywacze muszą wysadzić główne drzwi i zaatakować nas wszystkimi siłami. Wyeliminujemy ich się da strzelając przez okna, a potem wycofamy się do bębna kruszalni, który będzie naszą ostatnią linią obrony.

- Teraz rozumiem, co musiał czuć Davy Crockett w Alamo - jęknął Giordino.

Findley i Giordino zaczęli wznosić umocnienia, a Pitt i Gunn zajęli stanowiska przy oknach po przeciwnych rogach hali. Pierwsze promienie słońca padły na zbocza góry. Mrok ustąpił niemal całkowicie.

Pitta zaczął ogarniać niepokój. Mogli przeszkodzić otaczającym budynek Arabom w

ucieczce, lecz jeśli porywaczom, którzy znajdowali się na statku, uda się zbiec przed oddziałami Sił Specjalnych i wycofać się do kopalni, wówczas przewaga terrorystów stanie się przytłaczająca.

Patrzył posepnie przez okno, jak mały pociąg pędzi w swą ostatnią podróż nabierając z każdym obrotem kół większej prędkości. Komin buchał iskrami i włókł za sobą zdmuchiwany wiatrem w bok pióropusz dymu. Wagoniki turkotały i chwiały się na wąskim torze. W miarę jak pociąg coraz szybciej się oddalał, gwizd lokomotywy coraz bardziej przypominał żalosne zawodzenie jakiejś potępionej duszy.

W oczach Ammara widać było wyraźnie wstrząs i rozczarowanie, gdy zdał sobie sprawę, że czoło lodowca nie odpadnie. Obrócił się szybko do Ibna.

- Co się stało? - spytał głosem pełnym gniewu. - Powinna być cała seria wybuchów.

Twarz Ibna była jak z kamienia.

- Znasz mnie, Sulejmanie. Ja nie popełniam błędów. Ładunki powinny były wybuchnąć. To z pewnością ci komandosi, którzy opuścili się z lodowca na statek, znaleźli i rozbroili ładunki.

Ammar spojrział w niebo, podniósł do góry ręce i znów je opuścił.

- Allach wplata dziwne wzory w nasze życie - rzekł filozoficznie. Potem na jego usta wypłynął wolno uśmiech. - Lodowiec jeszcze może się oderwać. Kiedy wystartujemy helikopterem, przelecimy nad nim i rzucimy wiązki granatów w lodową szczelinę.

Ibn rozpogodził się.

- Allach nas nie opuści - rzekł nabożnie. - Nie zapominaj, że stoimy tu bezpiecznie na brzegu, podczas gdy biedni Meksykanie walczą na statku z Amerykanami.

- Tak, masz rację, stary przyjacielu, dzięki Allachowi usunęliśmy się w samą porę. - Ammar spojrział z pogardą na statek. - Wkrótce zobaczymy, czy azteccy bogowie kapitana Machado zdołają go uratować.

- To marny robak, ten... - Ibn nagle urwał i nastawił ucha, a potem spojrział na zbocze góry. - Ogień z broni maszynowej od strony kopalni.

Ammar wyteżył słuch, lecz usłyszał co innego - odległy gwizd lokomotywy. Był to coraz głośniejszy ciągły dźwięk. Potem zobaczył pióropusz dymu i ze zdumieniem ujrzał, jak pociąg mknie po zboczu góry kołysząc się gwałtownie na zakrętach. Wreszcie wypadł na długi prosty odcinek torów prowadzący do mola załadunkowego.

- Co ci durnie wyczyniają?! - wrzasnął.

Porywacze i ich zakładnicy nie byli przygotowani na ten zdumiewający widok pociągu pędzącego ku nim niczym jakiś rozwścieczony potwór. Stali jak skamieniali i patrzyli, nie dowierzając własnym oczom.

- Niech Allach ześle nam ratunek! - wykrzyknął chrapliwie jeden z terrorystów.

- Sam się ratuj! - warknął Ibn. On pierwszy oprzytomniał i zawołał, by wszyscy zeszli z torów. Powstało zamieszanie, zaczęli uciekać właśnie w chwili, kiedy wagony ciągnięte przez pozbawioną kontroli maszynę wpadły już na molo.

Drewniane słupy i deski mola zatrzęsły się pod nagłym impetem. Ostatni wagon wyskoczył z szyn, ale złączony z resztą pociągu włókł się za nim po wysmołowanych belkach

jak niesforny dzieciak ciągnięty za ucho. Spod stalowych kół tryskały na boki chmury iskier. Potem tory się skończyły i lokomotywa poszybowała w dół.

Jak na zwolnionym filmie, pociąg zatoczył łuk w powietrzu i wpadł do fiordu. Kocioł cudem nie eksplodował, gdy jego rozgrzane ścianki zetknęły się z lodowatą wodą. Z ogromnym sykiem lokomotywa znikła pod wodą wytwarzając chmurę pary, po czym dał się słyszeć zgrzyt skręcanego metalu, kiedy wagony do przewozu rudy waliły się jeden na drugi.

Ammar i Ibn popędzili na koniec mola i stanęli bezradnie, patrząc na bańki powietrza i parę wydobywającą się na powierzchnię wody.

- Z okien kabiny zwisały ciała naszych ludzi - rzekł Ammar. - Widziałeś?

- Widziałem, Sulejmanie.

- Te strzały, które przed chwilą słyszałeś! - powiedział Ammar z wściekłością. - Nasi ludzie zostali zaatakowani w kopalni. Jeżeli przybędziemy im na pomoc, zanim helikopter zostanie zniszczony, będziemy mieli szansę uciec.

Szybko wydał jednemu z ludzi rozkaz, aby wziął jeńców na koniec pochodu, a sam ruszył torami kolejki na wprost biegnąc na czele długiego szeregu porywaczy posuwających się za nim gęsiego.

Ogarnęły go lęk i niepewność. Jeżeli helikopter został zniszczony, nie będzie można uciec, i gdzie się wtedy ukryć na tej jałowej wyspie? Amerykańskie Siły Specjalne wytropią ich wszystkich po kolei lub pozostawią na śmierć z zimna i głodu.

Ammar postanowił przeżyć choćby tylko po to, by zabić Yazida i odnaleźć tego drania, który wytropił go na wyspie Santa Inez, niwecząc jego plany.

Odgłosy walki nasiliły się i poniosły echem w dół zbocza. Ammar dyszał z wysiłku, lecz zacisnął zęby i przyspieszył kroku.

Kapitan Machado stał na mostku, kiedy usłyszał, a właściwie odczuł, stłumiony odgłos detonacji na lodowcu. Zesztywniał na chwilę nasłuchując, ale jedynym dźwiękiem było cykanie wielkiego ośmiodniowego zegara nad oknami mostka.

Potem nagle twarz mu zszarzała. Lodowiec, pomyślał, pewnie zaraz się oberwie.

Wpadł do pomieszczenia komunikacyjnego i zastał w nim przy dalekopisie jednego ze swych ludzi.

- Zdawało mi się, że słyszę wybuch - rzekł tamten podnosząc wzrok na kapitana.

- Widziałeś gdzieś radiooperatora albo przywódcę Egipcjan? - spytał Machado ogarnięty nagłym podejrzeniem.

- Nikogo.



- Żadnego z Arabów?

- Już od godziny. - Operator radaru na chwilę umilkł. - Nie widziałem żadnego z nich, odkąd wyszedłem z jadalni i objąłem służbę. Powinni pilnować więźniów i patrolować pokłady, ponieważ sami w swojej głupocie na to się zgodzili.

Machado patrzył w zamyśleniu na puste krzesło radiooperatora.

- Może wcale nie są tacy głupi.

Podszedł do okna przed kołem sterowym i wyjrzał przez wąskie rozcięcia w folii plastikowej tuż przed mostkiem. Było już dostatecznie jasno, by widzieć wyraźnie przód statku.

Wypatrzył kilka dużych dziur w plastiku. Za późno dostrzegł liny spuszczone z krawędzi lodowca. Za późno się odwrócił, żeby ogłosić alarm przez system komunikacyjny statku.

Zanim zdążył wydobyć z siebie głos, zastygł w bezruchu.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna.

Był cały ubrany na czarno. Dłonie i część twarzy widoczną spod kominiarki miał również przyczernione. Na jego szyi wisały noktowizyjne gogle. Nosił obszerną kuloodporną kamizelę z wieloma kieszeniami i uchwytami na granaty rozpryskowe i zaczepne, trzy mordercze noże oraz cały szereg innych urządzeń do zabijania.

Oczy Machado zwęziły się nagle.

- Kim jesteś? - spytał, dobrze wiedząc, że spogląda we własną śmierć.

Wypowiadając te słowa błyskawicznym ruchem wyszarpnął spod pachy dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny i strzelił.

Machado był dobry. Wyatt Earp, Doc Holiday i Bat Masterson byliby z niego dumni. Jego strzał trafił intruza w sam środek piersi.

Gdyby kamizelka kuloodporna była starego typu, sama siła uderzenia pocisku mogłaby złamać żebro lub zatrzymać akcję serca. Jednakże kamizelki Sił Specjalnych były najnowszym osiągnięciem w tej dziedzinie. Mogły zatrzymać nawet serię pocisków NATO 308 i tak rozłożyć siłę uderzenia, że pozostawiłoby najwyżej sińce.

Dillinger drgnął lekko od impetu kuli, zrobił krok w tył i jednocześnie pociągnął za spust swego Heckler-Kocha.

Machado także miał na sobie kamizelkę, ale starszy model. Seria Dillingera przebiła ją i przeszła pierś kapitana. Wygiął kręgosłup w łuk i zatoczył się w tył, padając na krzesło, a potem osunął się na pokład.

Meksykański strażnik uniósł ramiona w górę i krzyknął:

- Nie strzelaj! Jestem nie uzbrojony...

Krótką serią Dillingera skierowaną w krtań przecięła błaganie Meksykanina, rzucając go na kolumnę kompasu, na której zwiśł bezwładnie jak szmaciana kukła.

- Nie ruszać się, bo będę strzelał - ostrzegł poniewczasie Dillinger.

Sierżant Foster obszedł majora i spojrzał na terrorystę.

- On nie żyje, majorze.

- Ostrzegalem go - rzekł Dillinger niedbale, ładując nowy magazynek.

Foster nogą strącił ciało z kolumny kompasu. Z pochwy za kołnierzem martwego terrorysty wysunął się długi bagnet i stuknął o deski pokładu.

- Czy to była intuicja, majorze? - spytał Foster.

- Nigdy nie ufam człowiekowi, który mówi, że jest nie uzbrojony...

Nagle Dillinger urwał i zaczął nasłuchiwać. Obaj mężczyźni usłyszeli ten dźwięk równocześnie i spojrzeli na siebie zaskoczeni.

- Co to u licha może być? - spytał Foster.

- Gotów jestem przysiąc, że to gwizd parowozu, choć te maszyny wyszły z użycia trzydzieści lat przed moim urodzeniem.

- Brzmi tak, jakby zjeżdżał z góry od starej kopalni.

- Myślałem, że jest porzucona.

- Ludzie z NUMA mieli w niej czekać, póki nie odbijemy statku.

- Po co by mieli uruchamiać starą lokomotywę?

- Nie wiem. - Dillinger urwał i patrząc nieobecny wzrokiem powiedział nagle: - Chyba że... próbują nam coś zasygnalizować.

Detonacja na lodowcu przyłapała Hollisa i jego oddział w jadalni zaraz po dzikiej strzelaninie.

Oddział pletwonurków przedarł się przez plastikową folię i znalazł ciasne przejście między atrapami kontenerów. Weszli ostrożnie do pustego baru, do salonu przylegającego do jadalni i rozbiegli się kryjąc za kolumnami i meblami. Czterech ludzi wzięło na muszkę schody oraz dwie windy, reszta zaś zaskoczyła w jadalni całą grupę Machado.

Wszyscy terroryści zginęli od razu, oprócz jednego. Stał w miejscu, gdzie go trafiono, z nienawiścią i zdumieniem w oczach. Potem osunął się na gruby dywan, barwiąc go szkarłatem krwi.

Hollis i jego ludzie ruszyli dalej, przestępując ciała ofiar. Na statku dało się słyszeć mrozące krew w żyłach skrzypienie lodowca i podzwanianie kilku nie naruszonych butelek oraz kieliszków za ozdobnym barem.

Żołnierze Specjalnych Sił Operacyjnych spojrzeli niespokojnie na siebie, a potem na swego pułkownika.

- Oddział majora Dillingera pewnie przeoczył ten ładunek - stwierdził Hollis obojętnie.

- Nie mają tu zakładników - rzekł jeden z jego ludzi. - Wszyscy wyglądają na terrorystów.

Hollis przyjrzał się twarzom kilku trupów. Żaden z tych ludzi nie wyglądał na Araba. To pewnie załoga „General Bravo”, pomyślał.

Odwrócił się, wyjął z kieszeni kopię planu statku i przyglądał mu się, mówiąc jednocześnie do mikrofonu nadajnika radiowego:

- Proszę przedstawić sytuację, majorze.

- Jak dotąd napotkałem słaby opór - odparł Dillinger. - Tylko czterech porywaczy. Mostek jest oczyszczony i uwolniliśmy ponad stu członków załogi, którzy byli zamknięci w luku bagażowym. Przykro mi, że nie znaleźliśmy wszystkich ładunków.

- Dobra robota. Rozbroiliście ich dość, żeby zapobiec oderwaniu się ściany lodu. Idę teraz do apartamentów, aby uwolnić pasażerów. Każcie załodze maszynowni udać się na stanowiska i uruchomić maszyny. Lepiej nie pozostawać ani chwili dłużej pod tym lodowym urwiskiem. I uważajcie. Zlikwidowaliśmy szesnastu porywaczy, samych Latynosów. Na statku musi być więc jeszcze około dwudziestu Arabów.

- Chyba są na brzegu, pułkowniku.

- Z czego to wnosisz?

- Przed paroma minutami usłyszałem gwizd lokomotywy. Kazałem jednemu z ludzi wdrapać się na maszt radaru i zobaczyć, co się dzieje. Okazało się, że z góry, od strony kopalni, pędzi pociąg - zupełnie jak kula do kręgli. Potem zjechał z pobliskiego mola, na którym tłoczyło się ze dwa tuziny terrorystów.

- Dajcie sobie z nimi spokój. Najpierw uwolnimy zakładników, a kiedy zabezpieczymy statek, zajmiemy się tymi na brzegu.

- Tak jest.

Hollis ruszył ze swymi ludźmi po szerokich schodach i dalej korytarzem oddzielającym apartamenty. Nagle zastygli wszyscy nieruchomo, gdy jedna z wind zahaczała i wyjechała spod pokładu. Drzwi się otworzyły i wyszedł z niej nieświadom ataku porywacz. Otworzył usta i był to jedyny ruch, jaki zdążył wykonać, nim został zdzielony po głowie tłumikiem automatu.

Przed apartamentami nie było żadnych straży. Żołnierze znaleźli w nich egipskich i

meksykańskich doradców oraz wszystkich ludzi z otoczenia obu prezydentów, lecz nigdzie nie było ich samych.

Hollis otworzył kopniakiem ostatnie drzwi w korytarzu, wpadł do środka i stanął oko w oko z pięcioma mężczyznami w marynarskich mundurach. Jeden z nich wystąpił i spojrzał na Hollisa z pogardą.

- Mógł się pan posłużyć klamką - rzekł przyglądając się mu podejrzliwie.

- Pan kapitan Oliver Collins, jak przypuszczam?

- Tak, Collins. Jakby pan nie wiedział...

- Przepraszam za te drzwi. Jestem pułkownik Morton Hollis, ze Specjalnych Sił Operacyjnych.

- Jezu! Amerykanin! - wyjąkał pierwszy oficer Finney.

Twarz Collinsa rozjaśniła się i skoczył uścisnąć dłoń Hollisa.

- Proszę mi wybaczyć, pułkowniku. Myślałem, że to jeden z nich. Bardzo się cieszymy.

- Ilu jest porywaczy? - spytał Hollis.

- Po dołączeniu Meksykan z pokładu „General Bravo” chyba około czterdziestu.

- Naliczyliśmy ich tylko dwudziestu.

Na twarzy Collinsa widać było ślady ostatnich przeżyć. Był wymizerowany, lecz trzymał się prosto.

- Uwolniliście dwóch prezydentów, senatora Pitta i panią Halę Kamil?

- Jeszcze ich nie znaleźliśmy.

Collins wyminął go i wypadł za drzwi wołając:

- Trzymali ich tu, po drugiej stronie korytarza!

Hollis zdziwił się.

- Tam nie ma nikogo - stwierdził. - Już przeszukaliśmy cały ten pokład.

Kapitan wbiegł do pustego apartamentu, ale zobaczył tylko zmiętą pościel, lekki bałagan pozostawiany zwykle przez pasażerów. Był wyraźnie oszołomiony i zdezorientowany.

- Boże, oni ich zabrali.

Hollis przemówił do mikrofonu:

- Majorze Dillinger...

Dillinger odpowiedział za niecałe pięć sekund:

- Słucham, pułkowniku.

- Czy natknęliście się na przeciwnika?

- Nie. Zlikwidowaliśmy już chyba wszystkich.

- Brakuje co najmniej dwudziestu, plus czworo ważnych pasażerów. Natrafiliście na ich ślad?

- Niestety nie.

- Dobra, kończcie zabezpieczanie statku i niech załoga wyprowadzi go z fiordu.

- Nie da rady - odparł Dillinger ponuro.

- Jakież problemy?

- Ci dranie porozbijali wszystko w maszynowni. Trzeba tygodnia, żeby uruchomić statek.

- Nie ma w ogóle mocy?

- Przykro mi, pułkowniku. Jesteśmy przykuci do miejsca. Te silniki nigdzie nas nie dowiozą. Porywacze zniszczyli też generatory, włącznie z pomocniczymi.

- Będziemy więc musieli zabrać ze statku załogę i pasażerów w łodziach ratunkowych, używając ręcznych wind.

- Nic z tego, pułkowniku. Mamy do czynienia z prawdziwymi sadystami. Zniszczyli również szalupy ratunkowe. Powybijali dziury w dnach.

Temu ponuremu raportowi Dillingera towarzyszył dobywający się z lodowca głęboki pomruk, przechodzący przez statek jak odgłosy bębna. Tym razem nie czuło się żadnych wibracji, tylko ten pomruk, który wkrótce przeszedł w grzmot. Trwał prawie minutę, nim w końcu osłabł i ucichł.

Pułkownik i kapitan byli dzielnymi ludźmi - co do tego nie było wątpliwości - lecz obaj wyczytali lęk w swoich oczach.

- Ściana lodu zaraz się oderwie - rzekł Collins pośpiesznie. - Jedyne nasze ratunek to odcięcie kotwicy. Może wtedy odpływ wyniesie nas w głąb fiordu.

- Odpływ będzie dopiero za osiem godzin - powiedział Hollis.

- Głosi pan same radosne wieści, pułkowniku.

- Nie wygląda to zachęcająco, prawda?

- Nie wygląda - przyznał Collins. - Czy tylko tyle ma pan do powiedzenia? Na „Lady Flamborough” jest ponad dwustu ludzi. Trzeba ich natychmiast ewakuować.

- Mam machnąć różdżką czarnoksiężką, by lodowiec się odsunął? - spytał Hollis. - Mogę zabrać kilka osób gumowymi pontonami i wezwać helikoptery, aby wywiozły resztę. Ale to zajmie nam dobrą godzinę.

- Proponuję więc - w głosie Collinsa zabrzmiało zniecierpliwienie - aby pan wziął się do tego, póki jesteśmy jeszcze żywi... - Urwał, ponieważ Hollis nagle uniósł rękę, nakazując

mu milczenie.

Oczy kapitana otworzyły się szeroko ze zdumienia, kiedy usłyszał nagle w słuchawce zwracający się do niego obcy głos:

- Pułkownik Hollis, czy jestem na pańskiej częstotliwości? Przechodzę na nasłuch.

- Kto u diabła mówi? - warknął Hollis.

- Kapitan Frank Stewart ze statku „Sounder” w służbie NUMA, do usług. Czy mogę gdzieś pana podwieźć?

- Stewart! - wybuchnął Hollis. - Gdzie pan jest?

- Gdyby pan mógł przeniknąć wzrokiem te jakieś szmaty zwisające z waszej nadbudówki, zobaczyłby mnie pan płynącego fiordem pół kilometra od waszej prawej burty.

Hollis odetchnął z ulgą i kiwnął na Collinsa.

- Zbliża się do nas statek. Są jakieś instrukcje?

Collins wytrzeszczył oczy, oniemiały ze zdumienia. Potem wybełkotał:

- Wielki Boże, tak! Niechże nas weźmie na hol.

Pracując gorączkowo, załoga Collinsa zwolniła łańcuch obu kotwic i czekała z przygotowanymi linami holowniczymi.

Dając istny popis sztuki marynarskiej, Stewart przysunął rufę „Soundera” pod sam dziób „Lady Flamborough”. Ze statku pasażerskiego zrzucano dwie grube liny holownicze, które natychmiast zostały zamocowane na pachołkach „Soundera”.

Stewart wydał polecenie płynięcia powoli naprzód, póki liny się nie napną. Wówczas zaczął zwiększać szybkość aż do „cała naprzód”, wciąż patrząc przez ramię to na lodowiec, to na statek pasażerski. Dwie cykloidalne śruby „Soundera”, przednia i tylna, młóciły wodę, obracane całą mocą ogromnego dieslowskiego silnika.

„Sounder” był o połowę mniejszy pod względem tonażu od „Lady Flamborough” i wcale nie przeznaczony do funkcji holowniczych, lecz parł dzielnie do przodu, wypuszczając z komina kłęby czarnego dymu.

Początkowo nic się nie działo, a potem wolno, niemal niedostrzegalnie, u dziobu „Soundera” ukazało się troszkę piany. Zaczął wolniutko sunąć naprzód, wywlekając mozolnie oporny statek pasażerski z cienia lodowca.

Mimo niebezpieczeństwa pasażerowie, załoga i żołnierze Sił Specjalnych zerwali plastikową folię i stali na pokładach obserwując wysiłki „Soundera”. Dziesięć metrów, potem dwadzieścia, sto... Przestrzeń pomiędzy statkiem a lodowcem poszerzała się z dręczącą powolnością.

Wreszcie „Lady Flamborough” opuściła strefę zagrożenia. Wszyscy na obu statkach wznieśli radosny okrzyk, który rozniósł się echem po całym fiordzie.

Rozległ się głośny huk, który przeszedł w głuche dudnienie. Oczom patrzących powietrze wydało się naelektryzowane. Potem czoło lodowca oderwało się, nachyliło w stronę fiordu i runęło, niczym ogromny tankowiec wodowany bokiem. Woda zawrzała i utworzyła trzymetrową falę, która pomknęła przez fiord, unosząc oba statki jak korki, zanim się wydostała na otwarte morze.

Monstrualna, nowo narodzona góra lodowa osiadła w głęboko wyrzeźbionym kanale fiordu, lśniąc w porannym słońcu jak wielkie pole pomarańczowych diamentów. Potem ze zbocza góry stoczył się grzmot i dotarł do uszu oniemiałych widzów, którzy nie mogli zrozumieć, jak to się stało, że żyją.

Egipcjanie nie mieli pojęcia o sile i liczebności przeciwnika, który ostrzelał ich w stołówce w czasie przejazdu pociągu. Pogasili światła i strzelali we wczesnoranne cienie, póki nie zdali sobie sprawy, że cienie się nie ostrzelują.

Na nie utwardzonych drogach między drewnianymi budynkami zapanowała dziwna cisza. Przez kilka minut porywacze nawet nie próbowali wychodzić ze stołówki.

Potem nagle kilku z nich - dwóch od frontu, a czterech od tyłu - wypadło z drzwi i pędząc na złamanie karku zajęło z góry zaplanowane pozycje. Potem wszczęli ogień osłaniając resztę towarzyszy, którzy wybiegli za nimi.

Przywódca, wysoki mężczyzna w czarnym turbanie, kierował ich ruchami za pomocą gwizdka.

Po nieudanym początku egipscy terroryści okazali się - jak się tego właśnie obawiał Pitt - doskonale wyszkolonymi, doświadczonymi i odważnymi przeciwnikami. Mężczyzna w czarnym turbanie znał się na rzeczy i kierował swoimi ludźmi znakomicie.

Przeszukiwali budynek po budynku, posuwając się półkolem ku kruszalni rudy. Nie atakowali na ślepo. Wszystkie działania były zręczne i celowe.

Przywódca krzyknął coś po arabsku. Gdy nie usłyszał odpowiedzi, inny terrorysta powtórzył te same słowa z innego miejsca. Wzywają straż i mechaników znajdujących się w kruszalni, pomyślał Pitt.

Byli teraz zbyt blisko, aby Pitt mógł ryzykować ukazanie się w oknie. Zdjął kombinezon i kominiarkę terrorysty, rzucił je na podłogę, a potem przeszukał kieszenie swojej kurtki narciarskiej i wyjął małe lusterko na cienkim teleskopowym ramieniu. Przełożył lusterko przez parapet i wyciągnął ramię, obracając nim jak peryskopem.

Znalazł cel, którego szukał. Był w dziewięćdziesięciu procentach ukryty, lecz mimo wszystko na tyle widoczny, by zdecydować się na strzał.

Pitt przesunął dźwigenkę z ognia ciągłego na ogień pojedynczy. Potem poderwał się, wymierzył i pociągnął spust.

Stary thompson plunął ogniem. Czarny Turban zrobił trzy kroki w przód z wyrazem zdziwienia na twarzy, potem zwiotczał, pochylił się do przodu i padł.

Pitt przywarł do ziemi, odłożył automat i zajrzał znów w lusterko. Terroryści zniknęli. Wszyscy co do jednego pochowali się za budynki lub powpełzali za rdzewiejące urządzenia kopalniane. Pitt wiedział, że nie zrezygnowali z ataku. Wciąż tam byli, nadal niebezpieczni, oczekując na rozkazy zastępcy dowódcy.

Teraz akcję przejął Gunn i władował serię dziesięciu pocisków w cienkie drewniane



drzwi szopy po drugiej stronie uliczki. Drzwi wolno otworzyły się, pchnięte ciałem terrorysty, który okręcił się i upadł.

Terrorysty nadal nie odpowiadali ogniem. Nie są głupi, myślał Pitt. Zdali sobie sprawę, że nie stoją wobec przeważających sił przeciwnika, lecz tylko kilku ludzi, więc wolno przegrupowywali się i obmyślali atak.

Wiedzieli, że ich nieznani napastnicy mają w swoim ręku helikopter i że są umocnieni w kruszalni.

Pitt przebiegł schylony na drugą stronę hali i przykucnął koło Gunna.

- Jak to wygląda po twojej stronie?

- Spokojnie. Wcale się nie spieszą. Nie chcą uszkodzić helikoptera.

- Myślę, że wykonają pozorowany atak na frontowe drzwi, a potem spróbują się wedrzeć przez drzwi kantoru.

Gunn kiwnął głową.

- To brzmi logicznie. Czas znaleźć lepszą osłonę, z dala od okien. Gdzie mam zająć stanowisko?

Pitt spojrzał na galeryjki w górze. Wskazał rząd małych światełek okalających wieżę windy.

- Wdrap się tam i pilnuj. Krzycz, kiedy tylko przypuszczą atak. Powitaj ich serią, gdy wpadną przez frontowe drzwi. Potem wracaj szybko tutaj. Nie będą mieli żadnych skrupułów, żeby strzelać nad helikopterem.

- Dobra, idę.

Pitt przebiegł do drzwi kantoru, zatrzymał się w progu, spytał Giordina i Findleya:

- Jak wam idzie?

Giordino przerwał przesypywanie rudy, z której robili barykadę.

- Fort „Giordino” będzie ukończony o czasie.

Findley przestał kopać i spojrzał na niego.

- F jest przed G, to jest Fort „Findley”.

Giordino spojrzał ponuro na kolegę zabierając się z powrotem do pracy.

- Fort „Findley”, jeśli przegramy, „Giordino” - jeśli zwyciężymy.

Pitt chciał im coś powiedzieć, wyrazić swoją wdzięczność, że chcą ryzykować życie, aby powstrzymać tamtych bandytów, gdy mogliby po prostu prysnąć w zarośla i przesiedzieć w nich bezpiecznie, póki nie przybędzie Hollis ze swoim oddziałem. Lecz tacy ludzie jak oni nie potrzebowali słów pochwały lub zachęty. Zostaną i będą walczyli do końca. Modlił się tylko, by żaden z nich nie zginął niepotrzebnie.

- Będziecie się o to kłócić później - rzekł. - Przygotujcie teraz komitet powitalny na wypadek, gdyby przedarli się poza mnie.

Odwrócił się i wszedł do wilgotnego, zatęchłego wnętrza kantoru. Sprawdził swojego thompsona i odłożył go na bok. Zbudował szybko barykadę z dwóch przewróconych biurka, blaszanej szafy segregatora i ciężkiego żelaznego pieca, po czym położył się na podłodze nasłuchując.

Nie czekał długo. W minutę później sprężył się cały, gdy wydało mu się, że słyszy słabutki chrzęst żwiru na zewnątrz. Chrzęst ustał, a potem rozległ się znowu, cichy, ale wyraźny. Uniósł thompsona i oparł lufę o segregator.

Ostrzegawczy krzyk Gunna przyszedł za późno, bo nagle przez okno nad drzwiami wpadł jakiś przedmiot i potoczył się po podłodze. Za chwilę wpadł drugi. Pitt przywarł do podłogi i usiłował wcisnąć się w stalową szafę, przeklinając swój brak wyobraźni.

Oba granaty wybuchły z ogłuszającym hukiem. W kantorze zakotłowało się od szczątków mebli i strzępów pozólkłych papierów. Zewnętrzna ściana zawaliła się, a sufit zrobił się wklęsły.

Pitt był oszołomiony ogłuszającym hukiem podwójnego wybuchu. Nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko eksplodujących granatów.

Główną siłę eksplozji wziął na siebie żelazny piec, mimo to jednak zachował pierwotny kształt, choć jego zaokrąglone boki były podziurawione jak sito. Szafa wygięła się i skręciła, biurka potwornie okaleczyły, ale jedynymi ranami, jakich Pitt zdołał dopatrzeć się u siebie, było cienkie, lecz głębokie cięcie na lewym udzie i pięciocentymetrowej długości draśnięcie na policzku.

Kantor znikł, pozostało po nim tylko dymiące rumowisko i Pitt przez chwilę myślał z lękiem, że zostanie uwięziony przez płomienie. Lecz tylko przez chwilę - stare przesączone deszczem drewno tliło się w kilku miejscach, nie buchnęło jednak ogniem.

Świadomym wysiłkiem woli Pitt przestawił thompsona na ogień ciągły i wymierzył w resztki rozbitych drzwi. Krew ciekła mu z twarzy na tors. Nawet nie drgnął, kiedy nad jego głową poszły serie z automatów czterech ludzi, którzy wskoczyli przez wyrwy w ścianie.

Nie czuł wyrzutów sumienia puszczając długą serię z thompsona, która powaliła napastników jak tornado drzewa. Broń wypadła im z rąk i bijąc powietrze ramionami runęli, okręcając się, na rumowisko.

Wpadli jeszcze trzej terroryści i również legli pod ogniem Pitta - z wyjątkiem jednego, który zareagował z niewiarygodną szybkością i rzucił się za dymiącą, poszarpaną odłamkami granatów skórzaną kanapę.

Nad głową Pitta huknęło jak z armaty, gdy Findley przyklęknął za nim i wygarnął trzy razy ze swej strzelby w podstawę kanapy. W powietrze poleciały strzępy skóry, juty i drzazgi. Zapanowała chwila ciszy, a potem ręka terrorysty opadła bezwładnie za rzeźbioną nóżkę.

Wśród dymu i oparów prochu pojawił się Giordino, chwycił Pitta pod pachy i wywlókł do hali za wagonik z rudą.

- Czy ty zawsze musisz narobić bałaganu? - zapytał z uśmiechem. Potem na jego twarzy ukazało się zatroskanie. - Ciężko cię zranili?

Pitt otarł krew z policzka wierzchem dłoni i spojrzał na szkarłatną plamę poszerzającą się na nogawce.

- Cholera! Takie dobre spodnie... No i zniszczyły się. Jestem wściekły.

Findley ukląkł, przeciął nogawkę i zaczął mu bandażować ranę.

- Masz szczęście, że tylko tyle oberwałeś w tym wybuchu.

- Głupi byłem, nie pomyślałem o granatach - rzekł Pitt z goryczą. - Powinienem się domyślić.

- Nie ma sensu się obwiniać. - Giordino wzruszył ramionami. - To nie nasz zawód.

Pitt podniósł wzrok.

- Musimy jednak szybko zbystrzeć, jeśli chcemy jeszcze żyć, kiedy przybędą chłopcy ze Specjalnych. Sił Operacyjnych.

- Terrorysty nie podejmą drugiego ataku z tamtej strony - powiedział Findley. - Wybuch rozwalił zewnętrzne schody. Będą się bali wystawić na cel, gramoląc się na trzymetrową kupę połamanego drewna. Teraz trzeba podpalić helikopter i wiać.

- Wieści są nie tylko dobre, ale i złe - powiedział Gunn schodząc z drabinki. - Chyba ze dwudziestu terrorystów pędzi torami kolejki, jakby im przypalano pięty. Będą tu za jakieś siedem, osiem minut.

Giordino spojrzał na Gunna podejrzliwie.

- Ilu...?

- Naliczyłem ich piętnastu i dalej przestałem.

- Tym lepszy powód, żeby stąd wiać - mruknął Findley.

- A Hollis i jego ludzie? - spytał Pitt.

Gunn potrząsnął głową ze znużeniem.

- Ani ich śladu. - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu, i spojrzał na Pitta. - Za posiłkami terrorystów podąża czwórka zakładników i dwóch strażników. Ledwie ich poznałem przez lornetkę. Jednym z nich jest twój ojciec. On i jakaś kobieta pomagają iść dwóm

pozostałym.

- Hala Kamil - rzekł Pitt z ulgą. - Dzięki Bogu, mój ojciec żyje.

- A dwaj pozostali? - zapytał Giordino.

- Najprawdopodobniej to prezydenci Hasan i De Lorenzo.

- No i nici z wcześniejszego wycofania się - powiedział Findley pośpiesznie, kończąc bandażowanie nogi Pitta.

- Oni tylko dlatego nie zabili senatora i innych, żeby zapewnić sobie bezpieczną ucieczkę - rzekł Pitt.

- I nie zawahają się mordować ich po kolei, póki im nie oddamy helikoptera - przewidywał Gunn.

Pitt kiwnął głową.

- Bez wątpienia, ale jeśli się poddamy, nie będzie żadnej gwarancji, że i tak ich nie zamordują. Już dwa razy próbowali zabić Halę, a z pewnością chcą zabić również Hasana.

- Może ogłoszą zawieszenie broni i będą negocjować?

Pitt spojrział na zegarek.

- Nie będą się długo targowali. Wiedzą, że czas ucieka. Ale my możemy zyskać kilka minut.

- Więc jaki jest plan? - spytał Giordino.

- Będziemy zwlekać i walczyć do ostatka. - Pitt spojrział na Gunna. - Czy zakładnicy są otoczeni?

- Nie. Zostali dobre dwieście metrów z tyłu, wloką się torami za główną grupą - odparł Gunn. - Strzeże ich tylko dwóch terrorystów. - Spojrział w zielone oczy Pitta i kiwnął głową, powoli domyślając się, o co mu chodzi. - Chcesz, żebym zlikwidował tych dwóch i chronił zakładników, póki nie przybędzie Hollis?

- Jesteś z nas najmniejszy i najszybszy, Rudi. Jeśli ktokolwiek potrafi wydostać się niepostrzeżenie z budynku i zejść od tyłu strażników, to jedynie ty.

Gunn uniósł ramiona w górę i opuścił.

- Jestem ci wdzięczny za zaufanie. Nie wiem tylko, czy potrafię się wywiązać z powierzonego mi zadania.

- Potrafisz.

- Wtedy do obrony fortu zostanie tylko was trzech.

- Będziemy musieli sobie poradzić. - Pitt wstał niezdarnie i podszedł kulejąc do stosu ubrań terrorystów. Cisnął je na podłogę. - Ubierz się w jeden z tych kombinezonów - rzekł do Gunna. - Będą myśleli, że jesteś jednym z nich.

Gunn stał wciąż w miejscu w rozterce - nie chciał opuszczać przyjaciół.

Giordino przyszedł mu w sukurs, kładąc swą olbrzymią dłoń na jego ramieniu i prowadząc do korytarza, który biegł pod podłogą hali, a potem dalej wokół całej ogromnej kruszalni.

- Możesz wyjść tędy - powiedział z uśmiechem. - Ale poczekaj, aż zaczniemy strzelać, żeby odwrócić ich uwagę.

Nim Gunn zdążył zaprotestować, znalazł się prawie pod podłogą. Spojrzał po raz ostatni na Pitta, tego niewiarygodnie wytrzymałego, niezniszczalnego Dirka Pitta. Dirk pomachał mu ręką. Spojrzał na Ala Giordino, spokojnego i zrównoważonego, z zatroskaniem na twarzy, maskowanym wyrazem niefrasobliwości. I wreszcie na Findleya, który uśmiechnął się promiennie i uniósł w górę oba kciuki. Wszyscy oni byli częścią jego samego, odchodził więc z ciężkim sercem, nie wiedząc, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

- Bądźcie tu, gdy wrócę, chłopaki - rzekł. - Słyszycie?

Potem zniknął pod podłogą.

Hollis chodził tam i z powrotem obok naprędcy skleconego nad basenem kąpielowym lądowiska dla helikopterów. Na lądowisku usiadł „Gołąb Transportowy”, by zabrać grupkę oczekujących żołnierzy.

Hollis zatrzymał się usłyszawszy znowu odgłos strzałów od strony kopalni. Na jego twarzy ukazało się zatroskanie.

- Każ im wsiadać i niech lecą! - krzyknął zniecierpliwiony do Dillingera. - Ktoś tam jeszcze żyje i walczy za nas.

- Ta kopalnia to pewnie punkt odwrotu porwaczy - powiedział kapitan Collins stojący obok Hollisa.

- Przeze mnie Dirk Pitt i jego przyjaciele wdepnęli prosto w zasadzkę - warknął Hollis.

- Jest jakiś sposób, żeby dotrzeć tam w porę? Ocalić ich i zakładników? - spytał Collins.

Hollis potrząsnął rozpaczliwie głową.

- Nie mamy na to najmniejszej szansy.

Rudi Gunn ucieszył się, gdy nagle spadł ulewny deszcz. Chronił go przed terrorystami podczas czołgania od kruszalni rudy pod rzędem pustych wagoników. Znalazłszy się poza budynkami, zszedł paręset metrów w dół zbocza, a potem skręcił w bok.

Znalazł szyny kolejki wąskotorowej i zaczął cicho iść po podkładach w górę. Widoczność była bardzo słaba, ale po kilku minutach nagle zastygł bez ruchu, ujrawszy w strugach deszczu zarysy jakichś postaci. Cztery z nich siedziały, dwie stały.

Gunn zakładał, że jeńcy odpoczywają, a ich strażnicy stoją. Nie mógł jednakże najpierw strzelać, a dopiero potem sprawdzić, czy jego założenia były słuszne. Mógł jedynie zdać się na swoje przebranie, na to, że terroryści wezmą go za swego i pozwolą zbliżyć się tak, by zdołał odróżnić swoich od wrogów.

Wadą tego planu było, że znał zaledwie dwa czy trzy słowa arabskie. Zaczerpnął głęboko tchu w płuca i ruszył naprzód. Powiedział:

- *Salaam* - po czym powtórzył to słowo jeszcze parę razy spokojnym, opanowanym głosem.

Widział teraz wyraźniej dwie stojące postacie i dostrzegł, że trzymają w rękach automaty z lufami skierowanymi w jego stronę.

Jedna z nich odpowiedziała mu słowami, których nie rozumiał. Miał nadzieję, że był to arabski odpowiednik pytania: „Stój, kto idzie?”

- Mahomet - wymamrotał licząc, że imię proroka da mu wolną drogę. Trzymał swój automat niedbale przewieszony przez pierś, z lufą skierowaną w bok.

Serce Gunna uspokoiło się nieco, gdy dwaj terroryści opuścili lufy automatów i ponownie skierowali uwagę na zakładników. Podszedł, stanął obok nich tak, aby zakładnicy nie znaleźli się na linii ognia.

Potem, nie odrywając wzroku od tych nieszczęśników siedzących na podkładach szyn i nawet nie patrząc na dwóch strażników, nacisnął spust.

Ammar i jego ludzie byli na skraju całkowitego wyczerpania, kiedy dotarli do kopalni. Ich ubrania przesiąkły w nieustającym deszczu, stały się ciężkie. Przeleźli przez hałdę odpadów i z ulgą weszli do szopy, w której niegdyś przechowywano części zapasowe maszyn górniczych.

Przywódca terrorystów padł na drewnianą ławę, opuścił głowę na pierś i dyszał ciężko. Podniósł wzrok, kiedy do szopy wszedł Ibn z jakimś człowiekiem.

- To jest Mustafa Osman - rzekł Ibn. - Mówi, że grupa zbrojnych komandosów zabiła ich dowódcę i zabarykadowała się w kruszalni rudy z naszym helikopterem.

Ammar gniewnie wykrzywił usta.

- Jak mogliście do tego dopuścić?

W czarnych oczach Mustafy pojawił się lęk.

- Oni nas... zaskoczyli - wyjąkał. - Musieli przyjść z góry. Obezwładnili strażę, porwali pociąg i ostrzelali naszą kwaterę. Gdy przeszliśmy do kontrataku, ostrzelali nas z budynku kruszalni.

- Straty? - spytał zimno Ammar.

- Zostało nas siedmiu.

Było gorzej, niż Ammar przypuszczał.

- Ilu ich jest?

- Dwudziestu, może trzydziestu.

- I oblegacie ich w siedmiu? - warknął z szyderstwem w głosie Ammar. - Ilu ich jest?

Tym razem nie kłam, bo Ibn poderżnie ci gardło.

Mustafa odwrócił wzrok. Zmartwił ze strachu.

- Nie wiadomo - wymamrotał. - Czterech, może więcej.

- Tego wszystkiego dokonało czterech ludzi? - rzekł zdumiony Ammar. Wrzał z gniewu, lecz był zbyt zdyscyplinowany, aby dać mu sobą owoładnąć. - A co z helikopterem? Jest zniszczony?

Mustafa trochę się rozpogodził.

- Nie. Uważaliśmy, żeby nie strzelać w tę stronę hali, gdzie on stoi. Na honor mego ojca, nie dosięgła go żadna kula.

- Jeden Allah wie, czy komandosi go nie uszkodzili - powiedział Ibn.

- Wkrótce wszyscy się z nim spotkamy, jeśli nie odzyskamy helikoptera w dobrym stanie - rzekł Ammar cicho. - Jedyne sposoby, żeby ich pokonać, to uderzyć ze wszystkich stron naraz i zgnieść samą przewagą liczebną.

- Może posłużymy się zakładnikami, żeby wymusić drogę ucieczki? - podsunął Ibn.

Przywódca kiwnął głową.

- Może. Amerykanie łatwo ulegają groźbom śmierci. Porozmawiam z ich dowódcą, a ty przygotuj ludzi do ataku.

- Uważaj na siebie, Sulejmanie.

- Bądź gotów do ataku, kiedy zdejmę maskę.

Ibn skłonił się lekko i natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

Ammar zerwał postrzępioną zasłonę z okna. Tkanina była niegdyś biała, lecz teraz spłowiła i stała się brudnożółta. Będzie musiała jednak wystarczyć, pomyślał. Przywiązał ją do starej szczotki i wyszedł na zewnątrz.

Szedł wzdłuż domków górniczych, trzymając się poza zasięgiem widzenia z kruszalni, póki nie znalazł się naprzeciwko niej. Wówczas wysunął zza rogu firankę na szczotce i zaczął nią machać.

Żadna kula nie przeszła firanki, ale też nie stało się nic innego. Ammar krzyknął po angielsku:

- Chcemy rozmawiać!

Po kilku chwilach odpowiedział mu jakiś głos.

- No hablo ingles.

Ammar zdumiał się. Czyżby to była chilijska służba bezpieczeństwa? Jest w takim razie bardziej skuteczna, niż sądził. Ammar mówił płynnie po angielsku, radził też sobie jakoś z francuskim, ale prawie nie znał hiszpańskiego. Wahanie jednak nie prowadziło do niczego. Musiał wiedzieć, kto stanął na drodze jego ucieczki.

Uniósł skleconą naprędce flagę i wolną rękę, po czym wyszedł na drogę przed kruszalnią rudy.

Wiedział, że pokój to po hiszpańsku *paz*. Wykrzyknął więc to słowo kilka razy. Wreszcie główne drzwi się otworzyły i wyszedł z nich kulejąc jakiś człowiek. Zatrzymał się kilka kroków przed Ammarem.

Nieznajomy był wysoki i miał intensywnie zielone oczy, które patrzyły bez drgnienia



powiek, ignorując kilkanaście luf mierzących w niego z różnych okien i drzwi. Oczy te były skierowane wyłącznie na Ammara. Miał długie faliste czarne włosy, opaloną na brąz skórę, lekko krzaczaste brwi i mocne usta skrzywione w uśmiechu - była to zdecydowanie męska, lecz niezbyt przystojna twarz.

Na policzku miał szramę, z której sączyła się krew, a udo obandażowane grubo pod rozciętą nogawką.

Obszerna wypchana kurtka narciarska mogła kryć szczupłość, lecz Ammar nie potrafił tego wyraźnie stwierdzić. Jedną dłoń miał odsłoniętą, druga, w rękawiczce, zwiisała bezwładnie w rękawie kurtki.

Wystarczyły trzy sekundy, by Ammar ocenił tego człowieka - trzy sekundy, by poznał, że ma przed sobą niebezpiecznego przeciwnika. Zaczął szukać w głowie kilku hiszpańskich słów, które znał. „Możemy porozmawiać?” Tak, to na początek wystarczy.

- *Podemos hablar?* - krzyknął.

Usta tamtego rozszerzyły się w uśmiechu.

- *Porque no?*

Ammar przetłumaczył to sobie jako: „Czemu nie?”

- *Hacer capitular usted?*

- Zakończmy te bzdury - rzekł nagle Pitt po angielsku. - Pana hiszpański jest gorszy od mojego. Odpowiedź na ostatnie pytanie brzmi: - Nie, nie poddamy się.

Ammar był zbyt dobrym profesjonalistą, aby się natychmiast nie otrząsnąć, dziwił go jednak fakt, że jego przeciwnik nosił strój narciarski, a nie mundur - przyszło mu do głowy, że ma przed sobą agenta CIA.

- Mogę zapytać o pańskie nazwisko?

- Dirk Pitt.

- Jestem Sulejman Aziz Ammar...

- Nie obchodzi mnie, kim pan jest - powiedział chłodno Pitt.

- Jak pan sobie życzy, panie Pitt - odparł Ammar spokojnie. Potem jego brew uniosła się leciutko. - Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z senatorem George'em Pittem?

- Nie obracam się w kręgach politycznych.

- Ale zna go pan. Widzę podobieństwo. Czy jest pan jego synem?

- Możemy przystąpić do rzeczy? Musiałem zostawić doskonałego szampana, żeby wyjść tutaj na ten deszcz.

Ammar zaśmiał się. To był niesamowity facet.

- Ma pan coś, co należy do mnie. Chciałbym to odzyskać.

- Mówi pan oczywiście o tym nie oznakowanym helikopterze.

- Właśnie.

- Czyja zguba, tego strata. Chcesz go, przyjacielu, to przyjdź i sobie weź.

Zniecierpliwiony Ammar zaciskał i otwierał pięści. Ta rozmowa wcale nie szła tak, jak przewidywał. Mówił jednak dalej jedwabistym głosem:

- Jeśli mi go pan nie odda, to może zginie kilku moich ludzi, ale na pewno zginie również pan i pański ojciec.

Pitt nawet nie mrugnął okiem.

- Zapomniał pan jeszcze o Hali Kamil i prezydentach Hasanie i De Lorenzo, zapomniał też o sobie. Nie ma powodu, aby i pan nie użył tutejszej ziemi - stwierdził.

Ammar patrzył na Pitta z wciąż rosnącym gniewem.

- Nie mogę uwierzyć w ten upór i głupotę. Co pan zyska przez dalszy rozlew krwi?

- To, że zniweczę plany takiego łotra jak ty - powiedział ostro Pitt. - Chcesz wojny, to ją wydaj. Ale nie skradaj się po cichu, mordując kobiety i dzieci, a także porywając zakładników, którzy nie mogą się bronić. Położę kres terrorowi. Nie jestem związany żadnym prawem, prócz mego własnego. Za każdego zamordowanego z naszych ludzi pochowamy pięciu twoich.

- Nie wyszedłem tutaj w deszcz, by dyskutować o polityce! - rzekł Ammar, z trudem opanowując gniew. - Powiedz mi, czy helikopter został zniszczony?

- Nawet nie draśnięty. Mogę również dodać, że jego załoga jest zdolna do lotu. Czy to cię uszczęśliwia?

- Zrobiłbyś mądrzej, gdybyś złożył broń i oddał mi helikopter i załogę.

Pitt wzruszył ramionami.

- Odpieprz się.

Ammar był zdumiony i zawiedziony, że nie udało mu się zastraszyć Pitta. Jego głos stał się teraz zimny i szorstki.

- Ilu masz ludzi? Czterech, pięciu? Mamy przewagę ośmiu do jednego.

Pitt wskazał ruchem głowy ciała leżące wokół kruszalni.

- Będziesz miał dużo do nadrobienia. Według mnie jest dziesięć zero na moją korzyść. - Potem, jakby po namyśle, rzekł: - Póki pamiętam... daję ci słowo, że nie uszkodzę helikoptera. Ale spróbuj tylko skrzywdzić któregoś z zakładników, a wysadzę go w powietrze. To jedyny układ, na jaki idę.

- Czy to jest twoje ostatnie słowo?

- Na razie tak.

W umyśle Ammara skryształizowała się pewna myśl. Nagle spadło nań olśnienie.

- To ty! - zawołał chrapliwie. - Ty przyprowadziłeś tu amerykańskie Siły Specjalne. Jak nas znalazłeś?

- To głównie sprawa szczęścia - powiedział skromnie Pitt. - Ale po znalezieniu wraka „General Bravo” i zgubionego bębna folii plastikowej wszystko stało się jasne.

Ammar stał chwilę w głębokim zdumieniu, potem otrząsnął się i rzekł:

- Jest pan niesprawiedliwy wobec siebie, panie Pitt. Przyznaję, że kojot podszedł lisa.

- Lisa? - powiedział Pitt. - Pan sobie pochlebia. Nie miał pan na myśli glisty?

Ammar spojrzał na Pitta przez zmrużone powieki.

- Sam cię zabiję, Pitt. Z rozkoszą będę patrzył, jak kule rozrywają twoje ciało. Co ty na to?

W oczach Pitta nie było wściekłości, na twarzy nie było nienawiści. Spojrzał na Ammara z rodzajem rozbawienia i niechęci, jakie się okazuje patrząc zza szyby w oczy kobrze na wężowej farmie.

- Mam cię gdzieś - powiedział odwracając się i idąc niedbale ku drzwiom kruszalni.

Ammar z wściekłością cisnął białą flagę na ziemię i ruszył w przeciwnym kierunku. Idąc wyjął spod kurtki dziewięciomilimetrowego półautomatycznego rugera P-85

Nagle okręcił się, zdarł z twarzy maskę i wykonał klasyczny przysiad z rugerem w obu dłoniach. Gdy tylko wycelował w sam środek pleców Pitta, nacisnął błyskawicznie sześć razy na spust.

Widział, jak kule rozrywają środek narciarskiej kurtki Pitta wierząc w niej poszarpane otwory, patrzył, jak to skoncentrowane uderzenie powala znieawidzonego wroga na ścianę kruszalni.

Czekał, aż Pitt osunie się na ziemię. Wiedział z całą pewnością, że jego wróg był martwy, nim jeszcze dotknął ziemi.

Pitt jednak wcale nie padł martwy. Obrócił się i Ammar ujrzał diabelski uśmiech na jego twarzy.

Terrorysta zrozumiał, że został oszukany. Zdał sobie sprawę, że Pitt spodziewał się zdradzieckiego ataku od tyłu i pod obszerną kurtkę osłonił plecy kuloodporną tarczą.

Wstrząśnięty ujrzał, że zwisająca bezwładnie ręka w rękawiczce była fałszywa. Stara kuglarska sztuczka. Prawdziwa ręka zmaterializowała się w rozpięciu kurtki narciarskiej i trzymała wielkiego colta automatycznego kaliber 11.43 mm.

Ammar ponownie wymierzył z rugera, lecz Pitt już strzelił.

Pierwszy strzał trafił Ammara w prawy bark i obrócił w bok. Drugi przebił mu policzek i strzaskał dolną szczękę. Trzeci trafił w przegub dłoni, którą Ammar podniósł do twarzy. Czwarty przeszył mu twarz na wylot.

Ammar osunął się na żwir i rozciągnął na wznak, nie zdając sobie sprawy ze strzelaniny, jaka się nad nim rozpętała, i nie wiedząc, że Pitt wskoczył w drzwi nawet nie draśnięty.

Uświadamiał sobie tylko niejasno, że Ibn wlecze go w bezpieczne miejsce za zbiornikiem wody. Krótkie serie ognia z kruszalni siekły ziemię wokół nich. Jego dłoń wolno przesunęła się po ramieniu Ibna, aż natrafiła na jego umięśniony bark. Przyciągnął przyjaciela bliżej.

- Nie widzę cię - wycharczał.

Ibn wyjął z torby u pasa duży opatrunek i delikatnie przyłożył do miejsca, gdzie kiedyś były oczy przyjaciela.

- Allah i ja będziemy twoimi oczami - rzekł.

Ammar zakaszłał i splunął krwią, która wlewała się ze strzaskanej szczęki do gardła.

- Chcę, żebyście porąbali tego szatana Pitta i zakładników na kawałki.

- Rozpoczęliśmy atak. Ich chwile są policzone.

- Jeżeli umrę... zabij Yazida.

- Nie umrzesz.

Ammar dostał nowego ataku kaszlu. Potem powiedział:

- Nieważne... Amerykanie zniszczą teraz helikopter. Musisz wydostać się z wyspy w jakiś inny sposób. Zo... zostaw mnie. To moja ostatnia prośba.

Ibn wziął Ammara na ręce i zaczął się z nim oddalać z pola bitwy.

- Nie upadaj na duchu, Sulejmanie - rzekł chrapliwym, lecz łagodnym głosem. - Wrócimy razem do Aleksandrii.

Ledwie Pitt zdążył wskoczyć w drzwi, wyrwał zza pleców dwie kamizelki kuloodporne. Jedną włożył sam, a drugą oddał Ałowi Giordino. Przez cienkie drewniane ściany sypał się na nich grad kul.

- Teraz i kurtkę mam zniszczoną - utyskiwał przyciśnięty całym ciałem do podłogi.

- Już byś nie żył, gdyby ci strzelił w pierś - odparł Giordino wciskając się w kamizelkę. - Skąd wiedziałeś, że będzie strzelał w plecy?

- Miał cuchnący oddech i podstępne oczy.

Findley zaczął biegać od okna do okna, rzucając granaty tak szybko, jak zdołał wyrwać zawlecзки.

- Wdarli się! - wrzasnął.

Giordino przetoczył się po podłodze i zaczął grzać ogniem ciągłym zza taczki pełnej rudy. Pitt zdążył chwycić thompsona w samą porę, aby powstrzymać dwóch terrorystów, którzy wgramolili się jakoś po rumowisku do kantoru.

Niewielka armia Ammara atakowała budynek ze wszystkich stron. Nie było żadnego sposobu, aby powstrzymać to dzikie natarcie. Terrorysty napierali zewsząd. Ostry trzask ich małokalibrowych AK-74 i głęboki huk thompsona Pitta przerywało gromkie dudnienie strzelby Findleya.

Giordino przypadł do maszyny kruszalniczej i założył ogień zaporowy, by Pitt i Findley mogli dotrzeć pod osłonę Fortu Myszki Miki. Terrorysty zdziwili się, że nikt z oblężonych nie kurczy się ze strachu i nie unosi rąk w geście kapitulacji. Znalazłszy się we wnętrzu budynku, spodziewali się przytłoczyć nie osłoniętego wroga swoją liczebnością. Tymczasem sami stali się dla nich odkrytym celem i dali się kosić kulami niczym skłębione stado bydła.

Pitt, Giordino i Findley zdziesiątkowali pierwszą falę napastników, lecz Arabowie byli wściekli, fanatyczni i szybko się uczyli. Gęsty ogień z automatów oraz wybuchy kilku granatów poprzedziły ich następny atak na ogromną halę.

Martwi padali na podłogę, a żywi kryli się za trupami kolegów. Było to przerażające widowisko - huczała broń, granaty wybuchały, słychać było krzyki i przekleństwa w dwóch językach należących do dwóch kultur, tak różnych od siebie jak dzień i noc. Budynek trząsał się od huku. Kule i szrapnele odbijały się od ścianek wielkiego bębna kruszalni, tryskając na wszystkie strony jak iskry z kotła płynnej stali. W powietrzu unosił się ostry zapach prochu.

W kilku miejscach wybuchł ogień, na który nikt nie zważał. Giordino rzucił granat, niszcząc tylny rotor śmigłowca. Arabowie, którzy w ten sposób utracili szansę ucieczki,

zaatakowali tym zapalczywiej.

Stary thompson Dirka nagle zamilkł. Pitt założył nowy bębnowy magazynek z pięćdziesięcioma nabojami - już ostatni. Działał z determinacją, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał. On, Giordino i Findley nie mieli zamiaru się poddać. Dawno już przekroczyli punkt, od którego nie ma powrotu. Trwali z ponurą zaciekłością, walcząc o własne istnienie, nieugięcie odpłacając wrogowi pięknym za nadobne. Trzy razy terroryści byli odpierani i trzy razy szli nieustraszenie w morderczy ogień. Ich bardzo przerzedzone siły przegrupowały się do ostatniego samobójczego ataku, zamykając coraz ciasniej krąg.

Amerykanie walczyli rozpaczliwie tylko o życie, podczas gdy arabscy muzułmanie pragnęli błogosławionej śmierci na polu bitwy, aby uzyskać zbawienie.

Oczy piekły Pitta od dymu, łzy płynęły mu po policzkach. Cała kruszalnia wibrowała. Rykoszetujące kule przypominały rozjuszony szerszenie. Cztery z nich rozdarły rękaw Pitta i lekko drasnęły mu ramię.

Arabowie rzucili się na oślep na zaimprovizowaną barykadę. Strzelanina wkrótce przeszła w walkę wręcz, kiedy dwie grupy zwały się, tworząc jedną kłębiącą się masę ciał.

Findley został trafiony w nie osłonięty bok dwiema kulami, trwał jednak na kolanach, wymachując strzelbą niczym kijem do baseballa.

Giordino, ranny pięciokrotnie, ciskał kawały rudy prawą ręką. Lewa, przeszyta kulą, zwisała bezwładnie.

Pitt wystrzelił ostatni nabój z thompsona, a kiedy nagle wyrósł przed nim Arab, trzasnął go automatem w twarz. Wyrwał zza pasa pistolet i strzelił w następną głowę, która ukazała się w kłębach dymu. Poczł piekący ból szyi i zrozumiał, że sam również został trafiony. Wystrzelił cały magazynek, lecz walczył dalej, rąbiąc ciężkim pistoletem jak maczugą. Zaczynał czuć smak klęski.

Rzeczywistość przestała istnieć. Walczył jak w koszmarze. Tuż obok wybuchł granat i ogłuszył go. Pchnięty podmuchem stracił równowagę i padł na wznak.

Uderzył głową w stalową rurę i w jego czaszce rozbłysła ognista kula. Koszmar ogarnął go i pochłonął.

Specjalne Siły Operacyjne wylądowały i przegrupowały się za hałdą wysiewków rudy, osłaniającą natarcie od strony zabudowań. Rozbiegli się w tyralierę i przypadli, czekając na rozkaz do ataku. Snajperzy zajęli pozycje wokół kopalni, zalegli na ziemi i obserwowali teren przez lunetę.

Hollis i Dillinger wczolgali się na grzbiet hałdy i ostrożnie wyjrżeli na drugą stronę.

Opuszczona kopalnia tworzyła niesamowitą scenerię, a deszcz i nagie zbocze góry jeszcze to wrażenie niesamowitości potęgowały. Niebo zaciągnęło się niskimi szarymi chmurami i ponure światło nadało rozpadającym się budynkom wygląd czegoś, co nie należy do żadnego świata.

Strzelanina ustała. Dwa stojące na skraju budynki płonęły, tocząc w niskie niebo kłęby dymu. Hollis naliczył co najmniej siedem ciał leżących na drodze przy kruszalni.

- Nie chcę wyrażać się banalnie - powiedział - ale to mi się nie podoba.

- Żadnego znaku życia - przyznał Dillinger, patrząc przez małą, lecz silną lornetkę.

Hollis przyjrzał się bacznie budynkom, po czym rzekł do mikrofonu:

- Dobra, chłopaki, ruszamy. Tylko ostrożnie...

- Chwileczkę, pułkowniku - zabrzmiał jakiś głos.

- Co jest? - warknął Hollis.

- Tu sierżant Baker, panie pułkowniku, na prawej flance. Widzę grupę pięciu ludzi podążającą torami kolejki.

- Uzbrojonych?

- Nie, panie pułkowniku. Idą z rękami do góry.

- Doskonale. Otoczcie ich. Sprawdźcie, czy to nie pułapka. Zaraz tam przyjdę z majorem.

Hollis i Dillinger przekradli się obok hałdy, odszukali tory i pobiegli po podkładach w dół, ku fiordowi. Przebiegłszy mniej więcej siedemdziesiąt metrów, zobaczyli w strugach deszczu kilka postaci.

Sierżant Baker podszedł i zameldował:

- Mamy zakładników i terrorystę, panie pułkowniku.

- Ocaliłeś zakładników? - wykrzyknął Hollis. - Wszystkich czworo?

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Baker. - Są bardzo zmęczeni, ale poza tym w niezłej formie.

- Świetna robota, sierżancie - rzekł Hollis ściskając mocno dłoń Bakera.

Obaj oficerowie zapamiętali twarze prezydentów i pani sekretarz generalnej

Narodów Zjednoczonych ze zdjęć oglądanych w czasie lotu z Wirginii. Senatora Pitta znali już wcześniej z wystąpień publicznych. Zbliżyli się teraz spieszenie i rozpoznawszy wszystkich zakładników odczuli wielką ulgę.

Uczucie ulgi przeszło w ogromne zdziwienie, kiedy pojmanym terrorystą okazał się Rudi Gunn.

Gdy Gunn przedstawił oficerów, senator Pitt podszedł i uściskał dłoń Hollisa.

- Bardzo się cieszymy z pańskiego przybycia, pułkowniku - powiedział z radością w głosie.

- Przykro mi, że tak późno - wymamrotał Hollis, wciąż jeszcze nieco oszołomiony rozwojem wypadków.

Hala, Hasan i De Lorenzo, wszyscy go uściskali. Potem przyszła kolej na Dillingera, który się zrobił czerwony jak burak.

- Możesz mi powiedzieć, co się tu dzieje? - spytał Hollis Rudiego.

Gunn z ponurą rozkoszą wytknął mu jego błędy:

- Wygląda na to, że przydzieliliście nam najgorszą część zadania, pułkowniku. Zastaliśmy w kopalni prawie dwudziestu terrorystów, a także helikopter, którym zamierzali opuścić tę wyspę. Nie uznał pan za słuszne objąć nas swoim systemem komunikacyjnym, więc Pitt chciał pana ostrzec, puszczając z góry pociąg.

Dillinger pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ten helikopter tłumaczy, czemu porywacze opuścili statek i zostawili Meksykan na łaskę losu.

- A pociąg miał ich przewieźć do kopalni - dodał Gunn.

- Gdzie są pozostali? - zapytał Hollis.

- Kiedy ostatni raz ich widziałem, zanim Pitt mnie wysłał, abym ocalił jego ojca i tych ludzi, byli obleżeni w budynku kruszalni.

- We czterech stawiliście czoło czterdziestu terrorystom? - spytał z niedowierzaniem Dillinger.

- Pitt i reszta powstrzymywali Arabów przed ucieczką, a także odwracali ich uwagę, abym mógł ocalić zakładników.

- Walczyli z ponad dziesięciokrotnie większymi siłami - stwierdził Hollis.

- Ale dawali sobie nieźle radę, kiedy ich opuszczałem - odparł Gunn.

Hollis i Dillinger spojrzeli po sobie.

- Zobaczymy, co się tam dzieje - rzekł Hollis.

Podszedł do nich senator Pitt.



- Pułkownik, Rudi mówił mi, że mój syn jest w kopalni. Chciałbym tam pójść z wami.

- Bardzo mi przykro, senatorze. Nie mogę na to zezwolić, póki ten teren nie będzie bezpieczny.

Gunn objął ramieniem ojca przyjaciela.

- Ja się tym zajmę, senatorze. Proszę się nie martwić o Dirka. On przeżyje nas wszystkich.

- Dziękuję ci, Rudi.

Hollis nie był wcale o tym przekonany.

- Pewnie wszyscy już nie żyją - mruknął cicho do Dillingera.

Dillinger kiwnął głową.

- Wobec tak wielkiej liczby doskonale wyszkolonych terrorystów nie mogli mieć żadnych szans.

Hollis dał znak i jego ludzie ruszyli jak zjawy przez teren kopalni.

Gdy zbliżali się do kruszalni, zaczęli wszędzie natykać się na trupy. Naliczyli trzynaście ciał, leżących jak szmaciane lalki na drodze i obok niej.

Budynek kruszalni był podziurawiony setkami kul i odłamków granatów. W oknach nie pozostała ani jedna szyba. Wszystkie drzwi były porozbijane na kawałki.

Hollis ostrożnie wszedł z pięcioma ludźmi przez dziury wybite granatami w ścianach, a Dillinger i jego oddział wtargnęli przez ogromny wyłom, który był kiedyś frontowym wejściem. Wszędzie w środku tliły się ognie, jeszcze nie połączone w jeden pożar całego budynku.

Ze dwa tuziny ciał leżały na podłodze, niektóre wsparte o ściany kruszalni. Helikopter stał zdumiewająco lśniący i niemal nie naruszony, z wyjątkiem zniszczonej części ogonowej.

Wśród tego poboju było trzech wciąż jeszcze żywych mężczyzn - trzech mężczyzn szerniałych w dymie, zakrwawionych i śmiertelnie zmęczonych. Hollis nie dowierzał własnym oczom. Jeden z nich leżał na podłodze z głową spoczywającą na kolanach towarzysza, który miał rękę na poplamionym krwią temblaku. Trzeci stał chwiejąc się na nogach, z krwią ciekącą z rany uda, karku, czubka głowy i policzka.

Dopiero z odległości kilku metrów Hollis rozpoznał tych zmalretowanych ludzi. Był całkowicie oszołomiony. Nie mógł zrozumieć, jak te żalosne strzępy ludzkie zdołały dochować wiary i pokonać tak przeważające siły wroga.

Żołnierze Specjalnych Sił Operacyjnych stali wokół, patrząc w niemym zdziwieniu.

Rudi Gunn uśmiechał się od ucha do ucha. Hollis i Dillinger milczeli.

Wówczas Pitt mimo bólu wyprostował się na całą swoją wysokość i rzekł:

- Dobrze, żeście się w końcu zjawili, chłopaki. Nie mieliśmy tu już nic do roboty.

## **CZEŚĆ IV**

# **RZYMSKI CYRK SAMA**

27 października, 1995

Waszyngton D.C.

Dale Nichols i Martin Brogan stali na schodach Białego Domu czekając na prezydenta, który właśnie wysiadł z helikoptera i szedł ku nim przez trawnik.

- Macie coś dla mnie? - spytał z wyczekiwaniem w głosie, ściskając im dłonie.

Nichols nie mógł opanować podniecenia.

- Przed chwilą otrzymaliśmy raport generała Dodge'a. Jego Specjalne Siły Operacyjne odbiły „Lady Flamborough” u wybrzeży południowego Chile. Senator Pitt, Hala Kamil oraz obaj prezydenci, De Lorenzo i Hasan, są cali i zdrowi.

Prezydent, zmęczony po całej serii długich konferencji z premierem Kanady w Ottawie, rozjaśnił się niczym latarnia uliczna.

- Dzięki Bogu. Bardzo dobra wiadomość. Były jakieś straty?

- Dwóch członków Specjalnych Sił Operacyjnych odniosło obrażenia, raczej lekkie, ale trzech ludzi z NUMA są ciężko ranni.

- Byli tam ludzie z NUMA?

- „Lady Flamborough” wytropił Dirk Pitt. To on i trzech jego towarzysze nie dopuścili do ucieczki porywaczy z zakładnikami.

- I w ten sposób ocalił własnego ojca.

- To na pewno głównie jego zasługa.

Prezydent zatarł dłonie.

- Już prawie południe, panowie. Uczcijmy tę radosną wieść butelką wina. Opowiecie mi wszystko ze szczegółami przy obiedzie.

W obiedzie wzięli również udział sekretarz stanu Douglas Oates, doradca prezydencki do spraw bezpieczeństwa narodowego Alan Mercier oraz Juliusz Schiller. Po deserze Mercier rozdał wszystkim kopie raportu generała Dodge'a.

Czytając raport prezydent bawił się widelcem. Potem podniósł wzrok. Na twarzy miał wyraz zdziwienia i triumfu zarazem.

- Topiltzin!

- Tkwi w tym po uszy - rzekł Brogan. - Dostarczył statek i załogę złożoną z meksykańskich terrorystów dla dokonania zamiany z „Lady Flamborough”.

- A więc spiskował wraz z bratem i też jest zamieszany w tę sprawę - powiedział prezydent z przekonaniem.

Nichols kiwnął głową.

- Wszystko na to wskazuje, lecz niełatwo będzie to udowodnić.

- Wiecie, kto zaplanował całą operację?

- Tak. Zidentyfikowaliśmy go - odparł Brogan. - To wyciąg z akt tego człowieka... - Urwał i wręczył prezydentowi drugą teczkę. - W czasie operacji porwania statku był znakomicie ucharakteryzowany na kapitana „Lady Flamborough”, a później nosił maskę. Dirk Pitt spotkał się z nim twarzą w twarz przed walką. Powiedział, że się nazywa Sulejman Aziz Ammar.

- Dziwne, że ten Ammar podał swoje nazwisko - rzekł w zadumie Schiller. - Może to pseudonim?

Brogan potrząsnął głową.

- Nazwisko jest prawdziwe. Mamy wyczerpujące dossier tego człowieka. Interpol też. Ammar musiał uznać, że Pitt nie wyjdzie z tego żywy, inaczej by się nie ujawnił.

Oczy prezydenta zwięzły się.

- Według tych danych ten człowiek jest podejrzany o bezpośredni lub pośredni udział w ponad pięćdziesięciu morderstwach dokonanych na wysokich urzędnikach państwowych. Czy to możliwe?

- Sulejman Aziz Ammar uchodzi za najlepszego w swym zawodzie.

- Fanatyczny terrorysta...

- Zawodowy zabójca - poprawił prezydenta Brogan - specjalizujący się w zabójstwach politycznych. Ma niezwykle zimną krew. Jest doskonały w charakteryzowaniu się i szczegółowym planowaniu. Połowa jego akcji była tak obmyślana, że uznano je za zwykłe wypadki. Jest muzułmaninem, lecz podejmował się zadań dla Francuzów, Niemców, a nawet dla Izraelczyków. Dostaje najwyższe stawki. Zdołał już zgromadzić znaczną fortunę.

- Czy go złapano?

- Nie, panie prezydencie - odparł Brogan. - Nie znaleziono go ani wśród martwych, ani rannych.

- Uciekł? - spytał prezydent ostro.

- Jeżeli jeszcze żyje, nie może ująć daleko - zapewnił go Brogan. - Pitt twierdzi, że wpakował w Ammara co najmniej trzy kule. Zarządzono już pościg. Nie może uciec z wyspy. Za kilka godzin powinni go znaleźć.

- Jeśli się go skłoni do mówienia, będzie to jedno z większych osiągnięć naszego wywiadu - powiedział Nichols.

- Generał Dodge już powiadomił dowódcę Sił Specjalnych, pułkownika Mortona

Hollisa, że ma za wszelką cenę pojmać Ammara żywego. Pułkownik sądzi jednak, iż w sytuacji bez wyjścia Ammar najprawdopodobniej popełni samobójstwo.

Nichols wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Hollis ma zapewne rację.

- Czy nikt inny spośród porywaczy nie ocalał? - spytał prezydent Brogana.

- Ośmiu, ale nie sądzę, by okazali się na coś przydatni. Są tylko najemnikami Ammara, a nie ludźmi ślepo oddanymi Yazidowi.

- Ich zeznania będą nam jednak potrzebne, by udowodnić, że Ammar pracował dla Yazida i Topiltzina - powiedział prezydent z przygnębieniem w głosie.

Schiller nie widział w tym nic przygnębiającego.

- Spójrzmy na to od jaśniejszej strony, panie prezydencie. Statek i zakładnicy wyszli bez szwanku. Prezydent Hasan wie dobrze, że Yazid pragnął go zgładzić i stał za tym porwaniem. Teraz będzie się chciał na nim zemścić.

Prezydent spojrział na Schillera, a potem przeniósł wzrok na innych.

- Czy wy, panowie, też to tak widzicie?

- Juliusz dobrze ocenił Hasana - powiedział Mercier. - Potrafi być wyjątkowo zawzięty.

Doug Oates również był tego samego zdania.

- Oceny Juliusza są jak najbardziej trafne. Hasan może nie zechce wywołać buntów i rewolucji przez zaareztowanie Yazida i postawienie go przed sądem za zdradę, z pewnością jednak przestanie się z nim teraz cackać. Pójdzie na wszystko, by zniszczyć jego wiarygodność, z wyjątkiem morderstwa.

- Ludzie zwrócą się przeciwko Yazidowi - przewidywał Brogan. - Umiarkowani fundamentaliści egipscy nie darują mu jego terrorystycznej działalności. Odwrócą się do niego plecami, a parlament udzieli prezydentowi Hasanowi swego poparcia. Według moich optymistycznych przewidywań również wojsko wyjdzie ze swojej wieży z kości słoniowej i potwierdzi swoją lojalność wobec Hasana.

Prezydent wypił ostatni łyk wina i odstawił kieliszek na stół.

- Muszę wyznać, że podoba mi się to, co słyszę.

- Całkowite zażegnanie kryzysu w Egipcie to nie taka prosta sprawa - ostrzegł Oates.

- Być może Yazid zostanie na jakiś czas zepchnięty ze sceny. Ale pod nieobecność prezydenta Hasana muzułmańscy fundamentaliści zawarli przymierze z Partią Liberalną i Socjalistyczną Partią Pracy. Będą wspólnie zmierzali do podkopania rządów Hasana, do podporządkowania Egiptu prawu islamskiemu, wreszcie do odcięcia się od Stanów

Zjednoczonych i unieważnienia umów pokojowych z Izraelem.

Prezydent przechylił głowę w stronę Schillera.

- Czy podpisujesz się pod tymi ponurymi przewidywaniami Douga, Juliuszu?

- Tak - rzekł Schiller pośepnie.

- A ty, Martin?

Wyraz twarzy Brogana nie pozostawiał wątpliwości co do jego zdania.

- To, co nieuniknione, zostało tylko nieco oddalone. Rząd Hasana musi z czasem upaść. Poparcie wojska dziś jest, a jutro już go może nie być. Moje najtęższe mózgi w Langley przewidują zamach stanu w Egipcie za jakieś półtora roku.

- Zalecam pozostanie na uboczu, strategię wyczekiwania, panie prezydencie - rzekł Oates. - I studiowanie naszych opcji w stosunkach z nowym rządem muzułmańskim.

- Jest to izolacjonistyczne podejście - powiedział prezydent.

- Może już czas, abyśmy zajęli takie właśnie stanowisko - zasugerował Schiller. - W ciągu ostatnich dwudziestu lat z prób pokonania barier narodowościowo-religijnych przez pana poprzedników nic sensownego nie wynikło.

- Rosjanie też na tym stracą - dodał Nichols. - Ale przynajmniej wiemy teraz, że Paul Capesterre, znany jako Achmad Yazid, nie spowoduje drugiej klęski podobnej do irańskiej. On bowiem dążyłby przede wszystkim do zniszczenia naszych bliskowschodnich interesów.

- Niezupełnie się z tym zgadzam - powiedział Brogan. - Zyskaliśmy teraz wystarczająco dużo czasu, by spróbować wpłynąć na wybór innego niż Hasan władcy Egiptu.

Prezydent spojrzał na niego pytająco.

- Kogo masz na myśli?

- Abu Hamida, egipskiego ministra obrony.

- Sądzisz, że on przejmie rządu?

- W odpowiednim czasie - wyjaśnił cierpliwie Brogan. - Ma za sobą wojsko i był wystarczająco sprytny, aby zaskarbić sobie silne poparcie umiarkowanych fundamentalistów. Moim zdaniem Abu Hamid to pewniak.

- Moglibyśmy trafić gorzej - mruknął Oates. - Ten człowiek nie jest ponad to, by przyjmować od nas różne dowody przyjaźni i uszczknąć nieco z miliardów dolarów, które pchaliśmy do Egiptu. Ale jednocześnie potrafi się odwdziżyć. Będzie głośno potępiał Izrael i przeklinał Stany Zjednoczone z uwagi na fanatyków religijnych, lecz pod tą retoryką zachowa gotowość do przyjaznych rozmów z nami.

- Również fakt, że pozostaje w ścisłych związkach z Halą Kamil, może okazać się

korzystny - stwierdził Nichols.

Prezydent milczał patrząc w kieliszek zinfandela, jakby to była kryształowa kula. Uniósł go w górę.

- Za trwałe i przyjazne związki z Egiptem.

- Brawo! - powiedzieli jednocześnie Mercier i Brogan.

- Za Egipt - powtórzył za prezydentem Oates.

- I Meksyk - dodał Schiller.

Prezydent spojrział na zegarek i wstał, a za nim inni.

- Przepraszam, że tak przerywam to spotkanie, ale mam naradę z ludźmi ze Skarbu Państwa. Pogratulujcie ode mnie wszystkim, którzy brali udział w akcji ratowania zakładników. - Zwrócił się do Oatesa: - Gdy tylko wróci senator Pitt, chcę się spotkać z wami dwoma.

- Żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiał z Hasanem?

- Bardziej jestem ciekaw, czego się dowiedział od prezydenta De Lorenzo na temat kryzysu w Meksyku. Możemy przyjąć, że Achmad Yazid został do końca sezonu wyłączony z gry, ale Topiltzin przedstawia znacznie poważniejszą groźbę. Skupcie uwagę na nim, panowie. Niech Bóg ma nas w opiece, jeśli nie zdołamy ustabilizować sytuacji w Meksyku.

Powoli i niechętnie Pitt wynurzył się z czarnych głębin twardego snu na powierzchnię świadomości po to tylko, ażeby stwierdzić, że odzyskaniu jej towarzyszy dojmujący, ostry ból. Próbował wrócić, wkroczyć na nowo w kojącą pustkę, ale otworzył oczy i było już za późno. Najpierw zobaczył uśmiechniętą czerwoną twarz.

- No, no, wrócił pomiędzy żywych - rzekł pogodnie pierwszy oficer Finney. - Pójdę zawiadomić kapitana.

Gdy Finney wyszedł, Pitt poruszył oczami, trzymając cały czas głowę nieruchomo, i zobaczył niskiego лыsego mężczyznę siedzącego przy łóżku. Lekarz okrętowy, przypomniał sobie, lecz nie pamiętał jego nazwiska.

- Przepraszam, doktorze, ale nie mogę sobie przypomnieć pańskiego...

- Henry Webster - podpowiedział lekarz uśmiechając się. - A jeśli się pan zastanawia, gdzie się znajduje, to jest pan w najwspanialszym apartamencie „Lady Flamborough”, którą „Sounder” holuje obecnie do Punta Arenas.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Opatrywałem panu rany, kiedy pan składał raport pułkownikowi Hollisowi. Wkrótce potem dałem panu silny środek uspokajający. Spał pan około dwunastu godzin.

- Nic dziwnego, że jestem głodny jak wilk.

- Dopilnuję, aby szef kuchni osobiście przysłał panu jedną ze swych specjalności.

- A jak się czuje Giordino i Findley?

- Giordino jest bardzo wytrzymały. Wyjąłem z niego cztery kule, z których żadna nie znajdowała się w krytycznym miejscu. Na sylwestra będzie już mógł tańczyć. Rany Findleya są o wiele poważniejsze. Kule przeszły mu prawy bok i zatrzymały się w płucu i w nerce. Zrobiłem wszystko, co można zrobić na statku, a potem on i Giordino zostali przewiezieni helikopterem do Punta Arenas, stamtąd zaś samolotem do Waszyngtonu, zaraz po pańskim zaśnieściu. Findley zostanie zoperowany przez specjalistów od ran postrzałowych w Ośrodku Medycznym Waltera Reeda. Jeśli nie będzie żadnych komplikacji, wyjdzie z tego cało. Przy okazji, pański przyjaciel Rudi Gunn uznał, że oni bardziej go potrzebują, i zabrał się z nimi.

Zanim Pitt zdołał odpowiedzieć, doktor włożył mu w usta termometr z odczytem cyfrowym i po chwili wyjął.

Spojrzał na ekranik termometru i pokiwał głową.

- A co do pana, to z pewnością pan się z tego wykaraska. Jak samopoczucie?

- Chyba nie nadaję się do udziału w triathlonie, ale jeśli nie liczyć pulsowania w



głowie i kłucia w karku, całkiem nieźle.

- Szczęściarz z pana. Żadna z kul nie naruszyła kości, ważnego wewnętrznego organu ani arterii. Zszyłem panu udo i szyję, mówiąc ściślej mięsień trapezowy. Również policzek. Chirurg plastyczny powinien panu usunąć bliznę, jeśli oczywiście nie uzna pan, że coś takiego może zapewnić panu dodatkowe powodzenie u kobiet. Uderzenie w głowę spowodowało wstrząs, ale prześwietlenie nie wykazało pęknięcia czaszki. Za trzy miesiące będzie pan mógł przepłynąć Kanał Angielski i grać na skrzypcach.

Pitt wybuchnął śmiechem i zaraz zeszytniał z bólu. Webster spojrzął na niego z zatroskaniem.

- Bardzo przepraszam. Zachowuję się zbyt swobodnie u łóża pacjenta.

Pitt rozluźnił się i ból wkrótce ustąpił. Uśmiechnął się mężnie i spojrzął na Webstera z nie ukrywanym szacunkiem. Wiedział, że doktor przez skromność pomniejszał swoje zasługi.

- Jeżeli to zabolalo - rzekł Pitt - to co dopiero będzie, kiedy pan wręczy mi rachunek?

Tym razem Webster się roześmiał.

- Ostrożnie, nie chciałbym, aby pan zniszczył moje piękne hafty.

Pitt delikatnie usiadł i wyciągnął rękę.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za to, co pan zrobił dla nas trzech.

Webster wstał i uściskał wyciągniętą dłoń.

- To zaszczyt leczyć pana. A teraz pozwoli pan, że już sobie pójdę. Wygląda na to, że jest pan bohaterem dnia. Przed drzwiami czekają znamienici goście.

- Do zobaczenia, doktorze, i jeszcze raz dziękuję.

Webster mrugnął do niego i skłonił głowę. Potem podszedł do drzwi, otworzył je i zaprosił oczekujących do wewnątrz.

Wszedł senator Pitt, a za nim Hala, pułkownik Hollis i kapitan Collins. Mężczyźni uściskały mu rękę, lecz Hala schyliła się i pocałowała go.

- Mam nadzieję, że nie uskarża się pan na naszą obsługę - zapytał Collins.

- Nikt jeszcze nie wracał do zdrowia we wspanialszym stylu - odparł Pitt. - Żałuję tylko, że nie mogę opływać w tych luksusach jeszcze miesiąc.

- Niestety, już jutro musisz być na północy - rzekł Hollis.

- O, nie - jęknął Pitt.

- Przykro mi, ale tak - rzekł senator patrząc na zegarek. - „Sounder” przyholuje nas do Punta Arenas za dziewięćdziesiąt minut. Na lotnisku czeka już samolot Sił Powietrznych, żeby przetransportować ciebie, panią Kamil i mnie do Waszyngtonu.

Pitt zrobił obiema rękami gest bezradności.

- Koniec z moim luksusowym rejssem...

Następnie przysłała kolej na serię niespokojnych pytań o stan jego zdrowia. Po kilku minutach Hollis skierował rozmowę na interesujący go temat:

- Czy poznałbyś Ammara, gdybyś go zobaczył?

- Mógłbym z łatwością poznać go w całym tłumie innych ludzi. Znaleźliście go? Dałem ci jego szczegółowy rysopis, zanim doktor Webster mnie uspił.

Hollis podał mu plik fotografii.

- To są zdjęcia zabitych i pojmanych żywcem porywaczy, które zrobił fotograf statku. Widzisz wśród tych ludzi Sulejmana Aziza Ammara?

Pitt powoli przejrzał wszystkie fotografie, pilnie się przyglądając zwłaszcza martwym. Zastanawiał się, którzy z nich padli z jego ręki. Wreszcie skończył i potrząsnął głową.

- Nie ma go na żadnym z tych zdjęć.

- Jesteś pewien? - spytał Hollis. - Rany i śmierć potrafią bardzo zmienić rysy twarzy.

- Stałem bliżej niego niż teraz ciebie, i to w warunkach, których łatwo się nie zapomina. Wierz mi, pułkowniku, nie ma go na tych zdjęciach.

Hollis wyjął z koperty większą fotografię i bez słowa podał ją Pittowi. Po kilku chwilach Pitt spojrzał na Hollisa pytająco.

- Co mam powiedzieć?

- Czy to jest Sulejman Aziz Ammar?

Pitt oddał mu fotografię.

- Wiesz doskonale, że tak, bo inaczej nie wyciągałbyś tego zdjęcia zrobionego w innym miejscu i czasie.

- Pułkownik Hollis nie powiedział ci - rzekł senator - że jeszcze nie znaleziono Ammara ani jego zwłok.

- Jego ludzie musieli ukryć zwłoki - stwierdził Pitt stanowczo. - Ja nie chybiam. Dostał jeden strzał w ramię i dwa w twarz. Widziałem, jak odciągano go na bok. To niemożliwe, by jeszcze żył.

- Pewnie go pochowano - zgodził się Hollis. - Poszukiwania na ziemi i z powietrza nie dały żadnych wyników.

- Może jednak lis nie został zapędzony do nory... - rzekł Pitt do siebie cicho.

- Co powiedziałeś? - spytał senator.

- To dotyczy tego, co Ammar powiedział o lisie i kojocie, kiedy rozmawialiśmy -

odparł Pitt w zamyśleniu. Potem spojrzął po obecnych. - Założę się, że wymknął się z sieci.

- Lepiej, żeby był martwy jak barakuda na pustyni - rzekł Hollis posępnie - bo jeżeli nie jest, twoje nazwisko znajdzie się na czele listy jego przyszłych ofiar.

Hala w złotym jedwabnym szlafroku wydrukowanym w zmodernizowane hieroglify przysunęła się do łóżka Pitta. Delikatnie objęła go ramieniem.

- Dirk jest jeszcze bardzo słaby - powiedziała. - Musi coś zjeść i wypocząć przed podróżą. Proponuję, żebyśmy zostawili go w spokoju na godzinę.

Hollis wsunął zdjęcia do koperty i wstał.

- Muszę się z państwem pożegnać. Helikopter czeka, by mnie zabrać z powrotem na Santa Inez. Będziemy dalej szukać Ammara.

- Proszę pozdrowić majora Dillingera.

- Dziękuję. - Hollis przez chwilę wydawał się jakiś zażenowany, a potem podszedł do łóżka i podał Dirkowi rękę. - Bardzo przepraszam... ciebie i twoich przyjaciół. Nie doceniłem was wszystkich. Gdybyście chcieli przejść z NUMA do Specjalnych Sił Operacyjnych, pierwszy poprę wasze podania.

- Ja nie bardzo się do was nadaję - rzekł Pitt z uśmiechem. - Mam uczulenie na rozkazy.

- Rzeczywiście, zademonstrowałeś to wyraźnie - odparł Hollis lekkim uśmiechem.

Potem podszedł senator i uściskał syna.

- Zobaczymy się na pokładzie.

- Ja też się z panem jeszcze tam zobaczę - powiedział kapitan Collins.

Hala milczała. Wyprowadziła mężczyzn z pokoju, a potem cicho zamknęła drzwi i przekręciła zamek. Podeszła i stanęła obok łóżka. Fałdy jej szlafroka poruszyły się i było coś w ich ułożeniu, co wzbudziło w Dirku przekonanie, że jest pod spodem naga.

Dowiodła tego za chwilę, rozwiązując pasek i zrzucając szlafrok z ramion. Usłyszał szelest jedwabiu zsuwającego się po jej pięknym ciele. Stała naga niczym posąg z brązu, z wyzywająco sterczącymi piersiami, dłońmi obejmującymi uda i jedną nogą nieco wysuniętą do przodu. Sięgnęła i podniosła kołdrę.

- Jestem ci coś winna - powiedziała miękko głosem.

Pitt dostrzegł swoje odbicie w lustrze szafy. Jedyńm jego ubiorem była biała gaza bandaży. Miał nimi owiniętą głowę i boki twarzy oraz udo. Nie golił się od tygodnia i miał przekrwione oczy. Wyglądał we własnym mniemaniu jak włóczęga, na którego nawet żadna szanująca się szlaja by nie spojrziała.

- Jestem żalostną namiastką Don Juana - mruknął.

- Dla mnie jesteś piękny - szepnęła Hala kładąc się obok niego i przebiegając leciutko palcami po jego owłosionej piersi. - Musimy się spieszyć. Mamy dla siebie tylko niecałą godzinę.

Pitt westchnął głęboko. Dostanie mu się od doktora Webstera, jeśli szwy mu popękają. Upokarzająca uległość. Czemu tak jest, zastanawiał się, że mężczyzna musi zdobywać się na tysiące podstępów, aby uwieść kobietę, a ona - wbrew tym podstępom - wybiera najczęściej najbardziej wariackie okoliczności i najmniej spodziewane momenty? Nigdy nie był bardziej przekonany, że James Bond wcale nie miał wspaniałego życia.

Ocknąwszy się, Ammar widział tylko czerń. Ramię go paliło, jakby miał w nim płonący węgiel. Spróbował unieść dłoń do twarzy, lecz wtedy jedna ręka eksplodowała nagłym bólem. Przypomniawszy sobie wówczas, że kule strzaskały mu przegub dłoni. Podniósł więc drugą rękę, by dotknąć oczu, ale koniuszki palców wyczuły tylko mocno napiętą tkaninę, która opasywała mu głowę od czoła po brodę.

Wiedział, że stracił oczy. Pomyślał, że życie ślepeca jest nie dla niego. Zaczął macać wokół szukając broni, czegokolwiek, by z sobą skończyć. Jednak wszystko, czego dotykał, było tylko wilgotną, gładką powierzchnią skały.

Wstał, lecz potknął się i upadł.

Dwie dłonie przytrzymały go za ramiona.

- Nie ruszaj się ani nie odzywaj - szepnął mu do ucha Ibn. - Amerykanie nas szukają.

Ammar schwycił kurczowo ręce przyjaciela. Próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobył się jedynie bełkot. Tylko zwierzęce, gardłowe dźwięki wydostały się przez przesączone zakrzepłą krwią bandażę, przytrzymującą jego pogruchofaną szczękę.

- Jesteśmy w małej komorze w głębi jednego z tuneli kopalni - powiedział cicho Ibn. - Byli blisko nas, ale zdążyłem przedtem zbudować ścianę, która osłoniła naszą kryjówkę.

Ammar kiwnął głową i próbował rozpaczliwie powiedzieć coś w zrozumiałym sposobie.

Ibn jakby umiał czytać w jego myślach.

- Pragniesz umrzeć, Sulejmanie? Nie umrzesz. Umrzemy razem, lecz nie wcześniej, niż postanowi Allah.

Ammar nigdy nie czuł się tak dezorientowany, tak całkowicie zagubiony. Ból był nie do zniesienia, a myśl, że być może spędzi resztę życia w więzieniu, niewidomy i okaleczony, wprawiała go w rozpacz. Nie mógł znieść uzależnienia od kogokolwiek - nawet od Ibna.

- Odpoczywaj, bracie - rzekł Ibn łagodnie. - Będziesz potrzebował dużo sił, gdy przyjdzie pora ucieczki z wyspy.

Ammar opadł na plecy i obrócił się na bok. Jego ramiona dotknęły nierównej

podłogi tunelu. Była mokra i wilgoć przesiąkła przez ubranie, lecz on zbyt cierpiał, by odczuć tę dodatkową niewygodę.

Czuł się coraz bardziej przygnębiony. Poniósł straszną klęskę. Widział nad sobą Achmada Yazida uśmiechającego się drwiąco. Potem w głębi jego duszy pojawiło się słabe światełko. Światełko rozjarzyło się, a potem buchnęło olśniewającym blaskiem, i w tej przejmującej chwili Ammar dojrzał swoją przyszłość.

Będzie żył dla zemsty.

Powtarzał w myślach słowo „zemsta” raz po raz, aż wreszcie odzyskał wewnętrzny spokój.

Powinien teraz zdecydować, który z jego dwóch wrogów ma zginąć z jego własnych rąk: Yazid czy Pitt? Nie może już działać sam. Nie jest zdolny do zamordowania ich obu samodzielnie. W myślach zaczął już układać plan. Będzie musiał zaufać Ibnowi, by spełnić swą zemstę.

Ibn wypruje flaki kojotowi, ostatnim zaś dziełem Ammara będzie zabicie żmii.

Pitt nie chciał lecieć do kraju na noszach. Siedział w wygodnym fotelu z nogami opartymi o fotel naprzeciwko i patrzył przez okno na ośnieżone szczyty Andów. Daleko w prawo widział zielone równiny, początek wyżyn brazylijskich. W dwie godziny później odległa szara mgielka zaznaczyła położenie przeludnionego miasta Caracas. Na linii horyzontu turkusowa powierzchnia Morza Karaibskiego stykała się z kobaltowym błękitem nieba. Z wysokości 12 000 metrów pomarszczone wiatrem wody wyglądały jak arkusz karbowanej bibuły.

Odrzutowiec Sił Powietrznych przeznaczony do przewozu ważnych osobistości był ciasny - Pitt nie mógł się w nim rozprostować na całą wysokość - ale wyposażony luksusowo. Czuł się w nim niczym w kosztownej zabawce dziecka bardzo bogatych rodziców.

Ojciec Dirka nie był w nastroju do rozmowy. Większą część lotu spędził nad papierami, robiąc notatki do raportu dla prezydenta.

Gdy Dirk zapytał, skąd ojciec wziął się na „Lady Flamborough” w Punta del Este, senator nawet nie podniósł wzroku odpowiadając:

- Przyjechałem z misją prezydencką - i uciałem dalszą dyskusję na ten temat.

Hala również była zajęta własnymi sprawami. Stale rozmawiała przez radiotelefon, wydając swoim współpracownikom w siedzibie ONZ różne polecenia. Kiedy ich oczy przypadkiem się spotykały, odpowiadała Pittowi krótkim, oszczędnym uśmiechem.

Jak one szybko zapominają, przemknęło przez głowę Pittowi.

Myślami krążył wokół poszukiwań skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej. Zastanawiał się, czy nie pozbawić Hali monopolu na korzystanie z telefonu, żeby zapytać Yaegera o postępy w pracach. W końcu jednak utopił swoją ciekawość w wytrawnym martini, postanawiając zaczekać i dowiedzieć się wszystkiego bezpośrednio od Lily i Yaegera.

Jaką rzeką popłynął Venator, by ukryć bezcenne zbiory? Mogła być nią każda z tysiąca tych, które wpadają do Atlantyku pomiędzy Rzeką Świętego Wawrzyńca w Kanadzie a Rio de la Plata w Argentynie. Nie, niezupełnie. Yaeger przypuszcza, że „Serapis” został zaopatrzony w świeżą wodę i naprawiony u brzegów dzisiejszego New Jersey. Nieznana rzeka powinna się więc znajdować na południu, daleko bardziej na południu od zatoki Chesapeake.

Czy Venator mógł wprowadzić swoją flotę do Zatoki Meksykańskiej i popłynąć w górę Missisipi? Obecne jej koryto musi być zupełnie inne niż przed szesnastu wiekami. A może przybił do brzegów Wenezueli i wpłynął do Orinoko, która jest żeglowna na dwieście

mil w głąb? A może popłynął w górę Amazonki?

Pitt zastanawiał się nad ewentualnymi konsekwencjami tego wszystkiego. Gdyby podróż Juniusza Venatora do Ameryki została udowodniona odnalezieniem ukrytych tam skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej, trzeba by wówczas skorygować podręczniki historii, dopisać nowe rozdziały.

Biedny Leif Eriksson i Krzysztof Kolumb znaleźliby się tylko w przypisach.

Rozważania Pitta przerwał głos stewarda proszącego o zapięcie pasów.

Był już zmierzch, kiedy samolot długim ślizgiem schodził do lądowania w bazie Sił Powietrznych Andrews. Mrugający światłami, szeroko rozpostarty Waszyngton przemknął obok i wkrótce Pitt zaczął kuśtykać ze schodów opierając się na lasce z wygiętej aluminiowej rurki, którą podarowała mu wdzięczna załoga „Lady Flamborough”. Stał na betonowej płycie lotniska niemal w tym samym miejscu co poprzednio, po przybyciu z Grenlandii.

Podeszła Hala, by się z nim pożegnać. Leciła tym samym samolotem dalej, do Nowego Jorku.

- Pozostaniesz na zawsze w mej pamięci, Dirku Pitt.

- Mieliśmy umówić się na kolację.

- Następnym razem, jak ty odwiedzisz mnie w Kairze. Ja stawiam.

Senator usłyszał to i podszedł.

- W Kairze, proszę pani? Nie w Nowym Jorku?

Hala obdarzyła go uśmiechem godnym Nefretete.

- Rezygnuję ze stanowiska sekretarza generalnego i wracam do kraju. W Egipcie umiera demokracja. Więcej zdziałam dla utrzymania jej przy życiu, pracując wśród rodaków.

- A co z Yazidem?

- Prezydent Hasan przyrzekł mi, że zamknie go w areszcie domowym.

Przez twarz senatora przeszła chmura.

- Niech pani będzie ostrożna. Yazid jest nadal niebezpieczny.

- Zawsze się znajdzie jakiś maniak. - Jej łagodne ciemne oczy zadawały kłam lękowi, jaki odczuwała w sercu. Uściskała senatora jak córka. - Proszę powiedzieć prezydentowi, że Egipcjanie nie zmieniają się w naród obłądnych fanatyków.

- Przekażę mu pani słowa.

Zwróciła się do Dirka. Stał się jej bardzo bliski, ale walczyła z tym uczuciem całym wysiłkiem woli. Na chwilę oczyma wyobraźni ujrzała siebie splecioną z nim w uścisku,

pieszczącą jego muskularne ciało, ale zaraz równie szybko przegnała tę myśl. Doznała z nim krótkich chwil spełnienia, chwil, których sobie długo odmawiała, lecz wiedziała, że nigdy nie potrafi dzielić swej miłości pomiędzy mężczyznę a Egipt.

Jej życie należało do ludzi, którzy zaznali jedynie niedoli i ubóstwa.

Ucałowała go czule.

- Nie zapomnij o mnie.

Nim Dirk zdążył odpowiedzieć, Hala odwróciła się i wbiegła po schodkach do samolotu. Dirk stał długą chwilę, patrząc na puste wejście.

Senator przerwał jego zamyślenie.

- Przysłano karetkę, żeby cię zabrać do szpitala.

- Do szpitala? - powtórzył Dirk bezmyślnie, patrząc jak drzwi samolotu się zamykają. Zaskowyczały silniki odrzutowe, gdy pilot zwiększył obroty, i samolot ruszył ku głównemu pasowi startowemu.

Odpowiedział ojcu dopiero wtedy, gdy samolot wzbił się w powietrze:

- Nie mam zamiaru iść do żadnego szpitala.

- Czy nie przesadzasz trochę? - zapytał senator z ojcowskim zatroskaniem, doskonale wiedząc jednak, że przemawianie do rozsądku jego niezależnemu synowi jest zwyczajną stratą czasu.

- Jak się zamierzasz dostać do Białego Domu? - spytał Dirk.

Senator wskazał ruchem głowy oczekujący helikopter.

- Prezydent przysłał go po mnie.

- Podrzucisz mnie do NUMA?

Ojciec spojrzał na niego i objął ramieniem.

- Oczywiście, ty wariacie. Chodź, pomogę ci przejść do helikoptera.

Napięcie rosło w Dirku jak węzeł skręcanej liny, gdy jechał windą do kompleksu komputerowego NUMA, patrząc na przeskakujące cyferki pięter. Kiedy drzwi się rozsunęły i wyszedł kulejąc do przedsionka, zobaczył Lily.

Uśmiech Lily zastygł, gdy dostrzegła wyraz zmęczenia na jego twarzy, długą rysę na policzku, bandażę pod kołnierzem rybackiego golfa pożyczonego od ojca, powłóczenie nogą i laskę. Potem znów uśmiechnęła się mężnie.

- Witaj w domu, żeglarzu.

Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję. Pitt syknął i cicho jęknął. Odskokczyła.

- Och, przepraszam.

Pitt przytrzymał ją.



- Nie szkodzi. - Przywarł ustami do jej ust. Jego broda drapała skórę Lily i pachniała dżinem, lecz wcale jej to nie przeszkadzało.

- Mężczyźni, którzy bywają w domu tylko raz na tydzień, mają swoje zalety - powiedziała w końcu.

- Kobiety, które na nich czekają, również - odparł odstępując w tył. Rozejrzał się wokół. - Co ty i Hiram odkryliście podczas mojej nieobecności?

- Niech Hiram sam ci powie - odrzekła pogodnie, biorąc go za rękę i prowadząc pośród urządzeń komputerowych.

Z biura wypadł Hiram Yaeger. Bez słowa powitania, bez współczucia dla ran Pitta przystąpił od razu do rzeczy.

- Znalezliśmy! - obwieścił dumnie.

Yaeger miał zadowolony z siebie wyraz twarzy. Tyrannosaurus rex, który właśnie zjadł na obiad brontosaurusa, pomyślał Pitt.

- Rzekę? - spytał z podnieceniem.

- Nie tylko rzekę, ale i dwie mile kwadratowe, na których powinna znajdować się jaskinia.

- Gdzie?

- W Teksasie. W małym przygranicznym miasteczku, które nazywa się Roma. Nazwane tak samo jak stolica Włoch z powodu siedmiu otaczających je wzgórz. Przyznaję, że dość niskich wzgórz. Ale są również doniesienia o natrafieniu tam na rzymskie artefakty. Oczywiście wydrwione przez uczonych archeologów, ale co oni wiedzą?

- A więc tą rzeką jest...

- Rio Bravo, jak ją nazywają po hiszpańsku - powiedział Yaeger. - U nas znana jako Rio Grande.

- Rio Grande - powtórzył wolno Pitt delektując się każdą sylabą tych słów.

- To straszna przykrość - rzekł nagle Yaeger markotnie.

Pitt spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czemu tak mówisz?

- Bo jak Teksasńczycy się dowiedzą, na czym siedzieli przez całe szesnaście stuleci, nie będzie z nimi życia.

W południe następnego dnia, po wylądowaniu w lotniczej bazie marynarki w Corpus Christi, Pitt, Lily i admirał Sandecker pojechali do ośrodka badań oceanicznych NUMA nad zatoką. Sandecker kazał kierowcy zatrzymać się koło helikoptera stojącego na betonowym lądowisku przy długim doku. Niebo było bezchmurne, temperatura umiarkowana, ale wilgotność wysoka, toteż po wyjściu z samochodu zaczęli się mocno pocić.

Główny geolog NUMA, Herb Garza, pomachał do nich przyjaźnie i podszedł. Był niski, korpulentny, miał ciemną cerę poznaczoną śladami po ospie i czarne lśniące włosy. Na głowie nosił czapkę baseballową z napisem „Kalifornijskie Anioły” i ubrany był w pomarańczową fluoryzującą koszulę, tak jaskrawą, że nawet zamknąwszy na chwilę oczy, Pitt nadal ją widział.

- Doktor Garza - rzekł krótko Sandecker i zwrócił się do geologa: - Miło cię znowu widzieć, Herb.

- Cieszyłem się na wasze przybycie - powiedział ciepło Garza. - Jak tylko wsiądziecie, możemy startować. - Odwrócił się i przedstawił pilota, Joe Mifflina, który nosił przeciwsłoneczne okulary i zdradzał tyle ożywienia, co klamka u drzwi.

Pitt i Garza pracowali kiedyś razem na pustynnym pasie wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki Południowej.

- Ile to lat temu, Herb? - spytał Pitt. - Trzy, cztery?

- Kto by liczył? - odparł Garza z szerokim uśmiechem, kiedy ściskali sobie dłonie. - Miło być znowu razem.

- Pozwól, że ci przedstawię doktor Lily Sharp.

Garza uklonił się z gracją.

- Jedna z dziedzin oceanologii? - spytał.

Lily potrząsnęła głową.

- Archeologia lądowa.

Garza odwrócił się i spojrzał z wyrazem zaciekawienia na Sandeckera.

- To nie jest zadanie morskie, admirał?

- Nie. Przykro mi, że nie zostałeś w pełni poinformowany, Herb, ale obawiam się, że będziemy musieli jeszcze przez jakiś czas zachować cel naszej pracy w tajemnicy.

Garza wzruszył obojętnie ramionami.

- Ty jesteś szefem.

- Podajcie mi tylko kierunek - rzekł Mifflin.

- Południe - powiedział mu Pitt. - Południe, Rio Grande.

Lecieli nad brzegiem wzdłuż Intercoastal Waterway, nad hotelami i zespołami mieszkaniowymi wyspy South Padre. Następnie Mifflin zszedł swoim zielonym helikopterem pod warstwę obłoczków i w okolicy Port Isabel, gdzie wody Rio Grande wylewają się do Zatoki Meksykańskiej, skręcił na zachód.

Ziemia w dole stanowiła dziwną mieszaninę bagien i pustynnych piasków, płaska jak parking samochodowy, z kaktusami rosnącymi wśród wysokich traw. Wkrótce za szybą ukazało się miasto Brownsville. Rzeka zwęziła się przepływając pod mostem łączącym Teksas z meksykańskim Matamoros.

- Możecie mi powiedzieć, co mamy zbadać? - spytał Garza.

- Wychowałeś się w Dolinie Rio Grande, prawda? - odpowiedział pytaniem na pytanie Sandecker.

- Urodziłem się i wychowałem trochę dalej w górę rzeki, w Laredo. Ukończyłem college w Brownsville. Właśnie je minęliśmy.

- Znasz więc geologię wokół Roma?

- Przeprowadzałem tam szereg badań.

Teraz zaczął go z kolei wypytywać Pitt:

- Jak dzisiejszy bieg rzeki ma się do jej biegu w kilka wieków po narodzeniu Chrystusa?

- Nie ma wielkiej różnicy - odparł Garza. - Rzecz jasna, koryto przesunęło się w czasie powodzi, ale najwyżej o parę mil. Bardzo często w ciągu wieków rzeka wracała do swego starego koryta. Jedną z największych zmian, jakie nastąpiły, to znaczne obniżenie poziomu wody. Do wojny meksykańskiej szerokość rzeki wynosiła od dwustu do czterystu metrów. Główne koryto Rio Grande było dużo głębsze.

- Kiedy pojawił się tu pierwszy Europejczyk?

- Alonso de Pineda wpłynął do ujścia rzeki w tysiąc pięćset dziewiętnastym roku.

- Pewnie w owych czasach przypominała Missisipi?

Garza pomyślał chwilę.

- Była podobna raczej do Nilu.

- Do Nilu...?

- Górne jej dopływy mają swe źródła w Górach Skalistych w Kolorado. W czasie wiosennych powodzi, gdy topnieją śniegi, woda zalewa rozległe równiny w dolnym biegu. Dawni Indianie, tak jak Egipcjanie, kopali rowy, by wody powodzi dotarły na ich pola. Dlatego rzeka, którą teraz oglądacie, jest tylko cieniem poprzedniej. Kiedy przybyli

hiszpańscy i meksykańscy osadnicy, a za nimi Amerykanie z Teksasu, zbudowano nowy system irygacyjny. Po wojnie domowej kolej przywiozła nowych farmerów i hodowców bydła, którzy odprowadzili jeszcze więcej wody. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym milizny ostatecznie położyły kres kursowaniu parowców. Gdyby nie systemy irygacyjne, Rio Grande mogłaby być Missisipi Teksasu.

- Po Rio Grande pływały parowce? - zdziwiła się Lily.

- W pewnym okresie, kiedy po obu stronach rzeki rozwinął się handel, ich ruch był nawet bardzo duży. Floty parowców kursowały regularnie między Brownsville a Laredo przez trzydzieści lat. Teraz, od czasu wzniesienia tamy Falcon, jedynymi jednostkami, jakie widuje się w dolnym biegu rzeki, są łodzie z silnikami przyczepnymi i dętki samochodowe.

- Czy rzeka była żeglowna aż do Roma? - spytał Pitt.

- Nawet dalej, jej szerokość umożliwiała płynięcie zakosami. Żaglowiec musiał jedynie zaczekać na wschodni wiatr. Jeden ze statków kilowych dopłynął w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym aż do Santa Fe.

Milczeli przez kilka minut, gdy Mifflin prowadził śmigłowiec wzdłuż meandrów rzeki. Ukazało się kilka niskich wzgórz. Po meksykańskiej stronie widniały założone przed blisko trzystu laty niewielkie miasteczka. Niektóre domy zostały wzniesione z kamienia, wypalonych w słońcu cegieł z gliny i były kryte czerwoną dachówką. Na obrzeżach stały prymitywne chatki kryte strzechą.

Uprawna część doliny, z gajami cytrusowymi, polami warzyw i aloesu, ustępowała miejsca jałowym równinom porośniętym drzewami meskitowymi i białym ostem. Pitt myślał, że wody rzeki będą mulistobrazowe, tymczasem ku jego miłemu zaskoczeniu okazały się ciemnozielone.

- Zbliżamy się już do Roma - obwieścił Garza. - Jej siostrzane miasto po drugiej stronie rzeki nazywa się Miguel Aleman. Właściwie nawet trudno je nazwać miastem. Jeśli nie liczyć kilku sklepów z turystycznymi pamiątkami, jest to po prostu przejście graniczne na drodze do Monterrey.

Mifflin poderwał śmigłowiec i przeleciał nad mostem łączącym sąsiadujące kraje, a potem znów obniżył lot. Po stronie meksykańskiej ludzie myli samochody, naprawiali sieci rybackie i kapali się. Kilka świń tarzało się w przybrzeżnym mule. Po amerykańskiej stronie było żółtawe urwisko z piaskowca, sięgające niemal do samego śródmieścia. Budynki wyglądały na dość stare, niektóre były zaniedbane, ale wszystkie niezłe zachowane. Kilka z nich właśnie rekonstruowano.

- Te domy wyglądają dość ciekawie - powiedziała Lily.

- W swoim czasie Roma była ruchliwym portem - wyjaśnił Garza. - Zamożni kupcy wynajmowali architektów i budowali sobie okazałe domostwa. Są bardzo dobrze zachowane.

- A który z nich jest najsłynniejszy? - spytała Lily.

- Najsłynniejszy? - Garza roześmiał się. - Według mnie jest nim zbudowana w połowie dziewiętnastego wieku rezydencja, którą wykorzystano przy kręceniu tutaj filmu „Viva Zapata” z Marlonem Brando.

Sandecker dał znak Mifflinowi, żeby zatoczył krąg nad wzgórzami wokół miasta.

- Czy nazwa Roma ma coś wspólnego z Rzymem z powodu otaczających miasto siedmiu wzgórz? - spytał geologa.

- Nikt tego nie wie na pewno - usłyszał w odpowiedzi. - Trudno byłoby ci tutaj znaleźć siedem odrębnych wzgórz. Jest parę wyraźnych wierzchołków, ale właściwie wszystkie zlewają się z sobą.

- Jaka tu jest budowa podłoża? - spytał Pitt patrząc w dół.

- Głównie złom kredowy. Cały obszar był kiedyś pod powierzchnią morza. Pełno tu muszli małży, niektóre mają nawet po pół metra średnicy. W pobliżu znajduje się wyrobisko żwiru, które doskonale ilustruje różne okresy geologiczne. Mogę ci wygłosić krótki wykład, tylko każ pilotowi wylądować.

- Nie teraz - odparł Pitt. - Są tu gdzieś naturalne jaskinie?

- Nie takie, które byłyby widoczne na powierzchni. Ale to wcale nie znaczy, że nie istnieją. Nikt nie wie, ile dawne morza utworzyły jaskiń ukrytych w głębi ziemi, w warstwie wapienia. Stare legendy indiańskie mówią o duchach żyjących pod ziemią.

- Jakich duchach?

Garza wzruszył ramionami.

- Duchach przodków, którzy zginęli w walce ze złymi bóstwami.

Lily nieświadomie ścisnęła ramię Pitta.

- Czy w okolicy Roma znaleziono jakieś artefakty?

- Trochę kamiennych ostrzy strzał i dzid, kamienne noże i łodzie - kamienie.

- Co to są łodzie-kamienie?

- Kamienie wykute w kształcie łodzi - odparła Lily z rosnącym podnieceniem. - Ich dokładne pochodzenie oraz przeznaczenie nie są znane. Sądzi się, że używano ich jako talizmanów. Miały jakoby chronić przed złem. Na przykład, gdy Indianin bał się czarownicy, umieszczał w takiej łodzi-kamieniu jej podobiznę i wrzucał do rzeki lub jeziora, niszcząc na zawsze siłę czarów.

Pitt zadał Garzy jeszcze jedno pytanie:

- Czy znaleziono jakieś przedmioty, które kłóciłyby się z naszą wiedzą historyczną na temat tych rejonów geograficznych?

- Trochę, ale uznano je za fałszywe.

Lily spytała jakby od niechcienia:

- Co to były za przedmioty?

- Miecze, krzyże, szczątki zbroi, ostrza włóczni, wszystko głównie z żelaza. Pamiętam również opowieść o starym kamieniu kotwicznym wydobytym z urwiska nad rzeką.

- Prawdopodobnie hiszpańskiego pochodzenia - rzucił ostrożnie Sandecker.

Garza potrząsnął głową.

- Nie hiszpańskiego, lecz rzymskiego. Ludzie z muzeum stanowego odnieśli się do tych znalezisk z uzasadnionym sceptycyzmem. Uznali je za dziewiętnastowieczne oszustwo.

Lily wpiła się palcami w ramię Pitta.

- Czy można by je zobaczyć? - zagadnęła z niepokojem. - Czy też zostały zagubione albo zapomniane, rzucone gdzieś do piwnicy uniwersytetu stanowego?

Garza wskazał za okno, na drogę biegnącą na północ od Roma.

- Są właśnie tutaj. Przechowuje je człowiek, który znalazł większość z nich. Stary poczciwy Tekszańczyk Sam Trinity, Stuknięty Sam, jak go zwą tutajsi ludzie. Szpera na tym terenie od pięćdziesięciu lat i klnie się na wszystko, że kiedyś obozowała tu rzymska armia. Utrzymuje się z niewielkiej stacji benzynowej i sklepiku. Ma na tyłach domu szopę, którą nazywa pompatycznie muzeum starożytności.

Pitt uśmiechnął się leciutko.

- Możesz nas wysadzić koło jego domu? - zapytał Mifflina. - Chyba powinniśmy z nim porozmawiać.

Ogromna pozioma tablica reklamowa miała dziewięć metrów długości i stała obok zjazdu z autostrady. Była przybita do wybielałych na słońcu, popękanych słupów meskitowych, przechylonych w tył pod nieprawdopodobnym kątem. Jaskrawoczerwone litery na spłowiałym srebrnym tle głosiły:

RZYMSKI CYRK SAMA

Dystrybutory były lśniące, nowe i reklamowały mieszkankę metanolową za czterdzieści osiem centów litr. Sklep z wypalanej w słońcu cegły zaprojektowano w kształcie indiańskiej *mesa* z Arizony, z wystającymi belkami stropowymi. Wnętrze było czyste, a na półkach schludnie poustawiano różne pamiątkowe drobiazgi, produkty żywnościowe i napoje bezalkoholowe. Wierna kopia tysiąca innych małych, samotnych oaz przy autostradach w całym kraju.

Sam Trinity jednak wcale nie pasował do tego otoczenia.

Nie miał na głowie czapki baseballowej reklamującej traktory. Nie nosił nabijanych ćwiekami butów kowbojskich, słomkowego kapelusza ani spłowiałych lewisów. Był ubrany w zieloną koszulkę polo, żółte spodnie i kosztowne buty golfowe z jaszczurczej skóry. Jego równo przystrzyżone siwe włosy pod sportową czapką w kratę były gładko przyczesane.

Stał w drzwiach swojego sklepu, póki kurz wzbity śmigłami helikoptera nie ustąpił przed lekkim powiewem. Wyszedł wówczas przed asfaltowy podjazd, jak Bob Hope trzymając w ręku żelazny kij do golfa numer dwa, i stanął kilka metrów od otwierających się drzwi.

Garza wysiadł pierwszy i podszedł do niego.

- Jak się masz, stary włóczęgo.

Ciemna od opalenizny twarz Sama rozciągnęła się w szerokim teksaskim uśmiechu.

- Herb, ty stary draniu!

Uniósł w górę słoneczne okulary, ukazując niebieskie oczy, zmrużone w ostrym blasku słońca. Potem opuścił je znowu, jak kurtynę. Był bardzo wysoki, chudy jak szczapa, o szczupłych ramionach i wąskich barkach, ale głos miał pełen wigoru.

Garza przedstawił go wszystkim. Sam najwyraźniej nawet nie starał się zapamiętać nazwisk.

- Cieszę się z poznania was wszystkich. Witajcie w Rzymskim Cyrku Sama. - Potem zobaczył twarz Pitta i jego laskę. - Co to? Spadłeś z motocykla?

Pitt roześmiał się.

- Nie, trochę poturbowali mnie w barze.

- Podobasz mi się.

Sandecker wskazał ruchem głowy kij do golfa.

- Gdzie tu się grywa?

- Niedaleko, w Rio Grande City - odparł Sam z uśmiechem. - Jest tu kilka pól golfowych między Roma a Brownsville. Właśnie wracam z szybkiej rundki z kolegami z wojska.

- Chcielibyśmy poszperać w twoim muzeum - rzekł Garza.

- To dla mnie zaszczyt. Zapraszam. Nie co dzień ktoś spada helikopterem z nieba, żeby obejrzeć moje znaleziska. Chcecie coś do picia? Wody sodowej, piwa? Mam dzbanek margerity w lodówce.

- Ja bym prosiła o margeritę - powiedziała Lily wycierając szyję chustką.

- Oprowadź gości po muzeum, Herb. Drzwi są otwarte. Zaraz do was przyjdę.

Zajechała ciężarówka z przyczepą i Sam przystanął, żeby pogawędzić chwilę z kierowcą, po czym wszedł do części mieszkalnej budynku.

- Miły facet - zauważył Sandecker.

- Owszem, potrafi być miły, i to bardzo - powiedział Garza - ale gdy mu nadepnąć na odcisk, robi się okropny.

Zaprowadził ich na tyły sklepu. Wnętrze muzeum nie było większe od garażu na dwa samochody. Stało w nim pełno szklanych gablot i woskowych figur przedstawiających rzymskich legionistów. Pomieszczenie było bardzo schludne, szklane płytki dokładnie odkurzone, a eksponaty oczyszczone z rdzy i wypolerowane.

Lily miała ze sobą małą walizeczkę. Położyła ją ostrożnie na gablocie, otworzyła zamki i wyjęła grubą ilustrowaną książkę przypominającą katalog. Zaczęła porównywać eksponaty z ilustracjami w książce.

- No, no - powiedziała po kilku minutach badań. - Miecze i ostrza włóczni pasują do rzymskiej broni z czwartego wieku.

- Nie podniecaj się - rzekł Garza. - Trinity sam wyprodukował te eksponaty, a następnie spatynował je w kwasie i w słońcu.

- On ich nie wyprodukował - powiedział stanowczo Sandecker.

Garza spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Jak możesz tak mówić, admirale? Nie mamy żadnych dowodów na prekolumbijskie kontakty z...

- Teraz już mamy.

- Nie mogę w to uwierzyć.



- Zdarzyło się to w trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku - wyjaśnił mu Pitt. - Do Rio Grande, gdzie obecnie znajduje się Roma, wpłynęła flota rzymskich statków. Gdzieś pod jednym ze wzgórz za miastem rzymscy najemnicy, ich niewolnicy oraz egipscy uczeni zakopali ogromne skarby Biblioteki Aleksandryjskiej.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Sam Trinity od drzwi. Był tak podniecony, że o mało nie upuścił tacy ze szklankami i dzbankiem. - Cały czas wiedziałem! Rzymianie naprawdę stąpali po teksaskiej ziemi.

- Masz rację, Sam - powiedział Sandecker.

- Przez tyle lat nikt mi nie chciał wierzyć - mruzczał w oszołomieniu Sam. - Nawet po odczytaniu napisu na kamieniu oskarżyli mnie, że to ja go wykułem.

- Napisu? Jakiego napisu? - spytał ostro Pitt.

- Tego w kącie, na kamieniu. Kazałem go przetłumaczyć na uniwersytecie. Przetłumaczyli i powiedzieli tylko: „Dobra robota, Sam. Twoja łacina jest całkiem niezła.” Od lat mnie wyśmiewają i mówią, że zmyślam historię.

- Masz to tłumaczenie? - spytała Lily.

- Tak, wisi na ścianie. Umieściłem je w ramce za szkłem. Odciałem tylko tę część, gdzie napisali swoją opinię.

Lily spojrzała na napisany na maszynie tekst i zaczęła go głośno czytać stłoczonym wokół towarzyszą:

„Ten kamień wyznacza drogę do  
miejsca, gdzie kazałem ukryć dzieła  
z wielkiej Sali Muz.

Uniknąłem zguby podczas zagłady naszej floty  
i śmierci z rąk barbarzyńców  
i udałem się na południe, gdzie  
prymitywny lud żyjący w piramidach  
przyjął mnie za swego mędrca i proroka.  
Nauczyłem ich wszystkiego, co wiedziałem,  
o gwiazdach i innych rzeczach, ale niewiele  
z moich nauk wprowadzili w życie.

Woleli czcić pogańskich bożków  
i spełniać żądania ciemnych  
kapłanów domagających się ofiar z ludzi.  
Siedem lat minęło od mego przybycia.

Mój powrót tutaj wypełnia smutek  
na widok kości moich dawnych towarzyszy.  
Zadbałem o ich pochówek. Mój statek jest  
gotowy i wkrótce pożegluje do Rzymu.  
Jeśli Teodozjusz wciąż żyje, zapewne  
każe mnie zgładzić, lecz rad to zaryzykuję,  
aby zobaczyć przed śmiercią rodzinę.  
Do tych, którzy to czytają: gdybym zginął,  
wejście do jaskini znajduje się pod wzgórzem.  
Stań na północy i patrz prosto  
na południe, ku urwisku nadrzecznemu.

Junius Venator

10 dnia sierpnia A.D. 398”

- A więc Venator przeżył masakrę, aby następnie umrzeć w siedem lat później w drodze powrotnej do Rzymu - rzekł Pitt.

- Albo tam dotarł i został po cichu zgładzony - dodał Sandecker.

- Nie, Teodozjusz zmarł w trzysta dziewięćdziesiątym piątym roku - powiedziała Lily. - Pomyśleć, że ta wiadomość była tutaj cały czas, a wszyscy ją ignorowali!

Sam Trinity uniósł brwi.

- Znacie tego Venatora?

- Idziemy jego śladem - przyznał Pitt.

- Szukałeś tej jaskini? - spytał Sandecker.

Trinity kiwnął głową.

- Kopalem, ale znalazłem tylko to, co tu widzicie.

- Jak głęboko?

- Dziesięć lat temu wykopałem dół na sześć metrów, ale znalazłem tylko sandał, który leży tam w gablocie.

- Możesz pokazać nam miejsce, w którym znalazłeś ten kamień i inne eksponaty? - spytał Pitt.

Stary Teksaszczyk spojrzał na Garze.

- Jak myślisz, Herb?

- Możesz zaufać tym ludziom. Oni nie są rabusiami artefaktów.

Trinity kiwnął z zapalem głową.

- Dobra, jedźmy tam. Pojedziemy moim jeepem.

Trinity skierował jeepa wagoniera na polną drogę obok kilku nowoczesnych domów i zatrzymał się przed płotem z drutu kolczastego. Wysiadł, odczepił kawałki drutu i odciągnął na bok. Potem znowu siadł za kierownicą i ruszył zarośniętymi, ledwie dostrzegalnymi koleinami.

Gdy jeep wjechał na szczyt łagodnego wzniesienia, Sam zatrzymał samochód i zgasił silnik.

- To jest Wzgórze Gongory. Ktoś mi mówił, że dawno temu nazwano je tak na cześć siedemnastowiecznego poety hiszpańskiego. Czemu nazwali tę kupę ziemi nazwiskiem poety, diabli wiedzą.

Pitt wskazał niskie wzgórze czterysta metrów dalej na północy.

- A jak się nazywa ten grzbiet?

- O ile wiem, nie ma żadnej nazwy - odparł Sam.

- Gdzie znalazłeś ten kamień? - spytała Lily.

- Trochę dalej.

Trinity włączył ponownie silnik i wolno ruszył jeepem w dół, tratując po drodze nieduże meskity i niskie krzaczki. Po dwóch minutach okropnej jazdy zatrzymał się przy płytkiej odnodze rzeki. Wysiadł z samochodu, podszedł do brzegu i spojrzał w dół.

- O tutaj, jego kawałek wystawał z brzegu.

- Ta wyschnięta odnoga - rzekł Pitt - wije się między Wzgórzem Gongory a tamtym dalej.

Trinity kiwnął głową.

- Tak, ale nie ma żadnego sposobu, żeby kamień przewędrował stamtąd na zbocze Gongory, jeśli nie został przewleczony.

- Nie jest to z całą pewnością teren zalewowy - zgodził się Sandecker. - Erozja i ulewne deszcze mogły go przez wszystkie te wieki przenieść najwyżej pięćdziesiąt metrów ze szczytu Gongory, ale nie pół kilometra.

- A pozostałe artefakty? - spytała Lily. - Gdzie one leżały?

Trinity zrobił kolisty ruch ręką w stronę rzeki.

- Były rozrzucone w niższej części zbocza, aż po środek miasta.

- Czy prowadziłeś badania z teodolitem i zaznaczyłeś wszystkie miejsca?

- Przykro mi, ale nie jestem archeologiem i nie przyszło mi do głowy, żeby zaznaczyć miejsca, w których kopałem.

Lily wydawała się rozczarowana, lecz nic nie powiedziała.

- Musiałeś się posługiwać wykrywaczem metalu - rzekł Pitt.

- Sam go zrobiłem - odparł z dumą Trinity. - Taki czuły, że z odległości pół metra wykrywa centa.

- Czyja jest ta ziemia?

- Te tysiąc dwieście akrów należy do mojej rodziny, odkąd Teksas stał się republiką.

- To nam oszczędzi mnóstwa kłopotów prawnych - powiedział Sandecker z aprobatą.

Pitt spojrział na zegarek. Słońce zaczęło się już chować za odległe pasma wzgórz. Usiłował wyobrazić sobie walkę pomiędzy Indianami a Rzymianami i Egipcjanami, uciekającymi ku rzece i flotylli swoich starożytnych statków. Niemal słyszał wrzaski, krzyki bólu i szcęk broni. Wrócił do teraźniejszości, gdy Lily zaczęła dalej wypytywać Sama:

- Dziwne, że nie znalazłeś żadnych kości na pobojowisku.

- Hiszpańscy żeglarze, którzy rozbili się u brzegów Teksasu i zdołali przedrzeć do Veracruz i Mexico City - powiedział Garza - mówili o Indianach uprawiających kanibalizm.

Lily skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Nie możesz wiedzieć na pewno, że wszystkie ciała zostały zjedzone.

- Może tylko niewielka część - odrzekł Garza. - A czego nie rozwlekły psy i dzikie zwierzęta, zostało pogrzebane przez tego Venatora albo zmieniło się w proch.

- Herb ma rację - powiedział Pitt. - Wiemy przecież, że kości pozostawione na powierzchni ziemi ulegają z czasem rozpadowi.

Lily patrzyła zafascynowana na szczyt Wzgórza Gongory.

- Nie mieści mi się w głowie, że jesteśmy kilka metrów od skarbów.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Potem Pitt dał wyraz myślom ich wszystkich:

- Wielu wspaniałych ludzi zginęło przed szesnastoma wiekami, aby zachować skarby wiedzy swoich czasów. Najwyższa pora, abyśmy je wydobyli na światło dzienne - rzekł cicho, zapatrzony w przeszłość.

Następnego ranka agenci Secret Service przepuścili admirała Sandeckera przez bramę zamykającą wjazd prowadzący do domku wypoczynkowego prezydenta nad górskim jeziorem w Missouri. Zatrzymał wynajęty samochód na podjeździe i wyjął z bagażnika aktówkę. Po parnym upale nad Rio Grande z przyjemnością oddychał rześkim powietrzem.

Ubrany w ciepły kożuszek prezydent zszedł po stopniach ganku, aby go powitać.

- Dziękuję za przybycie, admirale.
- Wolę być tu niż w Waszyngtonie.
- Jak się udała podróż?
- Prawie całą przespałem.
- Przepraszam, że ściągnąłem cię w takim pośpiechu.
- Mam pełną świadomość wagi sprawy.

Prezydent położył dłoń na ramieniu Sandeckera i poprowadził go po schodach do drzwi.

- Chodź, zjedz z nami śniadanie. Dale Nichols, Juliusz Schiller i senator Pitt już zabrali się do jaj i wędzonej szynki.

- Widzę, że zgromadził pan tu trust mózgów - rzekł Sandecker z lekkim uśmiechem.

- Spędziliśmy pół nocy, dyskutując o politycznych skutkach waszego odkrycia.
- Niewiele zdołam dodać do tego, co zostało umieszczone w przesłanym raporcie.
- Nie ma w nim jednak proponowanego przez was planu wykopalisk.
- Przecież na pewno bym go przysłał - mruknął admirał.

Prezydent zdawał się nie zauważać złego humoru Sandeckera.

- Będziesz mógł go przedstawić przy śniadaniu.

Przerwali rozmowę, prezydent poprowadził gościa do wnętrza domu z bali. Przeszli przez przytulny salon, którego wystrój przypominał bardziej wnętrze nowoczesnego mieszkania niż domku myśliwskiego. W dużym kamiennym kominku trzaskały płonące polana. Weszli do pokoju stołowego, gdzie Schiller i Nichols, w strojach wędkarskich, wstali jednocześnie, aby uścisnąć dłoń nowo przybyłemu. Ubrany w sweter senator Pitt tylko pomachał ręką.

Senator i admirał byli starymi przyjaciółmi, łączyła ich bowiem osoba Dirka. Sandecker dostrzegł w oczach senatora ostrzegawczy błysk.

W pokoju znajdował się jeszcze ktoś, o kim prezydent nie wspomniał - Harold Wismer, stary kumpel i doradca prezydenta, który posiadał ogromne wpływy, choć

pozostawał poza aparatem administracyjnym Białego Domu. Sandecker czuł się zaskoczony jego obecnością.

Prezydent odsunął krzesło.

- Siadaj, admirale. Jakie lubisz jajka?

Sandecker potrząsnął głową.

- Poproszę tylko o trochę owoców i szklankę odtłuszczonego mleka.

Służący w białym kitlu przyjął zamówienie i wyszedł do kuchni.

- A więc to tak zachowujesz swoją żylastą sylwetkę - powiedział Schiller.

- Plus gimnastyka, która mnie utrzymuje w stanie permanentnego pocenia się.

- Chcemy wszyscy pogratulować tobie i twoim ludziom tak wspaniałego znaleziska - zaczął bez żadnych wstępów Wismer. Patrzył na admirała przez przyciemnione okulary bez oprawek. Gęsta, splątana broda niemal zakrywała mu usta. Był łysy jak kolano, a jego duże brązowe oczy wydawały się wylupiaсте. - Kiedy zamierzacie zacząć kopać?

- Jutro - odparł Sandecker, czując się tak, jakby mu zaraz miano wyszarpnąć dywan spod nóg. Wyjął ze swojej walizeczki powiększoną mapę geologiczną terenu okalającego Roma. Następnie wyciągnął rzut poprzeczny wzgórza z zaznaczeniem miejsc planowanych szybów i położył go na wolnym kawałku stołu. - Zamierzamy wykopać dwa próbne tunele w najwyższym wzgórzu. Osiemdziesiąt metrów pod szczytem.

- Tym, który się nazywa „Wzgórzem Gongory”?

- Tak. Tunele zostaną wywiercone po dwóch przeciwległych stronach zbocza opadającego ku rzece, ale na dwóch różnych poziomach. Jeden lub oba powinny natrafić na grootę, o której Juniusz Venator wspomina w napisie na kamieniu Sama Trinity, albo, przy odrobinie szczęścia, na któryś z pierwotnych tuneli.

- Jesteś absolutnie pewien, że skarby Biblioteki Aleksandryjskiej właśnie tam się znajdują? - rzekł Wismer z naciskiem. - Nie masz żadnych wątpliwości?

- Nie mam - odpowiedział cierpko Sandecker. - Mapa z rzymskiego statku znalezionej na Grenlandii zaprowadziła nas do artefaktów, które Sam Trinity znalazł w Roma. Obie części pasują do siebie idealnie.

- Ale czy...

- Nie, autentyczność rzymskich artefaktów została stwierdzona ponad wszelką wątpliwość - przerwał Wismerowi admirał. - To nie jest oszustwo, nie próba szalbierstwa, nie żadna gierka ani szaleńcza afera. Wiemy, że te wszystkie skarby tam są. Nie znamy tylko ich wartości.

- Nie zamierzamy sugerować, że skarby Biblioteki nie istnieją - powiedział szybko

Schiller. - Ale musisz zrozumieć, admirale, że międzynarodowe reperkusje tak ogromnego odkrycia mogą być trudne do przewidzenia, a jeszcze trudniejsze do opanowania.

Sandecker popatrzył na Schillera z kamienną twarzą.

- Nie rozumiem, w jaki sposób wydobyte na światło dzienne wiedzy starożytnego świata może spowodować Armageddon. A także, czy już trochę nie za późno na wycofanie się? Cały świat wie o tych skarbach. Hala Kamil obwieściła bliskość ich znalezienia w swoim przemówieniu w ONZ.

- Istnieją pewne względy - rzekł prezydent - z których nie zdajesz sobie sprawy. Prezydent Hasan może uznać, że cały skarb należy do Egiptu. Grecja może zażądać zwrotu złotej trumny Aleksandra. A kto wie, jakie żądania postawią Włochy?

- Może się myłę, panowie - powiedział Sandecker. - Myślałem jednak, że obiecaliśmy prezydentowi Hasanowi udział w odkryciu, aby wesprzeć jego rząd.

- To prawda - przyznał Schiller. - Było to jednak, zanim zlokalizowaliście skarb nad Rio Grande. Teraz prawdopodobnie będziemy musieli brać pod uwagę także Meksyk. Ten fanatyk Topiltzin może zażądać zwrotu całego skarbu, argumentując, że miejsce jego ukrycia należało pierwotnie do Meksyku.

- Można się tego spodziewać - odparł Sandecker. - Ale prawnie skarb jest własnością człowieka, na którego ziemi się znajduje.

- Sam Trinity otrzyma pokaźną sumę za swoją ziemię i za prawa do skarbu - rzekł Nichols. - Mogę również dodać, że suma ta będzie wolna od podatku.

Sandecker spojrzał na Nicholasa sceptycznie.

- Skarb może mieć wartość setek milionów. Czy nasz rząd jest przygotowany na aż tak wielką sumę?

- Raczej nie...

- A jeśli Trinity odrzuci tę ofertę?

- Są jeszcze inne metody załatwienia sprawy - powiedział Wismer z chłodną determinacją.

- Odkąd to rząd zajmuje się handlem dziełami sztuki?

- Nas interesuje wiedza zawarta w zwojach papirusów - rzekł Wismer. - Malarstwo, rzeźba i szczątki Aleksandra Wielkiego mają jedynie historyczne znaczenie.

- To zależy od punktu widzenia - zauważył Sandecker filozoficznie.

- Informacje zawarte w tych zapisach, zwłaszcza dane geologiczne, mogą mieć ogromny wpływ na nasze przyszłe rokowania z krajami Bliskiego Wschodu - ciągnął Wismer. - Trzeba też rozważyć rzecz pod kątem religijnym.

- Co tu jest do rozważania? W Bibliotece dokonano tłumaczenia hebrajskiego tekstu Starego Testamentu na grecki. To tłumaczenie jest podstawą wszystkich ksiąg Biblii.

- Ale nie Nowego Testamentu - poprawił Wismer Sandeckera. - Być może to teksaskie wzgórze kryje fakty historyczne zdolne podważyć założenia chrześcijaństwa. Fakty, które być może lepiej zostawić w ukryciu...

Sandecker spojrzał chłodno na Wismera, a potem skierował wzrok na prezydenta.

- Węszę w tym jakiś spisek, panie prezydencie. Byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał wyłuszczyć prawdziwe powody wezwania mnie tutaj.

- Zapewniam cię, admirale, że nie ma w tym nic groźnego. Jesteśmy jednak wszyscy zgodni, iż operacja nabrała tak wielkiej skali i złożoności, że trzeba ją przeprowadzić w ściśle określonych ramach.

Sandecker nie był tępy. Pułapka się zatrzasnęła. Zresztą wiedział niemal od początku, co się święci.

- Więc kiedy ludzie z NUMA... - urwał i spojrzał na senatora Pitta - a zwłaszcza twój syn, senatorze, odwalili całą brudną robotę, to teraz się ich odsuwa.

- Musisz przyznać, admirale - rzekł Wismer urzędowym tonem - że to nie zadanie dla specjalistycznej agencji rządowej, której głównym celem jest prowadzenie badań podwodnych.

Sandecker skwitował słowa Wismera wzruszeniem ramion.

- Prowadziliśmy tę operację do tej pory i nie widzę powodu, abyśmy nie mieli doprowadzić jej do końca.

- Bardzo mi przykro, admirale - powiedział prezydent zdecydowanym tonem - ale przekazuję sprawę Pentagonowi.

Sandecker oniemiał.

- Wojsku! - wybełkotał. - W czym mózdzku zrodził się ten pomysł?

W oczach prezydenta pojawiło się zakłopotanie. Potem na chwilę skierował wzrok na Wismera.

- Nieważne, kto jest autorem tego planu. Decyzję podjąłem ja sam.

- Nie rozumiesz, Jim - rzekł spokojnie senator - natknęliście się na sprawę wykraczającą daleko poza archeologię. Zasoby wiedzy spoczywające pod tym wzgórzem mogą zmienić naszą politykę bliskowschodnią na całe dziesięciolecia.

- I to właśnie jest powodem, dla którego musimy traktować tę sprawę jako ściśle tajną operację wywiadowczą - powiedział Wismer. - Musimy utajnić całą operację, dopóki wszystkie dokumenty nie zostaną gruntownie zbadane, a ich dane przeanalizowane.



- To może potrwać dwadzieścia lat, a nawet sto lat, zależnie od liczby papirusów oraz ich stanu... po szesnastowiecznym leżeniu pod ziemią odczytanie ich może być bardzo trudne - powiedział Sandecker.

- Jeżeli to ma tyle trwać... - Prezydent wzruszył ramionami.

Steward przyniósł owoce i mleko, ale admirał stracił apetyt.

- Innymi słowy, musicie najpierw należycie ocenić ten dar niebios - powiedział cierpko. - Następnie wynegocjować korzyści polityczne w zamian za starożytne mapy z zaznaczonymi zapomnianymi miejscami występowania złóż ropy i minerałów wokół Morza Śródziemnego. Jeśli szczątki Aleksandra nie rozsypały się w proch, można by w zamian za jego kości uzyskać przedłużenie wynajmu baz morskich. A wszystko to, zanim nasi obywatele dowiedzą się, jak rozdysponowaliście znalezisko.

- Nie możemy sobie pozwolić na podanie tego do publicznej wiadomości - wyjaśniał cierpliwie Schiller - dopóki nie będziemy gotowi do działania. Nie zdajesz sobie sprawy z ogromnych szans w dziedzinie polityki zagranicznej, jakie stworzyliście rządowi. Nie możemy tych szans ot tak sobie odrzucić dla zaspokojenia publicznej ciekawości.

- Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, panowie - odparł Sandecker. - Przyznaję jednak, że jestem starym sentymentalnym patriotą, który wierzy, iż ludzie zasługują, aby rząd traktował ich lepiej. Skarby Biblioteki Aleksandryjskiej nie należą do kilku polityków, którzy chcą nimi kupczyć, ale są własnością wszystkich Amerykanów.

Admirał nie czekał na odpowiedź. Wypił łyk mleka, a potem wyjął ze swojej walizeczki gazetę i rzucił ją niedbale na środek stołu.

- Wszyscy jesteście tak pochłonięci wielkimi sprawami, że przegapiliście panowie drobną wiadomość Agencji Reutera, którą wydrukowała większość gazet całego świata. Macie tu egzemplarz gazety z St. Louis, którą kupiłem wynajmując samochód. Zakreśliłem tę notatkę ołówkiem - jest na trzeciej stronie.

Wismer wziął gazetę i otworzył na wskazanej stronie. Przeczytał głośno nagłówek, po czym zaczął czytać tekst:

- „Czyżby Rzymianie wylądowali w Teksasie?”

Według najwyższych źródeł administracyjnych Waszyngtonu poszukiwania ogromnego podziemnego składu starożytnych skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej zostały zakończone kilkaset metrów na północ od Rio Grande, w Roma, w Teksasie. Znalezione przez Samuela Trinity na tym terenie artefakty archeolodzy uznali za autentyczne.

Poszukiwania rozpoczęto po odkryciu wśród lodów Grenlandii rzymskiego statku kupieckiego, pochodzącego z czwartego wieku naszej ery...”

Wismer umilkł z twarzą czerwoną z gniewu.

- Przeciek! Cholerny przeciek!

- Ale kto...? Jak...? - zastanawiał się wstrząśnięty Nichols.

- Najwyższe źródła administracyjne - powtórzył Sandecker. - To może oznaczać jedynie Biały Dom. - Spojrzał na prezydenta, potem na Nicholasa. - Pewnie któryś z waszych urzędników, pominięty w awansie lub wyrzucony z pracy.

Schiller patrzył ponuro na prezydenta.

- Zaraz się tam zaroi od tysięcy ludzi. Proponuję, aby pan kazał wojsku zabezpieczyć teren.

- Juliusz ma rację, panie prezydencie - powiedział Nichols. - Łowcy skarbów rozkopią te wzgórza doszczętnie, jeśli się ich nie powstrzyma.

Prezydent kiwnął głową.

- Dobrze, Dale. Połącz mnie z generałem Metcalfem z połączonych sztabów.

Nichols szybko wstał od stołu i wszedł do gabinetu zajmowanego przez agentów Secret Service i techników Białego Domu od telekomunikacji.

- Usilnie doradzam zamknięcie całej operacji - powiedział Wismer z naciskiem. - Powinniśmy również rozgłosić, że odkrycie jest pomyłką.

- To zły pomysł, panie prezydencie - stwierdził Schiller. - Nie opłaca się oszukiwać naszego narodu. Pańscy poprzednicy poznali to na własnej skórze. Środki masowego przekazu zwęszą podstęp i rozszarpią pana na strzępy.

- Popieram zdanie Juliusza - odezwał się Sandecker. - Należy zamknąć ten teren, ale prowadzić prace wykopaliskowe, nie ukrywając niczego i informując opinię publiczną. Proszę mi wierzyć, panie prezydencie, pańska opinia znacznie zyska dzięki ujawnianiu skarbów w miarę ich odkrywania.

Prezydent obrócił się i spojrzał na Wismera.

- Może wszystko będzie dobrze, Haroldzie.

- Miejmy nadzieję - rzekł Wismer, patrząc na notatkę. - Aż nie chce mi się myśleć, co może się stać, jeśli ten wariat Topiltzin postanowi zrobić z tego sprawę.

Sam Trinity stał patrząc, jak Pitt łączy przewody elektryczne biegnące od dwóch metalowych skrzynek umieszczonych na jeepie. Na jednej z nich był niewielki ekran, druga miała długą szczelinę, z której wystawał pasek papieru niczym rozplaszczony język.

- To jakieś niezwykle urządzenie - zauważył Trinity. - Jak ono się nazywa?

- Jest to system elektromagnetycznego profilowania do badań podpowierzchniowych - odparł Pitt podłączając przewody do dziwnego dwubarbnego przyrządu na czterech kółkach, z rączką do popychania. - Innymi słowy, jest to urządzenie radarowe do badań podziemnych, Georadar Jeden, produkowane przez korporację Oyo.

- Nie wiedziałem, że radar przenika kamienie i ziemię.

- Może dostarczyć niezłego przekroju pionowego do dziesięciu metrów, a w warunkach idealnych do dwudziestu metrów głębokości.

- Jak on działa?

- Kiedy przenośna sonda porusza się po terenie, jej nadajnik wysyła w głąb ziemi impulsy elektromagnetyczne. Odbite sygnały wracają do odbiornika i przekazywane są do kolorowego procesora oraz graficznego przyrządu rejestrującego, tu na jeepie. To z grubsza wszystko.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, abym holował nadajnik?

- Mam nad nim lepszą kontrolę, kiedy go popycham.

- Czego właściwie szukasz?

- Jamy.

- Masz na myśli grootę?

Pitt uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno.

Trinity patrzył ponad grzbietem wzgórz, na którym stali, na szczyt Wzgórza Gongory, oddalonego o czterysta metrów.

- A dlaczego zamierzasz szukać jej na grzbiecie niewłaściwego wzgórza?

- Chcę wypróbować urządzenie, zanim zajmiemy się właściwym miejscem - odparł Pitt. - Istnieje również możliwość, że Venator zakopał część skarbów gdzie indziej. - Umilkł i pomachał do Lily, która patrzyła przez niwelator. - Gotowe! - krzyknął.

Odpowiedziała mu również machnięciem i przysłała do nich niosąc w ręku deseczkę z przypiętym do niej pinezkami arkuszem papieru milimetrowego.

- Narysowałam ci siatkę - powiedziała wskazując ołówkiem zaznaczone miejsca. - Kołki ograniczające teren naszych badań są już powbijane. Będę szła za jeepem i śledziła

urządzenia. Mniej więcej co dwadzieścia metrów będę wbijała chorągiewkę, żebyśmy się posuwali w prostej linii.

Pitt kiwnął głową do Sama Trinity.

- Gotowy?

Trinity siadł za kierownicą i włączył silnik jeepa.

- Powiedz, kiedy mam ruszyć.

Pitt włączył urządzenie i wyregulował je. Potem chwycił rączki wózka sondy i wskazał przed siebie.

- Jazda!

Trinity włączył bieg i ruszył wolno naprzód, a Pitt szedł pięć metrów za nim popychając wózek sondy.

Lekkie chmurki przesłoniły słońce, przemieniając je w zamgloną żółtą kulę. Przesuwali się wolno tam i z powrotem, omijając drzewa i krzaki. W ten sposób minął ranek, zaczęło się popołudnie.

Zignorowali obiad, przerywając pracę tylko na polecenie Lily, gdy chciała skontrolować zapisy i zrobić notatki.

- Dobry odczyt? - spytał Pitt odpoczywając na tylnej klapie jeepa. - Jesteśmy w pobliżu czegoś, co wygląda interesująco - odparła pochłonięta swoimi notatkami Lily. - Może się jednak mylę. Będę wiedziała lepiej po dwóch dalszych nawrotach.

Trinity wręczył im po butelce piwa Mexican Bohemia z lodówki jeepa. Właśnie w czasie jednej z takich przerw Pitt zauważył ciągle rosnącą liczbę samochodów parkujących u podnóża Wzgórza Gongory. Po zboczach rozbiegli się ludzie, wykrywaczami metalu badając każdy metr terenu.

Sam również to zauważył.

- Moje napisy: „Wstęp wzbroniony” na nic się nie przydały - utyskiwał. - Można by pomyśleć, że są reklamą darmowych napoi.

- Skąd ich się tu tylu nabrało? - spytała Lily. - Jak to możliwe, żeby się tak szybko zwiedzieli?

Trinity spojrzął znad krawędzi okularów.

- To głównie miejscowi. Ktoś musiał wypaplać. Jutro o tej porze będzie ich znacznie więcej. Zaczną się zjeżdżać ze wszystkich stanów.

W jeepie zabręczał telefon i Trinity podniósł słuchawkę. Potem podał ją przez okno Pittowi.

- Do ciebie. Admirał Sandecker.

- Słucham, admirale.

- Załatwiono nas. Już nie prowadzimy prac wykopaliskowych - poinformował go Sandecker. - Doradcy namówili prezydenta, żeby przekazał tę operację Pentagonowi.

- To było do przewidzenia, ale wolałbym już Służbę Parkową. Jest lepiej wyekwipowana do prac archeologicznych.

- Biały Dom chce prędko dobrać się do wszystkich papirusów, aby je przestudiować. Obawiają się konfrontacji z krajami, które mogą zażądać udziału w odkryciu.

Pitt uderzył pięścią w dach jeepa.

- Do diabła! Nie mogą tu przyjechać i wrzucić wszystkiego na ciężarówki, jakby to były stare meble. Papirusy rozsypią się na proszek, jeśli się z nimi nieumiejętnie obejdą.

- Prezydent wziął na siebie to ryzyko.

- Przeszłość nie ma żadnego znaczenia wobec polityki, co?

- To nie jedyny problem - powiedział Sandecker. - Jakiś urzędnik z Białego Domu wygadał wszystko przedstawicielowi zagranicznej agencji telegraficznej. Wiadomość rozchodzi się jak zaraza.

- Już się zbierają tłumy.

- Nie tracą czasu.

- A jak rząd zamierza postąpić wobec faktu, że ta ziemia należy do Sama?

- Powiedzmy, że Sam otrzyma ofertę nie do odrzucenia - odparł Sandecker. - Prezydent i jego kołesie mają zamiar potraktować informacje zawarte w zwojach Biblioteki jako instrument polityczny.

- Czy do nich należy także mój ojciec?

- Obawiam się, że tak.

- A kto dokładnie przejmuje od nas operację?

- Kompania wojsk inżynierskich z Fort Hood. Już jadą do was ciężarówkami ze swym ekwipunkiem. Lada chwila na teren zostaną zrzucone z helikopterów siły zabezpieczające, które odetną dostęp ludziom z zewnątrz.

Pitt pomyślał chwilę, a potem rzekł:

- Czy mógłbyś użyć swoich wpływów, aby uzyskać dla mnie i dla Lily zezwolenie na pozostanie tutaj?

- Jak mam to umotywić?

- Że wiemy o poszukiwanych skarbach znacznie więcej niż ci, którzy będą prowadzili prace wykopaliskowe, więc jesteśmy tu niezbędni jako konsultanci. Przytocz na poparcie tytuły naukowe Lily. Powiedz, że prowadzimy powierzchniowe poszukiwania artefaktów.

Mów, co chcesz, admirale, byłeś uzyskał zgodę Białego Domu na naszą obecność tutaj.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparł Sandecker zapalając się do tego pomysłu, choć nie miał pojęcia, do czego Pitt zmierza. - Trudności będzie robił tylko Harold Wismer. Może senator nas poprze - wtedy jest szansa, że się uda.

- Zawiadom mnie, jeżeli ojciec będzie się ościagał. Sam wezmę się za niego.

- Będę z tobą w kontakcie.

Pitt oddał słuchawkę Samowi Trinity i zwrócił się do Lily.

- Zdjęli nas - poinformował ją. - Prace wykopaliskowe przejmuje wojsko. Zabiorą stąd wszystko, co tylko zdołają załadować na ciężarówkę.

Lily była wstrząśnięta.

- Przecież oni zniszczą wszystkie papirusy - wyjąkała. - Trzeba się z nimi obchodzić bardzo delikatnie. Po szesnastu wiekach leżenia w podziemnej jaskini przy nagłej zmianie temperatury mogą się rozsypać od najlżejszego dotknięcia.

- Właśnie to samo powiedziałem admirałowi - rzekł Pitt bezradnie.

Trinity był zawiedziony.

- To co? - spytał przeciągając samogłoski. - Koniec roboty?

Pitt spojrzał na kolki ograniczające pole poszukiwań.

- Jeszcze nie - odparł wolno, z rozmysłem. - Skończmy, co zaczęliśmy.

Przy doku klubu jachtowego w Aleksandrii stanęła długa limuzyna. Szofer otworzył drzwi i z tylnego siedzenia podniósł się Robert Capesterre. Ubrany w szyty na miarę biały płócienny garnitur i granatową koszulę z dopasowanym barwą krawatem, wcale nie przypominał Topiltzina.

Zszedł po kamiennych schodach do oczekującej łodzi motorowej. Usiadł na miękkich poduszkach i dał się powieźć ku wejściu do portu, gdzie niegdyś stała słynna latarnia morska, wysoka na 135 metrów i znana pod nazwą Faros Aleksandryjskiej, jeden z siedmiu cudów starożytnego świata. Pozostało z niej obecnie tylko kilka kamiennych bloków wmurowanych w arabski fort.

Łódź skierowała się ku dużemu jachtowi, który stał na kotwicy przy długiej i szerokiej plaży obok portu. Capesterre nieraz bywał na pokładzie tego jachtu. Został on zbudowany w Danii, miał piękne opływowe linie, transoceaniczny zasięg i szybkość trzydziestu węzłów.

Sternik zwolnił obroty silnika i kiedy łódź zbliżała się do trapu, włączył wsteczny bieg. Na spotkanie Roberta Capesterre'a wyszedł na pokład mężczyzna ubrany w rozpiętą przy szyi jedwabną koszulę, szorty i sandały. Uściskali się.

- Witaj, bracie - powiedział Paul Capesterre. - Dawno cię nie widziałem.

- Dobrze wyglądasz, Paul. Przytyliście wraz z Achmadem Yazidem jakieś cztery kilo.

- Sześć.

- Dziwne oglądać cię po cywilnemu - rzekł Robert.

Paul wzruszył ramionami.

- Znudził mi się ten arabski strój Yazida i jego głupi turban. - Odstąpił w tył i uśmiechnął się do brata. - A gdzie twoje przebranie za azteckiego boga?

- Topiltzin jest chwilowo na urlopie. - Robert umilkł i wskazał ruchem głowy jacht. - Widzę, że pożyczylesz go od wuja Teodora.

- Odkąd rodzina przestała się zajmować narkotykami, jest mu prawie niepotrzebny.

- Paul Capesterre poprowadził brata do salonu. - Chodź, kazałem podać obiad. Teraz, kiedy już wiem, że zasmakowałeś w szampanie, odkurzyłem butelkę najlepszego rocznika wuja.

Robert wziął kieliszek.

- Myślałem, że prezydent Hasan zamknął cię w areszcie domowym.

- Tylko dlatego kupiłem willę, w której mieszkam, że jest w niej podziemny tunel, który ma sto metrów długości i wyjście w zakładzie mechanicznym.

- Który też należy do ciebie?

- Oczywiście.

Robert uniósł kieliszek.

- Za matkę i ojca tego wspaniałego przedsięwzięcia.

Paul powiedział:

- W obecnej chwili twoja część w Meksyku wygląda bardziej obiecująco niż moja w Egipcie.

- Przecież nie ponosisz winy za fiasko z porwaniem „Lady Flamborough”. Rodzina zatwierdziła plan. Nikt nie mógł przewidzieć, że Amerykanie okażą się tacy sprytni.

- Ten idiota Sulejman Aziz Ammar - rzekł Paul cierpko. - To on zawałił całą operację.

- Czy ktoś ocalał?

- Nasi agenci twierdzą, że większość zginęła, włącznie z Ammarem i twoim kapitanem Machado. Kilku dostało się do niewoli, ale nie wiedzą o naszym udziale w tym wszystkim.

- Więc powinniśmy się uważać za szczęśliwych. Skoro Ammar i Machado nie żyją, żadna agencja wywiadowcza nie może nas tknąć. Tylko oni wiedzieli, że mamy coś wspólnego z tą sprawą.

- Jednak prezydent Hasan nie miał żadnych trudności w zorientowaniu się w sytuacji... inaczej nie nałożyłby na mnie aresztu domowego.

- Tak - zgodził się Robert - ale nie może postawić cię przed sądem bez niepodważalnych dowodów. Gdyby spróbował to zrobić, twoi zwolennicy powstaną i uniemożliwią rozprawę. Rodzina radzi, abyś siedział teraz cicho i umacniał szeregi swoich popleczników. Przynajmniej przez rok, żeby się zorientować, skąd wieje wiatr.

- Na razie wiatr wieje w żagle Hasana, Hali Kamil i Abu Hamida - rzekł Paul gniewnie.

- Bądź cierpliwy. Wkrótce twój islamski ruch fundamentalistów wyniesie cię do parlamentu egipskiego.

Paul spojrział z namysłem na Roberta.

- Odkrycie skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej może trochę przyspieszyć sprawę.

- Czytałeś już ostatnie wiadomości? - spytał Robert.

- Tak, Amerykanie twierdzą, że znaleźli miejsce ich ukrycia w Teksasie.

- Posiadanie starożytnych map geologicznych może okazać się dla ciebie korzystne. Jeżeli wskażą bogate złoża ropy i minerałów, będziesz mógł twierdzić, że uratowałeś egipską gospodarkę.

- Myślałem o tym - odparł Paul. - O ile dobrze zrozumiałem, prezydent Stanów



Zjednoczonych zechce posłużyć się skarbami Biblioteki jako elementem przetargowym. Kiedy Hasan będzie prosił o jakąś mizerną część egipskiej spuścizny historycznej, ja wystąpię przed ludem i stwierdzę, iż jest to zniewaga wobec naszych przodków. - Paul zawahał się, a potem ze zwięzonymi oczyma zaczął mówić dalej: - Stosując odpowiednią semantykę, potrafię urobić prawo muzułmańskie i słowa Koranu w jednoczące hasła, które obalą rząd Hasana.

Robert spojrział na brata z rozbawieniem.

- Tylko niech ci nie drgnie twarz, kiedy będziesz przemawiał. W trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku większość zwojów spalili chrześcijanie, ale w sześćset czterdziestym szóstym dzieła ostatecznego zniszczenia Biblioteki dokonali właśnie muzułmanie.

Kelner podał szkockiego wędzonego łososa i irański kawior. Przez kilka minut jedli w milczeniu. Potem Paul powiedział:

- Zdajesz sobie sprawę, że cały ciężar zdobycia skarbów Biblioteki spada na twoje barki?

Robert spojrział na niego znad krawędzi kieliszka z szampanem.

- Mówisz do mnie, czy do Topiltzina?

Paul roześmiał się.

- Do Topiltzina.

Robert odstawił kieliszek, wolno uniósł dłonie, jakby chciał zakłąć muchę siedzącą na suficie. Jego oczy nabrały hipnotycznego wyrazu i zaczął mówić niskim, głuchym głosem:

- Powstaniemy dziesiątkami tysięcy, setkami tysięcy. Przejdziemy rzekę jak jeden mąż i weźmiemy to, co spoczywało w naszej ziemi, ziemi skradzionej nam przez Amerykanów. Wielu z nas padnie, ale bogowie chcą, abyśmy zabrali to, co prawnie należy do Meksyku. - Potem opuścił ręce i uśmiechnął się. - Oczywiście tekst wymaga wypolerowania.

- Zupełnie, jakbym widział siebie - rzekł Paul klaszcząc.

- Jesteśmy w końcu braćmi. - Robert nabił na widelec ostatni kawałek łososa. - Wspaniały. Mógłbym go zjeść nie wiem ile. - Popił łososa szampanem. - Jeżeli zdołam zdobyć te skarby, to co potem?

- Ja chcę tylko mapy. Wszystko inne, co się da przemyścić, pójdzie dla rodziny albo na sprzedaż bogatym kolekcjonerom na czarnym rynku. Zgoda?

Robert pomyślał chwilę, a potem kiwnął głową.

- Zgoda.

Kelner przyniósł tacę z kieliszkami, butelką koniaku i pudełkiem cygar.

Paul zapalił. Przez dym spojrział pytająco na brata.

- Jak zamierzasz zdobyć skarby Biblioteki?

- Po dojściu do władzy chcę dokonać inwazji na amerykańskie stany graniczące z Meksykiem. Inwazji bez broni. Myślę, że mam teraz dobrą okazję, by to wypróbować. - Patrzył na obracany w dłoniach kieliszek. - Gdy puszcze w ruch koła mojej organizacji, biedacy z miast i chłopci ze wsi zostaną przetransportowani na północ, do miasteczka Roma w Teksasie. W cztery dni mogę zgromadzić trzysta, może nawet czterysta tysięcy ludzi po naszej stronie Rio Grande.

- A co z Amerykanami? Myślisz, że nie zareagują?

- Żołnierze, straż graniczna i policja teksaska będą zupełnie bezradni wobec takiego naporu. Najpierw pójda kobiety i dzieci. Amerykanie to ckliwa zgraja. Mogli wyrzynać wieśniaków w Wietnamie, ale nie zmasakrują bezbronnych cywilów na własnym progu. Mogę też wykorzystać obawę Białego Domu przed brzydkim incydem międzynarodowym. Prezydent nie ośmieli się wydać rozkazu strzelania. Bierny opór zostanie złamany przez ludzką powódź, która zaleje miasteczko Roma i zajmie podziemną grootę zawierającą skarby Biblioteki.

- A poprowadzi ją Topiltzin?

- Właśnie.

- Jak długo zdołasz utrzymać grootę? - spytał Paul.

- Wystarczająco długo, by tłumacze zdążyli ocenić i zabrać zwoje odnoszące się do zapomnianych złóż minerałów.

- To może zająć całe tygodnie. Nie będziesz miał tyle czasu. Amerykanie otrząsną się i odepchną twoich ludzi z powrotem do Meksyku w parę dni.

- Nie, jeśli zagrozę, że spalę zwoje papirusów i zniszczę dzieła sztuki. - Robert otarł usta serwetką. - Mój odrzutowiec już chyba zatankował. Muszę wracać do Meksyku i rozpocząć operację.

W oczach Paula odbił się podziw dla brata.

- Przyparty do muru rząd amerykański nie będzie miał innego wyboru, jak pertraktować. To mi się podoba.

- Będzie to największa horda ludzi, jaka dokona najazdu na Stany Zjednoczone od inwazji Brytyjczyków podczas wojny o niepodległość - powiedział Robert. - To mi się podoba jeszcze bardziej.

Pierwszego dnia przybywali całymi tysiącami, drugiego już dziesiątkami tysięcy. Zainspirowani płomiennymi bredniami Topiltzina ludzie ściągali z północnej części Meksyku samochodami, przeładowanymi autobusami i ciężarówkami lub piechotą do przygranicznego Miguel Aleman oddzielonego rzeką od Roma. Asfaltowe szosy z Monterrey, Tampico i Mexico City były wypełnione najprzeróżniejszymi pojazdami i tłumami pieszych.

Prezydent De Lorenzo usiłował powstrzymać tę toczącą się ku granicy lawinę ludzką. Wezwał meksykańskie siły zbrojne do zablokowania dróg, ale z równym skutkiem mogły próbować powstrzymać powódź. Pod Guadalupe oddział żołnierzy zagrożony stratowaniem zaczął strzelać w tłum, zabijając czterdzieści cztery osoby, w większości kobiety i dzieci.

De Lorenzo nieświadomie działał na korzyść Topiltzina - Robert Capesterre oczekiwał dokładnie takiej jego reakcji. W Mexico City wybuchły bunty i De Lorenzo zdał sobie sprawę, że musi się wycofać lub stawić czoło narastającym zamieszkom, może nawet rewolucji. Skomunikował się z Białym Domem i wyraził szczery żal, że nie udało mu się powstrzymać potopu, po czym odwołał żołnierzy, z których wielu zdezerterowało i przyłączyło się do tłumów.

Nie powstrzymywana przez nikogo ciżba parła ku Rio Grande.

Rodzina Capesterre'ów wynajęła zawodowych planistów i zgodnie z ich instrukcjami zwolennicy Topiltzina wzniesli na obszarze pięciu kilometrów kwadratowych miasto namiotów, z kuchniami i przywiezionymi na ciężarówkach urządzeniami sanitarnymi. O niczym nie zapomniano. Wielu przybyłych tam biedaków nigdy nie mieszkało ani nie jadło tak dobrze.

Po meksykańskiej stronie rzeki pojawiły się ręcznie malowane transparenty głoszące: STANY ZJEDNOCZONE ZAGARNEŁY NASZE ZIEMIE - CHCEMY POWROTU ZIEM NASZYCH PRZODKÓW - SKARBY STAROŻYTNOŚCI NALEŻĄ DO MEKSYKU. Wykrzykiwano te slogany po angielsku, hiszpańsku i w narzeczu nahuatl. Wśród tłumów przechadzał się Topiltzin, uprawiając je w szaleńczy entuzjizm.

Ekipy telewizyjne uwijały się filmując to wszystko. Kamery na statywach, z przewodami prowadzącymi do kilku wozów transmisyjnych, stały jedna przy drugiej na szczycie urwiska po amerykańskiej stronie, wycelowane w przeciwległy brzeg.

Niczego nie podejrzewający korespondenci, którzy krążyli wśród tłumu, nie wiedzieli, że wypytywani przez nich wieśniacy zostali do tego skrupulatnie przygotowani. W większości wypadków ci niby to prości, zabiedzeni ludzie byli zawodowymi aktorami

mówiącymi płynnie po angielsku, ale odpowiadali jękając się, kulawą angielszczyzną. Ich łzawe deklaracje, że pragną osiąść na stałe w Kalifornii, Arizonie, Nowym Meksyku i Teksasie, uzyskały natychmiast pełne poparcie w całym narodzie, kiedy wywiady z nimi ukazały się w wieczornych wiadomościach i porannych programach publicystycznych.

Jedynie członkowie amerykańskiej Służby Granicznej stali posepni i niewzruszeni. Koszmar masowego wtargnięcia na teren Stanów Zjednoczonych dotychczas tylko im się śnił. Teraz mieli doświadczyć go na jawie.

Amerykańska Służba Graniczna rzadko musiała sięgać po broń. Traktowała nielegalnych imigrantów łagodnie i z szacunkiem. Patrzyła więc teraz z niepokojem na wojsko stojące wzdłuż granicy.

Żołnierze byli młodzi i sprawni. Nie szkolono ich jednak do walki z bezbronnymi cywilami.

Dowódca, generał brygady Curtis Chandler, kazał zabarykadować most czołgami i pojazdami opancerzonymi, ale Topiltzin przygotował się także na tę okoliczność. Brzeg rzeki był pokryty łódkami, tratwami i dętkami kół ciężarówek, ściągniętych z obszaru o promieniu dwustu mil. Przygotowano mosty linowe, które czekały, aż pierwsza fala ludzi zamocuje ich końce na drugim brzegu.

Wywiad generała Chandlera obliczał tę pierwszą falę ludzi na dwadzieścia tysięcy. Jedna z wywiadowczyń przedostała się do miejsca, w którym stacjonował sztab Topiltzina, i doniosła, że atak ma nastąpić pewnego późnego wieczoru, gdy mesjasz aztecki wprowadzi swoich zwolenników w stan euforii. Nie mogła jednak dowiedzieć się, którego wieczoru.

Chandler walczył w Wietnamie. Przekonał się, co to znaczy zabijać młodych chłopców i dziewczęta, atakujących niespodziewanie w dżungli. Wydał rozkaz, by w chwili rozpoczęcia przeprawy przez rzekę strzelać nad głowami tłumu.

A jeśli ogień ostrzegawczy nie powstrzyma inwazji...? Chandler był żołnierzem, który wypełniał polecenia przełożonych bez wahania. Jeśli dostanie taki rozkaz, będzie musiał użyć siły, aby odeprzeć ten napór.

Pitt stał na dachu sklepu Sama Trinity i patrzył przez teleskop, którego Teksasńczyk używał do obserwacji gwiazd. Słońce skryło się już za wzgórzami i zapadał zmierzch, lecz widowisko przygotowywane po tamtej stronie rzeki miało się dopiero zacząć. Zabłyśły baterie różnokolorowych reflektorów.

Skierował teleskop na maleńką postać ubraną w białą szatę do kostek i barwny pióropus, stojącą na wąskiej platformie u szczytu wieży w środku miasta. Wywnioskował z gwałtownych ruchów wzniesionych rąk, że człowiek ów wygłasza właśnie płomienną mowę.

- Ciekawe, kim jest facet w tym niesamowitym stroju, który podburza krajowców - powiedział do siebie.

Sandecker przeglądał z Lily pionowe przekroje wzgórza. Podniósł wzrok na Pitta.

- Prawdopodobnie to ten oszust Topiltzin - mruknął.

- Umie porywać tłumy.

- Czy wygląda na to, że ruszą dziś w nocy? - spytała Lily.

Pitt wyprostował się i potrząsnął głową.

- Są bardzo podnieceni, ale wątpię, czy to nastąpi w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Topiltzin nie pchnie ludzi za rzekę, póki się nie upewni, że ma nad nimi całkowitą władzę.

- Topiltzin to pseudonim - poinformował go Sandecker. - Jego prawdziwe nazwisko brzmi Capesterre. - Uniósł kciuk i palec wskazujący rozwarł na cal. - Jest o tyle od przejęcia władzy w Meksyku.

- Jeżeli to zgromadzenie na tamtym brzegu może być jakąś wskazówką, chce również zawładnąć południowo-zachodnią częścią Stanów Zjednoczonych.

Lily wstała i przeciągnęła się.

- To siedzenie doprowadza mnie do szału. My tu ciężko pracujemy, a wojska inżynieryjne zbierają całą chwałę. Nie pozwalają nam nadzorować prac wykopaliskowych i przebywać na ziemi, która należy do Sama... Uważam to za bezczelność.

Pitt i Sandecker uśmiechnęli się słysząc te słowa.

- Ja bym to mocniej określił - rzekł admirał.

Lily gryzła nerwowo koniuszek pióra.

- Czemu nie ma żadnej wiadomości od senatora? Powinien już się odezwać.

- Nie wiem - odparł Sandecker. - Kiedy mu przedstawiłem sprawę, powiedział, że jakoś to załatwi.

- Chciałabym wiedzieć, na czym stoimy - burknęła Lily.

Na schodach pojawił się Trinity ubrany w kuchenny fartuch.

- Czy ktoś ma ochotę na talerz mojego słynnego chili?

Lily spojrzała na niego.

- Bardzo ostre?

- Młoda damo, mogę je zrobić łagodne jak ślaz albo ostre jak kwas akumulatorowy. Jak kto sobie życzy.

- Ja piszę się na ślaz - powiedziała Lily.

Zanim Pitt i Sandecker zdążyli coś powiedzieć, Trinity odwrócił się i spojrzał na rząd

światel samochodów posuwających się drogą.

- Pewnie jeszcze jeden konwój wojskowy - oznajmił. - Odkąd generał zamknął wszystkie drogi i skierował cały ruch na północ, nie było tutaj żadnych aut ani ciężarówek.

Wkrótce naliczyli pięć ciężarówek jadących za hummerem, wojskowym pojazdem terenowym. Ostatnia ciężarówka wlokła przyczepę z jakąś ogromną maszyną okrytą plandeką. Konwój nie skręcił ku obozowi wojsk inżynieryjnych na Wzgórzu Gongory ani nie pojechał dalej do miasteczka. Hummer poprowadził go na podjazd przed Rzymskim Cyrkiem Sama i zatrzymał się między dystrybutorami a sklepem. Pasażerowie hummera wysiedli i zaczęli się rozglądać.

Pitt rozpoznał trzy znajome twarze. Dwie należały do mężczyzn w mundurach, a trzecia do człowieka w swetrze i dżinsach. Pitt przeszedł ostrożnie przez barierkę dachu, opuścił się na rękach i znalazłszy się w ten sposób kilka stóp nad ziemią, skoczył. Wylądował tuż przed nowo przybyłymi z lekkim jękiem z powodu bólu w zranionej nodze. Byli równie zdumieni jego nagłym pojawieniem się, jak on ich przybyciem.

- Spadłeś z nieba? - zapytał Al Giordino z szerokim uśmiechem. Wyglądał blade w świetle reflektorów i miał rękę na temblaku, ale był czupurny jak zawsze.

- Chciałem cię właśnie o to samo zapytać.

- Nie myślałem, że się tak szybko spotkamy - rzekł pułkownik Hollis.

- Ani ja - dodał major Dillinger.

Pitt odczuł falę ulgi przepływającą przez ciało.

- Nie wyobrażacie sobie, jak się cieszę z waszego przybycia. Skąd się tu wzięliście?

- Twój ojciec użył swego daru przekonywania w rozmowie z szefami połączonych sztabów - wyjaśnił Hollis. - Ledwo zdążyłem napisać raport z operacji „Lady Flamborough”, kiedy przyszedł rozkaz, abym wyruszył ze swoimi oddziałami drogą kołową, używając bocznych szlaków. Cichutko i w wielkiej tajemnicy. Powiedziano mi, że dowódca sił polowych nie będzie wiedział o naszej misji, póki nie zamelduję się u niego.

- Generał Chandler - rzekł Pitt.

- Tak, Chandler Żelazna Gęba. Służyłem pod nim w NATO przed ośmiu laty. Wciąż sądzi, że wojnę mogą wygrać tylko czołgi. Dostał więc brudną robotę, czyli obronę mostu.

- Jaki masz rozkaz?

- Pomagać tobie i doktor Sharp w wykonywaniu waszych zadań. Admirał Sandecker ma pełnić rolę bezpośredniego łącznika z senatorem i Pentagonem. Tyle tylko wiem.

- Żadnej wzmianki o Białym Domu?

- Żadnej. - Odwrócił się, bo właśnie z drzwi wypadła Lily, a za nią admirał

Sandecker. Gdy Lily rzuciła się, aby uściskać Giordina, a Dillinger przedstawiał się Sandeckerowi, Hollis odciągnął Pitta na bok.

- Co się tu u diabła dzieje? - mruknął. - Cyrk?

Pitt uśmiechnął się.

- Nawet nie wiesz, jaki bliski jesteś prawdy.

- Co mają tu do roboty moje Specjalne Siły Operacyjne?

- Kiedy wszyscy wezmą się za łby - rzekł Pitt nagle poważniejąc - twoim zadaniem będzie wysadzić cały interes w powietrze.

Koparka, którą Specjalne Siły Operacyjne przywiozły z Wirginii, była ogromna. Szerokie gąsienice wydzwignęły masywną maszynę w górę zbocza do miejsca, które Lily zaznaczyła chorągiewkami. Po dziesięciu minutach instruktażu i kilku próbach Pitt zapamiętał funkcję lewarków i zaczął operować stalowym potworem. Uniósł ponad dwumetrową łyżkę, a potem opuścił ją jak gigantyczny szpon, który uderzył w twardą ziemię z głośnym brzękiem.

W niespełną godzinę w zboczu góry został wykopany rów o głębokości sześciu metrów i dwudziestu długości. Tyle zdołano dokonać, zanim nadjechał przebijając się przez zarośla chevrolet blazer z napędem na cztery koła, a zaraz potem ciężarówka z uzbrojonymi żołnierzami.

Jeszcze koła chevroleta nie przestały się obracać, gdy wyskoczył z niego prosty jak trzcina kapitan o oczach człowieka oddanego duszą i ciałem wojskowej dyscyplinie.

- To teren zamknięty - warknął. - Przed dwoma dniami sam was ostrzegłem, abyście tu nie wchodzili. Musicie zaraz usunąć swoje maszyny i opuścić to miejsce.

Pitt wysiadł z kabiny i spojrzał na dno rowu, jakby oficer w ogóle nie istniał.

Kapitan poczerwieniał i warknął do sierżanta:

- Sierżancie O'Hara, przygotujcie się do usunięcia stąd tych cywili.

Pitt wolno odwrócił się i uśmiechnął mile.

- Przykro mi, ale zostaniemy tutaj.

Kapitan też się uśmiechnął, lecz był to jadowity uśmiech.

- Ma pan trzy minuty na zabranie koparki i opuszczenie tego terenu.

- Chce pan zobaczyć papiery, które upoważniają nas do pozostania tutaj?

- Jeżeli nie są podpisane przez generała Chandlera, traci pan tylko czas.

- To są papiery od wyższych władz.

- Macie trzy minuty - rzekł kapitan. - Potem każę was usunąć siłą.

Lily, Giordino i admirał, którzy schronili się przed słońcem do wypożyczonego od Sama Trinity jeepa, podeszli, żeby się przyjrzeć temu przedstawieniu. Lily miała na sobie tylko staniczek i obcisłe szorty. Paradowała w nich tam i z powrotem przed frontem żołnierzy.

Kobiety, które nigdy nie wychodziły w wiadomych celach na ulicę, nie potrafią chodzić z uwodzicielskim kołysaniem bioder w sposób naturalny. Zwykle mocno w tym przesadzają. Lily nie była wyjątkiem, ale żołnierzom to nie przeszkadzało. Pożerali ją oczyma.



Pitt nie cierpiał nadętych zarozumiałców.

- Ma pan tylko dwunastu żołnierzy, kapitanie. Dwunastu saperów, po niespełna stu godzinach ćwiczeń bojowych. Ja mam czterdziestu takich, z których dwu gołymi rękami zlikwidowałoby pański oddział w pół minuty. Ja nie proszę, ja każę panu się wycofać.

Kapitan rozejrzał się wokół, ale zobaczył tylko Lily przechadzającą się przed żołnierzami, admirała Sandeckera, który spokojnie palił wielkie cygaro, i mężczyznę z ręką na temblaku.

Spojrzał szybko na Pitta, lecz oczy tamtego nie zdradzały żadnych uczuć. Zrobił ruch ręką.

- Sierzancie, usuńcie stąd tych ludzi.

Zanim jego żołnierze zdążyli zrobić dwa kroki, jak spod ziemi ukazał się pułkownik Hollis. Był w mundurze polowym o barwach ochronnych i miał pomazane ręce i twarz.

- Mamy jakiś problem? - spytał Hollis kapitana z życzliwością grzechotnika, który patrzy na susła.

Kapitan rozdziawił ze zdziwienia usta, jego ludzie zastygli w bezruchu. Podeszedł kilka kroków bliżej i przyjrzał się Hollisowi, lecz nie mógł zorientować się w jego randze.

- Kim pan jest? - wybełkotał. - Z jakiej jednostki?

- Pułkownik Morton Hollis, Specjalne Siły Operacyjne.

- Kapitan Louis Cranston, czterysta osiemdziesiąty szósty batalion wojsk inżynieryjnych.

Zasalutowali sobie i Hollis wskazał saperów z gotową do strzału bronią automatyczną.

- Myślę, że może im pan dać komendę „spocznij”.

Cranston nie wiedział, jak ma się odnieść do tego nieznanego pułkownika, który pojawił się tak nagle.

- Mogę zapytać, pułkowniku, co tu robi oficer Służb Specjalnych?

- Pilnuję, aby ci ludzie mogli bez przeszkód prowadzić badania archeologiczne.

- Muszę przypomnieć panu, pułkowniku, że cywile nie mają prawa przebywać w strefie wojskowej.

- A jeśli powiem panu, że mają na to pozwolenie?

- Przykro mi, pułkowniku, ale mam rozkaz od generała Chandlera. Bardzo wyraźny rozkaz. Nikt, a więc i pan, pułkowniku, nie ma prawa przebywać...

- Mam rozumieć, że i mnie chce pan usunąć?

- Jeśli nie przedstawi mi pan zezwolenia podpisanego osobiście przez generała

Chandlera - rzekł zdenerwowany Cranston - muszę wykonać rozkaz.

- Pańskie nieugięte stanowisko nie przyniesie panu medali, kapitanie. Niech pan przemyśli sprawę.

Cranston wiedział doskonale, że zabawiano się jego kosztem, i wcale mu się to nie podobało.

- Niech mi pan nie przysparza kłopotów, pułkowniku.

- Proszę zabrać swoich ludzi i wracać do bazy nie oglądając się nawet za siebie.

Pitt odwrócił się i opuścił do rowu. Zaczął grzebać w ziemi. Giordino i Sandecker podeszli wolno nad krawędź i przyglądali mu się.

Cranston się wahał. Miał do czynienia z oficerem wyższym rangą, ale otrzymał wyraźne rozkazy. Postanowił nie ugiąć się. W razie czego generał Chandler z pewnością go poprze.

Zanim jednak zdążył wydać żołnierzom ponowny rozkaz, by oczyścili teren, Hollis wyjął z kieszeni gwizdek i zagwizdał przenikliwie dwa razy.

Nagle Cranstona i jego żołnierzy otoczyło czterdzieści kształtów bardziej przypominających krzaki niż ludzi.

Wzrok Hollisa stał się jadowity.

- Bang, i już nie żyjesz.

- Wzywałeś nas, szefie? - padło z krzaka przypominającego Dillingera.

Zadziorność Cranstona znikła.

- Muszę... zameldować o tym... generałowi Chandlerowi - wyjąkał.

- Niech pan to zrobi - rzekł chłodno Hollis. - Niech go pan również poinformuje, że działałam na rozkaz generała Clayтона Metcalfa z połączonych sztabów. Można to sprawdzić łącząc się z Pentagonem. Ci ludzie i mój oddział nie są tutaj po to, aby wam przeszkadzać w pracach wykopaliskowych na Wzgórzu Gongory albo utrudniać operację wzdłuż rzeki. Naszym zadaniem jest szukanie i zabezpieczanie artefaktów na powierzchni ziemi, zanim zostaną przez kogoś skradzione. Rozumie pan, kapitanie?

- Rozumiem, panie pułkowniku - odparł Cranston patrząc niespokojnie na pełnych zdecydowania żołnierzach, których twarze pod farbą maskującą wyglądały bardzo groźnie.

- Znalazłem jeszcze jeden! - krzyknął niewidoczny w rowie Pitt.

Podniecony Sandecker przywołał wszystkich nad krawędź.

- On coś ma!

Natychmiast zapomniano o całej konfrontacji i wszyscy, zarówno żołnierze Specjalnych Sił Operacyjnych jak i saperzy, stłoczyli się nad rowem. Pitt klęcząc ocierał z

ziemi długi metalowy przedmiot.

Po kilku chwilach podał go ostrożnie Lily. Wszyscy patrzyli w napięciu.

- Miecz z czwartego wieku o zdecydowanie rzymskich cechach charakterystycznych - obwieściła. - Niemal idealnie zachowany.

- Czy mogę...? - spytał Hollis.

Podawała mu go, a on delikatnie ujął miecz za rękojeść i wznosił ostrze nad głowę.

- I pomyśleć - mruknął z nabożeństwem w głosie - że ostatni człowiek, który go miał w ręku, to rzymski legionista. - Potem podał go Cranstonowi. - Chciałby pan walczyć czymś takim, a nie pistoletem automatycznym?

- Wolałbym dostać kulę - powiedział Cranston w zamyśleniu - niż zostać posiekany na kawałki.

Gdy tylko saperzy odjechali do swego obozu, Pitt powiedział do Hollisa:

- Gratuluję maskowania. Wypatrzyłem tylko trzech z twojego oddziału.

- To było niesamowite - powiedziała Lily - wiedzieć, że jesteście, ale nie móc was zobaczyć.

Hollis sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Jesteśmy bardziej przyzwyczajeni do maskowania się w lesie lub dżungli. To były dobre ćwiczenia w niemal całkiem odkrytym terenie.

- Świetna robota - dodał Sandecker ściskając dłoń Hollisa.

- Miejmy nadzieję, że generał Chandler kupi to, co kapitan Cranston mu powie - rzekł Giordino.

- Jeśli w ogóle zechce go wysłuchać - odparł Pitt. - Dla generała najważniejszą sprawą jest teraz powstrzymanie Meksykan od przejścia przez granicę. Nie ma czasu, żeby się nami zajmować.

- A co zrobimy z tym rzymskim mieczem? - spytał Hollis.

- Zwrócimy go Samowi.

Hollis spojrzał na Pitta zaskoczony.

- Nie znalazłeś go w tym rowie?

- Nie.

- Będziesz dalej kopał?

Pitt jakby nie słyszał Hollisa. Wszedł na wierzchołek wzgórza i spojrzał w dół na Meksyk. Od poprzedniego dnia miasto namiotów powiększyło się dwukrotnie. Jutro wieczorem, myślał. Topiltzin rozpęta burzę jutro wieczorem. Odwrócił się w lewo i spojrzał na Wzgórze Gongory.

Saperzy kopali dokładnie tam, gdzie poprzedniego dnia Lily powbiła kołki. Robili dwa rodzaje wykopów. Jednym był tunel ze stemplami. Drugim otwarty krater w zboczu wzgórza, zwężający się ku dołowi. Prace postępowały wolno, gdyż generał Chandler odwołał większość saperów na granicę.

Pitt odwrócił się i podszedł do Hollisa.

- Kto jest twoim najlepszym ekspertem od ładunków wybuchowych?

- Major Dillinger.

- Potrzebuję około dwustu kilogramów żelatyny nitroglicerynowej.

Hollis spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Dwieście kilogramów? Dziesięć kilo wystarczy, żeby wysadzić w powietrze okręt. Wiesz, o co mnie prosisz? Żelatyna wybuchowa jest bardzo podatna na wstrząsy.

- Potrzebuję też baterii reflektorów - ciągnął Pitt. - Możemy ją pożyczyć od jakiejś grupy rockowej. Punktówki, światła stroboskopowe i kolumny głośnikowe. - Potem zwrócił się do Lily: - A ty musisz mi znaleźć człowieka, który potrafi zbić skrzynię.

- Po co ci to, na miłość boską? - spytała Lily z oczyma rozszerzonymi ciekawością.

- Później wam wyjaśnię - powiedział Pitt.

- Czyste wariactwo - odrzekła Lily.

Plan Pitta był dwa razy bardziej wariacki, niż sądziła Lily, ale nie zdradzał się z nim przed nikim.

Na podjeździe willi Yazida pod Aleksandrią zatrzymała się zielona taksówka. Warta wojskowa, wystawiona przy bramie na osobisty rozkaz prezydenta Hasana, zaniepokoiła się na widok stojącego samochodu, z którego nikt nie wychodził.

Ammar siedział na tylnym siedzeniu z grubo obandażowanymi oczami i szczęką. Miał na sobie błękitną jedwabną szatę i mały czerwony turban. Po ucieczce z Santa Inez spędził dwie godziny u podejrzanego chirurga w jakimś zaułku Buenos Aires, a potem wynajął prywatny odrzutowiec, który go przewiózł przez ocean na małe podmiejskie lotnisko.

Nie czuł już bólu w pustych oczodołach. Ustąpił po narkotykach, ale mówienie ze strzaskaną szczęką nadal było męczarnią. Jednak jego umysł funkcjonował równie skutecznie jak zawsze.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Ibn z za kierownicy.

Ammar widział willę Yazida oczyma wyobraźni - każdy szczegół, zupełnie jakby nie utracił wzroku.

- Wiem - odrzekł.

- Nie musisz tego robić, Sulejmanie.

- Taka jest wola Allacha - powiedział wolno Ammar, walcząc z bólem przy każdej sylabie.

Ibn wysiadł z za kierownicy, otworzył tylne drzwi i pomógł wyjść Ammarowi. Poprowadził go przez podjazd i obrócił twarzą do strzeżonej pilnie bramy.

- Brama jest pięć metrów przed tobą - rzekł łamiącym się głosem. Uścisnął Ammara.

- Żegnaj, Sulejmanie, będzie mi ciebie brakowało.

- Zrób, co mi obiecałeś, wierny przyjacielu, a zobaczymy się w ogrodach Allacha.

Ibn szybko odwrócił się i poszedł do samochodu. Ammar stał nieruchomo, póki nie usłyszał, że odgłos silnika samochodu cichnie w dali. Wówczas podszedł do bramy.

- Zatrzymaj się, ślepcze - warknął strażnik.

- Przyszedłem odwiedzić mojego siostrzeńca, Achmada Yazida - rzekł Ammar.

Strażnik kiwnął na drugiego, który znikł w małym pomieszczeniu, po czym wrócił z jakąś teczką.

- Wuj, mówisz? Jak się nazywasz?

Ammar upomniał się o dawny dług wdzięczności u pewnego pułkownika z Ministerstwa Obrony i otrzymał od niego spis ludzi upoważnionych do odwiedzin w willi Yazida. Wybrał nazwisko człowieka, z którym nie można się było bezpośrednio

skontaktować.

- Mustafa Mahfouz.

- Twoje nazwisko jest na liście. Pokaż mi swoje papiery.

Strażnik zbadał sfalszowane papiery Ammara, próbując porównać obandażowaną twarz ze zdjęciem.

- Co się stało z twoją twarzą?

- Samochód-pułapka eksplodował na bazarze w El Mansura. Dostałem odłamkami gruzu.

- To niedobrze - rzekł wartownik i skinął na podwładnego. - Gdy przejdzie koło wykrywacza metali, zaprowadź go do domu.

Ammar uniósł ręce jakby w oczekiwaniu, że będą go przeszukiwać.

- Nie ma potrzeby cię sprawdzać, Mahfouz. Jeżeli masz przy sobie broń, maszyna to wykryje.

Wykrywacz nie ujawnił nic, brzęczyk milczał.

Frontowe drzwi. Ammar ucieszył się, gdy żołnierz egipski poprowadził go po schodach do frontowych drzwi. Nie musi tym razem wchodzić bocznym wejściem. Bardzo by pragnął zobaczyć wyraz twarzy Yazida, kiedy się spotkają.

Sądząc po odgłosie butów wartownika na wyłożonej płytkami posadzce, został wprowadzony do dużego hallu wejściowego. Posadzono go na kamiennej ławie.

- Zaczekaj tu.

Ammar usłyszał, jak wartownik mamrocze coś do kogoś przed wyjściem. Siedział przez kilka minut w ciszy. Potem usłyszał kroki i wzgardliwy głos:

- Ty jesteś Mustafa Mahfouz?

Ammar natychmiast rozpoznał ten głos.

- Tak - odparł niedbale. - Czy ja ciebie znam?

- Jeszcze się nie poznaliśmy. Jestem Khaled Fawzy, przywódca Rady Rewolucyjnej Achmada.

- Słyszałem o tobie wiele dobrego. - Arogancki osioł, pomyślał Ammar. Nie rozpoznaje mnie pod tymi bandażami i z powodu zmienionego głosu. - Poznanie ciebie to prawdziwy zaszczyt.

- Chodź - rzekł Fawzy biorąc Ammara pod ramię. - Zaprowadzę cię do Achmada. On sądził, że wciąż jesteś w Damaszku w jego misji. Chyba nic nie wie o twoich obrażeniach.

- Są wynikiem próby zamachu sprzed trzech dni - skłamał Ammar. - Dopiero dziś rano opuściłem szpital i zaraz przybyłem tutaj, żeby donieść o tym Achmadowi.

- Rad usłyszysz o twojej lojalności. Ale zasmuci się też twoimi ranami. Niestety twoja wizyta wypadła nie w porę.

- Nie mogę się z nim spotkać?

- On się modli - odparł Fawzy krótko.

Mimo bólu Ammar miał ochotę parsknąć śmiechem.

- Mam do niego bardzo ważną sprawę.

- Możesz ją przekazać mnie, Mustafowi Mahfouzie. Przedstawię ją Achmadowi.

- Powiedz mu, że dotyczy to jego sprzymierzeńca.

- Kogo? - spytał Fawzy. - Jakiego sprzymierzeńca?

- Topiltzina.

Imię to jakby zawisło w ciszy, która przedłużała się w nieskończoność. Nagle przerwał ją nowy głos:

- Powinieneś być zostać i umrzeć na tamtej wyspie, Sulejmanie - rzekł Achmad groźnym tonem.

Ammar zachował spokój. Nie zamierzał wyczekiwać śmierci, chciał wyjść jej naprzeciw. Nie dla niego życie w wiecznej ciemności i okaleczeniu - zemsta to wyzwolenie.

- Nie mogłem umrzeć przed uzyskaniem po raz ostatni twego przebaczenia.

- Oszczędź mi tego kłopotu i zdejmij te idiotyczne bandaże. Tracisz styl. To kiepskie naśladowanie Mahfouza jest niegodne twojego talentu.

Ammar nie odpowiedział. Rozwiązał bandaże i upuścił je na podłogę.

Yazid wciągnął z sykiem powietrze na widok potwornie okaleczonej twarzy Ammara.

- Zapłata za moją służbę - wyrzucił Ammar.

- Jak to możliwe, że przeżyłeś? - spytał Yazid drżącym głosem.

- Mój wierny przyjaciel Ibn ukrywał mnie przed amerykańskimi Siłami Specjalnymi przez dwa dni, a potem zbudował tratwę. Po dziesięciu godzinach wiosłowania i dryfowania z prądem z łaski Allacha zostaliśmy wyłowieni przez chilijski kuter, który wysadził nas na ląd koło małego lotniska w Puerto Williams. Potem ukradzionym samolotem poleciliśmy do Buenos Aires, gdzie wynająłem odrzutowiec, który nas przywiózł do Egiptu.

- Śmierć nie przychodzi do ciebie łatwo - mruknął Yazid.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że przyjeżdżając tutaj podpisałeś na sobie wyrok śmierci? - wtrącił Fawzy.

- Niczego innego się nie spodziewałem.

- Sulejman Aziz Ammar... - powiedział Yazid ze smutkiem w głosie. - Największy zamachowiec naszych czasów, sprawca najbardziej udanych zamachów. I pomyśleć, że ma

skończyć jako brudny żebrak na ulicy.

- Co ty mówisz, Achmadzie? - zapytał Fawzy ze zdziwieniem.

- Ten człowiek jest już martwy. - W głosie Achmada zabrzmiała nuta zadowolenia. - Nasi eksperci finansowi załatwią, by jego majątek i inwestycje zostały zapisane na mnie. Potem Ammar zostanie wyrzucony na ulicę i pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę, abym miał pewność, że pozostanie już do końca nędzarzem. Spędzi resztę życia żebrząc. To dużo sroższa kara od szybkiej śmierci.

- Każesz mnie zabić, kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia - rzekł Ammar.

- Słucham - powiedział Achmad ze zniecierpliwieniem.

- Podyktowałem władzom amerykańskim trzydziestostronicowy raport z całej operacji „Lady Flamborough”. Zacytowałem wszystkie nazwiska, rozmowy, godziny i daty, wszystko, łącznie z własnymi uwagami na temat meksykańskiego udziału w operacji, oraz moją opinię o twoich związkach z Topiltzinem. Kopie tego raportu czyta w tej chwili sześć służb wywiadowczych w sześciu krajach. Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobisz, Achmadzie, wiem, że jesteś skończony.

Przerwał nagle, chwytając ustami powietrze, bo poczuł w głowie straszliwy ból. To Fawzy nagle zdzielił go pięścią. Cios ześliznął się wzdłuż zgruchotanej szczęki Ammara.

Człowiek o dobrej kondycji fizycznej otrząsnąłby się po takim ciosie, lecz Ammar mało nie utracił przytomności. Ledwie zablizniona tkanka wokół oczodołów i na szczęce rozerwała się.

Zakołysał się do tyłu, osłaniając się na ślepo przed dalszymi ciosami.

- Dość! - krzyknął Yazid do Fawzy'ego. - Nie widzisz, że ten człowiek prosi o śmierć? Z pewnością kłamie, chcąc, abyśmy go zabili.

Ammar odzyskał zdolność myślenia. Wyciągnął lewą rękę, zrobił krok w przód i chwycił mocno Yazida za ramię. Następnie prawą ręką sięgnął błyskawicznie za szyję.

Sztylet ze spiekanych węglików był przyklejony plastrem do jego pleców. Był tak wykonany, że uchodził wykrywaczom metalu.

Ammar wyszarpnął zza pleców cienkie trójkątne osiemnastocentymetrowe ostrze, opuścił błyskawicznie łokieć i wbił sztylet w pierś Yazida tuż pod żebrami.

Straszliwe pchnięcie uniosło fałszywego rewolucjonistę muzułmańskiego nad ziemię. Oczy Paula Capesterre'a wyszły na wierzch z przerażenia. Jedyńm dźwiękiem, jaki wydobył z siebie, był chrapliwy bulgot.

- Żegnaj, glisto - zakrakał Ammar przez krwawiące usta.

Następnie wyrwał sztylet i zatoczył nim zamaszysty łuk do miejsca, gdzie, jak czuł,



stał Fawzy. Sztylet nie był przeznaczony do zadawania ran ciętych, ale dłoń Ammara natrafiła na twarz Fawzy'ego i poczuł, że ostrze rozchlastało tamtemu policzek.

Ammar wiedział, że Fawzy jest praworęczny i zawsze nosi broń, starego lugera kaliber 9 mm, w pochwie pod lewą pachą. Zderzył się z Fawzym próbując po omacku jeszcze raz wbić mu sztylet pod żebra.

Nie widząc, źle obliczył czas.

Fawzy szybko wyciągnął lugera, wbił lufę w brzuch Ammara i zdążył strzelić dwa razy, nim sztylet przeszył mu serce. Puścił pistolet i chwycił się za pierś. Zachwiał się, zrobił parę kroków w bok, patrząc z dziwnie drwiącym wyrazem twarzy na sztylet wystający poniżej mostka. Wreszcie osunął się wolno na wyłożoną ceramicznymi płytkami posadzkę o metr od miejsca, gdzie leżał Capesterre.

Ammar również upadł na podłogę. Nie czuł wcale bólu. Przed jego pustymi oczodołami przesuwały się obrazy z przeszłości.

O jego losie zdecydował człowiek, którego spotkał tylko raz. Stała przed nim postać wysokiego mężczyzny o zielonych oczach. Poczul wzbierającą falę nienawiści, która zaraz odpłynęła. Dirk Pitt - to nazwisko było głęboko wryte w jego gasnącym umyśle.

Ostatnią myślą było, że Ibn zajmie się Pittem. Wtedy rachunki zostaną wyrównane.

Prezydent siedział w skórzanym fotelu i patrzył na cztery monitory. Trzy z nich były nastrojone na ważniejsze stacje telewizyjne, czwarty miał bezpośrednie połączenie z wojskowym wozem transmisyjnym w Roma. Prezydent wyglądał na zmęczonego, ale oczy mu błyszczały. Na jego twarzy widniało skupienie.

- Aż nie chce się wierzyć, że tak wielu ludzi może się zmieścić na takim małym obszarze - rzekł ze zdumieniem.

- Żywność im się kończy - powiedział Schiller czytając najnowszy raport CIA. - Brakuje wody pitnej, a urządzenia sanitarne są już nie do użytku.

- Więc dziś albo nigdy - westchnął Nichols ze znużeniem.

- Ilu tam może być ludzi? - spytał prezydent.

- Komputerowe wyliczenia na podstawie zdjęć lotniczych mówią o blisko czterystu trzydziestu tysiącach - odparł Schiller.

- I mają przejść przez korytarz o szerokości niecałego kilometra - rzekł Nichols ponuro.

- Niech go diabli, tego drańskiego mordercę! - zawołał prezydent gwałtownie. - Czy on nie zdaje sobie sprawy, że tysiące ludzi zginie lub utonie od samego ścisku?

- W większości kobiet i dzieci - dodał Nichols.

- Capesterre'owie nie słyną z miłości bliźniego i dobrej woli - mruknął cierpko Schiller.

- Jeszcze nie za późno, aby go usunąć - powiedział dyrektor CIA Martin Brogan. - Zabić teraz Topiltzina, to jak zabić Hitlera w tysiąc dziewięćset trzydziestym.

- Pod warunkiem, że wynajęty zabójca zdoła się do niego zbliżyć - zauważył Nichols.

- I w dodatku zechce zaryzykować rozszarpanie przez tłum.

- Myślałem o strzale ze specjalnego karabinu z odległości czterystu metrów.

Schiller potrząsnął głową.

- To nie jest dobre rozwiązanie. Celny strzał mógłby paść tylko ze wzniesienia po naszej stronie rzeki. Meksykanie od razu się zorientują, kto zrobił. Sprawy przybiorą wówczas paskudny obrót. General Chandler będzie miał do czynienia z rozszalałą tłuszcą. Tłum zaatakuje miasteczko Roma pistoletami, nożami, kamieniami i butelkami. Wtedy będzie prawdziwa wojna.

- Ma pan rację - powiedział Nichols. - General Chandler musiałby zacząć strzelać, żeby ocalić swoich ludzi i wszystkich obywateli amerykańskich w tym rejonie.

Prezydent uderzył pięścią w poręcz fotela w poczuciu bezradności.

- Czy naprawdę nic nie da się zrobić, żeby zapobiec masowej rzezi?

- Jesteśmy w opałach - rzekł Nichols.

- Może powinniśmy oddać skarby Biblioteki Aleksandryjskiej prezydentowi De Lorenzo? Najważniejsze przecież, by nie dostały się w brudne ręce Topiltzina.

- To byłby nic nie znaczący gest - powiedział Brogan. - Topiltzin traktuje skarby Biblioteki jako pretekst do konfrontacji. Nasze źródła donoszą, że planuje podobną inwazję z Baja do południowej Kalifornii i z okolic Nogales do Arizony.

- Jak powstrzymać to szaleństwo...? - zapytał z rozpaczą w głosie prezydent.

Zadzwoił jeden z telefonów i Nichols podniósł słuchawkę.

- Generał Chandler, panie prezydencie. Jest na linii z zabezpieczeniem przeciwpodśluchowym.

Prezydent westchnął głęboko.

- Niech przynajmniej spojrzę w twarz człowieka, któremu może będę musiał wydać rozkaz zabicia dziesięciu tysięcy ludzi.

Monitor ściemniał na chwilę, a potem ukazał się na nim człowiek mający około pięćdziesięciu lat. Twarz miał mizerną, a odkryte włosy mocno posiwiałe.

- Dzień dobry, generale - rzekł prezydent. - Przykro mi, że ja pana widzę, a pan mnie nie może zobaczyć, ale nie ma tu kamery.

- Rozumiem, panie prezydencie.

- Jaka jest sytuacja?

- Właśnie zaczął padać ulewny deszcz, co jest darem niebios dla tych nieszczęśników.

Mogą zaopatrzyć się w wodę, nie będzie kurzu, a smród z latryn już zaczął ustępować.

- Były jakieś prowokacje?

- Zwykle urągania i transparenty, ale żadnych aktów przemocy.

- Czy tłum nie zaczyna się zniechęcać i wracać do domów?

- Nie, panie prezydencie - odparł Chandler. - Wręcz przeciwnie, ludzi ogarnia coraz większy entuzjizm. Myślą, że to ich aztecki mesjasz sprowadził deszcz. Wśród ludzi krążą księża katoliccy prosząc, aby wrócili do domów i do kościoła. Zbiry Topiltzina szybko się jednak z nimi rozprawiają i wyrzucają z miasta.

- Martin Brogan sądzi, że ruszą dziś w nocy.

- Mój wywiad potwierdza opinię Brogana. - Generał zawahał się przed zadaniem nieuchronnego pytania: - Rozkaz pozostaje nie zmieniony, panie prezydencie? Mam ich powstrzymać za każdą cenę?

- Póki nie wydam innego rozkazu, generale.

- Muszę stwierdzić, panie prezydencie, że postawił mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji. Nie mogę zagwarantować, że moi żołnierze będą strzelali do kobiet, a zwłaszcza do dzieci, kiedy otrzymają taki rozkaz.

- Współczuję panu. Lecz skoro nie utrzymamy się na pozycji w Roma, miliony Meksykan uznają to za zaproszenie do bezkarnego wkroczenia na teren Stanów Zjednoczonych.

- Zgadzam się z tym, panie prezydencie. Jeżeli jednak skierujemy całą naszą siłę ognia w ciasno zbity półmilionowy tłum, historia oskarży nas o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości.

Słowa Chandlera przypomniały prezydentowi nazistowskie bestialstwa i proces norymberski. Nie zawahał się jednak.

- Chociaż myśl o tym jest odrażająca, generale - rzekł z powagą - konsekwencje braku przeciwdziałania są niewyobrażalne. Moi eksperci od bezpieczeństwa narodowego przewidują, że kraj opanuje histeria, co spowoduje utworzenie sił straży obywatelskiej w celu powstrzymania powodzi nielegalnej imigracji. Żaden Amerykanin pochodzenia meksykańskiego nie będzie bezpieczny. Ofiary w ludziach po obu stronach mogą okazać się astronomiczne. Konserwatyści podniosą krzyk i zażądają od Kongresu formalnego wypowiedzenia wojny Meksykowi. Nie chce mi się nawet myśleć, co się wtedy stanie.

Widać było wyraźnie, że w duszy generała zmagają się sprzeczne uczucia i myśli. Wreszcie powiedział spokojnym, opanowanym głosem:

- Proszę wobec tego o ścisły kontakt do momentu rozpoczęcia inwazji.

- Tak jest, generale - zgodził się prezydent. - Wkrótce w Pokoju Sytuacyjnym zbiorą się wszyscy moi doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Twarz generała Chandlera znikła i na monitorze ukazała się niewielka barka ciągnięta do wody na rolkach przez setkę ludzi.

- No cóż - rzekł Schiller kręcąc głową jakby ze zdziwieniem - zrobiliśmy wszystko, co było można, aby nie dopuścić do wybuchu bomby, ale nam się nie udało. Teraz możemy tylko siedzieć i patrzeć, jakie będą skutki.

Ruszyli w godzinę po zapadnięciu zmroku.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, niektóre ledwie umiejące chodzić, wszyscy z zapalonymi świecami. Niskie chmury, pozostałe po burzy, zabarwiły się pomarańczowo od oceanu pełzających ogni.

Nadciągnęli jedną gigantyczną falą ku brzegowi z monotonnym śpiewem. Pieśń przeszła w jednostajny huk, który przetoczył się przez rzekę i sprawił, że w miasteczku Roma zawibrowały szyby.

Biedacy ze wsi i miast porzucili swoje lepianki, budki z falistej blachy i kartonowe szałaszy w nędznych wioskach i niezdrowych slumsach, i stawili się jak jeden mąż. Skłoniła ich do tego obietnica Topiltzina, że oto nadchodzi nowy brzask niegdyś potężnego imperium azteckiego na jego dawnych ziemiach w Stanach Zjednoczonych.

Napierający tłum wepchnął do rzeki setki ludzi. W ciżbie rozległy się okrzyki przerażenia, kiedy dzieci wpadły w wodę. Wiele z nich utonęło lub zostało porwanych przez prąd.

Reflektory wojskowe, wspomagane światłami ekip telewizyjnych, jasno oświetlały ogromny tłum, który parł ku przeciwległemu brzegowi. Żołnierze stali i patrzyli zafascynowani na ten ludzki mur pełznący ku nim.

Generał Chandler stał na dachu komisariatu policji. Twarz miał poszarzałą, a w oczach wyraz rozpacz. Sytuacja była bardziej przerażająca, niż przewidywał.

- Widzi pan to, panie prezydencie? Widzi pan to szaleństwo? - rzekł do wpiętego w kołnierz mikrofonu.

Prezydent patrzył jak urzeczony w ekran ogromnego monitora w Pokoju Sytuacyjnym.

- Tak, generale, obraz jest całkiem wyraźny.

Siedział przy końcu długiego stołu, otoczony najbliższymi doradcami, ministrami i ludźmi z połączonych sztabów. Wszyscy obserwowali to niewiarygodne widowisko w naturalnych barwach i ze stereofonicznym dźwiękiem.

Najszybsze łodzie dotarły już do brzegu, a ich pasażerowie szybko wygramolili się na ląd. Były to głównie kobiety. Gdy cała pierwsza fala znalazła się po drugiej stronie, flota zawróciła po następną. Tłum zaczął się gromadzić i przeć naprzód. Nieliczni mężczyźni dęli w rogi przynaglając kobiety, aby szły dalej.

Ściskając w rękach świece i prowadząc dzieci, śpiewały monotennie po aztecku i wspinały się na zbocze z obu stron urwiska jak armia mrówek, która rozdziela się wokół

skwały w nadziei, że po drugiej stronie znów się połączy.

Kamery telewizyjne ukazywały przerażone twarzyczki dzieci i zdeterminowany wyraz twarzy matek. Topiltzin powiedział im, iż jego boska moc uchroni je, a one mu uwierzyły.

- Boże! - wykrzyknął Doug Oates. - Cała pierwsza fala to kobiety i dzieci!

Nikt nie skomentował tej alarmującej uwagi Oatesa. Ludzie w Pokoju Sytuacyjnym patrzyli z rosnącym przerażeniem, jak inny tłum kobiet i dzieci wkracza na most i idzie ku czołgom i samochodom pancernym blokującym przejście.

- Generale - spytał prezydent - czy może pan wystrzelić salwę nad ich głowami?

- Tak, panie prezydencie - odparł Chandler. - Kazałem żołnierzom załadować ślepe naboje.

- Roztropna decyzja - rzekł generał Metcalf z połączonych sztabów.

- Wydaj rozkaz oddania salwy ślepyimi nabojami - powiedział generał Chandler do jednego ze swych adiutantów.

Oficer warknął do mikrofonu nadajnika:

- Ślepyimi nabojami ognia!

Rozległ się grzmiący huk i w noc plunęła ściana ognia. Salwa była jak nagły podmuch wiatru. Rozdzierający uszy grzmot działa czołgowego i trzaski wystrzałów karabinowych poniosły się echem w dolinę.

Minęło dziesięć sekund od rozkazu „ognia” do rozkazu „wstrzymać ogień”.

Paraliżująca cisza przesycona ostrym zapachem kordytu spadła na osłupiały tłum.

Potem przerwały ją krzyki kobiet i wrzask przerażonych dzieci. Podniósł się straszliwy krzyk po drugiej stronie rzeki, gdzie stali mężczyźni, którzy widząc leżące na ziemi kobiety i dzieci myśleli, że pozabijano je lub raniono.

Wybuchło istne piekło i przez kilka minut wydawało się, że inwazja imigrancka została wstrzymana.

Nagle po stronie meksykańskiej rozbłysły reflektory i skierowały się na postać stojącą na małej platformie dźwiganej przez kilku mężczyzn w białych tunikach.

Topiltzin stał na platformie z wyciągniętymi ramionami i wykrzykiwał przez głośniki, każąc leżącym kobietom wstać i iść dalej. Powoli szok mijał i ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że nigdzie nie ma zabitych. Wielu śmiało się histerycznie, stwierdzając, że nie są ani ranni, ani zabici. Krzyk radości przetoczył się przez tłum i stał się ogłuszający, gdy ciżba uznała, iż to moc Topiltzina odwróciła zniszczenie i osłoniła ją jak tarczą.

- On to odwrócił na swoją korzyść - rzekł Juliusz Schiller.

Prezydent potrząsnął głową ze smutkiem.

- Chandler znalazł się w opałach - powiedział Nichols.

Generał Metcalf kiwnął wolno głową.

- Tak, teraz wszystko spadło na jego barki.

Nadeszła pora podjęcia decyzji. Nie można już było jej dalej odsuwać. Prezydent był dziwnie milczący. Podrzucił bombę zegarową wojsku, czyniąc z generała Chandlera kozła ofiarnego, ale nie był z tego powodu szczęśliwy.

Znajdował się między przysłowiowym młotem a kowadłem. Nie mógł dopuścić, aby tłumy obcych przeszły bez przeszkód przez granicę, i nie mógł też wydać Chandlerowi bezpośredniego rozkazu strzelania do dzieci.

Żaden prezydent nie czuł się chyba nigdy bardziej bezsilny.

Wyśpiewujące monotennie kobiety i dzieci były już tylko o kilka metrów od okopanych kilkanaście metrów od brzegu żołnierzy.

Generał Curtis Chandler miał za sobą długą i wspaniałą karierę wojskową, ale przed sobą nie prócz wyrzutów sumienia. Przed rokiem po długiej chorobie zmarła jego żona, a dzieci nie miał. Jako generał brygady z jedną gwiazdką, nie liczył już na awans w niedługim czasie, jaki mu pozostał do emerytury. Stał teraz nad urwiskiem i patrzył, jak setki tysięcy nielegalnych imigrantów sunie do jego kraju, i zastanawiał się, czemu koniec jego kariery musiał wypaść w tym miejscu i w tym czasie.

Adiutant powiedział:

- Generale, mamy strzelać?

Chandler patrzył na dzieci nerwowo ściskające dłonie matek, dzieci z wielkimi ciemnymi oczyma.

- Generale, jaki rozkaz? - dopytywał się adiutant.

Chandler mruknął coś, ale adiutant nie usłyszał.

- Przepraszam, generale, czy pan powiedział: „Ognia”?

Chandler obrócił ku niemu pałające oczy.

- Niech przechodzą.

- Słucham?

- To mój rozkaz, majorze. Niech mnie diabli, jeżeli zejdem do grobu jako dzieciobójca. I na miłość boską, niech pan nie wypowiada nawet słów: „Nie strzelać”, bo jeszcze jakiś tępy dowódca plutonu źle zrozumie.

Major kiwnął głową i zaczął spieszenie mówić do mikrofonu:

- Rozkaz generała Chandlera do wszystkich dowódców: nie wykonywać żadnych wrogich ruchów i pozwolić imigrantom przejść przez nasze linie, powtarzam, pozwolić im przejść.

Żołnierze amerykańscy z ulgą opuścili broń, odprężyli się, zaczęli flirtować z kobietami i żartować z dziećmi.

- Proszę mi darować, panie prezydencie - rzekł Chandler do kamery. - Żałuję, że muszę skończyć karierę wojskową odmawiając wykonania bezpośredniego rozkazu głównodowodzącego, ale uznałem, że w tych okolicznościach...

- Nie szkodzi - odparł prezydent. - Świetnie pan się spisał. - Zwrócił się do generała Metcalfa: - Wszystko mi jedno, na którym on jest miejscu na liście starszeństwa. Niech pan dopilnuje, żeby dostał drugą gwiazdkę.

- Uczynię to z radością, panie prezydencie.

- Słuszny awans, panie prezydencie - rzekł Schiller. - Zna się pan na ludziach.

Prezydent uśmiechnął się lekko.

- Służyłem z Curtisem Chandlerem, gdy obaj byliśmy porucznikami w Korei. Na pewno by strzelał do rozwścieczonego, zbuntowanego, uzbrojonego tłumu, lecz nigdy do kobiet i dzieci.

Generał Metcalf powiedział:

- Mimo to bardzo pan ryzykował.

Prezydent kiwnął głową.

- Teraz będę odpowiadał przed narodem amerykańskim za niepowstrzymanie inwazji nielegalnych imigrantów na nasz kraj...

- Ale przejawiał pan opanowanie, które będzie dużym atutem w przyszłych negocjacjach z prezydentem De Lorenzo i innymi przywódcami Ameryki Środkowej - pocieszył go Oates.

- A tymczasem - dodał Mercier - nasze wojsko i policja będą powoli wyłuskiwały zwolenników Topiltzina i odstawiały ich za granicę.

- Chcę, aby ta operacja została przeprowadzona w sposób humanitarny - powiedział prezydent z naciskiem.

- Czy nie zapomnieliśmy o czymś, panie prezydencie? - spytał Metcalf.

- O czym?

- O Bibliotece Aleksandryjskiej. Topiltzinowi nic teraz nie przeszkodzi w zrabowaniu jej skarbów.

Prezydent zwrócił się do senatora Pitta, który siedział spokojnie przy drugim końcu



stołu:

- No, George, wojsko wykonało swój ruch, teraz kolej na ciebie. Zechcesz zdradzić tu obecnym swój plan?

Senator wpatrzył się w stół. Nie chciał, aby zobaczyli w jego oczach nękające go obawy.

- To desperackie przedsięwzięcie, podstęp wymyślony przez mojego syna, Dirka. Nie wiem, jak to inaczej określić. Lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, Robert Capesterre, alias Topiltzin, nie dostanie w swoje ręce tych starożytnych skarbów wiedzy. Ale jeśli coś pójdzie źle, jak sugerują niektórzy, Capesterre'owie zawładną Meksykiem i skarby zostaną na zawsze utracone.

Na szczęście wybuch religijnego zapału i maniacka żądza władzy Topiltzina nie zakończyły się rozlewem krwi. Jedyną prawdziwą tragedią było to, że podczas pierwszej przeprawy utonęło wiele dzieci.

Nie wstrzymywany ogromny tłum przepłynął przez oddziały wojsk, ulice miasteczka Roma i ruszył na Wzgórze Gongory. Topiltzin wiódł triumfalną pielgrzymkę w górę zbocza.

Jeszcze nie wiedział o śmierci brata w Egipcie. Jego najbliżsi popiecznicy i doradcy opuścili w podnieceniu swoje stanowiska w wozie komunikacyjnym i nie usłyszeli tej wiadomości. Szli za platformą Topiltzina, żądni ujrzenia skarbów.

Topiltzin stał wyprostowany, w białej szacie, ze skórą jaguara na ramionach, trzymając we wzniesionej ręce sztandar z orłem i węzem. W jego platformę wymierzono mnóstwo przenośnych reflektorów. Ten blask rozpraszał go, dał więc ręką znak, by skierowano światła na zbocze.

Jeśli nie liczyć kilku ciężkich maszyn, teren wykopalisk można by uznać za opuszczony. Nie było widać saperów koło tunelu i pionowego szybu. Topiltzinowi niezbyt to się podobało. Rozłożył ramiona dając idącym znak, aby się zatrzymali. Rozkaz został powtórzony po wielokroć przez megafony i w końcu tłum stanął w miejscu, zwracając twarze ku Topiltzinowi w oczekiwaniu dalszych rozkazów.

Nagle ze szczytu wzgórza podniósł się potężny skowyt. Wszyscy w tłumie zakryli dłońmi uszy.

Potem rozbłysła bateria lamp stroboskopowych, odbijając się na nieprzeliczonych twarzach. Feeria świateł rozlała się po niebie. Ludzie stali jak wryci, patrząc w oczarowaniu na to świetlne widowisko.

Kolorowe światła rozjarzyły się jeszcze bardziej, a skowyt siekł powietrze nad całą okolicą, skowyt o niesamowitym zabarwieniu, jak ze ścieżki dźwiękowej filmu science fiction. Potem lampy nagle zgasły i zapanowała cisza.

Jeszcze chwilę wszystkim dźwięczało w uszach, a w oczach skakały błyski. Blask z niewidocznego źródła zaczął powoli oświetlać samotną postać stojącą na wierzchołku wzgórza. Efekt był zaskakujący. Promienie światła lśniły i odbijały się od blach okrywających postać.

Kiedy stała się w pełni widoczna, okazało się, że ma na sobie zbroję rzymskiego legionisty. U lewego boku miała obosieczny miecz, zawieszony na skórzanym pasie założonym na prawe ramię. Jedną ręką trzymała owalną tarczę, druga zaś włócznię.

Topiltzin patrzył zafascynowany. Zabawa, żart, teatralna sztuczka? Co tym razem

Amerykanie uknuli? Niezmierzony tłum jego wiernych stał w nabożnym milczeniu i patrzył na legionistę jak na zjawę z tamtego świata. Potem wszystkie twarze wolno zwróciły się ku Topiltzinowi, czekając aż ich mesjasz uczyni kolejny ruch.

Bluff zrodzony z desperacji, zdecydował w końcu Topiltzin.

Amerykanie zagrywają swą ostatnią kartą, próbując zagrozić drogę do skarbów tym przesądnym, biednym jak myszy kościelne ludziom.

- To może być podstęp, żeby cię porwać jako zakładnika - rzekł jeden ze stojących obok doradców.

Oczy Topiltzina nabrały pogardliwego wyrazu.

- Podstęp, tak. Ale nie porwanie. Amerykanie wiedzą, że tłum wpadłby w szal, gdyby mi coś zagrażało. To przedstawienie jest po prostu niezdarną próbą negocjacji. Ciekawym, co mają nam do zaproponowania.

Kazał opuścić platformę i zszedł na ziemię. Reflektory wciąż go oświetlały, kiedy szedł ku wierzchołkowi, samotny i arogancki. Jego stopy były ukryte pod długą szatą i wydawało się, że płynie.

Szedł odmierzonym krokiem, trzymając prawą rękę na rewolwerze colt python kaliber 9 mm w pochwie u pasa pod szatą. Drugą rękę trzymał na pomarańczowej petardzie dymnej - na wypadek, gdyby musiał osłonić szybką ucieczkę.

Zbliżył się na tyle, by stwierdzić, że postać przebrana za rzymskiego legionistę jest zwyczajnym sklepowym manekinem. Miała na twarzy martwy uśmiech, a namalowane oczy patrzyły niewidząco w nicłość.

Topiltzin przyglądał się manekinowi z nie ukrywaną ciekawością.

Nagle z krzaków wyszedł wysoki mężczyzna i wkroczył w krąg światła reflektorów. Miał oczy zielone jak opal i zimne jak lód. Podszedł i stanął obok manekina.

Topiltzin czuł, że ma przewagę. Nie tracił czasu. Pierwszy przemówił po angielsku:

- Co chcesz uzyskać dzięki tej mumii i całemu temu widowisku świetlnemu?

- Twoją uwagę.

- Gratuluję. Udało ci się. A teraz zechciej mi przekazać to, z czym przysłał cię twój rząd.

Nieznajomy przyglądał mu się długą chwilę.

- Nikt ci nie mówił, że twój strój wygląda niczym prześcieradło po studenckim balu przebierańców?

Topiltzin spojrzał na niego twardo.

- Twój prezydent chciał mnie obrazić przysyłając błazna? Daję ci jedną minutę na

powiedzenie tego, co masz mi do przekazania... - Urwał i wskazał szerokim ruchem za siebie - ...zanim rozkażę moim ludziom podjąć marsz.

Pitt odwrócił się i spojrzał pytająco w ciemność.

- Dokąd?

Topiltzin zignorował to i rzekł:

- Możesz zacząć od swego nazwiska, tytułu i funkcji w amerykańskiej biurokracji.

- Nazywam się Dirk Pitt. Mój tytuł brzmi pan Pitt, a moja funkcja to amerykański podatnik, i niech cię diabli wezmą.

Oczy Topiltzina błysnęły ponuro.

- Ludzie ginęli straszną śmiercią za brak szacunku wobec kogoś, kto rozmawia z samymi bogami.

Pitt uśmiechnął się ze znudzonym wyrazem twarzy.

- Jeżeli mamy dalej rozmawiać, to dajmy spokój tym bredniom. Zbałamuciłeś biednych Meksykan teatralnymi sztuczkami i obietnicą lepszego życia z drugiej strony tęczy, którego im nie możesz stworzyć. Jesteś oszustem. Nie patrz na mnie z góry. Nie jestem jednym z twoich śmieciarzy. Taka szumowina jak Robert Capesterre nie robi na mnie wrażenia.

Topiltzin otworzył usta, a potem je szybko zamknął. Zrobił krok w tył, w jego oczach odmalowało się zaskoczenie.

Mijały sekundy, a on patrzył na Dirka w milczeniu. Wreszcie zapytał chrapliwym szeptem:

- Ile jeszcze wiesz?

- Wystarczająco dużo - odparł Pitt niedbale. - O rodzinie Capesterre'ów i ich śliskich interesach mówi cały Waszyngton. W Białym Domu strzelały korki szampana, gdy przysłała wiadomość o twoim braciszku cwaniaku, który się uważał za muzułmańskiego proroka. Spotkała go sprawiedliwość, został zabity przez tego samego terrorystę, którego wynajął do porwania „Lady Flamborough” i wymordowania jej pasażerów.

- Mój brat... Nie wierzę ci.

- Nie wiedziałeś? - spytał Pitt z lekkim zdziwieniem.

- Rozmawiałem z nim niecałą dobę temu - powiedział tamten z uporem. - Paul...

Achmad Yazid jest zdrów i cały.

- To już zimny trup.

- Co ty i twój rząd chcecie uzyskać dzięki tym kłamstwom?

Pitt spojrzał zimno na Roberta Capesterre'a.

- Cieszę się, że o to zapytałeś. Chodzi o ocalenie skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej, a tego nie da się uczynić, jeżeli wpuścisz tu swoją zgrają. Rozkradną wszystko, co ich zdaniem da się sprzedać albo zamienić na żywność, a resztę zniszczą, zwłaszcza księgi i zwoje.

- Oni tu nie wejdą - rzekł Capesterre zdecydowanym tonem.

- Sądysz, że zdołasz ich powstrzymać?

- Moi zwolennicy robią wszystko, co im każe.

- Księgi i dzieła sztuki muszą być przejrzane i skatalogowane przez historyków i archeologów - powiedział Pitt. - Jeżeli pragniesz jakichś ustępstw ze strony Waszyngtonu, musisz zagwarantować, że Biblioteka zostanie potraktowana w sposób naukowy.

Capesterre chwilę przyglądał się Pittowi. Stał, chwiejąc się jak kobra przed atakiem. Potem powiedział groźnym głosem:

- Nie muszę dawać żadnych gwarancji, panie Pitt. Nie będzie żadnych targów ani ustępstw. Wasze wojsko nie zdołało zawrócić moich ludzi. Zwycięstwo jest po mojej stronie. Skarby egipskie należą do mnie. Całe południowo-zachodnie stany... - oczy mu płonęły maniackim blaskiem - ...będą również moje. Mój brat, Paul, zawładnie Egiptem. A nasz najmłodszy brat któregoś dnia stanie na czele rządu brazylijskiego. Dlatego jestem tutaj.

- Muszę ci oddać sprawiedliwość, Capesterre - mruknął Pitt. - Ważysz się na wielkie rzeczy. Szkoda, że pozwolono ci przebywać na wolności. Mógłbyś być piątym Napoleonem do pokera w domu wariatów.

W oczach Capesterre'a błysnął gniew.

- Żegnam, panie Pitt. Moja cierpliwość została wyczerpana. Chciałbym bardzo móc złożyć pana bogom na ofiarę i przesłać zdartą z pana skórę do Białego Domu.

- Szkoda, że nie mam żadnych ozdobnych tatuaży.

Obojętność i swoboda Pitta zdenerwowały Capesterre'a. Nikt z nim dotychczas w ten sposób nie rozmawiał. Odwrócił się i uniósł rękę w stronę milczącego tłumu.

- Nie sądzisz, że powinienesz zinwentaryzować swe nowe bogactwa, zanim je im oddasz? - spytał Pitt. - Pomyśl, jakimi obelgami zaczniesz cię obsypywać cały świat, jeśli pozwolisz swoim trutniom złupić złotą trumnę Aleksandra Wielkiego.

Ręka Capesterre'a wolno opadła.

- Co mówisz? Trumna Aleksandra istnieje?

- A także jego szczątki. - Pitt wskazał gestem tunel. - Oprowadzić cię po jaskini ze skarbami, zanim otworzysz jej podwoje wielbiącym cię tłumom?

Capesterre skinął głową. Odwrócony plecami do tłumu, wyjął z kabury pod szatą colta i schował w szerokim rękawie. W drugiej ręce miał petardę dymną.

- Jeżeli ty albo ktokolwiek ukryty w tunelu zrobi najmniejszy podejrzaný ruch, przestrzelę ci kręgosłup.

- Czemu miałbym robić ci krzywdę? - spytał Pitt z miną niewiniątka.

- Gdzie są saperzy, którzy pracowali przy wykopaliskach?

- Wszyscy ludzie zdolni do noszenia broni zostali wysłani na linię obrony wzdłuż rzeki.

Kłamstwo to zadowoliło Roberta Capesterre'a.

- Podnieś koszulę i opuść spodnie do kostek.

- Na oczach tych ludzi? - spytał Pitt z uśmiechem.

- Chcę zobaczyć, czy nie jesteś uzbrojony albo czy nie masz gdzieś ukrytego mikrofonu.

Pitt podciągnął golf pod szyję i opuścił dżinsy do kostek. Nie miał ukrytego mikrofonu ani broni.

- Jesteś zadowolony?

Topiltzin kiwnął głową. Wskazał rewolwerem wejście do tunelu.

- Prowadź. Ja pójdę za tobą.

- Pozwól, że rozbiorę manekina. Ta broń i zbroja należą do zbiorów.

- Zostawisz je zaraz za wejściem - rzekł Capesterre, po czym dał znak swoim doradcom, że wszystko w porządku.

Pitt doprowadził do porządku swoją odzież, zdjął z manekina broń i zbroję i wszedł do tunelu.

Strop znajdował się na wysokości niecałych dwóch metrów i Pitt musiał schylać się pod belkami. Odłożył miecz, ale zostawił sobie tarczę i osłaniał nią głowę przed kamieniami, które mogły spaść.

Wiedząc, że tarcza jest bezużyteczna jako osłona przed dziewięciomilimetroowymi pociskami, Topiltzin nie protestował.

Na przestrzeni jakichś dwunastu metrów tunel opadał ostro w dół, a potem prowadził poziomo. Był oświetlony szeregiem lamp przymocowanych do belek stropu. Saperzy wykuli ściany i podłogę bardzo równo, więc szło się dosyć wygodnie. Jedyłą uciążliwością było duszne powietrze i kurz wzbijany stopami.

- Czy ma pan obraz i dźwięk, panie prezydencie? - spytał generał Chandler.

- Słyszę wyraźnie ich rozmowę, ale obraz znikł, gdy weszli do tunelu - odparł

prezydent.

- Kamera znów ich przejmie, kiedy znajdą się w jaskini z trumną.
- Gdzie Pitt ma mikrofon? - spytał Martin Brogan.
- Mikrofon i nadajnik są umieszczone w starej tarczy.
- Czy Pitt jest uzbrojony?
- Chyba nie.

Wszyscy w Pokoju Sytuacyjnym umilkli, przenosząc wzrok na drugi monitor, który ukazywał jaskinię pod Wzgórzem Gongory. Kamera była skierowana na złotą trumnę stojącą pośrodku.

Ale nie wszystkie pary oczu zwróciły się na drugi monitor. Nichols wciąż patrzył na pierwszy.

- Kto to był? - wymamrotał.
- Gdzie? - zapytał z niepokojem Brogan.

Nichols wskazał monitor, na którym wciąż widniało wejście do podziemnego tunelu.

- Jakiś cień przesunął się przed kamerą i przemknął do wnętrza tunelu.
- Ja nic nie widziałem - powiedział generał Metcalf.
- Ani ja - rzekł prezydent. Pochylił się do stojącego przed nim na stole mikrofonu. -

Generale!

- Słucham pana, panie prezydencie.
- Dale Nichols twierdzi, że widział kogoś wślizgującego się za Pittem i Topiltzinem do tunelu.
- Jednemu z moich adiutantów też się wydawało, że kogoś widział.
- A więc nie zdawało mi się - westchnął Nichols.
- Nie wie pan, kto to może być?
- Kimkolwiek jest - odparł Chandler - nie jest to ktoś z naszych.

- Widzę, że kulejesz - rzekł Robert Capesterre do Pitta.

- To drobna pamiątka po szalonym planie twego brata, by zgładzić prezydenta Hasana i Halę Kamil.

Capesterre obrzucił Pitta pytającym wzrokiem, ale nie podtrzymał tematu. Był zajęty śledzeniem każdego ruchu swego przeciwnika.

Tunel rozszerzył się w okrągłą grootę. Pitt zwolnił i zatrzymał się przed trumną wspartą na czterech nogach ozdobionych jakąś orientálną rzeźbą. Cała trumna złościła się od blasku lampy w górze. Przy ścianie leżał stos broni rzymskich legionistów.

- Oto Aleksander Wielki - oznajmił Pitt. - Dzieła sztuki i zwoje papirusów mieszczą się w przyległej grocie.

Capesterre zbliżył się z czią. Wyciągnął z wahaniem rękę i dotknął wieka trumny. Potem nagle ją cofnął i odwrócił się do Pitta z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- To podstęp! - krzyknął, a jego głos odbił się echem w tunelu. - Ta trumna nie ma dwóch tysięcy lat. Farba jeszcze nie wyschła. - Prawy rękaw Capesterre'a zsunął się do tyłu odsłaniając rewolwer. - Dość tej chytrej gadaniny, panie Pitt. Gdzie są zbiory Biblioteki?

- Jeszcze nie dotarliśmy do głównej groty - powiedział Pitt. Zaczął się cofać od trumny udając strach. Cofał się tak, póki nie dotknął plecami ściany, przy której były złożone miecze i włócznie. Popatrywał przy tym na trumnę, jakby oczekując, że jej mieszkańiec zaraz wstanie.

Capesterre dostrzegł te ukradkowe spojrzenia i uśmiechnął się. Wymierzył z rewolweru w trumnę. Nacisnął spust i w boku trumny ukazały się cztery otwory.

Chwycił wieko trumny.

- Twój współnik, Pitt - zadrwił. - Jakiś ty naiwny.

- Nie miałem innego miejsca, żeby go ukryć - odparł Pitt z żalem w głosie.

Capesterre uchylił wieko i zajrzał do środka. Pobladł i puścił wieko, które zamknęło się z łoskotem. Z ust wyrwał mu się cichy jęk.

Pitt odwrócił się lekko, aby tarcza zakryła ruch jego prawej ręki. Odsuwał się od ściany, póki nie znalazł się u lewego boku Roberta Capesterre. Spojrzał z niepokojem na zegarek. Prawie przekroczył limit czasu.

Capesterre znów podszedł lękliwie ku trumnie i uniósł wieko. Tym razem otworzył je do końca. Zmusił się, by zajrzeć do wewnątrz.

- Paul... to naprawdę Paul - wyjąkał wstrząśnięty.

- Prezydent Hasan nie chciał zezwolić, by zwolennicy Achmada Yazida potraktowali



go jako męczennika - rzekł Pitt. - Przesłano więc trupa samolotem tutaj, abyście mogli spocząć obok siebie.

W oczach Roberta Capesterre'a był smutek, kiedy patrzył na brata. Potem twarz jego wykrzywiła gorycz i spytał:

- Jaka w tym wszystkim była twoja rola?

- Stoję na czele zespołu, który odkrył miejsce ukrycia skarbów Biblioteki. Wynajęci przez twojego brata terroryści usiłowali zabić mnie i moich przyjaciół, ale zniszczyli mi tylko samochód. Następnie ty i twój brat wzięliście mojego ojca jako zakładnika na „Lady Flamborough”. Znasz ten statek. To już był błąd niewybaczalny. Zginiesz, Capesterre. Za chwilę będziesz leżał tak samo zimny i sztywny, jak twój brat. To naprawdę mała kara za ludzi, którym wycinałeś serca, i za dzieci, które utonęły z powodu twojej żądzy władzy.

Capesterre stężał.

- Najpierw ja cię zabiję! - wykrzyknął dziko. Obrócił się i przykucnął.

Pitt był przygotowany na atak. Miecz, który wziął ze stosu przy ścianie, miał już wzniesiony nad głową. Opuścił go na dół.

Capesterre uniósł colta. Lufa już miała się znaleźć na linii głowy Pitta, kiedy lśniące ostrze jego miecza przecięło ze świstem powietrze.

Rewolwer wraz z dłonią Capesterre'a ściskającą kolbę pistoletu odłączył się od przedramienia i poszybował ku stropowi.

Capesterre otworzył usta i w korytarzu poniósł się jego krzyk. Potem osunął się na kolana i patrzył niemo na odciętą rękę, nie mogąc uwierzyć, że już nie jest częścią jego ciała.

Kłęczał tak kołysząc się z boku na bok, nie czując w szoku bólu. Podniósł oszołomiony wzrok na Pitta.

- Czemu to? - wyszeptał. - Czemu nie kula?

- To tylko drobna zapłata za człowieka nazwiskiem Guy Rivas.

- Znałeś Rivasę?

Pitt potrząsnął głową.

- Przyjaciele powiedzieli mi, co z nim zrobiłeś. Jego rodzina stała przy grobie nie wiedząc, że chowa tylko jego skórę.

- Przyjaciele? - spytał nierozumiejąco Capesterre.

- Mój ojciec i człowiek, który urzęduje w Białym Domu - rzekł zimno Pitt. Spojrzał na zegarek. - Przykro mi, ale muszę już iść. - Odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

Zrobił zaledwie dwa kroki i nagle się zatrzymał. U wejścia do groty stał niski smagły

mężczyzna w starym, znoszonym mundurze polowym, mierząc w jego brzuch z czterostrzałowej strzelby z uciętymi lufami.

- Nie ma powodu do pośpiechu, panie Pitt - rzekł stanowczym tonem. - Nikt nigdzie nie pójdzie.

Chociaż wiedzieli, że do tunelu wszedł ktoś trzeci, nagłe pojawienie się nieznanego zaskoczyło wszystkich zebranych w Pokoju Sytuacyjnym.

- Generale - rzekł prezydent. - Co się u licha dzieje? Kim jest ten intruz?

- Może to jeden z ludzi Topiltzina, panie prezydencie? Musiał się przekraść od północy, gdzie nasze posterunki były rzadziej rozstawione.

- Ale on jest w mundurze - powiedział Brogan. - Czy może to być jeden z pańskich ludzi?

- Nasz kwatermistrz nie wydaje wojsku mundurów polowych armii izraelskiej.

- Poślij tam kilku ludzi na pomoc - rozkazał generał Metcalf.

- Jeśli ktokolwiek z naszych zbliży się do terenu wykopalisk, tłum uzna to za napaść na Topiltzina i wpadnie w szal.

- On ma rację - powiedział Schiller. - Tłum już jest niespokojny.

- Ale tamten zdołał się przedostać do tunelu - rzekł Metcalf. - Czemu kilku twoich ludzi nie może zrobić tego samego?

- Jeszcze dziesięć minut temu było to możliwe - odparł Chandler. - Lecz teraz ludzie Topiltzina ustawili więcej reflektorów. Nawet szczer się nie prześliźnie.

- Teren wykopalisk znajduje się na południowym zboczu - wyjaśnił senator Pitt. - Z drugiej strony wzgórza nie ma wejścia.

- I tak mieliśmy szczęście - powiedział Chandler. Odgłos wystrzałów dobywający się z tunelu brzmiał jak odległy grzmot i nikt nie mógł się zorientować, z której strony dochodzi.

Prezydent spojrział na senatora posepnie.

- George, jeżeli tłum ruszy naprzód, będziemy musieli zakończyć operację, zanim twój syn zdąży uciec.

Senator przeciągnął ręką po twarzy i kiwnął z powagą głową.

- Dirk da sobie radę - powiedział z przekonaniem.

Nagle Nichols zerwał się na nogi i wskazał na monitor.

- Tłum! - wykrzyknął ochryple. - Ruszają!

Podczas gdy oni rozprawiali siedząc dwa i pół tysiąca kilometrów dalej, Pitt patrzył w czarny wylot luf obrzynka. Nie wątpił, że człowiek, który go trzymał na muszce, ma na sumieniu wiele zabójstw. Twarz nad obrzynkiem miała znudzony wyraz. Jeszcze jeden bandyta, pomyślał Pitt. Jeśli za kilka sekund nie będzie miał wyprutych flaków, zostanie zagrzebany pod tonami ziemi. Nie palił się ani do jednego, ani do drugiego.

- Możesz mi powiedzieć, kim jesteś?

- Ibn Telmuk, sługa i przyjaciel Sulejmana Aziza Ammara.

Pitt przypomniał sobie, że widział go na drodze przed kruszalnią rudy.

- Wy, chłopaki, jesteście gotowi na wszystko dla zemsty.

- Jego ostatnim życzeniem było, abym cię zabił.

Pitt wolno opuścił prawą rękę, aż koniec miecza znalazł się przy ziemi. Odgrywał rolę mężnego człowieka, który pogodził się z klęską. Zwiesił ramiona i lekko ugiął nogi.

- Byłeś na Santa Inez?

- Tak, a potem Sulejman Aziz i ja uciekliśmy do Egiptu.

Pitt ściągnął brwi. Wydawało mu się niemożliwe, że Ammar przeżył tamtą strzelaninę.

Patrzył na Ibna mierząc odległość od niego, zastanawiając się, w którą stronę skoczyć. Przesunął od niechcenia tarczę w bok.

Capesterre owinał sobie skrajem szaty krwawiący kikut ręki. Jęczał z bólu. Potem pokazał Ibnowi nasiąkły krwią materiał.

- Zabij go! - wykrzyknął. - Spójrz, co mi zrobił. Zastrzel go!

- Kto ty jesteś? - zapytał Ibn lodowatym tonem, nie odrywając wzroku od swej ofiary.

- Jestem Topiltzin.

- Naprawdę nazywa się Robert Capesterre - rzekł Pitt. - To oszust.

Capesterre przyczołgał się do Ibna.

- Nie słuchaj go - błagał. - To pospolity przestępca.

Ibn po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Na pewno nie. Wiem o nim wszystko. On w niczym nie jest pospolity.

To już lepiej, pomyślał Pitt. Uwagę Ibna zajął na chwilę Topiltzin. Pitt przesunął się wolniutko w bok, chcąc aby Capesterre znalazł się pomiędzy nim a tamtym.

- Gdzie jest Ammar? - zapytał nagle.

- Nie żyje - odparł Ibn. - Wyzionął ducha po zabiciu tej świni, Achmada Yazida.

Robert Capesterre spojrział odruchowo na zwłoki w trumnie.

Pitt przesunął się jeszcze o centymetr.

Ibn nie rozumiał jeszcze.

- Achmad Yazid był twoim bratem, Topiltzinie?

- Rodzonym bratem - rzekł Pitt. - Poznałbyś Yazida, gdybyś go zobaczył?

- No pewnie. On jest równie znany jak ajatollah Chomeini albo Yasir Arafat.

Pitt dokonał w myślach błyskawicznej modyfikacji swego desperackiego planu,

wykorzystując okazję, która mu spadła z nieba.

- Przyjrzyj się dobrze leżącemu w trumnie.

- Tylko się nie ruszaj - rzekł Ibn. Nie spuszczał Pitta z oczu, przesunął się ku trumnie. Kiedy dotknął prawym biodrem jej brzegu, zatrzymał się, a potem szybko spojrzał do wewnątrz i znów na swoją ofiarę.

Pitt nie przesunął się nawet o centymetr.

Wszystko zależało od tego, czy spojrzenie do wnętrza trumny wywoła spóźnioną reakcję, na którą Pitt tak bardzo liczył. Nie pomylił się.

W ciężarówce dowodzenia Specjalnych Sił Operacyjnych, zaparkowanej pół kilometra na zachód od terenu wykopalisk, Hollis, admirał Sandecker, Lily i Giordino patrzyli na monitor, całkowicie pochłonięci dramatem, jaki się rozgrywał pod Wzgórzem Gongory.

Lily stała nieruchomo, blada jak papier, a Sandecker i Giordino kręcili się jak para tygrysów w ogrodzie zoologicznym przed miską świeżego mięsa, której nie mogą dosięgnąć ze swej klatki.

Hollis krążył po ciasnym pomieszczeniu, ściskając nerwowo w jednym ręku nadajnik wysokiej częstotliwości, a w drugim słuchawkę telefonu.

- Ani mi się śni detonować ładunek! - krzyczał do adiutanta generała Chandlera. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Są już za blisko - dowodził adiutant w randze pułkownika.

- Jeszcze trzydzieści sekund - rzucił Hollis. - Nie wcześniej.

- Generał Chandler żąda, aby wysadzić wzgórze w tej chwili! - rzekł podniesionym głosem pułkownik. - To rozkaz samego prezydenta.

- Jest pan tylko głosem w telefonie, pułkowniku - grał na zwłokę Hollis. - Chcę usłyszeć ten rozkaz od prezydenta.

- Pan się doprasza o sąd polowy, pułkowniku.

- Nie pierwszy raz.

Sandecker potrząsnął głową.

- Dirk już nie zdąży.

- Nie możecie nic zrobić? - błagała Lily. - Powiedzcie mu. On was usłyszy przez głośnik przy kamerze.

- Boimy się odwrócić jego uwagę, aby ten Arab go nie zabił - odparł Hollis.

- Właśnie! - warknął rozwścieczony Giordino. Szarpnął drzwi ciężarówki dowodzenia, zeskoczył na ziemię i pobiegł do jeepa Sama Trinity. Nim ludzie Hollisa

zdołali go zatrzymać, ruszył ku Wzgórzom Gongory.

Jednym szybkim ruchem Pitt wyprostował się jak atakujący grzechotnik i zderzył Ibna tarczą, po czym ciął mieczem całą siłą swego muskularnego ramienia i barku. Poczł i usłyszał, jak ostrze trafiło ze szczęką na metal, a potem uderzyło w coś miękkiego. Nastąpił wybuch, niemal tuż przy jego twarzy. Główna siła wybuchu trafiła w środek tarczy. Zbrojona płyta plastikowa, którą major Dillinger przyśrubował tego popołudnia do drewnianej ramy tarczy, zgięła się, lecz nie puściła. Miecz Pitta zakończył łuk i rozpoczął nową morderczą wędrówkę.

Ibn był szybki, ale wstrząs wywołany widokiem ciała Yazida kosztował go cenne sekundy. Kątem jednego oka dostrzegł atak Pitta i zanim ostrze miecza ześliznęło się po zamku strzelby i rozcięło mu dłoń, odrąbując kciuk i palce tuż nad knykциями, zdążył jeszcze niecelnie wystrzelić.

Obrzynek zagrzechotał na twardej wapiennej podłodze, zatrzymując się na rewolwerze z odciętą dłonią Roberta Capesterre'a. Ibn jednak przyszedł do siebie dostatecznie szybko, aby uchylić się przed następnym ciosem miecza. Potem rzucił się na Dirka.

Pitt był przygotowany na ten atak, ale kiedy chciał zrobić unik, poczuł, że prawa noga odmawia mu posłuszeństwa. Zdał sobie sprawę, że parę śrucin ominęło tarczę i trafiło go w to samo miejsce, w które był raniony na wyspie Santa Inez.

Zanim zdążył zareagować i odskoczyć, Ibn spadł na niego jak pantera. Jego czarne oczy błyszczały szatańsko w świetle wiszących u sufitu lamp, a zęby były obnażone niczym u wampira. Miecz wypadł z ręki Pitta. Ibn sięgnął zdrową ręką do jego gardła.

- Zabij go! - wrzeszczał jak szalony Robert Capesterre. - Zabij!

Pitt dźwignął się i hakiem z dołu uderzył Ibna w krtań. Po takim ciosie większość ludzi zadławiłaby się na śmierć lub przynajmniej straciłaby przytomność. Ale Ibn chwycił się tylko za gardło, wydał okropny bulgoczący głos i zatoczył się w tył, po czym podniósł się, gotów do dalszej walki.

Stali naprzeciw siebie jak dwa ranne byki, odpoczywając przed następnym starciem i czujnie wypatrując, który zrobi pierwszy ruch.

Ruch ten wykonał ktoś inny. Capesterre odzyskał nagle zmysły i rzucił się do swojego colta, usiłując gorączkowo rozewrzeć zastygłe na kolbie palce swojej odciętej dłoni.

Ibn i Pitt szybko rozejrzeli się wokół siebie, szukając jakiejś broni.

Strzelba była bliżej Ibna. Rzymski miecz także. Każdy chwyt dozwolony, pomyślał Pitt. Z całą siłą kopnął Roberta Capesterre'a zranioną nogą, ale sam aż zwinął się z bólu.

Cisnął również w Ibna tarczą i trafiwszy go w brzuch, pozbawił Araba oddechu.

Z ust Roberta Capesterre'a wyrwał się jęklivy krzyk. Upuścił colta, którego Pitt przechwycił w powietrzu. Zaciśnął dłoń na zakrwawionej kolbie, palec wskazujący wsunął w osłonę cyngla. Ibn unosił niezdarnie lewą ręką obrzynek, kiedy Pitt strzelił.

Arab uderzył plecami o ścianę groty, a potem upadł waląc z głuchym odgłosem głową o podłogę.

Pitt stał ciężko dysząc. Usłyszał gorączkowy głos płynący z głośnika przy kamerze telewizyjnej.

- Uciekaj! - wrzeszczał Hollis. - Na miłość boską, uciekaj!

Pitt tak się zapamiętał w walce z Ibmem, że zapomniał, który tunel wiedzie do łatwiejszego wejścia, a który jest zakończony pionowym kraterem. Po raz ostatni rzucił okiem na Roberta Capesterre'a.

Capesterre miał twarz poszarzałą z upływu krwi, ale jego oczy wypełniała nienawiść.

- Miley podróży do piekła - rzekł Pitt.

Odpowiedzią Roberta Capesterre'a była petarda dymna. W niewiadomy sposób zdołał zerwać zawleczkę. Buchnął dym i wypełnił wnętrze groty gęstą pomarańczową chmurą.

- Co się stało? - zapytał prezydent patrząc na dziwną pomarańczową mgłę, która zakryła cały widok. - Czemu jeszcze nie nastąpił wybuch?

- Chwileczkę, panie prezydencie. - Chandler odwrócił głowę i zamienił kilka gniewnych słów z adiutantem. - Pułkownik Hollis ze Specjalnych Sił Operacyjnych chce bezpośredniego rozkazu od pana.

- Czy to on ma odpalić ładunek? - spytał Metcalf.

- Tak jest, generale.

- Niech go pan przełączy do naszej sieci komunikacyjnej.

W niecałe pięć sekund na ekranie monitora w Pokoju Sytuacyjnym ukazała się twarz Hollisa.

- Zdaję sobie sprawę, że pan nie może mnie zobaczyć, pułkowniku - rzekł prezydent.

- Ale chyba poznaje pan mój głos?

- Tak jest, panie prezydencie - odparł Hollis.

- Jako pański głównodowodzący rozkazuję panu natychmiast wysadzić to wzgórze.

- Tłum wdziera się na nie - rzekł Nichols w popłochu.

Wszyscy przenieśli wzrok na monitor, który ukazywał zbocze. Ogromny tłum posuwał się wolno w górę, wykrzykując imię swojego mesjasza.

- Jeśli poczekaasz jeszcze trochę dłużej, zabijesz mnóstwo ludzi - zawołał Metcalf. - Na litość boską, zdetonuj ładunek!

Hollis trzymał kciuk na guziku detonatora. Powiedział do mikrofonu nadajnika:

- Detonacja!

Nie naciskał jednak guzika. Zastosował chwyt zawodowego żołnierza: nigdy nie odmawiaj wykonania rozkazu i nie daj się postawić przed sąd za niesubordynację, ale mów, że go wykonasz - i nie wykonuj. Nieskuteczność działania jest jednym z zarzutów, które w sądzie połowym najtrudniej udowodnić.

Był zdecydowany oszczędzić ile się da sekund dla Pitta.

Wstrzymując oddech jak pod wodą i mocno zaciskając powieki w obronie przed gryzącym dymem, Pitt zmusił całym wysiłkiem woli swoje nogi, aby zaczęły się poruszać, biec, pełznąć, byle tylko wydostać się z tej makabrycznej jaskini. Dobrnął do wyjścia nie wiedząc, czy prowadzi ono do tunelu, czy do krateru. Posuwał się z zamkniętymi oczyma, macając ściany.

W końcu otworzył oczy. Piekły jak użądłone przez pszczoły, ale widział. Wydostał się poza największą gęstwę dymu. Otaczały go jedynie przejrzyste pomarańczowe opary.

Tunel przebity w wapiennej skale zaczął się wznosić ku górze. Pitt poczuł wzrost temperatury i lekki powiew. Nagle wydostał się na zewnątrz. Widział nad sobą gwiazdy, ale nie znalazł się na otwartej przestrzeni. Wpadł w pułapkę. Zdał sobie sprawę, że wyszedł przez tunel prowadzący do krateru. Jego spadziste ściany sięgały pięć metrów w górę. Tak bliski był ocalenia, a jednocześnie tak straszliwie daleki.

Zaczął wdrapywać się po ścianie krateru. Ranną nogę, teraz zupełnie bezużyteczną, włókł za sobą. Mógł się podpierać tylko jedną.

Głos Hollisa umilkł. Pułkownikowi zabrakło słów. Pitt wiedział, że zaplanowany wybuch zabierze go za chwilę z sobą. Zaczęły go ogarniać fale potwornego zmęczenia, ale mimo to z uporem parł w górę.

Nagle na krawędzi krateru pojawił się jakiś ciemny kształt, muskularne ramię sięgnęło w dół, chwyciło Pitta za sweter i wydzwignęło na otwartą przestrzeń.

Giordino rzucił Pitta na otwartą klapę jeepa, wskoczył za kierownicę i wcisnął pedał gazu do oporu.

Ledwie zdążyli przejechać pięćdziesiąt metrów, gdy Hollis nacisnął guzik. Sygnał wysokiej częstotliwości zdetonował żelatynę nitroglicerynową głęboko pod wzgórzem.

Przez jedną krótką chwilę wydawało się, że gdzieś z głębokich trzewi ziemi buchnie lawa. Wzgórze zatrzęsło się z przerażającym łoskotem. Tłum zwolenników Topiltzina padł



przeżony na ziemię.

Cały wierzchołek Wzgórza Gongory uniósł się niemal dziesięć metrów w górę, a potem rozkruszył się i opadł, pozostawiając ogromny pióropusz pyłu.

5 listopada 1995

Roma, Teksas

W pięć dni później, parę minut, po północy na małym lotnisku nie opodal Roma wylądował śmigłowiec prezydenta. Prezydentowi towarzyszyli senator Pitt i Juliusz Schiller. Gdy tylko śmigła rotora zatrzymały się i opadły, do drzwi śmigłowca podszedł admirał Sandecker.

- Miło cię znowu zobaczyć, admirale - rzekł prezydent. - Gratuluję wspaniałego osiągnięcia. Nie sądziłem, że NUMA poradzi sobie z tym zadaniem.

- Dziękuję, panie prezydencie - odparł Sandecker. - Jesteśmy wdzięczni, że pan uwierzył w nasz szaleńczy plan i pozwolił nam wprowadzić go w czyn.

- Musicie podziękować za moje poparcie senatorowi - powiedział prezydent. - On potrafi być bardzo przekonujący.

Wysiedli ze śmigłowca i wspięli się po drabince do wnętrza ogromnej, dziesięciokołowej wywrotki.

Dwaj agenci prezydenckiej tajnej służby, ubrani w robocze kombinezony, weszli do kabiny kierowcy. Czterej inni wsiedli do starego dodge'a zaparkowanego z tyłu.

Z zewnątrz wywrotka wyglądała na sfatygowaną, brudną i odrapaną. Lecz jej wnętrze kryło w sobie wygodne pomieszczenie z barem kuchennym i sześcioma obszernymi fotelami. Wierzch platformy był przykryty płytą, na którą dla niepoznaki nasypiano dziesięciocentymetrową warstwę żwiru.

Drzwi w ścianie wywrotki zostały zamknięte, siedli więc w przyśrubowanych do podłogi fotelach i zapięli pasy.

- Przepraszam za ten środek lokomocji - powiedział Sandecker. - Ale nie możemy sobie pozwolić na to, aby pana poznano z tych krążących tu śmigłowców.

- To moja pierwsza podróż wywrotką. Gdzie tam memu lincolnowi do niej - zażartował prezydent.

- Przerobiliśmy sześć takich wywrotek na tajne środki lokomocji - wyjaśnił Sandecker.

- Dobry pomysł - zaśmiał się senator stukając knykciami w metalową ścianę. - To jest kuloodporne z natury.

Prezydent zapytał:

- Sekret został zachowany?

Sandecker kiwnął głową.

- Nic nie wskazuje na to, że jest inaczej. Przynajmniej jeżeli chodzi o nas.

- Tym razem nie będzie żadnych przecieków - zapewnił Schiller, wychwytyjąc zawołaną aluzję generała. - Pokrywa jest zaśrubowana na głucho.

Prezydent milczał chwilę.

- Mieliśmy cholerne szczęście - rzekł wreszcie. - Ten tłum mógł się dopuścić krwawej rzezi, kiedy przekonał się o śmierci swego mesjasza.

- Po pierwszym szoku - powiedział Sandecker - ludzie krążyli wokół wzgórza zaglądając w głąb leja powstałego po wybuchu, jakby to było jakieś nadnaturalne zjawisko. Rozruchy miały niewielki zasięg z powodu obecności kobiet i dzieci. Stało się tak również dlatego, że najbliżsi poplecznicy i doradcy Topiltzina natychmiast wzięli nogi za pas i uciekli do Meksyku. A głodny, zmęczony i pozbawiony przywództwa tłum zaczął powoli wracać przez granicę do swoich miast i wsi.

- Kilka tysięcy Meksykan ruszyło na północ, ale jedną trzecią z nich udało się zawrócić - rzekł Schiller.

Prezydent westchnął.

- Najgorsze mamy już za sobą. Jeżeli Kongres zatwierdzi plan pomocy dla Ameryki Łacińskiej, nasi sąsiedzi zza południowej granicy staną wreszcie finansowo na nogi.

- A rodzina Capesterre'ów? - zapytał Sandecker. - Co z nią?

- Departament Sprawiedliwości zarekwiruje wszelkie jej aktywa w tym kraju. - Twarz prezydenta była bez wyrazu, lecz w jego oczach lśniły stalowe błyski. - To tylko do waszej wiadomości, panowie, ale pułkownik Hollis z naszych Specjalnych Sił Operacyjnych planuje desant ćwiczebny na jedną z Wysp Karaibskich, której nazwy nie wymienię. Jeżeli ktoś z rodziny Capesterre'ów znajdzie się w tym czasie na niej... cóż, wolałbym nie być w jego skórze.

Senator Pitt uśmiechnął się ironicznie.

- Ponieważ już nie ma Yazida i Topiltzina, w naszych stosunkach zagranicznych zapanuje na pewien czas spokój.

Schiller potrząsnął przecząco głową.

- Zatkaliśmy tylko dwie dziury w tamie. Najgorsze jeszcze przed nami.

- Nie kracz, Juliuszu - powiedział prezydent. - Egipt na razie jest stabilny. A prezydent Hasan ustępuje ze względu na zdrowie i przekazuje swój urząd ministrowi obrony Hamidowi. Teraz muzułmańscy fundamentaliści nie będą już mogli tak otwarcie wysuwać swoich żądań.

- Fakt, że Hala Kamil zgodziła się wyjść za Hamida, też nie pogorszy sytuacji -

podsumował senator Pitt.

Rozmowa została przerwana, bowiem wywrotka się zatrzymała. Otwarto z zewnątrz ukryte drzwi i przystawiono drabinkę.

- Proszę bardzo, panie prezydencie - rzekł Sandecker.

Wyszli na zewnątrz i rozejrzeli się. Teren był ogrodzony zwykłą siatką drucianą i oświetlony rzadko rozstawionymi latarniami. Obok bramy stał duży szyld: SPÓŁKA WYDOBYCIA PIASKU I TŁUCZNIĄ SAMA TRINITY. Oprócz paru ładowarek, ogromnej koparki i kilku wywrotek nie było tam nic więcej.

Podziemne urządzenia zabezpieczające i elektroniczne przyrządy wykrywające były niewidoczne dla nie wtajemniczonych.

- Czy mogę poznać pana Trinity? - zapytał prezydent.

Sandecker potrząsnął głową.

- Niestety nie. Zrzekłszy się z własnej woli praw do skarbów na rzecz rządu, wyruszył w objazd najsłynniejszych stu pól golfowych świata.

- Mam nadzieję, że mu to wynagrodziliśmy.

- Dostał dziesięć milionów dolarów wolnych od podatku - odparł Sandecker. - I trzeba mu je było wetknąć siłą. - Sandecker odwrócił się i wskazał głęboki wykop kilkaset metrów dalej. - To są resztki Wzgórza Gongory. Teraz wyrobisko żwiru. Nawet udało nam się zarobić na sprzedaży piasku i tłuczni.

Twarz prezydenta spochmurniała, gdy patrzył na wielki wykop, który był kiedyś wierzchołkiem wzgórza.

- Natrafiliście na zwłoki Yazida i Topiltzina?

Sandecker kiwnął głową.

- Dwa dni temu. Przepuściliśmy ich szczątki przez kruszarkę. Leżą chyba teraz na jakiejś szosie.

Prezydent przyjął tę wiadomość z zadowoleniem.

- Zasłużyli sobie na to, dranie.

- Gdzie jest tunel? - spytał rozglądając się Schiller.

- Tutaj. - Sandecker wskazał starą, sfatygowaną przyczepę mieszkalną przemienioną na biuro. Napis przy oknie głosił: „Dyspozytor”.

Czterech agentów tajnej służby z dodge'a już przeszukiwało teren, a dwaj z szoferki wywrotki weszli do biura, aby dokonać rutynowego sprawdzenia.

Kiedy wszyscy przeszli przez dwoje drzwi w tyle przyczepy, Sandecker poprosił prezydenta i towarzyszących mu ludzi, aby stanęli na środku pomieszczenia i przytrzymali

się barierki wystającej z podłogi. Pomachał ręką w stronę kamery telewizyjnej umieszczonej w rogu sufitu. Wówczas podłoga biura zaczęła wolno opuszczać się pod ziemię.

- Bardzo sprytnie - powiedział Schiller z podziwem.

- Teraz rozumiem, jak operacja została utrzymana w tajemnicy - mruknął prezydent.

Winda opadła na dół wykutego w wapiennej skale szybu i zatrzymała się z lekkim szarpnięciem trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi. Weszli do szerokiego tunelu oświetlonego jarzeniówkami. Jak okiem sięgnąć, tunel był obstawiony rzeźbami.

Z głębi wyszła im na spotkanie kobieta.

- Panie prezydencie - rzekł Sandecker - pozwoli pan, że przedstawię panu doktor Lily Sharp, dyrektora programu katalogowania.

- Jesteśmy pani dłużnikami, pani doktor.

Lily zaczerwieniła się.

- Byłam tylko małym kółeczkiem w maszynie - odparła skromnie.

Po dokonaniu dalszych prezentacji zaczęła pokazywać gościom skarby Biblioteki.

- Zbadaliśmy i skatalogowaliśmy czterysta dwadzieścia siedem rzeźb - powiedziała. - Najlepsze dzieła z wczesnej epoki brązu, począwszy od trzytysięcznego roku przed Chrystusem, aż po wytwory kultury bizantyjskiej z początków czwartego stulecia. Wyjąwszy nieliczne wapienne zacieki, które można łatwo usunąć, wszystkie posągi są znakomicie zachowane.

Prezydent szedł długim korytarzem raz po raz przystając, aby się przyjrzeć ze szczerym podziwem wspaniałym rzeźbom. Każdy wiek, dynastia i imperium były tu reprezentowane przez najwybitniejsze dzieła artystyczne.

- Oglądam i dotykam najprawdziwszych zbiorów muzeum aleksandryjskiego? - zapytał oszołomiony. - Po wybuchu nie mogłem uwierzyć, że nie zostały zniszczone.

- Wstrząsy ziemi wzbily kurz i spowodowały, że od stropu oderwało się kilka odłamków wapienia - powiedziała Lily. - Lecz wszystkie zbiory wyszły z tego cało. Ogląda pan rzeźby w takim stanie, w jakim je widział Juniusz Venator w trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

Po blisko dwóch godzinach oglądania tych niewiarygodnych arcydzieł Lily zatrzymała się przed ostatnim eksponatem, tuż przed wejściem do głównego korytarza.

- Złota trumna Aleksandra Wielkiego - oznajmiła przyciszonym głosem.

Prezydent podszedł z wahaniem do złotego miejsca spoczynku jednego z największych wodzów, jakich znał świat. Zajrzał przez kryształowe szybki.

Macedończycy ubrali swego króla w ceremonialną zbroję. Jego hełm i pancerz były z czystego złota. Tunika z perskiego jedwabiu rozsypała się niemal całkowicie po dwudziestu czterech wiekach, a z ciała legendarnego wodza pozostały tylko kości.

- Szczątki te oglądała Kleopatra, Juliusz Cezar i Marek Antoniusz - powiedziała Lily.

Kiedy już się napatrzyli, Lily wprowadziła ich do wielkiej magazynowej galerii.

Pracowało tam prawie trzydzieści osób. Kilka z nich badało zawartość drewnianych skrzyń ustawionych pośrodku jedna na drugiej. Malowidła, poplamione i pokryte kurzem, ale nadające się do odnowienia, a także delikatne przedmioty rzeźbione w kości słoniowej i marmurze lub odlane ze złota, srebra i miedzi były katalogowane i przepakowywane do nowych skrzyń, aby je przetransportować do Maryland, gdzie miały zostać poddane zabiegom konserwatorskim.

Większość archeologów, tłumaczy i ekspertów od konserwacji zajmowała się tubami z brązu zawierającymi tysiące starożytnych zwojów. Tłumaczyli napisy na mosiężnych przywieszkach informujących o zawartości tub.

Lily wskazała ręką grotę.

- Jak dotąd, znaleźliśmy wszystkie dzieła Homera, wiele zaginionych dzieł wielkich filozofów greckich, księgi wczesnohebrajskie i rękopisy rzucające głębsze światło na chrystianizm. A także mapy wskazujące lokalizację nie znanych wcześniej grobowców starożytnych władców, położenie dawnych ośrodków handlowych, włącznie z Tarsisz i Szepą, oraz mapy geologiczne z lokalizacją kopalń i złóż ropy naftowej, o których dawno zapomniano. Będziemy mogli zapełnić ogromne luki w historii. Wszystko tu jest przedstawione ze szczegółami: dzieje Fenicjan, Mykeńczyków, Etrusków i innych cywilizacji, o których istnieniu wiedzieliśmy tylko z pogłosek.

Po dłuższej chwili prezydent zapytał ścisłym głosem:

- Ile wam zajmie czasu ukończenie tych prac tutaj?

- Najpierw wywieziemy zwoje rękopisów, potem dzieła sztuki - odparła Lily. - Rzeźby pojedą na końcu. Pracując dzień i noc spodziewamy się, że opróżnimy korytarz i grotę do Nowego Roku.

- Prawie sześćdziesiąt dni - powiedział Sandecker.

- A ile zajmie konserwacja i tłumaczenie zwojów?

Lily wzruszyła ramionami.

- Konserwacja to nie jest szybka robota. A jeśli chodzi o zwoje... Według naszej oceny trzeba kilkudziesięciu lat, żeby wszystko przetłumaczyć i zrozumieć w pełni, co nam wpadło w ręce. Chyba że przeznaczą na ten cel specjalne fundusze...

- Proszę się nie martwić o pieniądze - rzekł prezydent. - Te prace będą miały priorytet. Już ja o to zadbam.

- Nie możemy dłużej mówić ludziom, że te wspaniałe skarby zostały zniszczone - powiedział Schiller. - Musimy powiedzieć prawdę. I to jak najszybciej.

- Oczywiście - rzekł senator Pitt. - Zarówno u nas, jak i za granicą, od chwili tego wybuchu jest piekło.

- Czy ja o tym nie wiem? - warknął prezydent. - Moja popularność w społeczeństwie spadła o piętnaście punktów. Kongres się na mnie wyżywa, a niemal wszyscy przywódcy zagraniczni chcieliby mieć moją skórę przybitą do drzwi wychodka.

- Przepraszam panów - wtrąciła Lily z wahaniem w głosie - ale jeżeli wstrzymacie się jeszcze dziesięć dni, dostarczymy wam wideokasety z ważniejszymi eksponatami. Może to rozwiąże wasze problemy.

Senator Pitt spojrział na prezydenta.

- Doktor Sharp zaproponowała nam wspaniałą rzecz.

Prezydent ujął rękę Lily i pogłaskał.

- Bardzo dziękuję, doktor Sharp. Ułatwia mi pani życie.

- Czy zastanawiał się pan, jak rozdysponować skarby Biblioteki? - spytał Sandecker, nie próbując nawet ukryć irytacji w głosie.

Prezydent uśmiechnął się szeroko.

- Jeżeli mi się uda skłonić Kongres do przyznania potrzebnych funduszków, a jestem pewien, że mi się uda, to przy waszyngtońskiej promenadzie zostanie zbudowana replika Biblioteki Aleksandryjskiej, która pomieści wszystko, co Juniusz Venator przywiózł tu z Egiptu. A jeśli inne kraje zechcą obejrzyć zabytki swej kultury, chętnie wypożyczymy im całą wystawę. Wszystko to jednak pozostanie własnością narodu amerykańskiego.

- Och, dziękuję, panie prezydencie! - wykrzyknęła Lily i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- I ja dziękuję - powiedział admirał Sandecker. - Bardzo pan nas wszystkich ucieszył. Schiller pochylił się i szepnął Lily do ucha:

- Tylko najpierw przetłumaczcie wszystkie dane geologiczne. Możemy zatrzymać u siebie dzieła sztuki, ale tamtą wiedzą musimy podzielić się z resztą świata.

Lily kiwnęła głową i poprowadziła prezydenta oraz towarzyszące mu osoby w kąt groty, gdzie przy składanym stoliku siedział Pitt, Giordino i tłumacz greki i łaciny, który przyglądał się przez szkło powiększające tabliczce przy jednej z tub.

Prezydent poznał Dirka i podszedł do niego szybko.

- Dobrze cię widzieć całym i zdrowym - powiedział z ciepłym uśmiechem. - Pragnę ci podziękować w imieniu całego narodu za tak zdumiewający dar.

Pitt wstał, opierając się ciężko na lasce.

- Jestem szczęśliwy, że wszystko poszło dobrze. Gdyby nie mój przyjaciel Al i pułkownik Hollis, leżałbym teraz pod Wzgórzem Gongory.

- Czy mógłbyś wreszcie wyjaśnić nam, skąd wiedziałeś, że skarby Biblioteki leżą pod niższym wzgórzem, a nie pod Wzgórzem Gongory? - spytał Schiller.

- Napędziłeś nam strachu - powiedział prezydent. - Przez cały czas myśleliśmy: co będzie, jeśli on wysadzi nie to wzgórze?

- Przepraszam, że tego wcześniej nie wyjaśniłem - odparł Pitt. - Ale nie mieliśmy na to czasu. - Uśmiechnął się do ojca. - Cieszę się tylko, że mi zaufaliście. Nie miałem żadnych wątpliwości co do lokalizacji zbiorów. Juniusz Venator napisał na kamieniu znalezionym przez Sama Trinity: „stań na północy i patrz prosto na południe ku nadrzecznemu urwisku”. Kiedy stanąłem na północ od Wzgórza Gongory i spojrzałem prosto na południe, stwierdziłem, że to urwisko jest położone blisko pół kilometra na zachód. Przesunąłem się więc trochę bardziej na zachód i północ, na pierwsze wzgórze odpowiadające opisowi Venatora.

- Jak ono się nazywa? - spytał senator.

- To wzgórze? - Dirk wznosił ręce w geście bezradności. - Chyba nie ma żadnej nazwy.

- Teraz już ma - rzekł prezydent ze śmiechem. - Gdy tylko doktor Sharp pozwoli mi obwieścić światu znalezienie największego w dziejach ludzkości skarbu, powiem, że odkrycia dokonano na Wzgórzcu Bez Nazwy.

Znad rzeki unosiła się poranna mgła i zorza oświetliła dolinę Rio Grande, gdy prezydent i towarzyszące mu osoby wyruszyli w powrotną drogę do Waszyngtonu.

Pitt i Lily siedzieli na wierzchołku Wzgórza Bez Nazwy i wdychając wilgotne zapachy poranka patrzyli na gasnące światła miasteczka Roma.

Lily uśmiechnęła się do Dirka. Jego oczy nie miały teraz twardego, surowego wyrazu, były łagodne i zamyślane. Blask słońca padł mu na twarz, ale on nie zwrócił na to uwagi. Lily wiedziała, że myślami buja w przeszłości.

Wiedziała już, że był mężczyzną, którym żadna kobieta nie może zawładnąć bez reszty. Jego przeznaczeniem było niepokojące wyzwanie gdzieś za horyzontem, tajemnice przyzywające go syrenim śpiewem. Był mężczyzną, którego kobieta pożąda dla namiętnego romansu, nie mogąc jednak liczyć na trwały związek. Lily wiedziała, że ich powiązania są



ulotne, lecz zamierzała w pełni wykorzystać każdą chwilę, jaka była jej dana - póki któregoś ranka nie obudzi się po to, aby stwierdzić, że odszedł w pogoni za następną zagadką. Siedziała obok niego z głową opartą na jego ramieniu.

- Co było na tej tabliczce? - zapytała.

- Jakiej tabliczce?

- Którą się tak interesowaliście z Alem.

- Klucz do znalezienia następnych skarbów - odparł spoglądając w dal.

- Gdzie?

- Pod wodą. Zwój był zatytułowany: „Notowane zatonięcia statków z cennym ładunkiem”.

Spojrzała na niego.

- Mapa umiejscowienia podwodnych skarbów?

- Zawsze gdzieś jest jakiś skarb - powiedział z roztargnieniem.

- A ty zamierzasz go szukać?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Nigdy nie zaszkodzi próbować znaleźć. Niestety Wuj Sam rzadko mi na to pozwala.

Muszę jeszcze przeszukać dżungle brazylijskie, by znaleźć Eldorado.

Położyła się na plecach patrząc na blednące gwiazdy.

- Ciekawe, gdzie oni są pochowani.

Pitt odsunął od siebie wizję zatopionych skarbów i spojrzał na nią.

- Kto?

- Starożytni podróżnicy, którzy pomogli Venatorowi ocalić zbiory Biblioteki.

Potrząsnął głową.

- Juniusz Venator to trudny do przeniknięcia człowiek. Mógł pochować swoich towarzyszy gdziekolwiek.

Uniosła rękę i przyciągnęła łagodnie jego głowę. Ich usta się spotkały. Nad nimi, na pomarańczowym niebie, unosił się spiralą sokół, lecz nie dostrzegłszy żadnego łupu poszybował na południe, w kierunku Meksyku. Lily otworzyła oczy i odsunęła się z uśmiechem.

- Myślisz, że mieliby nam za złe?

Popatrzył na nią z zaciekawionym.

- Co?

- Gdybyśmy się kochali na ich grobie? Bardzo możliwe, że leżą pod nami.

- Myślę, że nie. Wiem na pewno, że nie.